

LAWRENCE HILL

Aminata

SIŁA MIŁOŚCI



Lawrence Hill
Aminata

Siła miłości

Przełożyła Maria Borzobohata-Sawicka



*Dla mojej córki i pokrewnej duszy
Geneviève Aminaty*

Kładę przed wami życie i śmierć,
Błogosławieństwo i przekleństwo.

Wybierajcie więc życie.

Księga Powtórzonego Prawa 30, 19 –
*Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego
i Nowego Testamentu, Poznań 2000*

Na Afryki mapie miejsca puste
Zajmują lwy i mały tłuste
Pochyl się nad nią, głowę skłoń
W zastępstwie wiosek – dziki słoń.

Jonathan Swift

Księga pierwsza

A dziś jestem już stara

Londyn, 1802 rok

Śmierć zdaje się mnie omijać. Doprawdy nie powinnam tak długo żyć. Wciąż jednak potrafię wyczuć woń kłopotów niesioną przez wiatr – tak samo jak rozpoznaję, czy w żeliwnym garnku na ogniu bulgocze potrawka z kurzych szyjek, czy wieprzowe raciczki. A moje uszy są tak sprawne jak uszy psa myśliwskiego. Ludziom się wydaje, że tylko dlatego, iż nie trzymasz się prosto jak sadzonka drzewa, jesteś głuchy. Albo że twój mózg przypomina dyniową papkę. Któregoś dnia, kiedy prowadzono mnie na spotkanie z biskupem, jedna z pań z towarzystwa wymamrotała do drugiej:

– Musimy pokazać tę kobietę w parlamencie, i to szybko. Kto wie, ile czasu jej jeszcze pozostało.

Choć byłam zgięta wpół, wbiłam jej palce w zębra. Wydała z siebie pisk i odwróciła się do mnie gwałtownie.

– Ostrożnie – powiedziałam. – Bo jeszcze panią przeżyję!

Musi istnieć jakiś powód, dla którego żyłam w tych wszystkich krainach, przetrwałam te wszystkie morskie przeprawy, podczas gdy inni padali od kul albo zamykali powieki i siłą woli kończyli żywot. W najwcześniejszym dzieciństwie, kiedy cieszyłam się wolnością i nie znałam niczego poza nią, wymykałam się za mur naszej wioski, wspinałam na akację, balansując z Koranem ojca na głowie, siadałam na wysokiej gałęzi i dumałam nad tym, czy kiedyś dane mi będzie poznać tajemnice zawarte w tej księdze. Machając stopami, odkładałam książkę – jedyną, jaką kiedykolwiek widziałam w Bayo – i spoglądałam na łataninę glinianych ścian i pokrytych strzechą dachów. Ludzie nigdy nie stali beczynnie. Kobiety nosiły wodę z rzeki, mężczyźni kuli rozgrzane w ogniu żelazo, a chłopcy triumfalnie wracali z lasu ze złapanymi we wnyki jeżozwierzami. Wydobicie mięsa z jeżozwierza to pracochłonne zadanie, ale jeśli na chłopców nie czekały żadne pilne obowiązki, przystępowali do niego, usuwając kolce, obdzierając zwierzę ze skóry, wykrawając wnętrzności i ćwicząc ostre noże na żalosznej małej tuszce. W tamtych czasach czułam się wolna i szczęśliwa, a w mojej głowie nigdy nie zagościła myśl o bezpieczeństwie.

Uniknęłam brutalnych zakończeń nawet wtedy, gdy otaczały mnie ze wszystkich stron. Nigdy jednak nie było mi dane tulić własnych dzieci, mieszkać z nimi i wychowywać je w sposób, w jaki przez dziesięć czy jedenaście lat wychowywali mnie rodzice, dopóki nasze życie nie zostało rozdarte na strzępy. Nie udało mi się na długo zatrzymać moich dzieci, co wyjaśnia, dlaczego dziś nie ma ich przy mnie, dlaczego nie przyrządzają mi

posiłków, nie dokładają słomy do siennika, nie przynoszą pledu, który powstrzymałby chłód, nie siedzą ze mną przy kominku ze świadomością, że zrodziłam je z własnych lędźwi i że nasze wspólne chwile wyrosły jak łany kukurydzy w wilgotnej ziemi. Teraz opiekują się mną inni. To dobrze. Ale to co innego, gdy własne dziecko ukołysze cię do śmierci. Pragnę trzymać w ramionach swoje dzieci i ich dzieci, jeśli istnieją, i brakuje mi ich tak, jak brakowałyby mi własnych kończyn.

Tu, w Londynie, dbają o to, bym była niesłuchanie zajęta. Mówią, że mam poznać króla Jerzego. Wokół mnie kręci się grupka abolicjonistów – wąsatych, brzuchatych, łysych mężczyzn, którzy bojkotują cukier, ale pachną tytoniem i palą świecę za świecą, spiskując do późnej nocy. Abolicjoniści mówią, że sprowadzili mnie do Anglii, żebym pomogła im zmienić bieg historii. Cóż. Jeszcze zobaczymy. Skoro jednak żyję tak długo, musi istnieć po temu jakiś powód.

W moim języku słowo *fa* oznacza ojca, *ba* rzekę. A także matkę. We wczesnym dzieciństwie *ba* była dla mnie jak rzeka, która niosła mnie dzień po dniu, a w nocy dbała o bezpieczeństwo. Choć moje życie chyli się ku końcowi, wciąż myślę o nich jako o rodzicach, starszych i mądrzejszych niż ja, wciąż słyszę ich głosy – to głębokie, to znów płynne jak melodia. Wyobrażam sobie, że ich ręce odciągają mnie od kłopotów, prowadzą pomiędzy rozpalonymi w wiosce ogniskami i kierują na matę w chłodnym cieniu naszego domu. Wciąż widzę ojca, który zaostrzonym kijem wydrapuje w ziemi miękkie linie arabskich słów i opowiada o odległym Timbuktu.

W chwilach samotności, kiedy abolicjoniści nie kręcą się wokół mnie jak trąby powietrzne, prosząc o to, bym dołączyła do jakiejś delegacji lub podpisała się na jakiejś petycji, marzę o tym, że moi rodzice wciąż się mną opiekują. Czy to nie dziwne? Jestem starą, złamaną czarną kobietą, która przeprowiła się przez więcej wód, niż potrafi spamiętać, i która przebyła pieszo więcej mil niż koń pociągowy, a marzę jedynie o tym, czego mieć nie mogę – o dzieciach i wnukach, które mogłabym kochać, i o rodzicach, którzy otaczaliby mnie opieką.

Pewnego dnia zabrano mnie do szkoły w Londynie i poproszono, bym porozmawiała z dziećmi. Jedna dziewczynka zapytała, czy jestem słynną Meeną Dee, o której wciąż piszą w gazetach. Powiedziała, że jej rodzice nie wierzą w to, iż żyłam w tak wielu miejscach. Potwierdziłam, że jestem Meeną Dee, ale dodałam, by – jeśli chce – nazywała mnie Aminatą Diallo, bo właśnie to imię i nazwisko nosiłam w dzieciństwie. Przez chwilę pomagałam jej wymówić moje imię. Udało jej się za trzecim razem. A m i n a t a . Cztery sylaby. To naprawdę nie takie trudne.

– A-mi-na-ta – przesyłabizowałam.

Żałowała, że nie mogę poznać jej rodziców. I dziadków.

– Dobrze ich kochaj – przykazałam. – Kochaj ich z całego serca. Kochaj ich każdego

dnia.

Chciała wiedzieć, dlaczego jestem taka czarna. Zapytałam, dlaczego ona jest taka biała. Powiedziała, że taka się urodziła.

– Ja tak samo – odparłam.

– Widzę, że musiałaś być bardzo ładna, chociaż jesteś taka ciemna – powiedziała.

– Ty byłąbyś ładniejsza, gdyby w Londynie czasem wychodziło słońce – stwierdziłam.

Zapytała, czym się żywię.

– Mój dziadek jest pewny, że jesz słońce na surowo.

Odpowiedziałam jej, że nigdy nie spróbowałam ani kęsa słońca, choć w życiu bywałam tak głodna, że mogłabym to zrobić. Goniłam trzysta lub czterysta słońci, ale nigdy nie udało mi się sprawić, żeby szalejący po wiosce zwierz przystanął na tyle długo, bym mogła odgryźć porządny kawałek. Zaśmiała się i powiedziała, że chce wiedzieć, co naprawdę jem.

– To co ty – wyjaśniłam. – Myślisz, że na ulicach Londynu udałoby mi się znaleźć słońca? Kiełbaski, jajka, gulasz z baraniny, chleb, krokodyle, wszystkie podstawowe produkty.

– Krokodyle? – powtórzyła.

Odparłam, że sprawdzam, czy mnie słucha. Pochwaliła się, że potrafi doskonale słuchać, i poprosiła, bym opowiedziała jej historię o duchach.

– Skarbie – odpowiedziałam. – Całe moje życie jest jak historia o duchach.

– A więc mi je opowiedz – oznajmiła.

Tak jak jej powiedziałam, nazywam się Aminata Diallo, jestem córką Mamadu Diallo i Siry Kulibali. Urodziłam się w wiosce Bayo, trzy księżycy pieszo od Wybrzeża Pieprzowego w Afryce Zachodniej. Jestem Bamanką. A także Fulanką. Należę do obu plemion, co wyjaśnię później. Podejrzewam, że urodziłam się około 1745 roku. I mam zamiar opisać to, co mi się przytrafiło. Od początku do końca. Poprosiłam Johna Clarksona – jednego ze spokojniejszych abolicjonistów, ale jedyne, któremu naprawdę ufam – by jeśli umrę, zanim ukończę to zadanie, nic w mojej opowieści nie zmieniał. Tutejsi abolicjoniści zaproponowali, bym napisała krótki, mniej więcej dziesięciostronicowy artykuł i wyjaśniła, dlaczego handel ludźmi to ohydny proceder, który należy powstrzymać. Zrobiłam to, a artykuł jest dostępny w gabinetach socjety.

Mam ciemną skórę o głębokim odcieniu. Niektórzy mówią, że jest ciemnogrnatowa. Moje spojrzenie trudno rozszyfrować i to właśnie w nim lubię. Nieufność, pogarda, niechęć – nikt nie chce publicznie okazywać podobnych uczuć. Niektórzy mówią, że kiedyś byłam niezwykle piękna, ale ja nie życzę urody żadnej kobiecie, która nie jest wolna i która nie wybiera rąk biorących ją w posiadanie.

Po mojej urodzie niewiele zostało. Zniknęły krągłe, jędrne pośladki, tak nietypowe

w tym kraju angielskich płaskich zadków. Zniknęły uda, szerokie i zbite, oraz łydki, zaokrąglone i twarde jak dojrzałe jabłko. Moje piersi, niegdyś wznoszące się jak dumne ptaki, opadły. Mam jednak wszystkie zęby oprócz jednego i co dzień je szczotkuję. Moim zdaniem pełny zestaw białych, połyskujących zębów to doprawdy coś pięknego, a energiczne mycie gałką trzy lub cztery razy w tygodniu sprawia, że takie pozostają. Nie wiem dlaczego, ale im bardziej żarliwi są abolicjoniści, tym bardziej cuchnie im z ust. Niektórzy mężczyźni w mojej ojczyźnie tak często jedzą gorzkie orzechy kola, że ich zęby zmieniają barwę na pomarańczową. Ale w Anglii abolicjoniści wyrządzają sobie większą szkodę, pijąc kawę, herbatę i paląc tytoń.

Wypadła mi już większość włosów, a te pasma, które pozostały, zrobiły się siwe, wciąż są poskręcane i ciasno przylegają do czaszki, więc się nimi nie przejmuję. Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska przywozi do Londynu różnobarwne jedwabne chusty; chętnie rozstałam się z jednym czy dwoma szylingami, żeby je kupić. Zakładam je zawsze, kiedy abolicjoniści prezentują mnie jako ozdobę swojego ruchu. Tuż nad moją prawą pierś widnieją inicjały GO, tworząc zaciśnięty, szeroki na cal okrąg. Niestety wypalono mi piętno i w żaden sposób nie mogę się pozbyć blizny. Noszę ten stygmat, odkąd skończyłam jedenaście lat, ale dopiero niedawno odkryłam, co oznaczają te inicjały. Przynajmniej nie są wystawione na widok publiczny. O wiele bardziej podobają mi się dwa śliczne półksiężycy wyrzeźbione w moich policzkach. Pod każdą z kości policzkowych widnieje mały, wąski łuk. Zawsze podobały mi się te znamiona, jednak londyńczycy często się na nie gapią.

Kiedy mnie porwano, byłam wysoka jak na swój wiek, ale po tym wydarzeniu przestałam rosnąć. Dlatego teraz mierzę przeciętne pięć stóp i dwa cale. Choć i to nie jest już prawdą. Przechyliłam się na jedną stronę, opierając ciężar na prawej nodze. Moje paznokcie u nóg są żółte, zaskorupiałe, grube – nie sposób ich skrócić. Ostatnimi czasy palce u stóp się unoszą, zamiast leżeć płasko na ziemi. Nie ma to jednak znaczenia, ponieważ mam na sobie buty, a nikt nie każe mi biegać ani nawet pokonywać znacznych dystansów pieszo.

Przy łóżku trzymam ulubione przedmioty. Jednym z nich jest niebieski szklany słoiczek z kremem. Co noc wcieram krem w poszarzałe łokcie i kolana. Po życiu, jakie wiodłam, to białe mazidło wydaje się niemal magiczną fanaberią. „Wetrzyj mnie do końca – zdaje się mówić – a ja podaruję tobie i twoim zmarszczkom kolejny dzień lub dwa”.

Dłonie są jedyną częścią ciała, z której wciąż jestem dumna i która stanowi cień przebrzmiałej urody. Mimo tego, przez co przesłam, są długie, ciemne i gładkie, a paznokcie ładnie osadzone, wciąż okrągłe, wciąż różowe. Mam niezwykle piękne dłonie. Lubię kłaść je na różnych rzeczach. Lubię przesuwając palcami po korze na drzewach, po włosach na dziecięcych głowach, a zanim nadejdzie mój czas i jeśli nadarzy się taka

okazja, chciałabym położyć dłonie na ciele dobrego mężczyzny. Jednak nic – ani męskie ciało, ani łyk whisky, ani przyprawiony gulasz z koźliny w rodzinnym kraju – nie dałoby mi takiej przyjemności jak dziecięcy oddech w moim łóżku, chrapiące u boku wnuczę. Czasem budzę się rano w moim małym pokoju skąpanym w słońcu i poza skorzystaniem z nocnika i napieniem się herbaty z miodem pragnę tylko tego, by położyć się z powrotem do miękkiego łóżka z dzieckiem, które mogłabym tulić. Chciałabym słuchać wznoszącego się i opadającego oddechu niemowlęcia. Czuć magię małej rączki, nie do końca panującej nad tym, co robi, muskającej moje ramię, dotykającej twarzy.

Ostatnimi czasy karmią mnie mężczyźni, którzy chcą zakończenia handlu niewolnikami. Dali mi wystarczająco dużo ubrań, bym ustrzegła się przed londyńską wilgocią. Nie spałam w wygodniejszym łóżku od najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy rodzice pozwolili mi włożyć pod tkaną matę tyle miękkich żdźbeł, ile zapragnęłam. Doprawdy rzadko się zdarza, by nie trzeba się było niepokoić o pożywienie, schronienie czy ubiór. Co robi człowiek, kiedy nie musi się martwić o przetrwanie? Cóż, jest przecież cel abolicjonistów, który pochłania wiele czasu i bardzo mnie męczy. Wciąż miewam nieraz ataki paniki, gdy znajduję się w otoczeniu stanowczych białych mężczyzn. Kiedy gromadzą się wokół mnie, by zadawać mi pytania, przypominam sobie rozżarzone żelazo dymiące tuż nad moją pierś.

Na szczęście publiczne wystąpienia zdarzają się z rzadka, więc mam czas na lekturę, od której jestem uzależniona, tak jak inni uzależnieni są od alkoholu czy tytoniu. Mam też czas na pisanie. Muszę opowiedzieć o swoim losie. To moja osobista historia o duchach, a jaki byłby pożytek z mojego życia, gdybym nie wykorzystwała okazji, by o nim opowiedzieć? Po chwili dostaję kurczu w ręce, a kiedy zbyt długo siedzę przy stole, bolą mnie plecy lub kark, ostatecznie jednak pisanie nie wymaga ode mnie zbyt wiele wysiłku. Po tym, co przeżyłam, przychodzi mi tak łatwo jak przełknięcie kiełbasek w sosie.

Na początku chciałabym się zwrócić z upomnieniem do tych, którzy odnajdą te kartki. Nie ufajcie wielkim akwenom i nie próbujcie się dostać na drugi brzeg. Jeśli ty, Drogi Czytelniku, masz afrykański odcień skóry i jeśli będą Cię prowadzić w stronę wody o znikających brzegach, zrób wszystko, co w Twojej mocy, by obronić swoją wolność. Pielęgnuj też w sobie nieufność do różowej barwy. Róż postrzega się jako kolor niewinności, odcień dzieciństwa, ale gdy rozlewa się po wodzie w świetle gasnącego słońca, nie podążaj jego urokliwą ścieżką. Tuż pod powierzchnią znajduje się bezdenne cementarzysko dzieci, matek i mężczyzn. Drzę, wyobrażając sobie tych wszystkich Afrykanów kołyszących się w głębinach. Ilekroć żeglowałam po morzach, miałam wrażenie, że prześlizguję się po zwłokach.

Niektórzy nazywają zachód słońca tworem niezwyklej urody, dowodem na istnienie Boga. Jednak czy jakakolwiek łaskawa siła rzuciłaby urok na ludzką duszę, wybierając róż

do oświetlenia drogi niewolniczego okrętu? Nie dajcie się zwieść tej ładnej barwie i nie pozwólcie, by was zwabiła.

Kiedy już poznam króla i opowiem swoją historię, pragnę być pochowana tu, w londyńskiej ziemi. Afryka to moja ojczyzna. Mam jednak za sobą dość wędrówek, by obdzielić nimi pięć żywotów. Dziękuję, nie mam ochoty, by znów mnie przenoszono.

Małe dłonie były dobre

Bayo, 1745 rok

Niezależnie od okresu w życiu czy kontynentu, na którym przebywałam, ostra, wyzwalająca woń miętowej herbaty zawsze przenosiła mnie do dzieciństwa w Bayo. Za sprawą kupców, którzy z tobołkami na głowach przebywali odległość wielu księżyców, w naszej wiosce pojawiały się magiczne przedmioty z taką samą częstotliwością, z jaką ludzie znikali bez śladu. Całe wioski i miasteczka były otoczone murami, a na straży stali wartownicy z zatrutymi włóczniami, którzy mieli uniemożliwić porywanie ludzi. Kiedy jednak zjawiali się zaufani kupcy, wszyscy mieszkańcy wioski, niezależnie od wieku, przybywali, by podziwiać przyniesione przez nich towary.

Papa był jubilerem. Któregoś dnia wymienił złoty naszyjnik na metalowy pękaty dzbanek o długim, wąskim, wygiętym dziobku. Kupiec powiedział, że ten dzbanek przemierzył pustynię i przyniesie szczęście oraz długowieczność temu, kto będzie z niego pił.

W środku nocy, kiedy leżałam w łóżku, papa pogłaskał mnie po ramieniu. Wierzył, że dusza śpiącego człowieka jest wrażliwa i należy go budzić łagodnie.

– Chodź i napij się herbaty ze mną i z mamą – powiedział.

Wygramoliłam się z łóżka, wybiegłam na zewnątrz i wdrapałam się mamie na kolana.

Wszyscy pozostali mieszkańcy wioski spali. Koguty nie piały. Gwiazdy mrugały jak nerwowe oczy całego miasteczka ludzi, którzy znają straszliwą tajemnicę.

Mama i ja obserwowałyśmy, jak za pomocą złożonych grubych liści bananowca papa zdejmuje dzbanek z trzech rozpalonych patyków. Podniósł pokrywkę, która opierała się na tajemniczych zawiasach, i użył ociosanego kijka, by zeskrobać miód z plastra wprost do bulgoczącej herbaty.

– Co robisz? – wyszeptałam.

– Słodzę herbatę – odparł.

Zbliżyłam nos. W dzbanku były upchnięte świeże liście mięty, a ich zapach zdawał się opowiadać o odległych krainach.

– Mmm – zamruczałam, wdychając ich aromat.

– Jeśli zamkniesz oczy, poczujesz woń dalekiego Timbaktu – powiedział papa.

Mama położyła mi dłoń na ramieniu i także wciągnęła woń herbaty, po czym westchnęła.

Zapytałam papę, gdzie właściwie znajduje się Timbaktu. Odparł, że daleko. Spytałam, czy tam był. Odpowiedział, że tak. Timbaktu leży nad potężną rzeką Jolibą, a papa kiedyś

odwiedził je, aby się modlić, uczyć i doskonalić umysł, co należy do obowiązków wszystkich wyznawców. To sprawiło, że ja także zapragnęłam doskonalić swój umysł. Mniej więcej połowa ludności Bayo była muzułmanami, jednak tylko papa miał Koran i umiał czytać i pisać. Zapytałam, jak szeroka jest Joliba.

– Czy tak szeroka jak strumienie w okolicy Bayo?

– Nie – odparł. – Joliba jest dziesięć razy szersza niż odległość, na jaką człowiek potrafi rzucić kamień.

Nie mogłam sobie wyobrazić tak potężnej rzeki.

Kiedy herbata zrobiła się już mocna i słodka dzięki darowi pszczoł, papa uniósł parujący dzbanek na wysokość wyprostowanego ramienia, przechylił i nalał gotującego się płynu do małej tykwy dla mnie, do drugiej dla mamy, a do trzeciej dla siebie. Nie uronił ani kropli. Odstawił dzbanek z powrotem na rozżarzone palenisko i przykazał, bym pozwoliła napojowi ostygnąć.

Zacisnęłam dłonie wokół ciepłej tykwy i poprosiłam:

– Papo, opowiedz jeszcze raz, jak poznałeś mamę.

Uwielbiałam słuchać opowieści o tym, że mieli nigdy się nie spotkać – mama należała do Bamanów, papa do plemienia Fula. Podobało mi się, że ich historia przewyższała to, co niemożliwe. Mieli się nie spotkać, nie wspominając o połączeniu się i założeniu rodziny.

– Gdyby nie to szczęśliwe zdarzenie w dziwnych czasach, wcale byś się nie urodziła – powiedział papa.

W porze deszczowej, zaledwie rok przed moimi urodzinami, papa wyruszył z Bayo wraz z innymi mężczyznami z plemienia Fulbe. Szli przez pięć słońc, żeby na odległym targowisku wymienić masło shea na sól. W drodze powrotnej podarowali małą sakiewkę soli wodzowi zaprzyjaźnionej wioski Bamana. Wódz zaprosił ich do wioski na odpoczynek i nocleg. Kiedy papa jadł, zauważył przechodzącą nieopodal mamę. Niosła na głowie tacę z trzema słodkimi ziemniakami i tykwą koziego mleka. Papa wpatrywał się w jej płynny chód, prostą głowę, zadartą brodę, łuk pleców, długie, silne nogi i zafarbowane na czerwono pięty.

– Wydawała się poważna i szczerą, ale była kobietą, której nie można lekceważyć – wyjaśnił papa. – W jednej chwili pojąłem, że zostanie moją żoną.

Mama upiła herbaty.

– Byłam zajęta – roześmiała się – a twój ojciec stał na mojej drodze. Szłam pomóc kobiecie, która była gotowa, by urodzić dziecko.

Mama nie miała jeszcze dzieci, ale pomogła przyjść na świat wielu noworodkom. Papa odszukał ojca mamy i zaczął o nią rozpytywać. Dowiedział się, że pierwszy mąż mamy zniknął wiele księżyców wcześniej, niedługo po ich ślubie. Ludzie uznali, że nie żyje albo

że go porwano. Żona papy – której został przyrzeczony, jeszcze zanim oboje pojawili się na świecie – zmarła jakiś czas wcześniej na gorączkę.

Przyprowadzono mamę, żeby poznała papę. To przeszkodziło jej w złapaniu dziecka, czego nie omieszkała mu obwieścić. Papa uśmiechnął się, a kiedy mama odeszła do pracy, spojrzął na mięśnie z tyłu jej nóg. Trwały negocjacje dotyczące tego, jak wynagrodzić ojcu mamy utratę córki. Umówili się na sześć kóz, siedem sztabek żelaza, dziesięć miedzianych manili i czterysta nanizanych na sznur muszli porcelanek.

To były niespokojne czasy, jednak bez tego zamętu nie zezwolono by na małżeństwo pomiędzy członkami plemion Fulbe i Bamana. Ludzie znikali, a mieszkańcy wiosek tak bardzo martwili się, że padną ofiarą porywaczy, że pomiędzy sąsiadującymi plemionami zawierano nowe sojusze. Myśliwi i rybacy podróżowali w grupach. Mężczyźni całymi dniami wznosili mury wokół miast i wiosek.

Papa sprowadził mamę do swojej wioski Bayo. Robił biżuterię z delikatnych nitek złota i srebra i podróżował, by sprzedawać swoje towary na targowiskach i modlić się w meczetach. Czasem wracał z Koranem lub innymi pismami w języku arabskim. Twierdził, że nauka czytania i pisania nie jest zajęciem dla dziewczynki, ale ustąpił, gdy zobaczył, jak próbuję nakreślić arabskie słowa patykiem na piasku. W zaciszu domu, gdzie nie widział nas nikt poza matką, pokazywał mi więc, jak używać trzciny, farbowanej wody i pergaminu. Nauczyłam się pisać po arabsku takie zdania jak: *Allahu Akbar* (Bóg jest wielki) oraz *La ilaha illa Llahi* (Nie ma Boga poza Allahem).

Mama mówiła w ojczystym języku bamana, którego używała, ilekroć przebywałyśmy we dwie, przyswoiła jednak także sporo słów w fulfulde i nauczyła się modlitw od papy. Czasem obserwowałam mamę, a wokół gromadziła się grupka kobiet z wioski, które poszturchiwały się i drwiły, gdy mama pochylała się z naostrzonym patykiem i wydrapywała w ziemi słowa *Al-hamdu li-Llah* (Chwała Bogu), aby udowodnić im, że nauczyła się arabskich modlitw. Nieopodal kobiety młóciły proso, używając ciężkich drewnianych tłuczków, które były długie jak ludzkie nogi, gładkie jak skóra niemowlęcia i twarde jak skała. Kiedy kobiety uderzały tłuczkami o młódczerze pełne proso, miało się wrażenie, że to bębniarze wybijają rytm. Od czasu do czasu robiły przerwę, by napić się wody lub obejrzeć odciski na dłoniach, a mama powtarzała słowa, których nauczyła się od papy.

Kiedy pojawiłam się na świecie, mama cieszyła się w wiosce szacunkiem. Podobnie jak inne kobiety sadiła kukurydzę i proso i zbierała nasiona masłosza. Suszyła je w piecu opalonym drewnem i młóciła tłuczkiem, żeby wydobyć z nich masło shea. Zachowywała większość masła, a część odkładała, by użyć go przy przyjmowaniu dzieci. Wzywano ją zawsze, ilekroć jakaś kobieta była gotowa wydać dziecko na świat. Kiedyś pomogła nawet oślicy, która utknęła przy porodzie. Gdy była szczęśliwa i czuła się bezpieczna, miała

łagodny uśmiech – uśmiech, o którym myślę co dzień, odkąd zostałam wyrwana z jej ramion.

Kiedy nadszedł czas na moje narodziny, odmówiłam przyjścia na ten świat. Papa powiedział, że karałam matkę za to, że mnie poczęła. W końcu mama przywołała papę.

– Przemów do swojego dziecka – powiedziała – bo jestem już znużona.

Papa położył dłoń na brzuchu mamy. Przytknął wargi do jej pępka, wypukłego jak nierozwinięty tulipan.

– Synu – zaczął.

– Nie wiesz, czy to syn – powiedziała mama.

– Jeśli się nie pośpieszysz, nie będziemy mieć dziecka, a zostanie nam tylko koza – odparł papa. – Ale poprosiłaś mnie, bym przemówił, a ja myślę o synu. A więc, drogi synu, wyjdź stamtąd. Masz dobre życie, śpisz i tulisz się do matki. Ale jeśli nie wyjdiesz, otrzymasz chłostę.

Papa twierdzi, że odpowiedziałam mu z łona mamy.

– Nie jestem chłopcem – oznajmiłam podobno – a zanim wyjdę, musimy porozmawiać.

– Mów więc.

– Wyjdę, ale w zamian żądam gorących placków kukurydzianych, tykwy świeżego mleka i tego pysznego napoju, który niewierni czerpią z drzewa...

– Żadnego wina palmowego – przerwał mi ojciec. – Nie jest dla tego, kto boi się Allaha. Mogę ci przynieść placki, kiedy będziesz miała zęby, a mama dostarczy ci mleka. Jeśli będziesz grzeczna, któregoś dnia dam ci orzech koli. Allah nie ma nic przeciwko koli.

I natychmiast wyszłam, wyslizgując się z matki niczym wydra wyskakująca z wody.

Kiedy byłam niemowlęciem, mama nosiła mnie na plecach. Przekręcała mnie i przystawiała do piersi, ilekroć płakałam z głodu, i przekazywała innym mieszkańcom wioski, ale najczęściej spowita w czerwono-pomarańczową chustę podróżowałam nisko na jej plecach, kiedy szła na targowisko, młóciła proso na mąkę, czerpała wodę ze źródła i przyjmowała porody. Pamiętam, że rok czy dwa po tym, jak postawiłam pierwsze kroki, zastanawiałam się, dlaczego tylko mężczyźni siedzą, piją herbatę i rozmawiają i dlaczego kobiety są zawsze zajęte. Wytłumaczyłam sobie, że mężczyźni są słabi i potrzebują odpoczynku. Gdy tylko nauczyłam się chodzić, starałam się na coś przydać. Zbierałam owoce masłosza i wspinałam się na drzewa, by zerwać mango, awokado, pomarańcze i inne owoce. Wkładano mi w ramiona niemowlęta innych kobiet – miałam pilnować, by były zadowolone. Nie było nic złego w tym, że dziewczynka licząca zaledwie trzy czy cztery pory deszczowe trzymała niemowlę i opiekowała się nim, kiedy jej matka wykonywała inną pracę. Jednak pewnego razu Fanta, najmłodsza żona wodza wioski, spoliczkowała mnie, gdy ujrzała, jak próbuję przystawić sobie jej dziecko do piersi.

Kiedy miałam osiem pór deszczowych słyszałam już opowieści o mężczyznach z innych

wiosek, którzy zostali uprowadzeni przez obcych wojowników, a nawet sprzedani przez krajanów, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że i mnie mogłoby się to przytrafić. Przecież byłam urodzoną na wolności muzulmanką. Znałam niektóre arabskie modlitwy, a wysoko na każdym z policzków z dumą nosiłam dwa wyryte w skórze półksiężyce, które miały mnie upiększyć i oznaczały, że jestem wierzącym członkiem plemienia Fulbe. W naszej wiosce mieszkało trzech jeńców – wszyscy byli niewierzący – ale nawet dzieci wiedziały, że żaden muzulmanin nie może wziąć innego muzulmanina do niewoli. Wierzyłam, że będę bezpieczna.

To właśnie powiedział mój ojciec, kiedy opowiedziałam mu historie powtarzane przez dzieci w wiosce, że któreś nocy ktoś na pewno porwie mnie z łóżka. Niektórzy mówili, że będzie to ktoś od nas, z plemienia Fulbe. Inni ostrzegali, że zrobią to członkowie plemienia matki, Bamana. Jeszcze inni opowiadali o tajemniczych toubabach, białych ludziach, których nikt z nas nigdy nie widział.

– Nie słuchaj tych niemądrych dzieci – powiedział papa. – Trzymaj się mamy i mnie, nie oddalaj się sama, a nic ci się nie stanie.

Mama nie była tego taka pewna. Próbowwała powstrzymać papę przed długimi wyprawami, na które wyruszał, by sprzedać biżuterię i pomodlić się w meczecie. Raz albo dwa w nocy, kiedy miałam spać, słyszałam, jak się kłócili.

– Nie podróżuj tak daleko – mówiła mama. – To nie jest bezpieczne.

– Podróżujemy grupami, mamy strzały i kije – odpowiadał papa. – Pokaż mi mężczyznę, który chciałby spróbować swoich sił przeciwko mnie.

– Już to słyszałam – kwitowała mama.

Mama zabierała mnie ze sobą, kiedy kobiety były największe i wyglądały, jak gdyby miały w środku rozdęty balon. Patrzyłam, jak jej szybkie dłonie poluzniają pępowiny zaciśnięte na szyjach niemowląt. Patrzyłam, jak jedną ręką sięga do wnętrza kobiety, a drugą stanowczo naciska macicę od zewnątrz, by obrócić dziecko. Widziałam, jak naciera dłonie olejkami i rozmasowuje narządy intymne kobiet, żeby rozluźnić skórę i zapobiec rozerwaniu. Mama powiedziała, że zdarza się, iż organy niektórych kobiet zostają pocięte i niewłaściwie poskładane. Zapytałam, co ma na myśli. Wtedy rozbiła stare, bezwartościowe ceramiczne naczynie, rozsypała kawałki na ziemi, wyrzuciła jeden lub dwa i nakazała mi poskładać naczynie z powrotem. Udało mi się dopasować niektóre kawałki, ale były wyszczerbione, wystawały i już do siebie nie pasowały.

– O tak – powiedziała mama.

– Co się dzieje z taką kobietą?

– Może przeżyć. Może też stracić za dużo krwi i umrzeć. Albo może umrzeć, kiedy będzie próbowała wypchnąć swoje pierwsze dziecko.

Wraz z upływem czasu obserwowałam, jak mama pomaga kobietom rodzić dzieci.

Miała kilka sakiewek z koźlącej skóry. Nauczyłam się nazw wszystkich pokruszonych liści, suszonej kory i ziół. Grałam w grę polegającą na tym, że próbowałam odgadnąć, kiedy mama będzie zachęcać kobietę, by zniosła wstrząsy poruszające jej brzuchem. Po sposobie, w jaki kobieta się poruszała, oddychała i pachniała, a także po tym, jaką wydzielala woń i jak, znajdując się w szczytowym momencie konwulsji, wydawała z siebie gardłowe, niemal zwierzęce dźwięki, starałam się zgadnąć, kiedy zacznie przec. Mama przynosiła ze sobą pęcherz antylopy wypełniony napojem z gorzkiego owocu tamaryndowca i miodu. Kiedy kobieta krzyczała z pragnienia, nalewałam odrobinę płynu do tykwy i podawałam go jej, dumna, że mogę się na coś przydać i że można na mnie polegać.

Kiedy mama przyjmowała dziecko w innej wiosce, rodzina rodzącej dawała jej w prezencie mydło, oleje i mięso, a mama spożywała z nimi posiłek i chwaliła mnie, nazywając swoją małą pomocnicą. Pierwszy sznur życia przecięłam, kiedy miałam siedem deszczów. Szybko złapałam nóż i piłowałam, dopóki nie udało mi się przerwać odpornej pępowiny. Jedną porę deszczową później łapałam wyślizgujące się dzieci. Jeszcze później matka smarowała moją dłoń ciepłym masłem shea i uczyła mnie, w jaki sposób sięgać do wnętrza kobiety. Pokazywała, jak dotykać odpowiedniego miejsca, by stwierdzić, czy drzwi są otwarte wystarczająco szeroko. Stałam się w tym biegła, a mama cieszyła się, że jej towarzyszę, ponieważ miałam małe dłonie.

Mama zaczęła ze mną rozmawiać o tym, jak zmieni się moje ciało. Powiedziała, że wkrótce zacznę krwawić i że w tym czasie ona i kilka innych kobiet przeprowadzą na mnie mały rytuał. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o tym rytuale. Powiedziała, że wszystkie dziewczynki przez niego przechodzą, kiedy dorastają do tego, by zostać kobietami. Kiedy dopytywałam o szczegóły, mama odparła, że część mojej kobiecości zostanie odcięta, tak by uważano mnie za czystą i gotową do małżeństwa. Nie byłam tym specjalnie poruszona – poinformowałam ją, że nie spieszy mi się do zamążpójścia i że odmawiam poddania się temu zabiegowi. Mama orzekła, że nikt, kto nie jest w małżeństwie, nie może być traktowany poważnie i że w odpowiednim czasie ona i papa opowiedzą mi o swoich planach wobec mnie. Powiedziałam jej, że pamiętam, co mówiła o kobietach, którym rozdarło kobiece części, a potem niewłaściwie je poskładano. Mama nie traciła jednak nieprzejednanej pewności, która mnie zaniepokoiła.

– Czy tobie też to zrobili? – zapytałam.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Gdyby nie to, twój ojciec nigdy by się ze mną nie ożenił.

– Bolało?

– Bardziej niż poród, ale nie trwało zbyt długo. To tylko mała poprawka.

– Ale przecież nie zrobiłam nic złego, więc nie potrzebuję poprawki – wyjaśniłam.

Mama po prostu się zaśmiała, więc spróbowałam innego podejścia.

– Niektóre dziewczynki mówiły, że Salima z sąsiedniej wioski umarła w zeszłym roku, kiedy przeprowadzano na niej ten rytuał.

– Kto ci to powiedział?

– Nieważne – odparłam, przybierając jedną z jej min. – Czy to prawda?

– Kobieta, która pracowała nad Salimą, była głupia. Nie została wyszkolona i próbowała zrobić zbyt wiele. Kiedy nadejdzie właściwy czas, ja się tobą zajmę.

Porzuciłyśmy ten temat i już nigdy nie nadarzyła się okazja, by znów go poruszyć.

W naszej wiosce mieszkał silny, łagodny mężczyzna o imieniu Fomba. Był *woloso*, co w języku mojej matki oznacza jeńca w drugim pokoleniu. Od czasu narodzin należał do wodza naszej wioski. Fomba nie był urodzonym na wolności muzułmaninem i nigdy nie nauczył się dobrze odmawiać modlitw po arabsku, ale czasem klękał z papą i innymi wiernymi, zwracając twarz w stronę wschodzącego słońca.

Miał umięśnione ramiona i mocne nogi i był najlepszym strzelcem w wiosce. Kiedyś widziałam, jak cofa się o sześćdziesiąt kroków od siedzącej na drzewie jaszczurki, naciąga cięciwę i wypuszcza strzałę, która przebiła podbrzusze zwierzęcia, przyszpilając je do kory.

Wódz wioski pozwalał Fombie na codzienne polowania, ale zwalniał go z obowiązków siania i zbierania prosa, ponieważ ten nigdy nie nauczył się wszystkich zasad i technik. Nie wiedział też, jak pracować w grupie mężczyzn. Dzieci uwielbiały chodzić za Fombą po wsi i obserwować go. Trzymał głowę w dziwny sposób, przekrzywiając ją mocno na bok. Czasem wręczaliśmy mu tacę pełną pustych tykw, prosząc, by utrzymał ją na głowie, tylko dla radości, jaką dawało nam patrzenie, jak wszystko spada i rozbija się o ziemię. Fomba zawsze nam na to pozwalał.

Bezlitośnie mu dokuczaliśmy, ale on zdawał się nami nie przejmować. Uśmiechał się i znosił niegrzeczne drwiny, za które każdy inny dorosły w Bayo spuściłby nam lanie. Czasem chowaliśmy się za murem i szpiegowaliśmy go, gdy bawił się popiołem z ogniska. Było to jedno z jego ulubionych zajęć. W jakiś czas po tym, jak kobiety skończyły gotować, a my zjedliśmy kulki z prosa z sosem i wymyliśmy garnki mydłem z popiołu oraz liści bananowca, Fomba wtykał kij do ogniska i grzebał w popiele. Pewnego dnia do sieci rybackiej złapał pięć kurczaków, po czym kolejno je wyjął, ukreślił im szyje, oskubał, oczyścił i wypatroszył. Następnie nadział tuszki na ostry żelazny pręt i umieścił je nad ogniem, żeby się upiekły.

Fanta, najmłodsza żona wodza, opuściła grupę kobiet młócących proso, podbiegła do Fomby i zaczęła go bić po głowie.

Wydawało mi się dziwne, że mężczyzna nawet nie próbuje się bronić.

– Dzieci potrzebują mięsa – powiedział tylko.

Fanta prychnęła.

– Dopóki nie zaczną pracować, nie będą potrzebować mięsa – odparła. – Głupi *woloso*. Właśnie zmarnowałeś pięć kurczaków.

Obserwowany przez Fantę Fomba nie przestawał piec kurczaków, po czym zdjął je z ognia, pociął na kawałki i rozdał dzieciom. Ja wzięłam udko. Było bardzo gorące, więc chwyciłam liść bananowca, żeby nie poparzyć palców. Ciepły sok spłynął mi po brodzie, kiedy ssałam brązowe mięso i miażdżyłam kości, żeby wyssać z nich szpik. Słyszałam, że tej nocy Fanta poprosiła swojego męża, by zbił mężczyznę, ale on odmówił.

Któregoś dnia wysłano Fombę, żeby zabił kozę, która nagle zaczęła gryźć dzieci i zachowywać się tak, jakby straciła rozum. Fomba złapał zwierzę, zmusił je, żeby usiadło, objął je ramieniem i poklepał po głowie, by się uspokoiło. Następnie zza przepaski na biodra wyjął nóż i przeciął szyję kozy w miejscu, gdzie przebiegała gruba tętnica. Kozka leżała nieruchomo w ramionach Fomby i wpatrywała się w niego jak niemowlę, krwawiąc obficie, po czym, osłabiona, zdechła. Fomba jednak nie ustawił się odpowiednio i był cały splamiony krwią. Stał pośród wioskowych lepianek i wołał, by ktoś przyniósł mu gorącą wodę. Kobiety młóciły proso, a Fanta przykazała innym, by nie zwracali na niego uwagi. Jednak moja mama zawsze miała słabość do Fomby. Którejś nocy usłyszałam, jak mówi papie, że Fanta źle traktuje *woloso*. Nie zdziwiłam się więc, kiedy opuściła krąg młócących kobiet, złapała drogocenne metalowe wiadro, napełniła je kilkoma tykwami gorącej wody i zaniósła Fombie, który zataszczył je do ogrodzonego miejsca kąpielowego.

Myślałam, że wiadro jest magiczne. Pewnego dnia zakradłam się do okrągłego, krytego strzechą domu Fanty. Znalazłam wiadro i zaniósłam je do światła, nieopodal drzwi. Było zrobione z gładkiego, zaokrąglonego metalu i odbijało promienie słoneczne. Choć metal był cienki, nie miałam dość siły, by go wygiąć. Odwróciłam wiadro do góry dnem i zaczęłam uderzać w nie nasadami dłoni. Wiadro pochłonęło dźwięk. Metal nie miał charakteru, osobowości i nie dało się go używać do tworzenia muzyki. Nie przypominał naciągniętej na bęben koziej skóry. Mówiło się, że pochodzi od toubaba. Zastanawiałam się, kto wymyślił coś podobnego.

Spróbowałam je podnieść i zakołysać nim, trzymając je za metalową rączkę. W tej chwili nadeszła Fanta, wyrwała mi wiadro, zawiesiła je na wbitym w ścianę kołku i trzasnęła mnie w głowę.

– Weszłaś do mojego domu bez pozwolenia?

Łup.

– Nie, ja tylko...

– Nie możesz tego dotykać.

Łup.

– Nie możesz mnie bić. Powiem ojcu.

Łup.

– Będę cię biła, ile mi się podoba. A on zbije cię jeszcze raz, kiedy się dowie, że weszłaś do mojego domu.

Nad wargą Fanty, która sadziła proso w palącym słońcu, ukazały się kropelki potu. Wiedziałam, że ma do roboty ważniejsze rzeczy niż bicie mnie przez cały dzień. Schyliłam się i wybiegłam z jej domu, pewna, że nie będzie mnie gonić.

Papa był jednym z największych mieszkańców Bayo. Mówiło się, że potrafi pokonać każdego mężczyznę w wiosce. Któregoś dnia przycupnął nisko przy ziemi i przywołał mnie do siebie. Wdrapałam się po jego plecach aż na ramiona, gdzie zasiadłam, wyższa niż najwyższy mieszkaniec wioski. Zaplotłam nogi wokół jego szyi i włożyłam dłonie w jego dłonie. Ojciec wyszedł poza ogrodzony teren wioski, a ja jechałam wysoko na jego plecach.

– Skoro jesteś taki silny i potrafisz robić piękną biżuterię, dlaczego nie weźmiesz sobie drugiej żony? – zapytałam. – Nasz wódz ma cztery!

Zaśmiał się.

– Nie stać mnie na cztery żony, moja mała. Po cóż mi cztery żony, kiedy twoja mama sprawia mi wystarczająco dużo kłopotów? Koran mówi, że jeśli mężczyzna chce mieć więcej niż jedną żonę, musi je traktować równo. A czy mógłbym traktować kogokolwiek tak samo jak twoją matkę?

– Mama jest piękna – powiedziałam.

– Mama jest silna – odparł. – Piękno przychodzi i odchodzi. Siła zostaje na zawsze.

– A starzy ludzie?

– Oni są najsilniejsi, ponieważ żyją najdłużej z nas wszystkich i zyskali mądrość – wyjaśnił, postukując palcem o skroń.

Zatrzymaliśmy się na skraju lasu.

– Czy Aminata zapuszcza się sama tak daleko? – zapytał.

– Nigdy – odpowiedziałam.

– Gdzie znajduje się Joliba, rzeka z wieloma łodziami?

– Tam. – Wskazałam północ.

– Jak daleko?

– Cztery słońca pieszo.

– Chciałabyś kiedyś zobaczyć miasto Ségou?

– Ségou nad Jolibą? – zapytałam. – Tak, jeśli będę mogła tam dotrzeć na twoich ramionach.

– Zabiorę cię tam, kiedy będziesz dość duża, żeby wędrować przez cztery słońca.

– Będę podróżować i doskonalić swój umysł – odparłam.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – rzucił. – Twoim zadaniem jest zostać kobietą.

Papa pokazał mi już, jak wydrapać w ziemi kilka modlitw po arabsku. Byłam pewna, że kiedy nadejdzie czas, pokaże mi więcej.

– Wioska mamy znajduje się tam, w odległości pięciu słońc – powiedziałam, wskazując na wschód.

– Skoroś taka mądra, udawaj, że jestem ślepy i zaprowadź mnie do domu.

– Czy w ten sposób udoskonalamy mój umysł?

Zaśmiał się.

– Wskaż mi drogę do domu, Aminato.

– Idź tam, obok baobabu.

Dotarliśmy do drzewa.

– Skręć tutaj. Idź tą ścieżką. Uważaj. Wczoraj widziałyśmy tu z mamą trzy białe skorpiony.

– Grzeczna dziewczynka. A teraz?

– Na wprost. Wejdziemy do wioski. Mury są grube i tak wysokie jak dwóch mężczyzn. Tędy się wchodzi. Przywitaj się z wartownikiem.

Papa zaśmiał się i pozdrowił wartownika. Przeszliśmy obok prostokątnego domu wodza i zbliżyliśmy się do czterech okrągłych chat, po jednej dla każdej żony.

– Daj mi znać, kiedy będziemy mijać dom Fanty.

– Dlaczego, papo?

– Może powinniśmy tam zajrzeć i pobębnić na twoim ulubionym wiadrze.

Zaśmiałam się, trzepnęłam go żartobliwie w ramię i wyszeptalam, że nie lubię tej kobiety.

– Musisz się nauczyć szacunku – oznajmił papa.

– Ale ja jej nie szanuję – odpowiedziałam.

Papa zatrzymał się na chwilę i poklepał mnie po nodze.

– W takim razie musisz się nauczyć ukrywać jego brak.

Szedł dalej, aż w końcu zbliżyły się do nas dwie kobiety.

– Mamadu Diallo! – zawołała jedna do papy. – Nie tego powinienes uczyć córkę. Jej nogi służą do chodzenia.

W rzeczywistości mój ojciec miał na imię Muhammad. Ale ponieważ wszyscy muzułmanie w wiosce nosili to imię, papę nazywano Mamadu, żeby odróżnić go od innych.

– Aminata i ja właśnie sobie gawędziliśmy – odpowiedział papa kobietom. – Jej uszy muszą się znajdować blisko moich ust.

Kobieta się zaśmiała.

– Rozpieścisz ją.

– Nic podobnego. Uczę ją, jak ma mnie nosić, kiedy będę stary.

Kobiety pochyliły się, klepiąc się po udach ze śmiechu. Pożegnaliśmy się, a ja

prowadziłam papę wzdłuż ogrodzonego miejsca kąpielowego, obok ocienionej ławki służącej do pogawędek i okrągłych chat do przechowywania prosa i ryżu. Po chwili papa i ja spotkaliśmy Fantę, która ciągnęła Fombę za ucho.

– Dureń – syknęła.

– Witaj, czwarta żono wodza – powiedział papa.

– Witaj, Mamadu Diallo – przywitała go.

– Nie pozdrowisz dziś mojej małej córeczki? – zapytał.

Wykrzywiła się.

– Witaj, Aminato Diallo – mruknęła.

– Dlaczego dręczysz biednego Fombę? – spytał papa.

Fanta nie puszczała ucha mężczyzny.

– Zaprowadził osła do studni i zwierzę wpadło do środka – odparła. – Postaw tę rozpuszczoną dziewczynę na ziemi, Mamadu Diallo, i pomóż nam wydobyć osła ze studni, zanim zanieczyści wodę pitną.

– Jeśli puścisz Fombę, któremu ucho może się jeszcze przydać, pomogę ci z osłem.

Papa zdjął mnie z ramion. Fomba i ja patrzyliśmy, jak on i inni mężczyźni obwiązują jednego z chłopców z wioski pnączem i spuszczają go głęboko do studni, gdzie ten obwiał osła jeszcze większą ilością pnączy, po czym został wyciągnięty na powierzchnię. Później papa i pozostali mężczyźni wydobyli ze studni osła. Zwierzę zdawało się nieporuszone, a z pewnością mniej obolałe niż ucho Fomby. Chciałam, by papa nauczył mnie obwiązywać brzuch osła pnączami. Marzyłam, że nauczy mnie wszystkiego, co potrafi. Nikt by nie ucierpiał, gdybym nauczyła się czytać i pisać. Być może któregoś dnia stałabym się jedyną kobietą i jedyną osobą w całej wiosce, która potrafi czytać Koran i pisać pięknym, zamaszystym arabskim pismem.

Któregoś dnia, kiedy wraz z mamą młóciłyśmy proso, zawołano nas do porodu w miejscowości Kinta, cztery wioski w stronę zachodzącego słońca. Mężczyźni plewili pola prosa, poproszono jednak Fombę, by zabrał swój łuk oraz kołczan z zatrutymi strzałami i chronił nas w czasie drogi. Kiedy dotarliśmy do Kinty, Fombę zaprowadzono do miejsca, gdzie mógł się napić herbaty, a my zabrałyśmy się do pracy. Poród ciągnął się od rana do wieczora, a kiedy mama w końcu złapała dziecko, spowiła je i przystawiła do sutka matki, poczułyśmy ogromne zmęczenie w kościach. Zjadłyśmy placki z prosa w ostrym sosie gumbo, który uwielbiałam. Zanim opuściliśmy wioskę, tamtejsze kobiety ostrzegły nas, byśmy nie wkraczały na główną drogę biegnącą od wioski, ponieważ ostatnio widziano tam obcych mężczyzn, których nie znał nikt w okolicy. Mieszkańcy spytali, czy nie chcemy u nich przenocować. Mama odmówiła, ponieważ w Bayo lada dzień miała rodzić inna kobieta. Kiedy szykowałyśmy się do opuszczenia wioski, otrzymałyśmy bukłak z wodą i trzy związane za nogi żywe kurczaki, a także wyjątkowy

prezent dziękczynny – metalowe wiadro, podobne do dużego kubła, którego użył Fomba w dniu, kiedy zabił kozę.

Fomba nie mógł niczego nieść na głowie, ponieważ jego szyja była zawsze pochylona w lewo, więc mama przykazała mu, by niósł wiadro, w którym znajdowały się upchnięte kurczaki. Fomba wydawał się dumny ze swojego nowego nabytku, jednak mama ostrzegła go, że kiedy wrócimy do wioski, będzie musiał go oddać. Radośnie skinął głową i ruszył w drogę, trzymając się przed nami.

– Czy kiedy dotrzemy do domu, będę mogła sobie wziąć to wiadro? – zapytałam.

– Wiadro należy do wioski. Oddamy je wodzowi.

– Ale wtedy będzie je miała Fanta.

Mama wstrzymała oddech. Widziałam, że także nie lubi Fanty, ale uważała na to, co mówi.

Kiedy szliśmy, drogę oświetlał nam błyszczący na nocnym niebie księżyc w pełni. Byliśmy już niemal w domu, gdy przed nami przebiegły trzy zajęce jeden za drugim, po czym zniknęły w lesie. Fomba odstawił wiadro, uniósł patkę przy przepasce na biodra i wyjął z niej kamień, po czym zgiął ramię. Zdawał się wiedzieć, że zajęce przemkną z powrotem po drodze. Kiedy zwierzęta znów się pojawiły, Fomba trafił najwolniejszego z nich w głowę. Zrobił krok, by go podnieść, ale mama go powstrzymała. Stworzenie było zaokrąglone w pasie. Mama przejechała palcem po jego ciałku. Zwierzę było w ciąży. Mama powiedziała Fombie, że z zająca powstanie dobry gulasz, ale poprosiła, by następnym razem, kiedy zobaczy zające przebiegające przez drogę, poprawił cel i wymierzył w najszybszego z nich, a nie w samiczkę dźwigającą w brzuchu dzieci.

Fomba skinął głową i przewiesił nabrzmiałą zdobycz przez ramię. Wstał i znów ruszył przed siebie, ale nagle jeszcze mocniej przechylił szyję i zaczął nasłuchiwać.

W krzakach coś zaszeleściło. Rozejrzałam się, szukając kolejnych zajęcy, ale ich nie dojrzałam. Przyspieszyliśmy kroku. Mama złapała mnie za rękę.

– Jeśli spotkamy obcych, Aminato... – zaczęła, ale nie dokończyła.

Z kępy drzew wyszło czterech mężczyzn o szerokich ramionach i silnych nogach.

W świetle księżycy widziałam, że ich twarze były takie jak moja, nie miały jednak blizn. Kimkolwiek byli, pochodzili z innej wioski. Nieśli liny, skórzane paski i noże oraz dziwny długi kawałek drewna z dziurą na końcu. Przez chwilę wpatrywali się w nas, a my patrzyliśmy na nich. Usłyszałam, jak mama przełyka strach. Zapragnęłam rzucić się do ucieczki. Przecież żaden z tych grubych, niezdarnych, zasapanych mężczyzn nie złapałby mnie, gdybym biegła leśnymi ścieżkami jak antylopa, skręcając, pędząc i klucząc między drzewami. Ale mama niosła na głowie bukłaki wody, a ja tacę z ananasami. Kiedy się zawahałam, zastanawiając się, co z nimi począć, zmartwiona, że owoce spadną na ziemię, jeśli zbyt niezdarnie rzucę się do ucieczki, mężczyźni otoczyli nas kręgiem.

Fomba poruszył się jako pierwszy. Chwycił mężczyznę z dziwnym kijem, zacisnął ramię wokół jego szyi i uderzył go w głowę wiadrem z kurczakami. Mężczyzna się potknął. Jedną ręką Fomba złapał go za kark i z całej siły skręcił go w prawo. Zanim mężczyzna upadł, z jego gardła wydobył się charkot. Fomba odwrócił się, żeby mnie dosięgnąć, lecz tuż za nim pojawił się inny mężczyzna.

– Fomba! – zawołałam. – Uważaj!

Ale nim zdążył się obrócić, otrzymał cios pałką w głowę.

Poleciał na ziemię. Tuszka zająca zsunęła mu się z ramienia. Nie sądziłam, że tak potężny i silny człowiek potrafi tak szybko upaść. Napastnik skrępował dłonie Fomby, obwiązał jego szyję zasupłaną liną i podniósł zająca. Fomba nawet się nie poruszył. Mama krzyknęła, żebym rzuciła owoce i uciekała. Nie potrafiłam się jednak ruszyć. Nie mogłam jej zostawić. Zwróciła się do mężczyzn i zawołała jak wojownik:

– Niech spadnie na was klątwa zmarłych! Pozwólcie nam przejść!

Mężczyźni mówili w obcym języku. Wydawało mi się, że rozpoznaję słowa: „dziewczyna”, „młoda” i „niezbyt młoda”, ale nie miałam pewności.

Mama przeszła na fulfulde.

– Uciekaj, córko – wyszeptała, ale ja nie mogłam tego zrobić. Po prostu nie mogłam.

Mama trzymała sakiewki porodowe i wciąż miała bukłaki wody na głowie. Niosła zbyt wiele, żeby uciekać, więc zostałam przy niej. Słyszałam jej oddech. Wiedziałam, co myśli. Może zacznie krzyczeć, a ja do niej dołączę. Nasza wioska znajdowała się dość blisko. Może ktoś by nas usłyszał. Dwóch mężczyzn chwyciło mamę i strąciło bukłaki z jej głowy. Inny złapał mnie za ramię. Miotalam się, kopałam i ugryzłam go w rękę. Puścił mnie. Był teraz wściekły i głośno sapał. Kiedy się na mnie rzucił, kopnęłam go z całej siły i trafiłam w miejsce, gdzie jego nogi się łączyły. Jęknął i się zachwiał, ale wiedziałam, że nie skrzywdziłam go wystarczająco, by nie mógł wstać. Odwróciłam się, żeby pobiec do mamy, ale inny mężczyzna podstawił mi nogę i przyszpilił mnie do ziemi. Wyplułam piach i próbowałam się uwolnić, ale ten, kto mnie trzymał, był silniejszy.

– Robicie błąd – powiedziałam. – Jestem urodzoną na wolności muzulmanką. Puśćcie mnie! – dodałam w fulfulde, a potem powtórzyłam to samo w języku bamana, moje słowa nie odniosły jednak żadnego skutku.

Zaczęłam więc krzyczeć. Gdyby któryś z mieszkańców wioski akurat nie spał, może by mnie usłyszał. Ktoś związał mi nadgarstki na plecach i założył skórzaną pętlę na szyję, a następnie zacisnął ją, niemal uniemożliwiając mi oddychanie. Nie mogłam krzyczeć i ledwie potrafiłam zaczerpnąć oddech. Dusząc się, gwałtownie zamachałam do mężczyzn. Poluzowali pętlę na tyle, bym mogła oddychać. Żyłam.

– *Allahu Akbar* – powiedziałam. Miałam nadzieję, że któryś z napastników usłyszy słowa po arabsku i zda sobie sprawę, że popełnia błąd.

Nikt jednak mnie nie słyszał. Albo nikogo to nie obchodziło.

Leżąc na ziemi, wykręcałam szyję, żeby spojrzeć do góry. Mama wyrwała się jednemu mężczyźnie, uderzyła go w twarz i ugryzła w ramię, po czym chwyciła grubą gałąź i huknęła go w głowę. Zatrzymał się, wstrząśnięty. Mama zaatakowała mężczyznę, który zaciskał pasek na mojej szyi. Pociągnęłam za pętlę, usiłując dosięgnąć matki, choć czułam, że się duszę. Ale inny obcy przechwycił mamę, uniósł wysoko długą, grubą pałkę, zamachnął się i uderzył ją w tył głowy. Mama upadła. W świetle księżycy widziałam, że jej wzburzona, ciemna krew rozlewa się wartkim strumieniem. Próbowałam się do niej doczołgać. Wiedziałam, co robić, kiedy leje się krew. Trzeba było tylko przyłożyć dłoń do rany i mocno przycisnąć. Ale nie mogłam się czołgać, wykręcać ani poruszyć nawet o cal. Porywacze trzymali mnie mocno, a obroża na mojej szyi zaciskała się coraz silniej. Zmusili Fombę i mnie, żebyśmy wstali. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy ich posłuchać.

Szarpałam za pętlę, by się odwrócić i spojrzeć przez ramię. Zobaczyłam, że mama wciąż leży na ziemi i się nie porusza. Ktoś uderzył mnie w twarz, obrócił do przodu i pchnął w plecy. Popychano mnie tyle razy, że musiałam zacząć poruszać stopami.

Moja mama nigdy nie leżała bez ruchu, chyba że spała. To musiał być sen. Pragnęłam się obudzić we własnym łóżku, zjeść z mamą placek z prosa, podziwiać, jak zanurza tykwę w glinianym słoju i przynosi mi wodę, nie roniąc nawet kropli. Wkrótce z pewnością będę wolna od tych złych duchów. Wkrótce odnajdę papę i razem pobiegniemy do mamy, obudzimy ją, zanim będzie za późno, i położymy w chłodnym cieniu naszego domu.

Nie budziłam się jednak.

Z moich płuc wydarł się długi szloch. Mężczyźni wepchnęli mi do ust kawałek szmaty. Ilekroć zwalniałam kroku, popychali mnie. Szliśmy tak szybko, że nie mogłam złapać tchu. Wyjęli knebel, ale wściekłymi gestami pokazali, że włożą mi go z powrotem, jeśli wydam jakikolwiek dźwięk. Kazali mi iść przed siebie, coraz dalej od mamy. W powietrzu wisiał dym. Krążyliśmy wokół naszej wioski. Bębny Bayo ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Wciąż słyszałam trzaski, które brzmiały tak, jakby od drzew odłamywały się gałęzie. Bębnienie ustało.

Przez prześwit między drzewami dostrzegłam ogień. Bayo płonęło. Dołączyło do nas pięciu obcych mężczyzn, którzy prowadzili w naszą stronę trzech więźniów – także skępowanych. W świetle księżycy rozpoznałam szeroki krok mojego ojca.

– *Fa!* – zawołałam.

– Aminato! – krzyknął.

– Zabili *ba!*

Mężczyzna trzymający pasek uderzył mnie w twarz.

– Jesteś wart mniej niż gówno jeżozwierza – wysyczałam do oprawcy, ale on nie zrozumiał.

Patrzyłam na ojca. Pozostali więźniowie szarpali za liny, ale mój ojciec szedł wyprostowany i pocierał nadgarstki, aż udało mu się je uwolnić. Wetknął palce w oczy swojego porywacza, wyciągnął mu z dłoni nóż i przeciął sobie pętlę na szyi. Kiedy inny mężczyzna ruszył w jego stronę, papa zanurzył ostrze głęboko w jego piersi. Miałam wrażenie, że porywacz wstrzymał oddech. Stał tak długo, że mój ojciec zdołał wyciągnąć nóż, po czym mężczyzna upadł na ziemię bez życia.

Chciałam, żeby *fa* uciekł i odszukał *ba* na ścieżce biegnącej z Bayo. Jeśli wciąż tliło się w niej życie, chciałam, by ją uratował. Kiedy porywacze zaczęli krzyczeć, papa rzucił się w moją stronę. Zaatakował nożem mężczyznę, który trzymał moją pętlę, wbijając ostrze głęboko w jego ramię. Ten osunął się z jękiem na ziemię. Dwaj inni doskoczyli do ojca, ale ich odepchnął. Dźgnął najpierw jednego z nich, a potem drugiego i krążył wokół trzech rannych mężczyzn. Wtedy jeden z porywaczy uniósł niezwykle, długi, prostokątny kij. Zacisnął usta i wycelował nim w ojca z odległości pięciu kroków. Papa zatrzymał się i uniósł dłoń. Z kija wystrzelił ogień i powalił papę na plecy. Papa odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale jego oczy były puste. Życie uciekło z jego piersi, zalało mu żebra i spłynęło do wyczekującej ziemi, która wchłonęła wszystko, co się z niego wydostało.

Dołączyło do nas dwóch nowych więźniów. Nie rozpoznawałam ich. Może pochodzili z innych wiosek. Spojrzałam na nich błagalnie. Ich powieki opadły. Fomba opuścił głowę. Ci więźniowie nie mogli nic dla mnie zrobić. Wszyscy mieli związane ręce, a na ich karki nałożono jarzmo. Stawianie oporu było jednoznaczne z samobójstwem, ale kto poza ojcem i matką miał o mnie teraz walczyć, i to do śmierci?

Moje stopy przylgnęły do ziemi. Uda wydawały się zrobione z drewna. Żołądek podskoczył mi do gardła. Ledwo oddychałam. *Fa* był najsilniejszym mężczyzną w Bayo. Potrafił mnie unieść jedną ręką, a kiedy kuł żelazo młotem, iskry wlatywały do nieba jak gwiazdy. Czy to możliwe? Modliłam się, by to był tylko sen, ale on nie miał końca.

Zastanawiałam się, co kazaliby mi zrobić *ba* i *fa*. „Idź naprzód!” Tylko tyle potrafiłam sobie wyobrazić. „Nie upadaj”. Pomyślałam o mamie chodzącej po Bayo z podszwami stóp ufarbowanymi na czerwono. Próbowałam zatrzymać ich głosy w głowie. Próbowałam wspominać noce, kiedy piliśmy miętową herbatę, i to, jak matka śmiała się, gdy ojciec opowiadał melodyjne historie. Ale nie miałam czym nakarmić tych myśli. Raz po raz robiły się wygłodniałe, płaskie i wyciekały z umysłu, zastępowane wizjami nieruchomej matki w lesie i ojca, którego wargi drżały, gdy eksplodowała mu pierś.

Szłam, ponieważ mi rozkazano. Szłam, ponieważ była to jedyna rzecz, jaką mogłam robić. Idąc tej nocy, raz po raz słyszałam ostatnie słowo wypowiedziane przez ojca. Aminata. Aminata. Aminata.

Trzy obroty księżycy

Bałam się, że porywacze nas pobiją, ugotują i zjedzą, oni jednak zaczęli od upokarzania – zdarli nam ubrania z grzbietów. Nie mieliśmy chust ani tkanin, którymi moglibyśmy się przepasać, niczego, czym moglibyśmy zakryć części intymne. Nie mieliśmy nawet sandałów. Mieliśmy tyle samo ubrań co kozy, a nagość czyniła z nas więźniów niezależnie od tego, dokąd nas prowadzono. Naszych porywaczy cechowało coś jeszcze – coś, czego nie mieli, a mianowicie brak światła w oczach. Nigdy dotąd nie spotkałam osoby, która postępowałaby tak potwornie i spokojnie spoglądała mi przy tym w twarz. Kiedy patrzy się drugiemu człowiekowi w oczy, robi się dwie rzeczy: uznaje jego człowieczeństwo i potwierdza własne. Gdy opuściłam dom i rozpoczęłam długą wędrówkę, odkryłam, że na świecie istnieją ludzie, którzy mnie nie znają, nie kochają i nie dbają o to, czy będę żyć, czy umrę.

Z Bayo i sąsiednich wiosek porwano ośmioro z nas. W ciemności rozpoznawałam jedynie Fombę. Zataczałam się do przodu i przez wiele godzin nie poczułam, że jarzmo wrzyna mi się w skórę karku, raniąc ją do żywego. Nie mogłam przestać myśleć o rodzicach ani o tym, co ich spotkało. W jednej chwili nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez nich, w drugiej uświadamiałam sobie, że ja wciąż żyję, a ich już nie ma. „Obudź się teraz – powtarzałam sobie. – Obudź się, napij się wody z tykwy stojącej obok pośłania i idź się przytulić do mamy. Ten sen jest jak zabrudzone ubranie. Zdejmij je i idź do mamy”. Nieznośny koszmar nie chciał się jednak skończyć.

Szliśmy przez całą noc, a do naszej karawany więźniów dołączano kolejnych. W świetle poranka zobaczyłam Fombę idącego z opuszczoną głową. Wtedy też ujrzałam Fantę. Wodza nigdzie nie było. Kobięcie także założono na szyję jarzmo. Rozglądała się w lewo, w prawo, patrzyła w górę i w dół, zerknęła na drzewa i przyglądała się naszym porywaczom. Chciałam ją zawołać, ale w jej ustach tkwił gałgan obwiązany liną, która przytrzymała go w miejscu. Próbowałam złowić jej wzrok, lecz nie odwzajemniała mojego spojrzenia. Przeniosłam oczy na jej nagi brzuch. Żona wodza nosiła w sobie dziecko. Domyśliłam się, że to już piąty księżyc.

Gdy tak maszerowaliśmy, za nami wschodziło słońce. Dotarliśmy do wielkiej i ruchliwej rzeki. W końcu nas rozwiązano, zdjęto nam jarzma i pozwolono odpocząć na brzegu. Pilnowało nas czterech mężczyzn z ognistymi kijami i pałkami.

Być może ta rzeka była tą samą Jolibą, która podobno przepływa obok Ségou. Tak jak opisywał mój ojciec, była szersza niż rzut kamieniem. Mężczyźni na mnóstwie łodzi przewozili ludzi i towary. Nasi porywacze negocjowali z głównym przewoźnikiem, po

czym związali nam nadgarstki i wrzucili na łodzie. W mojej znajdowało się sześciu wiosłarzy. Ich ramiona kołysały się miarowo, a ja spoglądałam na inne canoe ślizgające się po wodzie. W jednym z nich zobaczyłam konia. Zwierzę było królewskie i całe czarne, jeśli nie liczyć białego kółeczka między oczami. Mężczyźni wiosłowali, a koń stał zupełnie bez ruchu.

Po drugiej stronie rzeki rozwiązano nas i wypuszczono. W powietrzu wisiał bagienny fetor. Komary ucztowały na moich rękach i nogach, kąsały mnie nawet w policzki. Nasi porywacze zapłacili wiosłarzom muszlami porcelanek. Wyczułam porcelankę w piasku tuż pod stopami i podniosłam ją, zanim znów nałożono mi jarzmo. Była biała i twarda, a fałdy na jej zawiniętych wargach przypominały maleńkie ząbki. Porcelanka była nie większa niż paznokieć mojego kciuka. Ta piękna, idealna muszla zdawała się niezniszczalna. Przepłukałam ją w wodzie i położyłam sobie na języku. Poczułam się tak, jakbym w ustach miała przyjaciela, który mnie pociesza. Zassałam ją z całej siły i zaczęłam się zastanawiać, ile porcelanek jestem warta.

Uformowano z nas karawanę więźniów połączonych za szyje w dwu- lub trzyosobowe grupy i kazano nam maszerować. Obok nas szedł chłopiec, na oko zaledwie cztery deszcze starszy ode mnie, i pilnował niewolników. Pozwalał nam pić wodę z bukłaków, podawał kawałki placków z prosa lub kukurydzy, owoców mango lub pomarańczy. Spoglądał na mnie, ilekroć starsi porywacze odwracali wzrok. Mówił w języku bamana, ale go ignorowałam. Kościsty, zdawał się zbudowany tylko z ramion, łokci, kolan i kostek. Szedł obok dziwnym, nieskoordynowanym krokiem. Z twarzy nie schodził mu uśmiech, przez co nie miałam do niego krztyny zaufania. Nie było powodu, żeby się uśmiechać, to nie był czas na zawieranie przyjaźni. Nikt nie uśmiecha się do swoich wrogów. Powtarzałam to w myślach, lecz w pewnej chwili zwątpiłam. Przypomniałam sobie, jak ojciec powiedział mi, że mądry człowiek zna swoich wrogów i trzyma ich blisko. Może ten chłopiec, który na mnie spoglądał – wielkooki i niewinny – był wrogiem. A może był tylko głupim, uśmiechniętym, ciekawskim dzieciakiem, który zabawiał się, idąc obok kordonu niewolników, i nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Nie podobał mi się jego wzrok na moim nagim ciele. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie zauważył, patrzył na mnie lub poznał w takiej sytuacji. Na pewno uda mi się uwolnić. To się na pewno skończy. Na pewno znajdę sposób, żeby uciec do lasu i odnaleźć drogę do domu. Ale w takich chwilach uświadamiałam sobie, że bez ubrania nie mogę podbiec do kogokolwiek, kto mnie zna. Byłam zbyt duża, żeby mnie taką oglądano. Moje piersi miały niedługo wypuścić paki. Mama mówiła, że wkrótce stanę się kobietą. Nie chciałam, żeby na mnie patrzono. Niemal traciłam rozum, zastanawiając się, jak przezwyciężyć własną nagość. Dokąd mógł uciec nagi człowiek?

Pilnowało nas teraz około dziesięciu porywaczy, wszyscy uzbrojeni w włócznie, pałki

i ogniste kije. Wydawało mi się, że język, którym mówią, przypomina bamana. Wiedziałałam, że nie są muzułmanami, bo nigdy nie zatrzymywali się na modlitwę. W nocy zgromadzono nas pod baobabem. Nasi porywacze zapłacili pięciu mężczyznom z pobliskiej wioski, żeby nas pilnowali. Choć wciąż byliśmy połączeni jarzmem, kazano nam nazbierać drewna, rozpalić ogień i ugotować ziemniaki w wodzie, nie dając nawet pieprzu do przyprawienia posiłku. Bulwy były wodniste i pozbawione smaku, nie mogłam ich tknąć. Chłopiec, który mnie obserwował, przyniósł mi banana. Wzięłam go i zjadłam, ale wciąż nie chciałam z nim rozmawiać.

– Ty! – zawołała Fanta. – Dziecko z Bayo! Córko Mamadu, jubilera! Daj mi tego banana! Rzuć mi go!

Dokończyłam banana i wyrzuciłam skórkę.

– Miałam tylko jednego – powiedziałam.

– Porozmawiaj z chłopcem, który ci go dał. Widzę, że na ciebie patrzy.

– On nie ma więcej jedzenia.

– Zuchwałe dzieci należy bić. Zawsze powtarzałam Mamadu Diallo, że postępuje z tobą zbyt łagodnie.

Poczułam rosnący gniew. Desperacko pragnęłam uciec od jej drwin.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziałam.

– I twojej bamańskiej matce – szydziła.

– Powiedziałam, żebyś dała mi spokój.

– Zabierała cię, żebyś patrzyła na te wszystkie nowo narodzone dzieci. To śmieszne.

– Nie tylko patrzyłam. Łapałam je. Jak myślisz, kto złapie twoje dziecko?

Fanta otworzyła usta. Proszę bardzo. Byłyśmy kwita. Po chwili jednak zawstydziałam się tego, co powiedziałam. Ojciec przykazał, bym ukrywała brak szacunku. A matka nigdy nie użyłaby ciąży jakiejś kobiety przeciwko niej. Fanta zamilkła. Wyobrażałam sobie, jaki ogarnie ją wstyd, gdy będzie musiała wypchnąć dziecko obserwowana przez naszych porywaczy.

Związano nam nogi powyżej kostek, parami, i zdjęto jarzma z karków, żebyśmy mogli się położyć pod baobabem. Byłam przywiązana do Fomby, który pozwolił mi się ułożyć obok Fanty. Dotknęłam jej brzucha. Spojrzała na mnie ze złością, ale złagodniała, kiedy poczuła moją spokojną, nieruchomą dłoń na swoim pępku.

– Zbliź się, dziecko – powiedziała. – Czuję, jak drżysz. Byłam szorstka, bo jestem głodna i zmęczona, ale wcale cię nie zbiję.

Przytuliłam się do niej i zasnęłam.

Ktoś pocierał mnie w ramię. Na początku śniło mi się, że to Fanta rozkazuje mi przynieść sobie banana. Ale kiedy otworzyłam oczy i już nie śniłam, okazało się, że to Fomba, który oznajmił, że głośno płakałam przez sen.

Wyjaśnił, że moje jęki wystraszyły strażników, którzy zaczęli grozić, że mnie zbiją, jeśli się nie uspokoję. Powiedział też, że moje nogi bardzo drżą. Położył się obok mnie, poklepał mnie po ramieniu i zapewnił, że nie pozwoli im mnie zbić, ale muszę spać odpowiednio.

Mężczyźni, którzy mnie porwali, zabrali zająca Fomby, obdarli go ze skóry i wypatroszyli, a następnie upiekli nad ogniem. Ani odrobina zajęczego mięsa – podobnie jak kurczaki, które porywacze zabili i ugotowali – nie trafiła do moich ust. Leżałam na plecach i wpatrywałam się w gwiazdy. W szczęśliwszych czasach uwielbiałam obserwować je wraz z rodzicami. Na niebie dostrzegłam tykwę ze lśniącą rączką i zastanawiałam się, czy ktokolwiek w Bayo także na nią patrzy.

Fomba znów zapadł w sen. Starając się nie ciągnąć go za stopy, wstałam, żeby się pomodlić. Nie miałam czym zasłonić włosów, ale to mnie nie zniechęciło. Spuściłam głowę i oparłam kciuki za uszami.

– *Allahu Akbar* – powiedziałam. Lewą dłoń położyłam na prawej i zaczęłam mówić: – *Subhanaka Allahumma wa bi-hamdika* – ale nie było mi dane dokończyć.

Nadszedł porywacz, uderzył mnie kijem i kazał się położyć na ziemi. Po jakimś czasie zasnęłam.

Następnego ranka, pomiędzy świtem a wschodem słońca, znów próbowałam się modlić, ale inny porywacz uderzył mnie prętem. Następnej nocy, po kolejnych batach, zaniechałam modlitw. Straciłam matkę. Ojca. Całą wspólnotę. Straciłam szansę, by opanować wszystkie modlitwy Koranu. Straciłam sekretną szansę na to, że nauczę się czytać. Próbowałam odmawiać modlitwy w głowie – *Allahu Akbar. Subhanaka Allahumma wa bi-hamdika. A'uzu bi-Llahi min asz-szajtan ar-radżim* – ale to nie było to samo. Czułam się gorsza niż jeniec. Stawałam się niewierna. Bez modlitwy nie mogłam poprawnie śławić Allaha.

Wędrowaliśmy przez wiele słońc, a nasza grupa stopniowo stawała się coraz liczniejsza. Kuśtykaliśmy naprzód, aż staliśmy się całym miastem porwanych ludów. Mijaliśmy kolejne wioski i miasta. Za każdym razem ludzie tłoczyli się, żeby się gapić. Z początku wierzyłam, że mieszkańcy wiosek zbierają się, by nas uratować. Byłam pewna, że sprzeciwią się tym odrażającym postępkom. Oni jednak tylko patrzyli, a czasem przynosili porywaczom pieczone mięso w zamian za muszle porcelanek i bryłki soli.

W niektóre noce kazano nam się kłaść na polach, a nasi porywacze płacili lokalnym kobietom, by dla nas gotowały – słodkie ziemniaki, placki z prosa i kukurydzy, czasem z bulgoczącym doprawionym sosem. Jedliśmy w małych grupach, przykucając wokół dużej tykwy i wyławiając gorące jedzenie zakrzywionymi palcami prawych dłoni. W tym czasie nasi porywacze negocjowali z wodzami wiosek. Każdy z nich domagał się opłaty za przejście przez jego teren. Dzień po dniu nasi oprawcy wymieniali się z nimi towarami

i kłócili do późna w nocy. Próbowałam zrozumieć, co mówią. Miałam nadzieję, że dowiem się, dokąd i po co wędrujemy.

Chłopiec, który pracował dla naszych porywaczy, wielokrotnie przychodził, aby poczęstować mnie wodą i jedzeniem. Obserwowałam go i słuchałam, jak próbuje przekonać mężczyznę dowodzącego porywaczami, że dzieci powinno się wypuścić z karawany więźniów i pozwolić, by szły obok spętanych dorosłych. Po kilku dniach zdjęto mi z szyi skórzany pasek. Podziękowałam chłopcu skinieniem głowy.

Wśród więźniów była mała dziewczynka, która szła obok skrepowanego jarzmem ojca, przez większość dnia trzymając go za rękę. Była bardzo młoda, miała zaledwie cztery lub pięć deszczów. Czasem prosiła, by ją niósł. Któregoś razu próbowała zwrócić moją uwagę, bawiąc się w a kuku i chowając twarz w dłoniach. Odwróciłam się. Nie mogłam znieść tego, że są razem, i starałam się z całych sił, by nie słyszeć ich rozmów. Wszystko, co robili, przywodziło mi na myśl dom.

Chłopiec, który podróżował wraz z karawaną, często zrównywał ze mną krok. Miał na imię Chekura. Był chudy jak źdźbło trawy i niezdarny jak trzynogie kozłę. Na jego prawym policzku widniała wyryta gwiazda.

– Twoje księżycy są piękne – powiedział.

– Pochodzisz z wioski Kinta – odparłam.

– Skąd wiesz?

Wskazałam na jego policzek.

– Widziałam już takie blizny.

– Byłaś w Kincie? – zapytał.

– Tak. W jakim jesteś wieku?

– Mam czternaście deszczów.

– Jestem pewna, że moja mama cię złapała – rzuciłam.

– Że złapała mnie na czym?

– Że złapała cię przy porodzie, głuptasie. Jest akuszerką. Zawsze jej pomagam.

– Kłamiesz.

Nie dowierzał, dopóki nie wymieniłam imion kilku kobiet z Kinty, które niedawno urodziły dzieci.

– Tak – powiedziałam. – Moja mama na pewno cię złapała. Jak ma na imię twoja mama?

– Moja mama nie żyje – odparł bez emocji. Przez chwilę siedł w milczeniu, ale trzymał się blisko mnie.

– Jak mogliście nam to zrobić? – wyszeptałam w końcu. Nie odpowiedział, więc mówiłam dalej: – Mama i ja przychodziłyśmy do waszej wioski. Rozpoznawałam ją dzięki dwóm okrągłym chatom, wysokim ścianom z gliny, śmiesznemu osiołkowi z naderwanym

uchem i drugiemu z żółtymi łatami.

– To osioł mojego wuja – wyjaśnił.

– A więc nie macie honoru?

Chekura oznajmił, że kiedy umarli jego rodzice, wuj go sprzedał. Już od trzech deszczów porywacze zmuszali go, by towarzyszył więźniom w drodze do wielkiej wody. To oznaczało, że także zmierzamy w tamtym kierunku. Przychodziły mi do głowy tylko trzy powody, dla których mogliśmy się tam kierować: żeby się napić, żeby łowić ryby albo żeby dostać się na drugi brzeg. To musiał być trzeci powód. Chciałam zapytać o to Chekure, ale chłopak jeszcze nie skończył opowiadać o sobie. Podobno porywacze powiedzieli mu, że być może niedługo go wypuszczą, ale ostrzegli także, że jeżeli nie będzie słuchał rozkazów, odeślą go wraz z innymi więźniami. Chekura nosił na twarzy wymuszony uśmiech. Uśmiechał się tak często, że wydawało mi się, iż w kącikach jego ust powstaną trwałe zmarszczki. Uśmiech nie zniknął mu z twarzy nawet wtedy, gdy opowiadał o tym, że wuj nigdy go nie lubił i że zanim sprzedał go porywaczom ludzi, często go bił. Część mnie chciała nienawidzić Chekury i pilnować, by moja nienawiść była prosta i skoncentrowana. Inna część czuła sympatię do tego chłopca i łaknęła jego towarzystwa – rozmowa z innym dzieckiem sprawiała mi przyjemność.

Fanta często była w złym humorze i nie pochwalała tego, że rozmawiam z chłopcem. Próbowwała mi rozkazać, bym szła obok niej, ale najczęściej odmawiałam.

– On nie jest z naszej wioski – powiedziała.

– Jego wioska leży blisko naszej. To tylko mały chłopiec – wyjaśniłam.

– Pracuje dla porywaczy – odparła Fanta. – Nic mu nie mów. Nie rozmawiaj z nim.

– A co z jedzeniem, które przynosi i którym czasem się z tobą dzielę? – zapytałam.

– Bierz jedzenie – odpowiedziała – ale z nim nie rozmawiaj. On nie jest twoim przyjacielem. Pamiętaj o tym.

Następnego dnia, kiedy rozmawiałam z Chekurą, Fanta rzuciła we mnie kamykiem.

– Ta kobieta wysoko trzyma głowę – oznajmił Chekura.

– Ociera sobie szyję – odparłam. – Powiedz swoim przywódcom, żeby zdjęli jarzmo Fancie i pozostałym kobietom. Nie uciekną.

– Porozmawiam z nimi.

Następnego dnia Fancie zdjęto jarzmo, ale przywiązano jej kostkę do kostki innej kobiety. Fanta i ja szłyśmy obok siebie, ale nie na czele karawany, żeby nie spotkać na drodze węży czy skorpionów, ani na jej tyłach, ze strachu, że jeśli zwolnimy kroku, zostaniemy wychłostane.

– Tu, pośrodku, jest najbezpieczniej – wyszeptała Fanta. – To tu kazały mi iść mój mąż.

– Co się z nim stało? – spytałam cicho.

– Kiedy wyniesiono mnie z wioski, walczył z dwoma mężczyznami – odparła.

– A wioska?

– Połowa domów płonęła. – Fanta zacisnęła usta i odwróciła głowę, a ja wiedziałam, że nie powinnam jej już o nic pytać.

Mijaliśmy wiele wiosek. Słyszałam bębnienie tam-tamów, widziałam myszołowy leniwie krążące po niebie i wyczuwałam w powietrzu zapach koźlego mięsa, ale nie było dla nas ratunku. Mieszkańcy wioski nie zgłaszali żadnego sprzeciwu.

Któregoś dnia, kiedy przechodziliśmy obok jakiejś wioski, zza otaczającego ją muru wyprowadzono mężczyznę i zaciągnięto go do porywaczy. Miał związane nadgarstki. Za nim szły dzieci, które patrzyły, jak mieszkańcy wioski negocjują z porywaczami. W końcu porywacze kupili mężczyznę za miedziane manile i sól, po czym nałożyli mu jarzmo i ustawili na końcu karawany. Dzieci szydziły z nowego więźnia. Kiedy gwar robił się coraz głośniejszy, niektórzy spośród starszych chłopców zaczęli rzucać w nas kamieniami i gnijącymi skórkami owoców. Ktoś uderzył mnie w udo kijem, raniąc do krwi. Wstrzymałam oddech i połknęłam porcelankę, którą trzymałam w ustach dla towarzystwa. Kiedy muszla wpadła do przełyku, zakrztusiłam się i na wszelki wypadek schowałam za Fombą. Fomba robił, co mógł, żeby zatrzymać spadające przedmioty, i krzyczał do chłopców, żeby przestali. Stanowił nie lada widok – był zupełnie nagi, miał splątane i brudne włosy, przekrzywioną na bok głowę, a przy tym dziko machał rękami. Zanim przywódcy karawany przegonili chłopców i wyprowadzili nas z wioski, Fomba dostał kilka razy kamieniami i owocami mango.

Nie rozumiałam, dlaczego byliśmy dla tych chłopców tak wielką atrakcją. Owszem, dzieci z Bayo – łącznie ze mną – wciąż dokuczały Fombie. Ale nigdy nie zrobiliśmy mu krzywdy. Nie nałożyliśmy mu jarzma i nie pozbawiliśmy go jedzenia. Nigdy nie widziałam więźniów mijających naszą otoczoną murem wioskę. Miałam jednak nadzieję, że gdybyśmy ujrzeli skępowanych mężczyzn, kobiety i dzieci zmuszonych do tego, by szli przed siebie jak *woloso*, a nawet ktoś jeszcze gorszy, walczylibyśmy o to, by ich uwolnić.

Tego wieczoru Chekura przyniósł tykwę z wodą oraz kawałek mydła z owoców masłosza i zaproponował, że pomoże mi oczyścić skaleczenie na udzie.

– Sama się tym zajmę – powiedziałam.

– Pomogę ci – odparł, kierując mały strumień wody na moją ranę.

– Dlaczego dzieci z wioski nam dokuczają? – zapytałam.

– To tylko chłopcy, Aminato – odpowiedział Chekura.

– A ci mieszkańcy, którzy sprzedają porywaczom różne dobra i pilnują nas w nocy? Dlaczego pomagają tym mężczyznom?

– A dlaczego ja im pomagam? – rzucił. – Czy mają jakiś wybór?

– Oni nie zostali sprzedani przez swoich wujów – odparłam.

– Nie znamy ich historii.

Następnego dnia, kiedy mijaliśmy jakieś miasteczko, poczułam ulgę, że nikt nie wyszedł, by rzucać w nas kamieniami i obelgami. Kilka kobiet niosących owoce i orzechy zgromadziło się wokół naszych porywaczy. Jedna z nich uważnie mnie obserwowała, przez chwilę szła za mną, a potem zrównała ze mną krok. Zdjęła tacę z głowy i podała mi banana oraz małą sakiewkę orzeszków ziemnych. Nie rozumiałam, co mówi, ale jej głos był pełen łagodności. Położyła mi na ramieniu suchą, zakurzoną dłoń. Ten gest był dla mnie tak niespodziewany, że oczy wypełniły mi się łzami. Poklepała mnie po ramieniu, powiedziała coś nagłym tonem i zniknęła, zanim zdołałam jej podziękować.

Podczas naszego długiego marszu dostałam pierwszego krwawienia. Próbowałam się pocieszyć, że za moment nie będę już żyć i że moje upokorzenie nie potrwa zbyt długo. Mój brzuch wykręcały skurcze. W swojej nagości nie byłam w stanie ukryć krwi spływającej mi po nogach.

Kiedy podszedł do mnie Chekura, syknęłam:

– Odejdź.

– Jesteś chora?

– Odejdź.

– Napij się.

Upiłam wody z bukłaka, ale udawałam, że nie widzę chłopca.

– Skaleczyłaś się?

– Zgłupiałaś?

– Mogę ci pomóc?

– Zostaw mnie w spokoju.

Przez chwilę szedł obok, ale milczałam. W końcu odwrócił się, żeby odejść. Kiedy to zrobił, zawołałam:

– Gdy zatrzymamy się na nocleg, przyprowadź do mnie kobietę z wioski!

Skinął głową i się oddalił.

Wieczorem rozbiliśmy obozowisko na skraju wioski. Chekura zniknął. Jakiś czas później dwie kobiety podeszły do moich porywaczy, wskazały na mnie i rozmawiały z nimi z ożywieniem. Wręczyły mężczyznom nieco wina palmowego i podeszły do mnie.

Mówiły w języku, którego nie rozumiałam. Jedna z nich pociągnęła mnie za dłoń. Spojrzałam na Chekure, który skinął głową – porywacze pozwolili mi z nimi pójść. Jedna z kobiet prowadziła mnie za rękę, a pozostałe szły za mną. Opuściliśmy więźniów, którzy rozłożyli się pod drzewami, minęliśmy wartownika i weszliśmy do otoczonej murem wioski. Ujrzałam studnię, kilka okrągłych spichlerzy oraz prostokątne domy z glinianymi ścianami, podobne do tych w Bayo. Kobiety zaprowadziły mnie za mały domek. Najwyraźniej należał do tej, która trzymała mnie za rękę. Przyniosły mi kocioł ciepłej

wody i pozwoliły się umyć. Kiedy skończyłam, wprowadziły mnie do chłodnego wnętrza i posadziły na ławce. Szukałam wzrokiem noży i innych narzędzi, zastanawiając się, czy skoro moja kobiecość właśnie się rodzi, planują mi coś zrobić. Kiedy przerażenie było tak wielkie, że rozglądałam się, by sprawdzić, czy nikt nie zagroził drzwi chaty, aby udaremnić ucieczkę, inna kobieta podeszła do mnie z niebieską chustą. Wręczyła mi ją i dała znać, żebym się nią owinęła. Chusta była tak szeroka i długa, że mogłam nią opleść brzuch i pupę. Kiedy przysłoniłam części intymne, poczułam się o wiele lepiej i bezpieczniej. Nagle poczułam głód i zrozumiałam, że wstyd przed nagością hamował mój apetyt. Kiedy byłam już ubrana, kobiety poprosiły, bym usiadła i zjadła z nimi posiłek, przez cały czas do mnie mówiąc: „Weź jedzenie”. Usłyszałam, jak matka wypowiada do mnie te słowa z krainy duchów: „Weź jedzenie, dziecko. Te kobiety cię nie skrzywdzą”.

Nakarmiły mnie koźliną z papryką chili, z której skapywał gorący sos z orzechów ziemnych. Danie było pyszne i pożywne. Poczułam, jak skręca mi się żołądek, więc zjadłam tylko odrobinę. Kobiety wetknęły mi w dłoń sakiewkę orzechów ziemnych, a także suszone, osolone pasy koźlego mięsa. Wciąż do mnie mówiły, a ja domyślałam się, że pytają o moją rodzinę i imię. Odpowiadałam we własnym języku, na co reagowały wybuchami śmiechu. W końcu odprowadziły mnie do porywaczy. Zdawały się z nimi negocjować, składać im propozycje i przymilać się do nich, ale nie udało im się przekonać grupy mężczyzn, którzy kręcili głowami i oganiali się od kobiet. Wróciły do mnie, ścisnęły moje dłonie i dotknęły księżyców na mojej twarzy.

Powtarzały coś, czego nie rozumiałam, po czym odwróciły się i odeszły. Żałowałam, że nie mogę z nimi zostać. Znów ułożyłam się pod drzewem, strzeżona przez porywaczy. Czułam się zbyt zdezorientowana, by zasnąć. Nie miałam pojęcia, czy ludzie w kolejnej wiosce okażą nam okrucieństwo, czy dobroć.

Karawana z dnia na dzień robiła się większa. Każdego ranka, kiedy nas budzono i kazano ruszać w drogę, zauważałam dwóch lub trzech nowych więźniów. Tylko kobietom i dzieciom pozwolono iść bez jarzma.

Nocą, kiedy zdejmowano mężczyznom jarzmo, by mogli się położyć i zasnąć, strażnicy obserwowali każdy nasz ruch. Moje stopy pokryły się pęcherzami, stały się obolałe i zrogowaciałe. Po całym dniu marszu Fomba pokazał mi podeszwy swoich stóp. Były pożółkłe, grube i twardsze niż koźła skóra, ale także przesuszone i popękane. Spomiędzy palców ciekła mu krew. Przekonałam Chekure, by przyniósł mi masło shea z wioski i choć Fanta cmokała z dezaprobatą, którejs nocy wtarłam tłuszcz w stopy Fomby.

– Córko Mamadu i Siry, dziękuję ci – powiedział.

Nie wiedziałam, kim byli jego rodzice. Nie znałam jego nazwiska.

– Nie ma za co, Fombo – odparłam tylko.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ręce.

– Córko Mamadu i Siry, jesteś dobra.

Fanta znów cmoknęła.

– Żono wodza – zwrócił się do niej Fomba. – Ciągnąca za uszy.

Wybuchłam śmiechem. Śmiałam się tak po raz pierwszy od dawna.

Fomba się uśmiechnął, nawet Fanta uznała to za zabawne.

– Czy zostało jeszcze trochę masła shea? – zapytała.

Fomba natarł jej stopy, a ona obiecała, że już nigdy nie będzie go ciągnąć za uszy.

Któregoś dnia szłam za mężczyzną z jarzmem na szyi, który bez ostrzeżenia gwałtownie skręcił w lewo. Nie miałam czasu, by zareagować i moja stopa zapadła się w coś mokrego i miękkiego. Nastąpiłam piętą na coś, co trzasnęło jak złamana gałązka. Krzyknęłam. Poda mną leżało nagie, rozkładające się ciało mężczyzny. Odkoczyłam i urwałam liście z najbliższej gałęzi. W szale starłam z kostki wijącą się masę białych robaków. Trzęsłam się i dyszałam. Fanta wzięła ode mnie liście, oczyściła moją stopę, przytuliła mnie i przykazała, żebym się nie bała. Ale moja histeria się nasilała. Chociaż Fanta warknęła na mnie, żebym się uspokoiła, nie mogłam przestać krzyczeć.

– Natychmiast przestań – powiedziała Fanta. Złapała mnie, potrząsnęła mną i zatkała mi usta dłonią. Wykręciła mi podbródek, aż nasze spojrzenia się spotkały. – Spójrz na mnie – rzuciła. – Spójrz. Tu. W moje oczy. To już nie jest człowiek.

Moje płuca zaczęły się uspokajać. Kiedy przestały rzeźzić, nie było mi już tak trudno zaczerpnąć powietrza. Fanta zabrała dłoń. Więcej nie krzyczałam.

– To tylko skóra i kości – powiedziała. – Pomyśl o kozie. To tylko ciało. – Objęła mnie ramieniem i nie puszczała, dopóki nie przestałam się trząść.

Od tego momentu na tej coraz bardziej uczęszczanej drodze trzeba było uważać nie tylko na węże i skorpiony. Wkrótce omijaliśmy co najmniej jedno ciało dziennie. Kiedy któryś z więźniów upadał, rozwiązywano go i pozwalano, żeby zgnił.

Nasz marsz trwał już pełen obrót księżyca, a potem kolejny. Księżyca przybywało i ubywało, a teraz mogłam mierzyć upływ czasu także dzięki własnemu ciału. Pomiedzy kolejnymi krwawieniami napotykałam coraz więcej wiosek, więźniów sprzedawanych naszej karawanie i strażników, którzy nocami zaciskali nam węzły wokół kostek.

Kiedy dziś ludzie pytają o moją ojczyznę, wydają się fascynować groźnymi bestiami. Wszyscy chcą wiedzieć, czy musiałam uciekać przed lwami lub pędzącym w popłochu stadem słońi. Jednak to porywaczy ludzi bałam się najbardziej. Każdego mężczyznę i każdą kobietę, którzy burzyli porządek karawany, dotkliwie bito. Każdego, kto próbował uciec, zabijano. Strach przed dzikimi zwierzętami był moim ostatnim zmartwieniem. Pewnej nocy, kiedy układaliśmy się do snu pod kępą drzew, z krzaków wybiegł rozjuszony pawian, kołyszając ramionami i zadem. Wpadł prosto pomiędzy nas jak pszczoła. Staliśmy i krzyczeliśmy. Porywacze także. Zwierzę pochwyciło małą dziewczynkę, która od dwóch

księżyców wędrowała wraz z ojcem, i uciekło z nią, po czym umknęło w krzaki. Nawet kiedy dziecko zniknęło nam już z oczu, słyszeliśmy jego żalospny płacz. Ojciec skoczył na równe nogi, błagając o pomoc. Chekura przeciął linę wokół kostek mężczyzny i pobiegł z nim szukać pawiana.

Długo nie wracali. Tak długo, że w posępnych nastrojach zabraliśmy się do jedzenia, czekając na wiadomości o dziewczynce. Jeszcze zanim zobaczyliśmy jej ojca, usłyszeliśmy jego zawodzenie, a po chwili naszym oczom ukazał się on i Chekura schodzący ze wzgórza. Ojciec niósł w ramionach bezwładną dziewczynkę. Jej szyja była rozszarpana i jasnoczerwona. Porywacze go nie związali. Pozwolili mu wykopać płytki grób dla dziecka. Ten przykrył je ziemią, wstał z kolan i zaniósł się spazmatycznym szlochem. Był to pierwszy mężczyzna, który przy mnie płakał. Z bólu ścisnęło mnie w żołądku. Nie należało oglądać płaczącego dorosłego mężczyzny. To, że jego córeczka została mu odebrana tak gwałtownie, wydawało się nieprawdopodobne. Przypatrywanie się jego udręce było dla mnie nieznośne, ale nie mogłam uciec od dźwięku jego cierpienia. Chociaż w ciągu dnia pozwalano mi iść wolno razem z karawaną, w nocy krępowano mi nogi. Próbowałam się skupić na otaczających mnie przedmiotach: palmach, kamieniach, zarysie widocznych w oddali wysokich glinianych murów otaczających wioskę, zajacu kicającym w świetle księżyca. Inni więźniowie także odwrócili się plecami do rozpaczającego ojca.

Pozostali w końcu zasnęli, ale ja nie mogłam przestać myśleć o mężczyźnie i jego córce. Kiedy jego płacz ucichł, zaczęłam go szukać w ciemności, ale miejsce obok grobu było puste. W końcu zauważyłam, że zbliża się do rosnącego dwadzieścia kroków za nami drzewa. Wspinał się coraz wyżej, podciągając się na kolejne gałęzie. Drzewo było wyższe niż dwudziestu mężczyzn ustawionych jeden na drugim, ale on nie przestawał się piąć.

W myślach błagałam go, żeby zszedł. Modliłam się, by się opamiętał. Może jego żona także nie żyła, ale przecież któregoś dnia mógł znów być wolny. Mógł znaleźć drugą żonę i spłodzić drugą córkę. Podniosłam się i wpatrywałam w niego z nadzieją. Jeden z porywaczy zauważył mnie i zawołał do mężczyzny, żeby zszedł z drzewa. On jednak wspinał się dalej. Więźniowie, obudzeni krzykami, ujrzeli, co się dzieje, i – parami, związani za kostki – odsunęli się od drzewa. Na górze mężczyzna wdrapał się na gałąź wystającą z pnia. Zawył po raz ostatni i spadł z niezwykłą prędkością. Nigdy nie widziałam ciała spadającego z takiej wysokości. Odwróciłam się tuż przed tym, jak mężczyzna uderzył o ziemię, ale usłyszałam głuchy odgłos i poczułam drganie pod stopami. Nasi porywacze nie chcieli położyć go obok córki, pochować ani nawet dotknąć jego ciała. Nie chcieli przyjąć do wiadomości tego aktu samozniszczenia. Rozkazali nam maszerować w nocy, a po krótkiej chwili rozłożyliśmy się pod innym skupiskiem drzew, z dala od ciała ojca i jego dziecka.

Nasza podróż lądem trwała już trzy cykle księżyca. Pewnego dnia nasi porywacze zatrzymali się na rozstaju dróg i pozdrowili człowieka nowej rasy. Jego skóra była piegowata jak u wyszorowanej świni. Miał zaciśnięte usta i szerniałe zęby. Był jednak wielki i postawny i stał jak wódz z wysuniętą do przodu piersią. A więc tak wyglądał toubab! Pozostali więźniowie szeroko otworzyli oczy, wpatrując się w tę dziwną postać, ale stojący na ścieżce mieszkańcy wioski wcale na nią nie zareagowali. Uświadomiłam sobie, że musieli już wcześniej widzieć toubaba. Mężczyzna dołączył do porywaczy na czele karawany. Był wysoki i wychudzony, miał brodę i wąskie wargi, a skórę wokół oczu pokrywała skorupa. Wymówił kilka słów w języku porywaczy.

Złowiłam spojrzenie Chekury, a kiedy chłopiec stanął obok mnie, zapytałam:

- Skąd jest ten toubab?
- Zza wielkiej wody – odparł.
- To człowiek czy zły duch?
- Człowiek – powiedział. – Ale nie taki, z jakim chciałabyś się zadawać.
- Znasz go?
- Nie, ale wierz mi, nie chcesz znać żadnego toubaba.
- Mój papa mawiał: „Nie lękaj się żadnego człowieka, lecz spróbuj go poznać”.
- Toubaba powinnaś się lękać.
- Jak on oddycha przez taki wąski nos? Czy jego nozdrza wpuszczają powietrze?
- Nie patrz na toubaba.
- Ma mnóstwo włosów.
- Jeśli spojrzysz bezpośrednio na toubaba, uzna, że stawiasz opór.
- Chekuro, włosy wyrastają mu nawet z nosa.
- Poruszaj się ostrożnie, Aminato.
- Jesteś moim bratem czy porywaczem?

Chekura potrząsnął głową i nic więcej nie powiedział. Słyszałam, że toubabowie są biali, ale nie była to prawda. Skóra tego mężczyzny nie przypominała kości słoniowej. Miała odcień piasku, ciemniejszy na przedramionach i szyi. Nigdy nie widziałam tak grubościastych nadgarstków. Nie miał zbyt dużego zadu, ale poruszał się jak słoń. Łup, łup, łup. Jego pięty uderzały w ziemię z brutalnością spadającego drzewa. Toubab nie był bosy jak więźniowie, nie miał też sandałów ze skóry antylopy jak porywacze. Jego grube buty sięgały za kostkę.

Na szyi toubaba wisiał łańcuch, a na biodrach miał zaciśnięty skórzany pas. Często spoglądał na przytroczony do pasa przedmiot ze szkła. Wrzeszczał na dwóch głównych porywaczy i z wściekłością machał rękami. Pod jego czujnym okiem porywacze natychmiast nałożyli jarzmo mnie i kobietom. Fantę ustawiono w karawanie tuż przede mną. Jeden koniec drewnianego jarzma nałożono na jej szyję, a drugi na moją. Porywacze

mocno zacisnęli pętle i choć ciągnęłam, nie mogłam się uwolnić ani zrobić czegokolwiek poza otarciem sobie skóry do żywego.

Podczas gdy toubab nas obserwował, nasi porywacze doprowadzili do karawany trzech kolejnych więźniów. Dołączono do nas nową kobietę. Ona także miała duży brzuch, w którym nosiła dziecko. Umieszczono ją pomiędzy Fantą a mną. Ta zmiana mi nie przeszkadzała – Fanta często marudziła, przez co dni zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Poza tym nowa kobieta była niższa, podobnego do mnie wzrostu, więc łatwiej było mi iść, kiedy nasze szyje były połączone. Tej nocy, gdy ułożyłam się na spoczynek pod drzewem, położyła się tuż obok mnie, tak że słyszałam jej ciężki oddech.

Przysunęłam się do niej.

– *I ni su* – wyszeptałam. Dobry wieczór. To były pierwsze słowa, jakie do niej wypowiedziałam, w bamana.

– *Nse ini su* – odpowiedziała w tym samym języku.

Zapytałam, czy niedługo urodzi dziecko. Odpowiedziała, że bardzo niedługo.

– To niedobry czas – oznajmiła. – Chciałabym, żeby dziecko poczekało.

– Dziecko nie wie o naszej niedoli – odparłam. – Myślisz, że to będzie chłopiec?

– Dziewczynka. I nie chce już czekać.

– Skąd wiesz, że to córka?

– Tylko nieznośna mała dziewczynka przyszłaby na świat w tak nieodpowiednim czasie. Tylko dziewczynka byłaby nieposłuszna. Chłopiec by mi się nie sprzeciwił. Wiedziałyby, że bym go zbiła.

Przy tej kobiecie czas mijał szybciej. Lubiłam ją.

– A dziewczynki byś nie zbiła?

– Dziewczynka jest zbyt mądra. Wie, jak uniknąć lania.

– Więc dlaczego teraz ci się sprzeciwia? – zapytałam.

– Jesteś bardzo bystra. Jak masz na imię?

Odpowiedziałam.

– Ja jestem Sanu – odparła.

– Śpij w pokoju, Sanu. – Ziewnęłam.

– Ty także, mała kobieto. Śpij w pokoju.

Rano znów nałożono nam jarzma. I znów ustawiono mnie za Sanu. Idąc, jęczała, a po tym, jak jej stopy uderzały o ziemię i jak wypinała pośladki, żeby rozładować napięcie w krzyżu, oraz po tym, jak opierała ręce na biodrach, wiedziałam, że niedługo urodzi. Wraz z nastaniem popołudnia coraz bardziej opóźniała karawanę.

– Wkrótce wyda na świat dziecko – powiedziałam do Chekury.

– Co zrobimy?

– Pomagałam przy porodach. Mama i ja wydobywamy dzieci na światło. Tym się

trudnymi. To nasza praca. Tak żyjemy.

Sanu przemówiła:

– To dziecko ma rację. Jestem gotowa.

– Zbliżamy się do wioski – powiedział Chekura. – Postaram się, żeby zrobili tam postój. – Przeszedł na czoło karawany i pomówił z przywódcami porywaczy.

Zatrzymaliśmy się w gaju pod osłoną drzew. Chłopiec wrócił ze starszym porywaczem i z toubabem i zdjął nam jarzma.

Odezwałam się tylko do Chekury:

– Ta kobieta i ja ułożymy się po cichu pod tamtym dużym drzewem. Zostawcie nas w spokoju, ale przyprowadźcie mi jedną kobietę do pomocy. Będzie mi potrzebny dobrze oczyszczony ostry nóż. I woda. Idźcie do wioski i przynieście trzy tykwy wody, z których jedna powinna być ciepła. I trochę szmat.

Toubab trzymał u boku ognisty kij. Wpatrywał się we mnie. Odezwał się do starszego mężczyzny, który przemówił w obcym języku do chłopca, a ten powiedział do mnie:

– Pyta, czy wiesz, co robić.

– Tak – odparłam. – Przynieście mi to, o co proszę.

Fanta odwróciła się i odeszła. Do pomocy przysłano mi inną dziewczynę, zaledwie o kilka pór deszczowych starszą ode mnie. Przynajmniej mnie słuchała i robiła to, co jej kazałam. Kiedy przyniesiono mi ciepłą wodę, polała nią nóż i odpowiednio go oczyściła. Umościła posłanie dla Sanu, żeby ta mogła się wygodnie położyć. Pod głowę wetknęła jej liście, a niżej ułożyła futra i skóry, żeby kobieta nie leżała na gołej ziemi.

Nasi porywacze stali i patrzyli. Zastanowiłam się, co zrobiłaby moja mama, otworzyłam dłoń i pchnęłam ją w ich stronę, prostując łokieć i ramię. Unieśli brwi, a toubab znów zaczął się we mnie wpatrywać. Wymamrotał coś do jednego z porywaczy, który przekazał to drugiemu, a ten w języku bamana zapytał mnie, czy na pewno wiem, co robię. Jeszcze raz dałam im znać, żeby odeszli, i tym razem się wycofali.

Natarłam ramiona i plecy Sanu masłem shea.

– Będiesz dobrą matką – powiedziałam do niej, a ona uśmiechnęła się łagodnie i odparła, że moja matka byłaby ze mnie dumna.

Sanu opowiedziała mi o swoim mężu i dwójce starszych dzieci. Mówiła, że porwano ją, kiedy niosła jedzenie kobietom, które pracowały na polach tapioki i wrywały z ziemi korzenie. Ponieważ nosiła w swoim wnętrzu tak duże dziecko, postanowiła nie walczyć.

Zachęcałam ją, by oddychała miarowo, nawet kiedy wstrząsały nią skurcze. Natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, powiedziała:

– Teraz jestem gotowa, dziecko. Jeśli przeżyjemy, nadam jej imię Aminata. Po tobie.

Księżyc znów błyszczał, a ja czułam ciężar powietrza. Wilgoć. Mocny wiatr miotał się

wokół jak rozhisteryzowane dziecko, ale Sanu była cicha i nieruchoma.

Najpierw dziecku wyszła główka, tak jak powinno być, a następnie na świat wyslizgnęła się reszta. Związałam śliską, grubą pępowinę przy brzuszku i przepiłowałam ją nożem. Dziecko zaczęło płakać. Dziewczynka miała duże, spuchnięte żeńskie organy – księżyc świecił tak mocno, że dostrzegłam nawet to. Owinęłam noworodka w ciepłą tkaninę i przystawiłam do sutka matki, a następnie zczekałam na łożysko i pomogłam je wydobyć. To był najszybszy poród, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Aminata, moje dziecko – powiedziała Sanu.

Nie byłam pewna, czy mądrze jest nazywać niemowlę tak szybko i nadawać mu imię po mnie. Zastanawiałam się, czy nazywanie dziecka po kimś, kto znajduje się w tak wielkim niebezpieczeństwie, nie przyniesie mu pecha. Ale Sanu obstawała przy swoim. Byłam wzruszona łagodnością, z jaką zwróciła się do córeczki i z jaką przysunęła ją do piersi.

Małeńka Aminata zaczęła ssać matkę tak intensywnie, że można było pomyśleć, iż robi to od wielu miesięcy. Sanu i ja zetknęłyśmy się palcami. Z oczu kobiety spłynęły łzy, które obudziły smutek także we mnie. Wzdychałam, trzęsłam się i płakałam, dopóki moje oczy nie zrobiły się puste. Sanu leżała nieruchomo i karmiła córeczkę, a po jej twarzy miarowo płynęły łzy. Byłam pewna, że płacz przy narodzinach dziecka przynosi nieszczęście.

Rano znów nas związano. Za pomocą tkaniny, którą przyniósł Chekura, Sanu zawiesiła sobie noworodka nisko na plecach. Krew porodowa spływała jej po udach, kiedy pokonywaliśmy kolejne górzyste ścieżki i przekraczaliśmy doliny oraz lasy pełne handlarzy orzechami kola.

Ponieważ szłam bezpośrednio za Sanu, dla zabicia czasu obserwowałam małą Aminatę. Ilekroć jej główka za bardzo podskakiwała, wołałam do Sanu, żeby mocniej przywiązała dziewczynkę. Główkę dziecka porastały niewielkie kępkki delikatnie kręconych włosów, a ja godzinami wyobrażałam sobie, jak tej małej dziewczynce wyrosną kiedyś długie włosy, jak będzie je czesała i zaplatała. Przez dwa dni zanurzałam się w marzeniach, obserwując maleńkie dziecko zawinięte w szmaty i przytulone do matki.

Trzeciego dnia po narodzinach Aminaty karawana znalazła się na grani i zwolniła. Chociaż był wczesny ranek, słońce już paliło. Oderwałam wzrok od główki Aminaty i znów rozejrzałam się po świecie.

To, co zobaczyłam, wydało mi się nieprawdopodobne.

Po prawej stronie, tam, gdzie biegła ścieżka, płynęła wartka, szeroka rzeka – szersza niż dziesięć rzutów kamieniem. Na brzegu wzburzonej wody czekało wiele łodzi, a w każdej siedziało ośmiu wioślarzy. Nigdy nie widziałam tylu łodzi i wioślarzy. Po lewej stronie woda sięgała nieskończoności. Sapała i ryczała, podnosiła się i opadała. Gdzienigdzie była zielona, w innych miejscach niebieska, bezustannie wznosiła się, opadała i zmieniała barwy. U ujścia pieniła się jak koń po ciężkim biegu. Po mojej lewej

stronie zajęła cały świat.

Porywacze zaprowadzili nas na brzeg. Toubab wykrzykiwał rozkazy, a oni zdjęli nam jarzma i wepchnęli nas do łodzi. Zdziwiłam się, kiedy zobaczyłam, że siłą wpychają Chekure do mojego canoe. Wioślarze byli nadzy, jeśli nie liczyć przepasek na biodra, i cuchnęli solą, potem i brudem. Ich mięśnie błyszcząły w słońcu. Łodzie gładko sunęły po powierzchni, a rzeka rozszerzała się, tak że nie mogłam już odróżnić szczegółów na odległym brzegu. Kiedy odbiliśmy od lądu, jeden z więźniów z sąsiedniego canoe z trudem stanął i je rozbijał. Dwóch potężnych mężczyzn porzuciło wiosłowanie i zaczęło bić go wiosłami. On jednak nie przestawał. Kiedy łódź zaczęła się przechylać, opuścili wiosła i szybko wrzucili więźnia do rwącej wody. Mężczyzna zniknął pod powierzchnią i przepadł.

Płynęliśmy przez cały ranek. Promienie słońca odbijały się od wody i paliły mnie w oczy. Rzeka rozszerzała się groźnie, a ja odróżniałam już tylko to, że ląd był górzysty po lewej stronie i płaski po prawej. Chekura siedział w łodzi. Nie był skrupowany, ale zajmował miejsce pomiędzy nami. Kiedy płynęliśmy, wyszeptał:

– Masz szczęście. Czeka na ciebie wielka łódź, prawie pełna. Niedługo wszystkich was sprzedadzą i wyślą za wodę.

– Szczęście? – powtórzyłam.

– Inni czekali na ten statek przez wiele księżyców. Powoli umierali w oczekiwaniu, aż łódź się wypełni. Ale ty nie będziesz musiała czekać.

Wiatr przyniósł wstrętny zapach przypominający gnijące jedzenie. Cuchnęło jak odpadki wyrzucone przez całe miasto ludzi. Skrzywiłam się.

– To woń statku – wyjaśnił Chekura drżącym głosem. – Wkrótce nas rozdziela.

– Bądź ostrożny, poruszając się wśród więźniów, Chekuro. Jeden z nich na pewno ma nóż i czyha na twój nieostrożny krok.

– A ty, Aminato, strzeż się własnego piękna, rozkwitającego wśród obcych.

Znów uderzył nas odór przyniesiony z wiatrem.

– Czy cokolwiek może kwitnąć, a nawet żyć, w takim smrodzie? – odparłam.

Warga Chekury zadrżała. Chłopiec, który uśmiechał się przez trzy obroty księżyca, teraz się nachmurzył. Chekura stał się dla mnie bratem, którego nigdy nie miałam.

– Dokąd nas zabiorą? – wyszeptałam.

– Na drugą stronę wody.

– Nie popłynę.

– Popłyniesz albo stracisz życie – odpowiedział.

– Więc wrócę.

– Przyprowadziłem nad morze wielu ludzi – oznajmił Chekura – ale nigdy nie widziałem, by którykolwiek powrócił do swojej wioski.

– W takim razie będę spać za dnia i maszerować w nocy. Ale, posłuchaj mnie uważnie, przyjacielu: powrócę. I odnajdę drogę do domu.

Łodzie przybiły do nabrzeża wyspy. Ujrzałam stojący na wzgórzu zamek. Wokół tłoczyło się więcej toubabów i kolorowych mężczyzn z mojej ojczyzny, którzy ładowali towary i eskortowali ludzi. Poprowadzono nas w górę stromej ścieżki na tyły budynku. Zauważyłam, że Chekura wciąż idzie pośród nas. Na przodzie znajdowały się dwa pola, jedno obok drugiego, okolonie zaostrozonymi palami sterczącymi z ziemi na wysokość dwóch mężczyzn. Porywacze rozwarli bramy i do jednej zagrody wepchnęli mężczyzn, a do drugiej kobiety i dzieci. Odwróciłam się, żeby odszukać Chekurę, ale nigdzie go nie było. Nie widziałam też Fanty. Miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć Sanu i jej córeczkę. Ujrzałam je dwadzieścia kroków na lewo. Nie byłam już związana, więc podbiegłam, żeby być blisko nich.

Mojej zagrody pilnowało dwóch toubabów uzbrojonych w ogniste kije, ale moi krajanie także ściskali w dłoniach pałki, noże i ogniste kije. Zamknięto nas za ogrodzeniem – nagich, poranionych i krwawiących. Staliśmy stłoczeni na piaszczystej ziemi, która cuchnęła moczem i fekaliami.

Czekaliśmy bez końca, a słońce zbliżało się do krawędzi nieba. Przyniesiono nam gotowane proso i wrzucono do koryta. Niektóre kobiety zaczęły je wydłubywać. Nie potrafiłam się do tego zmusić, ale kiedy podano nam tykwy z wodą, napiłam się.

Kobiety z mojej ojczyzny umyły nas zimną wodą i natarły olejem palmowym, żeby nasza skóra błyszcząca i wyglądała zdrowo. Jedna z krajanek – miała na sobie ubranie, a w jej oczach czaił się chłód – zaciągnęła jakąś kobietę w róg zagrody, gdzie toubabowie i krajanie czekali z metalowym prętem podgrzewającym się na rozżarzonych węglach. Odwróciłam wzrok, ale usłyszałam, że kobieta krzyczy tak, jakby ktoś odrywał jej ramię.

Przysięgłam sobie, że nie dam im satysfakcji ze swojego bólu. Jednak gdy nadeszła moja kolej, obezwładniła mnie ich brutalność i smród. Zaciągnęli mnie do rogu, gdzie czekało żelazo, raniący metal zakrzywiony jak gigantyczny owad. Kiedy zbliżyli go do mnie, wypróżniłam się. Oznaczyli miejsce powyżej prawego sutka na wysokości jednego palca i przycisnęli żelazo do mojego ciała. Poczułam zapach spalenizny. Ból zalał mnie jak gorąca lawa. Mężczyźni, którzy mnie przytrzymywali, puścili mnie. Myślałam tylko o gorącu i o bólu. Nie mogłam się ruszyć. Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu z moich warg wyrwało się jęknięcie. Poczułam ogarniające mnie ramiona. Usłyszałam krzyk innej kobiety. I już mnie nie było.

Kiedy się obudziłam, nie wiedziałam, na jaką odległość przesunęło się słońce po niebie i czy w ogóle się przesunęło. Znowu zasnęłam. Wydawało mi się, że we śnie Chekura dotyka mojej dłoni. Potężni mężczyźni schwyтали go i przycisnęli do ziemi, a on krzyczał. Gdy znów się obudziłam, wciąż paliła mnie klatka piersiowa. Gorąco wirowało

i tańczyło pod brzydkim, wypukłym obrzękiem na mojej piersi. Pozostałe kobiety miały takie same znamiona.

Tej nocy nie mogłam spać. Kiedy zaczęło padać, wstałam. Miałam nadzieję, że porządna ulewa mnie umyje. Z przyjemnością pozwalałam, by chłodna woda ściekała mi po twarzy. Dobrze było widzieć błoto ześlizgujące się z moich nóg, przesłoniłam jednak ranę otwartą dłonią, żeby ją ochronić. Deszcz przynosił ukojenie, dopóki w powietrzu nie przetoczył się grzmot, a nieba nie rozświetliły błyskawice. Woda spływała na mnie, jak gdyby wylewano ją z setek wiader, a burza dudniła przez całą noc, odbijając się echem od gór. Deszcz padał na nas z taką gwałtownością, że modliłam się, by nie zgarnął nas do płynącej pod nami wielkiej rzeki. W naszej zagrodzie znajdowała się grupa około dwudziestu kobiet. Przytuliłyśmy się do siebie w ulewnym deszczu. Jedną ręką ścisnęłam dłoń Fanty, a drugą Sanu; odgłosy burzy były tak donośne, że zagłuszały płacz jej dziecka. Kiedy wybuchy na niebie ustały, znalazłyśmy się na polu błota sięgającego naszych kostek. Przez całą noc stałyśmy.

Gdy wstał dzień, rana wciąż mnie paliła. Nad naszą zagrodą wisiała mgła. Kiedy wyszło słońce, gęste opary zniknęły i dzień zrobił się jasny. Krajanki w ubraniach i sandałach wrzuciły do koryta gotowane proso. Wpatrywałyśmy się w jedzenie, nieruchome i zmęczone. Wyobrażałam sobie, że będziemy tak stać, dopóki głód nie wygra z obrzydzeniem.

Wtedy jednak brama otworzyła się gwałtownie. Wypędzono nas na ścieżkę prowadzącą w stronę wody. Związano nas i wrzucono na łódź, po czym wywieziono wprost na rozszerzającą się wodę. Fala rozbiła się o moją łódź i uderzyła mnie w twarz. Myślałam, że chętnie przyjmę haust wody, ale zaczęłam się krztusić i zwymiotowałam palącą cieczą. Sól. Przy uderzeniu każdej kolejnej fali paliły mnie rany na stopach i znamię na piersi.

Bałam się oczekującej na nas wielkiej łodzi, która z każdym pchnięciem wiosła stawała się coraz większa. Była tak ogromna, że dwunastoosobowe canoe wyglądało przy niej mizernie, a cuchnęła gorzej niż zagroda, w której zamknięto nas na wyspie. Łódź mnie przerażała, ale jeszcze bardziej bałam się tego, że pochłonie mnie otchłań słonej wody i że mój duch nie będzie mógł wrócić do swoich przodków. Myślałam o tym, że na lądzie mogą robić z moim ciałem, co im się podoba. Wtedy przynajmniej mój duch będzie mógł wędrować, a ja powrócę do domu swoich przodków i nie będę już sama.

Nasze canoe sunęło po pomarszczonych falach. Dopłynęliśmy do boku statku toubabów. Była to olbrzymia i dziwna konstrukcja, z której niczym palmy wyrastały wysokie słupy. Z pokładu spoglądały na nas twarze pracujących razem krajanów i toubabów. Fale rozbijały się o potężne boki statku, który wznosił się i opadał, ale w tajemniczy sposób zdawał się przybity do jednego miejsca w wodzie.

Jeden z więźniów zaczął krzyczeć, kołysać się i walczyć, ale jego stopy i nadgarstki

ciasno krępowwały pnącza, a w końcu otrzymał tyle ciosów pałkami, że umilkł. Mężczyźni i kobiety drżeli ze strachu. Ja zrobiłam się cicha i spokojna. „Nie lękaj się żadnego człowieka, lecz spróbuj go poznać”, mawiał mój ojciec.

Coś stuknęło w łódź. Było to inne małe canoe, które zacumowało przy naszym. Wśród skrępowanych mężczyzn i kobiet zobaczyłam Chekurę. Jego twarz była posiniaczona i pokonana. Miał spuszczone głowę. Głupi chłopak. Powinien był uciec na lądzie, niedaleko Bayo, tam gdzie znał dżunglę i ludzi. Powinien był uciec na długo przed tym, zanim porywacze obrócili się przeciwko niemu. Nie zawołałam go. Zaciśnęłam zęby i spojrzałam na wodę, na wszystkich moich ludzi związywanych w łodziach, popychanych, poganianych i wciąganych na górę po długiej desce biegnącej wzdłuż burty potężnego statku. Odwróciłam się, żeby popatrzeć na swoją ojczyznę. W oddali majaczyły góry. Jedna z nich wznosiła się jak ogromny lew. Ale jej siła była uwięziona na lądzie. Tu, na wodzie, nie mogła nam pomóc.

Ślizgamy się po niepogrzebanych

Jeśli kiedykolwiek uda mi się wrócić do domu, może zrobią dla mnie wyjątek i pozwolą zostać *djeli* – gawędziarką. Nocą w wiosce zapłonie ognisko, starsi będą pić osłodzoną herbatę, a z dalekich stron zejdą się przybysze, aby wysłuchać mojej dziwnej opowieści. Aby zostać *djeli*, trzeba się urodzić w wyjątkowej rodzinie. Zawsze pragnęłam dostąpić honoru poznawania i opowiadania historii naszej wioski i przodków. Już na początku życia dziecko urodzone w rodzinie *djeli* uczono opowieści o krokodylu, który porwał pięcioro dzieci, o mężczyźnie, który był tak bogaty, że miał siedemnaście żon, a jednocześnie tak okrutny, że wszystkie od niego uciekły, i historii o człowieku z naszej wioski, który powrócił z Timbaktu z tajemniczym Koranem w dłoni. Mówiło się, że kiedy *djeli* umiera, wraz z nim ginie wiedza o stu ludziach.

Gdy wciągnięto mnie po drabinie i jak worek z jedzeniem rzucono na pokład statku *toubabów*, na pocieszenie wyobrażałam sobie, że zostałam wybrana *djeli* i że muszę wszystko zobaczyć i zapamiętać. Miałam być świadkiem, gotowym, by o tym wszystkim opowiedzieć. Papa nie powinien był uczyć swojej córki, jak przeczytać i zapisać kilka wersów po arabsku. Dlaczego złamał zasady? Może wiedział, że coś nadchodzi, i chciał mnie na to przygotować.

Na statku i w kolejnych latach często myślałam o tym, że choć czas, jaki spędziłam z rodzicami, był krótki, ich postaci mocno zakorzeniły się w moim umyśle. Zadbali o to, bym umiała uprawiać proso. W porze siewu jako mała dziewczynka byłam tak szybka i zręczna jak dorośli. Potrafiłam wykopać dołek w ziemi prawą piętą, upuścić do niego ziarenko, zasypać je ziemią palcami stopy, zrobić krok i zacząć od nowa. Umiałam wyrwać chwasty, rozumiałam, że ziemię okopuje się motyką, by deszcz mógł ją ucałować i poślubić, a nie pocałować i uciec. Tak, wiedziałam, jak uprawiać pole prosa, nauczono mnie też, że należy doskonalić swój umysł.

W czasie przeprawy przez ocean kilka przypadkowych zdarzeń ocaliło mi życie. Pomogło mi to, że byłam wśród ostatnich osób z mojej ojczyzny załadowanych na statek. A także to, że byłam dzieckiem. Na niewolniczym statku dziecko ma pewne korzyści. Nikomu się nie spieszy, by zabić dziecko. Nawet porywaczom. Poza tym umysł dziecka jest elastyczny. Dorośli są inni – doprowadzeni do granic pękają. Wielokrotnie podczas tej długiej podróży byłam śmiertelnie przerażona, mój umysł jednak nie doznał szwanku. Mężczyźni i kobiety w wieku moich rodziców w czasie przeprawy postradali zmysły. Gdybym miała dwa razy więcej lat, mnie także mógłby opuścić rozum.

Na tym statku widziałam rzeczy, w jakie mieszkańcy Londynu nigdy by nie uwierzyli.

Myślę jednak o ludziach, którzy wraz ze mną pokonali ocean. O tych, którzy przeżyli. Widzieliśmy te same rzeczy. Niektórzy z nas do dziś krzyczą w środku nocy. Ale istnieją mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy przechadzają się ulicami, nie mając bladego pojęcia o naszym koszmarze. Nie dowiedzą się, przez co przeszliśmy, jeśli nie znajdziemy kogoś, kto zechce nas wysłuchać. Opowiadając swoją historię, pamiętam o tych, którym nie udało się pokonać wystrzelonych z muszkietów kul, rekinów i koszmarów – o tych wszystkich, którzy nigdy nie znaleźli słuchaczy, i o tych, którym nigdy nie było dane dotknąć pióra i kałamarza.

Na wodzie statek zachowywał się niczym zwierzę. Kołysał się z boku na bok jak osioł próbujący zrzucić tobołek, wspinał się na fale jak oszalała małpa. Zwierzę to miało nieposkromiony apetyt i pochłonęło nas wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci. Razem z nami przewożono nim kość słoniową, worki ze słodkimi ziemniakami i wszelkiego rodzaju dobra, które krajanie wciągnęli na statek w sieciach.

Ponad szlochem więźniów i krzykami toubabów oraz pracujących dla nich krajanów wznosił się bezustanny płacz dziecka Sanu, które zdawało się przeczuwać czekający nas los. Niemowlę wyło, z trudem łapało oddech i znów zanosilo się szlochem. Moje ramiona pokryły się gęsią skórką. Z całej siły starałam się nie krzyczeć. Odór panujący na statku sprawił, że zadławiłam się i zwymiotowałam. Na jakiś czas mdłości odwróciły moją uwagę.

Wokół mojej prawej kostki zaciskały się żelazne kajdany połączone z kajdanami oplatającymi lewą kostkę Sanu. Obok niej siedział Fomba przykuty do innego mężczyzny. Kolejno wciągano nas na pokład i dodawano do wydłużającego się łańcucha. Jeden z więźniów uwolnił się, zanim oprawcom udało się zacisnąć żelazo wokół jego kostki, i wskoczył do wzburzonej wody. Był nagi, tylko na szyi miał zawiązaną czerwoną chustkę. Na widok głowy mężczyzny i jego podskakującej na wodzie chustki ogarnął mnie smutek. Miałam nadzieję, że spełni się jego życzenie i że szybko utonie. Krajanie pracujący na pokładzie zaczęli jednak ciskać w biednego człowieka pomarańczami, a wioślarze w łodziach ruszyli szlakiem spadających owoców. Wyciągnęli mężczyznę z wody, uderzyli go w głowę i wysłali w ramiona ogromnego krajana stojącego na opartej o statek drabinie. Olbrzym wniósł mężczyznę z powrotem na pokład i przytrzymał go, dopóki nie zakuto go w kajdany.

Dygotałam na wietrze i bałam się, że zemdleję. Próbowałam odzyskać równowagę i nie upaść, ponieważ więźniów, którzy opadali na kolana, bito, dopóki nie wstali. Próbowałam znaleźć ukojenie, przywołując wizję matki uspokajającej rozhisteryzowane dziecko. Wyobrażałam sobie, że moja mama mówi do mnie: „Rozglądaj się. Rozglądaj się i nie lękaj”.

Krajanie wciągali na pokład beczki. Jedna z nich wypadła przez dziurę w sieci,

uderzyła o pokład i roztrzaskała się, zalewając nasze stopy wodą. Między wciągany mi towarami, krzykami i trzaskiem kajdan zaobserwowałam pewien wzorzec. Wzdłuż rzędu więźniów przechadzał się toubab w eleganckim stroju wraz z innym mężczyzną i przyglądał się każdemu z osobna. Po oględzinach więźniów odsyłano do cuchnącego podbrzusza statku.

Toubab był wysokim, chudym mężczyzną o włosach w odcieniu pomarańczy, które spływały mu po obu stronach twarzy. Na czubku głowy miał łysinę. Oczy toubaba były niebieskie. Wcześniej nie umiałabym sobie niczego podobnego wyobrazić. Miały taki sam odcień jak woda w rzece w słoneczny dzień. Skóra pomocnika toubaba nie wyglądała ani na ciemną, ani na jasną – nie był ani toubabem, ani krajanem, ale mieszkanką tych dwóch ras. Miał żółtobrązową cerę, a na jego twarzy od oka aż do ust biegła wypukła pręga blizny. Nie było to znamię, ale ślad po nożu. Kiedy doszli do mnie, pomocnik uszczypnął mnie w ramiona, po czym mocno złapał za policzki, zmuszając, bym otworzyła usta. Pomarańczowowłosy toubab powstrzymał go i zrobił krok naprzód. Gestem dał znać, że bym otworzyła usta, i włożył do nich włochaty palec. Zakrztusiłam się. Przesunął rękami wzdłuż mojej szyi i ramion, dotknął moich pleców i kazał poruszyć łokciami oraz kolanami. Kiedy mnie oglądał, pomocnik toubaba uderzył Fombę w twarz. Usta Fomby były na wpół uchylone, wargi nieruchome, oczy wielkie jak owoce mango. Pomocnik znów go uderzył i wymamrotał coś w języku nieco przypominającym bamana. Mówił coś o pochyleniu głowy. Fomba nie odpowiedział. Nic nie zrobił. Pomocnik znów uniósł ramię.

– Fomba! – zawołałam. – Pochyl głowę!

Fomba spojrział na mnie i zrobił, co kazałam.

Pomocnik i inspektor odwrócili się w moją stronę.

– Mówisz w języku maninka? – zapytał pomocnik.

– Bamana – odparłam.

– Znasz też jego język?

– To fulfulde – odpowiedziałam.

Pomocnik i inspektor namówili się w języku toubaba. Znów spojrzałam na inspektora. Do jednego biodra miał przyczepiony ognisty kij, a do drugiego miecz. Miał wąskie nozdrza. Słuchałam dziwnych słów, które wydobywały się z ich ust. Pomocnik przerzucił się na język maninka i ku mojemu zaskoczeniu inspektor zdawał się go rozumieć.

Dobierając dziecięce słowa, tak żeby toubab go zrozumiał, pomocnik oznajmił:

– Mówi w jego języku i w języku maninka.

Inspektor przywołał gestem innego toubaba i wskazał na moje kajdany. Toubab przybiegł, pochylił się, wbił kawałek metalu w żelazną obręcz wokół mojej kostki i mnie uwolnił. Pomocnik przyciągnął mnie do Fomby.

– Powiedz mu, żeby otworzył usta i nie gryzł – pouczył mnie.

Przekazałam Fombie, co ma zrobić. Toubab wsadził palec do ust Fomby, zbadał zęby i najwyraźniej uznał, że są zdrowe.

– Powiedz mu, żeby się nie ruszał – dodał pomocnik.

Inspektor postukał go w żebra i zobaczył, że Fomba drgnął.

– Złamane? – zapytał pomocnik.

– Fomba, spójrz na mnie. Czy bolą cię żebra?

Fomba wymamrotał ledwo słyszalne „tak”, ale tłumacząc, instynktownie zmieniłam odpowiedź. Kłamstwo wydawało się bezpieczniejsze.

– Mówi, że czuje się dobrze i że żebra nie bolą go zbyt mocno.

Pomarańczowowłosy toubab zajrzał do uszu Fomby i obejrzał pozostałe części jego ciała – podniósł i pociągnął nawet jego członek. Fomba szeroko otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Inspektor przemówił do innego toubaba, który stał obok mnie i piórem wydrapywał symbole na cienkim pergaminie. Jego ręka poruszała się w niewłaściwą stronę, zostawiając na pergaminie bezsensowne symbole. Mężczyźni skończyli badać Fombę. Dwóch krajanów podniosło ciężkie drzwi tkwiące płasko w podłodze. Rozszerzyły się jak paszcza krokodyla i rozszerzały dalej, dopóki całkiem się nie rozwarły. Ze środka wydostały się gęste opary ludzkich odchodów i krzyki dorosłych mężczyzn. Fombę i skutego z nim mężczyznę wrzucono do luku. Zniknęli nam z oczu. Inspektor zwrócił się do mnie. Przemawiał, ale nie rozumiałam.

Wskazując na Sanu i jej dziecko, pomocnik powiedział:

– Toubab pyta, czy to ty.

– Nie rozumiem.

– Czy to ty złapałaś dziecko tej kobiety?

Zastanawiałam się, skąd o tym wiedzieli. I co jeszcze o mnie wiedzą. Skinęłam głową.

Inspektor zadał mi pytanie. Nie rozumiałam. Zapytał ponownie. Rozpoznałam słowo „deszcze” w języku maninka.

– Jedenaście – powiedziałam.

– Długo szłaś? – zapytał.

– Trzy księżyce.

– Gdzie matka?

Nie odpowiedziałam. Wskazał palcem na Sanu.

– Matka? – zapytał.

Potrząsnęłam głową na boki. Wskazał na Fantę.

– Matka?

Znów potrząsnęłam głową.

– Co do niego mówisz?! – zawołała Fanta.

Próbowałam ją zignorować, ale krzyknęła, że nie wolno mi rozmawiać ze złym człowiekiem. Pomocnik zrobił krok w jej stronę, ale inspektor go odciągnął.

– Nie ma matki? – zapytał.

Stałam w milczeniu. Pomocnik i inspektor zbadali Sanu, po czym odesłali ją razem ze śpiącą córeczką. Żałowałam, że nie mogę pójść z nimi.

Kiedy toubabowie odprowadzali Sanu, pomocnik zaciągnął mnie do Fanty i puścił. Kiedy tak stałam, niezakuta w żelazo, wyrzałam przez burtę statku. Mogłabym wybiec i wyskoczyć, ale porównałam swój lęk przed wodą z lękiem przed statkiem i nie ruszyłam się z miejsca.

– Otwórz usta – rozkazał pomocnik Fancie.

Inspektor czekał obok.

Mamrocząc w fulfulde, Fanta przyrównała pomocnika do końskiego zadu. Ten wyczuł obelgę i uniośł rękę. Kobieta stała przed nim niewzruszona, zbuntowana.

– Nie mówić maninka – powiedziałam.

– Nakaż jej, żeby otworzyła usta i nie gryzła – rzucił pomocnik.

Przekazałam jego słowa.

– Nigdy – powiedziała do mnie Fanta. – I tak nas zjedzą.

Nie chciałam widzieć, jak biją Fantę, poza tym bałam się, że i mnie spotka kara za jej nieposłuszeństwo. Tym razem nie zaplanowałam, jakich słów użyję.

– Mówi, że mnie skrzywdzi, jeśli tego nie zrobisz. – To zdanie po prostu wyfrunęło z moich ust.

Fanta rozchyliła wargi. Inspektor obejrzał jej zęby, szturchnął ją w okrągły brzuch i kazał mi przekazać, żeby rozwarła nogi.

– Mówi, żebyś rozwarła nogi – powiedziałam.

– Nigdy – odparła Fanta.

– Dziecko wkrótce – oznajmiłam inspektorowi.

– Dziecko kiedy? – zapytał.

– Jeden księżyc – odparłam.

Mężczyzna się zawahał. Kiedy oddychał, było słychać świszczący dźwięk. Zastanawiałam się, czy jego małe nozdrza są zatkane. W ustach toubaba skrywały się szerniałe zęby, dostrzegłam także fragment dziąseł, zaognionych jak indyjskie korale. Był brzydkim mężczyzną, który zdawał się gnicić od wewnątrz, w jego oczach jednak nie dostrzegałam chęci zadania bólu. Zaryzykowałam jeszcze raz.

– Dziecko za jeden księżyc – powtórzyłam. Przyłożyłam dłoń do dużego brzucha Fanty. – Duża mama. Duża mama. Ona mówić, że wy ją zjeść.

Inspektor nie zrozumiał. Pomocnik wyjaśnił.

– Nie zjeść matka – odparł inspektor.

On i pomocnik złapali się za brzuchy i wybuchli śmiechem.

– Pracować. Pracować w kraju toubabów. Nie zjeść. – Pomarańczowowłosy toubab opuścił ręce. Badanie dobiegło końca.

Pomocnik znowu się odezwał:

– On jej nie ugotuje. Będzie pracować dla toubabów. Wszyscy będziecie pracować.

Nie chciało mi się wierzyć w to, że toubabowie zadali sobie tyle trudu, by zmusić nas do pracy w ich kraju. Zbudowali statek, walczyli ze wzburzoną wodą, załadowali na pokład tych wszystkich ludzi i towary – tylko po to, żebyśmy dla nich pracowali? Na pewno sami mogli zbierać swoje owoce mango i młócić własne proso. To z pewnością byłoby łatwiejsze!

Wskazałam na inspektora i zapytałam jego pomocnika:

– Kim on jest?

– Znachor – odparł pomocnik.

– Za dużo z nimi rozmawiasz – rzuciła Fanta.

– On mówi, że cię nie zje – wyjaśniłam.

– Kto?

– Toubab.

– Co powiedział?

– Że będziesz musiała pracować.

– Dlaczego miałabym pracować, jeżeli i tak mnie zjedzą? Posłuchaj mnie, dziecko, wszystkich nas ugotują i pożrą.

Nadeszli inni toubabowie i zabrali Fantę. Ale mnie kazano stać obok znachora i tłumaczyć polecenia pomocnika więźniom Fulbe. Kolejnych ludzi odsyłano pod pokład. Kiedy byłam już ostatnim więźniem na pokładzie, opuściła mnie odwaga. Toubab mnie wykorzystał, a teraz mnie zabije. Prawie upadłam na kolana, ale pomyślałam o ciałach matki i ojca leżących poza wioską i stałam dalej. Po moich nogach spłynął ciepły mocz i poczułam palący wstyd.

Znachor podał mi tykwę wody.

– Pomagasz mi – powiedział.

Napiłam się, ale nic nie odparłam.

– Ty pomagasz mnie, ja pomagam tobie.

Nie miałam pojęcia, jak może mi pomóc ani co ja mogę zrobić dla niego. Żałowałam, że nie odesłano mnie z Sanu i Fantą. Patrzyłam, jak pracujący krajanie opuszczają statek, wdrapują się do łodzi i odpływają. Im wolno było przychodzić i odchodzić, ale nas, więźniów, miano odesłać. Tego byłam pewna.

Ręka znachora spoczęła na moim ramieniu. Mówił coś, czego nie rozumiałam. Pomocnik wyjaśnił, że mam z nimi zejść do wnętrza statku. Ruszył jako pierwszy. Znachor

chwycił mnie za ramię i sprowadził stromymi schodami do ciemnego, cuchnącego luku. Dusiałam się od fetoru ludzkich odchodów. Wyobraziłam sobie największego lwa w swojej ojczyźnie – tak dużego jak lew-góra na łądzie, ale żywego i głodnego. Miałam wrażenie, że sprowadzają mnie prosto do jego odbytu. Lew zdążył już splądrować wioski i połknąć ludzi żywcem, a teraz trzymał ich stłoczonych i ledwie żywych w słabym świetle swoich trzewi. Idący przed nami pomocnik niósł ruchomy ogień, który oświetlał mrok. Znachor niósł ogień zamknięty w naczyniu. Po obu stronach leżeli nadzy mężczyźni przykuci do siebie nawzajem i do swoich pryczy, jęczeli i szlochali. Po podłodze płynęły odchody i krew, które zabrudziły mi stopy.

Korytarz, którym podążaliśmy, był tylko wąską dróżką rozdzielającą mężczyzn z lewej i prawej strony. Ułożeni jak ryby w wiadrze zajmowali trzy poziomy – jeden tuż nad moimi stopami, drugi na wysokości pasa, a trzeci szyi. Leżąc na mokrych drewnianych pryczach nie byli w stanie unieść głów wyżej niż stopa.

Skuci parami nie mogli wstać, chyba że zgarbieni wychodzili na wąski przesmyk, którym szłam. Na nieheblowanych deskach nie było miejsca, żeby usiąść. Niektórzy leżeli na plecach, inni na brzuchach. Na ich kostkach zaciskały się kajdany, które łączyły ich z innymi więźniami – lewa kostka jednego była przykuta do prawej kostki drugiego. Przez otwór w żelaznych kajdanach przechodził łańcuch o takiej długości, że mężczyzna – za zgodą skutego z nim partnera – mógł pokonać zaledwie kilka stóp do ustawionych tu i ówdzie stożkowatych wiader służących do zbierania odchodów.

Mężczyźni rzucili się na mnie, błagając o pomoc. Odskakiwałam, broniąc się przed ich ostrymi paznokciami. Jeden z więźniów ugryzł pomocnika toubaba w dłoń. Ten uderzył go pałką w głowę.

Mężczyźni zaczęli krzyczeć w różnych językach. Wykrzykiwali arabskie modlitwy. Wrzeszczeli w fulfulde. Wyli w języku bamana i wielu innych, których nigdy nie słyszałam. Wszyscy prosili o to samo: wodę, jedzenie, powietrze i światło. Jeden wciąż wykrzykiwał, że jest przykuty do trupa. W migotliwym świetle widziałam, jak uderza w nieruchome ciało połączone z nim stopa w stopę. Wzdrygnęłam się i miałam ochotę krzyknąć. „Nie – upomniałam się. – Bądź *djeli*. Patrz i zapamiętaj”.

– Siostró, siostró! – zawołał jeden z mężczyzn. Przemawiał tak władczo, że nie mogłam go zignorować. Mówił jak mój ojciec.

Zobaczyłam spiętą i zmęczoną twarz, ale pełną determinacji. Mężczyzna zajmował najwyższy z trzech poziomów, więc jego twarz znalazła się blisko mojej.

– Siostró – wychrypiął w języku bamana. – Skąd jesteś?

– Z Bayo, obok Ségou – odparłam.

– Słyszeliśmy o tobie. Czy to ty łapiesz niemowlęta, choć sama jesteś jeszcze dzieckiem?

– Nie jestem dzieckiem. Widziałam jedenaście deszczów.

– Jak się nazywasz, Jedenaście Deszczów?

– Aminata Diallo.

Przekazałam pomocnikowi, że dziesięć rzędów wstecz jeden z więźniów jest przykuty do nieboszczyka. Mężczyzna zabrał ze sobą dwóch toubabów, żeby go oswobodzić. Zagrzechotali kajdanami, mruknęli, jeszcze raz zagrzechotali, aż w końcu wyciągnęli martwego mężczyznę za stopy i rzucili na pomyje. Zakręciło mi się w głowie i ugięły się pode mną kolana, ale nie mogłam sobie pozwolić na to, by upaść w nieczystości. Od jęków mężczyzn huczało mi w uszach.

– Schodź tu za każdym razem, kiedy będziesz miała okazję – powiedział mężczyzna, rozkazując mi jak ojciec. – Upewnij się, że pomocnik nie słucha. Zbieraj informacje i przekazuj je mnie. Jestem Biton. Wódz Samy. Ja także należę do plemienia Bamana. Rozmawiaj ze mną. Mów mi o wszystkim. Nie zapomnij. Słyszysz mnie, dziecko?

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

– Nie powinni byli mnie porwać – wymamrotałam. – Jestem urodzoną na wolności muzulmanką.

– Wszystkich nas porwano – powiedział. – Kiedy przyjdzie odpowiedni czas, powstaniemy. Ale na razie, dziecko, musisz nam przynieść wody.

– Wkrótce wypływamy – powiedziałam, zadowolona, że jest coś, co mogę mu ofiarować.

– Skąd wiesz?

– Usłyszałam na zewnątrz. Wypływamy bardzo niedługo.

– Dobrze – odpowiedział. – Niektórzy z nas są tu od wielu księżyców, umieramy z gorąca. Mówisz w języku toubabów?

– Nie. Ale znam fulfulde i kilka modlitw po arabsku.

– Naucz się mówić w języku toubabów – powiedział. – Ale nie ucz ich naszego języka.

Znachor popychał mnie od tyłu. Biton przemówił raz jeszcze:

– Jedenaście Deszczów, Aminato Diallo! Zapamiętaj swojego bamańskiego wodza.

W mroku z trudem posuwaliśmy się naprzód. Po krótkiej chwili inna ręka chwyciła mnie za nadgarstek. Już miałam ją uderzyć, ale kiedy się obróciłam, zobaczyłam Chekure.

– Aminato – wyszeptał.

– Chekuro!

– Czy nienawidzisz mnie za to, że cię tu przywiodłem? – zapytał.

– Tu jest zbyt gorąco na nienawiść – odparłam.

– Nie powiesz nikomu o tym, co robiłem, zanim mnie schwytali?

– Nie. Chcę, abyś żył.

Raz po raz powtarzał moje imię, po czym dodał:

– Muszę je usłyszeć z twoich ust. Proszę. Powiedz je. Wymów moje imię.

– Chekura – powiedziałam.

– Ktoś zna moje imię. Twój widok sprawił, że chce mi się żyć.

Zastanawiałam się, czy udałoby mi się przynieść mu wody.

– Teraz wszyscy musimy żyć – odparłam. – Kto chciałby umrzeć w odbycie lwa?

Wyrażenie, którego użyłam, „odbyt lwa”, zaczęło krążyć wśród więźniów. Kiedy Biton je usłyszał, wybuchł głębokim, dudniącym śmiechem, który niósł się po całym luku. Wykrzyknął na głos to, co powiedziałam, a mężczyzna obok przekazał to dalej. Ci z więźniów, którzy mówili w języku bamana, zaczęli krzyczeć. Jeden z nich zadał pytanie, a reszta odpowiedziała.

– Gdzie jesteśmy?! – zapytał.

– Siostra mówi, że w odbycie lwa! – zawołali dwaj inni.

– Pytam, gdzie jesteśmy?! – krzyknął jakiś więzień.

– W odbycie lwa! – odpowiedziała reszta mężczyzn.

– Kim jest siostra, która przyszła do nas z wizytą? – chciał wiedzieć jeden z więźniów.

– Nazywam się Aminata. Pochodzę z Bayo, obok Ségou nad Jolibą.

W ciemności mężczyźni powtarzali moje imię, a kiedy ich mijałam, wykrzykiwali swoje. Chcieli, żebym ich znała. Żebym wiedziała, kim są, i zapamiętała ich imiona. Chcieli, bym wiedziała, że żyją i że będą żyć dalej.

– Idrissa.

– Keita.

Trwało to jakiś czas. Rozglądałam się w poszukiwaniu Fomby i w końcu go zobaczyłam. Krzyknęłam jego imię. Patrzył na mnie bez wyrazu. Z jego ust nie wydobyło się ani jedno słowo.

– To ja, Aminata – wyszeptałam.

Nic nie odpowiedział. Dotknęłam jego policzka, ale on nawet nie mrugnął. Chciałam położyć głowę obok głowy tego wielkiego, silnego mężczyzny, który stał się milczący i pusty, ale znachor chwycił mnie za ramię i wskazał palcem na wprost.

Pomocnik odbezpieczył i otworzył drewniane przepierzenie, odsłaniając luk, w którym przebywało około dwudziestu kobiet i kilkoro niemowląt. Kobiety nie były skute, ale miały niewiele miejsca, żeby się poruszać. Pośrodku pomieszczenia można było swobodnie stanąć, więc kobiety zgromadziły się tam, choć te wyższe musiały się garbić. Z trudem przedzierałam się naprzód. Kobiety szeptały mi swoje imiona i pytały, skąd pochodzę.

Czyjaś dłoń zacisnęła się mocno na moim łokciu. To była Fanta.

– Trzymaj się z dala od tych toubabów, bo cię zjedzą – powiedziała.

Wyrwałam się jej i odsunęłam od kobiet. Kiedy usłyszałam płacz niemowlęcia, przeszłam wśród nich, aż znalazłam Sanu. Przytrzymała mnie za ramię.

– Potrzebuję wody albo nie będę miała mleka dla dziecka – oznajmiła.

Dotknęłam palcami jej palców. Znachor przepchnął się obok mnie i skierował w stronę schodów. Pomocnik zatrzymał się i obrócił, trzymając pochodnię.

– Zostaniesz tu, chyba że rozkażemy ci wyjść na górę. Zajmij to miejsce przy schodach – nakazał. – Jeśli je opuścisz, zbiję cię. Jeśli w nim zostaniesz, zatrzymam baty dla innych.

Wpatrywałam się w niego wyzywająco. Zobaczyłam, jak podnosi rękę. Nie pamiętam, żeby mnie uderzył. Pamiętam tylko upadek.

Obudziłam się w ciemności, w ustach miałam dziwny posmak. Czułam kołysanie, jak gdybym siedziała na osle, który upił się winem palmowym. Mój żołądek znów był chory, obolały i pusty. Próbowałam pozostać bez ruchu i znów zasnąć. Ale kołysanie nie ustępowało. Dotarł do mnie jakiś głos. Otworzyłam oczy. Znachor.

Poruszyłam się na szorstkim drewnie i poczułam, jak w biodro wbija mi się drzazga. Uniosłam głowę tak wysoko, jak potrafiłam – mniej więcej na wysokość stopy – i ześlizgnęłam się na podłogę, na której mogłam stanąć. Bolały mnie biodra. Na stopach miałam zaschnięte odchody. Od dawna nie myłam zębów. Czułam, jak wypływa ze mnie kobieca krew, i brzydziłam się tego, że stoję przed włóchatym toubabem.

Znachor chwycił mnie za rękę i wciągnął po schodach. Wyszliśmy przez inny właz niż ten nad lukiem mężczyzn. Na pokładzie oślepiły mnie palące promienie słońca, więc zacisnęłam powieki. Kiedy znów je otworzyłam, ujrzałam, że statek płynie po otwartej wodzie, choć w zasięgu wzroku nie było ani jednego wioślarza. Fale kołysały nami w górę i w dół. Ponad moją głowę naciągnięte na słupy płótna łopotały jak skrzydła latających potworów. Nie dostrzegłam ani kawałka lądu. Ani jednej łodzi z krajanami. Zagubiliśmy się w krainie wody. Pomyślałam, że toubabowie muszą znać potężne czary, które pozwalają im przesuwać statek po tej niezmierzonej tafli wody.

Znachor wskazał wiadro z wodą. Ukucnęłam, żeby się podmyć. Wszędzie miałam rany – na twarzy, biodrach, udach i kostkach. Znamię na piersi bolało tak, że nie mogłam go dotknąć ani umyć. Słona woda piekła i paliła moją skórę. Ale dobrze było splukać z siebie cały ten szlam. Kiedy nabrałam wody w dłoń i się nią polewalam, spoglądałam na inne krajanki przycupnięte wokół wiader z jedzeniem. Siedząc w kucki, wyjadały palcami papkę z tłuczonej fasoli.

Znachor wręczył mi pustą łupinę kokosa i wskazał na wiadro z wodą. Nabrałam odrobinę i ostrożnie upiłam. Nie było w niej soli. Wychyliłam resztę. Podeszła do mnie Fanta.

– Daj mi to – powiedziała, wskazując na skorupę kokosa. – Za mało wypiłam.

Podaliśmy jej wydrążony orzech. Kiedy Fanta piła, znachor podał mi długą tkaninę w piaskowym odcieniu. Pospiesznie się nią owinęłam, czując niemal taką samą ulgę jak

wtedy, gdy napiłam się wody.

Fanta opuściła łupinę kokosa.

– Kobiety przed dziećmi – powiedziała, wrywając mi tkaninę, i sama się nią owinęła.

Znachor wypuścił powietrze przez krzywe zęby, ale nic nie powiedział. Nie wiedziałam, co to za człowiek, ale nie wydawał się skłonny do przemocy. Chociaż w tej chwili żałowałam, że z całej siły nie uderzył Fanty w twarz i nie oddał mi chusty. Pozwolił jej zatrzymać materiał i przywołał mnie, bym ruszyła za nim przez część na pokładzie zajmowaną przez kobiety.

Znachor otworzył drzwi i wprowadził mnie do osobnej przegrody dla mężczyzn. Wielu więźniów było przykutych do burty statku. Niektórzy wołali mnie po imieniu, a ja witałam się z nimi. Podeszłam do Bitona, wodza spod pokładu. Stał z wyprostowanymi plecami i uniesioną głową. Uśmiechnął się.

– Aminato Diallo – wymówił moje imię z zaciekłością. I dumą.

Lubiłam słyszeć je wypowiedane w taki sposób. Dzięki temu prostowałam plecy.

– Wodzu Bitonie – przywitałam go.

– Nie było cię ponad dzień. Dlaczego tak długo nie przychodziłaś się ze mną zobaczyć?

Odparłam, że spałam, ale nie miałam pojęcia, że tyle to trwało.

Biton wpatrywał się w siniaki na mojej twarzy.

– Jeśli możesz, zostań tutaj – powiedział. – Im więcej czasu spędza się na dole, tym szybciej się umiera.

Używając dziecięcych słów w języku maninka, znachor zapytał mnie, czy pod pokładem znajdują się martwe ciała. Spojrzałam na Bitona, ale on nie rozumiał. Przekazałam mu pytanie w języku bamana. Wódz powiedział, że pod pokładem są jedne zwłoki i że mężczyzna do nich przykuty nie może wyjść na pokład, żeby coś zjeść lub napić się wody.

– Jeden martwy człowiek – powiedziałam znachorowi.

Nie zrozumiał. Wystawiłam palec i skierowałam go na dół.

Znachor powiedział, że potrzebuje dwóch mężczyzn do pomocy. Wskazałam na żelazo łączące Bitona z mężczyzną o imieniu Poto. Znachor sięgnął do zakładki w spodniach, wyjął z niej pęk metalowych kluczy, wybrał jeden, wsunął go w żelazne kajdany i uwolnił mężczyznę. Dziesięciu innych krajanów patrzyło, jak wsuwa metalowy przedmiot z powrotem do kieszeni, zabiera ze sobą dwóch toubabów z ognistymi kijami i prowadzi krajanów do luku.

Podeszłam do jedzącego Fomby.

– Dobre?

Potrząsnął głową na znak, że nie.

– Bolą cię stopy? – zapytałam.

Skinął głową. Nie spojrzał na mnie, ale ujął mnie za rękę i nie chciał jej puścić.

Usiadłam obok, czułam kołysanie statku. Biton i Poto wyłonili się z luku, ciągnąc za sobą zmarłego mężczyznę. Kiedy stanęli na pokładzie, spojrzeli po sobie, a następnie przenieśli wzrok na mnie. Znachor przywołał ich do burty i gwałtownymi gestami dał im do zrozumienia, żeby wyrzucili zwłoki do wody. Płótna dziko łopotały na wietrze, a ja nie usłyszałam nawet, jak ciało uderza o powierzchnię. Zastanawiałam się, ilu z nas skończy w głębinie.

Chwyciłam ramię znachora i wskazałam na Fombę, próbując mu przekazać, że mężczyzna jest silny i zrobi, co toubab mu rozkaże, jeśli tylko zdejmie mu te okropne żelazne kajdany. Toubab nie miał pojęcia, o czym mówię.

– Nie mieszaj go do tego – powiedział Biton, wskazując na Fombę.

– Dlaczego?

– Nie potrafi nawet mówić. Stracił rozum. Musimy sprawić, by toubab ufał tym, którzy mogą nam się przydać.

– On jest z mojej wioski – wyjaśniłam.

– Wszyscy jesteśmy z jakiejś wioski, dziecko. Zadbam o to, by go nie skrzywdzono. – Biton stał nieruchomo, ułatwiając znachorowi nałożenie mu kajdan. – Odwiedź mnie wkrótce, Aminato.

Ognistowłosa toubab chwycił mnie pod rękę i pociągnął ze sobą, zatrzymując się, by sprawdzić łańcuchy kilku więźniów. Ktoś z drugiego rzędu wyszeptał moje imię.

– Aminato. – Chekura miał splątane włosy i siniaki na obu policzkach, a jego stopy oblepiał brud. W tym momencie jednak zdawał się na to nie zważać. – Uważaj na tego człowieka. Chce być naszym przywódcą. Ale możesz przez niego zginąć – wyszeptał w języku fulfulde, żeby Biton go nie zrozumiał.

Biton był mężczyzną, a Chekura wciąż tylko chłopcem. Wódz był o wiele większy i potężniejszy, a krajanie już słuchali, kiedy mówił. Choć Chekura pomagał moim porywaczom, i tak chciałam mu ufać. Towarzyszył mi przez trzy księżyce. Pochodził z wioski położonej niedaleko mojej i mówił w języku mojego ojca. Czułam, że obroni mnie, jeśli będzie mógł. Ale widziałam, co potrafią ogniste kije, i pomyślałam, że jeśli krajanie się zbuntują, Chekura zginie. Kto mi wtedy pomoże? Nie wiedziałam, komu zaufać. Zastanawiałam się, kogo wskazałby mój ojciec: Chekurę czy Bitona. Jego odpowiedź mnie nie pocieszyła. „Miej oczy i uszy otwarte, ale ufaj tylko sobie”.

Trzymając mnie za ramię, znachor zszedł po kolejnych schodach. Przedarliśmy się przez zatłoczone pomieszczenie, gdzie mężczyźni spali w hamakach zawieszonych na stropowych belkach. Minęliśmy kucharza krzątającego się przy olbrzymim kotle, po czym znaleźliśmy się w wąskim korytarzu z mnóstwem drzwi. Znachor otworzył jedno z nich i wkroczyliśmy do małego pokoju. Zamknął drzwi. Zostaliśmy tylko we dwoje. Poczułam ulgę, że znalazłam się z dala od cuchnących pomieszczeń sypialnych i zatłoczonego

pokładu. Ale to, że zostałam w pokoju sam na sam z toubabem, nie było dla mnie dobre.

Ziewnął, przeciągnął się i zdjął kaftan. Na koszuli pod pachami mężczyzny widać było żółte plamy, a on sam wydzielał ostrą woń. Usiadł na łóżku, na które składało się drewniane podwyższenie przykryte nierównym siennikiem. Dał znać, żebym usiadła. Nie poruszyłam się. Uderzył o skraj łóżka. Usiadłam, zdenerwowana, żałując, że oprócz mnie nikogo tam nie ma. Fanta wiedziałaby, jak się zachować w takiej sytuacji.

Znachor wymówił słowo w języku toubabów, wskazując na miejsce, na którym siedziałam.

– Łóżko – powtarzał raz po raz, czekając, aż wskażę na nie i powiem to samo.

– Łóżko – wymówiłam, a on zdawał się szczęśliwy.

Uderzył o własną pierś, celując kciukiem w mostek, i powtórzył inne słowo.

– Tom – wymówił kilkakrotnie.

– Tom – powtórzyłam.

Następnie wskazał na mnie. Powiedział moje imię. Zmarszczył brwi.

– Aminata – powtórzyłam raz jeszcze.

On jednak wskazał na mnie i powiedział inne słowo. Mówił je raz po raz. Chciał, żebym je powtórzyła.

– Mary – rzuciłam w końcu.

Raz jeszcze wskazał na mnie, więc zrobiłam to samo. Użyłam kciuka tak jak on.

– Mary – powiedziałam cicho. Wypchnęłam sylaby przez wargi i przyrzekłam sobie, że ostatni raz wymawiam to słowo albo jego imię.

Podskoczył i klasnął w dłonie.

– Mary – powtórzył kilka razy.

Ja także się podniosłam. Pragnęłam znów znaleźć się w towarzystwie kobiet. Znachor jednak ponownie położył mi dłoń na ramieniu i pchnął z powrotem na łóżko, zbliżając twarz do mojej. Jego brodę porastały pomarańczowe kłaki, a z uszu i twarzy wychodziły mu długie włosy. Po bokach twarzy, tuż obok uszu, włosy były tak grube jak jego kciuki. Pokonał długość pokoju, pogrzebał w kufrze i wyjął z niego czerwoną tkaninę. Była długa, szeroka i utkana z miękkiego lnu. Przewiesił mi ją przez ramię. Podskoczyłam i zakryłam nią pupę i części intymne, związując chustę na biodrze. Mężczyzna zdawał się podziwiać węzeł, który zrobiłam, i zwinność moich dłoni. Jeszcze raz zmusił mnie, żebym usiadła, i opuścił pokój.

W ścianie naprzeciwko łóżka znajdował się mały otwór. Podeszłam, żeby przez niego wyjrzeć, i poczułam na twarzy delikatną mgiełkę. Płynęliśmy po spokojnych wodach. Słyszałam delikatne trzepotanie płócien statku, ale nagle zza pleców dotarł do mnie nowy, dziwny dźwięk. Stałam bez ruchu. Choć drzwi były zamknięte, miałam pewność, że ktoś mnie obserwuje. Serce mi waliło. Odwróciłam się gwałtownie. Nikogo. Absolutnie

nikogo. Wtedy dźwięk się powtórzył. Dobiegał z rogu pomieszczenia. Tam na stole stała metalowa klatka, a w środku siedziała niebieskożółta papuga z groźnym dziobem. Jej skrzydła szeleściły. Odskokczyłam. Ptak poruszał się tylko po żerdzi. Nie mógł uciec ani mnie złapać, ponieważ był uwięziony w klatce, podobnie jak ja na tym statku.

Papuga przekrzywiła głowę, jak gdyby chciała mi się lepiej przyjrzeć, i wymówiła kilka słów. Nic nie rozumiałam. Ptak nie śpiewał. On mówił. I nie używał języka krajanów. Przemawiał w języku toubabów.

Obok klatki umieszczono naczynie z orzechami. Ugryzłam jeden z nich. Miał intensywny smak. Włożyłam do ust jeszcze dwa orzechy i przeżułam je. Ptak spoglądał to na orzechy, to na moje usta, wściekle przy tym skrzecząc. Odłożyłam orzechy. Obok nich leżał żółty owoc o grubej skórce, tak duży jak pół mojej pięści i wydłużony przy obu końcach. Wgryzłam się w niego. Był gorzki, więc go odłożyłam.

Odwróciłam się, gdy otworzyły się drzwi.

– Och, och – rzucił znachor. Podszedł do mnie i obejrzał żółty owoc, na którym widniały ślady moich zębów. Sięgnął do pasa i wyjął nóż z pochwy.

Wycofałam się do łóżka i zacisnęłam usta, żeby nie krzyknąć. On jednak nie wyciągnął noża w moim kierunku, ale pokroił owoc, wyjął ze słoika jasnobrązowe kryształki i posypał nimi cząstki. Podniósł kawałek do ust, wgryzł się w niego i wyssał miąższ, pozostawiając skórkę. Podał mi cząstkę owocu. Uniosłam ją do ust, wessałam i zakrztusiłam się od cierpkości. Znachor posypał ją dodatkowymi kryształkami. Znów zaczęłam ssać. W moich ustach rozkołysały się smaki i nagle zdałam sobie sprawę z tego, jaka jestem głodna i spragniona.

Przyniósł mi dwie łupiny kokosa. Jedną wypełniała woda, a drugą ziemniaki z olejem palmowym. Zjadłam ziemniaki zbyt szybko i wypiłam wodę tak łapczywie, jakby ktoś chciał mi ją zabrać. Poczułam, jak mój żołądek się buntuje. Statek znów kołysał się na wodzie.

– Jedzenie – powiedział, wskazując na to, co zjadłam.

Powtórzyłam.

– Głód – dodał, klepiąc się po brzuchu.

Próbowałam powtórzyć to słowo. Kolejny raz potarł powierzchnię, na której siedziałam. Przypomniałam sobie jej nazwę.

– Łóżko – rzuciłam.

Uśmiechnął się i dał znać, że powinnam się położyć. Nie wydawało mi się, by był to dobry pomysł, ale nie miałam dokąd pójść. Statek stanowił dla mnie tajemnicę. Gdybym się uwolniła i uciekła od znachora, nie wiedziałabym nawet, gdzie szukać krajanek. A nawet gdyby mi się to udało, znów musiałabym spać w cuchnącym luku statku. Mężczyzna naciągnął na mnie tkaną chustę, pogłaskał mnie po ramieniu i powtórzył:

– Mary.

Jego dłoń wślizgnęła się pod materiał i zjechała po moich plecach. Odwróciłam się gwałtownie i naciągnęłam tkaninę na ciało. Leżałam twarzą w dół, zaciskając nogi. Mężczyzna znów musnął moje plecy. Zwróciłam się ku niemu, usiadłam i syknęłam:

– Nie rób tego, albo mój ojciec powróci z zaświatów, żeby cię zabić. Mam dopiero jedenaście deszczów.

Toubab nie miał pojęcia, co mówię, ale musiał dostrzec moją złość i mój strach. Gdy niektóre zwierzęta wyczuwają strach, stają się jeszcze bardziej rozjuszony. Ale znachor odwrócił się gwałtownie i ukrył głowę w dłoniach. Po chwili sięgnął po biały przedmiot leżący na stole i przycisnął go do piersi. Była to dziwnie prosta rzeźba – jeden patyk biegł w dół, a drugi go przecinał. Mężczyzna przycisnął go do piersi, cicho mamrocząc, i okrył mnie tkaniną. Poklepywał po ramionach i mamrotał. Jego dłoń nie zjechała już w dół moich pleców. Wciąż nieruchomo leżałam na wznak, żeby móc go obserwować, i nie odzywałam się ani słowem. W końcu musiałam zasnąć.

Obudziłam się w ciemności. Leżałam wciśnięta w przeciwległy kąt łóżka, tuż pod ścianą, ale nie byłam sama. Obok mnie kołysały się dwie postaci ułożone jedna na drugiej. Obie głośno oddychały. Jedna z nich miała wysoki, protestujący, wystraszony głos. Była to krajanka. Dyszała i wypowiadała słowa, których nie rozumiałam. Ona znajdowała się pod spodem.

Znachor leżał na niej, stękając i pchając ją w górę i w dół, w górę i w dół. Przycisnęłam się płasko do ściany i zamknęłam oczy. Byłam pewna, że mężczyzna nigdy nie powinien dotykać w ten sposób kobiety, która nie jest jego żoną. Wiedziałabym o tym, nawet gdyby papa nie uczył mnie fragmentów Koranu.

Toubab westchnął. Łóżko znieruchomiało. Poczułam, jak ciężar znachora opada w przestrzeń pomiędzy kobietą i mną, a krajanka łapała dech i płakała. W końcu ich oddechy się uspokoiły. Długo w noc obserwowałam, jak ich klatki piersiowe podnoszą się i opadają, aż w końcu sama musiałam zasnąć.

Kiedy się obudziłam, przez okno wpadało światło. W pomieszczeniu nie było ani znachora, ani kobiety. Naciągnęłam na siebie tkaninę. Okno było zamknięte. Na stole pod nim znalazłam kilka porcelanek i trzy twarde metalowe przedmioty. Były cieńsze od biedronki i okrągłe jak mój paznokieć, ale większe. Miały odcień srebra. Nadgryzłam jeden z nich, lecz nie ustąpił. Po jednej stronie każdego przedmiotu wyrzeźbiono głowę mężczyzny.

Przez kolejne dni pomarańczowowłosy pokazał mi, w jaki sposób wydostać się z kabiny i wyjść na pokład i jak odnaleźć pomieszczenia dla kobiet i mężczyzn. Kobiety mogły odwiedzać luk z mężczyznami, ale mężczyźni byli zakuci w kajdany i nie mogli opuszczać lochu. Wokół ich niewielkiej części na pokładzie ustawiono uzbrojonych

strażników, by więźniowie nie mogli uciec.

Za dnia swobodnie poruszałam się po pokładzie, ale noce musiałam spędzać w pokoju znachora. Mężczyzna pokazał mi, jak opiekować się jego papugą. Wieczorami miałam przykrywać klatkę tkaniną i zdejmować ją rano. Musiałam czyścić klatkę, karmić ptaka orzechami i częstować innymi smakołykami, które toubab przynosił do kabiny. Bananem. Gotowanym mięsem. Słodkimi ziemniakami. Prosem. Ten ptak jadł wszystko. Kiedy znachora nie było w pobliżu, zjadałam to, co przynosił. Gdy chrupałam orzechy, ptak skrzeczał, więc się z nim dzieliłam. Myślałam o tym, że jeśli kiedykolwiek wrócę do Bayo, ludzie nigdy mi nie uwierzą. „Toubab znachor kochał ptaka. Pozwalał mu siadać na ramieniu. Kochał go tak bardzo, że nauczył go mówić w języku toubabów”. Mogłam sobie jedynie wyobrażać ich reakcję. Rzucaliby we mnie przedmiotami, wyliby ze śmiechu i przekazywali sobie historię przez dwa księżyce. „Opowiedz mi jeszcze raz o mężczyźnie i jego papudze”.

Kiedy ptak nas obserwował, znachor nigdy nie próbował mnie dotknąć. Najpierw kazał mi przykrywać klatkę. Są mężczyźni, których oczy rozpala chęć zadania bólu, ale ten toubab miał słabe, niebieskie, wodniste tęczówki – nawet wtedy, gdy papuga nas nie widziała. Ilekroć kładł rękę na moim ramieniu lub plecach, gwałtownie ją odpychałam i krzyczałam ze złością. Odskakiwał jak zbity pies i zabierał się do lektury książki, którą trzymał w pokoju. Czytał ją na głos. Brzmiało to tak, jakby wciąż wypowiadał te same słowa. O dziwo, w takich chwilach dawał mi wszystko, o co prosiłam. Jedzenie. Wodę. Dodatkowy kawałek materiału z drewnianego kufra w kajucie. Albo jeden z tych tajemniczych metalowych krążków z głową mężczyzny po jednej stronie.

Toubabowie codziennie wyprowadzali z luku małe grupy więźniów. Widziałam, jak wychodzą z ciemności, potykając się, wzdragając przed światłem i przysłaniając oczy zgięciem łokcia. Uwięzieni na małym obszarze mężczyźni otrzymywali wodę i jedzenie. Czasem także pozwalano im się umyć. Widziałam, jak jeden ze starszych mężczyzn upadł na twarz, kiedy próbował się opłukać. Nie mógł się podnieść. Wystawały mu żebra i sprawiał wrażenie wycieńczonego. Zajął się nim jedna z krajanek – także starsza i osłabiona – która głaskała go po czole i podsuwała mu tykwę z wodą do ust. Czterech toubabów odepchnęło ją na bok, złapało mężczyznę pod kolanami i pachami. Zwisał im w ramionach, nie miał siły z nimi walczyć. Kobieta krzyczała, błagała i próbowała oderwać palce toubabów od starca, oni jednak przepchnęli się obok niej, wciągnęli mężczyznę na burtę i wrzucili go do wody.

W kolejnych dniach smutek kobiety był tak wielki, że nikt nie chciał stać obok niej na pokładzie ani kucać z nią przy wiadrze z jedzeniem. Od Sanu usłyszałam, że któregoś dnia kobieta nie wyszła na pokład. Po dwóch następnych przestała się ruszać. Wyniesiono ją z luku i wrzucono do głębiny, podobnie jak jej mężczyznę. Nikt o nią nie walczył ani nie

błagał. A kiedy jej już nie było, nikt nie chciał o niej rozmawiać. Spytałam Fanty o to, czy według niej kobieta umarła, zanim wyciągnięto ją z luku.

– Cśś – uciszyła mnie i odwróciła się plecami.

Wraz z upływem dni zaobserwowałam, że im więcej swobody miały kobiety, tym więcej ryzykowały. Fanta oznajmiła mi, że jestem głupia, skoro towarzyszę znachorowi. Powiedziała, że wolałaby raczej spać przy wiadrze z gównem niż w łóżku toubaba. Zazwyczaj nie opuszczała luku, a ponieważ miała już duży brzuch, toubabowie jej na to pozwalali. Ja jednak nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Wiele innych kobiet także zmuszano, by spędzały noce lub ich część z naczelnikami toubabów. Znachor co kilka nocy zabierał do łóżka kobiety. Miał trzy lub cztery ulubione i kazał mi nie opuszczać posłania, nawet kiedy z nimi był. Przyciskałam się do ściany, zasłaniałam uszy i głośno nuciłam, żeby nie zwracać uwagi na sapanie i wstrząsy. Wiedziałam, że prawie natychmiast po tym, jak jego ciało przestanie drżeć, zapadnie w krótką drzemkę. Wtedy kobieta ostrożnie wstawała z łóżka i przeszukiwała pokój, czasem wyjmowała z pudła jakiś przedmiot i chowała go do chusty. Toubab budził się gwałtownie, wstawał, dawał kobiecie jedzenie i wodę lub barwną tkaninę i odsyłał ją do luku.

Nocą w jego kajucie kobiety nigdy na mnie nie patrzyły ani nie łąpały mojego spojrzenia. Rozumiałam, że mam z nimi nie rozmawiać. Nigdy nie zdradziłabym, że krajanki kradły to, co znajdowały w pudłach, codziennie dostarczanych do kajuty mężczyzny. Widziałam, jak w chustach znikają żelazne pilniki. Widziałam, jak jedna z kobiet za zgodą znachora bierze pomarańczę, czeka, aż toubab się odwróci, podnosi gwóźdź z ziemi i wbija go głęboko w owoc.

Na pokładzie statku słyszałam rozmowy kobiet. Mówiły, że wielki wódz toubabów jest zbudowany jak osioł i że nigdy nie daje kobietom niczego poza odorem swojego ciała. Mówiły, że włosy pokrywają jego szyję, plecy, a nawet palce. Fanta tylko chrząkała, ostrzegając, że jedna z nas z pewnością skończy w jego żołądku, zapewne także porośniętym włosami.

Po dziesięciu dniach na morzu toubabowie zdjęli kajdany niektórym mężczyznom wypuszczanym na pokład, ale przed wepchnięciem do luku z powrotem ich w nie zakuwali. Biton zachęcał mnie, bym nauczyła się wszystkich słów toubabów, jakie zdołam zapamiętać, aby przekazywać mu informacje. Rozkazał mi też wynosić różne przedmioty z kajuty znachora.

– Gdyby Biton kochał cię jak ojciec – ostrzegał Chekura – nie próbowałby sprowadzić na ciebie nieszczęścia. Powiedz mu, że nic nie znalazłaś.

Fomba wciąż milczał, zakuty w kajdany. Choć Biton powiedział, bym nie prosiła o przysługi dla Fomby, nie mogłam patrzeć na otartą skórę i krew na jego kostkach. Nie narzekał nawet przy mnie. Przekazałam znachorowi, że Fombie można zaufać, wypuścić go

z kajdan i pozwolić, by rozlewał jedzenie z kotłów do wiader. Udało mi się także dostać dla Fomby chustę na biodra. Po tym wszystkim jednak martwiłam się, widząc, że kiedy toubabowie nie patrzą, kobiety podchodzą do Fomby i przekazują mu różne przedmioty. Wyobraziłam sobie, że mój ojciec mówi: „Trzymaj się z dala od kłopotów i bądź bezpieczna”.

Zachowałam jedzenie z kajuty znachora dla Fomby, Chekury, Fanty i Sanu i przekazałam im je na pokładzie. Któregoś dnia, kiedy przyniosłam Chekurze pomarańczę, chłopak rozerwał owoc, wyssał całe wnętrze i wyrzucił resztki za burtę. Sok i miąższ spływały mu po twarzy. Wyglądał jak dziecko, które dopiero uczy się jeść, ale wcale się tym nie przejmował. Miał mnóstwo nowych informacji.

– Fomba może i nie mówi, ale potrafi używać rąk.

– Co zrobił?

– Na dole wyjął gwóźdź i zdjął sobie kajdany. Biton powiedział, że zrobił to przypadkiem, na co Fomba założył kajdany z powrotem i znów je otworzył. Biton próbował to powtórzyć, ale mu się nie udało. Przez całą noc próbował rozewrzeć kajdany gwoździem. Nie potrafił. Zawołał Fombę, który zrobił to w mgnieniu oka.

Któregoś popołudnia na pokładzie, zanim więźniowie otrzymali posiłek, wódz toubabów przyniósł kadłub obgryzionego kurczaka. Wrzucił go w tłum mężczyzn, którzy zaczęli się kopać i walczyć o resztki, lizali i ssali to, co udało im się zdobyć, ogryzali kości z resztek mięsa i miażdżyli je w poszukiwaniu szpiku. Kiedy pomiędzy niewolników wrzucono kolejną tuszę, znów zaczęły się walki. Marynarze pokładali się ze śmiechu i rzucili mężczyznom trzeciego kurczaka.

Biton był wśród krajanów na pokładzie. Słyszałam, jak rzuca rozkazy, i zobaczyłam, że mężczyźni przestają walczyć i wycofują się, nie tykając trzeciej tuszki. Biton podniósł kurczaka i rzucił nim z powrotem w wodza toubabów.

– Nie odważysz się mnie zabić – krzyknął Biton. – Jestem zbyt cenny.

Toubabowie nie mieli pojęcia, co mówi, ale i tak go wychłostali. Dostał dziesięć batów w plecy. Gdy pierwsze uderzenie werzło się w jego ciało, zeszedłam do kabiny znachora. Nie mogłam patrzeć na to, jak Biton dostaje baty.

Następnego dnia znów wyszedł na pokład. Jego chód był sztywny, ale mężczyzna nie narzekał. Od tego dnia stał się niekwestionowanym wodzem niewolników.

*

Najbardziej ze wszystkiego krajanie nienawidzili, kiedy kazano im tańczyć nad batem, który pomocnik toubaba rozkładał na pokładzie. Któregoś dnia pomocnik zachorował i przekazał bat jednemu z marynarzy. W czasie tańca zaczęłam śpiewać piosenkę, wymieniając imiona wszystkich ludzi, jakich widziałam. Próbowałam wypowiedzieć imię każdej osoby i podać nazwę wioski, z której pochodziła.

Znałam już kilka.

– Biton z Samy – zaśpiewałam. – Chekura z Kinty. Isa z Sirakoro. Ngolo z Jelibugu. Fanta z Bayo.

Nastroje krajanów nieco się poprawiły. Kobiety i mężczyźni klaskali w dłonie, kiedy wyśpiewując ich imiona, nie popełniłam błędu, a inni je powtarzali. Kiedy podawałam błędne imię lub wcale go nie znałam, dana osoba dwukrotnie klaskała w dłonie, tańczyła ze mną i śpiewała swoje imię oraz nazwę wioski. Wszyscy polubili to zajęcie i ilekroć kazano nam tańczyć, krajanie na zmianę wymieniali nazwy wiosek i imiona otaczających ich ludzi. Niektórzy potrafili wymienić nawet piętnaście imion i wiosek, ale ja już po kilku dniach znałam imiona niemal wszystkich więźniów na statku.

Biton kazał nam śpiewać pieśń imion i tańczyć tak energicznie, że toubabowie podchodzili bliżej, by nas podziwiać. Ustawiali się według naturalnego porządku – wódz toubabów, jego zastępca, znachor i inni przywódcy z przodu innych toubabów. Biton zawsze tańczył sam i śpiewał tak głośno, by każdy z nas go słyszał.

Zaczynał od pytania, które brzmiało jak piosenka.

– Czy jest tu pomocnik toubabów? Proszę, odpowiedzcie, przyjaciele.

– Nie – odpowiadał ktoś śpiewem – pomocnika tu nie ma.

– Rozejrzyjcie się jeszcze raz, przyjaciele, żeby się upewnić! – wołał. Kiedy upewniał się, że pomocnika nie ma, zaczynał tańczyć jeszcze intensywniej i dalej śpiewał: – Ten z włosami na samej brodzie to Drugi Wódz. Zarządza statkiem. Przeżyje. A ten drugi z brzuchem tak wielkim jak kobieta nosząca dziecko to Wódz Toubabów. On umrze. Ale najpierw poczekamy na dziecko Fanty.

Płynęliśmy statkiem już przez pełną fazę księżyca. Każdego dnia umierał jakiś człowiek – jeden lub dwóch dziennie. Zmarłym nie okazywano żadnego szacunku. Plusk, jaki wydawali, uderzając o wodę, wzbudzał u mnie coraz większy lęk i obrażał duchy zmarłych. Dla mnie było to gorsze niż zabijanie więźniów. Nasłuchiwałam plusku, chociaż się go obawiałam, jego brak jednak przerażał mnie jeszcze bardziej. Cisza oznaczała, że ciała toną w zapomnieniu. Nocami w snach nawiedzali mnie ludzie spadający z krawędzi Bayo i znikający bez ostrzeżenia i dźwięku, jak gdyby z zasłoniętymi oczami spadli z klifu.

Marynarze także umierali na pokładzie. Niektórych z nich widziałam, kiedy towarzyszyłam znachorowi – chorych i umierających. Ich dziąsła gnily i były przerośnięte, ślina zamieniała się w zieloną flegmę, na ich skórze pojawiały się czarne plamy oraz otwarte rany, które okropnie cuchnęły. Gdy umierał jeden z przywódców toubabów, wyrzucano go za burtę w ubraniu. Gdy umierał marynarz, rozbierano go i rzucono na pożarcie rekinom, które płynęły za nami jak wodne sępy. Marynarze co dzień wyrzucali za burtę różne śmieci – wiadra gówna, beczki ze śliną, zwymiotowane zgniłe jedzenie, napęczniałe szczury – ale za każdym razem, kiedy słyszałam plusk, obawiałam się

najgorszego.

Na pokładzie nie było dzieci w moim wieku. Nie miałam z kim się bawić. Poza kilkorgiem niemowląt statkiem płynęli tylko kobiety i mężczyźni. Choć miałam szczęście, że nie zamykano mnie w luku wraz z innymi, często nie mogłam sobie znaleźć zajęcia. Siedząc samotnie w kajucie znachora, spałam, by czas szybciej mijał. Zabawiałam się także, rzucając orzeszki papudze lub ucząc ją zdań takich jak: „Toubab pożałuje” w fulfulde. Wymyślałam też konwersacje pomiędzy moimi rodzicami. Kazałam im się o mnie kłócić: „Będzie spała z kobietami w luku”. „Nie, nie będzie. Lepiej zostawić ją z toubabem, on jest nieszkodliwy”. „Nieszkodliwy? Czy jest nieszkodliwy dla tych kobiet w nocy?” Kiedy tego rodzaju słowa przyprawiały mnie o ból głowy, kierowałam rozmowę na dom: „Zbyt dużo czasu spędzasz na odwiedzaniu kobiet w innych wioskach i nie zasiałaś wystarczająco dużo prosa. Kobiety z wioski skarżą się za każdym razem, kiedy nie idziesz z nimi na pole”. „Nie odwiedzam kobiet. Łapię dzieci, przynoszę do wioski kurczaki, garnki i noże, a raz przyprowadziłam kozę. Nie obchodzą mnie głupie kobiety na polu. Czy one sadzą tam kurczaki? Czy sadzą kozy?”

Któregoś wieczoru na pokładzie Fanta powiedziała mi, że czuje spazmy w brzuchu i że jest gotowa, by urodzić dziecko. Zamachałam do Chekury, którego właśnie prowadzono na noc do luku wraz z innymi mężczyznami. Skinął głową, kiedy wskazałam na Fantę, zaokrągliłam dłonie, przystawiłam je do podbrzusza i wyrzuciłam w przód.

Codziennie krążyłam pomiędzy pokładem i kajutą znachora i nikt nie śmiał mnie zatrzymać, bo należałam do niego. Tym razem zabrałam Fantę ze sobą. Po raz pierwszy znalazła się w pokoju toubaba. Gdy ujrzała kocioł dla przywódców toubabów, powiedziała:

– Powinniśmy ich zabić, zanim wszystkich nas ugotują.

W kabinie znachora przykryłam łóżko dodatkowymi chustami i przysunęłam wiadro wody. Miałam nadzieję, że poród będzie szybki.

– Jeśli to długo potrwa, mogę tu spędzić całą noc – powiedziała Fanta. – A nie mam zamiaru spać w łóżku z toubabem. Prędzej umrę. Albo on umrze.

Położyłam jej dłoń na ramieniu i przykazałam, żeby myślała o dziecku. Chrząknęła.

– Już dawno przestałam się tym przejmować. Żaden toubab nie zrobi temu dziecku tego co nam.

Przeszedł mnie dreszcz.

Musiałam na chwilę uciec od Fanty. Musiałam się pozbierać, więc zrobiłam to, co wcześniej pokazał mi znachor. Zabrałam z kabiny szeroką metalową miednicę, opuściłam pomieszczenie i gestem wskazałam młodemu toubabowi pracującemu przy kuchennym ogniu, żeby wrzucił do wiadra dwie rozgrzane bryłki żelaza. Wróciłam z nimi do kajuty. W środku zastałam Fantę stojącą z otwartymi ustami i wskazującą na papugę. Ptak na nią

skrzeczał. Rzuciłam mu kilka orzeszków i przykryłam klatkę workiem, żeby się zamknął.

– Nie dawaj jedzenia temu zwierzęciu – powiedziała Fanta. – Weź jedzenie sobie. Daj je innym. Albo mnie.

– Muszę karmić tego ptaka, bo inaczej umrze. A jeśli umrze, znachor...

– Wiem, wiem – mruknęła.

Wlałam kilka wiader wody do metalowej miednicy i kazałam Fancie wejść do środka. Przykucnęła ostrożnie, żeby nie oparzyć się czerwonym metalem.

– Nie myłam się w tak ciepłej wodzie, odkąd opuściliśmy Bayo – powiedziała.

– Hmm – wymamrotałam.

– Ty to robisz?

– Czasem.

– Czy on wtedy na ciebie patrzy?

– Tak.

– Dotyka cię?

– Próbuje, ale mu na to nie pozwalam.

– Wolno ci?

– Przestaje, kiedy patrzę mu w oczy i ostro do niego przemawiam.

– To słaby toubab. A słabi umierają pierwsi.

Nie śmiałam spytać Fanty, których słabych ludzi ma na myśli, krajanów czy toubabów.

Kobieta nieco się rozluźniła. Patrzyłam, jak znosi kilka skurczy. Skończyła się myć, osuszyła się tkaniną, którą jej podałam, zadrzała i weszła do łóżka.

– Nazywasz go jakoś? – zapytała.

– Kogo?

– Znachora. Nazywasz go po imieniu?

– Ma imię. Brzmi jak „Tom”.

– Nazywasz go tak?

– Nie. Nie nazywam go w żaden sposób. Po prostu do niego mówię. Bez imienia.

– To dobrze.

Fantą przez jakiś czas wstrząsały skurcze, ale w końcu osłabły i kobieta usnęła. W tym czasie znachor wrócił do kabiny. Wyrzucił ręce w powietrze. Był wstrząśnięty.

– Dziecko – wyjaśniłam. – Łapać dziecko.

Sam nauczył mnie tych słów.

– Nie.

Wstałam. Spojrzałam mu w oczy. To był jedyny sposób. Działał, kiedy odpychałam od siebie jego dłonie, więc miałam nadzieję, że zadziała i teraz.

– Łapać dziecko – powtórzyłam, a w języku bamana dodałam stanowczo: – Idź. Matka śpi.

– Kiedy? – zapytał.

– Łapać dziecko wkrótce – odparłam.

Wyjął z kieszeni pomarańczę, a z pochwy przy pasku wy dobył długi nóż z rękojeścią z kości słoniowej. Następnie rozciął owoc, odłożył go wraz z nożem na mały stolik i dał mi znać, że Fanta i ja możemy go zjeść. Odwrócił się, wyjął z kufra kolejną chustę i położył ją u stóp Fanty. Spojrzałam na nóż. Znachor zapomniał zabrać go ze stolika. Szybko napił się z butelki, wsadził ją z powrotem pod tkaniny w kufrze, zabrał kilka rzeczy i opuścił pomieszczenie.

Siedziałam na łóżku i czekałam, aż Fanta się obudzi. Chrapała. Pomyślałam, że potem będę jej mogła dokuczać, że wydaje dźwięki jak dzika świnia. Kiedy w końcu się obudziła, usiadła gwałtownie, rozejrzała się i przypomniała sobie, gdzie jest. Jęknęła i położyła się z powrotem. Jej oddech przyspieszył. Zaczęłam masować jej plecy.

– Musisz o czymś wiedzieć – powiedziała.

– Nikt nikogo nie zje, więc przestań teraz o tym myśleć – przerwałam jej.

– Za jedną lub dwie pory deszczowe miałaś zostać kolejną żoną mojego męża – oznajmiła.

Otwarłam usta i cofnęłam rękę.

– To kłamstwo.

– To dlatego nigdy cię nie lubiłam – wyjaśniła. – Byłaś taka młoda, jeszcze nawet w połowie nie stałaś się kobietą, a ja wiedziałam, że któregoś dnia będziesz ulubienicą mojego męża. – Na jej czole pojawiły się krople potu, jednak ich nie otarłam. – Zamierzałam zmusić twoją matkę, by zostawiła cię na progu – mówiła dalej. – Kiedy tylko znalazłybyśmy się same, porządnie bym cię zbiła. Chciałam, żebyś za to zapłaciła.

– Nie wierzę ci – powiedziałam. – Ojciec i matka nigdy by się na to nie zgodzili.

– Nie? Jak myślisz, co jubiler mógłby odpowiedzieć wodzowi wioski? Nie lepiej by było, gdyby zaakceptował jego propozycję i wynegocjował dobre warunki?

– Nie wierzę ci.

– Nie chcesz wiedzieć, ile byłaś warta?

– Nie.

– Któregoś dnia znienawidzisz ludzi takich jak ja. Nie będziesz już miała na twarzy tej dziecinnej miny, która sprawia, że wszyscy chcą cię kochać i klaszczą w dłonie z dumą, że taki maluch jak ty potrafi już łapać dzieci. Wiesz co, Aminato? Każdy potrafi urodzić dziecko i każdy głupi potrafi je złapać.

Byłam taka wściekła, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam dźgnąć ją nożem. Wyrwać jej włosy. Chciałam wrzeszczeć, że jest kłamczuchą i że moi rodzice nigdy nie oddaliby mnie starcowi. Nawet gdyby był wodzem. Ale wiedziałam, że nie mogę jej skrzywdzić ani krzyknąć. Moja matka nauczyła mnie, że gdy łapie się dziecko, trzeba być

spokojnym. Matka może się zachowywać jak tyranka lub rozhisteryzowane dziecko, ale ty nie. Kiedy łapiesz dziecko, stajesz się kimś innym. Zapominasz o sobie i pomagasz drugiemu człowiekowi. Przełknęłam ślinę. Zastanawiałam się, czy Fanta powiedziała prawdę. Smutek wzbierał we mnie przez trzy księżyce na lądzie i ponad księżyc na tym cuchnącym statku, a teraz się rozlał. Z oczu spłynęły mi łzy, a oddech stał się urywany. Szlochałam, płakałam i stałam w miejscu zupełnie bezużyteczna, podczas gdy Fanta leżała na plecach, obserwowała mnie i czekała. Przez kilka chwil straszliwie drżałam, stałam z zaciśniętymi powiekami i pięściami. Kiwałam się i kołysałam, aż w końcu poczułam spokój. Mogłam zrobić tylko jedno – coś, czego nie robiłam już od bardzo dawna: zwrócić się do Boga.

– *Allahu Akbar* – wymamrotałam. Bóg jest wielki.

– Nie marnuj już na to czasu – powiedziała Fanta. – Nie widzisz, że Boga nie ma? Rządzą toubabowie, a wokół panuje szaleństwo.

Może miała rację. Może Allah żył tylko na mojej ziemi, tam gdzie mieszkali krajanie. Może nie było go na statku toubabów ani w ich krainie. Nic nie odrzekłam. Próbowałam wepchnąć te wszystkie słowa, które wypowiedziała Fanta, do małego pokoiku w głowie i zamknąć drzwi. Wyobrażałam sobie głos matki, spokojny i pewny: „Musimy złapać dziecko”.

Ciało Fanty znów zaczęło drżeć. Zaproponowałam jej, że sprawdzę ręką, czy jest gotowa, ale odmówiła. Skurcze stawały się coraz silniejsze, długie i częste. Pozwoliłam, by Fanta sama zdecydowała, kiedy zacząć przec. Nie zamierzałam jej prowadzić. Podawałam jej wodę, trzymałam ją za rękę i czekałam, aż żona wodza sama podejmie decyzję o następnym kroku.

Parła przez długi czas, po czym położyła się, żeby odpocząć. Coś znów wstrząsnęło jej ciałem i kobieta zaczęła przec. Odpoczęła, po czym zaczęła przec tak mocno, że czułam, jak poruszają się jej jelita.

– Teraz – powiedziała Fanta. Parła jeszcze trzykrotnie.

W jej rozchyleniu ujrzałam owłosioną głowę, ale dziecko jeszcze nie wyszło. Parła znowu i pojawiła się cała główka, sinofioletowa i jasna, upstrzona ścinkami bieli i krwią. Fanta znów zaczęła przec i na zewnątrz znalazły się ramiona. Reszta wydostała się szybko: brzusek, członek, nogi, stopy. Przecięłam pępownię nożem toubaba, a następnie owinęłam dziecko i podałam je Fancie. Niemowlę płakało, a Fanta przez dłuższy czas pozwoliła mu szlochać, zanim dała mu odszukać sutek. Nie była dumną matką. Była wściekła. Próbowałam ułożyć ją wygodnie na łóżku, ale mnie odepchnęła.

Odwróciłam się i przykucnęłam przy wiadrze na odpadki. Dziecko znów zaczęło płakać, a kiedy spojrzałam w jej stronę, zobaczyłam, że Fanta niepewnie stoi po drugiej stronie pomieszczenia. Otworzyła klatkę i złapała papugę za dziób. Ptak zadrapał ją

szponami. Kobieta przeklęła, ale się nie zraziła.

– Przestań! – zawołałam.

Fanta mnie zignorowała. Trzymała w dłoni nóż znachora. Dźgała i dźgała, dopóki pazury już jej nie drapały, a ciało papugi przestało drzeć. Wrzuciła zwłoki z powrotem do klatki, zamknęła drzwiczki i przykryła ją workiem. Kiedy oczyściła nóż, zawinęła się w chustę i wsunęła go do środka. Potem podniosła zapłakane dziecko i gwałtownie przystawiła jego buzię do piersi. Fanta i jej dziecko w końcu usnęli, ale ja czuwałam, obawiając się tego, co się stanie, kiedy znachor wróci i odsłoni klatkę. Do małego okienka zaglądało już jednak światło, a mężczyzny wciąż nie było.

O świcie obudziłam Fantę i nasza trójka wyszła na pokład. Błady księżyc zawisł nisko na niebie, a górny koniuszek ognistej kuli wspiął się na przeciwległy horyzont. Wiedziałam, że księżyc i słońce widniejące na jednym niebie zwiastują kłopoty.

Znachor zobaczył dziecko i wypowiedział słowa zachwytu. Poklepał mnie po ramieniu. Zrobił krok w stronę Fanty, ale jej spojrzenie go powstrzymało. Kobieta stała już o własnych siłach. Pomyślałam o tym, jak przez trzy księżyce maszerowała z rosnącym dzieckiem w brzuchu, i o tym, jak zaszlachtowała papugę, chociaż ta szarpała się i skaleczyła ją w nadgarstek. Słońce wzbilo się ponad horyzont. Było teraz wściekłą kulą czerwieni. Księżyc zaczął blednąć na niebie i miałam wrażenie, że mnie opuszcza.

Pomarańczowowłosy toubab był tak zadowolony z narodzin dziecka, że można by sądzić, iż to on je wypchnął. Posłał kilku marynarzy po wodza toubabów i jego pomocnika. Cała trójka zaczęła rozmawiać. Kiedy pomocnik przyjął polecenia, zwrócił się do mnie, ale ja go nie rozumiałam. Powtórzył. Zdałam sobie sprawę, że znachor chce, bym zawołała do mężczyzn pod pokładem i powiedziała im, że Fanta urodziła dziecko.

Toubab otworzył drzwi do luku. W ciemności zrobiłam kilka kroków. Ledwo widziałam.

– Fanta ma syna! – zawołałam w języku bamana.

– Głośniej – powiedział pomocnik.

Krzyknęłam znowu, tym razem w fulfulde.

Spodziewałam się, że mężczyźni zaczną wiwatować i że kiedy wyjdą, załoga statku rozkaże nam tańczyć nad batem rozłożonym na pokładzie. Ale nikt się nie poruszył. Nie wydał żadnego dźwięku. Nie słyszałam nawet szeptów pomiędzy mężczyznami, tylko brzęczenie metalu. Pomocnik rozkazał, bym krzyknęła jeszcze raz. Odpowiedzi wciąż nie było. Wdrapałam się z powrotem na pokład.

Znachor znów zaczął się naradzać z wodzem toubabów i jego pomocnikiem. Dwóch marynarzy i pomocnika wysłano do luku z pałkami, ognistymi kijami i ruchomym światłem. Mężczyźni zeszli pod pokład. Usłyszałam, jak w drodze na dół pomocnik krzyczy, że Fanta urodziła dziecko i że mężczyźni mogą wyjść i tańczyć z kobietami. Jednego z marynarzy

wysłano po kobiety.

Ktoś dotknął mojego łokcia. Odwróciłam się gwałtownie. Była to Sanu, która trzymała niemowlę w ramionach. Dziecko spało. Sanu podeszła do Fanty, żeby ją uściskać, ale ta patrzyła na nią hardo. Sanu się cofnęła i stanęła obok mnie. Wokół nas zaczęły się gromadzić inne kobiety – niektóre wychodziły z luku, inne z kajut toubabów.

W tej chwili z luku dla mężczyzn zaczęli nacierać krajanie. Poruszali się tak szybko, że dwaj toubabowie pilnujący wjazdu dopiero po chwili zorientowali się, iż więźniowie nie są zakuci w kajdany. Wartowników wrzucono do luku, w ręce atakujących mężczyzn. Toubabowie zaczęli strzelać z ognistych kijów. Kule trafiały krajanów w twarze lub piersi i mężczyźni spadali na nacierającą falę pozostałych więźniów, podczas gdy inni przedzierali się przez wjazd i wybiegali na pokład. Dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn zdołało się wydostać na pokład, zanim strzały z ognistych kijów stały się tak intensywne, że każdy mężczyzna, którego pierś ukazywała się na schodach luku, ranny wpadał z powrotem do środka. Biton przebiegł obok mnie z żelaznym pilnikiem w jednej dłoni i kajdanami w drugiej. Wbił pilnik w oko jednego z toubabów i roztrzaskał kajdany na twarzy innego. Jeden z krajanów zardzewiałymi gwoździami wydłubał marynarzowi oko. Naczelnicy toubabów podtrzymywali natarcie ognistymi kijami.

Wokół mnie odzywały się wystrzały i jęki mężczyzn i kobiet. Przycisnęłam się do burty statku. Zobaczyłam, jak młoda kobieta wskakuje na plecy marynarzowi, chwytając się go kurczowo jak małpa, i próbuje wydrapać mu oczy. Więźniowie krzyczeli, podobnie jak niektórzy toubabowie. Inni toubabowie wydawali rozkazy. Ich ogniste kije niosły śmierć, ale zdawało się, że potrzebują dużo czasu, by użyć kija więcej niż raz. Krajanie, którzy mieli noże, młotki, gwoździe i rozwścieczone dłonie, atakowali szybciej.

Kilka kroków po lewej stronie zobaczyłam przycupniętą Fantę. Z początku wydawało mi się, że jest ranna lub zmęczona po porodzie. Pochylała się nad niemowlęciem wiercącym się na rozłożonej obok tkaninie. Patrzyłam, jak sięga do chusty. Dziecko krzyknęło i zaczęło wymachiwać nóżkami. Fanta wyciągnęła nóż, który zabrała z kabiny znachora, położyła dłoń na twarzy niemowlęcia i zadarła mu brodę. Wbiła czubek noża w szyję dziecka i rozerwała mu gardło. Następnie zawinęła chłopca w niebieską tkaninę, wstała i wyrzuciła go za burtę. Zebrało mi się na wymioty i poczułam, jak słabnę, ale nie mogłam odwrócić wzroku od Fanty. Kobieta podbiegła od tyłu do znachora, który celował z ognistego kija w inną stronę, i zatopiła nóż głęboko w jego karku. Mężczyzna zaczął się odwracać, ale upadł na kolana. Jego oczy wybałuszyły się, a ciało przechyliło się do przodu z rozpostartymi ramionami, skierowane w moją stronę. Z ust ciekła mu krew. Zdawał się we mnie wpatrywać. Nie byłam w stanie patrzeć w oczy umierającego człowieka, miałam nadzieję, że śmierć szybko po niego przyjdzie.

Ktoś rzucił się na mnie z tyłu. Byłam pewna, że teraz umrę.

– *Allahu Akbar* – wymamrotałam, uderzając o pokład.

Ale żadna dłoń nie zacisnęła się na mojej szyi, a w moje żebra nie wbił się żaden nóż. Leżał na mnie Fomba. Na moją twarz spłynęła krew z jego ramienia. Znów podskoczył. W zranionej ręce trzymał młotek. Roztrzaskał czaszkę toubaba, który celował z ognistego kija w Bitona.

Byłam zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Patrzyłam, jak Fanta podbiega do Sanu, która siedziała skulona na pokładzie, tuląc dziecko i próbując uniknąć rzezi. Widziałam, że rozwścieczona Fanta gestykułuje do Sanu i próbuje jej wyrwać dziecko. Sanu nie puszczała niemowlęcia, ale Fanta pociągnęła jeszcze raz, popychając przy tym Sanu, aż w końcu uderzyła ją w nos. Kobieta upadła. Fanta chwyciła krzyczące dziecko za nogę. Próbowałam wstać. Musiałam się tam dostać. Musiałam przemówić do Fanty. Zanim jednak zdołałam się ruszyć, trzymała dziecko do góry nogami za kostkę. Nie wiedziałam, co ją opętało. Podeszła do burty i wrzuciła dziecko do zachłannej wody. Sanu poderwała się z pokładu. Otworzyła usta, ale wśród strzałów i krzyków krajanów oraz toubabów nie dosłyszałam jej głosu. Wspięła się na burtę i wskoczyła do morza za dzieckiem.

Teraz i Fanta próbowała się wdrapać na burtę, ale zaatakował ją toubab. Rzucił ją na pokład i zaczął okładać. Obok mnie leżał więzień z wbitym w brzuch mieczem. Przetoczył się na mnie, krwawiąc i przygważdżając mnie do pokładu. Ugrzęzłam pod nim i nie mogłam wstać. Dwóch mężczyzn przebiegło obok mnie i wyskoczyło za burtę. Wzdrygnęłam się, słysząc podwójny plusk. Jakaś kobieta rzuciła się do wody. A potem kolejna. Próbowałam zepchnąć z siebie martwe ciało mężczyzny. Nic z tego. Biton walczył z wodzem toubabów, którego broń przestała strzelać. Wódz toubabów zamachnął się kijem. Biton uniknął ciosu, chwycił toubaba za stopę i pociągnął na dół. Inny krajan uderzył wodza toubabów młotkiem. Raz. Wódz toubabów wciąż się ruszał. Drugi. Znieruchomiał. Atakujący krajan był pokryty krwią. Nie wiedziałam, czyja to krew. Dwóch toubabów zamknęło i zabezpieczyło właz. Marynarz, który walczył z Chekurą, rozciął mu ramię nożem. Chłopak upadł, ściskając ramię. Zza jego pleców wyskoczył Fomba. Złapał marynarza za włosy, odciągnął mu głowę, drugą ręką chwycił mężczyznę za krocze i wyrzucił go za burtę. Fomba dostał cios w głowę kolbą ognistego kija i ciężko upadł na pokład.

Jeden z krajanów podniósł drewniane koryto, żeby rozłupać głowę marynarzowi, ale strzał rozerwał mu pierś. Nie mogłam znieść widoku kaskady krwi. Dwóch marynarzy rozdało nowe ogniste kije toubabom, którzy zaczęli strzelać do każdego walczącego krajana.

Dwaj inni więźniowie zostali postrzeleni i upadli. Na chwilę zamknęłam oczy. Przestałam słyszeć okrzyki bojowe atakujących krajanów. Żaden z naszych już nie walczył. Wokół rozlegały się tylko jęki, świszczanie oraz wybuchy ognistych kijów. Następnie

pojawił się gniewny brzęk metalu, kiedy toubabowie zakuwali nas w żelazo. Fombie nałożono kajdany. Chekura krwawił, ale nie dość mocno, by wyrzucono go za burtę, więc jego także skrupowano. Biton był skatowany, w jego ustach tkwił kawałek szmaty, a na stopie miał już okowy. Widziałam ciała trzech marynarzy, znachora i wodza toubabów. Byłam odrętwiała. Przy takiej plątaniu ciał – krwawiących, nieprzytomnych lub martwych – nie potrafiłam stwierdzić, ilu więźniów zabito, a ilu zginęło w odmętach.

Krwawiący toubabowie zataczali się wokół w porwanych ubraniach, ze zmierzwionymi włosami i oszalałymi twarzami. Jeden z nich zaczął krzyczeć na innych, a ci poruszali się tam, gdzie wskazywał, i robili to, co im kazał. Nakładali żelazo jednemu krajanowi po drugim. Mnie też zaciśnięto kajdany. Metal wrzynał mi się w kostkę. Wciąż jednak żyłam. Teraz musiałam tylko siedzieć bez ruchu. Podniosłam wzrok znad żelaznego zacisku na stopie. Olbrzymi marynarz w spodniach spuszczonej do kolan przyciskał Fantę do pokładu. Mięsiłą dłonią przytrzymał jej nadgarstki, a jego męskość zwisała jak długi, sztywny język. Uderzył ją wolną ręką i opuścił się na nią. Fanta na niego splunęła. Ugryzła go w nadgarstek tak mocno, że się od niej oderwał. Inny toubab drewnianym wiadrem uderzył go w głowę. Napastnik się poddał, stoczył się z Fanty i ją kopnął. Zakuto ją w kajdany, a do ust wetknięto kawałek materiału, żeby ją uciszyć.

Obserwowałam, jak toubabowie wyrzucają martwych krajanów za burtę. Nie zważając na krzyki i protesty, chwyтали także poważnie rannych mężczyzn i wrzucali ich do wody. Kiedy krajanie wypadali poza burtę, było słychać ich wrzaski. Siedmiu lub ośmiu toubabów leżało wygiętych we wszystkich możliwych pozycjach śmierci: twarzą do dołu, twarzą do góry, na bokach. Zwisali z belek i relingów. Wódz toubabów oraz znachor leżeli na plecach, tak martwi jak w moich życzeniach.

– *Allahu Akbar* – wymruczałam pod nosem.

Ale może Fanta miała rację. Może Bóg nie mógł tu istnieć.

Toubabowie nie zabili Bitona. Niektórych krajanów zawieszono na kciukach, wychłostano i opuszczono dopiero wtedy, gdy umarli. Zrobiono to jednak tylko z tymi mężczyznami, którzy byli słabi i kalecy i którzy nie przedstawiali żadnej wartości. Wydawało mi się, że zabiją Fantę, a może nawet wszystkie kobiety, ale tego nie zrobili.

Po buncie przez cały czas trzymano nas w kajdanach i wyprowadzano na pokład małymi grupkami, żebyśmy oglądali chłosty. Kazano nam jeść i pić, po czym sprowadzano z powrotem do luków. Bez mycia. Bez ubrań. Bez nagród. Kobiety przestały bywać w kabinach przywódców toubabów. Marynarzy wysyłano pod pokład z ognistymi kijami i pałkami, aby wyciągali martwe ciała i zabierali ubrania oraz niewykorzystaną broń, którą udało im się znaleźć.

Z każdym wschodem słońca umierało coraz więcej ludzi. Kiedy wyciągano ich z luków, wypowiadaliśmy ich imiona. Makeda z Ségou. Salima z Kambolo. Tam na dole

przynajmniej nie było słycać, jak ciała uderzają o wodę. Choć w luku było ciemno i brudno, nie chciałam już widzieć wody ani oddychać powietrzem na pokładzie.

Musiało minąć kilka dni, nim toubabowie znów zaczęli nas wyprowadzać na pokład małymi grupami. Dawano nam jedzenie i ohydny płyn, w którym pływały kawałki owoców. Podsunęto nam koryta i wodę do mycia.

W pomieszczeniach, w których spaliśmy, toubabowie palili smołę, przez co dusiliśmy się i wymiotowaliśmy. Próbowali nas zmusić, żebyśmy wyczyścili swoje prycze, ale byliśmy zbyt słabi. Wystawały nam biodra i sączyło nam się z odbytów. Marynarze wyglądali na tak samo chorych. Widziałam, jak wielu z nich bez ceremonii wyrzucano za burtę.

Po dwóch miesiącach na morzu toubabowie wyprowadzili nas na pokład. Kazano nam się umyć. Zostały nas dwie trzecie. Tych, którzy nie mogli chodzić, wrzucano do wody – jednego po drugim. Zaciskałam powieki i zatykałam uszy, ale wciąż słyszałam wrzaski.

Kiedy krzyki ustały, otworzyłam oczy i spojrzałam na zachodzące słońce, które wisiało tuż nad horyzontem i różową wstęgą kładło się na nieruchomej wodzie. Płynęliśmy miarowo w stronę kuszącego różu, który zawisł w powietrzu na wyciągnięcie ręki, ale nigdy się nie zbliżał. „Płyńcie tędy”, zdawał się mówić. Daleko na widnokręgu, w kierunku słońca, ujrzałam coś szarego i stałego. Był ledwo widoczny, ale ja go widziałam. Zbliżaliśmy się do lądu.

Kiedy następnego ranka wyprowadzono nas na pokład, znów go zobaczyłam. Teraz znajdował się o wiele bliżej. Ziemia. Drzewa. Brzeg. A jeszcze bliżej niż brzeg zobaczyłam małą wyspę. Teraz widziałam ją wyraźnie. Żadnych drzew, tylko piasek i ogromny kwadratowy fort. To tam zmierzaliśmy.

Rozkuto nas. U mojego boku stanął Chekura, który wyglądał jak worek kości.

– Przepraszam, Aminato.

– Utraciliśmy naszą ojczyznę – powiedziałam. – Straciliśmy naszych ludzi.

– Przepraszam za to, co ci zrobiłem.

Spojrzałam na niego obojętnie. To, że kiedyś pracował dla porywaczy ludzi, było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam.

– Jest mi zimno i nie mogę się nawet modlić. Allaha tu nie ma.

– Ale my wciąż jesteśmy, Aminato z Bayo – odparł Chekura. – Przepłynęliśmy wielką wodę. Przeżyliśmy.

Tak się złożyło, że statek, który przerażał nas na wodach naszej ojczyzny, przynajmniej niektórych ocalał od zatonięcia w głębinie. Przetrwaliśmy przeprawę przez morze i kurczowo trzymaliśmy się bestii, która nas porwała. Żadne z nas nie chciało trafić na ten statek, ale gdy znaleźliśmy się na otwartych wodach, nie puszczaliśmy go. Stał się przedłużeniem naszych gnijących ciał. Ci, którzy zostali oderwani od tego dyszącego

zwierzęcia, szybko zatonęli, a ci, którzy wciąż byli w niego wczepieni, wędli powoli, podczas gdy w ich brzuchach i trzewiach sączyła się trucizna. Pozostaliśmy z bestią do czasu, aż nasze stopy stanęły na nowym lądzie. Potykając się, zesliśmy po długich deskach, zanim trucizna stała się śmiertelna. Może w tej nowej ziemi było nam dane żyć.

Księga druga

Moja opowieść czeka jak spokojna bestia

Londyn, 1803 rok

Kiedy byłam bardzo mała, papa powtarzał, że słowa są niesione porywistym wiatrem z ust chytrych ludzi. Mówił, że gdy zrywają się wichury, piasek wpada ci do ucha i szczypie cię w oczy. Nad twoją głową zbiera się burza przypominająca jezioro z rynną, ale ty niczego nie widzisz ani nie słyszysz. Dopiero kiedy znajdujesz bezpieczne schronienie, możesz stwierdzić, z której strony wieje wiatr. Dopiero w ciszy widzisz, jak się obronić przed kłopotami.

Teraz przebywam w Londynie. Odpoczywam od dwunastu mężczyzn i ich kłębiących się słów. Siedzę sama w osobnym pomieszczeniu i rozpuszczam w gorącej herbacie łyżeczkę pszczelego miodu. Z drugiej strony korytarza dobiega mnie śmiech głównego abolicjonisty. Ten mężczyzna często zdejmuje perukę, żeby podrapać się po głowie. Jest przysadzisty i gwałtowny jak wykrzyknik. Jednakże w stosunku do mnie musi grać troskliwego. Szeroko rozkłada ramiona, jak gdyby chciał mnie przytulić do swojego obfitego brzucha. Nazywa się sir Stanley Hastings, ale ja w myślach zwę go radosnym abolicjonistą. Swoim melodyjnym, pełnym entuzjazmu głosem opowiada mi, że wraz z żoną i dziećmi przyrzekli sobie, że już nigdy nie posłodzą herbaty. Oświadczył, że jeśli Bóg pozwoli, nikt w jego rodzinie nie będzie pił niewolniczej krwi. Mówi, że to, czego tak naprawdę potrzebujemy – i co w jednej chwili powstrzymałoby handel – to barwnik, który zafarbuje wszystkie produkty z cukru na czerwono. Gestykuje teraz tak, jakby stał na ambonie.

– Niech czerwień splami wszystkie filiżanki herbaty w tym kraju – dodaje – a nasze wojny dobiegną końca.

Przychodzą po mnie, burząc mój spokój. Dusząc mnie współczuciem, radosny abolicjonista pyta, czy mogę kontynuować. Trzeba podjąć decyzję, i to niedługo.

– Słusznie, słusznie – odpowiadają jak echo inni mężczyźni, uśmiechając się do mnie.

– Musimy wiedzieć, czy poprze pani nasz plan – dodaje sir Hastings, spoglądając na mnie znad pogniecionych stron manifestu.

Abolicjoniści traktują mnie jak równą sobie i mówią, że wszyscy staramy się położyć kres tyranii wobec ludzkości.

– Więc dlaczego...? – zaczynam, ale nie pozwalają mi dokończyć.

Dochodzą mnie szeptaki na temat własności, rekompensaty i rządów prawa. Dostrzegam uściski dłoni i splatanie palców. Przekonany o mojej głuchocie sir Hastings mamrocze do swojego sąsiada, że nie można oczekiwać, bym zrozumiała te wszystkie skomplikowane

szczegóły, po czym znów zwraca się w moją stronę.

– Pani historia to opowieść o cnocie – mówi.

– Przetrawanie nie ma nic wspólnego z cnotą – odpowiadam.

– Mówię o pani godności i odwadze – wyjaśnia. – Nasza walka potrzebuje ludzkiej twarzy. To właśnie pani. Kobieta. Afrykanka. Wyzwolona niewolnica, która się zbuntowała i sama się wszystkiego nauczyła. Przez dwadzieścia lat brytyjscy parlamentarzyści gasili ogień rozniecany przez abolicjonistów – mówi dalej. – Jednak tym razem kobieta taka jak pani może wszystko odmienić.

Od tego napięcia robię się zmęczona. Nie mam ochoty walczyć. Kiedy ściszam głos, wszyscy nachylają się w moją stronę.

– Nie mogę przemawiać w waszym parlamencie – mówię – ani poznać waszego króla, jeśli nie pozwolicie mi opowiedzieć o niewoli mojego ludu.

Mężczyźni nie przestają naciskać. Jakakolwiek otwarta wzmianka o abolicji zjednoczy plantatorów, ekspedytorów, kupców i ubezpieczycieli. Pytają, czy nie widzę, że w parlamencie głosują właśnie mężczyźni posiadający majątek.

Jestem jednak za stara na spryt. Mówię, że nie mogę się wypowiadać przeciwko handlowi niewolnikami, nie potępiając niewolnictwa.

– Podajcie takie argumenty, jakie musicie podać – dodaję – a mnie pozwólcie przedstawić swoje.

Sir Hastings z wymuszonym uśmiechem mówi, że Brytyjczyków wciąż prześladują wspomnienia krwawego powstania niewolników w Saint-Domingue. Wymordowanie tych wszystkich białych... Cóż za potworność. Mówi, że możemy wnioskować najwyżej o to, by zaprzestać handlu.

– Nawet jeśli zniszczy się wszystkie statki niewolnicze – odpowiadam – co się stanie z mężczyznami i kobietami, którzy już teraz przebywają w niewoli? Co spotka dzieci, które urodzą się tym ludziom, ale staną się własnością kogoś innego?

Abolicjoniści zwracają się do Johna Clarksona, mężczyzny, u którego mnie zakwaterowano. Od razu widać, że nie ma wśród nich wielkiego posłuchu. Zbyt otwarcie szerzy swoje ideały, a jego nazwiska nigdy nie wymieniono w żadnej gazecie. Ale to jedyne Anglik, z którym podróżowałam, i to on sprowadził mnie do abolicjonistów. Bardzo się stara, ale i tak nie udaje mu się mnie przekonać.

Utykamy więc w martwym punkcie. Mężczyźni dalej knują. Mówi się już o przesłuchaniach w sprawie handlu niewolnikami. A któregoś dnia, kiedy przesłuchania dobiegną końca, abolicjoniści zaproponują projekt ustawy w parlamencie. Mówią, że tym razem mają szansę wygrać, a ja chcę, by triumfowali. Ich plan brzmi lepiej niż jego alternatywa, to jednak zbyt mało. Abolicjoniści mogą nazywać mnie równą sobie, ale ich wargi nie wymawiają jeszcze mojego imienia, a uszy nie słyszą mojej historii. Nie

w sposób, w jaki chciałabym ją opowiedzieć. Od dawna kocham słowo pisane i dostrzegam w nim siłę drzemiącego lwa. „Oto moje imię. Oto kim jestem. Oto jak się tu znalazłam”. Ponieważ brakuje mi słuchaczy, spiszę swoją historię, tak by czekała niczym uśpiona bestia, z oddychającymi płucami i bijącym sercem. John Clarkson prosi, by mnie tak nie trudzono. Abolicjoniści podnoszą się z krzesel. Na dziś skończyliśmy nasze obrady. Mężczyźni kolejno wychodzą, wymieniając uściski dłoni i pozdrowienia.

Jeden z mężczyzn pyta, czy nie potrzebuję więcej jeść i czy angielska kuchnia nie obraża mojego podniebienia. Zapewniam go, że moje podniebienie ma się dobrze. Człowiek o krzaczastych wąsach proponuje rozrywkę, która ma mnie ustrzec przed nieuchronną nudą. W mieście otwarto wspaniałą wystawę afrykańskich ssaków i gadów. Czy ją widziałam? Nie darzę uczuciem stworzeń zakonserwowanych alkoholem, ale nie chcę znieważać dobrego człowieka.

– Nie – odpowiadam – nie bywam na mieście w takich celach.

Sir Hastings pyta:

– Co więc, na Boga, robi pani przez cały dzień? Czy nie czuje się pani zdezorientowana w chaosie kupców, koni i powozów?

Jego szczęka opada, kiedy wyjaśniam, że londyńskiego chaosu nie można porównać z tym, co działo się w podbrzuszu niewolniczego statku. Inny abolicjonista pyta o drobnych złodziejasków na ulicach Londynu. Czy mnie nie niepokoją?

– Ulicznicy się mną nie interesują – odpowiadam – ale na rogu ulic Old Jewry i Prince stoi starszy Afrykanin w łachmanach i kapeluszu udrapowanym na kształt statku. Czasem, kiedy mężczyzna wyciąga dłoń, wręczam mu kilka pensów.

Abolicjoniści jednym głosem zaczynają wołać, że muszę uważać, by nie paść ofiarą próżnujących londyńskich oszustów. Z całym szacunkiem, mówią, ale łajdacy i bumelanci mają czarne serca bandytów.

Ruszam w stronę drzwi. Jeden natarczywy gaduła prosi, bym opowiedziała, jak spędzam czas. Proszę, by ktoś zabrał mnie do biblioteki. Mężczyzna zanosí się śmiechem.

– Już sobie wyobrażam te spojrzenia – odpowiada.

– Nie śmieć się – upomina go John Clarkson nieco zbyt ostro. – Założę się, że przeczytała więcej książek niż ty.

Pod koniec każdego spotkania abolicjoniści przynoszą drobne upominki. Przy ostatniej okazji dostałam książkę, gazetę i twarde żółte łakocie z dwoma orzeszkami ziemnymi w środku. Tym razem sir Hastings wręcza mi nowe pióro i szklany kałamarz ozdobiony zawijasami w kolorze indygo. Lubię czuć w dłoniach jego gładką powierzchnię i ciężar. Pocieram kałamarz, ale indygo jest głęboko zanurzone w szkle. Anglicy uwielbiają zatapiać jedną rzecz w drugiej, tak że rozdzielić je można tylko siłą – orzechy w słodyczach, indygo w szkle, Afrykanów w kajdanach.

Tłocząc się i zderzając ze sobą, abolicjoniści towarzyszą mi, kiedy opuszczam budynek przy Old Jewry 18. Schodzę po schodach i znajduję się w sercu Londynu. John Clarkson podaje mi ramię i odprowadza do swojego domu. Mieszka niedaleko. Ostatnimi czasy pokonanie dwóch przecznic zajmuje mi dłuższą chwilę. Posuwamy się powoli, a obok przewija się tłum ludzi, nie ma to jednak znaczenia. Wciąż stoję prosto i wciąż mogę iść.

W domu Johna Clarksona zjem kawałek chleba z pikantnym cheddarem. Smakuje mi wyraziste jedzenie: owoce mango, papryczki chili, gotowany imbir z miodem, rum. Małżonka Johna Clarksona była dość wstrząśnięta, kiedy poprosiłam o niego po raz pierwszy.

– Rum?

Mam nadzieję, że po przekazce i drzemce znów sięgnę po pióro. Jeśli nie umrę, zanim uda mi się dokończyć tę historię, ona mnie przeżyje. Może na długo po tym, jak powrócę do duchów swoich przodków, moja opowieść trafi do Biblioteki Londyńskiej. Czasem wyobrażam sobie pierwszego czytelnika, który natknie się na moje słowa. Czy będzie to dziewczyna? Może raczej kobieta. Mężczyzna. Anglik. Afrykanin. Jeden z tych ludzi odnajdzie moją historię i przekaże ją dalej. Wtedy moje życie nabierze sensu.

Nazywają mnie Afrykanką

Wyspa Sullivana, 1757 rok

Przywieziono nas na wyspę położoną tuż u wybrzeża kraju toubabów. Została nas około setka. Wszystkich umieszczono w kwadratowym forcie. Toubabowie stali na warcie przy bramie i patrolowali wewnątrz uzbrojeni w pałki i ogniste kije, najczęściej jednak zostawiano nas w spokoju i pozwalano się zastanawiać, co z nami będzie.

Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się po drugiej stronie słońca. W tej krainie słońce świeciło blado i nie można mu było ufać. W nocy moje palce sztywniały i traciły czucie, a za dnia, kiedy słońce wspinało się po niebie, drżały. Miałam zimne uszy. I nos. Tak samo jak inni otrzymałam szorstką tkaninę – tak krótką, że ledwo zakrywała moje siedzenie. Nocą drżałam na piaszczystej ziemi, a któregoś ranka obudziłam się i zobaczyłam, że z moich ust wydostaje się dym. Przestraszyłam się, że moja twarz stanęła w ogniu. Pomyślałam, że w nocy ktoś rzucił na mnie urok albo wypalił mi język. Czekałam na płomień. Przygotowałam się, by zacząć krzyczeć. Wstrzymałam oddech. Żadnego dymu. Odetchnęłam. Dym. Pochodził z mojego wnętrza. Żadnych płomieni. Tylko dym. Mój oddech dymił, dopóki słońce nie zaczęło się wspinać po niebie. Wtedy zauważyłam, że rano inni także mieli dym w ustach.

Większość krajanów z każdym dniem odzyskiwała siły. Ale na tej maleńkiej wyspie moje trzewia wyrzucały z siebie strumyczki brązowej wody. Moje ciało dawało za wygraną.

Któregoś ranka usiadł obok mnie Biton.

– Przepłynęłaś wielką rzekę, dziecko. Nie umieraj teraz.

Zamrugałam. Nie miałam siły odpowiedzieć. Mężczyzna siedział u mego boku, klepiąc mnie po ręce.

Dwa razy dziennie toubabowie przynosili wiadra z jedzeniem i wodą, stawiali je tuż przy bramie. Dbali o to, by pożywienia starczyło dla wszystkich. Fanta grzebała w ryżu i ziemniakach, wyławiała kawałki mięsa i oznajmiała, że pachną jak wieprzowina. Ani ona, ani ja ich nie ruszałyśmy, ale pozostali jedli z apetytem. Czułam, że prędzej umrę, niż przełknę wieprzowinę. Biton jednak przychodził do mnie codziennie i powtarzał, że muszę jeść. Koniuszkami palców nabierał ryż i zbliżał go do mojej twarzy.

– Spójrz – mówił. – W tym ryżu nie ma wieprzowiny. Aby przeżyć, musisz jeść, dziecko.

Fanta mamrotała, że wieprzowina zanieczyściła całe wiadro jedzenia, ale Biton ją przegonił i włożył mi jedzenie do ust. Byłam zbyt słaba, żeby oponować.

Zdarzały się dni, kiedy nie mogłam się podnieść z ziemi. Chekura przynosił mi wówczas jedzenie, a Fomba wodę. Fanta mówiła, że jeśli się nie poruszę, wytarmosi mnie za ucho, ale nawet w chorobie nie chciałam, żeby mi matkowała. Nikt nie wspominał o buncie ani o zabójstwach, ale nie mogłam zapomnieć tego, co zrobiła. My, którzy ocaleliśmy z przeprawy, dzieliliśmy się na małe grupki – razem jedliśmy, spaliliśmy i całymi dniami oczekiwaliśmy. Znalazłam się w grupie z Bitonem, Chekurą, Fombą i Fantą oraz młodą kobietą o imieniu Oumou. W nocy nasza szóstka spała blisko siebie, co przynosiło nam pociechę, ja jednak robiłam, co w mojej mocy, by nie kłaść się obok Fanty.

Toubabowie zostawiali nam zimną wodę do mycia i miski z olejem, którym kazali nam się nacierać. Dwa razy dziennie przynosili nam wiadra z jedzeniem i trzymali się od nas z daleka. Sprawdzali jednak, którzy z nas jedzą i nacierają się olejem, grożąc, że wychłostają każdego, kto tego nie robi. Chekura zaproponował, że natłuści moją suchą, popękaną skórę. Fanta stanęła między nami i oznajmiła, że się tym zajmie. Wołałam delikatniejszy dotyk Chekury, ale nie miałam siły, by jej się sprzeciwić.

– Teraz postanowili nas utuczyć – mruknęła Fanta, smarując mi łydki – a doskonale wiemy, co to oznacza.

Próbowałam się pomodlić tak jak ojciec. Pomyślałam, że jeśli zdołam odnaleźć drogę powrotną do Allaha, może ktoś mnie uratuje. Mieszkańcy Bayo i innych wiosek z pewnością dowiedzieli się już, co się ze mną stało. Mogliby zebrać dostatecznie wielu mężczyzn, by obezwładnić porywaczy z ognistymi kijami, odnaleźć moje ślady i przyjść mi na ratunek. Pochyliłam się, opuściłam głowę i zwróciłam się w kierunku wschodzącego słońca. Odwróciłam się w stronę ojczyzny. „Uratujcie mnie. Proszę, niech ktoś mnie uratuje”. Rozpoczęłam rytualne modlitwy. Biton jednak mi tego zabronił. Położył mi na ramieniu dłoń – stanowczą i nieruchomą. Powiedział, że zaledwie dzień wcześniej jednego z mężczyzn pobito za to, że modlił się w taki sam sposób. Przykazał, bym tego nie robiła. Żeby nie narażała się na karę. Wyjaśnił, że w moim stanie nie przetrwam chłosty. Dodał, że moim obowiązkiem jest przeżyć.

– Pamiętaj o mamie i papie. Nosisz ich w swoim sercu. Słuchaj ich. Powiedzą ci, co robić.

– A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy wyskoczyli za burtę? Czy oni nie mieli matek i ojców?

– Oderwij myśli od statku, dziecko. To nic innego jak gnijąca padlina w trawie. Padlina, która przerażała cię smrodem i krążącymi nad nią muchami. Ale już ją minęłaś i musisz iść dalej.

– Myślisz, że po nas przyjdą?

Biton pomógł mi się podnieść i spojrzał na mnie ciemniejszymi oczami.

– Kto?

– Krajanie. Nasi ludzie.

Popatrzył na wodę. Podążyłam za jego spojrzeniem i zauważyłam, że statek, który nas przywiózł, zniknął. Musiał odpłynąć nocą.

– Nie, dziecko – odparł. – Nie przyjdą.

Pocieszyłam się, że Biton nic o tym nie wie. On się nie modlił. Nie znał Allaha. Na pewno się mylił. Ale być może mógł mi pomóc w inny sposób.

– Czy któregoś dnia, kiedy znów będziemy silni, zabierzesz mnie z powrotem na drugi brzeg tej rzeki?

– Czy wiesz, jak gruba jest królicza łapka?

– Tak – odparłam.

– Właśnie taka granica dzieliła nas od śmierci. Zaledwie sześć miesięcy temu uczyłem chłopców w swojej wiosce, jak się mocować. Żaden z nich nie mógł ze mną wygrać. A teraz jestem już za stary. Za stary na to, o co prosisz. Ty natomiast jesteś zbyt młoda, by o tym myśleć.

– Któregoś dnia... – powiedziałam.

– Dziś żyj, dziecko. Jutro będziesz marzyć.

Raz czy dwa razy odmówiłam rytualne modlitwy w głowie. *Allahu Akbar. Aszhadu anna la ilaha illa Llahi. Aszhadu anna Muhammadan rasulu Llahi*. To nie było to samo co modlenie się w domu w cichym miejscu, pozbywszy się myśli z tego świata. W domu nawet w czasie ramadanu, kiedy przez cały cykl księżyca pościliśmy od świtu do zmierzchu, modlitwa przychodziła mi bez trudu. Ale w kraju toubabów nie mogłam się modlić sama. Modlitwa wypowiedana w głowie wydawała mi się samotna i nadaremna. Z każdą kolejną nocą myśli o Allahu bledły. Na Wyspie Sullivana jedliśmy, siedząc wokół wspólnych wiader. Trzeciego dnia podczas posiłku Fanta wpatrywała się gniewnie w Fombę. Mężczyzna nabrał jedzenie palcami i oddalił się, by zjeść w samotności. Biton podniósł się gwałtownie i przyprowadził Fombę z powrotem, trzymając mu dłoń na ramieniu.

– On je z nami – powiedział w języku bamana i kazał mi to przetłumaczyć Fancie. Oznajmił, że nie ma znaczenia, iż w naszej ojczyźnie Fomba i inni byli jeńcami. Tu, w kraju toubabów, wszyscy jemy razem. Nie pokazujemy, że czymś się różnimy. Dbamy o to, by toubabowie nic o nas nie wiedzieli.

Fanta przewróciła wiadro kopnięciem.

– Nie miałam trafić do niewoli – wymamrotała. – Urodziłam się na wolności.

Kilkoro z nas skuliło się obok siebie na zimnej, twardej ziemi. Biton. Fanta. Chekura. Fomba. Oumou. Kilkoro innych. I ja. Nigdy w Bayo nie widziałam, by tyle kobiet i mężczyzn spało razem. Nikt by się na to nie zgodził. Ale tu, na tej wyspie, ciepło zgromadzone w gnieździe ciał niosło nam ukojenie.

Pewnej nocy obudziłam się i zobaczyłam rozpalone gwiazdy. Nie poczułam ciepłej nogi Oumou na swojej i nie usłyszałam chrapania Bitona. Chekura spał nieopodal. Fomba nieco dalej. Fanta leżała niestety tuż obok mnie. Ale Oumou i Bitona nie było.

Przewróciłam się na bok i wstrzymałam oddech. Zobaczyłam ich. Bitona i Oumou! Zaledwie kilka kroków dalej. Ujeżdżali się, sapiąc i zanurzając w siebie swoje lędźwie. Byli złączeni ze sobą jak psy. Słyszałam plaskanie wilgotnego ciała. Pomyślałam o tym, że znachor sprowadzał kobiety do swojej kabiny zawsze o tej samej porze: po jedzeniu i po wypiciu ognistej wody, ale przed snem. Kiedy mieszkałam w domu z rodzicami, musiałam czasem wstać w nocy, żeby sobie ulżyć. Ale najpierw się rozglądałam. Mama i papa mogli być razem, kołysząc się i sapiąc tak jak Oumou i Biton. Teraz nie mogłam wstać. Musiałam leżeć nieruchomo. Zamknęłam oczy z nadzieją, że niedługo skończą i że już nigdy tego nie zobaczę.

Kiedy obudziłam się rano, Oumou i Biton znów byli z nami i nikt nie odezwał się ani słowem.

Na wyspę przyplłynął statek. Toubabowie zaczęli nas zaganiać, najpierw tych, z których wciąż sączyła się ciecz. Moje ciało pragnęło spocząć. Marzyłam tylko o tym, by ukołysała mnie ziemia. Słoma. Trawa. Ziemia. Piasek. To nie miało znaczenia. Marzyłam o jakimkolwiek łóżku. Ale zmuszono mnie, bym wstała, i kazano się zgiać. Bałam się, że znów przypalą mi skórę, ale nie miałam siły walczyć. Pochyleno mi głowę, rozwarto biodra i głęboko w odbyt wepchnięto czop z trawy. Korek piekł mnie i powodował gwałtowne skurcze, ale nie mogłam nic wydalić. Znów kazano mi się wyprostować. Każdy z nas miał zdjąć z siebie szorstką chustę i wrzucić do buzującego ognia. Po tym wszystkim poprowadzono nas na statek i przewieziono przez wodę w stronę majaczącego w oddali lądu.

Wiatr przyniósł charakterystyczny zapach. Wyczułam go, jeszcze zanim się odwróciłam. Kolejny statek z mojej ojczyzny. Ledwie potrafiłam dostrzec ludzi zgromadzonych na pokładzie. Ich łódź sunęła powoli w stronę wyspy, którą dopiero opuściliśmy. Poczułam ulgę, że nie będę musiała patrzeć im w oczy ani stawać twarzą w twarz z ich bólem. Miałam nadzieję, że nigdy ich nie spotkam.

Toubabowie wręczyli każdemu odzienie, równie szorstkie jak poprzednie. Przełożyłam ręce i wciągnęłam ubranie przez głowę. Chropowata tkanina drapała skórę, ale nie zadawała takiego bólu jak biały sznur, którym obwiązano mi nadgarstki. Opuszczono deski łączące statek z nabrzeżem i zeszliśmy po nich na ziemię toubabów.

Jeszcze nigdy nie widziałam tak zatłoczonego i dziwaczного miejsca. Ujrzałam różnych toubabów – chłopców i mężczyzn, z prostymi włosami i żółtymi zębami, idących, jadących konno lub siedzących w powozach. Niektórzy mieli na sobie łachmany, inni kilka warstw eleganckiego płótna i grube buty.

Najdziwniejsze było to, że wszędzie znajdowało się pełno krajanów, którzy nosili towary, pocili się i krzyczeli. Od czasu do czasu w ich głosach pobrzmiwała radość i żartobliwość. Ich nadgarstki i kostki nie były skute kajdanami, żaden z nich jednak nie walczył i nie próbował uciekać. Niektórzy z mężczyzn mieli na sobie tylko spodnie. Kobiety niespiesznie przechadzały się po ulicach, obnosząc się z krągłymi zadkami i paradując w zawiązanych na głowach kolorowych chustach. Nie mogłam odwrócić wzroku od odcieni oranżu, czerwieni i niebieskiego przenikających się na tym materiale. Niektóre z kobiet żartowały z toubabami. Zobaczyłam, jak jeden z nich kładzie rękę na pupie krajanki. Uśmiechnęłam się do niego, odsłaniając zęby.

Mali toubabowie śmiali się i rzucali w nas kamyczkami. Ludzie krzyczeli i gapili się na nas, stojąc na ulicy, na schodach, na werandach, na dachach drewnianych budynków i siedząc w zaprzęgniętych w konie powozach. Świat stanął na głowie.

Zobaczyłam toubabkę. Nad głową trzymała okrągły przedmiot, który chronił ją przed słońcem. Jej dłonie były białe jak kości. Nie. Nie kości. To byłoby niemożliwe. Jej dłonie miały kolor oczyszczonej kości słoniowej. Spojrzałam raz jeszcze. To nie była skóra. Jej ręce pokrywało coś innego. Coś, co wydawało się miękkie i delikatne. Tak bardzo marzyłam o tej tkaninie. Może dzięki niej moje palce nie byłyby nocami takie zimne i opuchnięte.

Toubabka spojrzała wprost na mnie. Miała pulchne i różowe policzki, a wargi blade i wąskie. Jej oczy przywodziły na myśl kamienistą rzekę o głębokiej, niebezpiecznej wodzie, która wołała do mnie: „Wskakuj, dziecko! Wskakuj! Nie będzie bolało”.

Nasze spojrzenia się spotkały. Kobieta podniosła dłoń do ust. Głowa swędziała mnie w miejscach, gdzie wypadły mi włosy. Czułam sączącą się ranę na kolanie i czop z trawy, który dusił mój odbyt. Marzyłam o tym, żeby stać się kobietą, która dojrzewała w moim wnętrzu, by odnaleźć godność i nie pozwolić, by znów mi ją odebrano.

Wdepnęłam w dziurę i straciłam równowagę. Choć Chekura miał związane ręce, podtrzymał mnie ramieniem.

– Aminato, idź poprawnie. Idź!

Ze wszystkich stron otaczały nas towary. Worki z ziarnem, sterty kukurydzy, siano dla koni, stosy gwoździ, krowy i świnie prowadzone ulicami. Żadnych kóz. Za to wszędzie było pełno kurczaków, związanych razem po pięć lub więcej sztuk, ze skrępowanymi łapkami. Zwierzęta zwisały do góry nogami na jednej linii, niesione przez chłopców lub krajanów.

Ulice i rynsztoki były pełne odpadków: gnijących owoców, martwych kotów, ludzkich odchodów i zielonego mięsa, a wszystko to stanowiło pożywkę dla spasionych ptaków śmierci, które krążyły nad nami, zawracały i kołowały w powietrzu. Pomyślałam, że przelatując obok, spoglądały także na mnie, i wyobrażałam sobie, jak myślą: „I ty się nam

nie wywiniesz”.

W mojej ojczyźnie miasteczka, które znałam, były zbudowane kuliście, żeby mieszkańcy mogli przebywać razem. W tym miejscu ludzie rozchodzili się w różnych kierunkach, wybierając zakurzone gościńce biegnące obok siebie lub przecinające się pod ostrymi kątami. Wydawało mi się, że w takim miejscu nigdy nie znalazłabym drogi.

Ustawiono nas na placu przed drewnianym budynkiem wzniesionym na wysokość pięciu dorosłych mężczyzn. Tłoczyło się tam tak wielu ludzi, że wydawało mi się, iż znaleźliśmy się na targowisku. Rozejrzałam się wokół, szukając stert dyni, kopców soli i orzechów masłosza, ale ujrzałam tylko ludzi – moich ludzi – związanych i odzianych w nędzne łańchmany. Odciągnięto ode mnie Chekurę, a także Fantę, Bitona i większość pozostałych. Zawołałam Chekurę, ale mój głos zginął wśród krzyków mężczyzn. Zdrowych więźniów wepchnięto do wielkiego koła, a do drugiego powędrowała reszta z nas – ci, którzy kuleli, krwawili, oślepli lub których biodra wystawały jak na wpół wybudowane okręty. Ktoś trącił mnie łokciem. To Fomba. Jego oczy były szkliste, zataczał się, a głowę przekrzywiał mocno na bok. Najwyraźniej toubabowie już wiedzieli, że z Fombą jest coś nie tak.

– Fomba – powiedziałam.

Spojrzał na mnie. Uniósł związane nadgarstki, by obgryźć paznokcie. Rozum go opuścił, ale potrafiłam sprowadzić go z powrotem.

– Nie krzyw się tak. Wyprostuj głowę. – Pomyślałam, że jeśli będzie wyglądał na cenny towar, ominie go chłosta albo coś gorszego.

Dwóch toubabów stało na podwyższeniu. Przyprawiano do nich zdrowych więźniów, jednego za drugim. Większość z nich stała ze zgarbionymi ramionami i opuszczonymi głowami, a toubabowie krzyczeli. Kiedy wrzaski ustawały, pomagano im zejść z platformy i prowadzono ich przez tłum.

Gdy na platformę wprowadzono Bitona, mężczyzna uniósł brodę. Na łydce miał ranę, a na twarzy bliznę, ale stał dumnie i prosto. Jego skóra była naoliwiona i błyszcząca. Czułam obrzydzenie na myśl, że musi tak stać na oczach tłumu. Toubab uniósł okrycie Bitona i obejrzał jego skurzonego penisa. Opuścił materiał i ścisnął biceps mężczyzny. Kiedy krzyki przybrały na sile, Biton rozejrzał się i złowił moje spojrzenie. Otworzył usta.

– Aminata Diallo – powiedział.

W rozwrzeszczanym tłumie nie docierały do mnie żadne dźwięki, ale zobaczyłam, jak jego wargi się poruszają, i wiedziałam, że wypowiada moje imię.

Na podest weszło dwóch toubabów, którzy zaczęli dźgać Bitona w policzki, kazali mu otworzyć usta i wtykali mu palce do środka. Dotykali go wszędzie, po czym opuścili platformę. Wrzawa przybrała na sile. Jeden z toubabów zaczął coś śpiewać nosowym głosem. Przestał równie szybko, jak zaczął. Mężczyzna z tłumu coś krzyknął, a pierwszy

toubab znów podjął melodię. Kolejni toubabowie zaczęli krzyczeć. Piosenka urywała się i wznawiała raz po raz, i trwała, dopóki Bitona nie ściągnięto z podestu w ściśnięty tłum.

Więźniów wprowadzano na podwyższenie jednego po drugim. Kiedy przed tłumem stanął Chekura, zawołałam go, ale mnie nie usłyszał. Miałam nadzieję, że będzie stał tak dumnie jak Biton, jednak nie dał rady. Prawie upadł. Cofnął się, kiedy ktoś sięgnął do jego ust. Toubab ryknął śmiechem. Po kolejnej serii krzyków Chekurę sprowadzono z platformy i chłopak zniknął mi z oczu.

Toubabowie używali takich samych piór i kałamarzy jak te, które znachor pokazywał mi na statku. Wpatrywałam się w jednego z piszących mężczyzn. Od lewej do prawej. Od lewej do prawej. Inni robili to samo. Czy wszyscy toubabowie nauczyli się pisać na wspak? Mężczyzna zauważył moje spojrzenie, wpatrywał się we mnie przez chwilę przenikliwym wzrokiem, po czym odwrócił się tak, że nic nie widziałam. Inni mężczyźni przekazywali sobie wzajemnie metalowe krążki, niektóre lśniące, inne matowe.

Nie wyglądały tak atrakcyjnie jak muszle porcelanek czy miedziane manile. W ziemi pod stopami zauważyłam połyskujący kawałek metalu, mniej więcej trzy razy większy niż paznokieć mojego kciuka. Udało mi się przykucnąć, złapać go między palce i wstać, by bliżej się mu przyjrzeć. Po jednej stronie zobaczyłam głowę mężczyzny – taką samą jak ta w kajucie znachora. Ścisnęłam metal zębami. Był zbyt twardy, żeby go złamać. Zastanawiałam się, czy można go przekłuć. Gdyby wydłubać w nim dziurkę, może udałoby się nanizać krążek na cienko splecione pasmo trawy i zawiesić go na nadgarstku lub na szyi. Choć i tak byłby brzydki. Nie miałam pojęcia, dlaczego jest taki cenny.

Usłyszałam więcej krzyków i spojrzałam z powrotem na platformę. Przed tłumem stała Fanta. Kiedy kazano jej otworzyć usta, splunęła, a gdy oglądano jej kobiece narządy, kopała. Ludzie śmiali się i rzucali kamyczkami. Gdy Fanta krzyknęła, wetknięto jej do ust kawałek szmaty. Zaczęła się dusić, więc go wyjęto. Znów krzyknęła, więc wetknięto go z powrotem. Jakiś mężczyzna nakrył jej piersi dłonią. Podrapała jego twarz do krwi. Związano jej ręce na plecach. Miałam nadzieję, że przestanie się opierać, zanim ktoś naprawdę zrobi jej krzywdę. Gdy uderzyła innego mężczyznę kolanem w twarz, tłum znów ryknął. Toubab uderzył ją w policzek, a ktoś inny związał jej kostki. Ze wszystkich krajanów, których tego dnia wprowadzono na platformę, tylko Fancie zakneblowano usta, związano nadgarstki i nogi. Zdawała się błagać, by ją zabili, ale oni zbyt dobrze się bawili, by to zrobić. Kiedy toubabowie skończyli się śmiać i krzyczeć, znieśli Fantę z podwyższenia.

Wszyscy zdrowi więźniowie zniknęli. Podobnie jak wielu toubabów. Reszta z nas czekała na placu pilnowana przez odzianych krajanów, którzy nie mówili w naszych językach. Słońce przesunęło się po niebie, a my nie mieliśmy wody, jedzenia ani miejsca, żeby usiąść. Było nas około pięćdziesięciu: starsi więźniowie, młodszy, chorzy i słabi,

a także ci z połamanymi kończynami, brakującymi zębami i wodnistymi, pobielającymi, bezużytecznymi oczami. Niektórzy z nas mogli samodzielnie stać. Inni nie potrafili i albo opierali się o budynek, albo upadali. Kiedy tak czekaliśmy, jeden z krajanów rozwiązał mi nadgarstki, ale Fomba pozostał skrępowany. Udało mu się usiąść, oprzeć plecy o drzewo i zasnąć. Ja także usiadłam, choć nie wiedziałam, czy zdołam zasnąć, kiedy wokół mnie krążyło tylu toubabów.

Obudził mnie młody krajan, trącając kijem. Kciukiem nakazał mi wstać. Teraz przed budynkiem stało już o wiele mniej toubabów i krajanów. Wszyscy otaczający mnie więźniowie byli chorzy, ranni lub ślepi. Oczy jednego lub dwóch były szkliste, a ich rozumy pomieszały się jak rozum Fomby. Zostało nas już tylko około trzydziestu. Było też o wiele ciszej niż wcześniej. Żaden toubab nie krzyczał ani się nie śmiał. Nie patrzyły na nas już żadne kobiety.

Dwóch młodych krajanów, z których każdy trzymał koniec grubego drewnianego pręta, rozproszyło nas, oddzielając od siebie na odległość wyciągniętego ramienia. Byliśmy wybrakowanym towarem. Ustawiono nas w jednym długim szeregu, a przestrzeń przed nami oczyszczono. Toubabowie i pracujący dla nich krajanie stali po jednej lub drugiej stronie, poza grupą pięciu toubabów stojących ze zwróconymi do nas twarzami w odległości mniej więcej trzydziestu kroków. Pięciu mężczyzn utworzyło szereg i stanęło w równej odległości od siebie. Każdy z nich trzymał sznur i stał za wydrapaną w ziemi linią.

Stojący z boku toubab wykrzyknął kilka słów i uniósł nad głowę ognisty kij. Skierował go do góry. Rozsunęto nas, wybrakowanych więźniów, nieco na boki. Toubab z ognistym kijem miał nas zabić – jednego po drugim. „Pozwól mi zginąć pierwszej”, modliłam się.

Toubab wydał rozkaz tak głośno, że straciłam kontrolę nad zwieraczem. Nie miałam nawet czasu zastanowić się nad własnym upokorzeniem, kiedy wraz z czopem z trawy wypłynęły ze mnie odchody. Toubabowie rzucili się do przodu ze sznurami w dłoniach. Przepychali się i szturchali, starając się złapać więźnia i owinąć go liną. Złapał mnie jakiś mężczyzna i próbował związać. Inny toubab odepchnął go ode mnie i sam obwiązał mnie sznurem. Przyciągnął do cuchnącej piersi i zacisnął więzy, które wżarły się w moją skórę. Zawijając węzeł, całym ciężarem ciała nadepnął mi na palce prawej stopy. Krzyknęłam. Cofnął się. Rozważałam, czy moje zakrwawione palce są złamane. Teraz, kiedy lina była ciasno związana wokół mojej talii, zostawiono mnie w spokoju.

Ktoś potrącił i przewrócił starszą krajanekę – zastanawiałam się, jak udało jej się przetrwać rejs. Dojrzałam Fombę, który siedział na ziemi, obejmował łokciami kolana, zakrywał uszy dłońmi i z zaciśniętymi powiekami kołysał się w przód i w tył. Ci sami mężczyźni, którzy mnie związali, zaciskali sznur wokół Fomby. Potrzeba było trzech toubabów, żeby go podnieść. Przelewał im się przez ręce. Miał przygniatający ciężar

zmarłego, a jednak wciąż żyjącego człowieka. Mężczyzna oderwał Fombie ręce od uszu i wrzasnął na niego. Wokół zgromadzili się inni. Już go nie widziałam. Wybrakowani więźniowie zostali teraz związani i zebrani w grupy.

Toubabowie z linami zaczęli się oddalać od budynku, prowadząc dwóch, trzech lub czterech chorych więźniów. Jakiś toubab chwycił za sznur zaciśnięty wokół pasa Fomby, przyciągnął go do mnie i wyprowadził nas oboje z placu na zakurzoną drogę. Rozglądałam się na lewo i prawo w poszukiwaniu Chekury, Bitona i Fanty, ale nie dostrzegłam ani ich, ani żadnych innych zdrowych więźniów.

Fomba szedł zaledwie kilka kroków obok mnie. Miał otwarte oczy, ale nie widział ani mnie, ani niczego, ani nikogo. Toubab znów nastąpił na moją stopę. Krzyknęłam. Głowa Fomby gwałtownie się odwróciła. Jego oczy ożyły i spojrzał na mnie przenikliwie. Teraz mnie zobaczył. Mój głos zdawał się jedyną rzeczą, która potrafiła go wyrwać z transu. Poczułam żal. W Bayo miał nam służyć. A teraz to on mnie potrzebował.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

Uśmiechnął się.

– Jeśli znajde wodę, podzielę się nią z tobą – oznajmiłam.

Fomba otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Szliśmy już od jakiegoś czasu, kiedy podprowadzono nas do młodego krajana, który stał przy zaprzężonym powozie. Wraz z nim czekało dwóch związanych więźniów – kobieta i mężczyzna. Nie znałam ich. Nie przyplłynęli naszym statkiem. Wyglądali też na silniejszych i zdrowszych niż ja. Wyszeptałam do nich kilka słów, ale było jasne, że nie potrafią się porozumieć ani ze mną, ani ze sobą nawzajem.

Toubab przestawił nas, formując pojedynczy szereg, odsuwając od siebie na odległość pięciu kroków, i połączył ze sobą, wiążąc w pasach nowymi linami. Stojącego z przodu Fombę przywiązano do tylnej części powozu. Drugiego mężczyznę, który wyglądał, jakby chciał uciec, ustawiono za nim. Młoda kobieta stanęła przede mną i widziałam, że kiedy przywiązywano mnie z tyłu, oglądała się w lewo, w prawo i do tyłu. Toubab wdrapał się do powozu i smagnął konia batem. Zwierzę zaczęło iść, powóz się potoczył, a my nie mieliśmy wyboru i ruszyliśmy za nim.

Szliśmy cały dzień. Bez wody. Bez jedzenia. Bez przerw na to, by się wysuszać. Ilekroć chcieliśmy się załatwić, musieliśmy to zrobić, idąc. Mocz spływał nam po obolałych nogach i palił popękaną skórę. Czasem po jednej stronie prześwitywała wielka woda. Ale po lewej towarzyszyły nam głównie drzewa, ziemia, niekończąca się droga i bagna. W mojej ojczyźnie nie widziałam tak podmokłej ziemi i traw oraz trzciny wyrastających prosto z wody.

Mech zwisał z drzew niczym luźny strój. Tylne koła powozu wirowały, a ja godzinami patrzyłam, jak się obracają, poruszają, nie łamią, nie poddają. Koła mnie fascynowały.

Próbowałam sobie wyobrazić, że moje nogi są do nich podobne i że nieprzerwanie kręcą się w słońcu. Pracujący krajan trzymał się blisko nas, idąc z pochyloną głową jak zbity pies.

Kiedy zatrzymaliśmy się na nocleg, toubab nie rozwiązał nas, ale pozwolił nam się położyć na ziemi. Zająłam miejsce obok kobiety, która szła przede mną. Patrzyłyśmy na siebie bez skrępowania, a ja poczułam ulgę, kiedy napotkałam jej przyjazne oczy. Krajan pracujący dla toubaba rozpalil ogień i ugotował papkę z mąki kukurydzianej. Rozlał ją do tykw, które sprawiły, że zatęskniłam za swoją ojczyzną, i dał nam wody. Wskazał na ziemię. Usiadłam i rozciągnęłam kończyny.

Kobieta i ja położyłyśmy się obok siebie, a ona objęła mnie ramieniem. Poczułam wdzięczność za ciepło i pocieszenie, jakie mi ofiarowała, choć nie mogłabym o nie prosić. Jej język brzmiał nieznamo, więc wskazałyśmy na siebie i wymieniłyśmy imiona. Tala. Tak się nazywała. Wskazałyśmy na wiadro i wymieniłyśmy się słowami oznaczającymi jedzenie. Wodę. Księżyc. Gwiazdy. Aby nauczyć się języka tej kobiety, wystarczyło, że położyłam się obok niej.

Śniłam, że idę przez las w kraju toubabów. Toubabowie i pracujący dla nich krajanie zabierali mnie z dala od miasta. Brodziliśmy w porannej rosie. Naszą ścieżkę przecinały zające. „Pospieszcie się – przemawiałam do nich w myślach – albo ktoś was złapie i ugotuje”. Krzyknęłam to ostrzeżenie do przebiegającego zająca w zaawansowanej ciąży. Zamiast wbiec w krzaki, stworzenie zatrzymało się, odwróciło i długo we mnie wpatrywało, a po chwili zauważyłam, że ma oczy mojej matki. Przez jakiś czas zając kicał przede mną, wskazując mi drogę, dając znać, bym pozostała na ścieżce, i upewniając się, że idę we właściwym kierunku. Szłam dalej, a toubabowie zmienili się w myśliwych z mojej wioski. Z lasu dobiegły nas odgłosy bębna oraz krzyki kobiet z wioski piorących ubrania w strumieniu. Zwierzę zamieniło się w moją matkę, która niosła na głowie tacę z zabitym zającem. Właśnie złapałyśmy dziecko i wracałyśmy do domu.

Kiedy obudziliśmy się następnego dnia i kontynuowaliśmy marsz, rozglądałam się wokoło, szukając śladów ludzi ze swojej wioski. Wszędzie, na szlaku i na polach, otaczali nas krajanie. Nie sądziłam, że tak będzie. Spodziewałam się, że znajdę się zupełnie sama, że będę jedyną krajanką w morzu toubabów. Gdziekolwiek jednak spojrzełam, mijali nas krajanie i krajanki. Niektórzy byli zakuci w łańcuchy. Inni związani linami. Jeszcze inni szli swobodnie, zupełnie pozbawieni eskorty. Byłam pewna, że przy tych wszystkich krajanach poruszających się pieszo – widziałam, że ich liczba przewyższa liczbę toubabów – z pewnością nie pozostanę w niewoli. Ktoś mnie uratuje. Znajdowałam się jednak w przedziwnym świecie. Nie mogłam go zrozumieć. Żaden krajan nie walczył, nie krzyczał ani nie uciekał. Nie okazywali żadnego oporu. Żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi.

Ilekcroć Tala i ja napotykałyśmy ludzi z naszego kraju, wołałyśmy do nich w naszych

językach. Zazwyczaj nikt nam nie odpowiadał. Ale w czasie pierwszego dnia marszu Tala rozpoznała mężczyznę. Był mniej więcej w wieku mojego ojca i stał na skraju ścieżki wraz z niewielką grupą zakutych w kajdany krajanów, którzy odpoczywali na polu. Jego także pilnowali toubab i pomocnik. Mężczyzna był wysoki i wychudzony. Po łysych plackach na głowie, wygłodniałym wyglądzie i niepewnej postawie można było stwierdzić, że także, podobnie jak my, niedawno zszedł ze statku. Tala krzyknęła do niego, a on odpowiedział. Kobieta zlekceważyła jasne ostrzeżenie od prowadzącego nas toubaba i nie przestawała wołać do mężczyzny. Zdawali się wymieniać jakieś imiona. Wole. Youssouf. Fatima.

Krzyczeli tak szybko jak dwoje rozmawiających ze sobą ludzi. W krótkim czasie wymienili wszystkie możliwe informacje. Kiedy się oddalaliśmy, mężczyzna wciąż wołał do Tali, a po chwili krzyki stały się niesłyszalne. Tala odpowiedziała mu wołaniem. W końcu, kiedy już go nie słyszała, upadła na ziemię, szlochając, i nasz mały łańcuch musiał się zatrzymać.

Toubab wysiadł z powozu, podszedł do niej, ale ja zamachałam do niego, wskazując na siebie, a potem na Talę. Uklękałam i wypowiadałam jej do ucha łagodne słowa. Wzięłam ją za rękę, pociągnęłam na nogi, po czym skinęłam głową do toubaba i zawlekłam ją w stronę biegnącej przed nami ścieżki. Toubab wrócił do powozu, a jego pomocnik zaczął iść obok nas. Miał na sobie gładkie skórzane mokasyny, lnianą koszulę bez rękawów i szorstkie spodnie przewiązane sznurem. Zastanawiałam się, kim jest i skąd się wziął.

– Dokąd nas zabierają? – wyszeptałam do niego.

Spojrzał na mnie bez emocji i wypowiedział kilka niezrozumiałych słów. Krajanie w tej nowej ziemi nigdy nie stali w bezruchu. Kiedy szliśmy, zobaczyłam toubaba prowadzącego objuczonego muła, czterech krajanów i pięć krajanek. Kobiety trzymały na głowach związane tobołki, na plecach przytroczyły sobie dzieci w chustach, a każda z nich niosła także różnego rodzaju garnki. Mężczyźni nie mieli nic na głowie ani na plecach, ale szli zlni potem, a każdy trzymał róg potężnej ramy łóżka. Szli wzdłuż drogi. Minęliśmy ich, ponieważ poruszali się powoli. Nie spieszyli się, ale ciężko pracowali. Kiedy przechodziliśmy obok, spróbowałam chwycić spojrzenie jednej z kobiet, która znajdowała się najdalej od toubaba.

– Fulfulde? Bamana? – wyszeptałam. – Mówisz w moim języku?

Była niska, miała brązową skórę i szerokie biodra. Wyglądała tak, jakby potrafiła wydać dziecko na świat bez niczyjej pomocy. Kobieta potraktowała mnie jak powietrze i poszła dalej.

Dla zabicia czasu obserwowałam twarze ludzi i próbowałam z nimi rozmawiać, kiedy toubab z ognistym kijem nie słyszał. Gdy krajanie mnie mijali, przyglądałam się, który z nich ma blizny plemienne i w jaki sposób kobiety czeszą włosy. Zaplatają je? Robią warkoczyki? Wiążą? Zakrywają? Patrzyłam, czy jacyś krajanie nie przypominają ludzi

z mojej wioski. Wielu z tych, których mijaliśmy, wcale nie wyglądało, jakby pochodzili z mojej ojczyzny. Zastanawiałam się, gdzie się urodzili i jak się tu znaleźli.

Drugiego dnia wędrówki zobaczyłam, że zbliża się do nas kobieta. Po tym, w jaki sposób trzymała tacę nad samym czołem i jak przytroczyła sobie zawinięte w chustę dziecko nisko na plecach, rozpoznałam, że pochodzi z plemienia Bamana.

– *I ni sógóma!* – krzyknęłam, kiedy podeszła bliżej. Dzień dobry.

Kobieta zatrzymała się gwałtownie.

– *Nse i ni sógóma* – odpowiedziała. Dzień dobry i tobie. – Dziecko! – mówiła dalej w bamana. – Wyglądasz jak worek kości. Czyją jesteś córką?

– Nazywam się Aminata Diallo, jestem córką Mamadu i Siry z wioski Bayo obok Ségou. Wędrujemy po tej ziemi od dwóch słońc.

– Moje dziecko, ja jestem Nyeba, córka Tembe, z Sikasso. I przebywam tu od pięciu deszczów. Musisz być bardzo silna, że przeżyłaś przeprawę.

– Dokąd idę? – zapytałam.

Toubab zeskoczył z powozu i podszedł do mnie rozgniewany.

– Idź – doradziła Nyeba – albo dostaniesz baty.

– Gdzie cię znajdę?

– Jeśli będziesz miała szczęście, odnajdziesz kilka osób w sieci.

– W sieci? – powtórzyłam.

Toubab trzepnął mnie w głowę i zaczął krzyczeć, dopóki Nyeba nie odeszła. Oberwałam jeszcze raz, a po tym nie miałam odwagi nawet obejrzeć się przez ramię. Szłam dalej wraz z pozostałymi. Wszystkie troski zagnieździły się w moim ciele i rozsadzały mnie od środka, ale nie miały dokąd pójść.

Dotarliśmy do rzeki o szerokości jednego rzutu kamieniem. Czekaliśmy pół dnia. Ośmiu krajanów przypłynęło po nas długą łodzią wydrążoną z dwóch pni. Rozwiązano nas i wpuszczono do canoe. Toubab wsiadł razem z nami, ale pomocnika i powóz zostawił na brzegu.

Mężczyźni o nagich torsach zanurzali długie wiosła w rzece, odpychając wodę i kierując się w stronę pobliskiej wyspy. Ich mięśnie napinały się pod skórą, ale kilku z nich miało na plecach krzyżujące się blizny po bacie. Fomba uważnie przyglądał się temu, jak krajanie zanurzają wiosła w wodzie. Zdawał się zafascynowany. Trącił jednego z mężczyzn, chrząknął i chwycił wiosło. Wioślarze patrzyli i śmiali się, kiedy Fomba próbował stać, zachowując równowagę i odpychając wodę wiosłem. Wkrótce jednak odnalazł rytm. Pozwolili mu wiosłować i nie przerywając pracy, zaczęli śpiewać cichą pieśń. Była to najrzewniejsza melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam, wypływająca z głębi najsmutniejszych, znużonych serc. Z pewnością i oni musieli przeżyć przeprawę przez wodę. Czy w innym wypadku śpiewaliby w ten sposób? Trąciłam mężczyznę, który oddał

swoje wiosło Fombie.

– Bamana? – wyszeptałam.

– Maninka – odpowiedział, nie poruszając głową. – Nauczyłem się tego języka od matki. Pochodziła z Afryki.

– Skąd?

– Z Afryki. Z twojego kraju.

Wpatrywałam się w niego podekscytowana. Chciałam mu się rzucić w ramiona. Swobodnie uniósł głowę. Nie miał żadnych znamion plemiennych. Rozejrzał się dla pewności, że toubab na nas nie patrzy.

– Czym jest sieć? – zapytałam.

– Dzięki niej się odnajdujemy i przekazujemy sobie wiadomości.

– Dokąd płyniemy?

– Będziecie pracować na wyspie. Trzymaj się blisko kobiet i ucz się od nich.

– Nie masz blizn na twarzy.

– Blizny robi się w waszym kraju. Twoje księżyce są ładne, dziecko. Ale ja takich nie chcę.

– Dlaczego?

– Urodziłem się tutaj. Na tej ziemi ich nie robimy.

– Czy pozostali też się tu urodzili?

– Tak. Ale mówimy, że przeznaczeniem tych, którzy przetrwali przeprawę przez wielką rzekę, jest przeżyć dwa życia.

– Ale ja wcale tego nie chcę. Chcę tylko odzyskać swoje prawdziwe życie. Dlaczego mi to zrobili?

– Zabrano cię z Afryki, żebyś pracowała dla toubabów.

– Afryka – powtórzyłam. – Co to takiego?

– Kraj mojej matki. Kraj, z którego przybyłaś.

– Nazywają go Afryką?

– Tak. Jeśli się tam urodziłaś, nazywają cię Afrykanką. Tu jednak wszystkich nas nazywają tak samo: czarnuchami, Murzynami. A najczęściej nazywają nas niewolnikami.

– Niewolnikami? – powtórzyłam.

– Niewolnikami. To oznacza, że należymy do buckrów.

– Kim oni są?

– To nasi właściciele.

– Ja nie jestem niczyją własnością. Nie jestem też Afrykanką. Jestem Bamanką. I Fulanką. Pochodzę z Bayo obok Ségou. Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Nie jestem Afrykanką.

– Toubab na nas patrzy.

– Dokąd mnie zabiera? – Miałam wrażenie, że mężczyzna spogląda na mnie z podziwem.

– Przypominasz moją matkę. Twój umysł jest ostry jak sidła. Teraz jednak musisz jeść, uczyć się i nabrać wartości. Toubab wciąż patrzy. Musimy przestać rozmawiać.

– Jestem urodzoną na wolności muzulmanką – oznajmiłam. – *Allahu Akbar*.

Mężczyzna gwałtownie złapał mnie za przedramię.

– Przestań – wyszeptał.

Wstrzymałam oddech i spojrzałam mu w twarz. W jego oczach malował się gniew. Jego palce były jak szpony, które coraz mocniej zaciskały się na mojej ręce.

– Nigdy nie módl się w ten sposób. To niebezpieczne, a toubab ukarze cię batem. Ukarze nas wszystkich. – Mężczyzna, który nazwał mnie Afrykanką, puścił moje ramię, odebrał Fombie wiosło i powrócił do wiosłowania.

Wślizgnęliśmy się w trzciny i zatrzymaliśmy u brzegu wyspy. Fombę i mnie wypuszczono z łodzi jako pierwszych. Przedarliśmy się przez bagno na suchy ląd, gdzie czekał na nas toubab z ognistym kijem.

Słowa płyną dalej, niż wędruje człowiek

Wyspa Świętej Heleny, 1757 rok

Gdy znalazłam się na plantacji indygowca należącej do Robinsona Appleby'ego, musiałam mieć dwanaście lat. Przypuszczam, że było to w styczniu 1757 roku. Panował chłód, a ja miałam na sobie jedynie szorstką tkaninę z lnu zawiązaną wokół talii. W miejscu, gdzie materiał obcierał mi biodro, skóra zrobiła się zaczerwieniona i obolała. Palce mojej lewej stopy krwawiły i wydawało mi się, że dwa z nich są złamane. Ledwo mogłam chodzić. Kiedy potykając się, doszłam na skraj dużego dziedzińca przed białą rezydencją, która zdawała się pękać w szwach od powagi, uświadomiłam sobie, że nie potrafiłabym utrzymać na głowie tacy z jedzeniem. Gdyby powierzono mi pomarańcze i banany, owoce natychmiast spadłyby na ziemię.

Kulejąc, weszłam na dziedziniec wraz z Fombą. Gapiłam się na tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Otaczały mnie twarze brązowe jak moja, a także jasnobrązowe. Wśród dzieci i niemowląt dostrzegłam kilkoro o cerze w odcieniu bardzo jasnego brązu oraz takie, które były wybielone jak u buckry. Zwróciłam też uwagę na głowy. Z warkoczykami plecionymi ciasno przy skórze. Z włosami uczesanymi w kucyki lub splecionymi. Łyse czaszki. Głowy ze wzorami wygolonymi na krótkich włosach. Chusty w jaskrawych odcieniach. Czerwone. Pomarańczowe. Wpatrywałam się w żółtą tkaninę i zastanawiałam się, czy i ja kiedyś taką dostanę.

Kiedy przybyłam na plantację, musiała być niedziela. Kobiety doglądały postawionego na ogniu garnka. Choć naczynie było duże, paliły się pod nim tylko trzy drewnianki. Potrawka duszona na wolnym ogniu. Wiatr poderwał jej zapach i rozniósł go w powietrzu. Mięso. Warzywa. Papryczki. Pierwszy raz od pół roku natknęłam się na jedzenie, które tak ładnie pachniało. Na ziemi kuczał mężczyzna zwrócony tyłem do siedzącego w szerokim rozkroku człowieka, który zajmował miejsce na ławce. Mężczyzna na ziemi pochylał głowę, pozwalając, by siedzący za nim przesunął ostrze długiego noża po jego karku. Niewolnik golił włosy, opłukiwał nóż w tykwie z wodą i powracał do golenia. Byłam tak zmęczona, że chwiałam się na nogach, ale pamiętam krążące mi po głowie myśli: „Ten mężczyzna ma nóż, ale z tego nie korzysta. Jeśli ma nóż, a i tak nie może uciec, to co się stanie ze mną?”.

Wśród tych wszystkich Negrów znajdował się jeden toubab w długim surducie zapinanym z przodu na guziki. Miał ostry nos, wąski podbródek i włosy proste jak pergamin. W guzikach na jego długim płaszczu odbijało się słońce, a bryczesy były utkane z gładkiej błyszczącej tkaniny. Stał w rozkroku, szeroko rozstawiając stopy, i wyglądał,

jakby był panem świata. Towarzysząca mu kobieta o włosach w odcieniu słomy zanurzyła pióro w kałamarzu trzymanym przez Murzyna i zaczęła coś pisać w księdze. Od lewej do prawej, od lewej do prawej.

Toubab naczelnik miał czarnego pomocnika, który był ubrany lepiej od niewolników i opierał się o laskę. Mężczyzna nakazał Fombie się pochylić. Obejrzał jego twarz i pierś, a laską ostukał golenie, zebra i plecy, po czym zwrócił się w moją stronę.

Pomocnik zajął mi w oczy. Wydał jakieś polecenie. Między jego dolnymi zębami zobaczyłam pojedynczą wyrwę. Nie rozumiałam, co mówi. Toubab postąpił naprzód, zdarł mi z bioder tkaninę i wykonał jakiś gest rękami. Chciał, żebym rozłożyła nogi. Przyglądali się nam pozostali Negrzy. Stałam bez ruchu. Toubab powtórzył gest, ale ja nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam się poddać kolejnym oględzinom. Toubab wymierzył mi policzek, a ja upadłam. Leżałam na plecach i myślałam, że pochylenie się i bicie mnie na ziemi będzie od niego wymagało wysiłku. Murzyn uniósł laskę. Zakryłam się ramionami i zamknęłam oczy. Usłyszałam głos. Toubab wydał jakieś polecenie. Kiedy cios nie nadszedł, otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak laska powoli upada na ziemię u boku pomocnika. Toubab ukucnął, a ja zajął mu w oczy. Niebieskie. Przesuwały się w górę i w dół po moim ciele. Bez pośpiechu. To nie pręga na mojej skórze przyciągnęła jego wzrok, lecz coś innego. Nagle boleśnie zdałam sobie sprawę z własnej nagości. Wiedziałam, że przygląda się pąkom na mojej piersi. Powiedział coś, a Negr z laską pochylił się tak nisko, jak potrafił. Teraz obaj na mnie krzyczeli.

Przez ich wrzaski przedarł się kobiecy głos. Ujrzałam czerwoną chustę, szyję tak ciemną jak moja, szeroki nos i błysk zębów. Kobieta wytarła ręce w kawałek szmaty zatknięty za pasek. Usłyszałam, jak wykrzykuje obelgi pod adresem Negra z laską. Z jej ust wyfrunęło tysiąc słów. Zlewały się ze sobą jak zupa, a mnie wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł ją zrozumieć. Negr i toubab cofnęli się o krok, a potężna kobieta wzięła mnie na ręce.

Obijałam się o jej biceps w górę i w dół. Kiedy mnie niosła, słyszałam świszczący oddech wydobywający się z jej nozdrzy, ale nie odezwała się ani słowem. Dotarliśmy na kraniec polany i znalazłyśmy się wśród glinianych domów krytych strzechą. Kobieta przekręciła się tak, by jej szerokie ciało zmieściło się w futrynie. Na środku wilgotnego pomieszczenia stało dwóch mężczyzn, którzy pochyłali się, śmiali i klaskali w dłonie. Kobieta postawiła mnie na ziemi, ale podtrzymała moje ramię, żebym nie upadła. Mężczyźni umilkli i znieruchomieli. Wyglądali, jakby nigdy wcześniej nie widzieli kogoś takiego jak ja.

Opuścili chatę, jak gdyby wycofywali się przed cudem, a kobieta zaprowadziła mnie na siennik. Przykryła mnie kocem i przytknęła mi do warg tykwę z wodą. Upiłam łyk. Murzynka miała ciemnobrązowe oczy o nieodgadnionym wyrazie. Ale nie wyglądała na

kogoś, kto niedługo umrze. W jej obecności czułam się bezpiecznie i zapadłam w głęboki sen, jakiego nie zaznałam od wielu księżyców.

Od czasu do czasu docierały do mnie odgłosy wydawane przez kobietę krzątającą się z naręczem tykw. Ich twarde skórzaste powierzchnie uderzały o siebie melodyjnie jak małe bębny i sprawiły, że zatęskniłam za domem. Przez sen czułam, że kobieta mnie podnosi i wlewa mi wodę do ust. Na twarzy miałam ciepłą, moką szmatkę. Raz pośród ciemnej nocy usłyszałam śpiew ptaka. „Dla kogo tak ćwierka? – zastanawiałam się. – Może to właśnie mnie woła?” Obok spoczywało pogrążone we śnie ciepłe ciało. Podobał mi się zapach tej kobiety, a jej chrapanie odzwierciedlało śpiewające w jej głębi życie i przynosiło mi ukojenie.

Kiedy obudziłam się z długiego snu, z moich ramion zwisała szorstka koszula. Kobieta, która dała mi schronienie w swoim łóżku, ujęła mnie za rękę, żeby zapoznać mnie z ludźmi z sąsiednich chat. Mężczyźni wpatrywali się we mnie ze zdumieniem, dotykali moich nadgarstków i wypowiadali słowa, których nie rozumiałam. Kobiety obejmowały mnie za ramiona, przytulały i palcami wodziły po księżycach na mojej twarzy. Raz po raz wybuchały nieopanowanym śmiechem. Przyniosły mi tykwy z wodą, gotowaną kaszę kukurydzianą, a nawet mięso. Powąchałam je i odwróciłam głowę. Wieprzowina. Kobieta o szerokich ramionach, która ze mną spała, wyciągnęła z zagrody kurczaka, złapała go za nogę i wskazała na moje usta. Skinęłam głową. Tak, kurczaka zjem. Pomachałam palcem, wskazując na duże zwierzę z rykiem, taplające się w błocie. Ale nie to. Nie wieprzowinę.

Z chaty wyłoniło się trzech mężczyzn. Jednym z nich był Fomba. Jego oczy rozwarły się szeroko, a ja podbiegłam do niego. Wydawał się krzepki i silny. Wyglądało na to, że znowu zaczął jeść. Otworzył usta i próbował wymówić moje imię, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Fomba – wyjaśniłam kobiecie. – On nazywa się Fomba. Pochodzi z mojej wioski Bayo.

Uśmiechnęła się. Zdawała się nie zważać na to, co mówię. Wiedziałam, dlaczego tak jest. Doskonale wiedziałam. Choć miała czarną skórę, nie była krajanką. Pochodziła stąd. To miejsce było jej domem. Nie mogła mnie zrozumieć. To ja musiałam zrozumieć ją. Stało się jasne, że nie zdołam nigdzie pójść ani niczego pojąć, dopóki nie nauczę się rozmawiać z tą kobietą. Wiedziałam, że będę musiała to zrobić nie tylko dla siebie, ale i dla Fomby.

Kiedy wróciliśmy do miejsca, gdzie spałyśmy, kobieta posadziła mnie na pieńku przed drzwiami i powoli zaczęła do mnie przemawiać. Ujęła moją rękę w swoją dłoń, dwa razy większą od mojej. Miała połamane paznokcie, stwardniałe palce i skórę tak spękaną jak wyschnięte koryto rzeki. Postukała mnie w dłoń, przesunęła palcem wzdłuż moich żeber i położyła mi rękę na ramieniu. Wbiła palec we własną pierś i powiedziała:

– Georgia. – Skierowała ku mnie otwarte dłonie.

– Aminata – odparłam.

Georgia kazała mi trzykrotnie powtórzyć moje imię, ale udało jej się wypowiedzieć jedynie „Meena”. Na tej nowej ziemi byłam Afrykanką. Na tej nowej ziemi nosiłam inne imię, nadane mi przez kogoś, kto nawet mnie nie znał. Nowe imię i drugie życie otrzymała dziewczynka, która przeżyła przeprawę przez wielką rzekę.

Księżycy przychodziły i odchodziły. Powietrze robiło się coraz cieplejsze i stawało się ciężkie. Komary wściekle brzęczały, wlatywały mi do uszu, kąsały łydki i kark. Georgia mawiała, że musimy pracować „*albees, albees, albees*”. Jak się wkrótce przekonałam, „*albees*” oznaczało do czasu, aż wykonamy pracę, przez sześć dni w tygodniu.

Trzeba było karmić i zabijać świnie. Zabierać kurom jajka, robić mydło z popiołu i ługu oraz prac i cerować ubrania. Robinson Appleby, toubab naczelnik, przez większość czasu był nieobecny, a jego kobieta rzadko towarzyszyła mu w czasie wizyt na plantacji. Gdy Appleby’ego nie było, w wielkim domu mieszkał inny toubab, który doglądał naszej pracy. „Nadzorca” to jedno z pierwszych słów, jakie poznałam. Niemniej zaledwie dwa księżycy po wyjeździe Appleby’ego nadzorca umarł i właściciel powrócił. Kiedy kilka dni później znów opuścił plantację, naszym nadzorcą został Mamed – Negr z laską do bicia. Mamed miał dwóch pomocników. Wszyscy byli uzbrojeni w ogniste kije, pałki i bicze. Przez większość czasu na plantacji nie było nikogo poza pięćdziesięcioma Murzynami obserwowanymi przez murzyńskiego dozorcę i jego dwóch murzyńskich pomocników. W obrębie wzroku nie było żadnego toubaba, a i tak nikt nie próbował uciec z wyspy.

Georgia wszędzie mnie ze sobą zabierała, wciąż ze mną rozmawiała i nazywała wszystkie wykonywane przez siebie czynności. Zbierała długie źdźbła trawy i plotła z nich kosze. Gdy mężczyźni przynosili jej oposy, obdzierała je ze skóry. Gdy inni przynosili jej zółwie, patrzyłam, jak robi z nich zupę. Po obgotowaniu zwierząt skorupy łatwo się z nich zsuwały. Georgia zawsze zbierała liście, jagody i korzonki.

– Czarny bez – powiedziała któregoś dnia, przyglądając się wysokiej liściastej roślinie o pękach białych kwiatów.

Kiedy znów stanęła przy garnku, podgotowała liście w wodzie i przelała płyn do tytkwy. Uduśiła kwiaty na świńskim smalcu i przełożyła mieszaninę do pękatej tytkwy z cienką szyjką.

To naczynie pochodziło z kolekcji tykw we wszystkich możliwych kształtach i rozmiarach, które wisiały na patykach i gwoździach wbitych w ściany jej chaty.

– Kwiaty czarnego bzu i smalec – mówiła w kółko, dopóki tego nie powtórzyłam.

Któregoś dnia do jej domu przyszedł mężczyzna z ropiejącą raną na stopie. Georgia posmarowała jego ranę mieszaniną, a mężczyzna wręczył jej własną tykwę wypełnioną płynem o silnym zapachu. Upiła spory łyk i otworzyła usta, jak gdyby wydychała ogień.

– Likier – rzuciła soczyście.

Powtarzałam wszystkie słowa, jakie wydobywały się z ust Georgii. Po jednym czy dwóch księżycach przyzwyczałam się do sposobu, w jaki mówiła. Kiedy w końcu nauczyłam się rozumieć jej mowę, zorientowałam się, że uczy mnie dwóch języków, które przypominały języki maninka i bamana – różniły się od siebie, ale były spokrewnione i brzmiały podobnie. Jednym językiem Georgia posługiwała się wtedy, gdy znajdowałyśmy się na plantacji z samymi Negrami. Nazywała go gullah. Był też język, którym porozumiewała się z Robinsonem Applebym i innymi białymi ludźmi. Nazywała go angielskim. W języku Negrów na białego człowieka mówiło się „buckra”, ale Georgia ostrzegała, bym nigdy nie nazywała żadnego człowieka białym.

– Jeśli nazwiesz człowieka białym, porachuje ci kości.

– Jak mam więc na niego mówić? – zapytałam.

Wyjaśniła, że do właściciela farmy mam się zwracać „mister Apbee”. Dodała, że kiedy on będzie się zwracał do mnie, wymówi swoje nazwisko „pan Appleby”. Do jego żony mieliśmy mówić „pani” albo „*missus*”.

Lekcje i instrukcje, których udzielała mi Georgia, zdawały się nie mieć końca. Appleby miał na imię Robinson, ale gdybym nazwała buckrę po imieniu, z pewnością dostałabym baty. Uczyła mnie, że jeśli nie znam czyjegoś nazwiska, wystarczy, bym zwróciła się do tej osoby per pan lub pani. Kiedy buckra do mnie mówił, nie wolno mi było patrzeć mu w oczy ani zachowywać się tak, jakbym wiedziała więcej od niego. Georgia dodała, że postąpiłabym równie niemądrze, udając głupią. Najlepiej było podążać za tym, co mówił buckra – jak dobrze wyszkolony pies. Miałam robić, co w mojej mocy, żeby trzymać się z dala od Appleby’ego, zwłaszcza gdy byłam sama. W końcu Georgia powiedziała, że bym nigdy nie zapominała, że buckra nie zna gullah. Biali rozumieli tylko własny język. Miałam nigdy nie uczyć buckry żadnego słowa ani wyrażenia używanego przez Negrów. A także nie dawać po sobie poznać, że rozumiem sporą część jego języka.

Georgia była zadowolona, że tak szybko nauczyłam się mówić. Oprawdzała mnie po domach innych kobiet i mężczyzn na plantacji, żeby pochwalić się moimi postępami.

– Szybko się nauczyła – mówiła w gullah. – Siup, siup, siup. Słowa wyfruwają z jej ust jak orły.

Zaśmiałam się. Uwielbiałam słuchać tej kobiety. Ilekroć otwierała usta, wydobywało się z nich coś olśniewającego. Dzięki temu, w jaki sposób mówiła, życie stało się znośne.

– Dziecino – zwróciła się do mnie któregoś dnia. – Dlaczego Fomba nie mówi?

Powiedziałam, że stracił słowa na dużym statku.

– Przepłynął z tobą przez rzekę?

– Tak.

Georgia skinęła głową i położyła dłonie na moich ramionach.

– Przepłynęłaś rzekę i twoja głowa buzuje. Ale dorosły mężczyzna przekroczył rzekę

i na zawsze zamknął usta. – Georgia zastanawiała się nad tym i próbowała to zrozumieć. Skrzyżowała ramiona i wetknęła dłonie pod pachy. – Wszyscy przepłynęliście potworną rzekę, która zamyka usta – rzekła ze swoim silnym akcentem.

Nie powiedziałam Georgii, że Fomba był wioskowym *woloso*. Nie chciałam, by ktokolwiek o tym wiedział.

– Dobrze pracuje – rzuciłam. – Jest silny jak wół.

– Wiem – odparła Georgia. – Wczoraj podniósł z ziemi świnie i powiesił ją na czerwonym dębie, żeby upuścić jej krew. To zadanie dla trzech mężczyzn, a on powiesił świnie sam.

Chciałam, żeby Fomba przeżył. Martwiłam się tym, że nie może mówić.

Na tej plantacji dowiedziałam się, że istnieją dwie klasy więźniów. Byli „rozumni Negrzy” tacy jak ja, którzy potrafili mówić w języku toubabów i rozumieli polecenia. Byli też tacy, którzy wcale nie umieli rozmawiać z białym człowiekiem i którym nigdy nie powierzano łatwiejszych zadań, nie dawano dodatkowego jedzenia czy nagród i których nigdy niczego nie uczono.

Pomyślałam, że gdyby wszyscy się dowiedzieli, że Fomba bez niczyjej pomocy potrafi podnieść i zawiesić świnie, by się wykrwawiła, może ktoś się nim zaopiekuje i nie będzie go dręczył. Znałam go i wiedziałam, że wpada w rozpacz, kiedy się go krępuje. Ale kiedy pozwalano mu wrzucać kamienie do wody, żeby ogłuszyć i wyłowić ryby, dobrze sobie radził. W takich chwilach był silny i sprawny. Z całego serca pragnęłam, żeby taki pozostał. Chciałam, by otaczali mnie tylko silni ludzie.

Gdy któregoś dnia robiłyśmy z Georgią pranie w balii, oganiając się od wyjątkowo uciążliwych komarów, nadszedł Mamed i rozkazał, żebym z nim poszła.

– Nie nękać jej – powiedziała Georgia w gullah. – Jest zajęta jak ptaszek wijący gniazdo.

Mamed odepchnął ją i złapał mój nadgarstek w żelazny uścisk. Jego dotyk przypominał zaciskające się kajdany, w jakie zakuwano nas na statku.

Georgia opuściła ręce i zawołała:

– Jeśli tkniesz tę dziewczynę, będziesz miał ze mną do czynienia!

Mamed skierował się za chaty, ciągnąc mnie za sobą. Jego prawe kolano – to, przy którym trzymał laskę – niewłaściwie się zginało, wcale jednak nie przeszkadzało mu się szybko poruszać. Z pewnością nie brakowało mu też siły. Nogawki jego bryczesów były odcięte tuż pod kolanami, a mięśnie w dolnej części nóg wiły się jak węże. Jego siwe włosy nie kręciły się tak bardzo jak moje i miał jaśniejszą skórę niż większość ludzi na plantacji.

Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku Georgii, Mamed puścił mój nadgarstek i poprowadził mnie przez las. Po jakimś czasie dotarliśmy do polany. Zobaczyłam ogromny

dach pokryty strzechą, oparty na długich słupach, bez ścian i podłogi. Pod dachem, który służył tylko temu, by dawać cień, znajdowały się prostokątne kadzie zrobione z drzewa cyprysowego. Sześć kadzi ustawiono w dwóch rzędach. Cuchnęły uryną. W każdym z rzędów stały obok siebie po trzy kadzie, jednak każda z nich znajdowała się na innej wysokości. Zbiorniki były połączone rurami.

Mamed wręczył mi igliwie i szczotkę. Pokazał, jak wdrapać się do kadzi, zanurzyć szczotkę w ługu i wodzie, a następnie wyszorować drewno. Obserwował mnie, by się upewnić, że czyszczę kadzie zgodnie z jego zaleceniami. Była to ciężka praca, ale pokazałam mu, że szybko się uczę i że sprostam powierzonemu mi zadaniu. Nie chciałam go rozzłościć.

Wieczorem zapytałam Georgii, po co czyszczę kadzie.

– Na indygo – odparła Georgia.

– Indygo – powtórzyłam.

Powiedziała, że ma to coś wspólnego z barwnikiem do ubrań buckrów. Nie rozumiałam, co czyszczenie pustych drewnianych kadzi ma wspólnego z ubraniami. Wyjaśniła, że kiedy pracowałam z Mamedem, ona i mężczyźni zajmowali się karczowaniem płata ziemi z pniaków.

– Ukąszenia węzów, pszczoł, pełzające robaki. Ciężka, brudna praca – oznajmiła.

Dzień po dniu Mamed przychodził po mnie i prowadził do kadzi. Gdy któregoś dnia podniosłam wzrok znad szorowanych desek, zobaczyłam, że zbliża się do mnie Appleby. Mamed wrzasnął, że przeoczyłam plamę brudu, i uderzył mnie laską. Poczułam, jak Appleby zbyt długo zatrzymuje wzrok na moim ciele, i cieszyłam się, że mam na sobie lnianą tkaninę, niezależnie od tego, jak bardzo była szorstka. Po chwili Appleby nas opuścił, a ja pracowałam dalej, raz po raz obrywając laską od Mameda.

Kiedy zostawialiśmy sam na sam, Mamed, który nadzorował moją pracę, nie używał języka Negrów. Mówił jak buckrzy. Zastanawiałam się, czy ma to coś wspólnego z jego wyglądem. Był o wiele jaśniejszy niż ja, ale ciemniejszy niż buckrzy. Zastanawiałam się, kim są jego rodzice, ale nie odważyłam się o to zapytać.

Po jakimś czasie Mamed zaczął zostawiać mnie samą, żebym zeszkrobywała plamy z błota.

– Wyczyść każdą odtąd dotąd – mówił i zaznaczał odpowiednie miejsce.

Kiedy wracał, sprawdzał, czy dotarłam do właściwego punktu. Aby uniknąć ciosów laską, starałam się szybko wykonać pracę i umilałam sobie czas, wymyślając słowa pociechy płynące z ust mojego ojca. Jego obecność byłaby dla mnie ogromnym pokrzepieniem. Mógłby ze mną rozmawiać w moim języku, pokazać, jak uniknąć ciosów laską i wykręcania nadgarstków przez dorosłego mężczyznę, jak żyć w tej nowej krainie. Tęskniłam za kimś, kto wiedziałby o mnie wszystko i potrafił wskazać mi drogę.

Próbowałam usłyszeć w głowie niski, pewny głos ojca i wyobrażałam sobie, że jego palce łagodnie spoczywają na moim ramieniu. „Oni właśnie tego chcą, Aminato. Podam ci sposób na przetrwanie. Weźmy na przykład kurczaki. W tym kraju nie upuszczają im krwi. Po prostu urywają im głowy i wrywają wnętrzności. Jeśli chcesz, unikaj wieprzowiny, ale tak bardzo się tym nie przejmuj. Jesteś teraz na nowej ziemi. Staraj się przeżyć. Czuwam nad tobą, córko. Moimi oczami są gwiazdy, dzięki którym widzę cię w tym nowym kraju. Przekroczyłaś wielką rzekę i musisz żyć dalej”.

Mamed wracał kilka razy dziennie, żeby mnie sprawdzić. Niechętnie kiwał głową i od czasu do czasu przynosił wodę i jedzenie. Po siedmiu dniach pracy był w końcu zadowolony z tego, jak oczyściłam kadzie.

Tej nocy Georgia powiedziała w łóżku, że słyszała, jak Mamed chwali moją pracę.

– Skąd on jest? – zapytałam.

– To po prostu Murzyn – odparła. – Urodził się tutaj, na wybrzeżu Karoliny.

Przez chwilę milczałam, słuchając, w jaki sposób wypowiada to słowo. W jej ustach brzmiało niezwykle melodyjnie. Kiedy myślałam o tym, jak Georgia rozciąga każdy dźwięk wyrazu, robiąc niemal małe pauzy, wyszeptała coś jeszcze:

– Mama Mameda to czystej krwi Afrykanka.

– Naprawdę?! – krzyknęłam.

– Cicho sza, dziecino.

Chwyciłam ją za nadgarstek i wyszeptałam:

– Mama Mameda jest Afrykanką?

– Mhm.

– Skąd pochodzi?

– Puść mnie, dziewczyno.

Wypuściłam jej nadgarstek.

– Ale skąd pochodzi?

– Afrykanka to Afrykanka. Tyle wiem.

– Czy jego mama żyje?

– Już od dawna jest na tamtym świecie.

– Znałaś mamę Mameda?

– Nigdy jej nie spotkałam. Ale to nie wszystko – oznajmiła Georgia.

– Co nie wszystko?

– Tatuś Mameda był buckrą. Miał plantację na wyspie Coosaw.

– Jego tatuś żyje?

– Tak samo martwy jak mama.

– Więc dlaczego Mamed jest niewolnikiem?

– Nadzorcą – poprawiła mnie Georgia.

- Ale czy nie jest też niewolnikiem?
- Tak, ale zadziera nosa bardziej niż ty i ja.
- A jego tatuś był buckrą?
- Nie inaczej – powiedziała Georgia.
- Więc dlaczego Mamed jest niewolnikiem?
- Jeśli mama była niewolnicą, to ty też nią jesteś. Jeśli tatuś był niewolnikiem, to też nim jesteś. Jeśli masz w sobie choć trochę Murzyna, to jesteś niewolnikiem, to jasne jak słońce.

Chciałam ją zapytać, jak Mamed trafił na plantację, ale Georgia już przygotowała odpowiedź.

- Kiedy mama Mameda dokonała żywota, tatuś buckra sprzedał go panu Apbee’emu.

Umilkłam, ale nie mogłam zasnąć. Wydawało mi się niedorzeczne to, że szoruję kadzie, piórę ubrania i podrzynam szyje kurczakom dla mężczyzny, który nawet z nami nie mieszka. Jak to się stało, że stał się moim właścicielem i że był właścicielem pozostałych niewolników? Zastanawiałam się, czy jestem jego własnością przez cały czas, czy tylko wtedy, kiedy dla niego pracuję. Czy był moim panem, kiedy spałam? A kiedy śniłam?

Georgia głośno chrapała, ale nie mogłam się opanować i poklepałam ją w ramię.

- Hę? – mruknęła.
- Co to znaczy „niewolnik”?
- Nie budź mnie niemądrymi pytaniami.
- W jakim sensie ten mężczyzna jest naszym właścicielem? – zapytałam.
- W każdym.
- A jeśli nie będziemy?
- Co „nie będziemy”?
- Jeśli nie będziemy pracować?
- Jeśli nie pracujesz, to umierasz – odparła Georgia. – Buckrzy muszą wyhodować rośliny i wybudować domy. Jeśli tego za nich nie zrobisz, umrzesz.

– A zanim nas tu przywieziono... Przed Negrami. Przed Afrykanami. Kto pracował?

– Miałam dobry sen – powiedziała Georgia. – Dlaczego mieszasz mi w głowie tymi bredniami? Kto? Co? Gdzie? Jestem skonana, dziecko. Czuję karczowanie w kościach.

Położyłam się na plecach i zacisnęłam usta. Miałam nadzieję, że uda mi się o to wszystko zapytać innym razem. Teraz, kiedy umiałam z nią rozmawiać, w mojej głowie roilo się od pytań.

Georgia odsunęła się ode mnie i przez chwilę leżała w ten sposób. Po chwili prychnęła i znów się do mnie odwróciła. Żartobliwie trzepnęła mnie w rękę.

- Czy w twoim kraju Afrykanie tak wciąż mielą ozorami?
- Nie bardziej niż ty – odparłam. – Kiedy zaczynasz, jazgoczesz jak psiak

z podpalonym ogonem.

Georgia się zaśmiała i wyszła opróżnić pęcherz do stojącego przed drzwiami wiadra. Gdy wróciła do łóżka, powiedziała:

– Twoja afrykańska buzia jest jak galopujący koń. Zwolnij i wyznacz kierunek, dziecino, albo roztrzaskasz się o drzewo. A teraz daj mi spać albo cię stłukę. – Klepnęła mnie w plecy, po czym odwróciła się i po chwili znów chrapała.

Długo nie mogłam zasnąć, ale dźwięki, które wydawała, przyniosły mi ukojenie, podobnie jak wydzielane przez nią ciepło rozchodzące się po naszym łóżku.

Jeden obrót księżyca później Mamed zaprowadził grupę Negrów – w tym Georgię, Fombę i mnie – na jakieś pole. Kiedy on patrzył, my sadziliśmy ziarno. Czułam się zupełnie jak w domu. Wykopywałam dołek piętą, upuszczałam do niego ziarenko i przysypywałam je ziemią palcami drugiej stopy. Widziałam, że Mamed jest pod wrażeniem moich umiejętności. Mężczyźni jednak używali długich motyk i poruszali się o wiele szybciej.

Śpiewaliśmy z ludźmi, którzy pracowali obok, a Georgia często stawiała na czele naszego chóru. Kiedy kopaliśmy w ziemi, sialiśmy ziarno, zasypywaliśmy dołki i zaczynaliśmy od początku – każde z nas we własnym rzędzie – Georgia zaczynała śpiewać niskim, rzewnym głosem. Nie wiedziałam, skąd czerpie swoje pieśni. Czasem śpiewała je, nie przerywając, kiedy indziej zatrzymywała się po każdym wersie i czekała, aż odpowiemy. Śpiewając razem, wpadaliśmy we wspólny rytm i z każdą odpowiedzią wrzucaliśmy ziarno do dołka.

Ostatniego dnia siewów, kiedy kopaliśmy dołki, Georgia zaśpiewała:

– Miałam ja tatusia, ale wziął i zmarł.

Każdy z nas upuścił ziarenko i powtórzył:

– Ale wziął i zmarł.

Fomba, który pracował w rzędzie po mojej lewej stronie, także upuścił ziarno do ziemi, chociaż nie śpiewał. Zasypaliśmy dołki, zrobiliśmy krok naprzód i na chwilę przerwaliśmy. Georgia zaśpiewała:

– Gdy w palącym słońcu...

Wykopaliśmy kolejny dołek, po czym zawołaliśmy:

– Karczował pole sam!

Georgia miała zaśpiewać kolejny wers, więc przygotowałam stopę do wykopania dołka. Kiedy zaczęła śpiewać, nastąpiłam na węża. Gad zaczął pełzać, wić się i syczeć, trzepocząc językiem. Krzyknęłam. Fomba znalazł się u mego boku, zamachnął się motyką i odrąbał wężowi głowę. Zanim zdążyłam podziękować, jedną ręką podniósł głowę stworzenia, a drugą drżący odwłok i odrzucił je w dal.

– Afrykański głuptas – mruknęła Georgia, lekko go trącając. Podbiegła tam, gdzie Fomba wyrzucił węża, i zabrała go.

Tej nocy obdarła węża ze skóry, wtarła w nią olej i powtarzała tę czynność przez kilka dni. W końcu wysuszyła tłuste łuski i dwukrotnie obwiązała nimi swój niedzielny kapelusz do prania – słomiane nakrycie głowy o szerokim rondzie z zatkniętym zielono-niebieskim pawim piórkiem.

– Bez różnicy: wąż czy pan – powiedziała Georgia. – Włóż jego strój, a przyniesie ci szczęście.

Potrzeba było zaledwie piętnastu dni, by rośliny przebiły się przez piaszczystą ziemię. Pod bacznym okiem Mameda podlewałam wodą z wiadra sterczące z ziemi pędy. Kiedy zaczęły wypuszczać grube liście, Mamed nakazał mi oczyszczać z szarańczy dziesięć rzędów roślin dziennie. Pod żadnym pozorem nie wolno mi było zniszczyć liści, żeby nie zetrzeć z nich delikatnej warstewki pyłu. Miałam jedynie delikatnie podnieść owada, rozgnieść go i wrzucić do wiadra, po czym przystąpić do oczyszczania kolejnej rośliny. Mamed opiekował się liśćmi tak, jakby znał każdy z osobna i nie mógł znieść myśli, że dzieli się nimi z owadami. Rośliny stawały się coraz wyższe, a ja czyściłam je bez końca, po dziesięć rzędów dziennie.

*

Wielki dom należący do pana Appleby'ego sprzątała Murzynka, która po afrykańsku zamotała sobie dziecko w chuście nisko na plecach. Mieszkała z niemowlakiem w lepiance oddalonej od innych chat i rzadko z kimkolwiek rozmawiała. Kiedy zaczęłam dobrze sobie radzić w języku gullah, podeszłam do kobiety, gdy ta pracowała w swoim małym ogrodzie.

– Dobry wieczór, Cindy-Lou – powiedziałam.

Chrząknęła i dalej wrywała chwasty.

– Nosisz dziecko po afrykańsku. – Próbowałam dalej.

Kobieta znów chrząknęła, ale nic nie powiedziała.

– Fomba i ja pochodzimy z tej samej wioski – oznajmiłam. – W Bayo zawijamy dzieci w chusty tak jak...

– Pochodzę z tej ziemi, a teraz kołkuję fasolę, więc nie pleć mi o żadnej Afryce – odparła z silnym akcentem gullah.

Kiedy tej nocy leżałyśmy w łóżku, Georgia mnie zbeształa.

– Nie miel ozorem o Afryce – powiedziała. – Mijając Negra z zamkniętymi ustami, białego człowieka na koniu albo siedzącego na zadzie, nie pleć o domu i nie gadaj głupot. Buckrzy z Karoliny wytluką ci tę Afrykę z głowy.

Następnego wieczoru, kiedy Georgia, patrząc, jak jem, mówiła, że w końcu mam „trochę mięsa na kościach”, do naszego domu wszedł Appleby. Był wysoki i gładko ogolony. Miał na sobie dopasowane spodnie i buty do jazdy konnej z dobrze wyprawionej skóry. Wiedziałam, że nie mogę mu ufać, ale – zachowując bezpieczną odległość – chciałam się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

Próbowałam zrozumieć każde słowo, które wypowiadał w rozmowie z Georgią. Powiedział coś o kobiecie, która ma kłopoty na innej wyspie.

– Jeśli pracować całą noc, to nie pracować jutro – powiedziała Georgia.

– Tylko rano – odparł Appleby.

Georgia nie ustąpiła. Kiedy mężczyzna się poddał, zażądała, by przywiózł jej móżdziej i tłuczek „wielkości dziecka” z Charles Town. Appleby się zgodził. Georgia spakowała płócienną torbę ze wszystkimi miksturami, płynami i roślinami, po czym chwyciła mnie za rękę.

– Tylko ty – rozkazał Appleby.

– Ona iść ze mną.

– W takim razie się pospieszcie.

Idąc tak szybko, jak Georgia potrafiła, próbowałyśmy się zrównać ze stawiającym długie kroki Applebym. Kobieta oddychała tak głośno, jakby coś blokowało jej nos. Negr z plantacji zwany Wesołym Jackiem czekał na nas w powozie zaprzężonym w dwa konie. Georgia i ja wdrapałyśmy się na tył powozu i objęłyśmy o siebie, dopóki nie dotarliśmy do pomostu. Tam zaprowadzono nas do canoe – wydrążonego pnia cyprysu z przyczepionymi z obu stron dwiema kłodami. W łodzi stało dwóch Murzynów z plantacji, którzy zanurzali w wodzie długie drągi, aby przeprowadzić Appleby’ego, Georgię i mnie na drugi brzeg. Gdy siedzieliśmy w canoe, Georgia nie przestawała zadawać wioślarzom pytań. Mówiła bardzo szybko i było jasne, że Appleby nie tylko nie rozumie rozmowy, ale też wcale jej nie słucha.

– Gdzie jest Stary Joe? – zapytała Georgia. – A Quaco? Co się stało z Sally po tym, jak zabrali ją z Wyspy Świętej Heleny?

Zrozumiałam większość odpowiedzi udzielonych przez mężczyzn w canoe. Dopłynęliśmy do innej wyspy, a stamtąd powozem zawieziono nas do chaty, w której leżała krzycząca kobieta.

Zanim weszliśmy do środka, Georgia przemówiła do buckry zarządzającego plantacją, na której się znalazłyśmy:

– Mister, ja chcę fajkę i tytoń. I dwa jardy czerwonej tkaniny z Charles Town.

– Dostaniesz dwie fajki i tytoń, ale nic poza tym – odparł.

Georgia skinęła głową i weszliśmy do chaty. Kobieta leżała na łóżku, a obok stały trzy zapalone świece. Georgia poprosiła nowego buckrę o materiał i trzy tykwy ciepłej wody, po czym przegoniła go z chaty wraz z Applebym. Wyjęła z sakiewki zakorkowaną tykwę z olejem.

– Usiądź przy jej głowie i mów do niej – przykazała mi Georgia.

Podczas gdy Georgia wmasowała olej w prawą dłoń kobiety, rozłożyła jej nogi i wsunęła palce do środka, ja spojrzałam jej w oczy i zapytałam, jak ma na imię. Nie

odpowiedziała.

– Jak się nazywasz? – spróbowałam znowu. Nic nie odparła.

– Pyta o imię! – zawołała Georgia.

Nadal nie otrzymałyśmy żadnej odpowiedzi. Kobieta wyglądała na wystraszoną. Kiedy spróbowałam przemówić do niej w bamana, jej oczy zrobiły się szerokie. Gdy przerzuciłam się na fulfulde, z jej ust wypłynął potok słów. Georgia trąciła mnie łokciem.

– Dobrze, że tu jesteś, dziecino.

Kobieta miała na imię Falisha i przekroczyła wielką rzekę dopiero kilka księżyców wcześniej. Chwyciła mnie za rękę i wygięła plecy w łuk.

– Kiedy cię boli, bierz małe, szybkie wdechy – przykazałam.

Georgia położyła moją rękę na łonie Falishy i przesuwała je w coraz to nowe punkty. Pytała, czy coś czuję.

– Dwoje – odparłam.

Georgia otworzyła usta ze zdziwienia.

– Skąd wiesz?

– Już ci mówiłam. Mama nauczyła mnie łapać dzieci.

– Szkoda, że jej tu nie ma – odpowiedziała Georgia. – Ta Murzynka może umrzeć.

Przez całą noc Falishę nachodziły fale bólu. Ale pomiędzy skurczami nie przestawała mówić, jak gdyby od miesiący z nikim nie rozmawiała. Powiedziała, że w domu zostawiła dwoje dzieci. Porwano ją razem z mężem, ale on umarł w czasie przeprawy przez wodę. Nie chciałam tego słuchać i nie zadawałam żadnych pytań z nadzieją, że kobieta się zmęczy i umilknie, ona jednak mówiła dalej. Jej starsze dzieci widziały trzy i pięć pór deszczowych. Nie miała pojęcia, gdzie przebywają ani kto się nimi zajmuje. Ulżyło mi, kiedy przestała mówić, a z jej ust wydobył się długi, niski jęk, który zrodził się głęboko w jej gardle.

Falisha nie czekała na polecenia. Sama zaczęła mocno przeć. Po kilku próbach pokazała się główka dziecka. Znowu zaczęła przeć, tak że wydobyły się ramiona, pośladki i małe stópki. Georgia opatulila dziecko i kazała mi je potrzymać. Niemowlę miało szeroki nosek i rozchylone usteczka. Zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim to maleństwo zrozumie, że nie może żyć tak, jak by chciało.

Falisha brała płytkie wdechy.

– Chłopiec – powiedziałam jej.

Kobieta uśmiechnęła się słabo, ale nie miała siły mówić.

– Musi jeszcze wyjść drugie dziecko – powiedziałam jej.

Pierwsze niemowlę zaczęło płakać.

– Dobrze, oddycha – stwierdziła Falisha. – Mogę umrzeć. Zabierz moje dziecko, mała Fulanko. Teraz mogę umrzeć.

– Nikt tu nie umrze – odparłam. – Masz w sobie jeszcze jedno dziecko.

Falisha na chwilę zasnęła. Mocno przytuliłam chłopczyka, dopóki nie uspokoił się i nie zasnął.

– Strasznie bełkoczesz – oznajmiła Georgia.

– To fulfulde.

– Fu-co?

– Nasz język – odpowiedziałam. – Fulfulde.

Georgia wzruszyła ramionami. Wetknęła tytoń do fajki i podpaliła go. Nie chciałam obudzić matki ani śpiącego dziecka, ale już od kilku dni myślałam o tym, by zadać Georgii pytanie.

– Chciałabym odszukać mężczyznę o imieniu Chekura – wyszeptałam.

Georgia przyjrzała mi się uważnie.

– Jesteś o wiele za młoda na mężczyznę.

– To nie mój mężczyzna – wyjaśniłam. – Przekroczyliśmy razem wielką wodę. Jest dla mnie jak brat.

– Brat – parsknęła Georgia, ale napotkawszy mój poważny wzrok, złagodniała.

– Jeśli jest tu, na wybrzeżu, sieć go wyłowi.

– Sieć – powtórzyłam.

– Mamy swoje sposoby – powiedziała Georgia. – Usta Negrów są jak rzeki. Nasze słowa płyną rzekami z Savannah, przez Świętą Helenę, do Charles Town i dalej w górę. Słyszałam, że dopłynęły aż do Wirginii i z powrotem. Nasze słowa płyną dalej, niż wędruje człowiek. Kiedy kogoś znajdujemy, pojawia się w sieci.

– Tak naprawdę to wcale nie jest mężczyzna – przyznałam. – To tylko chłopiec o imieniu Chekura.

– Jeśli jest blisko, znajdę go w sieci. A może on znajdzie ciebie. – Georgia upchnęła kciukiem tytoń w fajce.

– Palisz?

Potrząsnęłam głową.

– Wierni nie palą.

– Wierni?

Wskazałam do góry.

– Allah.

– Co ty pleciesz, dziecko?

– Bóg – wyjaśniłam.

– Co Bóg ma z tym wspólnego?

– Bóg mówi: nie pal. Nasza księga mówi: nie pal.

– Nie opowiadaj o księgach. Buckrzy tego nie lubią.

Byłam zdezorientowana. Widziałam, jak znachor czyta księgi przy świetle w swojej kabinie na statku.

– Co Bóg ma z tym wspólnego? – powtórzyła Georgia.

– Bóg mówi: żadnego tytoniu – powiedziałam.

Georgia parsknęła i klepnęła się w uda.

– Pan Apbee ma Boga, a pali. Dwaj Negrzy na naszej plantacji ciągle mówią o Jezusie: Jezus to, Jezus tamto, a palą. Niektórzy z nas mają Boga, a inni nie, ale w Karolinie nie ma Murzyna, który nie kocha tytoniu.

Nie wiedziałam, jak wyjaśnić Georgii, że wino palmowe i tytoń są zabronione, ale orzechy koli nie. Nie widziałam orzecha koli, odkąd opuściłam ojczyznę. Koran był po prostu zbyt trudny, żeby go wyjaśnić.

Dziecko zapłakało. Georgia wzięła je ode mnie i przystawiła jego wydęte usteczka do sutka Falishy. Niemowlę zaczęło gwałtownie ssać.

– To wszystko przyspieszy – powiedziała Georgia.

I rzeczywiście, Falisha się obudziła i znów zaczęła przeć. Drugie dziecko wyszło bardzo szybko. Dziewczynka. Błada i nieruchoma. Georgia przecięła pępowinę i nasłuchiwała oddechu, który się nie pojawił, i serca, które nie zabiło. Po chwili zawinęła dziecko w chustę.

– A drugie? – zapytała Falisha.

– Ona nie żyje – odparłam.

– Dziewczynka?

– Tak.

– Zawsze marzyłam o dziewczynce. – Falisha zasłoniła ręką brwi, chowając twarz, i leżała zupełnie nieruchomo.

Przez chwilę gładziłam ją po włosach, ale nie ruszała się ani nie odpowiadała. Wstałam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Tej nocy gwiazdy świeciły jasno, a cykady śpiewały niekończącą się pieśń. „Jeśli niebo jest tak doskonałe, dlaczego ziemia jest pełna zła?”, pomyślałam.

Georgia wyszła po mnie przed chatę.

– Musimy ruszać. Niedługo przyjdzie buckra. Drugie dziecko to nasza tajemnica. Nikt o niczym nie wie. Falisha urodziła tylko synka. Słyszysz? Przekaż jej to.

Georgia zawinęła martwą dziewczynkę i włożyła ją sobie pod ubranie. Zostawiłyśmy synka Falishy na jej piersi.

Kiedy znalazłyśmy się z powrotem na plantacji Appleby’ego, na wschodnie niebo zakradało się już światło. Zatrzymałyśmy się na chwilę przy drzwiach. Upewniłyśmy się, że wokół panuje spokój, i Georgia zabrała mnie głęboko w las, aby pogrzebać martwe bliźnię. Po wszystkim szybko wróciłyśmy do łóżka.

– Nigdy nie widziałam, żeby jakiś Afrykanin tak szybko się uczył. – Georgia pogłaskała mnie po włosach. – Ale uważaj, dziewczyno. Jeśli będziesz wiedziała za dużo, ktoś cię zabije.

– Mnie nie można zabić – odparłam.

– Jak podnosiłam cię z ziemi, byłeś na wpół martwa, to pewne – mruknęła. – Ale cieszę się, że jeszcze dychasz.

Powietrze stawało się coraz cieplejsze i przesycone wilgocią. Kiedy moje kości obrosły mięsem, z czego Georgia była taka dumna, powróciły też kobiece krwawienia.

Ciepło przypominało mi o domu, ale wilgoć przygniatała mnie jak mokry koc. Nadeszła pierwsza z wielu ulew. Późnym popołudniem nabrzmiące chmury zaczęły ciemnieć. Na długo przed końcem dnia światło nagle się zmieniło, jak gdyby bez ostrzeżenia nadszedł wieczór. Piorun rozdarł niebo na pół, grzmoty stały się coraz głośniejsze, a po chwili wszystko wybuchło. Georgia odciągnęła mnie od balii.

– Pioruny usmażą cię jak bekon – powiedziała, po czym otoczyła mnie ramieniem i zaciągnęła do domu. – Oby dach wytrzymał.

To nie był zwykły deszcz. Miałam wrażenie, że ktoś wylewa na nas tysiąc wiader wody. Runęły dwa drzewa, a jeszcze inne piorun rozłupał na pół. Nasz dach wytrzymał napór wody, ale sąsiedni się zapadł. Słyszeliśmy krzyki Murzynów uciekających ze zniszczonego domu i szukających schronienia u innych. Po krótkim czasie nawałnica ustała – tak nagle, jak się zaczęła. Niebo się rozjaśniło, chmury odpłynęły, a chłód po deszczu zamienił się w parującą w słońcu mgłę.

Georgia zabierała mnie ze sobą, ilekroć proszono ją, by łąpała dzieci na plantacji albo na sąsiednich wyspach. Mniej więcej jedno na troje dzieci umierało przy porodzie albo tuż po nim. Umierało też wiele matek. Georgia nie chciała zostawiać mnie samej na plantacji – mówiła, że bez niej nie będę bezpieczna – ale prosiłam, by pozwalała mi zostać, gdy z góry wiedziała, że rodząca kobieta jest chora.

Umierały nie tylko matki i niemowlęta. Umierało też mnóstwo innych ludzi, w tym buckrzy i dorośli Murzyni. Zabijała ich gorączka, która rozpaliała kości. Georgia powiedziała, że buckrzy boją się oparów unoszących się nad moczarami na wybrzeżu. W czasie najgorętszych miesięcy w roku, które Georgia nazywała porą zarazy, Appleby prawie w ogóle nie wracał na plantację. Georgia była znana na wszystkich wyspach Karoliny z tego, że łąpała dzieci i leczyła chorych. Ilekroć któryś z buckrów lub murzyńskich nadzorców innych plantacji prosił ją o pomoc, nalegała na jakiś rodzaj zapłaty. Tym, czego pragnęła bardziej niż rumu, tytoniu czy kolorowych chust, była kora chinowca. Appleby oraz inni właściciele plantacji musieli przywozić ją Georgii z targu w Charles Town i narzekali na jej wysoką cenę. Bywało, że Georgia otrzymywała sakiewkę kory jako wynagrodzenie za dziesięć porodów. Gdy dostawała korę, suszyła ją,

rozcierała część w małym moździerz, nie pozwalając, by zagubiło się choć ziarenko pyłu, i przechowywała proszek w skórzanej sakiewce zawieszanej na drewnianej belce stropowej w swojej chacie. Pozostałe kawałki kory przeżuwała. Czasem mnie nimi częstowała, ale były dla mnie zbyt gorzkie. Poza mną i Wesołym Jackiem, którego czasem zabierała do swojego łóżka, rzadko wpuszczała do domu innych Murzynów. Nie chciała, by ktokolwiek dotykał jej proszków i korzonków, a zwłaszcza chinowca, o którym mówiła, że jest najlepszym lekarstwem na gorączkę.

Georgia miała kilka sakiewek w różnych odcieniach niebieskiego. Kazała mi zapamiętać każdy szczegół. W ciemnogrnatowej saszetce przechowywała tymianek, który przyspieszał poród i pomagał wydalić łożysko. W morskiej znajdował się bielun, który trzymała jako tajemną broń wywołującą szaleństwo. Do lazuruwej chowała igły sosny, z których parzyła herbatę na katar. W błękitnym mieszkku znajdowały się nasiona kopru włoskiego i anyżu na wiatry.

– Co to jest? – Georgia mnie sprawdzała.

– Mieszanina z plantana i szanty na ukąszenia węża – odpowiadałam.

– Dobrze. A to?

– Mięta polna przeciwko owadom.

– Nie zdradź żadnemu bucrze tego, jak szybko pracuje twoja głowa, dziewczyno – ostrzegła – bo skończysz na dnie rzeki.

Niedługo po tym, jak zasadziłyśmy indygowca, Georgia oznajmiła, że sprawi, iż będę bardzo chora, ale zrobi to tylko po to, bym później nie umarła. Powiedziała, że potrzebujemy czasu i że teraz nadszedł właściwy moment. Wyjaśniła, że w kraju rozprzestrzenia się choroba. W Charles Town. Na wybrzeżu. Tam gdzie pełno ludzi. Choroba przychodzi i odchodzi, zabierając ze sobą wiele osób. Powiedziała, że stara kobieta z wybrzeża nauczyła ją, jak ustrzec się ospy.

– Zadbam o to, by cię nie zabiła – powiedziała.

Odparłam, że nie chcę, by nacinała mnie nożem.

– Tylko kawałeczek ramienia – odparła, ale odmówiłam.

– Popatrz tu – przykazała, odsłaniając ramiona i plecy pokryte znamionami. – Będiesz miała zaledwie kilka takich blizn. Chcę, żebyś zachorowała, ale nie umarła.

– Kiedy?

– Teraz. Będiesz miała czas, żeby wyzdrowieć, zanim zaczną się zbiory indygowca.

– Przecież Mamed mnie zbije, jeśli nie będę pracować. – Zmartwiłam się.

– Mamed wie. Lata temu ustrzegłam go przed ospą.

Zaczęłam płakać. Chwyliła mnie pod brodę.

– Natychmiast przestań. Traktuję cię jak rodzinę.

Za pomocą ostrego noża Georgia zrobiła nacięcie na moim przedramieniu.

Spodziewałam się nieznośnego bólu, ale draśnięcie było szybkie i niezbyt głębokie. Do rany włożyła odrobinę nici. Wyjaśniła, że pochodzi od mężczyzny, któremu wywołała chorobę w ten sam sposób. Zamknęła ranę i przykryła ją mieszaniną smalcu i czarnego bzu.

– To wszystko? – zapytałam.

– Na razie tak – odparła.

– Nie będzie już nacięć?

– Nie będzie już nacięć. Ale niedługo przyjdzie choroba.

– Kiedy?

– Mniej więcej za siedem dni.

Georgia zabroniła mi opuszczać swoją małą chatę. Nie wolno mi było wychodzić. Musiałam jeść w środku i tam też załatwiać się do wiadra. Umierałam z nudów. Czułam się dobrze, ale nie miałam się czym zająć. Kłóciłam się z Georgią o to, że całymi dniami muszę przesiadywać w ciemnej, zawilgoconej chacie, ona jednak nie ustępowała. Wtedy nadeszła gorączka. Miałam wrażenie, że moje kości i plecy są rozrywane na strzępy. Ale gorączka szybko ustąpiła.

– Mogę już wyjść? – zapytałam.

– Jeszcze nie koniec – odpowiedziała Georgia.

Gorączka wróciła. Dręczył mnie ból głowy tak silny, że musiałam leżeć, zakrywając oczy przed światłem. Kiedy przechyliłam się, żeby zwymiotować do stojącego przy łóżku wiadra, zobaczyłam, jak do zbiornika wpada mój ząb. W ciągu jednego dnia w moich ustach i nosie zaczęły się tworzyć rany.

– Będiesz tak cuchnąć, że się znenawidzisz – powiedziała Georgia. – Ale nie martw się. To przejdzie. Zapach zniknie. Nie zawracaj sobie nim głowy.

Rany powstały też na moim ciele. Najbardziej piekły te na podeszwach stóp. Cuchnęły tak paskudnie, że wstydziłam się przebywać obok Georgii. Nie mogłam znieść odoru własnego ciała.

– Znam ten zapach. Przywykłam do niego. Zrobiły ci się dobre rany – pocieszyła mnie.

– Jak to „dobre”? – zapytałam. Mój głos był cichszy od szeptu. Nie mogłam się podnieść z łóżka. Chciałam umrzeć.

– Grudki są od siebie oddalone. Jedna tu. Druga tam. Nie razem. Nie dotykają się. I masz tylko dziesięć. Dziesięć to dobra liczba.

Byłam chora przez niemal pół obrotu księżyca. Pęcherze zamieniły się w strupy. Obiecałam sobie, że jeśli kiedykolwiek wyzdrowieję, już nigdy nie będę narzekać – nawet w myślach – na to, że muszę ciężko pracować w słońcu, ani na to, że pracuję dla buckry. Zaczęłam odzyskiwać siły, a w końcu przewracanie się z boku na bok stało się mniej bolesne. Po jakimś czasie usiadłam, zaczęłam chodzić po chacie i mogłam już zjeść część posiłku. Kiedy ostatni strup odpadł, Georgia uznała, że mam się już lepiej.

– Wyjdź i trochę odetchnij – powiedziała. – Ani się obejrzysz, a znów będziesz ciężko pracować.

Tego lata wciąż mnie oglądała.

– Lekko przeszło. Zostało ci tylko kilka dziobów, a żadnego nie masz na twarzy.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dzioby na twarzy to dobra rzecz, dziecino.

– Dlaczego?

– Trzeba cię jakoś zeszpecić. Teraz przypominasz kwiat, a to nic dobrego.

Georgia miała rację. Do czasu zbiorów indygowca zupełnie wyzdrowiałam. Noc wcześniej przywlekliśmy wiadra ze składziku i postawiłyśmy je przed drzwiami Murzynów.

– Po co te wiadra? – zapytałam.

– Na szczyny – rzuciła tylko Georgia.

Tej nocy wszystkich pięćdziesięcioro niewolników z plantacji Appleby’ego stało lub kucalo nad wiadrami, aby oddać mocz. Następnego ranka Georgia i ja zataszczyłyśmy wszystkie śmierdzące naczynia do kadzi, które tak uważnie szorowałam wiosną. Kiedy przyniosłyśmy już wszystkie, wokół zebrali się Mamed i pozostali niewolnicy. Mamed wydał polecenie, choć wszyscy poza Fombą i mną doskonale wiedzieli, co mają robić. Nadzorca przydzielił Fombie zadanie ścinania krzewów indygowca nisko przy ziemi. Fomba nie potrafił postępować zgodnie z jego wskazówkami, więc Mamed odciągnął go na bok, a na jego miejsce przyszedł inny mężczyzna. Następnie nadzorca kazał mi zbierać naręcza łodyg i liści indygowca i wrzucać je do kadzi.

– Nie gnaj tak – powiedziała Georgia, sapiąc i próbując dotrzymać mi kroku.

Na obrzeżach naszej pracowitej grupy pierwszy raz od kilku miesięcy zobaczyłam Appleby’ego. Nie było go już od tak dawna, że przestałam o nim myśleć.

– Pan Apbee nas obserwuje – wyszeptalam – a Mamed kazał nam się spieszyć.

– Nie aż tak. Jest zbyt gorąco. Musisz wytrwać cały dzień. Niech ci będzie łatwo i przyjemnie.

Gałęzie indygowca drapały mi ramiona do krwi. Zależało mi na tym, by zbyt długo nie dotykały mojej skóry, więc szybko wrzucałam je do kadzi. Mamed gruchnął mnie w nogę swoją laską. Byłam wściekła, że znów mnie uderzył, zwłaszcza po tym, jak ciężko pracowałam wiosną, by wyczyścić kadzie. W tej chwili się go nie bałam. Czułam tylko złość.

Mamed chwycił mnie za ramię.

– Spokojne kroki – rzucił. – Spiesz się, ale nie biegaj. Indygowiec jest jak śpiące dziecko. Idź spokojnie, żeby się nie obudziło.

Próbowałam strącić jego rękę, ale on nie zwalniał uścisku.

– Spójrz – powiedział, wskazując na liście w ramionach Georgii. – Widzisz ten drobny pyłek? – Spojrzałam na proszek pokrywający liście. – Jeśli będziesz trzęsła liśćmi, pyłek spadnie. Pracujemy dla pyłku. To właśnie na nim nam zależy. Stawiaj kroki spokojnie. Bądź ostrożna.

Spojrzałam na Mameda z wściekłością, ale zauważyłam, że Appleby baczenie się nam przygląda. Wokół nas bzyczały muchy i komary, które wciskały mi się do uszu i wplątywały we włosy. Dwóch Murzynów wachlowało Appleby'ego cedrowymi gałęziami, a czterech innych owiewało kadzie, żeby odpędzić od nich owady.

– Mam być ostrożna – powtórzyłam.

Mamed puścił moje ramię, a ja wróciłam do pracy. Poruszałam się tak, jak mi nakazał. Godzinę później Appleby odciągnął mnie na bok.

– Ty! Meena!

Byłam zaskoczona, że zna moje imię. Wbiłam wzrok w swoje stopy, tak jak nauczyła mnie Georgia.

– Jesteś rozumna?

– Tak, mister.

– Szybko się uczysz.

– Ja tylko rozumna, mister Apbee.

– Ile masz lat?

– Dwanaście – odparłam.

– Co potrafisz?

Georgia pomogła mi przygotować odpowiedź na to pytanie.

– Robić mydło i karmić świnię – powiedziałam.

– To wszystko?

– Nie, mister.

– Co jeszcze potrafisz?

Dostrzegłam, że Georgia nas obserwuje.

– Gracować pola – odparłam. – Czyścić kadzie, łapać dzieci.

– Jak się tego nauczyłaś?

– Ja nauczyć się tego od Georgii – powiedziałam.

– Dziewczyno, co to za ślady na twojej szyi?

– Nie wiem, mister.

– Chorowałaś na ospę?

– Nie wiem, mister.

– Pracuj dalej i słuchaj Georgii.

– Tak, mister.

Appleby zwrócił się do Mameda.

– Na przyszły sezon będzie dobra – powiedział i odszedł do wielkiego domu.

Wróciłam do pracy. Pomogłam wlać cuchnącą ciecz do drugiego rzędu kadzi, do których doczepiono długie rozwidlone tyczki. Na końcu każdej z nich wisiało wiadro z wyciętym dnem. Georgia pokazała mi, w jaki sposób używać tyczki, żeby zamieszać płyn. Musiałam to robić energicznie i nieprzerwanie. Zaczęłam mieszać w jednej kadzi, a Georgia w drugiej. Ramiona piekły mnie ze zmęczenia, ale Georgia nie przerywała mieszania. Kiedy musiałam odpocząć, jedną ręką mieszała w swojej kadzi, a drugą w mojej. Rozgniotłam kilka komarów i wróciłam do pracy. Po jakimś czasie płyn w drugim rzędzie kadzi zaczął się w końcu pienić. Mamed dolał do nich oleju ze specjalnego skórzanego wiadra. Kiedy na dnie kadzi powstało niebieskie błoto, odciągnięto wodę do trzeciego poziomu kadzi.

– O to właśnie nam chodzi – powiedziała Georgia, wskazując na błoto w drugiej kadzi.

Kiedy błoto wysychało, Georgia i ja machałyśmy cedrowymi gałęziami, żeby odgonić muchy. Mamed i mężczyźni zebrali błoto do mocnych worów i powiesili je tak, żeby ściekał z nich płyn. Następnie szerokimi płaskimi łopatkami rozsmarowałyśmy błoto w suszarni. Kiedy formowałyśmy bryłki z błota i wkładałyśmy je do drewnianych beczek, trudno mi było opanować mdłości.

Zaczęliśmy pracować przed świtem, a skończyliśmy, dopiero kiedy zapadła ciemna noc. Na podwórzu przed naszą chatą Georgia i ja utrzymywałyśmy rozpalony ogień pod ogromnym kotłem z wodą. Zanim położyłyśmy się do łóżka, nie zważając na porę ani ból w ramionach, nabrałyśmy wody do wiader, zanosłyśmy je do lasu i umyłyśmy się do czysta pod rozgwieżdżonym niebem.

– Co oni robią z tym całym błotem? – zapytałam.

– Farbują ubrania białych ludzi na niebiesko – odpowiedziała Georgia.

– To błoto jest do ubrań?

– Kiedy ostatni raz widziałyśmy pana Apbee’ego, miał na sobie niebieską koszulę. Nie zauważyłaś?

Odparłam, że nie zapamiętałam.

– Pięćdziesięciu Murzynów wycisnęło siki z błota na koszulę pana Apbee’ego – powiedziała.

Narzekała na ciężką pracę w czasie żniw, ale i ona miała słabość do indygo. Ponieważ leczyła owrzodzenia i rany Mameda, nadzorca pozwolił jej zabrać niewielką ilość liści indygo i jedną lub dwie sakiewki błota. Mogła zrobić pastę z liści, żeby ulżyć kobietom, którym przy wypychaniu dzieci robiły się hemoroidy, ale błota używała także do własnych eksperymentów.

– No i proszę, dorosła kobieta bawi się w błocie – powiedziała, parskając śmiechem.

Usiadłam na ziemi i patrzyłam, jak w wielkiej tykwie łączy błoto z indygowca z wodą.

– Nie wiem, dlaczego tak to lubię. Kiedy byłam tak mała, że sięgałam do kolana, miałam ślepego kundla. Był ładny, nigdy nikogo nie ugryzł. Był zupełnie ślepy. Nic a nic nie widział. A ja nie byłam mądrzejsza niż ten pies. Widziałam tylko kij w błocie. Uwielbiałam wtykać kij w błoto.

Georgia zostawiła namoczony kawałek tkaniny w tykwie. Do rana materiał zmienił kolor na jasnoniebieski. Kiedy wyjęła go z naczynia i podniosła do słońca, wyglądał tak, jakby wycięto go z nieba. Na czas pracy z powrotem zanurzyła tkaninę w płynie. Kiedy znów go rozciągnęła, był ciemniejszy, bardziej fioletowy, jak mój ulubiony leśny kwiat – miecznica. Georgia potrząsnęła głową i włożyła go z powrotem do tykwy. Tym razem nabrał barwy nocnego nieba przy pełni księżyca.

– No proszę – mruknęła i rozłożyła tkaninę przy ogniu.

Kiedy w końcu nakryła włosy suchą ufarbowaną chustą, w milczeniu podziwiałam kolor indygo nad zmarszczkami przy jej oczach i w kącikach ust. Miałam wrażenie, że zarówno chusta, jak i jej twarz wchłonęły mądrość i piękno tego świata.

Tygodniami zbieraliśmy indygowiec i przerabialiśmy go. Ostatniego dnia pracy upuściłam wór z błotem indygo. Spadł na ziemię i do niczego się już nie nadawał. Mamed brutalnie chwycił mnie za ramię, a jego palce wbiły się w moje zmęczone mięśnie.

– *Allahu Akbar!* – krzyknęłam bez zastanowienia. Obawiałam się, że Mamed zbije mnie za to, że wypowiadam słowa zakazanej modlitwy, on jednak puścił moje ramię i zrobił krok w tył.

– *Allahu Akbar* – wyszeptał, tak bym tylko ja go słyszała. Dał mi znać, żebym poszła z nim na skraj lasu.

– Gdzie nauczyłaś się tych słów? – szepnął.

– Od ojca.

– Mówił po arabsku?

– W modlitwie. – Spoglądałam na jego laskę, ale ona wciąż tkwiła nieruchomo u jego boku. – Znów mnie zbijesz?

– Za co?

– Za to, że wypowiedziałam te słowa. Za to, że wspomniałam o swoim ojcu.

– Nie, nie zbiję cię.

To zapewnienie pozwoliło, by wylał się ze mnie gniew.

– Nie szarp mnie więcej. To boli. Na ramionach robią mi się siniaki.

– Dziś ciężka praca się kończy – powiedział. – Żniwa też. Odwiedź mnie w domu dziś po posiłku.

Wciąż pamiętałam ból, jaki zadawały mi palce Mameda wbijające się w moją skórę. Ale miałam nadzieję, że mogę się czegoś nauczyć od mężczyzny, który zna te same słowa co mój ojciec. Georgia uczyła mnie, jak przetrwać w kraju buckrów, ale Mamed może

przekaze mi wiedzę, jak się z niego wydostać.

Mamed mieszkał w ostatniej chacie, na samym końcu podkowy uformowanej z domów niewolników. Jego chata była dwa razy większa niż pozostałe, a jej grube ściany zbudowano z wapienia, piasku i muszli ostryg. Georgia i ja miałyśmy podłogę z błota, ale Mamed przykrył ziemię drewnem. My miałyśmy drzwi, ale żadnego okna – on miał jedno i drugie. W naszej izbie mieściły się tylko łóżko, stołek i przestrzeń, żeby „wydostać się z domu”, jak mawiała Georgia, a Mamed miał dość miejsca na dwa stołki, kominek, mały stolik i półkę z książkami.

Na zewnątrz zapadła ciemna jak smoła noc, u Mameda jednak paliła się świeca. Miał łóżko z drewna uniesione na pewną wysokość od podłogi i przykryte słomą oraz płótnem. Miał też kilka dodatkowych koców.

Rozejrzałam się po chacie i zbliżyłam do drzwi.

– Przyprowadziłem cię tu, żeby z tobą porozmawiać – przemówił w stylu Appleby’ego. – Chcesz, abym nauczył cię mówić jak buckra?

– Nie wiem.

– Mógłbym cię tego nauczyć. Rozumiesz jego język?

– Trochę.

– Boisz się, że cię skrzywdzę – stwierdził.

Milczałam. Kiedy pan Appleby na mnie patrzył, jego wzrok błędził po całym moim ciele. Mamed wpatrywał się w moje oczy, jak gdyby chciał mnie wy badać i zrozumieć. Podniósł stołek i postawił go przede mną.

– Siadaj – rzucił.

Taboret, wytarty do gładkości, wypolerowano olejem. Miał cztery solidne nogi połączone poprzeczkami wetkniętymi do wydrążonych w drewnie rowków. Był prosty, elegancki i przypomniał mi o domu.

– Skąd masz ten stołek? – zapytałam.

– Sam go zrobiłem.

– Jak?

– Z kłody cyprysu.

– Jest piękny.

– Kiedy masz czas, możesz robić piękne rzeczy. Nawet tu, w kraju buckrów.

– Czy to twój kraj?

– Pytasz, czy jestem Afrykaninem, czy Negrem?

Skinęłam głową. Mamed poklepał stołek i odczekał, a ja z ociąganiem usiadłam. Jego ojciec był właścicielem plantacji na wyspie Coosaw, a matka córką wodza Fulan. Matka Mameda nauczyła się czytać od swojego pana. Obiecał jej, że kiedyś uwolni ją i Mameda. Pamiętała kilka modlitw z ojczyzny i przekazała je synowi wraz ze wszystkim, czego

dowiedziała się od buckry.

Podobała mi się jego opowieść oraz melodyjny głos. Jego ramiona były pokryte nacięciami i bliznami, teraz jednak nie przypominał nadzorcy gotowego stłuc mnie laską. Wydawał się zupełnie innym człowiekiem – człowiekiem, który marzy o tym, by uczyć.

Gdyby papa żył i gdyby znalazł się ze mną po drugiej stronie rzeki, nie pochwalałby tych lekcji. Nie odważyłam się jednak poprosić Mameda o to, czego chciałam. „Jeśli tak dużo wie, dlaczego wciąż mieszka na plantacji Appleby’ego?”, zastanawiałam się. Dostrzegł tłące się w moich oczach pytanie.

– Kiedy byłem młody, koń upadł mi na nogę i okulałem, a teraz jestem zbyt stary, żeby uciec – wyjaśnił.

– Dokąd uciekają Murzyni? – zapytałam.

Mamed splótł palce i uważnie mi się przyglądał. Powiedział, że ukrywają się wśród Indian albo podążają na południe, żeby zamieszkać z Hiszpanami. On jednak nie chciał się ukrywać wśród Indian ani mieszkać z Hiszpanami w Fort Musa. Lubił spać co noc w tym samym łóżku i uprawiać swój ogród.

– Godzisz się na takie życie? – zapytałam.

Mamed odkaszlnął zakłopotany.

– Zostałem tu i dobrze żyję. To wszystko, co mogę zrobić. Nikt lepiej ode mnie nie zna się na wytwarzaniu indygo i pan Appleby dobrze o tym wie.

Powiedział, że zawarł z Applebym układ. Ustalili, że jeśli Mamed będzie zarządzał plantacją i produkował dobre błoto z indygowca, będzie mógł jeść to, co chce, umeblować dom tak, jak mu się podoba, a co roku otrzyma od Appleby’ego dodatkowe towary z Charles Town i książki. Miał jednak zamykać drzwi swojego domu na klucz, nie pokazywać nikomu książek ani nie uczyć Negrów czytać.

Znów skinęłam głową.

– Nie zamierzałem uczyć kogokolwiek czytać. Ale w twoich oczach dostrzegam bystrość.

Odebrano mi tak wiele spraw, do których miałam prawo – matkę, ojca, ziemię, wolność. A teraz proponowano mi coś, czego mogłabym nigdy nie doświadczyć. Bałam się po to sięgnąć, ale jeszcze bardziej obawiałam się wypuścić tę szansę z rąk.

– Zawsze chciałam czytać – powiedziałam. – Jeszcze zanim przekroczyliśmy wielką rzekę.

– Buckrzy nie nazywają tej wody rzeką. Nazywają ją morzem. Albo oceanem. Mówią na nią „Ocean Atlantycki”.

– Ocean Atlantycki – powtórzyłam.

– Nie możesz nikomu powiedzieć o tym, czego cię uczę – przestrzegł Mamed.

– Obiecuję.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – nalegał.

Spojrzałam mu w oczy i spokojnie skinęłam głową.

Pierwszą lekcję zaczęliśmy od wymowy i zapisu mojego imienia. Mamed był jedyną osobą w Karolinie Południowej, która kiedykolwiek zapytała mnie o nazwisko. Wymówił je poprawnie i nauczył je zapisywać. Na plantacji jednak zawsze nazywał mnie Meeną.

Kiedy wczołgałam się do łóżka, Georgia na mnie czekała.

– Dotykał cię?

– Nie.

– Czego chciał?

– Tylko porozmawiać.

– Mężczyźni nigdy nie chcą tylko porozmawiać.

– Naprawdę tylko rozmawialiśmy.

Georgia przez chwilę milczała.

– Kiedy ty tylko rozmawiałaś, panno Meeno, ktoś po ciebie przyszedł.

– Po mnie? – Wyskoczyłam z łóżka. Już wcześniej tego dnia niemożliwe stało się możliwe. – Ktoś przyszedł, żeby zabrać mnie do domu?

– Siadaj, dziecko – powiedziała Georgia. – To tylko chłopiec. Wyglądał jak mały mężczyzna, ale to tylko chłopiec.

Weszłam z powrotem do łóżka.

– Jaki chłopiec? – zapytałam cicho.

– Wymówił to twoje afrykańskie imię. On też się śmiesznie nazywa. Ma imię, które brzmi jak...

– Chekura?

– Właśnie. Tak ma na imię.

Znów podskoczyłam, krzycząc.

– Uciszyć się, dziewczyno, zanim obudzisz zmarłych albo kogoś gorszego.

Ściszyłam głos, ale nie puszczałam dłoni Georgii.

– Jak wyglądał?

– Jak nierób. Próźniak. Nie podobało mi się jego spojrzenie. Było zbyt afrykańskie. To właśnie jego kazałaś mi wyciągnąć z sieci?

Moje podekscytowanie przeszło w ból. Czułam się zdruzgotana tym, jak bardzo za nim tęskniłam.

– Wróci, dziecino. Mieszka po sąsiedzku na Wyspie Pani. To niedaleko. Wróci po ciebie jak wygłodniały pies.

Nadszedł czas na drugie żniwa indygowca. Praca była równie ciężka, ale kiedy kończyliśmy codzienne zadania, mogliśmy gotować, uprawiać ogród i cerować ubrania, a żaden buckra nam nie przeszkadzał. Czasem, kiedy nikt nie patrzył, szłam do lasu,

wspinałam się wysoko na drzewo i ćwiczyłam czytanie wyrazów, które zapisał dla mnie Mamed. Gdy potrafiłam już przeczytać słowa takie jak „kot”, „pies”, „lew”, „woda”, „ojciec” i tym podobne, przyszedł czas na nowe wyzwania. Mamed wiedział, jak przyciągnąć moją uwagę. Powiedział, że uczy mnie w ten sam sposób, w jaki uczyła go matka. Jednego dnia czytałam: „Pies zjadł kota”, później: „Kot uciekł przed szczekającym psem”, a jeszcze później: „Szczekający pies zagonił kota na drzewo, a z gniazda wyfrunęły ptaki”. Język składał się w całość jak fragmenty sekretu, a ja z każdym dniem pragnęłam się dowiedzieć coraz więcej.

Po lekcjach czytania Mamed czasem wyjaśniał, w jaki sposób działa plantacja Appleby’ego, a kiedy indziej zadawał mi pytania.

Fomba nie wydał ani jednego dźwięku, odkąd znalazł się na Wyspie Świętej Heleny. To, że nie potrafił wykonywać poleceń w czasie zniw indygowca, rozsierdzało Mameda, który pewnej nocy zapytał mnie o Fombę.

- Czym się zajmował w waszej wiosce?
- Polował, a my jedliśmy to, co zabił.
- Był dobrym myśliwym?
- Najlepszym. Potrafił zabić zająca, rzucając w niego kamieniem.

Kilka dni później Mamed rozkazał doświadczonemu Negrowi, by pomógł Fombie zbudować canoe z bambusa. Mężczyźni mocno związali drewno trzcina i ścięli długie drzewko, które służyło jako drąg. Wyrzeźbili także wiosło z drzewa cyprysowego. Fomba uczył się sterować łodzią, jak gdyby była częścią jego ciała. Niemal z dnia na dzień nauczył się wiosłować lub odpychać łódź drągiem po kanałach i zatokach wokół wysp u wybrzeża Karoliny, zarzucał sieci i wyciągał krewetki, kraby i ryby. Mamed zwolnił Fombę z prac przy indygowcu, ustalając z nim, że każdego popołudnia Fomba wróci z tym, co tego dnia wyłowi z wody. Ale Fomba robił jeszcze więcej. Przynosił Mamedowi i nam wiewiórki, oposy, dzikie indyki i zółwie jaja. Wszyscy tak bardzo radowali się z jedzenia, które za jego przyczyną lądowało w garnkach, że zrozumieli, iż Fomba jest użyteczny, o ile zostawi się go w spokoju.

Georgia utyskiwała na moje lekcje, ale lubiła to, że wieczorami znikaliśmy z domu. W drodze do Mameda często mijałam Wesołego Jacka, który szedł do naszej chaty, by spotkać się z Georgią. Był jedynym mężczyzną, jakiego znałam, potrafiącym jednocześnie iść, gwizdać i strugać kijek. Często przynosił jej zebrane w lesie kwiaty, które zatykał sobie za ucho, żeby mieć wolne ręce i móc strugać.

Kiedy któreś nocy wróciłam z lekcji, Georgia miała dla mnie nowiny:

– Wesoły Jack i ja tarzaliśmy się, sapaliśmy rozgrzani i przejęci i było nam dobrze, a tu wchodzi ten wygadany Afrykanin. Wesoły Jack wyskoczył z łóżka i wybiegł. I tyle widzieli mojego chłopca. A ja zostałam z tym chuderlawym Afrykaninem. Wciąż powtarzał twoje

imię. Mogłam dać mu po twarzy, żeby popamiętał.

– Dokąd poszedł?

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że jest już daleko. Ależ ten chłopak miele ozorem...

Wybiegłam do lasu za chatą i zaczęłam wołać Chekurę. Ukrywał się w zagajniku. Rzuciłam mu się w ramiona. Przytuliłam go tak mocno, że poczułam, jak twardnieje. Gwałtownie się od niego oderwałam. Z moich ust wyfrunęły słowa w fulfulde. Chciałam się dowiedzieć, gdzie mieszka, gdzie był i co widział, i chciałam wiedzieć to wszystko natychmiast.

Georgia podeszła do nas i powiedziała, że wróci o świcie.

– Nie – powiedział Chekura. – Nie świt.

Byłam zaskoczona, kiedy odkryłam, że nie mówi w języku Negrów tak dobrze jak ja. Georgia nie miała ochoty czekać na tłumaczenie, więc szybko jej wyjaśniłam, że przed świtem Chekura musi powrócić tam, gdzie jego miejsce. Wzruszyła ramionami i poszła szukać Wesołego Jacka.

Chekura błędnym wzrokiem po moim ciele, a ja stałam przed nim z dumą. Wyjaśnił, że buckra, który zarządza plantacją na Wyspie Pani, wyjechał na czas zarazy, więc może się włączyć w nocy. Powiedział, że w tym czasie wielu Murzynów w nocy wędruje, pływa łodziami, wymienia drób na ryż, warzywa na tykwy, króliki na rum, dostarczają sobie nawzajem informacji na temat braci i sióstr, żon i dzieci, zanurzają sieć i wyciągają ją z powrotem. Chekura odnalazł Afrykanów na wszystkich wyspach wybrzeża: dwóch Fulan przebywało na Edisto, jedna Bamanka na Coosaw i troje członków plemienia Eboes na wyspie Morgan.

Chłopak nie mógł uwierzyć w to, jak szybko nauczyłam się języka Negrów. Wyszepiałam, że w tajemnicy uczyć się też czytać.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, po czym wyciągnął z rękawa złożoną w kostkę tkaninę i wręczył mi ją niczym tradycyjny podarunek z orzechów koli w naszej ojczyźnie.

Była to chustka w czerwone paski. Chwyciłam ją, powąchałam, wtuliłam w nią twarz i zawiązałam na włosach.

– Pięknie w niej wyglądasz – stwierdził.

Znów złapałam go za ramię. Chciałam czuć go przy sobie i budzić się przy nim każdego ranka. Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że nie jestem gotowa na to, czego pragnie, ale on dostrzegł moje wahanie i oszczędził mi słów. Wyjaśnił, że musi już iść i niezauważony wślizgnąć się z powrotem na plantację.

Chekura mógł mnie odwiedzać nie częściej niż raz w miesiącu. Tęskniłam za jego twarzą, głosem i zapachem, który przypominał mi o domu. Ekscytowała mnie świadomość, że ten chłopak mnie zna, że zna moją przeszłość i wie, jak wyglądało moje życie, zanim trafiłam do Karoliny. Za każdym razem, kiedy do mnie przychodził, dłużej trzymaliśmy się

w ramionach. Czułam, jak w moim brzuchu i między nogami coś się budzi. Ale nie ufałam tym emocjom. Pragnęłam słuchać jego głosu i dźwięków mojej wioski. Był gotowy rozmawiać ze mną tyle, ile tylko chciałam. Na tę drugą sprawę nie naciskał.

Mijały kolejne księżycy, a w zimnej porze roku, kiedy nie sadziliśmy ani nie zbieraliśmy indygowca, Appleby często przebywał na plantacji. Gdy powrócił, właśnie mijał rok, odkąd znalazłam się na Wyspie Świętej Heleny. Appleby otworzył wielki dom, przez co wielu Negrów musiało pracować dzień i noc, żeby doprowadzić posesję do porządku i gotować posiłki dla niego i jego żony. Po niedługim czasie zawiózł żonę z powrotem do Charles Town i powrócił bez niej.

Któregoś ranka w zimnej porze zjawił się w naszej chacie.

– Georgio, rusz się. Czeka na ciebie mężczyzna, który chce, byś złapała dziecko na Wyspie Pani.

Georgia jedną ręką chwyciła torbę, a drugą moje ramię.

– Nie – rzucił Appleby. – Tym razem pojedziesz sama.

Popatrzyłam na Georgię błagalnie.

– Ona iść ze mną – odpowiedziała.

– Dość tego pyskowania – mruknął Appleby. – Pospiesz się.

Kiedy Georgia odeszła, Appleby zaprowadził mnie do wielkiego domu. Chciałam obejrzeć wszystkie dziwne przedmioty znajdujące się w środku, dotknąć książek i powąchać jedzenia gotującego się w kuchni. Ale nie było czasu. Wiedziałam też, że nie wolno mi tego robić. Miałam jednak nadzieję, że coś odwróci uwagę Appleby'ego, tak bym zdołała obmyślić plan ucieczki. Kucharka spojrzała na mnie przeciągle i wyszła. Mężczyzna, który szorował podłogi w wielkim domu, także przez chwilę na mnie patrzył, a potem opuścił budynek.

– Myślisz, że jestem głupi? – zapytał Appleby.

– Co, mister?

Appleby popchnął mnie w głąb korytarza i do pokoju, zerwał ze mnie strój, przedarł czerwoną chustkę na pół i rzucił mnie na łóżko.

– Co to za chłopak za tobą węszy?

– Nie ma chłopak, mister.

Spoliczkował mnie.

– To nie mój Murzyn. Kim jest ten chłopak?

– Nie ma chłopak, mister.

Przyspilił mnie do łóżka piersią, jedną ręką zatkał mi usta, a drugą zaczął rozpinać spodnie. Jego ciało przygniatało moje. Czułam jego mokrą skórę, pot. Cuchnął.

– Kto jest twoim właścicielem? – warknął.

– Pan.

– Pytam, kto jest twoim właścicielem?

Szorstkie włosy na jego klatce piersiowej drapały moje piersi, a zarost porastający policzki wrzynał się w moją twarz.

– Mister, proszę nie...

– Nie mów mi, co mam robić – warknął.

Odpychałam się, próbując złapać oddech, ale nie byłam w stanie wydostać się spod jego ciężaru. Pomyślałam, że mogłabym go ugryźć w ramię albo w palec, ale wtedy prawdopodobnie jeszcze bardziej by mnie skrzywdził. Zastanawiałam się, czy powinnam leżeć nieruchomo jak zwłoki i czekać, aż to się skończy. Próbowałam zacisnąć uda, ale mężczyzna rozwarł je gwałtownie rękami. Był właścicielem mojej pracy, a teraz zapragnął stać się właścicielem mojego ciała.

Gdybym chociaż miała olej porodowy Georgii, może tak bardzo by nie bolało. Ale nie miałam oleju, a kiedy wdarł się w moje ciało, gdzie nie było miejsca na nikogo poza mną, poczułam potworny ból. Nie mogłam strącić z siebie jego falującego tułowia, więc starałam się leżeć bez ruchu. Chciałam to tylko przeżyć, pragnęłam, żeby się skończyło. Przeżyć i żeby się skończyło. Po chwili jego oddech przyspieszył, mężczyzna zaskowyczał i było po wszystkim. Kiedy się ze mnie wyslizgnął, czułam się tak, jakby wszystko ze mnie wypływało.

– Afrykańska dziwka – powiedział Appleby, sapiąc ciężko. Wstał, podciągnął spodnie i zniknął w drzwiach.

Całe łóżko było splamione krwią, która wciąż ze mnie wyciekała. Nie mogłam się jednak ruszyć, złapana w sidła bólu i wstydu.

W drzwiach zamajaczyła jakaś postać. Był to Wesoły Jack w białym fartuchu kucharza. Trzymał w dłoni kawałek pomarańczy. Wszedł do środka i włożył mi owoc do ust.

– Zjedz trochę tej słodyczy, dziecino – powiedział, próbując wziąć mnie na rękę.

Zaczęłam się dławić pomarańczą, więc otworzył mi usta, wyciągnął owoc i go wyrzucił. Podniósł mnie tak, jak ojciec podniósłby własne dziecko, i wyniósł na zewnątrz. Nie wiedziałam, czy dotrę na miejsce żywa, ale wiedziałam, że Wesoły Jack niesie mnie do łóżka Georgii. Była to długa droga. Wznosiłam się i opadałam w ramionach Wesołego Jacka, który stawiał długie, szybkie kroki. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, było sapanie kucharza i zawodzenie kobiet.

Mleko na długie karmienie

Po ataku Appleby'ego Georgia kazała mi pić gorącą miksturę z wrotycza i sproszkowanych jagód cedru, po której miałam bolesne skurcze żołądka i krwawiłam między nogami.

– To wypłucze z ciebie brud Apbee'ego – powiedziała Georgia, a ja byłam jej wdzięczna.

Martwiłam się tym, co powiem Chekurze, ale Georgia poradziła mi, żebym milczała.

– Mężczyźni nie muszą wszystkiego wiedzieć – odparła – a o niektórych sprawach nie muszą wiedzieć wcale.

Po tym, jak mnie uleczyła, dwie sprawy pomogły mi uniknąć kłopotów z Applebym: kiedy znajdował się blisko, nigdy nie oddalałam się od Georgii, a poza tym Appleby kupił nową Murzynkę o imieniu Sally. Czułam ulgę, że nie zwraca już na mnie uwagi, ale było mi ciężko z tym, że przeniósł ją na inną kobietę. Sally, zaledwie kilka lat starsza ode mnie, miała miłą twarz, szerokie biodra i pełne piersi. Była jednak słaba i nie nadążała za innymi w czasie sadzenia i zbiorów indygowca.

Appleby wielokrotnie wykorzystywał Sally i pewnie dalej by to robił, gdyby nie to, że ona i ośmioro innych niewolników na plantacji zmarło nagle na ospę. Mnie przed Applebym wybawiła inna kobieta, a dla niej jedynym ratunkiem była choroba.

Minęły dwa lata i zrozumiałam, że Murzyni, którzy zostali na plantacji Appleby'ego, albo umierali tu ze starości, albo o wiele szybciej padali ofiarą chorób płuc, gorączki lub ospy. Pragnęłam się stamtąd wydostać i odnaleźć drogę powrotną do domu. Ale do spraw, o których marzyłam, nie prowadziła żadna szybka ścieżka. Co dzień myślałam o rodzicach i wyobrażałam sobie, jak przykazują mi, bym chłoneła nowe informacje i wykorzystywała swoje umiejętności. Moje ciało było własnością Robinsona Appleby'ego. Dla niego harowałam w palącym słońcu, kąsana przez komary. Ale to dzięki ojcu nauczyłam się tyle co Mamed na temat przygotowania błota z indygo, a dzięki matce zostałam stałą pomocnicą Georgii i łapałam dzieci na wszystkich wyspach u wybrzeża Karoliny Południowej.

Wiedziałam, że aby przeżyć wśród buckrów, muszę ich zrozumieć, więc chłonełam lekcje, których udzielał mi Mamed. Wkrótce nauczyłam się czytać tak dobrze jak on i nie było już zbyt wielu rzeczy, jakich mógłby mnie nauczyć. Byłam bardzo rozczarowana, gdy dowiedziałam się, że Mamed nie ma pojęcia, w jaki sposób można się dostać z powrotem do Afryki. Powiedział tylko, że nigdy nie słyszał o tym, by niewolnik wrócił do Afryki, a nawet o tym, by próbował się uwolnić. W żadnej z jego ksiązek nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie, ale i tak czytałam je w każdej wolnej chwili.

Najbezpieczniejszym miejscem, w którym mogłam czytać, była chata Mameda. Nigdy mnie nie wyrzucił. Wręcz przeciwnie, narzekał, kiedy przez kilka dni nie przychodziłam wieczorami, by zapalić świecę, usiąść na jednym z cyprysowych stołków i dalej czytać.

Największą zaletą Biblii była jej długość. Opisanie w niej wspaniałe historie nie miały końca, a opowieści o Abrahamie i Mojżeszu przypominały mi te czytane przez papę z Koranu. Po przeczytaniu *Podręcznika medycznego plantatora* popełniłam błąd i opowiedziałam Georgii, że jako lekarstwo na wszelkie dolegliwości książka poleca upuszczanie krwi. Odparła, że jeśli wiem, co jest dla mnie dobre, powinnam unikać lektury.

– Buckrze coś się pomieszało, dziewczyno. Pomyśl tylko: wypuszczać krew z chorego człowieka?

Mamed wręczył mi także almanach napisany przez mężczyznę, który sam siebie nazywał Biednym Ryszardem. Ten pisarz wiedział wszystko o zabezpieczaniu domów przed burzą i piorunami, ale nie wspominał, jak się dostać z Karoliny do Afryki.

Czytanie było dla mnie niczym sen na jawie w tajemnej krainie. Nikt oprócz mnie nie wiedział, jak się do niej dostać, i nikt prócz mnie nie był jej właścicielem. Książki opowiadały o życiu buckrów, ale wkrótce doszłam do wniosku, że nie mogę ich już czytać.

Miałam nadzieję, że pewnego dnia odnajdę książkę, która odpowie na moje pytania. Gdzie właściwie leży Afryka i jak się tam dostać? Czasem wstydziłam się tego, że nie znam odpowiedzi. Jak mogłam pochodzić z tego miejsca i nie wiedzieć, gdzie ono się znajduje?

Trwał sezon zbiorów indygowca. Codziennie o poranku, kiedy Georgia jeszcze spała, wybiegałam z domu i wymiotowałam w lesie. Jednak niedługo po tym, jak to wszystko się zaczęło, szłyśmy na pola, a Georgia położyła mi rękę na ramieniu.

– Co zrobisz, kiedy pan Apbee się dowie?

– O czym? – odparłam.

– O maleństwie, przez które co rano chorujesz.

Zamierzałam powiedzieć Georgii, ale chciałam, żeby tajemnica rosła we mnie odrobinę dłużej. Pęczniałam z dumy i czułam, że mam cel. Własne dziecko, własny człowiek! Chciałam je zatrzymać i kochać. To dziecko nie pochodziło od buckry, ale od mężczyzny, którego sama wybrałam: Afrykanina, który wiedział, skąd pochodzę, mówił moim językiem i co miesiąc przychodził, żeby się ze mną zobaczyć. Zaczęłam polegać na wizytach Chekury, które zawsze przypadły w pełni księżyca i odbywały się regularnie w porze zarazy, kiedy łatwiej było podróżować w nocy niezauważonym. Rzadko rozmawialiśmy o wędrówce po lądzie i przeprawie przez wodę, ale pocieszaliśmy się opowieściami w fulfulde o wczesnym dzieciństwie i obserwacjami – często w języku gullah – o naszym nowym życiu w Karolinie. Kiedy rozmawialiśmy, śmiałyśmy się

i stykaliśmy skrońmi, Chekura nacierał mi palce, podeszwy i wierzch stóp olejem, który wyprosił u Georgii, ale z początku niczego ode mnie nie żądał. Wraz z upływem księżyców jego ręce wspięły się powyżej moich kostek, a potem ponad kolana. W końcu pożądanie obudziło się we mnie jak woda przerywająca tamę. Przyciągnęłam jego wygłodniałe usta do swoich i wpuściłam go głęboko w swoje ciało. Pochłonęliśmy się zaledwie kilka razy, zanim moje krwawienia ustały.

– Chciałam ci to wyznać – powiedziałam Georgii.

– Nie mów mi rzeczy, które już wiem – odparła. – Powiedz mi tylko, co zrobisz z panem Apbeem teraz, kiedy nie ma już Sally.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nie mów mu o Chekurze – poradziła mi w końcu.

– Już o nim wie – odrzekłam.

– Nie wie, jak się nazywa. Jeśli chcesz, by ten chłopiec przeżył, nie wypowiadaj jego imienia. Jest coś jeszcze...

– Co?

– Kiedy dziecko przyjdzie na świat, karm je, dopóki nie wyschnie ci mleko.

– Dlaczego?

– Jeśli będziesz karmiła, może Apbee nie odbierze ci dziecka.

– Odebrałyby mi dziecko?

– Jeśli jesteś dość duża, by urodzić dziecko, jesteś też dość duża, by wiedzieć, że należysz do pana Apbee'ego od stóp do głów. Tak samo jak wszystko, co stworzysz.

Zamilkłam. Georgia i ja złapałyśmy na plantacji Appleby'ego dwoje dzieci, które wciąż przebywały ze swoimi matkami.

– Nie wierzę, by mógł mi zabrać dziecko – odrzekłam.

– Dziecino, zło nie ma dna. – Spojrzała w moją twarz i położyła mi rękę na ramieniu. – Po prostu karm dziecko i módl się o mleko – poradziła. – O całe mnóstwo mleka. Niech wszyscy zobaczą, że karmisz swoje dziecko. Ile krwawień ominęłaś?

– Tylko dwa.

– Przed tobą długa droga, dziecino. Długa droga.

Któregoś dnia późnym popołudniem, kiedy Georgia i ja mieszałyśmy w kadziach wypełnionych liśćmi indygowca i moczem, zjawił się Robinson Appleby wraz z dwoma gośćmi. Mamed warknął na nas, żebyśmy szybciej mieszały.

Jednym z towarzyszy Appleby'ego był elegancko ubrany mężczyzna, który wachlował się, żeby odpędzić muchy, i wyglądał, jakby marzył o tym, by uciec przed palącym słońcem. Drugi mężczyzna nachylił się, by zobaczyć, co robimy. Był wysoki i miał mniej więcej tyle lat, co mój ojciec, a jego broda była tak ciemna jak moja skóra. Nie przestawałam ubijać wody, łądyg i liści w drugiej kadzi, a kiedy się odwróciłam,

spozstrzegłam, że mężczyzna mnie obserwuje. Gdy nasze oczy się spotkały, natychmiast spuściłam wzrok. Czy on się uśmiechał? Wróciłam do pracy. Uśmiech buckry był tylko wyrazem twarzy. Nie ufałam mu. Miałam wrażenie, że mówi: „Wiem coś, czego ty nie wiesz”. Nie przestawałam mieszać indygowca.

– Wiesz, kim jest ten mężczyzna? – zwrócił się Appleby do Mameda.

– Nie, mister.

– To Solomon Lindo – odparł Appleby. – Nowy inspektor plantacji indygowca na całą prowincję Karoliny Południowej.

Solomon Lindo zapytał Mameda:

– Co tam macie?

– W tej kadzi do ubijania? – Mamed chciał się upewnić.

Solomon Lindo skinął głową.

– Wapień – wyjaśnił Mamed. – Mocz i wodę.

– Jak myślisz, ile cali błota znajdziesz na dnie tej kadzi? – spytał Lindo.

– Trzy – odparł Mamed.

Solomon Lindo trącił mnie ręką. Przerwałam pracę.

– Spójrz na mnie, proszę – powiedział.

Powoli zwróciłam ku niemu twarz. W przeciwieństwie do Appleby’ego Lindo miał ciemne oczy.

– A co ty robisz? – zapytał.

– Ubijać indygowiec, żeby on dostać powietrze.

– Jak długo będziesz go ubijać?

Mężczyzna mówił z akcentem, którego dotąd nie znałam. Wcale nie brzmiał jak Appleby.

– Dopóki na wodzie nie pokażą się niebieski pył.

– A potem?

– Przestać ubijać i pozwolić, by niebieski proszek opaść w błoto.

– Wiesz, co się stanie, jeśli zbyt długo będziesz mieszać płyn?

– Farba niedobra – odparłam.

Solomon Lindo zwrócił się z powrotem do Appleby’ego.

– Masz tu dobrych ludzi – powiedział i trzech mężczyzn ruszyli z powrotem do domu.

Tej nocy Georgii, dwóm innym kobietom i mnie kazano pomóc kucharce przygotować wielki kocioł kurczaka w sosie gumbo.

– Żadnej wieprzowiny – przykazał nam Appleby. – Nie mogę jej dać żydowi. Ten człowiek przyjechał aż z Londynu. Ugotujcie mu najlepsze gumbo w Karolinie; to on orzeka o wartości naszego indygo.

Chciałam się dowiedzieć więcej o mężczyźnie, który unika tego samego mięsa co

muzułmanie. Przygotowałyśmy dość jedzenia dla dziesięciu Negrów, zanosiliśmy talerze, wodę, posiłek i napoje, a Appleby i jego goście zjedli większość tego, co ugotowałyśmy. W końcu rozsiedli się w fotelach w bawialni, palili cygara i popijali kawę z dodatkiem whisky. Appleby odesłał z wielkiego domu wszystkich Murzynów poza mną. Pierwszy raz od dwóch lat znalazłam się z nim na osobności, bez Georgii lub Mameda u boku. Stałam pośrodku pokoju, a trzech mężczyzn mi się przyglądali.

– To moja najlepsza Murzynka. Pochodzi z niewolników Coromantee – powiedział Appleby do reszty. – Jest tu dopiero od trzech lat. Bardzo rozumna. Pomaga innym gotować. Robi mydło. Widzieliście, jak radzi sobie z indygowcem. A co najbardziej zadziwiające, leczy ciężarne niewolnice. Kupiłem ją za bezcen w Charles Town. Kiedy przyплыnęła z Wyspy Sullivana, była wynędzniała. Myślałem, że nie przeżyje. Ale spójrzcie na nią teraz. Mógłbym ją sprzedać za dwadzieścia razy wyższą cenę.

– A za ile byś ją sprzedał? – zapytał Solomon Lindo, szybko mierzając mnie wzrokiem.

– Za nie mniej niż dwadzieścia funtów – odparł Appleby.

Trzeci mężczyzna odłożył cygaro i podszedł do mnie. Zza pasa wystawał mu ogromny brzuch. Miał duży czerwony nos.

– Ile masz lat, Mary? – zapytał.

Buckrzy nazywali Murzynki „Mary”, kiedy nie znali ich imion, ale ja tego nienawidziłam. Zaciśnęłam powieki i nie otworzyłam ust.

– Dziewczyno, to William King – upomniał mnie Appleby. – Zarządza właściwie całym handlem niewolnikami w Charles Town. Zadał ci pytanie.

– Piętnaście, jak mniemam – odparłam.

– Mniemasz, co? – mruknął King.

– Tak, mister – powiedziałam.

– Na moje oko wyglądasz bardziej na osiemnaście – odpowiedział King. – Rodziła już? – Tym razem zwrócił się do Appleby’ego, więc milczałam.

Appleby nagle włożył mi szklanę do ręki.

– Napij się madery – przykazał.

– Nie dawaj jej tego – powiedział Lindo, odbierając mi szklanę. – Rozchoruje się. Nie dawaj wina dziecku.

– To kobieta, nie dziecko – powiedział Appleby.

– Jeszcze nie przestała być dzieckiem – odparł Lindo ostrożnie.

– To ja jestem handlarzem – oznajmił King. – Ty trzymaj się indygo, a ja opowiem ci o Murzynkach. – Znów zwrócił się do mnie. – Jak nauczyłaś się przerabiać indygo? – zapytał.

– Mamed mnie nauczył.

King spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Coś ty powiedziała?

Nauczył. Popełniłam błąd. „Nauczył” było słowem używanym przez buckrów. Mamed ostrzegął mnie, żebym nigdy nie posługiwała się poprawną angielszczyzną przy buckrach.

– Uczyć mnie – powiedziałam szybko. – Mamed mnie uczyć indygo.

Appleby zabrał Kinga, żeby oprowadzić go po domu, ale Lindo został ze mną. Podrapał się po brodzie. Miał długie, szczupłe palce. Nie były to palce plantatora ani nadzorcy. Może wszyscy inspektorzy plantacji mieli smukłe palce o czystych paznokciach i gładkiej skórze?

Lindo miał małą czapczkę. Nie przypominała chustek, które lubiłam zawiązywać na głowie. Zakrywała niewielki fragment włosów z tyłu. Przyłapał mnie na tym, że się w nią wpatruję.

– Wiesz, co to jest? – powiedział, dotykając czapczki.

Pokręciłam głową.

– Chcesz się dowiedzieć? – zapytał.

Potwierdziłam.

– Jesteś ciekawska?

Nie przestawałam się na niego patrzeć.

– To jarmułka. Jestem żydem. Wiesz, co to znaczy?

Nie odpowiedziałam. Solomon Lindo podszedł do stojącego w pokoju biurka, wyciągnął pióro i kałamarz i nakreślił kilka słów na kawałku pergaminu. Pokazał mi go. Na pergaminie widniały słowa: „Odwróć się. Zobaczysz swoją matkę”. Gwałtownie się odwróciłam. Nic. Znów spojrzałam na niego. Mężczyzna szeroko się uśmiechał.

– To taka mała sztuczka. Ale nikomu nie powiem – oznajmił.

Stałam przed nim skamieniała.

– Nie martw się – powiedział znowu. – Przydałaby mi się taka dziewczyna jak ty.

Tuż za drzwiami usłyszałam głośną rozmowę. Appleby i King wrócili, popijając ze skórzanych piersiówek.

– A więc jesteś czystej krwi Afrykanką? – rzucił King.

Skinęłam głową.

– Powiedz coś po afrykańsku – zażądał.

W języku bamana powiedziałam, że wygląda na złego człowieka. King się zaśmiał.

– Nic nie zrozumiałem – zwrócił się do innych mężczyzn – ale lubię sprawdzać, czy naprawdę potrafią mówić w jednym z tych języków.

Zanim zdołałam się opanować, coś we mnie pękło.

– Skąd pochodzę? – zapytałam.

King się do mnie uśmiechnął. Najwyraźniej uważał, że to naprawdę śmieszne.

– To ty nam powiedz.

– Gdzie leży moja ziemia?

– A co, wybierasz się z powrotem? – powiedział King, a Appleby znów się zaśmiał.

King podszedł do biurka, otworzył szufladę, rozwinął spory kawałek pergaminu i rozłożył go na blacie. Narysował falujące linie i powiedział, że to woda. Po jednej stronie linii narysował koło i oznajmił, że to Karolina. Po drugiej nakreślił dziwny kształt przypominający grzyba o przerośniętej lewej połowie kapelusza. Powiedział, że to Afryka. Na grzybie narysował ciemne koło.

– Pochodzi stąd – oznajmił mężczyznom, wskazując na górną lewą część grzyba. – Niewolnicy Coromantee to najlepsi Afrykanie – stwierdził – ale, mój drogi Appleby, w transporcie, który dostałeś, nie było żadnych Coromantee. Wystarczy na nią spojrzeć, by wiedzieć, że nie jest jedną z nich. To najlepszy gatunek. Dobra symetria i dumna postura. Urodziwsi niż inni. Tak urodziwi, że niemal zapomina się, iż są czarni.

– Jest urodziwa – przyznał Appleby.

– Nie martw się, dostaniesz za nią dobrą cenę. Appleby, mój chłopie, jeśli chcesz prowadzić pierwszorzędną plantację, musisz się znać na ludziach. Najlepsi są niewolnicy ze Złotego Wybrzeża i Gambii. W dalszej kolejności trzeba wybierać silnych mężczyzn z Wietrznego Wybrzeża. Tacy Mandingowie... O, proszę, twoja dziewczyna może być z Mandingów... Więc Mandingowie mają łagodną naturę, ale zmęczeni są zupełnie bezużyteczni. A piekielnie szybko się męczą. Jest jeszcze lud Whydah. Są tak weseli, że aż żwawi. Przyda ci się jeden lub dwóch, ale jeśli kupisz więcej, będziesz miał na plantacji zbyt wiele tańców i zabawy. Możesz się założyć, że samiec z Konga ucieknie prosto do Hiszpanów, kiedy tylko usłyszy o Fort Mosa. Nie kupuj Murzynów z Konga ani Calabaru. Są najgorsi. Doprawdy najgorsi.

– Potrafisz ich rozróżnić? – zapytał Appleby.

– Nie wzbogaciłem się przez sen – odparł King. – Wierz mi na słowo. Jeśli kupisz Ibo z Calabaru i dasz mu nóż, żeby rozplątał gardło świni, on rozpląta je sobie. Ibo jest tak leniwy, że nie chce mu się nawet żyć.

Pytania cisnęły mi się na usta, ale nie mogłam zadać żadnego z nich. Skąd byli ci wszyscy ludzie? Skąd King znał te wszystkie plemiona? Skoro tak dużo wiedział, to dlaczego mówił, że Mandingowie szybko się męczą? Sama widziałam, jak cały dzień pracują przy młódczu, godzinami rzucają nim, podnoszą go i znów nim rzucają, żeby zemleć proso na mąkę, a orzechy masłosza na masło shea.

– Chodź ze mną, Lindo – powiedział Appleby. – Porozmawiajmy o moim indygo.

Zanim obaj mężczyźni wyszli i zatrzasnęli za sobą drzwi, dostrzegłam, że Lindo spogląda na mnie przez szparę, ściągając brwi. Zrobiłam gest, jakbym chciała wyjść, ale King zagroził mi drogę.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nazywam się William King. Jestem najbogatszym handlarzem w Charles Town.

Próbowałam go obejść, ale nie pozwolił mi się ruszyć.

– Rozumiesz, co to znaczy „bogaty”? Dziewczyno, masz jeszcze rozum?

Bałam się, że pomyśli, iż jakimś cudem straciłam rozum, i że mnie zbije.

– Wielki dom, dużo Negrów, dużo kadzi z indygo – wymówiłam szybko.

– Twój pan Appleby zajmuje się tylko indygo. Ja hoduję też ryż. Myślisz, że praca przy indygo jest ciężka?

Z ociąganiem skinęłam głową.

– Indygo to nic. Zobaczyłabyś, jak się uprawia ryż. Niektórzy Murzyni padają po jednym sezonie. Mokra robota. Mokra i gorąca. Są też aligatory. Podpływają do ciebie, kiedy pracujesz. Kłap, kłap i po tobie. – William King rozwarł ramiona i klasnął w dłonie.

Odskoczyłam.

– Lubię rozumnych Murzynów – powiedział.

Zastanawiałam się, czy drzwi za nim są zamknięte na klucz.

– Lindo przyjechał ocenić indygo, ale ja przybyłem tu, żeby obejrzeć Murzynów Appleby’ego. Sam cię mu sprzedałem i chciałem zobaczyć, czy coś z ciebie wyrosło. Widzę, że jesteś niczego sobie. Tylko że nie należysz do Coromantee. Przywiozłem cię z wyspy Bance, a tego roku nie wysyłałem z Bance nikogo z ludu Coromantee. Podejdz no tu.

Wyciągnął rękę, ale ja się nie ruszyłam.

– Co to jest Bance? – zapytałam.

– Nic ci nie umknie, co? Bance to miejsce, w którym sprzedałem cię w Gwinei.

Drzwi prawdopodobnie nie były zamknięte na klucz, ale trudno by mi było obejść tego mężczyznę, by do nich sięgnąć. William King zdjął kamizelkę i rozpiął spodnie. Kiedy się na mnie rzucił, cofnęłam się i zrobiłam unik. On jednak znów zaatakował i przycisnął mnie do ściany.

– Przestań się wiercić, dziewczyno. Chcę tylko sprawdzić, co z ciebie wyrosło. – Opuścił spodnie do kostek. Jego męskość poruszała się jak konar na wietrze.

Za Kingiem skrzypnęły drzwi. Usłyszałam konwersację Linda z panem Applebym.

– Do stu diabłów – wymamrotał King i szarpiąc się, zaczął wkładać spodnie.

Mniej więcej miesiąc później Georgia usłyszała wieści przez sieć. Żyd z Charles Town chciał mnie kupić, ale Appleby odmówił. Byłam zawiedziona. Odejdziecie z Solomonem Lindem z pewnością byłoby lepsze niż pozostanie na plantacji Appleby’ego. Ale Georgia powiedziała, że Appleby nigdy mnie nie sprzeda.

– Dlaczego? – zapytałam słabo.

– Jesteś zbyt dobra. Zbyt cenna. Umiesz łapać dzieci i robić błoto z indygo. Dlaczego ten człowiek miałby cię teraz sprzedać?

Moje piersi robiły się coraz pełniejsze. Wiedziałam, że niedługo będzie widać ciążę. Appleby nie pozwalał swoim Murzynom się pobierać. Niektórzy brali ślub, przeskakując przez miotłę, inni po prostu razem mieszkali lub odwiedzali się w nocy. Ja jednak doskonale wiedziałam, czego życzyliby sobie moi rodzice, i powiedziałam Chekurze, że chcę go poślubić. Wybraliśmy pierwszą pełnię księżyca w sierpniu. Myśl o ceremonii, niezależnie od tego, jak bardzo miała być skromna, napełniała mnie radością. Chciałam, żebyśmy stworzyli małą rodzinę i byli razem. Nie mogliśmy zawrzeć małżeństwa tak jak w mojej ojczyźnie – w towarzystwie starszych z wioski i *djeli*, który byłby świadkiem tego wydarzenia i opowiadał o nim kolejnym pokoleniom. Nie było długotrwałych negocjacji pomiędzy rodzicami i mieszkańcami naszych wiosek ani wymiany prezentów, które wynagrodziłyby mojej rodzinie utratę córki. Nalegałam jednak na to, by Chekura wręczył Georgii duży prezent i przygotował dwa kurczaki, dwie chusty, jeden niebieski szklany słoć, butelkę rumu i sakiewkę kory z chinowca.

– Skąd ten szalony chłopak wytrzasnął chinowca? – powtarzała w kółko.

Tego dnia Georgia pokochała Chekurę.

Goście zjawili się z prezentami i jedzeniem. Na długo wcześniej Georgia przywlekała z Fombą na polanę żelazny kocioł i postawiła na ogniu potrawkę z królika. Mamed przyniósł mi świecę i piękny stołek, który zrobił z wypolerowanego drewna cyprysowego. Fomba wystrugał małą figurkę kobiety trzymającej dziecko. Oliwił ją i polerował przez kilka dni i wydawał się niezwykle szczęśliwy, że może mi ją ofiarować. Chekura wręczył mi grzebień, słoik oleju kukurydzianego, który podobno pomagał ujarzmić niesforne włosy, czerwono-złotą przepaskę na głowę i przepiękną niebieską chustę z miękkiej, gładkiej bawełny – taki sam materiał widziałam u buckrów odwiedzających wielki dom. Ja podarowałam Chekurze jasnożółtą chustę, którą otrzymałam w zamian za złapanie dziecka. Georgia powiedziała, że nie powinnam była mu nic dawać.

– Ofiarowujesz mu siebie – oznajmiła. – A ten zwariowany, gadatliwy Afrykanin powinien się cieszyć, że cię ma.

Na zabawie mieliśmy flety i banjo. Część kobiet i mężczyzn śpiewała i tańczyła, podczas gdy pozostali pili rum i palili fajki. Przestałam się modlić przed wielu laty, ale wciąż unikałam alkoholu i tytoniu – nawet w noc, kiedy poślubiłam Chekurę. Gdy zjedliśmy, Mamed położył na ziemi miotłę i kazał nam przez nią przeskoczyć, po czym ogłosił, że od tej chwili jesteśmy mężem i żoną. Chekura i ja się pocałowaliśmy. Byliśmy małżeństwem i teraz moje dziecko mogło mieć prawdziwego ojca. Wróciliśmy do chaty, przytuliliśmy się i poruszaliśmy się jak mąż z żoną, po czym zasnęliśmy w swoich ramionach. A przynajmniej ja zasnęłam w ramionach Chekury.

Kiedy się obudziłam, już go nie było – powrócił na wyspę Pani.

Robinson Appleby wrócił na plantację w grudniu i od razu po mnie posłał. Przyszłam do niego z napęczniałym brzuchem i stanęłam na werandzie wijącej się wokół wielkiego domu. Dziecko, które nosiłam, miało rosnąć jeszcze tylko przez trzy księżyce.

– Słyszałem – rzucił, wskazując głową na mój brzuch.

– Małe dziecko – oznajmiłam. Nie chciałam, by widział moją dumę, ale dolna warga mi zadrżała.

Przełknął ślinę i zagryzł policzek. Wetknął ręce do kieszeni, po czym znów je wyjął, a z kieszeni na piersi wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę.

– Kto jest ojcem? – zapytał.

Nie odpowiedziałam.

– Wiem, że odwiedza cię jakiś chłopak.

Spuściłam wzrok, żeby nie mógł odczytać wyrazu mojej twarzy. Miałam nadzieję, że nie słyszał o ślubie.

– To ja decyduję o tym, kto może się rozmnażać – powiedział. Przywołał mnie palcami.

Podeszłam bliżej.

– Aleś się wystroiła. Niebieska chusta, czerwono-złota przepaska. Pewnie podobają ci się te ubrania. Pokaż tę chustę. Chodź tu. Podejdź do mnie.

Zrobiłam krok w przód.

– Powiedz: „Podobają mi się moje ubrania, mister”.

Powtórzyłam.

– Wyjdź na dziedziniec – rozkazał.

Poczułam ulgę. Wiedziałam, że są rzeczy, których nie zrobi mi poza domem. Appleby kazał Mamedowi i Georgii zebrać wszystkich mężczyzn oraz wszystkie kobiety i dzieci z plantacji. Powiedział, że ten, kto się nie zjawi, nie dostanie trzech kolejnych posiłków ani odrobiny rumu, tkanin czy soli z Charles Town. Niewolnicy otoczyli nas wielkim kręgiem na dziedzińcu. Appleby rozkazał dwóm kobietom rozpalić małe ognisko, a Mamedowi przytoczyć ze składziku pustą beczkę. Innemu mężczyźnie polecił znaleźć nóż do golenia. Jedna z kobiet miała przynieść balię i nożyczki, a Georgia dostarczyć wszystkie moje ubrania Appleby’emu, który stał przy ognisku.

Kiedy ogień rozgorzał, a balię wypełniła woda, Appleby chwycił nóż i krzyknął, że każdą osobę, która zaprotestuje, spotka podobny albo gorszy los.

– Rozbieraj się – warknął.

Gdy się zawahałam, zerwał ze mnie ubranie i rzucił je na stos, który przyniosła Georgia.

– W prowincji Karoliny Południowej mamy prawo – oznajmił. – Murzyni nie ubierają się po wielkopańsku.

Wtedy podjęłam decyzję. Niech robi, co chce. Pochodzę z Bayo, noszę w brzuchu dziecko i nie zamierzam spuszczać głowy.

– Wrzuć je w ogień – rozkazał mi Appleby, wskazując leżące na ziemi ubrania.

Nie poruszyłam się. Mężczyzna odwrócił się do Georgii. Skinął w moją stronę.

– Georgia, dobrze wiesz, że nie żartuję. Spal je albo zgotuję jej jeszcze gorszy los.

Na twarzy Georgii malował się kamienny spokój. Schyliła się, podniosła moje ubrania i wrzuciła je w ogień. W duchu jej podziękowałam. Spaliła moje ubrania, ale ocaliła moją godność. W obecności wszystkich Negrów postawiłam się Appleby'emu. Odniosłam małe zwycięstwo, o którym miałam nie zapomnieć.

Mężczyzna wskazał na balię.

– Uklęknij i zamocz głowę – powiedział.

Nie poruszyłam się.

– To ostatnie ostrzeżenie. Głowa do balii.

Uklękałam, ale ze względu na wydatny brzuch nie mogłam zanurzyć głowy w wodzie.

– Usiądź więc – rozkazał i wylał na mnie trzy wiadra wody, która spłynęła po mojej twarzy, szyi i brzuchu. Przytoczył do mnie beczkę. – Połóż się na beczce.

– Nie! – krzyknęłam.

– Rób, co mówię, i to natychmiast, albo opróżnię twoją chatę i spalę wszystkie twoje rzeczy. Tkaniny, szczotki, wszystko. To samo zrobię z rzeczami Georgii. Spalę jej ubrania, sakiewki i tykwy. Wszystko. Słyszysz?

Spróbowałam położyć się na beczce, ale miałam za duży brzuch.

Złapał mnie za włosy i pociągnął moją głowę do góry.

– Siadaj więc prosto – warknął.

Wciąż klęcząc, wyprostowałam plecy.

– Ty i ten twój tajemniczy mężczyzna. Myślisz, że jesteś taka sprytna? Że nie wiedziałem, iż spodziewasz się dziecka? Ty i te twoje przepaski. Wystrojona jak biała kobieta przynosisz wstyd Murzynkom z Charles Town. – Stał za mną i pociągnął mnie za włosy. – Co to jest?! – wrzasnął.

Krzyknęłam z bólu.

– Co to jest? – powtórzył.

– Moje włosy.

– To nie włosy – powiedział, jeszcze mocniej odciągając moją głowę. – Wełna. – Kiedy jeszcze mocniej pociągnął, jęknęłam. – To nie włosy – powtórzył. – Powiedz: „wełna”.

– Wełna.

– Powiedz: „Ja mieć na głowie wełna, nie włosy”.

– Ja mieć wełna, nie włosy.

– To tylko wełna, a bez mojej zgody nie masz prawa nawet do niej.

Wciskając mi łokieć między łopatki i zmuszając, bym przechyliła się przez beczkę, Robinson Appleby zaczął ciąć nożyczkami. Kosmyki włosów spadały mi na czoło, wpadały do oczu i ust, podczas gdy po policzkach ciekły ciche łzy.

Straciłam wszystkie włosy, które rozczesywałam w każdy niedzielny poranek wraz z Georgią. Na nic się zdało czesanie, natłuszczanie, splatanie i wiązanie. Kiedy Appleby skończył strzyżenie, namydlił mi głowę i wyciągnął nóż.

– Jeśli się poruszysz, z głowy polecą ci krew – powiedział.

Usłyszałam, jak Murzynki łkają. Do tej chwili byłam dzielna, ale w jednym momencie moja śmiałość zniknęła.

– Mister, proszę...

Appleby znów pchnął moją głowę w dół i wtarł w nią mydło i wodę. Następnie brutalnie mnie ogolił, przesuwając nożem od nasady czoła aż po kark. Raz po raz polewał moją głowę mydlinami. Woda z mydłem szczypała w poranioną głowę, spływała po twarzy i piekła w oczy. Jej gorzki smak mieszał się z kosmykami włosów na moim języku. Mężczyzna nie pozwalał mi się wyprostować, wciskając łokieć między moje łopatki, i raz po raz przejeżdżał nożem po mojej głowie, poruszał nim wstecz. W końcu polał mi głowę wodą i zmusił mnie, bym wstała. Przystawił mi do twarzy lustro.

Zaczęłam krzyczeć tak jak jeszcze nigdy w życiu. Nie rozpoznawałam samej siebie. Appleby pozbawił mnie ubrań, włosów, urody, kobiecości.

– Tym razem daruję ci chłostę – powiedział. – Wynoś się stąd i włóż zgrzebny strój. Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na tym, że ubierasz się jak biała, znów ostrzygę cię jak owcę i spalę wszystkie rzeczy, jakie znajdę w chacie Georgii.

– Georgia nie mieszka w chacie – wyszeptałam.

– Dla twojego dobra mam nadzieję, że nie pyskujesz – warknął.

– Ma dom. Mieszka w domu.

Appleby'emu opadła szczeka. Odwróciłam się do niego plecami. Z ogoloną głową, wydatnym brzuchem i zupełnie naga zaczęłam iść w stronę przeciwległego krańca dziedzińca. Była niedziela, więc niewolnicy z plantacji zajmowali się praniem i gotowaniem. Kiedy przechodziłam, wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci stali w milczeniu i bez ruchu. Fomba pochylił głowę i zakrył oczy dłońmi. Mijając go, dotknęłam jego ręki, powstrzymałam łzy i postanowiłam nie biec. Czułabym jeszcze większą hańbę.

– Nie masz prawa do tego dziecka, tak jak nie masz prawa do wełny porastającej ci głowę – powiedział Appleby. – I jedno, i drugie należy do mnie.

Nie zatrzymywałam się – szłam z taką gracją, na jaką pozwalał mi wydatny brzuch. Nie uрониłam ani jednej łzy, dopóki nie znalazłam się sama w domu.

Kiedy nadszedł mój czas, mieszkałam na Wyspie Świętej Heleny od czterech lat. Był

15 marca 1761 roku, a ja miałam szesnaście lat.

– To jest teraz twój dom – oznajmiła Georgia. – Twój i twojego dziecka. To miejsce. Karolina.

Pomyślałam, że gdybym zaprotestowała, zraniłabym jej uczucia, więc milczałam. Zastanawiałam się, gdzie znajdzie dom moje dziecko. W Afryce? Na plantacji indygowca? To pierwsze wydawało mi się niemożliwe, a drugie było nie do przyjęcia. Postanowiłam, że to ja będę dla niego domem. Będę dla niego wszystkim, dopóki razem nie wrócimy do Afryki. Ale nie powiedziałam tego kobiecie, która opiekowała się mną jak matka, odkąd znalazłam się na tej wyspie.

Georgia kazała mi się wymyć w dużym skórzanym wiadrze przy świetle księżyca. Rozmasowała mi plecy, a skóra i mięśnie rozluźniły się pod dotykiem jej dłoni. We właściwym czasie czułam w ciele przybierające na sile fale. W końcu nadeszły duże fale, które zaczęły mną rzucać. Georgia przygotowała się, żeby wsunąć we mnie dłoń, ale odmówiłam. Nie byłam gotowa. Trzeba było jeszcze poczekać. Ból, fale i skurcze w moim brzuchu trwały dalej. Czy naprawdę tak małe dziecko potrafiło wywołać tak wielkie poruszenie?

Pomyślałam o wszystkich dzieciach, które złapałam wraz z mamą. Byłam w tym dobra nawet jako ośmiolatka, ale nie miałam pojęcia o bólu, którego doświadczają kobiety. Skąd miałam wiedzieć? Z mojego gardła wydobyły się pomruki, które brzmiały jak warczenie bestii, i wiedziałam, że nadszedł czas. Przyj... przyj... przyj.

Georgia powiedziała, że powinnam odpocząć i spróbować za chwilę. Posmarowała moje hemoroidy balsamem z liści indygowca. Odpoczęłam i upiłam łyk wody. Georgia pomogła mi wejść do wanny i umyła mnie ciepłą wodą. Kiedy znów nadeszły fale, ukucnęłam w balii i zaczęłam przeć, aż wypchnęłam z siebie synka.

– Mamadu – westchnęłam.

– To afrykańskie imię? – zapytała Georgia.

– Mamadu – powtórzyłam. – Tak miał na imię mój ojciec.

Natychmiast przystawiłam synka do piersi. Przez krótką chwilę, kiedy ssał i pił, czułam się rozradowana i pełna energii. Kiedy Mamadu się najadł, Georgia umyła go, zawinęła i podała mi wodę, odrobinę cukru, kawałki banana, pomarańczy i kukurydzianą papkę, po czym włożyła mi dziecko z powrotem w ramiona. Przytuliłam je do piersi, zwinęłam się wokół niego i zasnęliśmy.

Gdy się obudziłam, kobiety z plantacji zabiły kilka kurczaków, które trzymałyśmy na własny użytek. Tego wieczoru wielu Murzynów zjadło wspólny posiłek, kolejno odwiedzając mnie w domu Georgii, żeby obejrzyć niemowlę i złożyć mi gratulacje. Byłam niezwykle rozgoryczona, że Robinson Appleby zobaczył moje dziecko przed Chekurą. Mężczyzna podszedł do mojego łóżka i wręczył mi pleciony koszyk. Nie chciałam, by się

do mnie zbliżał ani by dotykał Mamadu. Georgia wślizgnęła się obok nas, umiejętnie odebrała ode mnie dziecko i pewnie wzięła je w ramiona. Appleby uniósł kawałek materiału, żeby sprawdzić jego płęć, po czym odwrócił się i zostawił nas w spokoju.

Miałam nadzieję zobaczyć Chekurę w dniu, kiedy urodził się nasz syn. On jednak nie przyszedł. Wiedział, w którym księżycu miałam urodzić. Ojciec mojego dziecka nie zjawił się, żeby poznać synka albo mnie ucałować. Opowiadano mi, że mój ojciec trzymał mnie w ramionach dzień po tym, jak zjawiłam się na świecie. Gdzie więc był człowiek, który zawiódł mnie nad morze, przetrwał ze mną przeprawę przez wodę, wrócił obwączać mnie między nogami, a w końcu zasiał we mnie swoje ziarno i przeskoczył ze mną przez miotłę podczas pełni księżyca?

– Mężczyźni przychodzą i odchodzą – powiedziała Georgia. – Nie trap się Chekurą. Nakarm tego małego mężczyznę swoim mlekiem.

Dni mijały, a mój mąż wciąż nie przychodził.

– Nie troszcz się o to – poradziła Georgia. – Twój mężczyzna zjawi się, kiedy tylko będzie mógł.

Którejś nocy, kiedy Georgia poszła na noc do Wesołego Jacka, zasnęłam w łóżku wtulona w Mamadu. Śniło mi się, że jakaś ręka muska mnie po szyi, ale nagle sen zmienił się w koszmar – ktoś chciał porwać moje dziecko. Chwyciłam rękę, która dotykała mojej szyi, i z całej siły wbiłam w nią zęby. Obudził mnie jęk zwijającego się z bólu Chekury.

– Moja niebezpieczna żona – powiedział, potrząsając ręką.

– Jesteś w niebezpieczeństwie, kiedy zjawiasz się czternaście dni po narodzinach swojego syna.

– Czyżbyś liczyła dni? Więc mimo wszystko mnie kochasz.

Spojrzałam na niego z czułością. Koszmar się skończył, a mój mąż w końcu nas odwiedził.

– Podejdz i przyjrzyj się synowi.

– To właśnie robiłem, kiedy mnie ugryzłaś. – Chekura nachylił się i podniósł Mamadu, który stęknął, ale się nie obudził. Gdy wetknął mu do ust koniuszek palca, Mamadu chwycił go i zaczął ssać przez sen. Chekura uśmiechnął się szeroko i położył się obok mnie.

Kiedy niemowlę spało pomiędzy nami, Chekura wyjaśnił, że od jakiegoś czasu nie mógł opuścić plantacji. Nowy nadzorca chciał położyć kres nocnemu handlowi Negrów. Wokół plantacji postawiono wartowników i zastawiono sidła na ludzi. Ogłoszono, że każdy Murzyn złapany na nocnych wędrówkach zostanie zastrzelony. A ten, który wpadnie w sidła, dostanie pięćdziesiąt batów. Chekura powiedział, że krajanie szykują rebelię. Mówił, że opuszczenie plantacji tak, by nikt go nie zauważył, wiele go kosztowało. Poradziłam mu, aby powrócił na plantację jeszcze przed świtem, i powiedziałam, że może nas odwiedzić, kiedy jego sytuacja się uspokoi. Nie chciałam, by mój mąż zginął,

wymykając się w nocy na nasze spotkanie. Nie chciałam, by ojcu Mamadu stała się krzywda przez kaprys.

Nagle w drzwiach stanęła Georgia.

– Usłyszałam hałas – oznajmiła – więc przyszedłam zajrzeć do gniazda. Proszę, proszę! Przyleciał ptaszek.

– Dobrze byłoby umieć latać – skwitował Chekura. – W nocy ciężko wypatrzeć sidła. Szukam ich za dnia i pamiętam o nich w świetle księżyca.

– Nie daj się zabić – dodała Georgia. – Wracaj, zanim ktoś odkryje, że cię nie ma.

– Ty też? – rzucił Chekura z wyrzutem. – Przepędzasz mnie tak jak Aminata?

Uwielbiałam, kiedy wypowiadał moje imię w jego pełnym brzmieniu.

– Nie lubię cię – odparła Georgia, obdarzając mojego męża szerokim uśmiechem. – Ale teraz jesteśmy już chyba rodziną.

Chekura wstał z łóżka, podszedł do Georgii i udawał, że ją całuje.

– Jesteś słodka – powiedział.

Georgia pacnęła go żartobliwie i odeszła do Wesołego Jacka. Kiedy znalazła się poza zasięgiem naszych głosów, Chekura stwierdził:

– Powinnaś była zaczekać z nadawaniem mu imienia. Chciałem go nazwać Sundee.

– Tak nazwiemy następne dziecko – odparłam, chwytając mojego mężczyznę za rękę. – Odwiedzaj swojego syna tak często, jak będziesz mógł – poprosiłam. – Ale nie daj się złapać ani skrzywdzić.

*

Dostałam tydzień na odpoczynek, a potem miałam wykonywać połowę pracy na plantacji. Kiedy brakowało mi energii, żeby pracować, moje obowiązki przejmowali inni. Georgia nie wprowadziła żadnych zmian w domu, ale zaczęła spędzać noce u Wesołego Jacka. Nosiałam Mamadu w jasnopomarańczowej chuście zamotanej nisko na plecach. Jego odgłosy i ruchy były jak nowy język, którego chciałam się nauczyć, by dać mu wszystko, czego potrzebuje. Karmiłam go, zanim zgłodniał, i przysięgłam sobie, że nigdy nie dam mu powodu do płaczu. Czułam nawet, kiedy szykował się do wypróżnienia, co dawało mi czas, żeby w odpowiednim momencie zdjąć go z pleców i wyjąć z chusty.

Jednak gdy mój syn Mamadu miał zaledwie dziesięć miesięcy, w środku nocy obudził mnie jego histeryczny płacz. Przewróciłam się na bok, żeby go przytulić, uspokoić i ulżyć moim napęczniałym od mleka piersiom. Moja ręka musnęła posłanie ze splecionych traw. Łóżko. Powietrze. Moje własne ciało. Nic poza tym. Otworzyłam oczy. Płacz dobiegał teraz spoza mojego małego pokoju. Wypełniał noc. Wskoczyłam z chaty oszołomiona, skołowana, pełna niczym niewydojona krowa i zobaczyłam, jak Robinson Appleby przekazuje moje dziecko mężczyźnie siedzącemu w powozie. Puściłam się biegiem w ich stronę. Woźnica smagnął konia i pojazd zaczął się toczyć. Bat znów świsnął i powóz

przyspieszył. Moje dziecko zniknęło w ciemności tak szybko jak spadająca gwiazda.

Podbiegłam do Appleby'ego i zaczęłam okładać pięściami jego pierś. Biłam go, dopóki nie cisnął mnie na ziemię.

– Oddaj moje dziecko! – krzyknęłam.

Zaśmiał mi się w twarz.

– Oddaj mi je!

– Za późno. Sprzedałem go. Zarobiłem tylko pięć funtów, ale to mały byczek. Urośnie i jego nowy właściciel kiedyś na nim zarobi.

Moje kolana ugrzęzły w piasku, z piersi skapywało mleko. Nigdy wcześniej nie chciałam nikogo zamordować. Ale wtedy czułam, że mogłabym zabić Robinsona Appleby'ego. Moje serce i ciało krzyczały za Mamadu. Moje dziecko jednak przepadło. Sprzedane, sprzedane, sprzedane. Appleby nie chciał mi powiedzieć, kto je kupił. Zrzuciliśmy sieci głęboko, ale niewolnicy z żadnej plantacji nie zauważyli, by wśród nich pojawił się mały chłopczyk bez matki. Ani na Świętej Helenie, ani na żadnej sąsiadującej z nią wyspie. Nie było go na wyspach Pani, Coosaw, Edisto ani Hunting.

– Nie ma go w sieci – powiedziała Georgia. – Przepadł. Mister Apbee porządnie go sprzedał.

Zgasł we mnie wszelki płomień i straciłam siły. Czułam się gorzej niż wtedy, gdy znalazłam się w Karolinie. Chekura ani razu mnie nie odwiedził. Byłam przekonana, że to moja wina. Mój mąż odwrócił się ode mnie, bo straciłam syna, którego stworzyliśmy. Ogarnęła mnie choroba i rozpacz, nie miałam siły unieść ręki. Dostałam gorączki, która zabiła wielu Murzynów i jeszcze więcej buckrów, ale Georgia mnie pielęgnowała, tak że wróciłam do zdrowia. Czekałam na śmierć, ale ona tylko przystanęła w progu, zagwizdała i odeszła.

– Jeśli twój mężczyzna nie przychodzi – powiedziała Georgia – to znaczy, że go sprzedano, zaprzęgnięto do pracy albo że po prostu nie może.

Ja jednak jej nie wierzyłam. Nie chciałam pracować. Nie łąpałam już dzieci i nie szorowałam kadzi. Appleby groził, że znów ogoli mi głowę, ale byłam niewzruszona. Mój synek przepadł, mąż już mnie nie odwiedzał, a wszystkie moje wysiłki, by nauczyć się zwyczajów buckrów, zakończyły się katastrofą. Georgia wściekała się na mnie za to, że odmawiam pracy, a Mamed mówił, że nie będzie mnie mógł dłużej chronić. Appleby mnie bił, ale i tak nie mogłam dla niego pracować. Na początku sezonu indygowca nie zasiałam ani jednego ziarna. Przestałam jeść. Nie opuszczałam łóżka.

Któregoś ranka Appleby wtargnął do mojego pokoju i wywłókł mnie na dziedziniec. Przygotowałam się na chłostę, ale on wymamrotał tylko:

– Ty głupia, bezużyteczna, gwinejska dziewczko!

I sprzedał mnie Solomonowi Lindowi.

Kształt Afryki

Charles Town, 1762 rok

Rozpaczliwie tęskniłam za Chekurą. Moje młode ciało było idealne – gładkie, silne, zaokrąglone i pełne. Skóra błagała o to, by ją całowano i pieszczono. Ręce i ciało były gotowe głaskać, ścisnąć i dosiadać mężczyznę. W nocy budziłam się z wilgocią między nogami i tęskniłam za dotykiem Chekury. Ale nie widziałam go ani nie miałam od niego żadnych wieści, chociaż zostawiłam dla niego wiadomość u Georgii, że zamieszkałam u Solomona Linda w Charles Town. Gdyby chciał, z pewnością by mnie odnalazł. Rozpaczą napawała mnie myśl, że gdyby jakimś cudem udało mi się powrócić do Bayo, nie miałabym dziecka w ramionach ani męża u boku. Nie mogłabym się chwalić owocem swego łona i mężczyzną, który stałby dumnie obok mnie, gdy opowiadałabym ludziom o dziwnych zwyczajach bukrów.

Charles Town tętniło życiem. Kiedy znalazłam się w porcie wraz z Solomonem Lindem, po zapachu gnijącego jedzenia i ludzkich odchodów poznałam, że to właśnie tu trafiłam pięć lat wcześniej. Próbowałam wyrzucić tę myśl z pamięci. Zerknęłam na wysokiego człowieka, który był moim nowym właścicielem. Zauważyłam, że kiedy znaleźliśmy się na targowisku, spokojnie patrzył na stragany z jedzeniem i nucił.

– Ma pan inne niewolnice? – zapytałam.

Wzdrygnął się.

– Tylko jedną. Ale moja żona i ja wolimy określenie „służąca”. Nie odnosimy się do naszych sług ordynarnie. W naszym domu nie doświadczysz okrucieństwa, którego zaznałaś na Wyspie Świętej Heleny.

Na straganach błyszczały w słońcu krewetki, ułożone w stosy kraby i ryby, ale najbardziej wstrząsnęło mną to, że Murzynki poruszały się swobodnie z tacami na głowach i koszami w dłoniach. Kobiety miały na włosach chusty, były ubrane w barwne bluzki i jaskrawe spódnice. Niektóre nosiły kapelusze otoczone futrem i kolorowe buty. Śmiały się, gestykulowały i targowały się ze sprzedawcami. Słowa wydostawały się z ich ust z niezwykłą szybkością, a one zdawały się czuć swobodnie i zachowywały tak, jakby na świecie nie było nikogo, kto mógłby je skrzywdzić.

– Mister, dać mi szylinga za pomarańcze! – Murzynka z dzieckiem w brzuchu i workiem pełnym pomarańczy chwyciła Linda za spodnie z nadzieją, że ten wydobędzie z kieszeni monetę.

Lindo cofnął się, ale nie okazał zdziwienia.

– Daj mi dziesięć sztuk – odparł.

Pomachała mu palcem przed twarzą.

– Pięć za szylinga – powiedziała.

– W zeszłym tygodniu sprzedałaś mi za tę cenę dziesięć.

– Cena się zmieniła – rzuciła.

Mężczyzna włożył jej w dłoń monetę. Błysnęła zębami w uśmiechu.

– Dobre pomarańcze, mister. Zawsze kupować ode mnie. Pomarańcze dla pana i pańskiej małej kobiety.

Dla jego małej kobiety? Nic nie odpowiedział. Murzynka włożyła mu pomarańcze do worka i niespiesznie odeszła. Patrzyłam, jak wmieszała się w tłum. Kiedy podszedł do niej biały mężczyzna w niechlujnym stroju i zaproponował jej coś w zamian za owoce, splunęła na ziemię i się odwróciła – obdartus interesował ją mniej niż szczerzeczny. Lindo, w peruce i eleganckim stroju, był jedynym typem mężczyzny, który zasługiwał na jej uwagę.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

– W tym mieście roi się od przekupek i sprzedawców owoców – wyjaśnił. – Zachowują część zarobku, ale wciąż mają swoich panów.

Wróciliśmy na ulicę. Odskakując na bok przed powozem, wdepnęłam w końskie łajno. Z obrzydzeniem otarłam stopę o czystsza część ulicy pokrytą piaskiem i pokruszonymi skorupami ostryg.

– Umyjesz się, kiedy dotrzemy do domu – oznajmił Lindo. – Ale w Charles Town zawsze patrz pod nogi. Zawsze.

Kiedy upewniłam się, że na kolejnym fragmencie ziemi nie czyhają na mnie żadne pułapki, znów podniosłam wzrok. Na niebie krążyły ogromne sępy, powolne i cierpliwe.

– Zabijanie tych ptaków jest niezgodne z prawem – oświadczył Lindo. – Tutejsi ludzie je cenią, bo zwierzęta usuwają gnijącą padlinę. Czyszczą nasze ulice za darmo.

– Georgia ugotować tak wielkiego ptaka w zupie z cebulą i ziemniakami.

– Georgia?

– Kobieta, która się mną opiekowała na ziemi pana Apbee'ego.

– Opiekowała się tobą?

– Tak, mister. Opiekowała się mną.

– Nie bój się mówić poprawnie, Meeno – rzucił. – I tak już wiem, że potrafisz czytać i że dobrze mówisz.

– Mam mówić tak jak pan? Mówić jak biali?

– Po angielsku – odparł. Ruszyliśmy, a on przez chwilę milczał. – Nie jestem biały. Jestem żydem, a to spora różnica. I ty, i ja jesteśmy obcy.

Miałam nadzieję, że nie ujrzy w moich oczach niedowierzania. Nie chciałam mieć kłopotów z tym mężczyzną. Minęliśmy tawernę, z której wysypywali się hałaśliwi

mężczyźni – niektórzy ze szklankami w dłoniach. Jeden z nich zwrócił się w stronę budynku i oddał mocz, nawet nie kryjąc się przed przechodniami. Przez drzwi zobaczyłam dwóch Negrów pijących z białymi mężczyznami. Wydawało mi się to niepojęte. Kobiety handlowały na targowisku, Murzyni pili z białymi, a ja byłam niewolnicą.

– Kto da dwa funty?! – zawołał jakiś głos.

Przed dużym budynkiem ujrzałam białego mężczyznę stojącego na platformie z Afrykanką odzianą w łachmany. Miała rozbiegany wzrok, a z jej ust skapywała biała piana. Zamachała ręką, próbując odpędzić od twarzy coś, czego tam nie było. Mężczyźni wykrzykiwali jakieś kwoty.

– Dwa – wrzasnął ktoś.

– Kto da pięć funtów?! – krzyknął mężczyzna na platformie. Nikt się nie odezwał. Słysząc było rechot. – Panowie, proszę. To tylko pięć funtów. Czuła opieka uzdrowi tę dziewczkę.

Obok podwyższenia znajdowała się grupa Afrykanów. Niektórzy ledwo stali, inni mieli poranione nogi, po których spływała ropa. Pięcioro z nich wyglądało tak, jakby marzyli, by śmierć zacisnęła ręce na ich szyjach. Czułam, jak przewraca mi się w żołądku i ścisza mnie w gardle. Spuściłam wzrok, żeby nie patrzeć im w oczy. Ja byłam najedzona, oni nie. Ja miałam ubrania, oni byli nadzy. Nie mogłam zrobić nic, co odmieniłoby ich los. Nie potrafiłam odmienić nawet własnego. Doszłam do wniosku, że właśnie tym jest niewolnictwo: twoja przeszłość nie istnieje, w terażniejszości jesteś niewidzialny, nie masz też wpływu na przyszłość. Moja sytuacja wcale się nie polepszyła. Nie miałam pojęcia, gdzie jest moje dziecko. Nie wiedziałam nawet, czy zmieniono mu imię. Straciłam nadzieję, że kiedykolwiek odnajdę synka. W ciągu tych pięciu lat, które spędziłam w Karolinie, straciłam o wiele więcej, niż zyskałam.

Nagle ogarnęła mnie bolesna tęsknota za Świętą Heleną. Brakowało mi dotyku Chekury i wieczornej lektury Biblii z Mamedem. Wspominałam niedzielne popołudnia, kiedy siedziałam przy kotle z zupą, otoczona zapachem ryby i warzyw, podczas gdy Georgia czesała mi włosy. Tęskniłam za nieustanną melodią cykad – w mojej wyobraźni stawały się głosami przodków, którzy mówili: „Już zawsze, zawsze, zawsze będziemy tak krzyczeć, żebyś o nas nie zapomniała”.

Podniosłam wzrok i znów spojrzałam na sponiewieranych więźniów. Przysięgłam sobie, że nie pozwolę, by hałas miasta zagłuszył ich głosy i pozbawił mnie przeszłości. Choć zapomnienie koło ból, postanowiłam patrzeć i pamiętać.

Solomon Lindo miał duży dwupiętrowy dom z drewna na King Street. Na parterze budynku prowadził biuro jako inspektor plantacji indygowca w prowincji Karoliny Południowej. Mieszkanie, które zajmował wraz z żoną, znajdowało się nad i za biurem.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie rozebrano mnie i nie poddano oględzinom, ale

wprowadzono do wielkiego domu. Lindo zostawił mnie samą. Podziwiałam duże okna, obrazy przedstawiające jego i jakąś kobietę oraz krzesła z rzeźbionymi nogami. Kiedy przyglądałam się drewnianemu stołowi ze srebrnymi wazonami, do pokoju weszła kobieta. Była wysoka, smukła, bardzo biała i starsza ode mnie najwyżej o dziesięć lat. Miała czepek na włosach i żółtą suknię z prostą spódnicą. Jej usta i nos były wąskie, oczy niebieskawe, a tęczęwki otoczone pomarańczowymi gwiazdkami. Biali ludzie mieli dziwne oczy. Pojawiał się w nich dziwny błysk koloru i nie było dwóch takich samych par. Oczy żony Solomona Linda były przyjazne. Nie wydawała się osobą, która używałaby bata.

– Witaj, Meeno – powiedziała. – Czy dobrze wymawiam twoje imię? – Miała wysoki głos przypominający głos podekscytowanego dziecka.

Przełknęłam ślinę. Była pierwszym białym człowiekiem, który znał moje imię, jeszcze zanim mnie poznał.

– Jestem pani Lindo. Cieszę się, że w końcu cię poznałam. Pan Lindo opowiadał mi, że jesteś młoda i bystra.

Nie wiedziałam, czy rozsądnie byłoby znów spojrzeć jej w oczy, więc pochyliłam głowę.

– Siadaj, proszę – powiedziała.

Usiadłam na różowym krześle z twardym oparciem, wyściełanym grubymi poduszkami.

– Jest potwornie gorąco – mówiła dalej. – Napijesz się czegoś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ona jednak mówiła tak, jakbym była jej gościem. W mojej ojczyźnie nieprzyjęcie jedzenia albo picia stanowiło największą obrazę. Przyjęłam jej propozycję. Kiedy podniosłam do ust cienką szklankę, słodycz wypełniła moje usta i chwyciła mnie za gardło, jak gdyby mówiła: „Nie pozwolimy, byś o tym zapomniała”.

– Mam nadzieję, że lubisz kordiał cytrynowy – powiedziała pani Lindo. Opowiadała o domu, o swoim życiu, o tym, jak zatłoczonym miastem jest Charles Town i jak bardzo się cieszą, że do nich dołączyłam.

Rozumiałam słowa, które wypowiadała, ale nie potrafiłam ich przyswoić. Podczas gdy mówiła o tysiącu spraw, zastanawiałam się, gdzie są wszyscy Murzyni i kiedy pokażą mi pomieszczenie, w którym mam spać.

Ogarnęła mnie ulga, gdy w progu stanęła Murzynka z wydatnym brzuchem. Zgadywałam, że urodzi za pięć miesięcy.

– A więc to ona zajmie moje miejsce? – rzuciła z mocnym kreolskim akcentem.

– Nie mów tak, Dolly – odparła pani Lindo. – Pan Lindo i ja już ci mówiliśmy, że nikt nie zajmie twojego miejsca.

– Ja mam dziecko w brzuchu, a ta ładna nowa dziewczyna przyszła, żeby zająć moje miejsce.

– Meena pomoże ci przy dziecku – wyjaśniła pani Lindo. – Pan Lindo mówi, że złapała już wiele dzieci.

Dolly z niedowierzaniem wyduła usta.

– To jagnię ma złapać moje dziecko?

Spodziewałam się, że pani Lindo zagrozi Dolly chłostą, ale ona tylko westchnęła.

– Wystarczy. Proszę, zaprowadź Meenę do jej pokoju. I bądź miła. Inaczej stracisz swoje przywileje. Nie pójdiesz na targ, nie dostaniesz dodatkowych ubrań ani wolnej niedzieli. Czy to jasne?

– Tak, psze pani – odparła Dolly i wyszła, a ja podążyłam za nią.

Za domem minęłam ogród, magnolię, kilka drzew owocowych i dąb. W głębi znajdował się dwupiętrowy drewniany budynek. Wydawał się zdolny pomieścić dwadzieścioro ludzi. Kiedy weszliśmy do środka, zauważyłam, że podłogi są pokryte drewnem. Żadnego błota, piasku ani wody pod palcami. Na niższym piętrze zobaczyłam świece i łóżko przykryte siennikiem.

– Kto tu mieszka?

– Samozatrudnieni mężczyźni, ilekroć państwo Lindowie ich potrzebują – odparła.

– Samozatrudnieni?

– Państwo Lindowie czasem płacą im za pracę. Są niewolnikami innych ludzi, ale Lindowie ich zatrudniają.

Skinęłam głową. Wydawało mi się, że rozumiem. Dolly wprowadziła mnie po schodach. Tam odkryłam pomieszczenie obszerniejsze niż te, w których do tej pory spałam.

– To mój pokój, ale od dziś też będziesz tu spać – wyjaśniła Dolly.

Na wysokości około stopy ponad podłogą ujrzałam dwa drewniane łóżka. Na pryczach leżały sienniki przykryte kocami. Pomieszczenie było tak duże, że dwie osoby mogły się tu czuć samotnie. Byłoby weselej, gdyby Georgia i dwie lub trzy inne kobiety mogły się tu śmiać i czesać sobie nawzajem włosy.

– Ja gotuję – powiedziała Dolly – i chodzę na targ. Jeśli zabierzesz mi pracę, wyrzucą mnie.

– Wyrzucą? Nie jesteś ich niewolnicą?

– Zawiozą mnie do Georgii i sprzedadzą – odparła.

– Nie martw się. Ja nie gotuję.

– Nie gotujesz? – powtórzyła z niedowierzaniem. – I to ma być kobieta? – Przyjrzała mi się uważnie i zapytała: – Jesteś Afrykanką?

– Tak.

– Czystą Afrykanką? Z Afryki? Prosto ze statku?

– Jestem z Afryki – odparłam.

– Pani Lindo powiedziała: „czysta Afrykanka” – rzuciła Dolly.

Skinęłam głową.

– Nigdy nie poznałam Afrykanki, która nie gotuje i która mówi tak naturalnie.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Lubię jeść, ale nienawidzę gotować – przyznałam.

– Gdybym nienawidziła gotować, pan Lindo by mnie wyrzucił – odparła Dolly. – Musisz być dobra w czymś innym.

Przez pierwsze tygodnie w Charles Town chodziłam z Dolly załatwiać sprawunki. Dziewczyna co rano wyruszała, żeby kupić owoce, warzywa i chleb. Lubiła załatwiać to wszystko przed nadejściem ulewy.

Kiedy szłam z Dolly zakurzonymi ulicami miasta, często musiałam odskakiwać, by nie stratowały mnie konne zaprzęgi. Charles Town cuchnęło końskim i ludzkim łajnem, ścierwem gnijącym na ulicy, ludźmi, którzy nigdy się nie kąpali, i psującym się jedzeniem rozrzuconym na ulicach lub wrzuconym do rzeki Ashley. Nie trzeba było nawet spoglądać w stronę portu ani w kierunku Wyspy Sullivana, by wyczuć obecność statku niewolniczego. Fetor zmarłych i umierających ludzi unosił się w powietrzu i był tak gęsty, że się nim dławiałam.

Kiedy załatwialiśmy w mieście interesy państwa Lindów, starałam się oderwać uwagę od zapachów, oglądając damską garderobę. Dolly nie miała na sobie szorstkiego lnu, który drapał moją skórę na Świętej Helenie. Nosiła płótno lepszej jakości, często farbowane na niebiesko lub czerwono. Ja także dostałam je od państwa Lindów. Dolly nosiła spódnicę, ja jednak wolałam motać tkaninę od państwa Lindów na modłę afrykańską, zawiązując węzeł na biodrze. Gdy pracowała w Lindotown, jak nazywała dom, nie wkładała butów ani chusty na głowę, ale nigdy nie wyszłaby na ulicę bez czerwonej przepaski we włosach, pomarańczowej chusty na ramionach i czerwonych butów z dużą mosiężną klamrą. Dolly i ja pokazywałyśmy sobie nawzajem buty we wszystkich odcieniach, fartuszki, jedwabne chusty i białe rękawiczki. Dziewczyna tak uwielbiała buty ze sprzączką, że pod poluzowaną deską w podłodze naszej oficyny trzymała zniszczone obuwie. Od czasu do czasu wyjmowała je, odkurzała i przymierzała.

Któregoś dnia wskazała na kobietę w jedwabnej spódnicy.

– Spójrz! Elegancka. Wygląda jak królowa.

– Co to jest królowa? – zapytałam.

– Nic nie wiesz o królu i królowej?

Nie wiedziałam.

– Król Jerzy i królowa Charlotta. – Dolly wypowiedziała imię królowej z mocnym kreolskim akcentem.

– Czym zajmuje się król? – zapytałam.

– Jest naczelnikiem wszystkich ludzi w kraju.

– W jakim kraju?

– W każdym kraju buckrów. Ona to naczelniczka.

Szłyśmy dalej, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Dolly. Po chwili nachyliła się do mnie i oznajmiła:

– Mówią na nią „czarna królowa”.

– Jak to?

– Ma trochę afrykańskiej krwi – wyszeptała Dolly.

Nie uwierzyłam jej. Przecież nikt nie pozwoliłby Afrykance rządzić całym krajem.

Wszyscy sprzedawcy na targu wiedzieli, że Dolly pracuje dla państwa Lindów. Warzywa i przyprawy kupowała zazwyczaj u tego samego Murzyna zwanego Jimbo. Mężczyzna siedział samotnie na stołku, który co dzień przywoził na targ swoim powozem. Jego twarz porastały włosy – potężna, gęsta plątanina włosów.

– Wygląda źle, ale to uczciwy chłop – wyjaśniła Dolly.

– Kudłaty pies – wyszeptałam do niej.

– Co dziś dla pana Linda?! – zawołał Jimbo w gullah.

– Najlepsze warzywa, jakie masz – odpowiedziała.

– Dla pana Linda mam wszystko, co najlepsze – odparł Jimbo. – Daje mi pracę. Lubię takich białych. Dam ci piżmian, fasolkę, pomidory i trzy kurze szyjki.

– Lindowie nie zjedzą twoich kurzych szyjek – odpowiedziała Dolly.

– Są dla ciebie, żebyś mnie bardziej kochała – skwitował.

– Raz kochał mnie zbłąkany kundel. – Dolly się zaśmiała i poklepała po brzuchu. – Nie trzeba mi już chłopca. Włóż te szyjki do koszyka. Ugotuję je dla siebie.

– To twoja przyjaciółka? – Jimbo spojrzał na mnie.

– Nie pytaj o jej afrykańskie imię. Nie umiem go wymówić. Nazywamy ją Meena. Jest miła. Słodka. Ale przyjechała z wybrzeża i nie odróżnia mydła od myszołowa.

– Odróżniam – powiedziałam, wtrącając się do rozmowy. – Myszołów narobił ci wczoraj na głowę, a mydłem musiałaś się umyć.

Jimbo klepnął się w uda ze śmiechem.

– Czym się zajmujesz, dziecino? – zapytał. – Co potrafisz?

– Pomagam Dolly, bo robi się wielka jak szafa.

– Dobra dziewczyna – rzucił, po czym odwrócił się do Dolly i podliczył cenę.

– Nie zajmuję się cyframi – wyjaśniła mi Dolly, a potem spojrzała na Jimbo i dodała: – Pan Lindo jutro ci zapłaci.

Kiedy opuściliśmy targowisko, zobaczyłyśmy, jak biały mężczyzna prowadzi ulicą pięciu małych Negrów. Wszyscy mieli około ośmiu lat, ogolone głowy i jasną karnację. Idąc, dzieci tańczyły, śpiewały i klaskały w dłonie. Szósty chłopiec – wyższy, większy, mniej więcej w moim wieku – siedł za nimi z tabliczką, na której napisano: „Kolorowe

pięcioraczki. Na wynajem. Na przyjęcia. Pytać o Williama Kinga z Water Street”. Ujrzałam wyprostowaną sylwetkę Williama Kinga w eleganckim stroju. Spojrzał w moją stronę, ale jego wzrok się po mnie prześlizgnął. Mężczyzna, który sprzedał mnie kiedyś Robinsonowi Appleby’emu, nie miał pojęcia, kim jestem.

Kolorowe pięcioraczki Kinga zawinęły sobie na kostkach łańcuchy, po czym wyswobodziły się z nich, tańcząc. Przerzucały między sobą pomarańczę, płasając i podskakując. Chłopcy opróżnili kieszenie i każdy z nich zaczął żonglować trzema pomarańczami. Śpiewali jakąś szaloną piosenkę, wesołą i pozbawioną znaczenia – słowa brzmiały jak mój język, ale nic dla mnie nie znaczyły: „*Bokele bokele bo. Bokele, bokele bo. Awa. Bokele bokele bo*”. Śpiewali i klaskali w dłonie, podczas gdy pomarańcze kręciły się w powietrzu. Potem odłożyli owoce do drewnianej skrzyni, pochyłili się i zaczęli chodzić i tańczyć do góry nogami, klaskając stopami tak, jakby to były dłonie.

Młody biały mężczyzna z obnażoną piersią – mniej więcej osiemnastoletni – wbiegł pomiędzy chłopców, po czym zaczął krzyczeć i tańczyć z młodszymi Negrami.

– Biali uwielbiają tych chłopców – wyjaśniła Dolly.

– Dlaczego ten biały zachowuje się jak szaleniec? – zapytałam.

– Pewnie przez rum – powiedziała. – W mieście pełno jest walczących mężczyzn, którzy piją i czekają, żeby się dostać do domu.

– Z kim walczą?

– Ze sobą. Anglicy i Francuzi zabijali siebie nawzajem. I Indian.

Pokręciłam głową. Nie umiałam sobie czegoś takiego wyobrazić. Nigdy nie widziałam, by biali mężczyźni walczyli ze sobą nawzajem.

– Biali o wszystko się biją – powiedziała Dolly. – Lindo mówił, że dawno temu biali zabijali się nawzajem tylko dlatego, że jeden z nich odciął innemu ucho. Ten, któremu obcięli ucho, miał na nazwisko Jenkins, więc nazwali to wojną o ucho Jenkinsa.

Mężczyzna prowadzący chłopców przegonił białego tancerza z nagim torsem. Patrzyłyśmy, jak pochód dociera do końca ulicy, a po chwili znika za rogiem. Dolly słyszała, że właściciel kolorowych pięcioraczków zarabiał pieniądze, wynajmując je na przyjęcia. Powiedziałam, że to dziwne, iż biali zabierają Negrów na przyjęcia.

– Biali to dziwaki – odparła Dolly. – Murzyni na ich przyjęciach muszą mieć jasną skórę. Mogą być mieszańcami, mulatami albo ćwierćmulatami. To, co lubią, jest dziwne, ale jeszcze dziwniejsze jest to, czego nie lubią.

W drodze powrotnej do domu państwa Lindów Dolly musiała się zatrzymać i odpocząć.

– Moje stopy wrzeszczą jak pastor – wyjaśniła.

Uwielbiałam to, w jaki sposób mówiła. Chociaż miała nieco inny akcent niż Georgia, i tak sprawiała, że powracałam wspomnieniami do przyjaciół ze Świętej Heleny

zgrupowanych w nocy wokół ogniska, dokładających do ognia i snujących opowieści. Urzekały mnie książki buckrów, ale byłam oczarowana także mową Negrów – językiem, dzięki któremu czułam się jak w domu. Rozpięłam Dolly kłamy.

– Twoje stopy są zbyt opuchnięte na te czerwone buty – powiedziałam z silnym akcentem gullah.

– Buty pasują, a stopy wcale nie są spuchnięte – odparła w ten sam sposób.

– Łapałam dzieci na całym wybrzeżu. Kiedy rośnie brzuch, puchną nogi.

– Taka młódka jak ty złapie moje dziecko?

– Za pięć księżyców – odpowiedziałam.

– Niech Bóg ma mnie w opiece. Zabijesz mnie jak pies zabija kota.

Państwo Lindowie jadali główny posiłek po południu. Do obowiązków Dolly należało przyrządzanie jedzenia i zmywanie naczyń, ale kiedy się z tym uporała, mogła spędzać czas dowolnie. Nie musiała pracować w soboty, ponieważ państwo Lindowie obchodzili szabat; posiłek na szabat przygotowywała poprzedniego wieczoru. Żydzi w Charles Town nauczyli jednego z niewolników dokonywać uboju zgodnie z ich wierzeniami, więc Dolly wstępowała do sklepu, w którym pracował Murzyn, by odebrać wołowinę i kurczaka. Solomon Lindo i jego żona także unikali jedzenia wieprzowiny. Może mój nowy pan miał rację, mówiąc, że jesteśmy do siebie podobni. Postanowiłam, że dopóki mieszkam w ich domu, spróbuję jeść mięso na sposób, w jaki każą je przyrządzać. Mnie i Dolly pozwalano zabierać resztki pozostałe z posiłku i jeść je w oficynie, a pani Lindo często dawała nam granaty, figi i ser.

Teren Charles Town miał kształt palca i był ograniczony dwiema rzekami – po jednej stronie Cooper, a po drugiej Ashley. Fale przyływały i odpływały dwa razy dziennie, a kiedy przychodził odpływ, odór błotnistych mielizn wzbijał się aż pod niebo w palącym słońcu. Czasem na mieliznach gniły szczątki zwierząt, a niekiedy fale wyrzucały na brzeg ciała Afrykanów lub odsłaniały je, gdy przychodził odpływ. Niezależnie od tego, jak wielkie tłumy gromadziły się przy nabrzeżu, miałam dość rozsądku, by do nich nie dołączać. Nie zniosłabym widoku kolejnych napuchniętych ciał.

Którejś soboty Lindowie pozwolili nam pójść na trwający w mieście festyn. Podobnie jak Murzyni, na których patrzyłam z takim zdziwieniem, kiedy zesłam ze statku niewolniczego, Dolly i ja wybrałyśmy się do miasta bez zamiaru ucieczki.

Na festynie oglądałyśmy tresowane niedźwiedzie i walki kogutów, a także mężczyzn siłujących się z natłuszczonymi świniami, podczas gdy widzowie krzyczeli, śmiali się i rzucali monety. Mężczyzna, który pierwszy powalił świnie na ziemię, dostawał ją w nagrodę. Dolly zdawała się odprężona, ja jednak nie czułam się swobodnie w tłumie rozwrzeszczanych i pijanych białych mężczyzn. Martwiłam się, że ich hałaśliwa radość w każdej chwili może się przerodzić w złość. Gdyby tak się stało, znalazłabym się

w pułapce, podobnie jak wtedy, gdy przebywałam na statku.

Kiedy wracałyśmy przez miasto, minęłyśmy tawernę Ślad Bachusa, na której wisiało ogłoszenie: „Biała Murzynka, szare oczy i białe włosy”. Próbowałam podejrzeć ją przez drzwi wahadłowe, ale mignęła mi tylko Murzynka o jasnej skórze pijąca przy barze z białymi mężczyznami.

– Buckrzy lubią, żeby ich Murzynki były białe – powiedziała Dolly. – Żółtawe, wybielone, tylko z domieszką Afrykanki.

Nie do końca jej wierzyłam. Pamiętałam Robinsona Appleby’ego. Poza tym na ulicach Charles Town czułam na sobie spojrzenia wielu mężczyzn. Idąc przez miasto, zwłaszcza w dni, kiedy Dolly była zbyt zmęczona, by mi towarzyszyć, musiałam zachowywać ostrożność. Choć było widno, jakiś biały mężczyzna próbował mnie złapać i zaciągnąć do tawerny. Wyrwałam mu się i uciekłam. Następnego dnia wysoki Negr na targu rybnym położył mi rękę na piersi i próbował przyciągnąć mnie do siebie za nadgarstek.

– Wejdz na moją łódź – powiedział. – Mam dla ciebie prezent.

Od niego też uciekłam.

Solomon Lindo pozwolił mi się oswoić z rozkładem dnia Dolly i poznać Charles Town. Przyzwyczaiałam się do nowych wygod. Odkąd opuściłam ojczyznę, nie spałam więcej ani nie jadłam lepiej niż w nowym domu. Któregoś razu Lindo przywołał mnie do bawialni. Powiedział, że jego żona wyszła na spotkanie z przyjaciółkami, aby porozmawiać o książkach i muzyce, ale wie, że jej mąż chce się ze mną rozmówić. Mężczyzna nalał mi do szklanki cytrynowego kordiału z trzema kostkami lodu – w te gorące, lepkie dni w Charles Town nie było nic, co dawałoby mi większą przyjemność niż lód – i znów na mnie spojrział.

– Nie mam pojęcia, jak nauczyłaś się czytać – zaczął.

Usztywniłam się nieco, siedząc na krześle z wysokim oparciem.

– Ale nie muszę tego wiedzieć. Trzymasz to w tajemnicy, a ja chciałbym, żebyś zachowała dla siebie także to, co ci powiem. Zadbam o to, abyś umiała czytać jeszcze lepiej niż teraz.

Zapytał, czy tego chcę. Skinęłam głową. Powiedział, że on i pani Lindo będą mi udzielać lekcji rachunków i pisania. Dodał, że mieszkańcy Charles Town nie patrzą przychylnym okiem na Murzynów potrafiących czytać, więc ta informacja nie będzie mogła wyjść poza mury ich domu.

– Dobrze – przytaknęłam.

– Dolly mówi, że nie lubisz gotować.

– Nie, mister.

– Nie martw się. Zaplanowałam dla ciebie coś innego. Jak się czujesz jako służąca w tym domu?

– Dobrze, panie Lindo.

– Świetnie. W takim razie chciałbym ci zacząć płacić.

– Płacić?

– W tym mieście mieszka dziesięć tysięcy ludzi, a ponad połowa z nich to Murzyni. Zacznieś łapać dzieci w Charles Town.

– Czyje dzieci?

– Dzieci murzyńskich służących – odparł. – Choć znam też kilku Żydów, którzy mogą chcieć twojej pomocy. Wpiszę cię na listę samozatrudnionych.

Przesunęłam się na brzeg krzesła.

– Samozatrudnionych?

– Rano będziesz rozliczała moje księgi. Nauczę cię, jak to się robi. A kiedy nie będziesz tym zajęta, zacznieś łapać dzieci. Z tego, co na tym zarobisz, będziesz mi płacić po dziesięć szylingów tygodniowo.

Solomon Lindo dawał mi lekcje przez dwie godziny dziennie, wcześniej rano, po czym przystępował do długiego dnia pracy. Obiecał podarować mi książkę na własność, jeśli uda mi się dowiedzieć wszystkiego o pieniądzach w Karolinie Południowej. Pokazał mi ogłoszenie, które umieścił w „South Carolina Gazette”: „Utalentowana położna. Posłuszna, rozumna gwinejska dziewczka. Do wynajęcia. Pytać u Solomona Linda z King Street”.

– Co znaczy „położna”? – zapytałam go.

– To kobieta, która łapie dzieci.

– A co oznacza „dziewka”?

– Kobieta – odparł.

– Czy pani Lindo to dziewczka?

Mężczyzna się wyprostował. Potarł dłonie i spojrzał mi w twarz.

– Pani Lindo to dama.

– Nie jestem z Gwinei – powiedziałam nagle. Zdziwiłam się, słysząc gniew we własnym głosie. Skoczyłam na równe nogi, przewracając kałamarz. – I nie jestem dziewczką. Urodziłam dziecko i wciąż bym je miała, ale pan Appleby je porwał. Nie jestem dziewczką. Jestem żoną. Jestem matką. Czyż nie jestem kobietą?

Lindo podniósł kałamarz i osuszył plamę atramentu. Uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

– To tylko słowo do gazety. Uspokój się. Będę go unikał, jeśli cię obraża. Ale dlaczego nie podoba ci się Gwinea? – Spoglądał na mnie pogodnie. Zdawał się świetnie bawić.

Nie podobało mi się to, w jaki sposób jego wzrok zatrzymał się na moim ciele.

– Gwinea nic dla mnie nie znaczy, więc jak mogłabym stamtąd pochodzić? Jestem z Bayo. To moja wioska. Słyszał pan o niej?

– To duży, ciemny kontynent. Wcale go nie znam. Nikt go nie zna. Dość tych pogaduszek, Meeno. Czeka nas dużo pracy.

Rejestr był spisem posiadanych dóbr. Prowadzenie księgi rachunkowej polegało na spisywaniu tego, co się wydało, i tego, co się zarobiło. I tu sprawa nieco się komplikowała. Lindo mówił, że można coś dostać na dwa sposoby. Jednym z nich było zapłacenie za jakiś towar przez zaoferowanie czegoś w zamian.

– Tak jak Georgia dostaje rum lub tkaninę za łapanie dzieci – powiedziałam.

– Właśnie dlatego cię kupiłem – odparł Lindo. – Wiedziałem, że szybko to pojmiesz. Kiedy zobaczyłem bystrość w twoich oczach, nabrałem ochoty, by cię wydzwignąć.

– Wydzwignąć?

– Dać ci szansę na to, byś mogła używać talentów, które otrzymałaś od Boga.

Nigdy wcześniej biały człowiek nie mówił do mnie w ten sposób. Nie ufałam mu.

– Wyznajesz jakąś religię, Meeno?

– Mój ojciec modlił się do Allaha – powiedziałam. – Uczyłam się od niego.

– Więc ty jesteś muzułmanką, a ja żydem. Widzisz, wcale tak bardzo się nie różnimy – wyjaśnił.

Bawiłam się piórem i kałamarzem. Nie miałam ochoty patrzeć mu w oczy. Ale Solomon Lindo mówił dalej:

– Nasze religie wywodzą się z podobnych ksiąg. Twój ojciec miał Koran, a ja mam Torę.

Zdumiało mnie to, że Solomon Lindo znał tytuł księgi, którą ojciec pokazał mi w Bayo.

– W mojej religii uważa się, że należy ofiarować drugiej osobie to, czego potrzebuje, by zyskać niezależność i dać sobie radę na tym świecie.

„Więc dlaczego mnie nie uwolniłeś?” – zastanawiałam się.

Musiał wyczuć chłód w moich oczach, bo nagle się odwrócił i kontynuował lekcję.

Lindo wyjaśnił, że mogę wymienić towar na inny albo zapłacić za niego miedzianymi, srebrnymi lub złotymi monetami. Czułam się zdezorientowana. Wydawało mi się bez sensu, że ktoś woli otrzymać bezużyteczną metalową monetę zamiast pięciu kurczaków i tercji kukurydzy. Lindo włożył mi kilka monet do lewej dłoni i powiedział, bym wyobraziła sobie, że w prawej ręce trzymam żywego kurczaka. Kazał mi sobie wyobrazić, że idę na targ tylko z tymi dwiema rzeczami. Powiedział, że handlarz pomarańczami z radością przyjmie moje monety, ale tylko osoba, która potrzebuje kurczaka, przyjmie go jako zapłatę.

– A co, jeśli monety staną się bezużyteczne? – zapytałam. – Ludzie zawsze będą chcieli kurczaka, ale czy zawsze będzie im potrzebny brzydki metalowy krążek? Jest pozbawiony uroku i nie można go zjeść. Gdybym to ja sprzedawała pomarańcze, wybrałabym kurczaka.

Lindo postukał o blat.

– To nie temat do dyskusji, tylko lekcja. Możemy kontynuować?

Skinęłam głową.

Zajęliśmy się rachunkami. Jeden szyling plus drugi to w sumie dwa szylingi. Dwa plus

dwa dawało cztery. Lindo szybko przesuwiał monety po stole. Za jednego szylinga mogłam kupić dziesięć jaj. Za pięć mogłam ich kupić pięćdziesiąt. Co rano sześć dni w tygodniu przez dwie godziny powtarzaliśmy arytmetykę. Kiedy nauczyłam się dodawać i odejmować, mnożenie i dzielenie przyszło mi bez większego trudu. Solomon Lindo sprawiał, że mój umysł galopował jak koń, a ja uwielbiałam wyzwanie, jakim było przyswajanie jego słów.

Kolejna lekcja u Lindo dotyczyła wszystkich monet krążących po Charles Town. Jedną z nich była hiszpańska moneta o wartości ośmiu reali, powszechnie zwana dolarem. Nie była brytyjska, ale srebro to srebro. Stanowiła jedną z najpopularniejszych monet w Karolinie. Lindo pokazał mi hiszpańskiego dolara, którego pocięto na kawałki. Używano ośmiu trójkątnych kawałków, ponieważ nie było wystarczająco wielu drobnych monet. Lindo powiedział, że dolar hiszpański ma wartość sześciu szylingów, i zaczął mi tłumaczyć związki pomiędzy pensami, szylingami, koronami, funtami i gwineami. Wy tłumaczył, że istnieją monety miedziane i srebrne, ale gwinea jest zrobiona ze złota.

– Gwinea? – powtórzyłam. – Takim samym słowem nazwał pan moją ojczyznę.

Lindo wyjaśnił, że nazywa się je gwineami, ponieważ bije się je ze złota pozyskiwanego z Etiopii.

– Skąd? – zapytałam.

– Z twojego kraju.

– Myślałam, że nazywa go pan Gwinea.

– Różnie na niego mówimy – wyjaśnił. – Gwinea, Etiopia, Negritia, Afryka. Wszystkie słowa oznaczają to samo.

– A tę dużą złotą monetę nazwaliście na cześć Afryki?

– Gwineę. Jest warta dwadzieścia jeden szylingów.

Otworzyłam usta. Buckrzy zabierali z mojej ojczyzny złoto i ludzi i używali pierwszego, by kupować i sprzedawać drugie.

Tego dnia nie miałam już ochoty uczyć się niczego nowego i odetchnęłam z ulgą, kiedy lekcja dobiegła końca. Gdy wstaliśmy, żeby opuścić gabinet, Lindo powiedział:

– Zarobisz duże pieniądze. A ja zadbam o to, byś była ciepło ubrana i byś nie chodziła głodna. Będiesz traktowana lepiej niż jakikolwiek Murzyn z twojego kraju, mogę ci to zagwarantować.

– Pochodzę z Bayo i urodziłam się wolna – wyszeptałam.

Solomon Lindo usiadł.

– Słucham?

– Jestem urodzoną na wolności muzułmanką.

– Cóż, ja urodziłem się w Anglii. Ale teraz jesteśmy w koloniach.

Skrzyżowałam ramiona.

Spoglądał na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Będziesz miała dość wolności. Będziesz mogła zarobić dodatkowe pieniądze jako położna. A ja odbiorę należny mi procent. Wydałem na ciebie fortunę.

Byłam zaskoczona sarkazmem, który pojawił się w mojej wypowiedzi.

– A wydał ją pan w monetach czy kurczakach?

Lindo był wstrząśnięty. Być może nie miał zamiaru tolerować takich słów. Zastanawiałam się, czy nie czeka mnie sroga chłosta. Ale mężczyzna potrząsnął głową, pogładził brodę i wybuchł śmiechem. Pierwszy raz powiedziałam coś, co rozśmieszyło białego człowieka. Ale dla mnie wcale nie było to zabawne.

Lindo sprawdzał mnie przez kilka dni, aż w końcu uznał, że opanowałam wszystkie wiadomości dotyczące arytmetyki i monet. W prezencie podarował mi książkę zatytułowaną *Podróż Guliwera* Jonathana Swifta. Mój wzrok padł na słowa:

Położywszy się na trawie, która była bardzo niska i miękka, usnąłem smaczniej niż kiedykolwiek w życiu [...]. Gdy się obudziłem, chciałem wstać, ale nie mogłem. Leżąc na wznak, spostrzegłem, że moje ręce i nogi były do ziemi przymocowane, tak samo i włosy, które miałem długie i gęste^[1].

Natychmiast poczułam chęć, by przeczytać tę książkę.

– Wydaje się tak ciekawa jak Księga Wyjścia – powiedziałam mu.

– Skąd o niej wiesz? – zapytał.

Wyjaśniłam, że na Wyspie Świętej Heleny czytywałam Biblię.

– Czy wiesz, że wszyscy mówimy o exodusie? – rzucił.

Wypowiadanie zbyt wielu słów wydawało mi się nierozsądne, ale nie mogłam się powstrzymać, by nie zadać pytania:

– Co ma pan na myśli?

– To, że żydzi, muzułmanie i chrześcijanie mają w swoich księgach opowieść o exodusie – oznajmił. – Izraelici to mój lud, a exodus opowiada o naszej ucieczce z niewoli.

Uważnie go słuchałam i zastanawiałam się nad tym, co powiedział. To odkrycie było fascynujące, a jednocześnie niezrozumiałe. Czy Lindo mógł mi wytłumaczyć, dlaczego chrześcijanie i żydzi brali muzułmanów do niewoli, skoro wszyscy mieli tego samego Boga i wszyscy świętowali ucieczkę Hebrajczyków z Egiptu?

Zastanawiałam się, ile za mnie zapłacono i kto nakazał mnie przywieść do tej ziemi. Jaki związek mają czarni ludzie porwani w Bayo z chrześcijanami i żydami, którzy handlowali niewolnikami w Karolinie Południowej? Wcześniej świat buckrów nabierał sensu, ale teraz stawał się coraz bardziej niezrozumiały. Odpowiedzi rodziły tylko kolejne pytania.

Lindo przerwał moje rozmyślenia.

– Mam przecucie, że Afrykanin może się nauczyć wszystkiego, jeśli tylko da się mu

szansę – powiedział. – Więc przeprowadźmy eksperyment i sprawdźmy, ile się nauczysz.

Nakrył dłoń drugą. Mój wzrok padł na pierścień połyskujący na jego palcu. „Gwinea – pomyślałam. – Gwinejskie złoto. Wykorzystaj mnie, jeśli musisz, ale ja wykorzystam ciebie”.

Jako oficjalny inspektor plantacji indygowca w prowincji Karoliny Południowej Solomon Lindo miał różne źródła dochodu. Nie otrzymywał pensji, ale Izba Zgromadzeń wypłacała mu pięćset funtów rocznie i kazała obliczać, ile funtów indygo wysyła się do Anglii, a plantatorzy płacili mu za to, by dokonywał oceny ich błota z indygo i radził, jak je udoskonalić. Ja prowadziłam jego księgi, przypominałam o płatnościach, a w wyniku ogłoszenia, które Lindo umieścił w „South Carolina Gazette”, raz lub dwa razy w tygodniu proszono, bym łapała dzieci w Charles Town i okolicach. Lindo dał mi pieniądze na płócienną torbę i lecznicze zioła oraz inne produkty, które kupiłam od straganiarza na targu. Aby udowodnić, że mam prawo poruszać się po mieście jako samozatrudniona, i aby uniknąć zaczepki lub aresztowania przez buckrów, musiałam przypiąć do stroju sześciokątny blaszany znaczek z moim imieniem i rokiem: „Meena 1762”.

Na targu kupiłam kwiaty czarnego bzu i udusiłam je w smalcu, żeby smarować nimi ukąszenia roztoczy – insektów gnieźdzących się w oplątwie zwisającej z dębów. Kupiłam korzeń bawełny, ponieważ czasem należało powstrzymać dziecko od wzrastania w kobiecie – w taki sposób uratowała mnie Georgia po napaści Robinsona Appleby’ego. Kupiłam korę z drzewa dzikiej czeremchy, którą zamierzałam namoczyć w ciepłej wodzie, by pomóc kobietom cierpiącym na zbyt silne comiesięczne krwawienia. Nabyłam też korę korzenia juremy i liście agawy na ugryzienia grzechotnika, ponieważ czasem ludzie skarżyli się na nie, kiedy przychodziłam pomagać kobiecie urodzić dziecko. Napar z jeżyny pomagał na bóle brzucha i biegunkę, a herbata z sasafrasu lekarskiego potrafiła wyleczyć ślepotę. Z derenia, kory wiśni i kory czerwonego dębu można było zaparzyć herbatę na gorączkę, która nękała Negrów pracujących w przesyconym wilgocią bagiennym powietrzu.

Kiedy już zebrałam zioła i korzenie, zaczęłam łapać dzieci niewolników w mieście. Nauczyłam się negocjować z ich właścicielami odważnie niczym handlarka ryb. Musiałam oddawać Solomonowi Lindowi dziesięć szylingów tygodniowo, więc zaczęłam żądać po dwanaście szylingów za złapanie dziecka. Zawsze starałam się odkładać kilka wypłat pod poluzowaną deską w podłodze pokoju, w którym spałam z Dolly. Czasem nie zarabiałam nic przez cały tydzień, kiedy indziej wołano mnie kilka razy w tym samym tygodniu i przynosiłam do domu nawet dwa funty. Panowie niekiedy odmawiali mi zapłaty w monetach, ale jedynym innym wynagrodzeniem, jakie przyjmowałam, była madera, rum, tytoń i bawełna dobrej jakości. Wiedziałam, jaka ilość tych towarów jest warta dwanaście szylingów, i z łatwością mogłam je wymienić na to, czego akurat potrzebowałam.

*

Kiedy Lindo wyszkolił mnie z arytmetyki, znajomości monet i prowadzenia rejestru, jego żona zaczęła mnie uczyć sztuki pisania. Pani Lindo cieszyła się moją obecnością i była łagodną nauczycielką. Pokazywała mi, jak pisać równym, płynnym pismem, sprawdzała, czy umiem literować, i nauczyła mnie, jak tworzyć słowa i zdania. Pragnęłam nauczyć się rzeczy, które przed laty pokazał mi ojciec, więc chłonełam wszystkie jej wskazówki. „Pies”. „Kość”. „Kot”. „Drzewo”. „Pies ugryzł kość”. „Kot wdrapał się na drzewo”. To było proste. I porywające. Zaczęłam robić postępy, a pani Lindo zostawiała mnie samą, żebym ćwiczyła pisanie. „Na targu rybnym okoń kosztował szylinga”. „W przyszłym roku produkcja indygo wzrośnie. Któregoś dnia wrócę do domu”.

Kiedy pani Lindo uznała, że jest zadowolona z mojego pisania, zaczęłam pisać listy w interesach dla jej męża:

Wielmożny Panie Williamie Kingu, zalega Pan z opłatą Solomonowi Lindowi, inspektorowi plantacji indygowca w prowincji Karoliny. Należy mu się 55 funtów szterlingów za konsultację w sprawie produkcji indygo i 20 funtów szterlingów za inspekcję. Opłatę należy wnieść u Solomona Linda na King Street. Do zaległych opłat doliczane jest 10% rocznie. Pański uniżony sługa Solomon D. Lindo.

Kiedy w ciągu następnych miesięcy oddawałam regularnie Solomonowi Lindowi dziesięć szylingów tygodniowo, pozwolono mi czytać coraz więcej książek, które Solomon Lindo przynosił mi z Towarzystwa Bibliotecznego Charles Town. Przeczytałam wszystkie książki Jonathana Swifta. Przeczytałam Voltaire’a. A także *Wrak* Williama Falconera. A kiedy w sypialni, którą dzieliłam z Dolly w oficynie, do późna w nocy paliła się świeca, czytałam kolejne numery „South Carolina Gazette”, zatrzymując wzrok na ogłoszeniach o zbiegłych niewolnikach.

Krzepka murzyńska dziewczka z Gwinei uciekła w zeszłą środę z Goose Creek w nowym lnianym stroju i chuście oraz w czarnej przepasce w paski na głowie, nierozumna, z policzkami dziobatymi po ospie. Dziesięć funtów nagrody za zwrócenie jej właścicielowi Randolphowi Clarkowi.

Z czasem udało mi się kupić w Charles Town piękną czerwoną przepaskę, chustę w kolorze indygo i sakiewkę kory chinowca, a i tak zostało mi dziesięć funtów w srebrze. Choć państwo Lindowie nigdy mnie nie zbili, bardzo tęskniłam za Georgią i Chekurą, a Mamadu był stale obecny w moich myślach.

Któregoś wieczoru złapałam dziecko jednej z niewielu wolnych Murzynek w mieście. Matka była tylko trochę starsza ode mnie, a kiedy poród dobiegł końca, jej mężczyzna wpadł do pokoju, żeby ją uściskać i przytulić dziecko. Gdy wróciłam do domu, Dolly spała z ręką na napęczniałym brzuchu. Usiadłam na skraju łóżka, ukryłam twarz w dłoniach i pozwoliłam, by wylała się ze mnie cała rozpacz. Dolly obudziła się, gdy łkałam.

– Co się dzieje, dziecino?

Jej głos był tak przepełniony współczuciem, że zaczęłam płakać jeszcze mocniej. Dolly podniosła się z łóżka i objęła mnie ramieniem.

– Któregoś dnia twój mężczyzna wróci i zaczniecie wszystko od nowa – pocieszała mnie.

Kilka miesięcy później pomogłam przyjść na świat synowi Dolly, Samuelowi. Cała nasza trójka mieszkała razem w oficynie. Dziecko podróżowało na plecach Dolly, kiedy kobieta krzątała się po domu, a w nocy spało w jej łóżku. Dobrze było doświadczać nowego życia w naszej oficynie, ale ogarniał mnie ból, kiedy słyszałam, jak Samuel ssie i gaworzy.

Państwo Lindowie byli tak zadowoleni z doniesień o złapanych przeze mnie dzieciach, że kiedy nadszedł czas, żeby pani Lindo urodziła pierwsze dziecko, wzięła mnie na bok, by porozmawiać ze mną na osobności.

– Słyszeliśmy, że tutejszy lekarz upuszcza kobietom krwi podczas porodu – wyszeptwała.

Pomogłam więc pani Lindo wydać na świat zdrowego chłopca o imieniu David. Ku mojemu zaskoczeniu państwo Lindowie obrzezali chłopca, tak jak nakazywał zwyczaj w Bayo. Kilka tygodni później poprosili mnie do bawialni, poczęstowali kordialem i zapytali, czy chciałabym otrzymać jakiś podarunek.

– Podarunek? – powtórzyłam.

– Chcemy ci podziękować za to, że tak nam pomagasz – odparła pani Lindo.

Przez chwilę się namyślałam. Zapytałam, czy mogłabym zobaczyć mapę świata.

– Dlaczego chcesz ją zobaczyć? – spytał pan Lindo.

– Przeczytała tuziny książek – wtrąciła się jego żona. – Robi wszystko, o co ją poprosimy. Nie widzę w tym nic zdrożnego.

– Czego chcesz się dowiedzieć? – zapytał.

– Nie wiem, skąd pochodzę – odparłam.

– Przybyłaś z Afryki. Przeprawiłaś się przez morze. A teraz jesteśmy w Charles Town. Już to wiesz.

– Tak, ale nie rozumiem, gdzie leży Karolina Południowa w stosunku do mojej ojczyzny.

Pan Lindo westchnął.

– Nie uważam, by to było potrzebne.

– Solomonie – powiedziała pani Lindo, kładąc mu dłoń na kolanie. – Zabierz ją do biblioteki Charles Town. Pozwól jej obejrzeć mapy.

Pan Lindo zerwał się z kanapy i przewrócił szklanę.

– Musiałem się płaszczyć, żeby przyjęli mnie do Towarzystwa – krzyknął.

– Solomonie, proszę cię. – Pani Lindo westchnęła.

Wyjęłam szmatkę z jej rąk, żeby zetrzeć plamę, i nie podnosiłam wzroku. Pan Lindo kilkakrotnie wspominał, że Żydzi byli niewolnikami w starożytnym Egipcie i że jego przodków wypędzono z Hiszpanii. Powiedział mi, że Żydzi i Afrykanie mogą się

zrozumieć, ponieważ oba narody pochodzą z zewnątrz. Jednak nawet jeśli ten mężczyzna wolał używać słowa „służąca” niż „niewolnica”, był moim właścicielem, a także właścicielem Dolly i jej synka. Miał duży dom w mieście i robił interesy na całym wybrzeżu. Nosił eleganckie stroje i chodził tam, gdzie mu się podobało. Gdyby chciał, mógłby popłynąć do Londynu następnym statkiem.

Myślałam, że pan Lindo wstydzi się tego, iż stracił nad sobą panowanie, ale on nie mógł się uspokoić.

– Jestem dość dobry, by być inspektorem ich indygo, ale czy mogę głosować w ich wyborach? Anglikanie nie chcą mnie nawet w radzie biblioteki.

Wciąż spoglądałam na swoje dłonie, ale usłyszałam drzenie w głosie pana Linda.

Pani Lindo chwyciła dłoń męża i pociągnęła go w dół, by spoczął obok niej.

– Nikt nie musi się płaszczyć – powiedziała spokojnie, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie musisz prosić o wypożyczenie mapy. Po prostu idź ją obejrzyć do biblioteki.

– A co z Meeną? – zapytał.

– Weź ją ze sobą. Jest twoją służącą. – Pani Lindo zachichotała. – Zabierz ze sobą wachlarz, Meeno. Zajmiesz się oganianiem pana Linda od much, kiedy będzie oglądał mapę.

Towarzystwo Biblioteczne Charles Town przechowywało księgi i mapy w budynku przy Union Street. Kustosz siedział za biurkiem przy wejściu. Spojrzał na mnie przelotnie i odwrócił wzrok, jak gdyby ujrzał coś wstrętnego.

– Ach, panie Lindo – powiedział. – Obawiam się, że nie wpuszczamy tu Murzynów.

– Panie Jackson, czyż pański brat nie handluje indygo?

Bibliotekarz ostrożnie zamknął leżącą na biurku książkę.

– Jestem pewien, że tym razem nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, panie Lindo.

– Świetnie. Potrzebujemy kilku książek Voltaire’a i najnowsze mapy świata.

Bibliotekarz podprowadził nas do stołu w przeciwnym końcu pomieszczenia, przyniósł nam dwie książki Voltaire’a i kilka zwiniętych w rulon map, po czym zostawił nas samych.

– Wyjmij wachlarz – nakazał Lindo.

– Przecież on nie patrzy.

– I tak nas powachluj – odparł. – Gorąco tu.

Kiedy go wachlowałam, Solomon Lindo odwiązał sznurek zawinięty wokół dużego zwoju.

– Nigdy nie widziałam tylu książek – powiedziałam, rozglądając się. Żałowałam, że kobietom i Negrom nie wolno było korzystać z biblioteki.

– Mają tu tysiąc tomów – wymamrotał Lindo. – A ja ufundowałam połowę z nich.

– Gdzie jesteście? – zapytałam, wskazując na mapę.

– To Brytyjska Ameryka Północna – odparł, wskazując wielką połąć ziemi.

Na skraju lądu, tuż przy potężnej błękitnej plamie zwanej Oceanem Atlantyckim, Lindo postawił palec przy kropce opatrzonej nazwą „Charles Town”.

– A tu leży Afryka – dodał.

Po drugiej stronie niebieskiego morza zobaczyłam bryłę o dziwnym kształcie, szerszą na górze, zaokrągloną w środku i zwężającą się ku dołowi.

– Skąd pan wie?

– Jeśli dobrze się przyjrzyysz, dostrzeżesz litery. Widzisz? A-F-R-Y-K-A.

– To mój kraj? Kto powiedział, że ma taki dziwny kształt?

– Kartografowie, którzy robią mapy. Handlarze żeglujący po świecie. Brytyjczycy, Francuzi i Holendrzy, którzy podróżują do Afryki, żeglują wzdłuż wybrzeża i nanoszą kształt kontynentu na mapę.

Zatrzymałam się nad widocznymi na pergaminie zawijasami w kształcie pozbawionych podstawy trójkątów. Lindo powiedział, że symbolizują góry. Na środku kraju zwanego Afryką znajdowały się naszkicowane sylwetki lwa i słonia. Zauważyłam, że ziemia jest w większości otoczona morzami. Ale mapa nie pokazywała mi, skąd pochodzę. Nie było na niej Bayo, Ségou ani Joliby. Nic nie przypominało tu mojej ojczyzny.

– Po tej stronie wody znajduje się Brytyjska Ameryka Północna – powiedziałam, wskazując na nią palcem. – Widzę napis Charles Town i to, gdzie jesteśmy. Ale na Afryce nie ma nazw miast. Oznaczono tylko te miejsca wzdłuż wody. Przylądek Verde. Przylądek Mesurado. Przylądek Palmas. Skąd mamy wiedzieć, gdzie znajdują się wioski?

– Wioski są nieznane – wyjaśnił Lindo.

– Wędrowałam przez nie. Wszędzie mieszkają ludzie.

– Są nieznane tym, którzy tworzyli tę mapę. Spójrz na róg, gdzie widnieje data: 1690. To egzemplarz mapy sporządzonej siedemdziesiąt dwa lata temu. Wtedy wiedziano jeszcze mniej.

Czułam się oszukana. Teraz, kiedy umiałam już tak dobrze czytać, cieszyła mnie perspektywa odnalezienia własnej wioski na mapie. Ale żadnej nie widziałam – ani swojej, ani innej.

– To wszystko? – zapytałam.

Solomon Lindo spojrział na zegarek i powiedział, że mamy czas na jeszcze jedną mapę. Ta druga, zwana mapą Afryki, była opatrzona opisem: „Poprawiona o najświeższe i najważniejsze spostrzeżenia”. Spojrzałam na datę: 1729. Miałam nadzieję, że będzie lepsza od poprzedniej. Rysunek przedstawiał ziemię w kształcie grzyba o wysuniętej w bok nóżce. Na górze zobaczyłam słowa „Pustynia Barbarii lub Zaara”, poniżej „Negroland”, a jeszcze niżej, wzdłuż wijących się łukowatych wybrzeży części zwane „Wybrzeże Niewolników”, „Złote Wybrzeże”, „Wybrzeże Kości Słoniowej” i „Wybrzeże Pieprzowe”.

W miejscu gdzie ziemia stykała się z wodą, drobnym pismem nabazgrano jakieś słowa, ale w głębi lądu znajdowały się przede wszystkim szkice słoni, lwów i kobiet z obnażonymi piersiami. W jednym z rogów mapy ujrzałam rysunek przedstawiający afrykańskie dziecko leżące pod drzewem obok lwa. Nigdy nie widziałam czegoś tak absurdalnego. Żadne dziecko nie byłoby tak głupie, by spać z lwem. W innym rogu widniał szkic mężczyzny, który trzymał na ramieniu zwierzę z długim ogonem.

– Co to jest? – zapytałam.

– Małpa – odparł Lindo.

Ta „Mapa Afryki” nie przedstawiała mojej ojczyzny. Przedstawiała wymysły białego człowieka.

– Brakuje tu kilku szczegółów – przyznał Lindo – ale teraz poznałaś kształt Afryki.

Powiedziałam, że dość już widziałam. Po tych wszystkich książkach, które przeczytałam, i po tym wszystkim, czego się nauczyłam o zwyczajach białych w Karolinie Południowej, teraz jeszcze mocniej czułam, że ci ludzie wcale mnie nie znają. Wiedzieli, jak przy płynąć okrętami do mojej ojczyzny. Wiedzieli, jak mnie stamtąd zabrać. Ale nie mieli pojęcia, jak wygląda moja ziemia, kto w niej mieszka ani w jaki sposób żyje.

W drodze powrotnej do domu czułam rozpacz. Nie dość, że straciłam syna i męża, to jeszcze miałam wrażenie, że nigdy nie odnajdę drogi do domu. Nie chciałam iść w ślady zbiegłych niewolników, szukających schronienia u Indian lub Hiszpanów na południu. Ukrywając się na bagnach albo w lasach, nie znalazłabym się bliżej Afryki. Postanowiłam więc dalej słuchać, uczyć się i czytać. Miałam nadzieję, że któregoś dnia zrozumie świat białego człowieka na tyle dobrze, by wiedzieć, jak go opuścić.

Więści od mamki przychodzą zbyt późno

Lata mijały, a ja wciąż byłam samozatrudnioną położną, jednak straty w moim życiu rosły. Po tym jak sprzedano mnie państwu Lindo do Charles Town, już nigdy nie zobaczyłam Georgii, a któregoś dnia wyłowiłam z sieci smutną wiadomość: pewnej nocy Georgia z nieznanych przyczyn umarła we śnie. A Fombę, mojego przyjaciela z wioski, zabił nocny wartownik. Którejś nocy Fomba łowił ryby w swojej łodzi, kiedy buckra kazał mu się przedstawić. Fomba nigdy nie odzyskał mowy. Wartownik strzelił mu w głowę. Zamiast nauczyć się nie zważać na rozczarowania, odkryłam, że jedno cierpienie zadane mojemu sercu sprawia, iż kolejne boli jeszcze bardziej.

Jesienią 1774 roku, niemal trzynaście lat po tym, jak zamieszkałam z państwem Lindami, epidemia ospy zabrała panią Lindo, Dolly, ich synów i około dwustu mieszkańców Charles Town. Solomon Lindo i ja byliśmy zrozpaczeni i prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedy pan mijał mnie w progu domu, zazwyczaj w towarzystwie mężczyzny z synagogi, zachowywał się tak, jakby mnie nie widział.

Był pogrążony w rozpacz, ale miał przyjaciół, którzy go odwiedzali i przynosili mu jedzenie – mnie nie miał kto pocieszyć po stracie. Murzynom nie wolno było się odwiedzać w oficynach, a przyjaciele, których poznałam przez lata, w większości zniknęli – wyjechali tam, dokąd ich właściciele chcieli pojechać, lub zmarli na gorączkę bądź ospę.

Nie mogłam przestać myśleć o Dolly i jej synu. Byli moimi najwierniejszymi towarzyszami przez te długie lata w Charles Town. Dolly troszczyła się o mnie jak matka, gotowała mi posiłki i prała ubrania, a ilekroć podarowałam jej coś, co dostawałam w podziękę za pomoc przy porodzie – miniaturowe puzderko z drzewa wiśniowego czy małą butelkę zachodnioindyjskiego rumu – jej twarz rozjaśniała się dziecięcą radością. Trzymała buteleczkę razem ze starymi butami z klamrą, które wciąż oglądała, jak gdyby odwiedzała starych przyjaciół.

Dolly była niezwykle dumna, widząc, że czytam i piszę. Czasem w nocy, kiedy czytałam książki w naszej oficynie, kładła się obok mnie i zasypiała z ręką na moim ramieniu. Nigdy nie otworzyła książki, ale lubiła siadywać obok i patrzeć, jak uczę czytać jej syna Samuela. Dzięki naszym nocnym lekcjom w wieku dziesięciu lat chłopiec dobrze opanował sztukę czytania.

– Dałaś mu jedyną rzecz, jakiej ja nie mogę mu dać – powiedziała Dolly.

Równie bolesna była dla mnie utrata pani Lindo. Przez te wszystkie lata służby nigdy nie podniosła na mnie ręki. Ufałam jej bardziej niż jakiemukolwiek białemu człowiekowi,

a jej syna Davida pokochałam jak własne dziecko. Kiedy Dolly, Samuel i David umarli, pani Lindo także zapadła na gorączkę. Całe jej ciało pokryło się krostami, te na piętach i dłoniach sprawiały jej nieopisany ból. Opiekowałam się nią, ale widziałam, że pęcherze znajdują się blisko siebie i zlewają się na jej twarzy, szyi i plecach, wiedziałam więc, że nie zostało jej wiele czasu na tym świecie.

Po jej śmierci płakałam przez tydzień. Nie wolno mi było uczestniczyć w szwie ani rozmawiać z kimkolwiek w domu o tym, jak bardzo kochałam panią Lindo; mogłam się pożegnać, jedynie odkurzając i gładząc każdą z książek, które podarowała mi przez lata. Dawno temu nabrała zwyczaju darowania mi jednej książki na miesiąc wraz z butelką oleju z wieloryba do lampy naftowej. W rogu pokoju w oficynie ułożyłam książki w trzynaście stosów – po jednym na każdy rok spędzony u niej na służbie. Były bezpieczne, bo żaden biały nigdy nie wchodził do mojej sypialni. Zbudowałam sobie własną bibliotekę i czytywałam w długie, samotne noce, kiedy Dolly i Sam spali.

Dopóki nie opuściłam sypialni pani Lindo po raz ostatni, nie wyobrażałam sobie, bym mogła lamentować po śmierci białego człowieka. Nie sądziłam, że moje serce potrafi krwawić z żalu po nim.

Ludzie z synagogi odwiedzali Solomona Linda każdego dnia przez tydzień i przychodzili niemal codziennie jeszcze przez miesiąc. Kobiety przynosiły jedzenie, a siostra pana Linda – niska szorstka kobieta o imieniu Leah, która zdawała się urażona samą moją obecnością – często robiła obchód domu.

Po kilku tygodniach po śmierci pani Lindo ja i pan Lindo znaleźliśmy się na chwilę sam na sam.

– Ci wszyscy ludzie wokół... – powiedział. – Nie można tu oddychać.

On przynajmniej miał ludzi, z którymi mógł się łamać chlebem i płakać. Ja nie miałam nikogo.

Dla mieszkańców Charles Town nadeszły ciężkie czasy. Jeszcze nigdy nie było tak trudno o monety, a rząd brytyjski ustanowił prawo zabraniające używania w Karolinie Południowej papierowych banknotów. Ludzie byli tak źli na to, że Brytyjczycy kontrolowali spedycję i sprzedaż herbaty, że jej ogromne ilości gniły w dokach Charles Town, a biali odmawiali spożywania jej we własnych domach. Lindo i jego przyjaciele winą za swoje problemy obarczali Brytyjczyków i grozili, że jeśli sytuacja się nie poprawi, wywołają wojnę. Lindo powiedział mi, że indygo z Karoliny nie osiąga nawet połowy ceny indygo z Gwatemali czy Francuskich Indii Zachodnich, a właściciele plantacji zastanawiali się nad zaprzestaniem uprawy indygowca i zasadzeniem innych roślin. Co gorsza, ludzie żyli w ciągłym strachu i podenerwowaniu, obawiając się gorączki, kiły i ospy. Mieszkańcy Charles Town często bali się wymieniać uściski dłoni, a nawet opuszczać swój dom. Przez jakiś czas władze miasta chciały zapobiec epidemii, nie

pozwalając na to, by do Wyspy Sullivana zawijały statki z niewolnikami.

W styczniu 1775 roku, kilka miesięcy po tym, jak w mieście przetoczyła się epidemia ospy, Solomon Lindo powiadomił mnie, że wyjeżdża na miesiąc do Nowego Jorku w interesach i że ma nadzieję przekonać brytyjskich urzędników, by poparli przydzieloną przez parlament pomoc finansową dla producentów indygo z Karoliny. Powiedział, że błoto indygo sprzedaje się tak źle na międzynarodowych rynkach, iż produkcja w Karolinie może upaść, jeśli brytyjska zapomoga zostanie zmniejszona lub zniesiona.

Gdy Lindo wyjechał, do domu wprowadziła się jego siostra Leah. Kobieta jadła posiłki w samotności, a o mnie nie dbała.

– Nie ma jedzenia – powiedziałam jej nazajutrz po tym, jak Lindo wypłynął z portu.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś samozatrudniona? – spytała.

– Tak.

– Więc możesz też zadbać o własne posiłki. Nie zamierzam marnować na ciebie czasu ani pieniędzy, a jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia, mój brat także nie będzie sobie zaprzętał tym głowy.

Kiedy próbowałam wejść do domu, aby poszukać książek, które zostawiła po sobie pani Lindo, siostra pana Linda nie otworzyła mi drzwi. Pozbawiona lektury i posiłków, co dzień włóczyłam się po ulicach, zebrząc o owoce, orzechy ziemne i kawałki gotowanego mięsa u kobiet, które poznałam na targowisku. Wieczorami czasem kupowałam opiekaną na ruszcie rybę sprzedawaną za tawerną, gdzie zbierali się biali mężczyźni poszukujący mulatek.

Monety właściwie zniknęły z obiegu, a na targowiskach można było wymienić nawet niewielkie towary. Z żalem pomyślałam o lekcjach poświęconych pieniądзом, udzielanych mi przed laty przez Linda. Jak się okazało, miałam rację. Kurczaki były pewniejszą walutą niż srebro. Rzadko miałam kurczaka, którego mogłabym prehandlować, ale wymieniałam dobra otrzymywane od żydów i anglikanów, którzy prosili, bym łapała ich dzieci lub dzieci ich niewolników.

Niektóre spośród młodych matek dawały mi niewielkie ilości rumu, ale pewna bogata kobieta wręczyła mi pudełko z pięćdziesięcioma buteleczkami. Z początku czułam się oszukana. Na cóż mi była skrzynka pustych butelek? Kiedy jednak w domu ponownie otworzyłam pudełko, odkryłam, że są zrobione ze szkła niezwyklej urody, zabarwionego wijącymi się niebieskimi pasmami. We flaszeczkach mieściły się dwie uncje płynu, a każda z nich miała inny kształt – jedne były obłe, drugie pękate, inne w kształcie sześcianu, a jeszcze inne kuliste. Wlałam do nich po dwie uncje rumu i zatkałam je korkiem.

Przez wiele miesięcy używałam gładkich, smukłych buteleczek z wijącymi się niebieskimi liniami do zakupów na targowisku. Murzyńscy straganiarze uwielbiali rum i zachowywali butelki. Uważali, że dmuchnięcie w nie przynosi szczęście. Kiedy widzieli,

że się zbliżam, wołali na mnie „dziewczyna od niebieskiego szkła”, a butelki szybko zmieniały właścicieli.

W nocy spałam w oficynie, gdzie czułam się niezwykle samotna bez Dolly i jej syna. Spanie w samotności wydawało mi się pogwałceniem ludzkiej natury. Czasem, aby się pocieszyć, wracałam myślami do moich rodziców w Bayo lub wspominałam ciepłą, chrapiącą Georgię w łóżku, które dzieliłyśmy na plantacji Appleby’ego. Kiedy nie mogłam zasnąć, siedziałam długo w noc, powtórnie czytałam książki i myślałam o ludziach – Georgii, Chekurze, Mamedzie, Dolly i pani Lindo – którzy byli obecni w moim życiu, gdy czytałam je po raz pierwszy.

Pewnej nocy usłyszałam kroki na schodach. Wskoczyłam z łóżka i zasłoniłam się chustą.

– Kto tam jest?! – zawołałam.

– Aminata? – szepnął męski głos.

Stałam jak wryta. Kiedy ostatni raz nazwano mnie moim afrykańskim imieniem?

Chekura dotarł do ostatniego stopnia, a ja rzuciłam mu się w ramiona. Gdy przywarłam dłońmi do jego pleców i stanęłam palcami na jego stopach, w jego ciele odnalazłam wspomnienie dzieciństwa, a w głosie – ojczyznę. Tuliłam się do niego przez kilka minut, niemal lękając się tego, jakim stał się mężczyzną. A co, jeśli nie był już chłopcem, który pomógł mi przeżyć długą wędrówkę na afrykańskie wybrzeże, ani młodym mężczyzną, który się ze mną ożenił i dał mi syna?

Wypadły mu włosy, ale jego łysa głowa błyszczała. Wciąż był smukły, tylko trochę cięższy niż ja i zaledwie kilka cali wyższy. U lewej dłoni brakowało mu połowy środkowego palca, wciąż jednak miał ten sam uśmiech, który gościł na jego ustach niemal przez całą wędrówkę po naszej ojczyźnie. Kochałam światło w jego oczach i to, w jaki sposób jego usta wyginały się w uśmiechu, kiedy na mnie spoglądał. Podjęliśmy rozmowę, tak jakbyśmy się rozstali dzień wcześniej.

– Jak mnie znalazłeś?

– Zapytałem o dom żyda Linda – odpowiedział.

– Jak dostałeś się do Charles Town?

– Mężczyzna, który handluje tytoniem i rumem na wybrzeżu, przyjechał na targowisko w Charles Town, a ja mu towarzyszę.

– Jak długo możesz zostać?

– Tylko tę noc. Ale może za miesiąc uda mi się raz lub dwa razy cię odwiedzić.

– Może uda ci się mnie odwiedzić raz lub dwa razy... – powtórzyłam, wypuszczając jego dłoń i siadając na łóżku.

Chekura spoczął obok mnie i położył dłoń na mojej. Straciłam ją. Znów ją ujął, ale ja stanowczo ją odepchnęłam.

– Nie – powiedziałam. – Nie możesz tak postępować. Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam. Ale nie możesz tak po prostu wchodzić do mojego łóżka z obietnicą, że może uda ci się wrócić „raz lub dwa razy”.

– Masz jakieś jedzenie?

– Jem w mieście. Tu niczego nie dostaję. Lindo wyjechał.

Objął mój policzek zaokrągloną dłonią.

– Więc wyjedź ze mną, a on nie będzie wiedział, że zniknęłaś.

Odwróciłam twarz.

– Chcesz, żebym uciekła z tobą na wybrzeże? A co z twoim właścicielem?

– Może mnie wypuści na dzień lub dwa. Znam miejsca, gdzie bylibyśmy sami.

– Dzień lub dwa z tobą mi nie wystarczą – odparłam.

– Czasem dzień lub dwa to wszystko, na co możemy liczyć – powiedział Chekura.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało.

– Poślubiłam człowieka, którego kochałam – oznajmiłam w końcu.

– A człowiek, którego poślubiłaś, kochał ciebie – odrzekł.

– Czy wciąż mnie pragniesz?

– Zawsze pragnąłem i nigdy nie przestałem.

– Nawet nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć po tym, jak zabrali Mamadu.

Chekura rozłożył się na łóżku i przyciągnął mnie do siebie.

– Mój pan na Wyspie Pani wysłał mnie do Georgii na trzy lata. Odesłano mnie, zanim Mamadu został porwany.

Odsunęłam się od niego, żeby spojrzeć mu w oczy. Uśmiechnął się do mnie i przejechał palcami po moich włosach.

– Mój właściciel znał twojego – wyjaśnił. – Odesłali mnie, żebym nie sprawiał kłopotów.

Ujęłam jego dłoń.

– Przez cały ten czas byłam pewna, że mnie obwiniasz.

– Za co?

– Za to, że straciłam nasze dziecko.

Chekura otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie.

– Czy można winić matkę za to, że straciła dziecko?

Leżeliśmy obok siebie, a ja oparłam dłoń na jego biodrze.

– Co kazali ci robić w Georgii? – zapytałam.

– Siał ryż – odpowiedział. – To gorsze niż indygowiec. O wiele gorsze. Cały czas stoi się w wodzie. Ci, którzy nie pracowali dość ciężko, dostawali chłostę. A ci, którzy pracowali dość ciężko, umierali. Udało mi się przetrwać trzy sezony. – Chekura przyciągnął moją głowę do piersi. – Kiedy wróciłem na Wyspę Pani, wiedziałem, że jesteś

w Charles Town. Ale zabroniono wędrówek i handlu. Postawiono wartowników, którzy mieli powstrzymać Negrów przed poruszaniem się w nocy. Udało mi się ich omijać, ale wpadłem w sidła.

Odsunęłam się od niego, żeby spojrzeć mu w oczy, po czym ujęłam jego dłoń i głaskałam ją. Dotarłam do uciętego palca.

– Moja kara – wyjaśnił.

Ucałowałam jego dziewięć zdrowych palców i zatrzymałam się dłużej przy ostatnim, głaszcząc go i muskając ustami połowę, która mu została. Czułam, jak przepelnia mnie miłość do tego mężczyzny, ale zastanawiałam się, co będę czuła, kiedy wejdzie w moje ciało, a potem zniknie na kolejne czternaście lat.

– Twoje oczy są okrągłe jak żółędzie, a księżyce na twojej twarzy piękne – powiedział.

Pomyślałam o tym, jak dobrze wyglądałam jako dwudziestolatka, kiedy opędzałam się od zalotów pijanych i natarczywych mężczyzn z Charles Town – białych i czarnych – i jak znosiłam spojrzenia Solomona Linda i przyjaciół, których przyprowadzał do domu, by nacieszyli się moim widokiem. Teraz miałam trzydzieści lat i nic, czym mogłabym się pochwalić. Ani syna. Ani męża. Ani ojczyzny. Wiedziałam, że moje piękno wkrótce zblednie.

– Nie bądź smutna – poprosił Chekura, przesuwając palcami w górę i w dół moich ramion. – Przez Atlantyckie przepłynęły żadne księżyce tak piękne jak twoje. Przez te wszystkie lata, kiedy za tobą tęskniłem, wypatrywałem na nocnym niebie choćby najcieńszego półksiężyca. W te noce, raz lub dwa razy w miesiącu, jeśli niebo było bezchmurne, czułem, że jesteś ze mną.

Zalałam się łzami. Chekura wziął mnie w ramiona i mocno przytulił, a mój szloch uspokoił się i zamienił w delikatne łkanie. Czułam miarowe podnoszenie się i opadanie jego torsu. Jeszcze długi czas po tym, jak Chekura zaczął chrapać, leżałam i zastanawiałam się, czy ujrzę go o świcie. Obudziłam się pierwsza i zobaczyłam, jak śpi z dłonią w mojej dłoni. Przycisnęłam ją sobie do piersi. Kiedyś przeskoczyliśmy przez miotłę, kiedyś spłodziliśmy syna, kiedyś miałam nadzieję, że już zawsze będziemy razem.

Chekura się obudził i spojrzał na nasze złączone dłonie. Odwrócił głowę w moją stronę.

– Mąż potrzebuje żony – powiedział do mnie. – Czy zgodzisz się mnie teraz kochać?

Jego twarz była skąpana w delikatnym świetle poranka, w kącikach jego oczu dostrzegłam kilka zmarszczek. Ten mężczyzna wędrował kiedyś ze mną przez trzy księżyce aż do wybrzeża naszej ojczyzny. Wielokrotnie ryzykował życie, aby odwiedzić mnie w nocy na polach indygowca na Wyspie Świętej Heleny. Stracił pół palca i wszystkie włosy, ale nie stracił miłości do mnie. W moim gardle obudziło się dawno pogrzebane pożądanie. Poczulałam takie samo ciepło i wilgoć, jakie czułam w ciągu tysięcy nocy, kiedy

tęskniłam za Chekurą, ale tym razem był ze mną i należał do mnie.

Nie miałam pojęcia, kiedy znów go zobaczę, ale pragnęłam rozkoszować się każdą daną nam chwilą. Liżąc każdy cal jego skóry i dotykając go, syciłam się jego zapachem i potem, czułam, jak moja namiętność rodzi się pod jego językiem i palcami, kiedy te krążyły po moim ciele, drażniły się ze mną i mnie pochłaniały.

Nasze usta się spotkały. Wetknęłam w siebie tylko koniuszek jego członka. Leżeliśmy tak, całując się i liżąc, i delikatnie się kołysząc. Jęknęłam, kiedy jego usta połaskotały moje sutki, a jego kciuk przesunął się po mojej stwardniałej, rozszerzonej kobiecości. Chekura wygiął się i wślizgnął głęboko we mnie. Wymieniając oddechy, wdychaliśmy życie. Słyszając jego przyspieszony oddech, znalazłam się u szczytu przyjemności. Kiedy mój mąż wytrysnął głęboko we mnie, zadrżałam raz, dwa, trzy razy. Krzyknęliśmy oboje. Wyczerpani, przytulaliśmy się jeszcze przez chwilę, a zanim zasnęliśmy, jeszcze raz się pocałowaliśmy.

Obudził mnie dotyk jego palców błędzących po moich policzkach. Uśmiechnął się do mnie łagodnie, a ja zrozumiałam, że wkrótce musi odejść.

– Wiesz, co się stało z Mamadu? – zapytałam.

– Sprzedano go do Georgii – odparł.

– Kto ci o tym powiedział?

– Różni ludzie. Wieści pojawiły się w sieci.

– Dlaczego nigdy o tym nie słyszałam?

– Pracowałam w Georgii. Spędziłem tam trzy długie lata. Na plantacji ryżu dotarły do mnie wieści, że go sprzedano, a potem dowiedziałem się, że i ciebie odesłano. Gdy o tym usłyszałem, chciałem się utopić.

Pogładziłam wierzch jego dłoni.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy znów ujrzysz swoją żonę – powiedziałam.

– Może właśnie to mnie powstrzymało – odparł, po czym usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. – Nie podoba mi się ten Lindo. Trzyma cię tu w samotności, a wyjeżdżając, nie zostawia ci nawet jedzenia.

– Jest lepszy niż większość – rzuciłam. – Nigdy mnie nie uderzył.

– Usłyszałem w sieci coś o Lindzie.

– Co takiego?

– Te wieści wypłynęły, kiedy Mamadu został sprzedany. Wiedziałem, że twoi przyjaciele ze Świętej Heleny i pobliskich wysp starają się dowiedzieć, dokąd go wysłano. A gdy znalazłem się w Georgii, sam zacząłem o niego rozpytywać. Ilekroć spotykałem Murzyna, który dokądś wyruszał albo skądś wracał, przekazywałem wiadomości do sieci. Ktoś gdzieś musiał coś wiedzieć o moim synu. Rok lub dwa lata później nadeszła wiadomość: Mamadu został sprzedany rodzinie w Georgii. W Savannah.

Pytałbym dalej za pośrednictwem sieci. Znalazłbym tę rodzinę i kogoś zabił. Ale na miasto spadła ospa i nasze dziecko umarło.

– Umarło?

Znów sięgnęłam po dłoń Chekury i mocno ją ścisnęłam.

– Mniej więcej rok po tym, jak je sprzedano.

– Co to była za rodzina? – zapytałam.

– Nie znam ich nazwiska. Ale... to Solomon Lindo doprowadził do transakcji – oznajmił.

– Skąd wiesz, że to on?

– Właśnie ta informacja wypłynęła w sieci. To była bogata biała rodzina z Savannah. Mieli niewolnicę, która była mamką. Mamką urodzoną w Afryce. Kiedy w ich domu zjawiono się nasze ciemnoskóre dziecko, a po rodzicach nie było ani śladu, mamka przekazała tę wiadomość do sieci.

– Co dokładnie powiedziała?

– Że mężczyzna, który zorganizował sprzedaż, to „Lindo, żyd od indygo”. Taka wiadomość do mnie dotarła. Mamka powiedziała, że „żyd od indygo” był z białą rodziną, kiedy dziecko przyjechało. Otrzymał zapłatę, po czym opuścił dom.

Zbiegłam po schodach i zatrzasnęłam się w wychodku. Płakałam, dopóki nie zaczęłam kaszleć, i kaszlałam, dopóki nie zwymiotowałam. W końcu pusta i otumaniona wróciłam na górę. Chekura nie poruszył się nawet o cal.

– A teraz nasze dziecko nie żyje? – zapytałam. – Jesteś tego pewien?

– Słyszałem o tym trzy razy przez sieć. Otrzymałem te wieści od trojga nieznaną się ludzi. Wiedzieli, że jestem ojcem dziecka, które przybyło do Savannah bez rodziców, i znali mamkę. To ona powiadomiła każdego z nich. Powiedziała, że ospa zabrała dziecko w 1762 roku.

Przez dłuższą chwilę siedziałam w milczeniu. W końcu Chekura powiedział mi, że nie może zostać. Miał się spotkać ze swoim właścicielem w południe na Broad Street. Wyszliśmy razem na miasto. Za niebieską butelkę z rumem kupiłam dwa kawałki gotowanego okonia, dwie bułeczki i dwie pomarańcze od kobiety z targu. Zjedliśmy je w tłumie ludzi – czarnych, mulatów, ćwierćmulatów i białych – załatwiających poranne sprawunki.

– Chcesz, żebym go zabił? – powiedział Chekura.

– Czy zabijesz też Appleby’ego? I wszystkich białych mężczyzn, którzy nas tu sprowadzili?

– Chcę tylko Linda – odparł. – Tu, w mieście, mogę dopaść tylko jego. Mógłbym się zjawić w nocy i nikt by mnie nie zauważył.

– Może i nikt by cię nie zauważył, ale ja bym wiedziała – oznajmiłam. – Zabicie go nie

wróci nam dziecka. Chcę, żebyś żył i pozostał dobry.

– Chcesz, żebym pozostał dobry?

– W naszym życiu było dość mordów. A ty i tak nie jesteś zabójcą. Wciąż jesteś wyrostkiem, który był zbyt głupi, by uciec, zanim zakuto go w kajdany i wrzucono na statek.

– Uciekłbym porywaczom, gdyby nie to, że wysyłano cię za wielką wodę, a ja chciałem być z tobą.

Uśmiechnęłam się łagodnie.

– Nie zmyślaj – mruknęłam. – Byłeś głupcem, ale miałeś dobre serce. Jeśli pozostaniesz dobry, wróć i następnym razem zostań trochę dłużej. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Może za ciebie wyjdę.

– Dopiero teraz mi to mówisz? – Obdarzył mnie długim, czułym spojrzeniem, przytrzymując mnie wzrokiem tak głęboko i nieustępliwie, jak tylko mężczyzna potrafi.

Nadszedł czas, by Chekura się oddalił. W południe miał się spotkać z jakimś człowiekiem – tym samym, który dał mu wolny wieczór i któremu teraz musiał pomóc przedostać się przez kanały wybrzeża Karoliny. Rozwarłam dłonie i przytknęłam palce do palców Chekury. Razem nasze dłonie przypominały szkielet domu. Nieco mocniej nacisnęłam na jego opuszki, które mimo upływu lat pozostały gładkie i miękkie. Kiedy Chekura się uśmiechnął, w kącikach jego oczu ukazały się głębokie bruzdy.

– Do widzenia, ukochana żono – powiedział.

Przyglądał się nam stojący po drugiej stronie ulicy biały mężczyzna – zapewne jego właściciel. Nie potrafiłam się zmusić do uśmiechu, a nie pozostało mi już więcej słów. Ostatni raz przycisnęłam opuszki palców do palców Chekury i mój mężczyzna zniknął.

Po miesiącu Solomon Lindo powrócił. Podczas jego nieobecności złapałam dwoje dzieci, ale nie otrzymałam nic poza butelką rumu, sakiewką tytoniu i jardem tkaniny zafarbowanej indygo.

Lindo odesłał siostrę do domu, przez cały dzień załatwiał interesy, a potem wezwał mnie do swojego biura.

– Zajrzałem do ksiąg – powiedział. – Jesteś mi dłużna dwa funty.

Nie popatrzyłam na niego.

– Kiedy do ciebie mówię, oczekuję odpowiedzi – rzucił.

– Pan jest winien coś więcej niż srebro – odparłam cichym, nieporuszonym głosem.

– Masz mi płacić po dziesięć szylingów tygodniowo, tymczasem kiedy wyjechałem, nie zostawiłaś mojej siostrze ani pensa.

– Nie mam nic, co mogłabym panu dać. Poza tym mam inne sprawy na głowie.

Lindo parsknął.

– Straciłem pozycję oficjalnego inspektora plantacji indygowca. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Zlekceważyłam jego pytanie. Nie obchodziły mnie jego problemy z indygo.

– Ponieważ na plantacjach wytwarza się zbyt mało indygo, bym mógł je nadzorować. Jeśli Brytyjczycy nie zwiększą zapomogi i jeśli ceny na międzynarodowych rynkach nie wzrosną, produkcja indygo w Karolinie padnie.

– A co to ma wspólnego ze mną?

Mężczyzna uderzył pięścią w blat biurka.

– Dzięki mnie dostajesz ubrania i jedzenie! – wrzasnął. – W tym domu żyje ci się lepiej niż jakimukolwiek słudze w mieście! Dopóki nie spłacisz mi długu, nie będziesz otrzymywać ani ubrań, ani posiłków, ani przywilejów, ani utrzymania! Dziesięć szylingów tygodniowo i ani pensa mniej.

– Nie mogę oddać panu pieniędzy, których sama nie dostaję – odpowiedziałam.

– W takim razie nie będzie ci wolno wychodzić, o ile nie będziesz łapać dzieci albo załatwiać spraw, które ci powierzę.

– Czy zatem zaczniesz pan mnie nazywać niewolnicą zamiast służącą?

Lindo złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Na czole czułam jego oddech.

– Będziesz gotować i robić to, co każe.

– Nie będę.

Próbowałam wyrwać dłoń, ale mocno ją ścisnął. Drugą ręką uderzył mnie w twarz. Wtedy mnie puścił. Piekł mnie policzek. Patrzyłam mu w oczy, dopóki nie odwrócił głowy.

– Wybacz mi – powiedział cicho, spuszczać wzrok. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Odkąd pani Lindo odeszła, nie jestem sobą.

– Nie może pan wszystkiego zrzucić na swoją zgryzotę – odparłam, a kiedy podniósł wzrok, przemówiłam raz jeszcze: – Sprzedał pan mojego synka.

– Nie wiem, o czym mówisz. To Robinson Appleby sprzedał twoje dziecko.

– Pan mu pomógł. I otrzymał pan za to zapłatę. Sprzedał pan mojego syna rodzinie w Savannah w Georgii.

– Kto ci o tym powiedział?

– Ładny z pana Hebrajczyk. I pan powtarza, że nie jest biały.

– Przeglądałaś moje papiery?

Pomyślałam, że mnie uderzy, zerwie ze mnie ubrania i mnie wykorzysta. Pomyślałam, że wyrzuci mnie z domu i pozostawi samą sobie na ulicach Charles Town. Ale Solomon Lindo nie uczynił żadnej z tych rzeczy. Spoczął ciężko i poprosił, bym usiadła obok niego. Odmówiłam i stałam dalej ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie spodziewam się, że zrozumiesz, ale ta prawda ma więcej oblicz, niż się spodziewasz.

Nic na to nie odpowiedziałam. Nie dbałam o Solomona Lindę i jego prawdy.

Przez kilka kolejnych tygodni Lindo poruszał się niechętnie i ciężko. Osiągnęliśmy krępujący rozejm. Nie oddawałam mu żadnych pieniędzy, a on nie zapewniał mi ani jedzenia, ani ubrań, ani oleju z wieloryba, ani jakiegokolwiek wsparcia poza prawem spokojnego snu w oficynie jego domu.

Żydzi z Charles Town nie prosili już o moją pomoc przy narodzinach dzieci, a anglikańscy właściciele niewolników płacili mi jedynie w niewielkich ilościach rumu i tytoniu, które z trudem wymieniałam na miejskim targowisku. Zaczęłam ciasno obwiązywać biodra ostatnią niezniszczoną czerwoną chustą, ale i ona zaczęła się pruć.

Solomon Lindo zrezygnował z mojej pracy przy prowadzeniu ksiąg i jadał posiłki w domu swojej siostry. Pierwszy raz, odkąd znalazłam się w Charles Town, czułam dręczący mnie co dzień głód. Biali ludzie na targowisku mamrotali, że stali się niewolnikami króla Anglii, ale przestałam słuchać ich narzekań. „Wolność dla Amerykanów. Koniec z niewolnictwem”. Nie mówili o niewolnictwie, jakie znałam, ani o wolności, której pragnęłam, a ich słowa wydawały mi się absurdalne.

Wbrew wszelkiemu rozumowi i logice czekałam na powrót Chekury. Powiedział, że może uda mu się wrócić. Ale żaden głos nie wykrzykiwał mojego afrykańskiego imienia, a nocą po schodach nie stąpały żadne stopy. Rozglądałam się za nim na ulicach i targowiskach, ale nigdzie go nie było. Przeglądałam nawet charlestońskie gazety, na wypadek gdyby ktoś dał ogłoszenie o zbiegłym „śłudze” zwanym Chekurą. Ale gazety głosiły, że Brytyjczycy zajęli hiszpańskie terytoria na południu. Wiedziałam, że we wrogim mieście i na dobrze strzeżonym wybrzeżu pełnym wartowników, strażników, sideł i właścicieli plantacji strzelających do czarnych intruzów to, że Chekura bezpiecznie dotrze do Charles Town, jest równie mało prawdopodobne, jak to, że mnie uda się niepostrzeżenie dotrzeć na Wyspę Pani. Nie miałam dokąd pójść i gdzie się ukryć.

Trzy miesiące po tym, jak Solomon Lindo powrócił z Nowego Jorku, poprosił, bym dołączyła do niego w bawialni. Od dawna nie przekroczyłam progu jego domu i nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz najadłam się do syta.

– Wygląda na to, że oboje cierpimy – oznajmił Lindo. – Chciałbym przerwać ten impas. Znów muszę jechać do Nowego Jorku. Otrzymałem kolejną szansę, by opowiedzieć się za zapomogą dla plantatorów indygowca. – Podał mi tacę z chlebem, serem i owocami, a także tobolek ubrań. – Weź to jedzenie i tkaniny, żeby się okryć. Nie mogę pozwolić na to, byś zmarniała.

Myślałam, że mnie sprzeda, ale mężczyzna, który twierdził, że nie jest biały, kolejny raz mnie zaskoczył.

– Statek odpływa jutro o dziesiątej rano – oznajmił. – Bądź gotowa punktualnie o ósmej. Postanowiłem zabrać cię ze sobą, nie będzie nas przez miesiąc. Zadbam o to, byś była najedzona i by twoje odzienie odpowiadało północnemu klimatowi. Będiesz się

zajmować pisaniem listów, prowadzeniem ksiąg i załatwianiem sprawunków. Może w ten sposób uda nam się naprawić szkody, które między nami powstały. Ale teraz idź już, proszę, muszę dokończyć pracę.

Podjęłam decyzję, że z nim wyjadę. Uznałam, że będzie to mój exodus. Miałam nadzieję, że przy odrobinie szczęścia już nigdy nie powrócę do prowincji Karoliny Południowej.

Księga trzecia

Narody mniej chwalebne

Londyn, 1804

Abolicjoniści podejrzewają, że mój czas dobiega końca, a ja nie mogę temu zaprzeczyć. Czuję się tak, jakby moim płucom przydzielono określoną liczbę oddechów. Teraz, kiedy zbliża się granica, niemal dostrzegam tę liczbę zapisaną w konturach chmur o zachodzie słońca. Rano budzę się nieco zatroskana.

Zachód słońca gości w moich myślach przez cały dzień, ale staram się na nim nie skupiać ani nie pozwolić, by przeszkadzał mi się cieszyć każdym dniem, tak jakby był to nowy prezent. W mojej głowie nie powstał jeszcze wizerunek Boga, którego wyobrażają sobie muzułmanie, żydzi czy chrześcijanie, ale co rano znajduję ukojenie, wyobrażając sobie łagodny głos wypowiadający słowa: „Dalej, nie bój się, rozpocznij nowy dzień”.

Już nie haruję w pocie czoła ani nie walczę o to, by napełnić żołądek lub znaleźć odzienie, dzięki czemu co dzień łatwiej mi dokonywać nowych odkryć. Ostatnio zaobserwowałam, że kiedy ludzie uświadamiają sobie, iż może już nigdy cię nie zobaczą, dzieje się coś dziwnego. Oczekują od ciebie mądrości. I chcą, byś towarzyszył im w podniosłych chwilach.

Wczoraj radosny abolicjonista – całej reszcie świata znany jako sir Stanley Hastings – w końcu nakłonił mnie, bym towarzyszyła mu w czasie niedzielnego nabożeństwa. Przekonywał mnie do tego już od jakiegoś czasu, więc nie mogłam dłużej grać na zwłokę.

Przybyliśmy do jego kościoła, który nazwał jedyną szacowną świątynią w mieście. Zgodnie z obietnicą czuwał nade mną w czasie tej ciężkiej próby, podtrzymując mnie za każdym razem, gdy traciłam równowagę. Gdy wchodziliśmy do budynku pod łukowatą bramą wzniesioną z ponadczasowych kamieni i echa, w moją stronę ruszył tłum kobiet i mężczyzn wszystkich wyznań, w każdej możliwej peruce i rozmaitych kapeluszach, którzy pałali chęcią, by mnie poznać.

- Słyszeliśmy, że wkrótce tam panią zabierzemy – powiedział ktoś.
- Mówi się, że nadchodzi dzień komisji parlamentarnej – rzekł ktoś inny.
- Słyszeliśmy, że potrafi pani cytować Voltaire’a i Swifta – rzucił trzeci.
- Tylko wtedy, gdy zabraknie mi własnych słów – odparłam, co skwitowano salwą śmiechu.

Kiedy biskup wstał, mogłam w końcu usadowić zmęczone ciało w ławce. Była to rzecz jasna pierwsza ławka. Sir Stanley wyszeptał, że za naszymi plecami siedzi tysiąc osób, a ja miałam wrażenie, że dwa razy tyle par oczu wbija się głęboko w brązową skórę mojego karku. Dość powiedzieć, że w tym świętym budynku tylko moja skóra miała taki odcień.

Świadomość, że wpatruje się we mnie biskup, który zajął miejsce na ambonie, a także członkowie kongregacji, pozbawiała mnie sił. Marzyłam jedynie o śnie i ukojeniu, których mogłam zaznać w odosobnieniu swojego cichego pokoju. Moje powieki ciążyły jak cegły, z całej siły jednak próbowałam je podtrzymać. Nie chciałam okryć hańbą mojego dzielnego przewodnika, więc siedziałam tak nieruchomo i prosto jak biali anglikanie z Londynu, z otwartymi oczami śniąc o ciepłym łóżku i puchowej poduszce.

Obywatele Wielkiej Brytanii i innych żeglujących narodów zgotowali niewypowiedziane męki potomstwu Chama, ale w tej chwili i w tym czasie żadna z nich nie wydawała mi się gorsza niż tortura, którą zadawali samym sobie – siedzenie bez ruchu, bez możliwości snu, w przestronnym pomieszczeniu zwieńczonym kamiennymi łukami, gdzie nie można otworzyć okna, podczas gdy niewielki mężczyzna przez większą część tej bezecnej godziny mamrocze monotonnym głosem.

Ze wszystkich sił starałam się siedzieć prosto. Uznałam, że jeśli nieco przymknę oczy, nikt nie zauważy, że uciekam w sny do innych krain i innych czasów. Pomyślałam o matce, która wydawała mi się taka mądra i stara, kiedy byłam dzieckiem. Nawet gdy człowiek stawia ostatnie kroki w życiu, zdaje się tęsknić za powolnym, kołyszącym ruchem ramion matki. Kołysanie. Moje ciało się kołysało. Nawiedził mnie chwilowy koszmar, kiedy kołysanie ramion mojej matki zmieniło się w kołysanie statku. Drgnęłam w ławce. Sir Stanley przelotnie dotknął mojego ramienia dłonią. Podskoczyłam, rozgorączkowana, przestraszona, zawstydzona. Otworzyłam oczy. Biskup wciąż mruczał coś głosem, który służył tylko do tego, by kusić starą kobietę snem.

Tłum wokół mnie się podniósł, więc zrobiłam to co wszyscy. Stałam, kiedy oni się modlili, czekałam, gdy śpiewali, klękałam razem z nimi i siadałam w ławce z resztkami gracji, jakie zdołałam z siebie wykrzesać. Nic dziwnego, że w kościele nie było ani jednej kobiety czy jednego mężczyzny afrykańskiego pochodzenia. Gdyby pozwolono im przyjść, czy przetrwaliby godzinę w tym czyścicu?

Czy każde anglikańskie ucho mogło uważnie śledzić słowa mamroczonego w nieskończoność biskupa, który mówił teraz o zmartwychwstaniu i wieczności? Usłyszałam coś o Izraelitach i ziemi obiecanej, ale moje ciało tęskniło za pozycją horyzontalną. Czułam, że niedługo opadnę na łóżko, z którego już nie powstanę. Ale jeszcze nie teraz. Otworzyłam oczy nieco szerzej. Jeszcze nie teraz, proszę.

Kiedy przemówię do komisji parlamentarnej, trzeba mi będzie energii i wigoru. Tego dnia będę potrzebować sił w nogach i cienia dawnej pasji. Niestety, osiągnęłam ten znakomity wiek, kiedy łatwiej jest mówić niż słuchać. W tym momencie nabożeństwa uderzyło mnie to, że ostatnią osobą na ziemi, która ma prawo do kogokolwiek przemawiać, jest drobny anglikański biskup – nieprzewracający oczami, niewymachujący dłońmi, nietupiący nogami ani niewpadający w ramiona Jezusa. Niech pochłonie mnie piekło lub

przyplw, ale nie pozwolę, by w tym zyciu ktokolwiek namowil mnie na wizyte w anglikańskim kościele. Jeśli należy chwalać Boga, niech dzieje się to wśród baptystów z Birchtown lub Freetown. Oni przynajmniej tańczą, wołając do Jezusa, i krzyczą tak głośno, że obudziliby umarłego.

Udało mi się utrzymać głowę i powieki otwarte na tyle, by nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Siedzenie nieruchomo w świątyni nie dawało mi przyjemności, ale nie był to wystarczający powód, by obrazić sir Stanleya Hastingsa, jego żonę i pięcioro dzieci.

Pod koniec nabożeństwa ostatni raz ocknęłam się z odrętwienia, kiedy wierni powstali do śpiewu. A ja stałam wśród nich, tym razem w pełni rozbudzona. Mrowiły mnie pięty. Miałam wrażenie, że pozbawiono je podbicia i nie pozostawiono nic poza kośćmi. Wstałam zupełnie rozbudzona, choć do końca nabożeństwa bolały mnie stopy i wszystkie inne części ciała. Nagle jednak wydarzyło się coś, co ukoilo mój ból i kazało mi nadstawić uszu. Usłyszałam głosy. Tysiące głosów. Głosy wszystkich wiernych anglikanów złąły się w chór.

Melodia zdawała mi się delikatnie, daleko, niemożliwie znajoma. Gdzie mogłam ją słyszeć?

Gdy Brytania z ręki Boga
Zrodziła się z lazuru
Pieśń popłynęła błoga
Anielskich głosów chóru...

Głosy śpiewały dalej, a ja zaczęłam szperać głęboko w pamięci. Czy mogłam słyszeć tę pieśń w Charles Town? Nie. W Nowym Jorku? Nie, tam też nie. Więc gdzie?

Rządź, Brytanio, króluj nad falami
Anglicy nigdy, nigdy, nigdy, nie będą niewolnikami

Anglicy niewolnikami? Cóż to za nonsens? Znow zaczęłam słuchać. Słowa pieśni zdawały mi się nieprawdopodobne. Ale to nie słowa pamiętałam, lecz muzykę. Cóż to, na niebiosy, mogła być za pieśń i jakim cudem rozpoznawałam jej podniosły ton i optymizm?

Narodom mniej chwalebny
W kajdanach przyjdzie tkwić
Ty jednak wolna będziesz
Na chwałę niebios żyć.

Staralam się schwytać słowa i rozważyć je w myślach. „Narody mniej chwalebne w kajdanach będą tkwić...” Spojrzałam w prawo. Sir Stanley Hastings śpiewał z pasją, układając usta w dziobek jak rudzik na wiosnę. I wtedy znow nadszedł. Refren. Ta część pieśni zdawała mi się najbardziej znajoma. Melodia porывała poczciwych anglikanów i sprawiała, że śpiewali z takim wigorem, jak jeszcze nigdy żaden biały człowiek w mojej obecności.

Rządź, Brytanio! Króluj nad falami
Anglicy nigdy, nigdy, nigdy, nie będą niewolnikami

Właśnie to. O tu. Teraz sobie przypomiinałam. Słyszałam tę melodię nie w Nowym

Jorku. Ani nie w Charles Town. Zdarzyło się to wcześniej, o wiele wcześniej. Na niewolniczym statku. W kajucie pod pokładem, u znachora. Czasem śpiewał tę pieśń, a ja nie miałam pojęcia, co oznacza. Podejrzewałam wówczas, że cierpi albo jest zły. Czasem w środku nocy, gdy wypił za wiele z butelki lub zbrukał kolejną kobietę z mojej ojczyzny, leżał w swoim łóżku pod niskim sufitem i przekrzykując chlupot fal i łopotanie żagli, raz po raz wyśpiewywał refren. Jego publicznością była tylko papuga w zakrytej klatce i ja, leżąca obok bez ruchu.

Rządź, Brytanio! Króluj nad falami
Anglicy nigdy, nigdy, nigdy, nie będą niewolnikami

Nie znałam wtedy angielskiego ani zwyczajów białych ludzi, nie byłam jeszcze kobietą, ale niebezpiecznie zbliżałam się do tej granicy. Leżałam w łóżku znachora tak nieruchomo, jak tylko potrafiłam, i zastanawiałam się, co śpiewa. „Niech śpiewa”, myślałam. Gdy śpiewał, nie dotykały mnie jego ręce. „Niech śpiewa”, myślałam z nadzieją, że spędzę kolejną noc z dala od jego grubych, włochatych paluchów. „Niech śpiewa”, myślałam, zawstydzona tym, że wykorzystywał kobiety z mojej ojczyzny. Ich niedola była moją łaską, ich rozpacz moim ratunkiem.

Rządź, Brytanio! Króluj nad falami
Anglicy nigdy, nigdy, nigdy...

„Nigdy, nigdy, nigdy” były ostatnimi słowami, jakie usłyszałam, dopóki nie przerodziły się one w krzyki przerażenia otaczających mnie kobiet i mężczyzn. Musiałam zemdleć. Sir Stanley Hastings najwyraźniej złapał mnie, kiedy upadałam, ponieważ gdy odzyskiwałam przytomność, właśnie kładziono mnie na drewnianej ławce. W końcu. O znalezieniu się w tej pozycji marzyłam przez całą godzinę. „Nigdy, nigdy, nigdy”... Nie byłam już ze znachorem, a od najzimniejszego grobu na ziemi nie dzielił mnie już upadek z wysokości sześciu stóp. Znajdowałam się z powrotem w anglikańskim kościele, wyciągnięta na twardej drewnianej ławce, pod opieką najbardziej szanowanych abolicjonistów w Anglii. Stanowcza dłoń sir Stanleeya Hastingsa pilnowała, bym nie zsunęła się na ziemię. Nie otwierałam powiek i zastanawiałam się, co robić. Anglikanie znajdowali się w stanie wokalnego wzburzenia, a najbardziej wzburzony był sir Stanley Hastings.

– Błagam was, drodzy państwo, odsuńcie się. Proszę. Do tyłu. Nasza podopieczna zemdląca, zapewne poruszona naszą wiarą, ale nie obawiajcie się. Ocucimy ją. Proszę. Wyczuwam tętno. Wciąż oddycha. Odsuńcie się, proszę, a my już pomożemy. Potrzeba jej tylko nieco powietrza.

Nie otworzyłam oczu, dopóki nie wyniesiono mnie na słońce.

Przychodzą do Świętej Ziemi i z niej odchodzą

Manhattan, 1775 rok

Solomon Lindo i ja wypłynęliśmy z Charles Town na Królowej Charlottcie. Żeglowaliśmy dzień po dniu, a fale wznosiły się, opadały i kipiały, jak gdyby wołały do mnie: „Już nigdy nie ujrzysz tej ziemi”. Woda była tak ciemna i groźna, że zdawało się, iż mogłaby zabić bijącym od niej chłodem. Obawiałam się powrotu do maleńkiej kajuty pod pokładem i zapewne dzień i noc przebywałamby powyżej poziomu morza, gdyby nie to, że podczas naszego rejsu na północ powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Lindo co dzień próbował ze mną rozmawiać, ale ja wymawiałam się od każdej dyskusji dotyczącej jego korespondencji.

Czarnoskórzy służący w białych bryczesach i czerwonych kamizelkach serwowali gotowane kraby z prażonymi orzeszkami kupcom z Charles Town, którzy na otwartym morzu odnosili się do nich przyjaźnie. Ja jednak nie mogłam wchodzić do jadalni dla białych pasażerów. Odrzucałam propozycje Linda, który zapraszał mnie do swojej kajuty. Zdawał się zdeterminowany, by w czasie tej podróży odprężyć się i cieszyć moim towarzystwem, a to, że trzymałam się na dystans, wyraźnie go irytowało.

Trzeciego dnia rejsu – był to jedyny spokojny i słoneczny dzień w czasie naszej podróży – mężczyźni i kobiety z plantatorskich i kupieckich rodzin rozłożyli się na leżakach na pokładzie, a Negrzy przynosili im maderę, cygara i pomarańcze. Lindo wyjął z kufra przenośne szachy i poprosił, bym z nim usiadła. Zgodziłam się tylko dlatego, że nie miałam już siły stać. To, że potrafię grać, pasażerowie uznali za wielką atrakcję. Lindo rzucił wyzwanie mężczyźnie w słomkowym kapeluszu, który miał spalone słońcem czerwone przedramiona. Stawką miały być dwie gwinee. Lindo nauczył mnie wszystkich strategii przed wieloma laty, kiedy nasze stosunki były jeszcze serdeczne. Najpierw należało opanować środek planszy, następnie ustawić gońców jak armaty, a konie jak szpiegów. Należało zadbać o to, by przeciwnik nie mógł się ruszyć. Kontrola, atak i uwięzienie króla. Moim zdaniem była to okrutna gra, ale dzięki niej nie musiałam rozmawiać z Lindem ani słuchać, jak bez końca gędzi o kurczącym się rynku indygo. Mężczyzna z poparzeniem słonecznym był wstrząśnięty, kiedy dałam mu mata, i wściekły, gdy zobaczył, że Lindo przekazuje mi wygrane pieniądze.

– Zarobiła je – powiedział Lindo, wzruszając ramionami.

Miałam dość rozumu, by nie spoglądać w oczy mojemu przeciwnikowi. Wsunęłam

złoto do kieszeni. Następnego poranka zawinęliśmy do portu. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się do lądu, dostrzegłam, że Nowy Jork to wyspa przypominająca długą nogę, a wszyscy ludzie tłoczą się w stopie.

– Nazywają ją Manhattan – wyjaśnił Lindo. – Ta nazwa pochodzi od indiańskiego słowa oznaczającego „wyspę wielu wzgórz”, *Manna-hata*.

Przez cały rejs byłam w kiepskim nastroju, lecz gdy ujrzałam ulice pękające w szwach od budynków i gdy naliczyłam piętnaście wież kościelnych, z których najwyższa wznosiła się na wysokość potężnego drzewa, ciężar przeszłości zaczął ustępować. *Manna-hata* dawała ucieczkę w kojący chaos. Pomyślałam, że nieważne, czy to wyspa, czy nie, może w tym miejscu uda mi się znaleźć schronienie.

Na wybrzeżu pochłonał nas rozwrzeszczany tłum. Jeden z Negrów wrzucił moją walizkę i kufer Linda na wózek i zażądał szylinga, a mój pracodawca się zgodził. Podążając za tragarzem, ruszyliśmy ulicami wypełnionymi ludźmi, powozami i końmi. Większość budynków była drewniana, ale gdzieś tam wznosiły się także domy z cegły. Budynki były ostre i prostokątne, kształtne i zadbane. Po krótkiej chwili minęliśmy obrzeża placu, na którym zamiast budynków zauważyłam raczej przedziwne skupisko bud, szałasów i namiotów z wystającymi narożnikami przypominającymi połamane kości. Po zabłoconych uliczkach poruszali się Negrzy, dźwigając rupiecie, które musieli zrabować w stoczni: połamane drzewce, porwane żagle i długie kawałki drewna wygiętego na kształt żeber.

– Canvas Town^[2] – powiedział Lindo. – Trzymaj się z dala od tego miejsca, jeśli ci życie miłe.

– Co to za ludzie? – zapytałam.

– Murzyni z Canvas Town – odparł. – Banda nicponi, którzy tylko czekają, by pozbawić człowieka kosztowności.

– Są wolni? – spytałam.

– Zapytaj lepiej, w jaki sposób żyją – odparł.

Kolejny raz spojrzałam w stronę Negrów wchodzących do szałasów i opuszczających je, taszczących płótno i wodę. Jedna kobieta gotowała nawet coś w kotle na małym ogniu. Miałam wrażenie, że poruszają się swobodnie.

– Nie ociągajmy się – powiedział Lindo i poprosił tragarza, by się pospieszył.

Opuściliśmy obrzeża Canvas Town i wjechaliśmy do kolejnej zabudowanej części miasta. Czytałam nazwy ulic. Broadway. Wall Street. William Street. Znaleźliśmy się na Broad Street, a po jakimś czasie skręciliśmy w Pearl Street. Nasz tragarz zatrzymał się pod szyldem z nazwą Tawerna Frauncesa i otworzył drzwi do hotelu.

Za biurkiem rejestracji stał wysoki, dobrze zbudowany uśmiechnięty Negr o jasnej skórze, ubrany w perkalową koszulę, na której wisiał zegarek na łańcuszku.

– Witam – powiedział z akcentem, który nie był ani amerykański, ani afrykański. – Sam

Fraunces – przedstawił się, ściskając dłoń Linda – ale jeśli pan woli, proszę na mnie mówić Czarny Sam albo po prostu Sam. Wiem, że jeszcze pan tu nie gościł, bo nigdy nie zapominam swoich klientów. – Mężczyzna zwrócił się do mnie i uścisnął mi dłoń. – Nie mam cienia wątpliwości, że i pani tu nie było. Widziałem panią dotąd tylko w marzeniach.

Uśmiechnęłam się szeroko.

Pochodził z Indii Zachodnich. Pewnie był Jamajczykiem. Słyszałam jamajski akcent w Charles Town, ale żaden Jamajczyk ani inny Negr nie mogli być tam właścicielami tawerny. W dodatku nie była to zwykła tawerna, lecz hotel dysponujący dziesięcioma pokojami w dwupiętrowym ceglany budynku, a serwowane w nim jedzenie cieszyło się tak wielką sławą, że ludzie wspominali o nim jeszcze na statku.

– Obawiam się, że nie znam państwa nazwisk – powiedział.

Lindo przedstawił tylko siebie.

– Sądząc po bagażach, wnoszę, że przybyli państwo z daleka – kontynuował Sam.

– Z Charles Town – odparł Lindo.

Piękne szerokie usta Sama rozciągnęły się w uśmiechu. Był opanowany, spokojny i pewny.

– Czy dla pani mam przygotować...

– Tak – przerwał mu Lindo. – Osobny pokój. Ja potrzebuję przestronnego pomieszczenia. Proszę też o wstawienie do niego stołu i krzesła, ponieważ mam tu do załatwienia interesy.

– Zadbam o to, sir – zapewnił Sam.

Lindo zaczął uzupełniać rubryki w księdze gości. Napisał: „Solomon Lindo i sługa”, stracił cierpliwość i oznajmił, że musi się umyć i załatwić kilka spraw w mieście przed upływem dnia.

– A co z blankietem, sir? I z zapłatą? – rzucił Sam. – Przykro mi, ale nie przyjmuję banknotów. Tylko srebro.

– Ona się tym zajmie – odparł Lindo, przekazując mi sakiewkę.

Podczas gdy Sam Fraunces nakazał tragarzowi odprowadzić Linda do pokoju, wpisałam do księgi swoje nazwisko. Aminata Diallo. To, że w Nowym Jorku mogłam bez przeszkód zanotować własne nazwisko, uznałam za dobry znak. Już sama czynność pisania – płynnego, bezbłędnego poruszania piórem i kaligrafowania, którego tak cierpliwie uczyła mnie pani Lindo – przypieczętowała umowę, którą zawarłam sama ze sobą. Zapisałam swoje nazwisko na oficjalnym dokumencie. Byłam człowiekiem. Miałam takie samo prawo do życia i wolności jak mężczyzna, który twierdził, że jest moim właścicielem. Nie mogłam tam wrócić. Nie zważałam na to, że kwiecień w Nowym Jorku był równie zimny jak grudzień w Charles Town. Ani na to, że wokół leżały końskie odchody, a na nabrzeżu roiły się tłumy bagażowych oraz rozwrzeszczanych,

przepychających się mężczyzn. To wszystko nie miało znaczenia. Stało się dla mnie jasne, że Negrzy poruszali się po Nowym Jorku swobodnie. Postanowiłam, że jakimś sposobem do nich dołączę i że nigdy więcej nie pozwolę na to, by ktokolwiek był moim właścicielem.

Solomon Lindo i tragarz zniknęli na górze.

Podalam Samowi pióro, a on włożył je do stojaka.

– Proszę się nie pogniewać, ale muszę powiedzieć, że nigdy nie spotkałem damy, która stawiała by tak pewne i piękne litery.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam w jego ciemne, roztańczone oczy, w których błyszczała ciekawość.

Sam Fraunces złożył ręce i jeszcze raz zajrzał do księgi gości.

– Cóż za intrygujące imię – powiedział. – A-mi...

– Meena – odrzekłam. – Może mnie pan nazywać po prostu Meena.

– Brzmi łatwiej, niż wygląda – powiedział. – Czy pan Lindo to twój...?

– Właściciel – odparłam. Chciałam, by był świadomy mojej sytuacji. Pewność, jaka była od tego mężczyzny, dawała nadzieję, że może mi pomóc. – Ale to tylko kwestia czasu – dodałam.

Wysoki mężczyzna zaczął przeglądać stos dokumentów.

– Nowy Jork to miasto możliwości – wymamrotał cicho.

Ja także ściszyłam głos.

– Czy możesz mi pomóc?

Chłopak, który zaniósł bagaże Linda na górę, wrócił po moją walizkę. Sam odchrząknął.

– Pokój numer cztery – powiedział, wskazując na torbę. – Jadłaś już lunch? – zapytał, kiedy tragarz zniknął.

– Nie. Przez cztery dni rejsu nie miałam apetytu.

– A jak oceniasz swój apetyt teraz? – spytał Sam z szerokim uśmiechem.

– Powrócił.

– W takim razie sam coś dla ciebie przygotuję – odpowiedział.

Tragarz Sama odprowadził mnie do pokoju. Otworzyłam okiennicę i wyrzłam na ruchliwą aleję. Młody Negr grał na skrzypcach. Kiedy zobaczył zamożnego białego człowieka, podbiegł do niego i towarzyszył mu, nie przestając grać, dopóki ten w końcu nie rozstał się z monetą. Skrzypek rozejrzał się wokół, dostrzegł kolejnego białego mężczyznę w kamizelce i ruszył w jego stronę.

Odeszłam od okna, opadłam na miękkie łóżko i nasłuchując bicia kościelnych dzwonów oraz tupotu końskich kopyt, zasnęłam.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się, by wysoki czarny mężczyzna otworzył drzwi do

mojego pokoju, wślizgnął się do środka z tacą parującego jedzenia i postawił ją na stoliku przy moim łóżku.

– Wybacz, ale mówiłaś, że jesteś głodna – powiedział.

Zasnęłam w pełnym stroju i czułam się odrobinę niezręcznie. Spuściłam nogi na podłogę, aby stanąć i wygładzić ubranie.

– Czy wolałabyś zjeść w samotności? – zapytał.

– Jeśli masz czas, możesz przy mnie usiąść. Nigdy nie przepadałam za jedzeniem w samotności.

Uśmiechnął się.

– To świadczy o niezwykłej kulturze. Oczywiście przyjmuję zaproszenie. – Usiadł na krześle po przeciwnej stronie stołu. – Pan Lindo wyszedł, kiedy przygotowaliśmy dla ciebie posiłek – powiedział. – Jaką branżą się zajmuje?

– Indygo – rzuciłam.

– Wspomniał, że tego wieczoru wybieracie się na koncert, i prosił, byś była gotowa na siódmą.

Usiadłam przy stole, żeby zjeść. Sam przygotował zupę fasolową doprawioną papryką tak ostrą, że jej smak przypomniawszy mi o domu. Na talerzyku obok położył chleb z mąki kukurydzianej osłodzony miodem i mlekiem kokosowym. Przyniósł mi także świeże ciasteczka krabowe. Wyjaśnił, że by upiec przyzwoite ciasteczko krabowe, należy natrzeć mięso kraba odrobiną bułki tartej, roztopionego masła i śmietany, jest bowiem tak smaczne, że należy obchodzić się z nim delikatnie.

– Kraba nie można przytłoczyć aromatycznymi przyprawami – stwierdził. – Mięso musi się delikatnie roztopić na języku.

Byłam wygłodniała. Pomiedzy kęsami zadawałam mu kolejne pytania. Sam Fraunces urodził się i wychował na Jamajce. Jego ojciec był właścicielem niewolników, a matka niewolnicą, której ojciec darował wolność. Sama odesłał, kiedy chłopak skończył piętnaście lat, wręczyszy mu dość pieniędzy, by zdołał dojechać do Nowego Jorku i otworzyć własną działalność. Sam strzegł swojego majątku jak oka w głowie i zarządzał restauracjami przez dwa lata, dopóki nie poznał branży od podszewki i nie nawiązał odpowiednich kontaktów z dostawcami. Wtedy zaciągnął kredyt, aby kupić niniejszy budynek, i otworzył restaurację, którą nazwał Królowa Charlotta.

– Niektórzy nazywają ją Czarną Królową – oznajmiłam.

– Niektórzy mówią, że jest czarna, inni to podważają – odparł. – Ale tu nikogo to nie obchodzi. Brytyjczycy... cała ich banda, łącznie z królem i królową... nie są specjalnie miłowani w Nowym Jorku.

Sam nie chciał, by jego tawerna i hotel kojarzyły się z brytyjską monarchią, więc zmienił nazwę na Tawerna Frauncesa.

– To służy interesom – wyjaśnił. – Lojaliści mogą tu jadać bez poczucia dyskomfortu. Podobnie jak Amerykanie. Ależ szybko rozprawiłaś się z tymi ciasteczkami. Uznam to za pochwałę. Pozwolisz, że odwdzięczę się komplementem: jesteś niezwykle urodziwą kobietą.

Delikatnie odłożyłam widelec.

– Jestem wdzięczna za ten posiłek i twoje towarzystwo – powiedziałam. – Nie chciałabym być niegrzeczna, ale...

Uniósł dłoń.

– Wybawię cię z kłopotu – rzucił, przesuwając się na krześle. – Jeden rodzaj apetytu niekoniecznie przeradza się w inny.

– Jestem pewna, że mężczyzna z twoją pozycją ma wiele okazji... – zaczęłam.

Uśmiechnął się i nie zaprzeczył. Sądziłam, że odwróci się i natychmiast opuści pomieszczenie, on jednak złożył dłonie, spoważniał i powiedział:

– Sądząc po księżycach na twojej twarzy, podejrzewam, że twoja podróż nie rozpoczęła się w Charles Town. Nie mogę pomóc każdej osobie, która znajdzie się w moich progach, ale dla ciebie postaram się zrobić, co w mojej mocy.

– Czy w Nowym Jorku można uciec? – zapytałam.

– Większość uciekinierów trafia do Canvas Town – odparł. – Ale biali czasem przeprowadzają obławę i chwytają, kogo się da. Zbiegłych niewolników i wolnych Negrów.

Ponieważ Sam stanowił współczujące źródło informacji, zadałam mu pozostałe pytania. Odparł, że prawdopodobnie udałoby mi się znaleźć utrzymanie w Nowym Jorku. On sam mógłby mi zaproponować pracę.

– A co ze statkiem do Afryki? – zapytałam.

– To niemożliwe – odparł.

– Jesteś pewien?

– Nawet marzenie o tym to szaleństwo.

– Dlaczego?

– Statki nie pływają z Nowego Jorku do Afryki. Najpierw zawijają do Anglii, wyładowują cukier, rum, tytoń i indygo, które pan Lindo tak lubi, i dopiero wtedy żeglują dalej.

– A więc stamtąd człowiek może się dostać do Afryki – podsumowałam.

– Marynarz, kupiec lub handlarz niewolnikami owszem. Przez Londyn. Ale ty? Nie. Nigdy. Jaki liverpoolski kapitan statku marnowałby czas na to, by dostarczyć cię do Afryki? Znow sprzedalby cię jako niewolnicę i pewnie skończyłabyś na Barbadosie lub w Wirginii. A gdyby jakimś cudem udało ci się wrócić do Afryki, handlarze niewolnikami znow by cię schwytali i odesłali z powrotem.

Wbiłam wzrok w swoje dłonie.

– Nie trać wiary – powiedział. – To dla ciebie najlepsze miasto. W Nowym Jorku jest mnóstwo kryjówek i możliwości. Ja szybko sobie tu poradziłem.

– Ty przyjechałeś wolny.

– A ty jesteś wolna tam, gdzie ma to największe znaczenie: w swoim umyśle. Znajdujemy się w najlepszej spośród trzynastu kolonii. To wymarzone miejsce. Zapomnij o Londynie. Nowy Jork jest tym, czego potrzebujesz.

Miałam jeszcze tysiąc pytań – gdzie się ukryć, jak znaleźć pracę i czym się odżywiać – ale Sam Fraunces nie miał więcej czasu.

– W porze obiadu spodziewam się pełnej tawerny – oznajmił.

Tego wieczoru Solomon Lindo zabrał mnie na występ wiolonczelisty grającego koncert Jana Sebastiana Bacha w kościele Świętej Trójcy – tym o najwyższej wieży w mieście.

– Ma sto siedemdziesiąt pięć stóp – oznajmił Lindo.

Wchodząc po schodach, minęliśmy zebranych czarnych mężczyzn, kobiety i dzieci. Czułam się nieswojo, nie mogąc im nic ofiarować. Miałam nadzieję, że nie spadnie na mnie nieszczęście i że wkrótce nie stanę się jedną z nich. Lindo wyłowił z kieszeni sześć pensów, upuścił je do dłoni jednej z kobiet i wziął mnie pod rękę. Rozzłościł mnie ten pusty gest. Jeśli sądził, że następnego dnia pilnie zabiorę się do pisania listów, wkrótce miał odkryć swój błąd. W świątyni zobaczyłam przypiętą do ściany kartkę z ogłoszeniem: „Potrzebny ochotnik do uczenia Negrów”.

Zajęliśmy miejsca w pierwszej ławce, a kiedy koncert się zaczął, znajdowałam się na tyle blisko wiolonczelisty, że mogłabym sięgnąć i dotknąć włosów na jego smyczku. Był młodym czarnym mężczyzną o starannie przystrzyżonej brązowej brodzie i brązowych jak żółędzie oczach, którymi wodził po mojej twarzy w czasie gry. Znał utwór na pamięć, więc zamiast spoglądać w nuty, mężczyzna o nazwisku Adonis Thomas, czego dowiedziałam się z programu, patrzył na mnie. Kiedy pochylał się nad instrumentem, prostował i znów pochylał, akcentując zmieniające się frazowanie głową, czułam, że do mnie mówi. Nigdy nie umiałam wsłuchać się w oszalały dźwięk wydobywany z wielu instrumentów naraz. Od czasu do czasu w Charles Town słyszałam grupy złożone z fletów, obojów, rogów i skrzypiec, ale ich melodie zawsze przypominały mi okrzyki wojenne. Teraz czułam jednak, że mogę się zaprzyjaźnić z wiolonczelistą, zanurzyć w jego muzyce, wsłuchać w śpiewny niepokój i wzruszyć tym, iż melodia opada niczym głosy wioskowej starszyny i wznosi się jak śpiew dzieci. Wiolonczela Adonisa Thomasa szeptała do mojej duszy. „Nie trać nadziei – mówiła. – Ty także możesz stworzyć coś pięknego, najpierw jednak musisz odzyskać wolność”.

Lindo przykazał mi, żeby następnego ranka spotkała się z nim o ósmej w hotelowej jadalni, ja jednak zjawiłam się kilka minut przed czasem, by odszukać Sama Frauncesa.

- Jak podobał ci się koncert? – zapytał.
- Ta muzyka podniosła mnie na duchu – powiedziałam.
- Miejmy nadzieję, że podniesie na duchu także jego – odparł Sam.
- Kogo?
- Adonisa Thomasa, wiolonczelistę.
- Co mu doskwiera?
- Pan Lindo nie mówił ci, że Thomas należy do pewnego bogatego nowojorczyka?

Otworzyłam usta.

- Jego gra była taka piękna – wyszeptałam.
- Zapewne można ją nazwać tęskną – odparł Sam.

Lindo zszedł po schodach i zabrał mnie do jadalni. Nigdy wcześniej nie jadłam publicznie w towarzystwie białego człowieka, więc byłam zaskoczona, że wpuszczono mnie do środka. Ale nasze zamówienie przyjął Negr, który obdarzył mnie lekkim uśmiechem. Lindo zamówił dla nas bułeczki i jajka, a dla siebie kawę.

Ja poprosiłam kelnera o herbatę z mlekiem i cukrem.

- Dziś rano serwujemy kawę i piwo – odparł kelner.
- W takim razie poproszę o kawę z mlekiem i cukrem – powiedziałam.
- Patrioci są wściekli na Brytyjczyków i zrezygnowali z herbaty – wyszeptał do mnie Lindo. – Rozповідаją, że działa osłabiająco na żołądek, wywołuje dreszcze i spazmy. Trudno ich winić. Brytyjczycy zjednoczyli patriotów w gniewie na ustawę o herbacie, a jeśli stracimy dotację na indygo, wkrótce wywołają jeszcze większą niechęć w Karolinie Południowej.

Nie byłam głodna, ale czułam, że powinnam się posilić. Musiałam zadbać o to, by być silna i zdrowa – coś mi mówiło, że wkrótce pomiędzy moimi kolejnymi posiłkami może minąć wiele czasu.

Lindo powiedział, że przygotował list do Williama Tryona, gubernatora Nowego Jorku, wyjaśniający, dlaczego należy bronić dotacji na indygo. Miał nadzieję, że gubernator zdoła przekonać do tego właściwych ludzi w Londynie.

– Napisałem szkic, a na marginesach naniósłem poprawki. Musisz go przepisać, żebym jutro mógł dostarczyć list – oznajmił.

Nie chciałam się zgodzić, ale niemądrze byłoby odmówić.

- Gdzie on jest? – zapytałam.
- W moim pokoju. Zostawię ci klucz. Stoi tam duże biurko z materiałami piśmienniczymi, których będziesz potrzebować.

Skinęłam głową.

- Jak długo dziś pana nie będzie?
- Mam spotkania do wieczora – odparł. – Będę musiał spędzić wiele godzin na

przekonywaniu odpowiednich ludzi, by umówili mnie na spotkanie z gubernatorem. Ten człowiek całymi dniami jada i gra w golfa z anglikanami.

Upiłam łyk gorącej, słodkiej, mlecznej kawy.

– Wiedział pan, że Adonis Thomas jest niewolnikiem?

– Kto?

– Wiolonczelista z wczorajszego koncertu.

– Oczywiście. Myślisz, że jakikolwiek Murzyn potrafiłby tak grać bez nauczyciela?

Niby gdzie miałby się tego nauczyć? W Canvas Town?

– Myślałam, że...

– Nie mam teraz na to czasu – powiedział, podnosząc się od stołu. – Proszę, żeby list był gotowy przed zmierzchem. Ktoś w Londynie musi się dowiedzieć, że indygo gnije w beczkach na nabrzeżach Charles Town.

Po śniadaniu nie potrafiłam się zmusić do tego, by wejść do pokoju Linda. Odpoczywałam na łóżku, dopóki dochodzące przez okno dźwięki nie wywabiły mnie z pokoju. Stawiałam lekkie kroki, jak gdyby moje stopy już teraz stąpały po wolnej ziemi. Ludzie spieszili we wszystkich kierunkach i nikt nie robił mi trudności. Kiedy skręciłam za róg, a moją twarz rozświetlił blask słońca, poczułam niezwykły optymizm. Mogłam iść w wybranym przez siebie kierunku, więc ruszyłam na Wall Street. Kiedy tam dotarłam, usłyszałam krzyki i spojrzałam w stronę Broadwayu. Przed eleganckim dwupiętrowym drewnianym domem ujrzałam przedziwny tłum wzburzonych białych mężczyzn, krzyczących i machających rękami. Zauważyłam wśród nich robotników, opryszków, a także elegancko odzianych panów.

– Wyważymy drzwi! – krzyknął ktoś, a przez tłum przebiegło gniewne buczenie.

Dom był pomalowany na biało, a od drzwi do ulicy prowadziła schludna kamienna ścieżka. W Charles Town taki dom zamieszkiwaliby zapewne mężczyzna, kobieta, ich dzieci oraz niewolnik lub dwoje. Zastanawiałam się, czy w tym budynku znajdują się niewolnicy. I czy z jakiegoś powodu ci rozzłoszczeni mężczyźni chcą pochwycić Negrów.

– Śmierć Brytyjczykom! – zawołał ktoś.

Grupa mężczyzn ruszyła naprzód, kopiąc i waląc w drzwi. Inni zaczęli rzucać kamieniami w okiennice. Drzwi się otworzyły i stanął w nich biały kamerdyner. Wyciągnięto go na ulicę, uderzono w twarz i popchnięto na ziemię. Tłum zakotłował się nad nim, nie zważając na to, że z nosa cieknie mu krew, i wpadł do budynku. Czułam, że powinnam uciekać, w razie gdyby chcieli zaatakować także mnie, ale z domu nie wyszedł żaden inny mieszkaniec – ani biały, ani Negr. Widziałam tylko wzburzonych mężczyzn – niektórzy wciąż starali się wdrzeć do budynku, inni próbowali się z niego wydostać, ściskając w ramionach wazony, eleganckie pudełka z mahoniem, krzesła i dywany. W środku wyłamano okiennice, a z okien zerwano jedwabne zasłony. Na widok tak oszalałego

gniewu stałam jak zahipnotyzowana, ale po kilku minutach, kiedy łupieżcy wyłonili się z budynku z beczką rumu i zaczęli łapczywie siorbać alkohol, czerpiąc go dłońmi, nie potrafiłam przestać myśleć o przerażeniu, jakie czułyby osoby pokroju pani Lindo czy Dolly, gdyby zostały uwięzione w domu z tymi rozwścieczonymi mężczyznami.

Kamerdyner zdołał się podnieść, zamiast jednak uciekać, stał z boku, przyciskając skronie palcami. Na Wall Street napływał coraz większy tłum, a ludzie wykrzykiwali nowiny, których nie rozumiałam.

Biały chłopak, najwyżej siedemnastoletni, stanął obok mnie i krzyknął tak, by wszyscy go usłyszeli:

– Rozlew krwi pod Lexington i Concord!

W atmosferze ogólnego uniesienia odważyłam się zadać pytanie:

– Co masz na myśli?

– Buntownicy walczyli z lojalistami w Massachusetts i wygrali!

Krzyczał tak głośno, że musiałam się odsunąć. Dostrzegł, że nie do końca go rozumiem, ale pragnął jedynie, by usłyszano, jak rozgłasza nowiny.

– Buntownik to ja – oznajmił. – A lojalista to... Czy ty jesteś lojalistką?

– Co to mianowicie oznacza?

– Wytwornie gadasz jak na Murzynkę – odparł. – Lepiej, żebyś nie była lojalistką. Trwa wojna, a my odzyskamy wolność.

– Wolność? Dla niewolników?

– Murzyni nic nie dostaną. Mówię o nas. Buntownikach. Patriotach. Zyskamy wolność od Brytyjczyków i ich podatków. Już nigdy nie będziemy niewolnikami. A ty jesteś za buntownikami czy za lojalistami?

– Czy to ma znaczenie?

– Wybierz buntowników, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre – odpowiedział i uciekł z przyjaciółmi.

Na ulicach roiło się od ludzi, którzy śpiewali, krzyczeli i strzelali w powietrze z muszkietów. Kiedy znalazłam się z powrotem w Tawernie Frauncesa, w środku wybuchło istne pandemonium. Mężczyźni pili, pijani staczali się na ziemię, przeklinali Brytyjczyków i przysięgali, że któregoś dnia odzyskają wolność. Goście tawerny jedli, a Sam i jego pracownicy starali się ich obsłużyć.

– Co się dzieje, Sam?

– Jeśli pomożesz mi nakarmić ten tłum i się stąd wydostać, odwdzięczę ci się – powiedział.

Pragnęłam schronić się w bezpiecznym miejscu, z dala od tej wrzącej wściekłości, ale nie mogłam odrzucić jego propozycji.

Pracowałam w kuchni. Nalewałam piwo z beczek do kufli, przyrządzałam poncz

z rumem, lemoniadą i kawałkami pomarańczy, układałam na talerzach wędliny, sery i owoce i przekazywałam je kelnerom. Klienci krzyczeli tak głośno, że bałam się, iż w jadalni wybuchną zamieszki. Ale choć na ulicy byli nieujarzmieni, uwielbiali Sama Frauncesa i jego tawernę i czuli się w niej jak u siebie w domu. Mimo że byli pijani i hałaśliwi, niczego nie zniszczyli.

W końcu tłum się przerzedził, a patrioci wylegli z powrotem na ulicę, żeby świętować. Sam ujął mnie za ramię.

– Meeno, uciekaj – powiedział.

– Teraz?

– Nadchodzi wojna, a Brytyjczyków czeka nie lada zaskoczenie. Nie mają pojęcia, jak wściekli są mieszkańcy kolonii. Jeśli teraz zbiegniesz, Lindo nie będzie miał czasu cię wytropić.

– Dlaczego?

– Właśnie słyszałem, że Brytyjczycy planują zamknąć port. Twój pan będzie chciał wrócić do domu i zadbać o interesy, bo tam ludzie także mogą podnieść bunt. Jeśli nie wydobędzie się stąd jeszcze dziś, może mu się to wcale nie udać.

Marzyłam o tym, by już nigdy nie widzieć Linda, ale wizja ucieczki napawała mnie przerażeniem.

– Gdzie mam się schować? – zapytałam.

– Na razie udaj się na północ. Idź w górę Broadwayu i ukryj się w lesie.

– A co z Canvas Town?

– Nie. Jeszcze nie teraz. Lindo może tam kogoś po ciebie wysłać.

Ogarnął mnie paraliż. Co miałam począć sama w lesie? Ale Fraunces wrzucił już do worka jabłka, chleb, kawałek solonej wołowiny i mały koc.

– Weź ten wór. Idź już. Nie wracaj do pokoju i dłużej już nie zwlekaj. Idź na północ. W górę Broadwayu. Kiedy dotrzesz na skraj miasta, wejdź głęboko do lasu.

– Wróć za kilka dni – wyszeptał Fraunces. – Przyjdź pod osłoną nocy. Zapukaj trzy razy do kuchennych drzwi, od uliczki na tyłach tawerny.

Znalazłam się na zewnątrz pośród szaleństwa, wędrując między pijanymi, przeklinającymi, awanturującymi się mężczyznami, którzy włamywali się do wszystkich eleganckich domów przy Wall Street. Na Pearl Street czerpali dłońmi kradziony rum z beczki. Dotarłam do Broadwayu, minęłam kościół Świętej Trójcy, w którym byłam zaledwie poprzedniego wieczoru, i podążałam w górę ulicy w stronę mniejszego kościoła zwanego kaplicą Świętego Pawła. Szukając spokojnego miejsca, gdzie mogłabym pomyśleć, wdrapałam się po schodach, zajrzałam do środka i zobaczyłam, że trwa tam spotkanie kilkorga Negrów. Odwrócili się i wbili we mnie wzrok. Zawróciłam i wyszłam z kościoła. Na ulicy starszy czarny mężczyzna chwycił mnie za ramię i powiedział:

- Na twoim miejscu nie szedłbym w tamtą stronę.
- W którą?
- W tę, w którą się wybierasz. Do Świętej Ziemi.
- Co to jest Święta Ziemia?
- Teren należy do kościoła, ale mnóstwo tam kobiet o złej reputacji. Wyglądasz, jakbyś była tu nowa, więc uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.
- Którędy jest bezpiecznie?
- W dzisiejszych czasach nigdzie nie jest bezpiecznie – odparł. – Na północ znajduje się las. Ale bądź ostrożna.

Zmieniłam kierunek i zgodnie z radą mężczyzny udałam się na północ. Tłum się przerzedził, a odgłosy bijatyki ucichły. Po pewnym czasie przeszłam przez ostatnią ulicę i znalazłam się pośród drzew. Szłam dalej. Bałam się ciemności i samotnego szeleszczenia suchych liści pod stopami, ale nie stawałam. Idąc, zastanawiałam się, czy Solomonowi Lindowi kiedykolwiek przyszło do głowy, że mogę od niego uciec.

Przechodząc przez polanę, dostrzegłam wystrugane kijki wepchnięte w ziemię tak, że tworzyły prostokąt, a tuż obok ułożony w okrąg stosik kamieni. Dalej zobaczyłam więcej kijków i kamieni uformowanych w ten sam sposób. Kiedy uznałam, że znalazłam się w głębszym lesie, niż Lindo mógłby to sobie wyobrazić, usiadłam na ziemi obok grubego pnia drzewa i położyłam się, by rozprostować nogi. Było późne popołudnie 23 kwietnia 1775 roku, a ja odzyskałam wolność.

Wyobrażałam sobie, że mniej więcej w tej chwili Solomon Lindo powraca do Tawerny Frauncesa, spodziewając się zastać na biurku poprawiony list do gubernatora Tryona. Wiedziałam, że pośród szaleństwa i uctowania na ulicach Nowego Jorku nie znajdzie nikogo, kto pomógłby mnie odnaleźć. Co gorsza, gdyby zatrzymał się, by o mnie zapytać, mógłby zostać uznany za jednego z właścicieli eleganckich domów na Wall Street i narazić się na niebezpieczeństwo. Zastanawiałam się, czy Sam Fraunces miał rację i czy Lindo rzeczywiście wsiądzie na pokład pierwszego statku wypływającego z Nowego Jorku. Jeśli właściciel tawerny się mylił, Lindo będzie mnie szukał w mieście, ale z pewnością nie dotrze tak daleko. Odkąd pochwycono mnie w dżungli na obrzeżach Bayo, minęło niemal dwadzieścia lat, a teraz znalazłam się sama pośród drzew na innym kontynencie i znów byłam wolna.

Tej nocy spałam niespokojnie, skulona pod kocem. Śniły mi się króliki biegające po ścieżkach i zatrzymujące się w pół skoku, żeby spojrzeć na mnie wielkimi oczami. Na niebie było widać dwa cienkie półksiężyce. Usłyszałam, jak woła mnie sowa. „Aminato Diallo”, pohukiwała raz po raz. Budziłam się często, ale po chwili znów zapadałam w sen, a dziwne obrazy powracały.

Rano poczułam światło muskające moje powieki i znów usłyszałam głosy. Głosy

Afryki. Czy to możliwe, by wołali moje imię? Otworzyłam oczy. Ziemia była mokra. Wciąż byłam nakryta kocem, a na moim brzuchu leżał mały worek z jedzeniem. Skąd pochodziły te głosy? Wstałam i wepchnęłam koc do worka. Zadrżałam na zimnym, wilgotnym powietrzu. Minęłam kilka drzew, kierując się z powrotem w stronę miasta, tam, skąd dochodziły głosy.

Nie były to odgłosy niebezpieczeństwa, lecz dźwięki rozpaczy, dźwięki z mojej ojczyzny. Po minucie położyłam dłoń na pniu drzewa na skraju małej polany i zapatrzyłam się przed siebie. Tam, nieopodal kijeków i okrągłych kopczyków z kamieni, które mijalam poprzedniej nocy, znajdowała się niewielka grupa Murzynów śpiewających afrykańskie pieśni. Choć nie rozumiałam ich języka, pochodził on z mojej ojczyzny – był głęboki i przeniknięty tęsknotą. Ludzie uformowali krąg i poruszali się w tańcu, jaki już kiedyś widziałam. Unosili ramiona, kręcąc biodrami i ledwie poruszając stopami. Czułam, że pragnę się znaleźć wśród nich jak dziecko spragnione bliskości matki.

Pośrodku koła stała afrykańska kobieta, łąkała i tuliła ciało dziecka. Głowa niemowlęcia była odsłonięta, ale resztę ciała spowijało płótno w kolorze indygo. Wokół talii dziewczynki widniały niebieskie, zielone i białe szklane paciorki. Kobieta złożyła dziecko w ziemi, a mężczyzna zakopał dół. Wokół grobu inne kobiety ułożyły idealnie okrągłe kopce z kamieni, podczas gdy pozostali powtykali w ziemię patyki, tworząc prostokąt w rozmiarze dziecka.

Ruszyłam naprzód w kierunku, z którego dochodził płacz, aż w końcu znalazłam się pośród tańczących ludzi. Łkałam i poruszałam się wraz z nimi. Niektórzy z mężczyzn i kobiet mieli plemienne blizny na twarzach, ale nikt z nich nie miał księżyców i nikt nie mówił w bamana ani fulfulde. Przyjęli mnie do kręgu tańczących, nie pytając, skąd pochodzę. Wystarczyło, że na mnie spojrzeli i posłuchali, jak szlocham w ojczystym języku, by wiedzieć, że jestem jedną z nich. Martwe niemowlę to dziecko, którym kiedyś byłam. Było moim utraconym Mamadu. Było każdym człowiekiem, którego wrzucono do bezlitosnej toni w czasie niekończącej się podróży przez wielką rzekę.

Kiedy tańce dobiegły końca, starszy mężczyzna zwrócił się w stronę miasta, a inni ruszyli za nim gęsiego. Dołączyłam do kobiety na końcu kolumny.

– Gdzie mieszkacie? – Nie mówiła po angielsku, więc przemówiłam do kobiety idącej przed nią: – Gdzie mieszkacie?

– Wszędzie tam, gdzie są Afrykanie – odparła. – Niektórzy z nas w Canvas Town. Słyszałaś o nim? – zapytała, a ja skinęłam głową. – Inni u białych właścicieli.

– Więc niektórzy z was są wolni, a inni nie?

– Nikt z nas nie będzie naprawdę wolny, dopóki nie powrócimy do ojczyzny – odparła.

– A gdzie jest wasza ojczyzna? W Afryce?

– Pochodzimy z różnych miejsc. – Wskazała na idących przed nią ludzi. – Ja należę do ludu Aszanti.

Nie znałam tego słowa, więc powtórzyłam je na głos.

– A ty? – chciała wiedzieć.

– Jestem z plemienia Fula – odparłam. – I Bamana.

– Z każdego po trochu? Tu też tak jest.

– Mieszkasz w Canvas Town? – zapytałam.

– Nie. Pracuję w domu mężczyzny z Anglii, który obiecuje, że kiedyś mnie uwolni. Ale w tym kraju nie ma wolności. Można mieć jedynie jedzenie w brzuchu, ubranie na grzbiecie i dach, który ochroni cię przed deszczem. Wolność jest tylko w domu. To dziecko, które pogrzebaliśmy, jest w drodze do domu. Widziałaś te kolorowe szkiełka?

– Te koraliki wokół jej talii?

– Pomagają duszy bez przeszkód przedostać się przez wodę i zabierają ją do domu, gdzie jej miejsce.

Uśmiechnęłam się do kobiety i przystanąłam. I tak znalazłam się już zbyt blisko miasta.

– To dobra kryjówka – powiedziała kobieta. – Toubabowie nie przychodzą na nasz cmentarz. – Uniosła dłoń na pożegnanie i się odwróciła.

Afrykanie szli dalej przez las, kierując się na południe. Żaden się nie odwrócił, żeby na mnie spojrzeć.

*

Po dwóch dniach i nocach w lesie znalazłam się na tyłach Tawerny Frauncesa. Zapukałam, odczekałam chwilę i znów zapukałam, aż Sam w końcu otworzył kuchenne drzwi.

– Spójrz tylko na siebie – powiedział.

Drżałam, a moje ubrania były przemoczone i brudne.

– Czy on tu jest? – zapytałam.

– Wyjechał w dniu zamieszek – odparł Sam. – Wrócił tu w godzinę po tym, jak odeszłaś, przez kilka minut szalał z wściekłości, po czym wsiadł na pierwszy statek odpływający na południe.

– Mogłabym coś zjeść i wypić?

– Coś ci przygotuję, a ty przebierz się w czyste ubranie.

– Nie zabrał moich rzeczy?

– Ukryłem twoją torbę i powiedziałem mu, że wzięłaś ją ze sobą.

– Jestem twoją dłużniczką.

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Z pewnością czeka cię jeszcze większa niedola. Ale nie martw się. Poradzisz sobie.

Umówiłam się z Samem Frauncesem, że będzie mi płacił pięć szylingów tygodniowo, pozwoli mi spać na prowizorycznym posłaniu w ciasnym składziku i jeść posiłki z pracownikami kuchni, a w zamian za to będę dla niego pracować przez sześć godzin

dziennie. Zmywałam naczynia, zamiatałam podłogi, obierałam warzywa, opróżniałam naczynia nocne i wypisywałam rachunki, ale wiedziałam, że nasz układ jest czasowy. Tawerna Frauncesa z pewnością nie była bezpiecznym schronieniem, w którym mogłabym się ukrywać przed Lindem.

W kościele Świętej Trójcy dowiedziałam się, że lekcje dla Negrów odbywają się sześć przecznic na północ, w kaplicy Świętego Pawła. W porównaniu z Trójcą kaplica była mała, ale urokliwa, odpowiednia dla zwyczajnych ludzi. Kiedy biały pastor dowiedział się, że umiem czytać i pisać, uściśnął moje dłonie.

– Właśnie kogoś takiego szukałem – powiedział.

Przesłał wieści do kilku znajomych Negrów i we wtorek wieczorem udzieliłam pierwszej lekcji. O zmierzchu do świątyni weszło sześciu Murzynów. W odosobnionym pomieszczeniu rozświetlonym lampami i świecami zgromadzili się wokół mnie, kładąc mi ręce na ramionach, wypowiedzieli swoje imiona i patrzyli, jak spod mojej dłoni wychodzą kolejne wyrazy.

– Co to? – zapytał z mocnym murzyńskim akcentem wysoki mężczyzna w wieku około dwudziestu lat.

– Twoje imię – odparłam. – Claybourne Mitchell.

– Nie potrafię czytać, więc jak odróżnię je od innego imienia?

– Nauczę cię tego – powiedziałam.

– Potrafię zrobić beczkę w dowolnym rozmiarze – odparł – ale nie można mnie niczego nauczyć.

– Oczywiście, że można.

– Nie można. Mój pan już o to zadbał. To dlatego od niego uciekłem.

– Uda ci się – odparłam.

Nie puszczając mojego ramienia, patrzył, jak piszę.

– Claybourne to jedyne imię, jakie dostałem – wyjaśnił. – Mitchell to nazwisko, które sobie wziąłem. Słyszałem raz o mężczyźnie, który tak się nazywał. Spodobało mi się. Postanowiłem, że kiedy tu dotrę, będę nowym człowiekiem. Z własnym imieniem i nazwiskiem.

Zbliżyła się do mnie kobieta w mniej więcej tym samym wieku co Claybourne, o wiele od niego niższa, za to dwa razy szersza.

– Poświęcasz mu za dużo czasu – powiedziała. – A co z moim imieniem? Gdzie je zapisałaś?

– O, tu.

– Gdzie? – zapytała.

– Tu – odparłam, wskazując na jedno z imion z listy. – Bertilda Mathias.

– Takie imię dostałam i nie zamierzam go zmieniać jak Claybourne. Ten chłop strasznie

kłapie ozorem.

– Kogo wyzywasz od ozorów? – rzucił Claybourne.

– Myślisz, że ta Afrykanka przyszła tu tylko dla ciebie – wypaliła.

Poprosiłam, by Bertilda opowiedziała coś o sobie, i to także zapisałam: „Pracznica w brytyjskich koszarach”. Pokazałam jej.

– Nie napisałaś, ile mi płacą – zauważyła.

– Nie, nie powiedziałaś mi tego.

– I dobrze. Bo chcę większej zapłaty. Zapiszesz, kiedy będę dostawać szylinga dziennie. Tyle dostawała moja mama, zanim umarła.

– Może napiszę: „Chcę dostawać szylinga dziennie”? – zapytałam.

– Zrób tak, siostrze. Pokaż no, jak to wygląda.

– Ty też uciekłaś od swojego pana? – zapytał ją Claybourne.

– Nie – odparła. – Nie nazywaj mnie niewolnicą. Nigdy nią nie byłam i nigdy nie będę. Mama uwolniła się, zanim przyszedłam na świat, i odkąd pamiętam, była praczką u Brytyjczyków.

Zanotowałam kilka kolejnych słów: „Urodziłam się na wolności”, a sześcioro uczniów przepychało się, żeby zobaczyć, co robię.

Kiedy zapisałam już imiona i dodałam kilka informacji o każdym z zebranych, ćwiczyliśmy powtarzanie głosek. Napisałam też kilka innych słów: „Nowy Jork”. „Canvas Town”. „Lojaliści”. „Patrioci”. „Negrzy”. „Niewolnicy”. „Wolni”. „Biali”. Po dwóch godzinach zjawił się pastor z chlebem, serem i jabłkami.

– Dobry chleb – oznajmił Claybourne. – Świeży. Ostatni chleb, jaki jadłem, był twardszy niż beczka z rumem. Nawet szczur połamałby sobie na nim zęby.

Wszyscy się roześmiali, łącznie z Bertildą. Claybourne powiedział pastorowi, że jestem dobrą nauczycielką.

– W takim razie traktujcie ją z szacunkiem – przykazał pastor. – Uczy was za darmo.

– To najlepsza nauczycielka, jaką kiedykolwiek miałem – obwieścił Claybourne.

– Przecież nigdy się niczego nie uczyłeś – rzuciła Bertilda.

– Nie, ale teraz umiem już przeczytać własne imię – odparł.

– Wkrótce nauczycie się pisać swoje imiona – powiedziałam.

– Jak się pisze: „Szczurom wstęp wzbroniony”? – zapytał Claybourne.

Wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Zrobię wielki znak i zawieszę go w Canvas Town.

Śmiali się jeszcze, wychodząc z kaplicy. Na ulicy grupa się rozdzieliła i zniknęła w ciemności.

Po kolejnych dwóch tygodniach lekcji Claybourne zaproponował, że pokaże mi, jak zdobyć materiały na własny szalas w Canvas Town. Powiedział, że przyniesie młotek

i łom, a mnie kazał zabrać kilka szylingów i lampę. Spotkaliśmy się o zmierzchu na Pearl Street przed Tawerną Frauncesa. Claybourne zjawił się z płóciennym workiem przewieszonym przez ramię.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– Znaleźć jakiś zniszczony dom – odpowiedział.

Przez godzinę lub dwie przechadzaliśmy się ulicami, odskakując przed końmi i omijając ich łajno. Za każdym razem, kiedy skręcaliśmy za róg, widziałam grupę młodych Negrów podążających za nami krok w krok.

– Nie przejmuj się nimi – uspokajał Claybourne.

Chodziliśmy ulicami, dopóki daleko na wprost nie dostrzegliśmy tłumu białych mężczyzn wybiegających z dwupiętrowego domu z lampami, srebrami i beczkami alkoholu.

– Poczekamy, aż pszczoły opuszczą ul – wyjaśnił.

Krążyliśmy po okolicy i wróciliśmy pół godziny później. Zapadła już noc. Drzwi były wyłamane, a okna pozbawione okiennic. Na ulicy leżały dwie wywrócone beczki, a w świetle księżyca błyszczały ostatnie krople rozlanego wina.

– Teraz nasza kolej – rzucił Claybourne.

– A co, jeśli ktoś jest w środku?

– Tacy ludzie przychodzą i odchodzą. Nikogo już tam nie ma, pewnie też niewiele zostało – oznajmił.

Nie chciałam się włamywać do czyjegoś domu, nawet jeśli został już zniszczony. Pomyślałam o matce. Co by teraz powiedziała, gdyby знаła prawdę, przez co przesłam? Claybourne zobaczył, że stoję w progu niezdecydowana.

– Każdy dostaje swoją szansę. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy z niej skorzystać. Chodź, dziewczyno, teraz albo nigdy.

Weszłam za nim do środka. Dom został ograbiony. Ujrzałam rozbite wazony, opróżnione i roztrzaskane stojaki na wino. Na ścianie wisiał portret kobiety i mężczyzny siedzących w eleganckich fotelach. Ktoś pociął płótno nożem.

– Kto tu mieszka? – zapytałam.

– Już ich nie ma – odpowiedział Claybourne.

– Ale kim oni są?

– Pewnie lojalistami. Buntownicy niszczą posiadłości lojalistów od czasu bitwy pod Lexington i Concord.

Trzymałam lampę, podczas gdy Claybourne zsunął worek z ramienia, wyjął z niego łom i wyłamał nogi pięknego stołu. W szafie, z której zniknęły wszystkie ubrania, znalazł dwa wełniane koce. W kuchni, gdzie na podłodze poniewierały się resztki jedzenia, wysunął z kredensu trzy szuflady. Przechodził spiesznie z pokoju do pokoju i odczepiał filary od łóżek, zabierał sienniki, rozebrał też dziwny zielony stół, który wzdłuż krawędzi miał

wgłębienia z kolorowymi kulami.

– Co to jest? – zapytałam.

– Już kiedyś coś takiego widziałem – odparł Claybourne. – Z tego, co wiem, to jakaś gra białych.

– Jak my to wszystko wyniesiemy? – zapytałam.

– Przyniosłaś te pięć szylingów?

– Tak.

– To dobrze.

Kiedy złożyliśmy wszystko na stosie przed budynkiem, Claybourne wetknął dwa palce do ust i wydał przenikliwy gwizd. Zza rogu wyłoniło się czterech czarnych nastolatków, którzy do nas podbiegli.

– Zanieście to do Canvas Town, byle szybko – rzucił Claybourne.

Chłopcy czekali.

– Po szylingu dla każdego – powiedział.

Upuściłam po monecie do ich dłoni. Chłopcy zabrali wszystko, co zdołali udźwignąć, i zniknęli w ciemności. Ścisnęłam w ramionach kilka stołowych nóg, a Claybourne niósł na plecach blat. Potykając się, ruszyliśmy ciemnymi ulicami, a po jakimś czasie chłopcy wrócili biegiem, żeby pomóc nam dźwigać resztę.

Następnego dnia zgodnie z przykazaniem Claybourne'a dałam szylinga robotnikowi z doków, który pozwolił mi zabrać belę z kilkoma jardami porwanego płótna. Z pomocą trzech innych mężczyzn, których uczyłam czytać i pisać w kaplicy Świętego Pawła, Claybourne zbudował mi mały szałas na obrzeżach Canvas Town. Nie sądziłam, że będzie możliwe stworzenie domu z kradzionych rzeczy, ale kilkoro ludzi przyniosło mi dodatkowe drewno z połamanych stołów oraz wyrwane ze ścian gwoździe. Już po kilku dniach mogłam opuścić Tawernę Frauncesa i wprowadzić się do spadzistego szałasu, w którym mieściłam się tylko ja. Nogi od pokrytego zielonym płótnem stołu ze zwisającymi kieszeniami zostały równo odcięte, a blat spoczął na ziemi, tak by mój siennik nie leżał na piasku. W środku było dość miejsca na krzesło, lampę i trzy szuflady ustawione jedna na drugiej. Gdyby udało mi się znaleźć kilka książek, z pewnością bym je tam trzymała. Nad wejściem zawiesiłam płótno, które dawało mi odrobinę prywatności, a Claybourne obiecał, że zrobi mi drzwi wahadłowe, które powstrzymają zimno.

– Powinnaś znaleźć sobie mężczyznę, zanim spadnie śnieg – powiedział.

– Już mam mężczyznę – odparłam.

– Gdzie on jest?

– Nie mam pewności. Gdzieś w Karolinie Południowej.

Claybourne pokręcił głową, ale nic więcej nie powiedział.

Solomon Lindo nie powrócił do Nowego Jorku, więc stwierdziłam, że mogę

bezpiecznie przychodzić do Tawerny Frauncesa. Sam pozwalał mi jeść posiłki, zwolnił z obowiązku opróżniania naczyń nocnych i dał mi pracę przy pisaniu listów i prowadzeniu ksiąg. Podniósł mi pensję do siedmiu szylingów tygodniowo, dzięki czemu mogłam zdobyć ubrania. Ilekroć podróżni zostawiali w swoich pokojach książki, ubrania i stare buty, Sam dawał je mnie. Rozniosły się wieści, że potrafię łapać dzieci, więc w Canvas Town złapałam dwoje za darmo. Kiedy wiosna przeszła w lato, grupa Negrów uczęszczających na moje wtorkowe lekcje rozrosła się z sześciu do dziesięciu, a potem do piętnastu osób. Czasem pastor obserwował nas przez kilka minut, stojąc w głębi pomieszczenia, ale po chwili wychodził i pozwalał nam odbywać lekcje w samotności. Nikt mi nie płacił, ale raz na tydzień lub dwa ktoś przynosił mi do szafasu dodatkowe drewno, gwoździe czy płótno.

– Trzeba umocnić ten barak – powiedziała Bertilda. – Żeby nasza afrykańska nauczycielka przetrwała nowojorską zimą.

Pod moim oknem siedemdziesięcioletnia siwowłosa Murzynka zwana Miss Betty nauczyła się alfabetu po trzech lekcjach, a miesiąc później potrafiła już czytać. Kiedy zapytałam, czy jest wolna, odparła, że jest za stara na te błazeństwa. Wyjaśniła, że od trzydziestu lat należy do tego samego białego mężczyzny – mężczyzny, który czci króla Jerzego i niedawno przeprowadził się z Bostonu do Nowego Jorku. Teraz, kiedy była już stara i bezużyteczna, nie przeszkadzało mu to, że kobieta uczy się czytać.

– Musisz odzyskać wolność – powiedział do niej Claybourne.

– I mieszkać w tym chlewie, który nazywacie Canvas Town? – wypaliła Miss Betty.

– Jesteśmy wolni – oznajmił Claybourne.

– Jesteście wolni jak pchły – prychnęła. – Ja mam czyste łóżko pod dachem, który nie przecieka, i nie muszę przychodzić na posiłki z jałmużny do kaplicy Świętego Pawła.

– To świetnie – rzucił Claybourne. – Oddasz mi swoje jabłko?

Bertilda żartobliwie trzepnęła mężczyznę.

– Ależ z ciebie nicpoń.

– Zatrzymam swoje jabłko, nie myśl sobie, i zrobię to tylko po to, żeby ci utrzyć nosa, Claybournie Mądraliński – odparła Miss Betty.

Przez całe lato Miss Betty nie ominęła żadnej lekcji, nawet kiedy zaczęłam ich udzielać dwa razy w tygodniu. Zawsze siedziała obok Claybourne'a i zdawała się cieszyć tym, że może się z nim podroczyć. Kiedy nie pojawiła się na dwóch lekcjach pod rząd, Bertilda włożyła swoje najlepsze ubranie i poprosiła, bym poszła z nią do domu właściciela Miss Betty. Zapukałyśmy do drzwi.

Otworzył nam siwowłosa biały mężczyzna z bronią w ręku.

– Jeśli jesteście wandalami, przestrzelę wam serca – oznajmił.

– Przyszliśmy do Miss Betty – powiedziałam.

– Kim jesteście?

- Jej nauczycielką.
- Nauczycielką? Co to za bzdura?
- Udzielam jej lekcji w kaplicy Świętego Pawła.
- Czego niby jej uczysz?
- Czytać i pisać.

– Głupia starucha. Nic mi o tym nie wspominała. Powiedziała, że chodzi tam ze względu na wiarę, a ja nie miałem nic przeciwko temu. Cóż, teraz zachorowała i nie sądzę, byście ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyły.

Zapytałyśmy, czy możemy ją odwiedzić. Mężczyzna, który przedstawił się jako pan Croft, wpuścił nas do pokoju na tyłach domu. Miss Betty leżała w łóżku pod cienkim czerwonym kocem i ledwo szeptała.

- Jeszcze nigdy nie miałam gości – powiedziała, próbując złapać oddech.
- Co się dzieje? – zapytałam.
- Nic nadzwyczajnego. Jestem stara i umieram – odparła.

Wyczułam słaby puls i położyłam rękę na jej czole. Nie miała gorączki.

- Możemy coś dla ciebie zrobić?
- Zrób mi lekcję – poprosiła.

Pokazałam jej kilka linijek tekstu z „New Amsterdam Gazette” i przeczytałyśmy je razem. Artykuł opowiadał o tym, jak buntownicy napadli na arsenał w ratuszu i wrzucili zaopatrzenie z brytyjskiego statku prosto do rzeki.

- Nadciągają kłopoty – oznajmiła.
- Na to wygląda – potwierdziłam.

W drzwiach stanął pan Croft. Chciał, żebyśmy sobie poszły. Zanim opuściłyśmy pokój, kazałam mu obiecać, że będziemy mogli wrócić.

- Dziękuję ci, dziecino – powiedziała staruszka. – Mama dobrze cię wychowała.

Żałowałam, że nie mogę spędzić tej nocy z Miss Betty. Żałowałam, że nie mogę z nią zostać i trzymać jej za rękę, dopóki nie opuści tego świata. Mogłam tylko ścisnąć jej ramię i obiecać, że wkrótce wrócimy.

Dwa dni później powróciłam z Bertildą i Claybourne’em, żeby odwiedzić Miss Betty, ale musieliśmy pukać przez dłuższą chwilę, zanim pan Croft w końcu otworzył.

- Skąd wiedzieliście? – zapytał.
- Co takiego?

– Umarła tego popołudnia. Byłem w kościele Świętej Trójcy, ale nie chowają już Murzynów na swoim cmentarzu. Nie wiem, co z nią zrobić.

- My ją zabierzemy – odparł Claybourne.

Pan Croft klasnął w dłonie.

- Coś wam dam. Możecie ją zabrać ze służbówki.

Bertilda i ja ubrałyśmy Miss Betty w niedzielny strój. Claybourne podniósł kufer z jej dobytkiem, ale kazałam mu go odłożyć. Otworzyłam wieko i wyjęłam z niego kilka koralików i szklanych buteleczek, które trzymała w skórzanej sakiewce.

– Pójdą z nią – powiedziałam.

Pan Croft pozwolił nam zabrać płótna i koce z jej łóżka. Włożyliśmy je do kufra, poza tkaniną w najlepszym gatunku, w którą zawinęliśmy jej ciało. Claybourne zaniósł kufer do Canvas Town i powrócił z łopata, lampą i kilkorgiem kobiet i mężczyzn.

Miss Betty prawie nic nie ważyła. Niosąc ją na ramionach, ruszyliśmy na północ Broadwayu, minęliśmy Chambers Street i weszliśmy do lasu. Szliśmy i szliśmy, dopóki nie dotarliśmy do cmentarza Negrów. Podczas gdy mężczyźni kopali dół, Bertilda i ja zdjęłyśmy płótno, ułożyłyśmy włosy Miss Betty i położyłyśmy jej na brzuchu koraliki i buteleczki.

Żadne z nas tak naprawdę nie znało Miss Betty, ale śpiewaliśmy i trzymaliśmy się za ręce – pożegnaliśmy ją tak, jak sami któregoś dnia chcieliśmy być pożegnani.

– Panie nasz, Boże i Zbawicielu Jezu – zaśpiewała Bertilda. – Ponieś tę kobietę ponad zimnymi zielonymi wodami. Zabierz ją do domu.

Kiedy włożyliśmy ją do płytkiego grobu i przykryliśmy ziemią, Claybourne i pozostali mężczyźni w świetle księżyca wyszukali kilka kamieni, z których utworzyli okrągły stos.

– Dlaczego to robicie? – zapytałam.

– Nie jestem pewien – odparł Claybourne – ale widziałem to na innych grobach Negrów i uznałem, że tak trzeba.

Ruszyliśmy z powrotem na Manhattan, po czym podzieliliśmy się na małe grupy i zniknęliśmy w ciemności.

Gdy tej nocy położyłam się do łóżka, pierwszy raz od przybycia do Nowego Jorku poczułam tak wielki chłód i samotność. Od czasu kiedy Chekura wślizgnął się do mojej oficyny w Charles Town, minął rok. Czy powrócił do niej, żeby mnie odszukać? Gdyby tak było, każdy tamtejszy sprzedawca owoców czy przekupka na targowisku powiedzieliby mu, że Solomon Lindo wyjechał ze mną do Nowego Jorku.

W listopadzie zaczęło się robić zimno. Miałam kapelusz i rękawiczki, które wyjęłam z kufra Miss Betty, i nosiłam je dzień i noc. Nie zdejmowałam kapelusza nawet w tawernie.

– W środku go nie potrzebujesz – powiedział Sam, patrząc, jak siedzę na stołku z numerem „New Amsterdam Gazette”.

– Chcę zatrzymać ciepło, żeby starczyło mi na dłużej, kiedy wyjdę – wyjaśniłam.

Przyniósł mi parującą kawę. W gazecie napisano, że doszło do wojny lojalistów z buntownikami. Zastanawiałam się, co się stanie z Negrami w Nowym Jorku, jeśli buntownicy przegonią Brytyjczyków. Sam wyszeptał, że jego zdaniem buntownicy zasługują na większy szacunek. Nie ufał Brytyjczykom, nawet tym, którzy stołowali się

w tawernie. Byli zbyt przyjaźni, za bardzo chwalili jego jedzenie, a połowa z nich posiadała niewolników. Osobiście uważałam, że najlepiej nie ufać nikomu.

Upiłam łyk kawy zabiłonej mlekiem i osłodzonej melasą, po czym odstawiłam szklanekę i wpatrywałam się w gazetę. Na pierwszej stronie znajdowało się obwieszczenie lorda Dunmore'a, gubernatora Wirginii – obiecywał wolność każdemu Negrowi, który przystąpi do walki po stronie Brytyjczyków.

„Aby prędy przywrócić pokój i porządek, żądam, by każda osoba zdolna nosić broń stanęła pod chorągwią Jego Wysokości – głosił komunikat Dunmore'a. – Niniejszym ogłaszam, że wszyscy najemni słudzy, Negrzy lub inni (należący do buntowników), otrzymają wolność, jeśli jak najszybciej zgłoszą się do walki i dołączą do Wojsk Jego Wysokości, aby niezwłocznie przywrócić tej kolonii poczucie obowiązku wobec korony i honoru Jego Królewskiej Mości”.

Brytyjczycy obiecywali nam wolność, jeśli będziemy dla nich walczyć. W mojej głowie zrodziły się setki pytań. Zastanawiałam się, w jaki sposób i gdzie nas uwolnią i jak pozwolą nam żyć. W orędziu była mowa o ludziach zdolnych nieść broń. Wyglądało na to, że gubernator miał na myśli tylko mężczyzn. Z pewnością nie pozwolono by na to kobietom. A jeśli wszyscy walczący Negrzy zostaliby zastrzeleni przez buntowników, na cóż zdałaby się im wolność?

Sam wrócił do kuchni.

– Widziałeś to? – zapytałam.

– Ludzie w Canvas Town będą wzburzeni – odparł. – Ale nie przejmowałbym się tymi doniesieniami. Brytyjczycy umierają i potrzebują więcej ludzi do walki, więc wzywają niewolników. Buntownicy szaleją z wściekłości. Mówią, że to niesprawiedliwe, by zabierać Negrów przyzwoitym ludziom.

– A co z obietnicą odzyskania wolności? – zapytałam.

– Prędy czy później Brytyjczycy odejdą. Myślisz, że kiedy to się stanie, zabiorą was ze sobą?

Tego wieczoru w kaplicy moi uczniowie aż podskoczyli, kiedy pokazałam im artykuł z „New Amsterdam Gazette”. Kazali mi czytać obwieszczenie raz po raz.

– Co to wszystko znaczy? – zapytała Bertilda.

– To, że ludzie, którzy będą walczyć po stronie Brytyjczyków, odzyskają wolność – odparł jeden z mężczyzn.

– Raczej to, że ci, którzy będą walczyć po stronie Brytyjczyków, dostaną pięć kul w głowę – powiedział Claybourne.

– Dlaczego mielibyśmy walczyć w ich wojnie? – zapytał ktoś inny.

– Nie chcesz być wolny? – odparła Bertilda.

– Wolny, żeby umrzeć – skwitował Claybourne. – Bardzo dziękuję, ale ja już jestem

wolny.

– Jesteś wolny, dopóki nie zjawi się jakiś gruby właściciel plantacji ryżu i nie nałoży ci jarzma na szyję – mruknęła Bertilda. – Rusz swój kościsty tyłek i walcz!

– To dlaczego ty nie walczysz? – zapytał Claybourne.

– Walczyłabym, gdyby mi na to pozwolili – odpowiedziała. – Gdyby dali mi muszkiet, wystrzelałabym wszystkich plantatorów, jednego po drugim. Zabiłabym ich szybciej niż szaman voodoo.

– Jedną kulę wpakuj im ode mnie – powiedział Claybourne.

Tydzień później w zimną, wietrzną noc szłam w górę Broadwayu. Kościół Świętej Trójcy zostawiłam w tyle, a kaplica Świętego Pawła znajdowała się kilka przecznic przede mną. Nagle usta zakryła mi jakaś silna dłoń. Chciałam się obrócić, ale nie mogłam ruszyć szyją. Moja twarz była wciśnięta w zagłębienie łokcia potężnego mężczyzny. Zaciągnął mnie do alejki. Nie słyszałam żadnych kroków ani głosów, jedynie chrapliwy oddech człowieka, który rzucił mnie na ziemię. Leżąc na plecach bez tchu, zobaczyłam młodego białego mężczyznę z rozpiętymi spodniami. Kiedy próbowałam się obrócić na bok, rzucił się na mnie. Zaczęłam krzyczeć, ale znów zakrył mi usta, a drugą ręką mnie uderzył. Zwalił się na mnie całym ciężarem, przygwożdżając mnie do zimnego, mokrego błota. Splunęłam na niego i ugryzłam go w dłoń, ale był zbyt silny i nie mogłam się wydostać spod jego ciężaru nawet wtedy, gdy rozrywał mi ubranie.

W końcu w mroku dosłyszałam kroki, a po chwili krzyk wściekłego mężczyzny:

– Hej! Ty łajdaku! Zostaw tę kobietę! Puść ją albo będę strzelał!

Mój oprawca zaczął mnie obmacywać. Był twardy i starał się we mnie wejść. Przestał dopiero wtedy, gdy rozległ się huk wystrzału.

– Kolejna kula trafi prosto do twojego mózgu.

Mężczyzna stoczył się ze mnie, ukląkł i podniósł się z ziemi, po czym podciągnął spodnie i uciekł, nawet ich nie zapinając.

– Hańba – mruknął mężczyzna z pistoletem.

Nie patrzyłam mu w twarz, ale usłyszałam brytyjski akcent.

– Jeszcze chwila, a bym go zastrzelił. Pozwól, że ci pomogę.

Byłam wdzięczna, że przegonił napastnika, ale kimkolwiek był, marzyłam, by zostawił mnie w spokoju. Przez podarte ubranie prześwitywała mi skóra. Chciałam tylko pokonać dwie ostatnie przecznice dzielące mnie od kaplicy, gdzie ktoś mógłby mi pomóc. Nie podnosiłam głowy.

– Dziękuję – rzuciłam. – Już sobie poradzę. Może mnie pan zostawić...

– Bardzo dobrze mówisz po angielsku. Słyszałem o tobie – powiedział. – Uczysz Negrów w kaplicy. To ciebie wołają Meena.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam młodego mężczyznę w mundurze armii brytyjskiej.

Wyciągnął dłoń, a ja nią potrząsnęłam.

– Porucznik Malcolm Waters – przedstawił się, puszcżając moją rękę. Miał krótkie jasne włosy zaczesane na jedną stronę i surową twarz z błyszczącymi oczami. – Może nie uwierzysz, ale niedawno z kimś o tobie rozmawiałem – oznajmił.

– Dziękuję, ale naprawdę muszę już iść.

– Nie mogę cię tak zostawić. Szłaś do kaplicy?

Skinęłam głową.

– W takim razie pozwól, że będę ci towarzyszył. A w czasie gdy twoi przyjaciele będą ci pomagać, przyniosę ci koc.

Zaczęłam z nim iść.

– Pastor w kaplicy powiedział, że jesteś nauczycielką. I położną. To prawda?

Zastanawiałam się, dlaczego właściwie rozmawiał o mnie z pastorem, ale tylko skinęłam głową i szłam dalej. Gdy dotarliśmy do kaplicy, mężczyzna zostawił mnie z przyjaciółmi, którzy wzięli mnie w ramiona, oczyścili skaleczenia na mojej twarzy i zbesztali za to, że byłam tak nierozsądna, by chodzić sama po nocy. Tego wieczoru w kaplicy nie było Claybourne'a, ale mniej więcej po godzinie porucznik Waters powrócił z kocem, którym się owinęłam. zaproponował, że odprowadzi mnie do Canvas Town.

– Nigdzie jej pan nie zabierze – warknęła Bertilda. – Biały człowiek, i to tak wytwornie ubrany, może i wejdzie do Canvas Town, ale pewnie stamtąd nie wyjdzie.

– W takim razie będę wam towarzyszył przez część drogi – odparł.

Bertilda, porucznik Waters i ja ruszyliśmy w długą drogę powrotną.

– Kim pan jest? – zapytała Bertilda z mocnym akcentem.

– Porucznikiem marynarki brytyjskiej – odpowiedział.

– Czego pan chce od mojej Meeny?

– Muszę ją o coś zapytać.

– O co? – dopytywała Bertilda.

– To prywatna sprawa – odpowiedział cicho.

– Hm. Mężczyzna, który ją zaatakował, też miał do niej prywatną sprawę.

– Cóż, to coś zupełnie innego. Jestem prawym człowiekiem.

Miał dziwny, melodyjny głos, a pytania Bertildy zdawały się go bawić, a nie obrażać. Zapytał, czy następnego dnia może mnie zaprosić na obiad do Tawerny Frauncesa, po czym zostawił nas na skraju Canvas Town i zniknął w mroku.

– Jaki biały głupiec chce wejść do Canvas Town w środku nocy? – mruknęła Bertilda.

– My jesteśmy równie głupie – odparłam – chodząc ulicami Nowego Jorku po zmroku.

– Ten cały Claybourne, który zawsze mówi, że nie powinniśmy chodzić po nocy, sam jest głupcem – powiedziała Bertilda. – Jak ma się przemieszczać kobieta, jeśli nie na własnych nogach? Nie mam przecież chłopca, który czekałby na mnie w łóżku albo

odprowadził do domu w nocy.

– Ja też nie – stwierdziłam.

– Upatrzyłaś sobie Claybourne'a? – zapytała.

– Nie, mam już swojego mężczyznę.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. A ty? – zagadnęłam. – Spodobał ci się Claybourne?

Dostrzegłam, że usta Bertildy wyginają się w uśmiechu, a oczy rozszerzają w ciemności.

– Całe noce na niego czekam i zastanawiam się, kiedy ten głupiec poprosi mnie o odrobinę miłości.

– Może powinien się dowiedzieć, że tego chcesz – rzuciłam.

– Ty nic do niego nie masz? – chciała się upewnić.

– Nic a nic – odpowiedziałam.

– To dobrze. Obyś przypadkiem nie zmieniła zdania.

*

Pieczona kaczka. Gotowane ziemniaki. Fasolka szparagowa. Kawa z melasą. Na koszt porucznika Malcolma Watersa zjadłam doskonały posiłek, ale w czasie kiedy jedliśmy, mężczyzna nie doszedł do sedna sprawy. Mówił, że w Nowym Jorku przebywa od roku i że dowódcy są z niego zadowoleni. Przyznał, że wojna z buntownikami nie jest łatwa, ale przysięgał, że lord Dunmore nie kłamie, oferując wolność każdemu Negrowi, który chwyci za broń po ich stronie.

– Każdemu Negrowi? – powtórzyłam.

Przełknął łyk kawy.

– Cóż, no tak – odparł. – Tak. Miał na myśli mężczyzn mogących zasilić wojska. Ale można się przysłużyć Brytanii także w inny sposób. Są inne rzeczy, którymi może się zająć osoba wyszkolona i godna zaufania.

Wbiłam wzrok w szklankę z kawą i czekałam na to, co powie.

– Sprawa, o której chcę z tobą porozmawiać, wymaga absolutnej dyskrecji.

W jadalni nie było nikogo poza nami. Sam Fraunces wszedł, żeby sprawdzić, czy niczego nie potrzebujemy, a ja zapytałam, czy przez chwilę mógłby nie wpuszczać do sali swoich pracowników.

Sam uniósł brwi i posłał mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz”. Ale kiedy porucznik Waters odwrócił się do niego, mężczyzna odparł „oczywiście” i zostawił nas samych.

– Właśnie takiej delikatności potrzebuję w tym momencie.

– A dlaczego ten konkretny moment jest tak krytyczny? – zapytałam.

Otworzył usta.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś, że jak na Afrykankę masz niezwykłą...

– Dykcję.

Uśmiechnął się szeroko.

– Najwyraźniej już ci to mówiono. – Kontynuował dopiero po chwili: – Znalazłem się w tarapatach.

Upiłam kawy.

– Jesteś położną – powiedział, a ja skinęłam głową. – Złapałaś wiele dzieci?

Znów potwierdziłam.

– Słyszałaś o Świętej Ziemi?

– Znajduje się niedaleko miejsca, gdzie obronił mnie pan przed napastnikiem – odparłam.

– Tak, to tam. Nieciekawy rejon. Wiesz zapewne, że w Świętej Ziemi kręci się wiele cór Koryntu.

Popatrzyłam na niego spokojnie i pozwoliłam mu mówić dalej. Nachylił się, opierając łokcie na stole i podpierając brodę dłońmi. Jego twarz znajdowała się blisko mojej.

– Z jedną z nich trochę się zagalopowałem.

– Ma pan przyjaciółkę, która potrzebuje moich usług – powiedziałam łagodnie.

– Mam o niej jak najlepsze zdanie, ale ona jest... jest... Nie wiem, jak to najzręczniejszym ująć... kolorowa. Pochodzi z Barbadosu. Cudowna dziewczyna, łagodna, prześliczna, ale obawiam się, że teraz jest w potrzebie.

– Jak pilna jest to potrzeba?

– Miałem nadzieję, że pójdziesz tam i sama ocenisz sytuację.

– Moja stawka wynosi jeden funt w srebrze.

– To fortuna!

– Taką mam stawkę.

– Nie mów, że Murzyni w Canvas Town bulą ci po funcie – odparł.

– Taką mam stawkę – powtórzyłam, opierając się pokusie, by nie dodać słów: „dla pana”.

– Dziesięć szylingów – powiedział.

– Taką mam stawkę. – Myślałam już o ciepłych ubraniach, które kupię. Potrzebowałam grubszych skarpetek, wełnianego swetra i płaszcza.

– Piętnaście szylingów – rzucił.

Spojrzałam mu w oczy.

– W porządku – zgodził się. – Jeden funt. Możemy iść?

– Kiedy?

– Teraz. Sprawa jest nagląca.

Rosetta Walcott miała kremową cerę, ciemnobrązowe piegi na policzkach i ogromny,

napęczniały brzuch, który kontrastował z jej chudymi ramionami i smukłymi nogami. Przybyła z Barbadosu wraz z białą rodziną, do której należała. Pewnej nocy niedługo po tym, jak osiedlili się w New Jersey, uciekła pieszo i zamieszkała w Świętej Ziemi. Miała trzynaście lat, była w ósmym miesiącu ciąży i powiedziała, że kocha porucznika Malcolma Watersa.

– Ani razu mnie nie uderzył – oznajmiła z mocnym akcentem – dał mi ubrania i jedzenie, ale teraz mówi, że mam odejść. Mam przyjść, kiedy znów będę chuda, ale nie mogę wrócić z dzieckiem – dodała.

– Co chcesz zrobić? – zapytałam.

– Utopić dziecko w rzece i wrócić do porucznika Watersa – powiedziała.

– Możesz poczuć inaczej, kiedy dziecko przyssie się do twojej piersi.

– Porucznik mnie kocha – stwierdziła.

– Skąd to wiesz?

– Przez cały ten czas się mną opiekował. Wynajął dla mnie mały pokój, więc nie musiałam chodzić z innymi oficerami. Trzymał mnie dla siebie i co tydzień odwiedzał.

– Gdyby cię kochał, nie kazałby ci się pozbyć dziecka – powiedziałam jej.

– Powiedział, że nie mogę wrócić z dzieckiem. Nie potrzebuję dziecka. Kocham go, a on kocha mnie.

Porucznik Waters zaproponował, że odprowadzi mnie do Canvas Town. Odmówiłam. Nalegał, ale poradziłam, by zostawił mnie w spokoju, jeśli chce, bym wróciła i pomogła przyjść na świat jego dziecku.

– Cśś – wyszeptał, choć wokół nas nikogo nie było. – Pomagasz przyjść na świat j e j dziecku, i nie życzę sobie słyszeć nic innego.

Żałowałam, że nie kazałam mu zapłacić pięciu funtów zamiast jednego. Pozwoliłam, by odprowadził mnie do Canvas Town. Solomonowi Lindowi zajęło sporo czasu, zanim odsłonił swoją brzydą twarz, ale blask porucznika Malcolma Watersa zbladł jeszcze tego samego dnia, gdy wspólnie zjedliśmy posiłek.

– Ile ma pan lat? – zapytałam.

– Co za impertynenckie pytanie – mruknął.

– Jeśli chce pan mojej pomocy, proszę mi zdradzić swój wiek.

– Dwadzieścia dwa.

– Ona ma trzynaście – powiedziałam.

– Jest dość dorosła.

– Na co?

– Na to, by wiedzieć, co robi.

– Myśli, że pan ją kocha i się nią zajmie – oznajmiłam.

– Święta Ziemia to nie miejsce dla dziecka.

- Pan po prostu nie chce dziecka.
- Znasz miejsce, gdzie mogłaby się zatrzymać? – zapytał.
- Dlaczego pan dla niej czegoś nie zrobi? Dlaczego jej pan nie pomoże?

W jego oczach pojawiła się frustracja.

- Polubiłem ją. Nie sądziłem, że do tego dojdzie.
- Więc dlaczego pan jej nie pomoże teraz, kiedy już do tego doszło?
- Tu zaczyna się twoja rola.

– Jeden funt za złapanie dziecka i trzy dodatkowe za przeniesienie ich obojga do Canvas Town.

– To oburzające!

– Oburzające jest to, że każe jej pan odejść wraz z dzieckiem. Chciałabym zobaczyć, jak buduje im pan schronienie za trzy funty.

Kilka tygodni później posłaniec z brytyjskich koszarów – niewzbudzający podejrzeń Murzyn – odnalazł mnie w Canvas Town i poprosił, bym natychmiast przysłała do Świętej Ziemi. Złapałam dziecko Rosetty Walcott, a za otrzymane pieniądze zapłaciłam Claybourne'owi i grupie mężczyzn za to, by ukradli i wynieśli materiały, a następnie sklecili z nich szałas, w którym mogłaby się pomieścić matka z córką. Obok mojego szałasu nie było już miejsca – odkąd się do niego wprowadziłam, w pobliżu stanęło piętnaście innych baraków o spadzistych dachach – więc Rosetta wraz z dzieckiem zamieszkała na skraju chaotycznej dzielnicy.

W ciągu kolejnych miesięcy złapałam jeszcze dziesięcioro dzieci w Świętej Ziemi. Nienawidziłam brytyjskich oficerów, ale wiedziałam, że bez mojej pomocy ich kobiety będą cierpieć. Oficerowie w brytyjskich koszarach nazywali mnie „Meena za funta”. Za otrzymane pieniądze kupiłam jedzenie, ubranie i resztki drewna, żeby przetrwać długą, lodowatą zimę.

W kwietniu 1776 roku, dwanaście miesięcy po tym, jak znalazłam się w Nowym Jorku, powróciłam z lekcji w kaplicy Świętego Pawła do baraku, w którym czekała na mnie zapłakana Rosetta Walcott.

– Wszyscy wyjechali – powiedziała.

– Kto?

– Brytyjczycy, ot co. Nie zauważyłaś? Przez kilka dni przepływali łodziami na statki, a ostatnie z nich odpłynęły wczoraj w nocy. Zabrałam dziecko i poszłam się zobaczyć z porucznikiem Watersem.

– Nazywasz go porucznikiem?

Rosetta spojrzała na mnie niecierpliwie.

– Widział ją tylko raz. Ale koszary są puste. Brytyjczycy wyjechali. Żołnierze, oficerowie, wszyscy. A on zniknął wraz z nimi.

Całe brytyjskie wojsko wycofało się z Nowego Jorku. W „New Amsterdam Gazette” pisano, że nawet gubernator William Tryon schronił się na statku w porcie. Buntownicy wylali się na Broadway, strzelając z broni i opróżniając butelki z ginem.

W Tawernie Frauncesa klienci śpiewali, wiwatowali i pili do późnej nocy. Cieszyłam się, że muszę pracować w kuchni, ale rozmyślałam, jak teraz, po wyjeździe Brytyjczyków, zarobię na jedzenie, odzież i naprawę szafasu.

– Co takiego? – Sam się zdziwił. – Myślisz, że buntownicy nie mają burdeli? Dopóki mężczyźni będą walczyć, znajdzie się praca dla dziewcząt takich jak Rosetta, a dzięki temu i ty będziesz miała zajęcie.

Negrzy lub inna własność

Buntownicy zajmowali Manhattan przez sześć miesięcy. Po tym czasie Brytyjczycy go odbili i okupowali przez siedem lat. W kaplicy Świętego Pawła nie odbywały się już zajęcia angielskiego, ponieważ lojaliści zamknęli w środku zbuntowanych jeńców i pozostawili ich tam, by umarli z głodu. Krzyki umierających białych mężczyzn tak bardzo przypominały mi jęki więźniów na statku niewolniczym, że unikałam przechodzenia obok kaplicy.

Zostały mi tylko trzy miejsca, gdzie mogłam udzielać Negrom lekcji czytania i przekazywać im wieści: cmentarz Murzynów – kiedy spotykałam się z większą grupą, sala w Tawernie Frauncesa – dla najwyżej dwudziestu osób, i placyk przed moim szałasem.

Canvas Town przyciągało co dzień po dwóch, trzech uciekinierów, zwłaszcza po proklamacji philipsburskiej z 1779 roku. Wszyscy moi uczniowie zapamiętali słowa oświadczenia wydanego przez sir Henry'ego Clintona, naczelnego dowódcę brytyjskich sił zbrojnych: „Każdy Negr, który opuści chorągiew buntowników, może liczyć na pełne bezpieczeństwo w brytyjskich szeregach oraz zajęcie, jakie uzna za odpowiednie”.

Każdy zdrowy Murzyn podjął się pracy u Brytyjczyków. Tym razem nie potrzebowali tylko żołnierzy. Potrzebowali kucharek, praczek, robotników i kowali. Bednarzy, powroźników, stolarzy i sług do opróżniania nocników.

Potrzebowali też mnie.

Gdy Malcolm Waters powrócił do Nowego Jorku, na ramionach nosił kapitańskie belki. Oznajmiłam mu, że jego awans miał zapewne coś wspólnego z jego prawdziwym powołaniem w Świętej Ziemi, i nazywałam go Kapitanem Świątobliwością. Brytyjczycy nie trzymali już kochanek w osobnych domach w Świętej Ziemi, ponieważ starsi oficerowie utworzyli domy w całym mieście. W rozrastających się burdelach czekały kobiety w każdym typie – w niektórych domach Murzynki, w innych białe, a w jeszcze innych i te, i te.

Nie proszono mnie tylko o to, bym łapała dzieci. Czasem wzywano mnie, bym podawała dawki wrotycza lub korzenia bawełny i towarzyszyła kobietom, kiedy wypływała z nich ciąża. Pomocy szukali u mnie także mężczyźni, których penisy pokryte były pęcherzami i sączącymi się ranami. Trzymałam pod ręką krwiowiec i aloes, a od tych, którzy mogli mi zapłacić, żądałam zawsze tej samej opłaty jednego funta. Potrzebowałam pieniędzy, i to desperacko. Ceny szły w górę i wszyscy oszukiwali – nawet piekarze. Doszło do tego, że Brytyjczycy wyznaczyli stałą cenę dwudziestu dwóch miedziaków za

chleb i zarządzili, że każdy bochenek musi ważyć dokładnie dwa funty. Aby zapobiec oszustwom, piekarze odciskali w chlebach swoje inicjały.

Za każdym razem, kiedy pojawiały się plotki o zmianach, mieszkańcy Canvas Town zbierali się przed moim szalasem i czekali, aż wyjdę z niego z „New Amsterdam Gazette”. Gdy przeczytałam im o Thomasie Painie i jego książce *Zdrowy rozsądek*, większość otaczających mnie ludzi zaczęła buczeć i syczeć. Uważali, że to absurdalne, by biały mieszkaniec trzynastu kolonii narzekał na to, że jest niewolnikiem Brytyjczyków.

Sam Fraunces, który odwiedził nas, gdy o tym czytałam, powiedział, że Thomas Paine ma rację.

– Mówcie, co chcecie, ale Amerykanie wygrywają w walce przeciw królowi Jerzemu i Anglikom. – Podkreślił, że buntownicy chcą jedynie kontroli nad własnymi sprawami i o to właśnie chodziło Paine’owi, kiedy mówił o Amerykanach będących niewolnikami we własnym kraju.

Negrzy z Canvas Town uwielbiali Sama Frauncesa za to, że rozdawał im resztki jedzenia po przyjęciach i bankietach, i z dumą patrzyli na to, że ich brat prowadzi jedną z najpopularniejszych tawern w mieście. Tego dnia jednak zaczęli na niego krzyczeć.

– Jakiej wolności jeszcze pragną?! – zawołał Claybourne.

Bertilda ujęła jego dłoń i wmieszała się do dyskusji.

– Są dość wolni, żeby tu wejść, zakuć nas w kajdany i zaciągnąć z powrotem na południe na pola ryżowe. Wiadomo, że napadają na Canvas Town tak często, jak mogą.

Około dwustu osób zagrzmiało zgodnym chórem.

– Mnie nikt nie zaciągnie na południe – odparł Claybourne. – Prędzej skonam. Jeśli ktoś nałoży mi jarzmo, moje serce stanie. Spojrzę w dół i powiem mojemu sercu: „Teraz możesz już przestać bić na dobre. Daj sobie spokój i idź spać”.

Wszyscy się zaśmiali.

– Nie ma głupich – mówił dalej. – W czasie kiedy buntownicy i lojaliści do siebie strzelali, uczyłem swoje usta przekazywać wiadomości sercu. „Jak powiem »zatrzymaj się«, to się zatrzymasz”. Mówię mojemu sercu, że straciło pracę. „Nadszedł czas, umiłowane, koniec z tobą. Jesteś bezrobotne. Ucisz się, połóż i umrzyj”. A moje serce słucha mnie jak pies. Dlatego nikt mnie nie zaciągnie z powrotem na południe.

– Hej, Claybournie, jakiej rasy jest twoje serce?

– To brytyjski retriever, ot co.

Sam Fraunces odszedł zniesmaczony. Dla niego Claybourne był klaunem, mężczyzną, który już zawsze będzie niewolnikiem.

– Tylko klauni i Claybourne’owie mają powód, by obawiać się Amerykanów – powiedział. – Buntownicy żądają wolności dla siebie i są uczciwsi niż Brytyjczycy. Tę ziemię czeka wyzwolenie. A niedługo nadejdzie wolność dla wszystkich Negrów.

W 1782 roku przeczytałam ludziom zgromadzonym przed moimi drzwiami, że Brytyjczycy postanowili się poddać. Tej nocy zebrał się wielki tłum i jeszcze długo po tym, jak skończyliśmy rozmawiać, ludzie siedzieli wokół milcząco i zamyśleni. Przyłgnęliśmy do słów proklamacji philipsburskiej: „Każdy Negr, który opuści chorągiew buntowników, może liczyć na pełne bezpieczeństwo w brytyjskich szeregach oraz zajęcie, jakie uzna za odpowiednie”. Nawet ja wbrew wszelkiej nadziei liczyłam na to, że Brytyjczycy zabiorą mnie do Londynu. Wyobrażałam sobie, że tylko stamtąd mam szansę popłynąć do Afryki.

26 marca 1783 roku całe Canvas Town zatrzymało się w bezruchu. Ludzie, którzy robili pranie Brytyjczykom, powrócili do swoich szałasów. Troje pomywaczy i dwóch pomocników kucharza z Tawerny Frauncesa odeszło z pracy i usiadło przed moim barakiem. Kowale odłożyli metal, bednarze porzucili beczki, robotnicy opuścili nabrzeże i zdawało się, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci skulili się razem przerażeni.

Dla tych, do których plotki jeszcze nie dotarły, otworzyłam „Royal Gazette” i przeczytałam na głos zawiadomienie o traktacie pokojowym zamieszczonym przez naczelnego dowódcę sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości w koloniach.

Dla mieszkańców Canvas Town liczyła się tylko sekcja siódma traktatu, która głosiła:

Niniejszym wstrzymane zostaną wszelkie akty wrogości zarówno na morzu, jak i na lądzie, a jeńcy po obu stronach odzyskają wolność. Jego Brytyjska Mość dołoży starań, by możliwie szybko wycofać swoje armie, garnizony i floty z terenu Stanów Zjednoczonych, nie powodując zniszczeń i nie wywożąc Negrów ani innej własności mieszkańców Ameryki.

Biali mieszkańcy Nowego Jorku radowali się z tych wieści, ale dla każdego, kto wyrwał się z niewoli, traktat oznaczał katastrofę. Zgadząc się nie zabierać ze sobą „Negrów ani innej własności”, Brytyjczycy nas zdradzili i skazali na to, byśmy znów znaleźli się w rękach amerykańskich właścicieli niewolników.

Rozochoceni kapitulacją Brytyjczyków właściciele plantacji zaczęli wysyłać swoich ludzi do Canvas Town. Powołaliśmy grupę mężczyzn, którzy na zmianę stawali w nocy na warcie, by strzec nas przed obcymi – białymi i czarnymi. Zazwyczaj naszym patrolom udawało się wyłapać napastników, pobić ich i przetrzymać, a następnie przekazać w ręce Brytyjczyków. Ale właściciele niewolników i handlarze z Wirginii i Georgii grasowali po mieście w jeszcze większych grupach niż kiedykolwiek, przy każdej okazji wyłapując uciekinierów.

Pozostanie w Nowym Jorku łączyło się z niebezpieczeństwem. Ale jeszcze bardziej niebezpieczne było jego opuszczenie. Było to ostatnie miejsce w trzynastu koloniach, gdzie wciąż rządili Brytyjczycy, i dopóki się tu znajdowali, mogliśmy liczyć na ochronę.

Kilka dni po tym, jak wszyscy zaczęli rozmawiać o brytyjskiej zdradzie, Waters przyszedł się ze mną zobaczyć, gdy jak co poniedziałek rano udzielałam lekcji czytania w Tawernie Frauncesa. Zmienił się w dojrzałego, przystojnego mężczyznę, który był jeszcze przystojniejszy w pełnym mundurze z epoletami, srebrnymi paskami i błyszczącymi

guzikami. Tego dnia jednak nie powitałam go przydomkiem Jego Świątobliwość. Nie miałam ochoty na żarty. Brytyjczycy już raz porzucili ludzi, których poprzysięgli chronić, i wyglądało na to, że teraz znów nas zostawią. Przysięgałam sobie, że tym razem odmówię Watersowi bez względu na to, jak bardzo prosiłby o moją pomoc, czy na to, ile proponowałby mi pieniędzy. Miałam dość ułatwiania życia brytyjskim oficerom i łapania dzieci ich kochanek.

Pozostali zdawali się podzielać moje rozczarowanie i złość.

– Czy jest sens wam służyć?! – zawołał Claybourne do Watersa. – Jak możecie sprzedawać nas buntownikom?! Co z was za ludzie?!

– Wyciągasz pochopne wnioski – mruknął Waters. – Meeno, pozwolisz ze mną?

– Dziś nie pracuję.

– To nie to, co myślisz.

– Nie pracuję już dla pana, kapitanie.

Waters zbliżył się do mnie i zniżył głos tak, że tylko ja go słyszałam.

– Nie chodzi o Świętą Ziemię. Chodzi o coś innego i sprawa jest pilna.

– Wrócę niebawem – powiadomiłam przyjaciół.

– Nie liczyłbym na to – oznajmił Waters.

Kiedy znalazłam się w pokoju oficerów w koszarach Brytyjczyków, przyniesiono mi herbatę z mlekiem i cukrem, jabłko, kawałek świeżego chleba i plaster sera stilton. Wypiłam herbatę i zjadłam chleb z serem, ale jabłko wsunęłam do torby.

Waters przedstawił mnie pułkownikowi Bakerowi, który miał belki na ramionach, królewską posturę i dość pewności siebie, by zawstydzić nas oboje. Mocno uścisnął moją dłoń.

– Przejdę do rzeczy, ma pani bowiem mało czasu, a ja mam go jeszcze mniej – stwierdził.

Idąc w jego ślady, znów usiadłam i czekałam na to, co powie.

– Kapitan Waters mówi, że urodziła się pani w Gwinei. Czy to prawda?

– Pochodzę z Bayo w Afryce.

– I że doskonale pani czyta i posługuje się bezbłędnym pismem.

Skinęłam głową.

– Wspomniał też, że prowadziła pani księgi i wie pani, jak to robić. Kolumny, wiersze, cyfry i nazwiska we właściwych miejscach i tego typu szczegóły.

Potwierdziłam. Mogłam się tylko domyślać, że Waters dowiedział się tego wszystkiego od Sama Frauncesa, któremu od lat prowadziłam księgi.

– Co najistotniejsze, rozumiem, że zna pani większość kolorowych w Canvas Town i że większość z nich zna panią. I że mówi pani w dwóch afrykańskich językach. A także to, że zyskała pani powszechny szacunek kobiet i mężczyzn w pani społeczności. Tak? Świetnie.

Powołuję panią do służby Jego Królewskiej Mości. Musimy zaangażować panią do pracy i nie mamy ani chwili do stracenia.

Przez moment zastanawiałam się, czy to wszystko nie jest wyrafinowanym sposobem na to, by nakłonić mnie do złapania dzieci kochanek najwyższych stopniem brytyjskich wojskowych w Nowym Jorku.

Pułkownik Baker zapytał, czy znam sekcję siódmą tymczasowego traktatu pokojowego.

– Nauczyłam połowę mieszkańców Canvas Town cytować ją z pamięci.

– Wiem, że kolorowi czują się zdradzeni – powiedział pułkownik Baker. – Nie ma jednak powodu do paniki. Widzi pani, sekcja siódma mówi, że zgadzamy się nie zabierać żadnych Negrów ani własności Amerykanów. „Własność” jest tu słowem kluczem. – Pułkownik na chwilę urwał, po czym się do mnie nachylił. – Rozumie pani? Kolorowi nie są „własnością” Amerykanów. Jeśli co najmniej rok służyli Brytyjczykom, zostali już wyzwoleni. Nie należycie do żadnego człowieka.

Łatwo mu było mówić. To nie on musiał się bronić przed łowcami niewolników w Canvas Town. Niemądrze jednak byłoby podważać jego słowa, więc powiedziałam tylko:

– Ma pan na myśli to, że dotrzymujecie obietnicy danej Negrom?

– Kiedy przeniesiemy was do Nowej Szkocji, co zamierzamy uczynić, nie naruszymy żadnego postanowienia traktatu pokojowego.

– Do Nowej Szkocji? – powtórzyłam. Miałam nadzieję, że nie jest to kolonia karna. – Nie do Londynu?

– Nowa Szkocja to brytyjska kolonia, nietknięta i niezbrukana przez Amerykanów, która leży w odległości dwóch tygodni drogi morskiej z nowojorskiego portu. To wspaniała kolonia na Oceanie Atlantyckim, na północ stąd, obfitująca w drzewa, wodę pitną, zwierzynę i gęste lasy, które aż się proszą, by przekształcić je w pola uprawne. Nowa Szkocja, panno Diallo, będzie waszą ziemią obiecaną.

Na usta cisnęło mi się mnóstwo pytań, ale pułkownik kontynuował. Brytyjskie siły zgodziły się opuścić Nowy Jork do końca listopada. Do tego czasu zostało zaledwie osiem miesięcy, a Brytyjczycy mieli jeszcze masę pracy. Do Nowej Szkocji miano przenieść tysiące lojalistów za pomocą kilkudziesięciu fregat, frachtowców, królewskich okrętów i prywatnych statków. Rzecz jasna, przynosili się tam także właściciele nieruchomości, i to w liczbie o wiele większej niż Negrzy.

– Czy w tym miejscu, które nazywa pan Nową Szkocją, będziemy wolni? – zapytałam.

– Całkowicie. Będziecie tak wolni jak każdy lojalista. Ale uprzedzam, że czeka was ciężka praca. Dostaniecie ziemię, którą trzeba będzie uprawiać. Będziecie potrzebować nasion, narzędzi i żywności i wszystko to otrzymacie. Nowa Szkocja jest tak wielka, że dla nikogo nie zabraknie miejsca.

Jak niemal każdy Negr w Canvas Town rozpaczliwie pragnęłam wyjechać z Brytyjczykami, zanim Nowy Jork przejmą Amerykanie, a wśród nich właściciele niewolników. Zastanawiałam się, czy obietnice pułkownika Bakera są prawdziwe. Kiedy jednak trzeba było wybrać, komu zaufać w kwestii swojej niepewnej wolności, nie miałam żadnych skrupułów.

– Dlaczego mnie tu sprowadziliście? – zapytałam. – Dlaczego mówicie, że...

Pułkownik znów mi przerwał.

– Przekaze pani tę wiadomość swoim ludziom. Pomoże nam pani ich spisać. We właściwym czasie zanotuje pani ich nazwiska, wiek i to, w jaki sposób służyli Brytyjczykom. Możemy pomóc jedynie tym, którzy służyli nam przez rok. Musimy wiedzieć, ilu z nich zechce wsiąść na statek, by niezwłocznie rozpocząć załadunek ludzi.

Pułkownik Baker wstał, żeby opuścić pokój, ale zauważył, że unoszę palec.

– Pan wybaczy, pułkowniku, ale jeszcze nie przyjąłam pańskiej oferty. – Usłyszałam ciche parsknięcie. Nie spojrzałam w stronę kapitana Watersa, ale byłam pewna, że mężczyzna wstrzymuje śmiech.

– Panno Diallo, chodzą słuchy, że za swoją pracę oczekuje pani zapłaty. Otrzyma pani uczciwe wynagrodzenie.

– Ja także chcę jechać do Nowej Szkocji – oznajmiłam.

– Ma pani moje słowo – odparł.

– W takim razie się zgadzam.

– Znakomicie. Waters przedstawi pani szczegóły.

Pułkownik Baker potrząsnął moją dłonią i opuścił pomieszczenie. Zwróciłam się do Watersa:

– A co z innymi?

– Jeśli przez pełne dwanaście miesięcy służyli w naszych szeregach i mają odpowiedni certyfikat, dostaną pozwolenie na opuszczenie kolonii – wyjaśnił.

Miałam nadzieję, że to oznacza, iż kobiety także będą mogły wyjechać. Waters ledwo dał mi dojść do słowa.

– A moje wynagrodzenie?

– Funt tygodniowo. W srebrze. Będziesz musiała się przeprowadzić do naszych koszarów, bo czeka cię bezustanna praca. Oprócz pensji otrzymasz także zakwaterowanie i jedzenie.

– A informacje na temat Negrów...? Gdzie będziecie je trzymać?

– W specjalnym rejestrze – odparł.

– Jak się będzie nazywał?

Waters uśmiechnął się ironicznie.

– Co pani powie na „Exodus ze Świętej Ziemi”?

Zaplotłam ramiona.

– To wszystko pana bawi – powiedziałam.

Waters wyjął z kieszeni zegarek, a jego twarz spoważniała.

– „Księga Negrów”. Tak będzie się nazywał spis. Jutro o siódmej rano spotka się pani z pułkownikiem i ze mną na śniadaniu w Tawernie Frauncesa. Musimy omówić sprawy organizacyjne. Czeka nas długi dzień pracy. Proszę się przygotować na osiem miesięcy długich dni.

– Księga Negrów – wyszeptałam.

Skinęłam głową i wstałam, by wyjść. Waters uniósł dłoń, przykazał mi, bym poczekała, a po chwili wrócił z płóciennym workiem. W środku były jabłka, dwa bochenki chleba, ser i suszone figi.

– Dodatkowy prowiant ze spiżarni – wyjaśnił. – Z pewnością jest ktoś, komu się przyda.

Kiedy wróciłam do Canvas Town, wieści rozniosły się w ciągu dwóch godzin i nie było kobiety ani mężczyzny, którzy nie słyszeliby ostatnich doniesień. Moi przyjaciele zgromadzili się w drzwiach, by się ze mną pożegnać.

– Zatrzymamy dla ciebie ten szałas. W razie gdybyś się znudziła białymi – powiedział Claybourne.

– Teraz tak gada, ale jak tylko znikniesz, ani chybi zabierze ci całe drewno – rzuciła Bertilda.

– Nic nie zabiorę, bo to ja wybudowałam ten szałas. I to jeszcze zanim wprowadziłaś się do mnie – odparł.

– Kłapie ozorem, ale i tak go kocham – powiedziała Bertilda, ujmując jego dłoń.

Dałam im połowę jedzenia, a resztę zachowałam dla Rosetty. Claybourne wziął bochen i ocenił jego wagę w dłoni.

– Moja żona też ma bułeczkę w piecu.

Bertilda trzepnęła go po ramieniu.

– Cśś. – Zaśmiała się. – Miałeś nic nie mówić.

Szerzej otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się do kobiety. Cięża była jeszcze niewidoczna.

– Bułeczka w piecu – powtórzył Claybourne. – I to nie byle jaka.

Kiedy tego samego wieczoru pakowałam swój dobytek, do drzwi mojego szałasu zapukało dwóch mężczyzn z Canvas Town.

– Meeno – powiedział jeden z nich. – Jest tu jakiś mężczyzna.

– Mężczyzna?

– Mówi, że chce się z tobą zobaczyć.

Ścisnęło mnie w żołądku. Znaleźli mnie. Wyobrażałam sobie, że zostaję

unieruchomiona i związana we własnym namiocie. Wiedziałam, że na zewnątrz mam szansę uciec. Znalazłam się pośród mroku.

– Meeno, znasz tego człowieka? – zapytał jeden z wartowników.

Była ciemna, bezksiężycowa noc. Zrobiłam krok naprzód. Mężczyzna był czarny. Smukły. Zaledwie o kilka cali wyższy ode mnie. Jeden z wartowników potarł zapałkę i zapalił lampę.

– Aminata Diallo – powiedział mężczyzna.

Oplotłam męża ramionami i ponad jego ramieniem uśmiechnęłam się do wartowników.

– Tak, znam tego człowieka. Znam go w każdy możliwy sposób.

Ujęłam dłonie Chekury i wyczułam miejsce, w którym brakowało palca, a po chwili zauważyłam brakujące dwa palce drugiej dłoni.

– Musisz przestać znikać – rzuciłam. – Trzymaj się mnie i pilnuj palców.

– Mam ich jeszcze dość, by cię przytulić – powiedział.

– Czekałam na ciebie dziewięć lat.

– Lepiej dziewięć niż trzynaście – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Słyszałem, że znalazłaś się tutaj na początku wojny.

– To prawda. A gdzie ty byłeś?

– Jak zwykle, na wybrzeżu. Pracowałem w różnych miejscach w Georgii, a potem powróciłem na Wyspę Pani. Kiedy Brytyjczycy zajęli Charles Town, zrobili ze mnie przewodnika rzeczno-kanalnego. Mogłem wozić ich kanałami u wybrzeży Karoliny i nie obawiać się, że mnie zastrzelą. Nie wiem, ile dobrego im to przyniosło. Wielu z nich zginęło od kul muszkietów, a jeszcze większa liczba umarła na gorączkę i ospę.

– Zamierzasz zostać dłużej niż jedną noc? – zapytałam.

– Twój mąż jest wolnym człowiekiem, Aminato. Wolnym dziś, wolnym jutro, wolnym, by tu z tobą zostać.

– Wolność znajduje się na wyciągnięcie ręki, ale jeszcze jej nie dosięgnęliśmy – powiedziałam. – Nie będziemy jej mieć, dopóki nie opuścimy trzynastu kolonii.

Niełatwo jest się kochać z mężczyzną, którego nie widziało się od dziewięciu lat. Kiedy ostatni raz byliśmy razem, miałam trzydzieści lat. Obawiałam się, że moje piękno przeminęło. Moje piersi nie były tak jędrne jak kiedyś. Zastanawiałam się, czy nie zniechęci go miękkość mojego brzucha. Chekura wydawał mi się równie piękny, jak dawniej. Nie przeszkadzały mi jego siwe skronie ani gładka łysina. Był moim mężczyzną, znajdował się tylko nieco dalej na drodze życia. Chciałam patrzeć, jak się starzeje. Widzieć, jak z dnia na dzień się zmienia, i chronić jego dłonie, chowając je w swoich.

Tej nocy położyłam się spać pewna, że obudzę się obok męża. Wiedziałam, że rano po opuszczeniu Canvas Town będę musiała wynegocjować z pułkownikiem Bakerem jeszcze jedną sprawę. Pokój i utrzymanie dla mojego męża oraz miejsce dla niego na pokładzie

statku do Nowej Szkocji.

Przy śniadaniu otrzymałam nowiny, które nakazano mi rozgłosić w Canvas Town. Począwszy od następnego dnia, co rano od ósmej do jedenastej każdy Negr, który spędził co najmniej rok w szeregach Brytyjczyków, miał się ustawić w kolejce przed Tawerną Frauncesa. Każda kobieta i każdy mężczyzna mieli otrzymać dwie minuty na to, by przedstawić swoją sprawę. Zapewniano, że jeśli uda im się zadowolić oficerów i udowodnić, że mają dobry charakter i że służyli Brytyjczykom przez co najmniej rok, otrzymają informację, którego dnia i na które nabrzeże przyjść, by wsiąść na statek. Na pokładzie miano przeprowadzić dokładniejszą inspekcję. Oznajmiono, że każda osoba, która przedstawi fałszywą historię, zostanie przekazana w ręce Amerykanów.

Następnego ranka przed tawerną zebrało się czterysta osób. Pułkownik Baker wybrał pierwszych trzydzieści i kazał im się odsunąć, a reszcie powiedział, by stawili się nazajutrz.

– Mamy na to kilka miesięcy! – wykrzyknął. – Nie możemy was wszystkich przesłuchać jednego dnia!

Moim zadaniem było przeprowadzenie rozmów z Negrami i przekazanie odpowiedzi oficerom. Poznałam ludzi, którzy pochodzili z zupełnie nieznanymi mi miejsc. Niektórych z nich nie rozumiałam. Ale w większości przypadków udało mi się zgromadzić dane i wytłumaczyć, co było napisane na biletach, które otrzymali. Pokój był zatłoczony i panowało w nim gorąco, a dni ciągnęły się w nieskończoność. Jednak choć z radością powracałam w ramiona Chekury, kochałam swoją nową pracę. Czułam, że ofiarowuję coś wyjątkowego Negrom szukającym schronienia w Nowej Szkocji i że oni dają coś wyjątkowego mnie. Dzięki nim dowiedziałam się, że nie jestem sama.

Dotąd wyobrażałam sobie, że koleje mojego losu są wyjątkowe. Odkryłam jednak, że wcale nie byłam inna. Każda osoba, która przede mną stała, miała do opowiedzenia historię równie niewiarygodną jak moja. Pod koniec każdego spotkania spieszenie przekazywałam im najważniejsze szczegóły – to, na którym nabrzeżu mają się stawić i o której godzinie, nazwę statku, na który zostaną przetransportowani łodziami, i listę rzeczy, które wolno im ze sobą zabrać: beczkę jedzenia i kufer ubrań. Ale robiłam coś jeszcze dla ludzi, którzy pomyślnie przechodzili pierwszą rozmowę. Pokazywałam im bilety, odczytywałam ich imiona i nazwiska na głos i upewniałam się, że widzą, iż zostały zapisane.

W ciągu kolejnych dwóch dni przyjęliśmy sześćdziesięciu przesiedleńców. Po wszystkim Baker nakazał tłumowi ludzi czekających pod Tawerną Frauncesa odejść i wrócić za dwa tygodnie. Aż do połowy maja wstrzymano wydawanie biletów.

Otrzymałam przyjemny pokój w Świętej Ziemi. Chekurze pozwolono zamieszkać ze mną i obiecano mu podróż do Nowej Szkocji.

– Możemy mu zaproponować pracę przy sprzątanii koszar, żeby go czymś zająć – oznajmił Waters. – Powinien ją przyjąć. I tak niezbyt często będzie cię widywał.

Kiedy 21 kwietnia 1783 roku tuż o poranku na Nabrzeżu Murraya zebrało się pierwszych dziewięćdziesięciu Negrów, zaczęła się dla mnie prawdziwa praca. Przetransportowano ich łodziami na kilka statków zacumowanych na East River. Statki Wiosna, Aurora i Spencer płynęły do miasta Saint John, a Peggy kierował się do Port Roseway. Dowiedziałam się, że Saint John i Roseway należą do ziemi zwanej Nową Szkocją, i pokazano mi na mapie, gdzie się znajdują.

Pułkownik Baker, kapitan Waters i ja byliśmy pierwszymi osobami, które dopłynęły na Wiosnę. Kiedy tylko znaleźliśmy się na pokładzie, pomocnicy przygotowali dla nas stoły. Dołączyło do nas dwóch oficerów z amerykańskiej armii, którzy mieli zadbać o to, by żaden nieupoważniony Negr nie opuścił Stanów Zjednoczonych. Marynarze i oficerowie poruszali się po pokładzie, ale pasażerom kazano oczekiwać w poczekalni pod nim. Na pokładzie znajdowało się także kilkudziesięciu białych lojalistów, którzy wsiedli na statek jako pierwsi. Jednak to nie nimi mieliśmy się zajmować. Naszym zadaniem było przesłuchanie Negrów. Do mnie należało słuchanie rozmów oficerów z emigrantami i zapisywanie danych na dwóch stronach rejestru.

– Używaj swoich najlepszych pisarskich umiejętności – pouczył mnie pułkownik. – Notuj porządnie, zwięźle i precyzyjnie.

Rejestry tworzyły część większej księgi zawierającej nazwiska wszystkich Negrów przewiezionych do kolonii brytyjskich pod koniec wojny. Pułkownik wyjaśnił, że gdyby później Amerykanie zażądali rekompensaty, Księga Negrów stanowiłaby dowód na to, kto opuścił Nowy Jork.

Na pokład wezwano grupę dziesięciu Negrów, których nigdy wcześniej nie widziałam.

– Kim oni są? – zapytałam Watersa.

– To niewolnicy i najemni słudzy – odparł.

– Ale myślałam, że...

– Uchodźców z Canvas Town także w końcu ewakuujemy – oznajmił Waters. – Ale najpierw wpiszemy do rejestru własność białych lojalistów.

Pułkownik zaczął przesłuchiwać Negra, który potwornie się jękał, ale po chwili pojawił się biały lojalista i oznajmił:

– Należy do mnie.

Lojalista, podpułkownik Isaac Allen, powiedział, że zakupił tego Negra jako najemnego sługę i że zabiera go do Saint John.

Zgodnie z poleceniem pułkownika zaczęłam pisać w rejestrze. W pierwszej kolumnie „George Black”. Obok „35”. Później dodałam nazwisko właściciela czy też najemcy. W ostatniej kolumnie zanotowałam to, w jaki sposób został uwolniony, zanim zawarł

obecny kontrakt: „Uwolniony przez Lawrence’a Hartshorne’a, co poświadczono”.

Przede mną stanęła dziewczyna. Sądząc po jej strapionej minie oraz stojącym obok białym człowieku, zgadywałam, że dla niej ta podróż nie ma nic wspólnego z wolnością.

„Hana Palmer – zanotowałam, znów zapisując słowa pułkownika. – 15, krzepka dziewczka. Ben Palmer z Frog’s Neck, uprawniony”.

– Uprawniony? – zapytałam pułkownika, kiedy biały mężczyzna wyprowadził dziewczynę.

– To oznacza, że jest jej właścicielem – wyjaśnił pułkownik.

Przesłuchaliśmy pozostałych Negrów. Żaden z nich nie był sługą najemnym ani niewolnikiem, więc zadawano im wnikliwsze pytania. W jaki sposób otrzymali wolność? Czy służyli Brytyjczykom? Czy mają certyfikat potwierdzający służbę na rzecz Jego Królewskiej Mości? Kiedy pułkownik tracił cierpliwość do mocnych murzyńskich akcentów, przejmowałam jego rolę i zadawałam im pytania, jednocześnie notując.

Stanęła przede mną młoda kobieta z dzieckiem w ramionach. Widziałam ją w Świętej Ziemi.

„Harriet Simpson – zapisałam w pierwszej kolumnie. – 19 – dodałam. W następnej kolumnie miałam opisać jej wygląd”.

– Wystarczy słowo lub dwa – rzucił Baker. – Zapisz: „krzepka dziewczka”.

„Krzepka dziewczka – zapisałam, zniesmaczona tym określeniem. – Dawniej własność Winstona Wakemana z Nancy Mum w Wirginii”. Ponieważ dziewczyna miała dowód, że służyła Brytyjczykom, w kolejnej kolumnie dodałam skrót „CGB” oznaczający „certyfikat generała Bircha”. Podczas gdy Baker zajmował się nabijaniem fajki, Harriet wyszeptła, że jej dziecko spłodził brytyjski kapitan. „Sara, 2, zdrowe dziecko. Córka Harriet Simpson, urodzona w brytyjskich szeregach”. Cieszyłam się, że Harriet ma certyfikat generała Bircha – dzięki niemu nikt nie pytał, w jaki właściwie sposób służyła Brytyjczykom.

Jednym z przesiedleńców był osiemdziesięciodziewięcioletni starzec.

– Urodziłem się w 1694 roku w Wirginii – powiedział, a ja zapisałam tę informację w rejestrze. Na temat tego, w jaki sposób służył Brytyjczykom, oznajmił: – Opuściłem chorągiew buntowników, co samo w sobie było wystarczającą służbą. Urodziłem się jako niewolnik, ale umrę wolny.

Pułkownik był znużony szczegółami, a amerykańscy nadzorcy wydawali się coraz bardziej znudzeni, więc opisałam mężczyznę tak, jak mi się podobało.

„John Cartwright, 89. Zmęczony, jedno oko mętne. Dawniej niewolnik George’a Haskinsa w Wirginii. Mówi, że przeszedł na stronę brytyjską trzy lata temu”.

Staruszek nie miał certyfikatu udowadniającego, że służył Brytyjczykom, ale nikt go o niego nie poprosił, a mężczyźni pozwolono zostać.

Zarejestrowaliśmy wszystkich Negrów na Wiośnie.

– Jest ich tylko dziesięciu? – zapytałam Watersa.

– Większość miejsc jest zarezerwowana dla białych lojalistów i ich własności – odparł kapitan.

Na Aurorze przesłuchaliśmy czternastu Negrów. Zobaczyłam, że Brytyjczycy rzeczywiście darują niektórym uchodźcom wolność, ale pozwalają także białym lojalistom zabrać ze sobą niewolników.

Tego samego wieczoru leżałam w łóżku z Chekurą i opowiadałam mu o tym, co widziałam. On jednak był nieporuszony.

– Niewolnicy i wolni Negrzy mają mieszkać razem w Nowej Szkocji? – wycedził przez zęby. – Ładna mi ziemia obiecana.

Przez kolejne cztery dni zawożono nas łodziami na statki zacumowane na East River. Na pięćdziesięciu okrętach znajdowało się niemal sześćset mężczyzn, kobiet i dzieci, których należało przesłuchać. Baker, Waters i ja nie mogliśmy wykonać całej pracy, więc stworzono trzy inne zespoły nadzorców. Pracowałam codziennie od świtu do zachodu słońca, a czas szybko mijał. Lubiłam wpisywać nazwiska do Księgi Negrów, rejestrować to, w jaki sposób ludzie otrzymali wolność, ile mieli lat i gdzie się urodzili: w Karolinie Południowej, Georgii i Wirginii. Na Madagaskarze, w Angoli czy Bonny. Chciałam napisać o nich więcej, ale w rejestrze było za mało miejsca, a pułkownik Baker nalegał, żebym spiesznie przesłuchiwała kolejnych ludzi. Pułkownik wykazywał szczególną niecierpliwość, kiedy przychodziło do opisów; wołał krótkie określenia takie jak „krzepka dziewczka”, „blizny na twarzy”, „krzepki człek”, „naznaczony przez ospę”, „obiecujący człek”, „pospolity człek”, „zmęczony”, „jednooki”, „żwawa dziewczka”, „nieuleczalnie chromy”, „obiecujący chłopiec” czy „zdrowe dziecko”. Nie podobały mi się te opisy, ale lubiłam to, w jaki sposób ludzie śledzili ruch mojej dłoni, gdy zapisywałam ich nazwiska, i to, jak prosili, bym po zakończeniu przeczytała im je na głos. Podekscytowana wyobrażałam sobie, że za pięćdziesiąt lat ktoś może odnaleźć w Księdze Negrów swojego przodka i powiedzieć: „To mój dziadek”.

W czerwcu wysłano mnie do Canvas Town, bym przekazała Negrom, iż na północnej rzece Hudson czeka na nich kolejne siedemnaście statków.

Na Wolnym Brytyjczyku, który kontrolowaliśmy 13 czerwca, wpisaliśmy na listę trzydzieści cztery osoby, wszystkie były najemnymi sługami. Choć jedna z młodych kobiet wydawała się przerażona tym, że wyjeżdża ze swoim panem, nie mogłam zrobić nic poza wpisaniem do rejestru słów podyktowanych mi przez pułkownika Bakera.

„Sarah Johnson, 22, krępa dziewczka. Naj. sługa Donalda Rossa. Dawniej niewolnica Burgessa Smitha z Lancaster County, opuściła go z wpisanym powyżej mężem Thomasem Johnsonem”. Ten sam Donald Ross zabrał na statek pięcioro najemnych sług.

Kiedy zeszedliśmy z Wolnego Brytyjczyka, zapytałam Bakera:

– Czy „najemny” to inne słowo oznaczające niewolnika?

– Nie – odparł. – Kontrakt podpisuje się z własnej woli. Na określony czas w zamian za pieniądze, zakwaterowanie i jedzenie.

Przebyłam tak długą drogę do wolności, że nie mogłam sobie wyobrazić, iż się na coś takiego zgadzam.

W lipcu z nowojorskiego portu wypłynęło kolejnych pięćdziesiąt statków, unosząc ze sobą ponad osiemset mężczyzn, kobiety i dzieci. Na statku kierującym się do Saint John podniosłam wzrok znad księgi, żeby zarejestrować kolejną osobę czekającą w kolejce, i znalazłam się twarzą w twarz z Rosettą oraz jej córką. Wiedziałam, że najęła się do pracy jako kucharka w brytyjskich koszarach. Chciałam zeskoczyć z krzesła i je uściskać. Bałam się jednak, że pułkownik i jeden z nadzorców przeszkodzą mi, jeśli pomyślą, że pomagam przyjaciółom. Szybko spojrzałam jej w oczy, a Rosetta delikatnie pokręciła głową. Ona także nie chciała, by ją nakryto. Odchrząknęłam więc i przystąpiłam do pracy. Spojrzałam na trzymany przez nią certyfikat, zapytałam ją o nazwisko i wiek, po czym wróciłam do wypełniania rejestru.

– Proszę się pospieszyć, panno Diallo – pouczył mnie Baker. – Jeśli jest wolna, proszę dopisać na dole, że podróżuje sama.

„Rosetta Walcott, 21, krzepka dziewczyna, podróżuje sama. Mówi, że przeszła na stronę brytyjską sześć lat temu. Certyfikat generała Bircha”.

„Adriana Walcott, 8, córka Rosetty. Zdrowa dziewczyna”.

Od tej chwili za każdym razem, kiedy rejestrowałam kobietę, która służyła w brytyjskich szeregach jako młoda dziewczyna, a teraz podróżowała sama z dzieckiem, zastanawiałam się, czy nie ucieka ze Świętej Ziemi, i w głębi duszy miałam nadzieję, że jej się uda.

Dokonaliśmy także inspekcji Negrów na statkach kierujących się do Quebecu, Niemiec i Anglii. Z początku zazdrościłam Negrom płynącym do Anglii, bo wiedziałam, że stamtąd odpływają statki do Afryki. Ale okazało się, że wszyscy Negrzy płynący do Europy są własnością brytyjskich lub heskich oficerów powracających do domu po wojnie. Niektórzy Negrzy należeli do oficerów od lat, innych porwano z plantacji na południu, a Brytyjczycy na nowo wcielili ich do niewoli na własne potrzeby. Wkrótce moja zazdrość zamieniła się w litość.

„David, 10, obiecujący chłopiec. Niemcy są miejscem zamieszkania uprawnionego generała M. Kospotha. Chłopiec podróżuje z generałem, który sprowadził go do Filadelfii. Nie pamięta, gdzie mieszkał poprzednio”.

Powyższe słowa kazał mi zanotować pułkownik, ale na pokładzie Łani udało mi się krótko porozmawiać z Davidem. Powiedział mi, że generał Kospoth i jego hescy przyjaciele zabrali go i innych niewolników z plantacji tytoniu.

– Tylko zwięzłe informacje, Meeno – powiedział Baker, dyktując mi odpowiedź.

Przez cały ten czas Chekura wykazywał niezwykłą cierpliwość. Za pięć szylingów tygodniowo zamiatał brytyjskie koszary i wynosił wiadra ze śmieciami na gnijące nabrzeże nad rzeką. Każdego dnia budziliśmy się na dwie godziny przed świtem, żeby się przytulać, głaskać i opowiadać sobie historie o tym, co przydarzyło się nam w ciągu tych dwudziestu siedmiu lat w Ameryce. Nigdy nie skończyły się nam opowieści. Chciałam wiedzieć o nim wszystko i opowiedzieć mu wszystko to, co przeżyłam. To, że mój mąż znał historię mojego życia, przynosiło mi ukojenie.

Przypuszczam, że nasze dziecko poczęło się 15 sierpnia 1783 roku. Po sposobie, w jaki mój mężczyzna wniknął głębiej we mnie i w jaki oboje zadrżeliśmy i wybuchliśmy, wiedziałam, że spłodziliśmy drugie dziecko. Był wczesny poranek. Koguty w brytyjskiej zagrodzie nie zaczęły jeszcze pisać.

– Chciałabym, żebyśmy wyjechali stąd najszybciej jak się da – powiedziałam, oplatając go nogą. – Marzę o prawdziwym życiu z tobą, mężu.

Chekura położył obie dłonie na moich policzkach i przesunął palcami po moich księżycach.

– To, co mamy teraz, jest prawdziwe – odparł.

– Ale Brytyjczycy obiecali, że w Nowej Szkocji będziemy wolni – wyjaśniłam.

– Nie zapominaj o tych wszystkich niewolnikach i sługach, których wpisałaś do tego rejestru. Porwano ich buntownikom i trafili do niewoli u Brytyjczyków. Może dotrzemy do ziemi obiecanej, a może nie, wiedz jednak, że gdziekolwiek się znajdziemy, nie będzie nam łatwo. Prawda jest taka, że to nigdy nas nie powstrzymało.

– Od czego?

– Od tego – powiedział i raz jeszcze przycisnął wargi do moich.

Do końca lipca z Nowego Jorku odpłynęło tyle statków, że Canvas Town zaczęło się kurczyć. Byłoby to pocieszające, gdyby nie fakt, że łowcy niewolników z coraz mniejszym trudem mogli napadać na teren miasteczka. Zostawało coraz mniej miejsc, gdzie moglibyśmy się ukryć, i o wiele mniej Negrów, którzy mogliby się wzajemnie bronić. Grupy białych mężczyzn coraz zuchwalej wyłapywały czarnych – zbiegłych niewolników lub wolnych. Gdybyśmy wraz z Chekurą nie mieszkali w brytyjskich koszarach, groziłoby nam większe niebezpieczeństwo. Jednak i tak nie czułam się pewnie. Im dłużej przebywaliśmy tutaj, pomagając innym odzyskać wolność, tym bardziej prawdopodobne było to, że sami ją utracimy.

Kiedy we wrześniu wypłacano mi cotygodniową pensję, zapytałam pułkownika Bakera, czy Chekura i ja możemy wyjechać.

Baker spojrzał na mnie znad księgi rachunkowej.

– On może wyjechać w dowolnym momencie – powiedział, wskazując głową na

Chekurę. – Ale ty musisz zostać do końca. Potrzebujemy cię, Meeno. Taką zawarliśmy umowę. Zatrudniliśmy cię, więc zostaniesz do końca.

– Kiedy nastąpi koniec?

– Przed upływem roku.

W październiku z Nowego Jorku wypłynęło kolejne pięćdziesiąt statków. Bez ostrzeżenia czy słowa wyjaśnienia przeniesiono mnie do nowej grupy inspektorów. Wraz z nimi przez cały dzień rejestrowałam Negrów na statku La Aigle kierującym się do Annapolis Royal w Nowej Szkocji. Wielu z nich miało dokumenty potwierdzające służbę w brytyjskiej kompanii zbrojnej zwanej Czarnymi Pionierami.

„Joe Mason, 25, krzepki chłop, Czarni Pionierzy. Wcześniej sługa Samuela Asha na Edisto w Karolinie Południowej. Opuścił go w kwietniu 1780 roku”.

„Prince, 30, pospolity chłop o drewnianej nodze, Czarni Pionierzy. Dawniej sługa pana Spoonera z Filadelfii, opuścił go w 1777 roku”.

Ludzie zjawiali się w grupach tworzonych przez rodziny, mężczyźni służących razem w wojsku, kucharki lub praczki pracujące dla tego samego pułku lub osoby, które lata temu uciekły od tego samego pana z Charles Town, wyspy Edisto czy Norfolk. Wśród nich byli dziewięćdziesięcioletni staruszkowie i noworodki, zdrowi żołnierze i umierający ludzie. Byli tacy, którzy nieśli innych i których prowadzono za rękę.

„Sarra, 42, pospolita dziewczka, ślepa, Czarni Pionierzy. Dawniej niewolnica lorda Dunmore’a, opuściła go w 1776 roku”.

– Jak straciłaś wzrok? – zapytałam szeptem.

– Mieszałam ług na mydło, kiedy wszystko wybuchło – odparła. – Nieopodal mnie stał żołnierz, który właśnie przekazywał mi mundur, nakazując go delikatnie wyprać. Zginął tak, jak stał, więc chyba miałam szczęście.

– Musiało cię to nieznośnie boleć.

– Znam gorszy ból – odparła. – Powiedz no, jesteś Murzynką?

– Afrykanką.

– Zapisujesz to wszystko?

– Takie mam zadanie – potwierdziłam.

– Chwała Bogu, dziewczyno. Chwała Bogu. Zawsze chciałam się nauczyć czytać. Teraz mogę się tylko nauczyć śpiewać.

– Twoim właścicielem był lord Dunmore? – zapytałam.

– Tak jest.

– Ten sam lord Dunmore, który wydał proklamację? Tę pierwszą, w której mówił, że otrzymamy wolność, jeśli staniemy u boku Brytyjczyków?

– Ten sam – odrzekła. – Gubernator Wirginii musi mieć swoich niewolników.

– Teraz jesteś wolna, Sarrah, i płyniesz do Annapolis Royal.

- Nie wiem, gdzie to jest, ale brzmi ładnie.
- To miejsce u wybrzeża Nowej Szkocji. Czekają cię dwa tygodnie rejsu na statku.
- Wydajesz się taka mądra – oznajmiła kobieta. – I założę się, że jesteś ładna.

Nachyliłam się, żeby powiedzieć jej coś, czego nie zdradziłam jeszcze nikomu poza mężem. Upewniłam się, że nikt nas nie słyszy.

- Będę miała dziecko.
- Dziecko to cud – odparła Sarrah. – Zwłaszcza w tych czasach. Twój mężczyzna jest z tobą?

- Tak.
- Chwała Panu. Płyniesz z nami, dziecino?
- Nie tym statkiem. Mam nadzieję, że niedługo wyruszę.
- Bezpiecznej podróży, dziewczyno. I uważaj na oczy.

Pewnego zimnego poranka w październiku, gdy skończyliśmy się kochać i leżeliśmy ze splecionymi dłońmi, Chekura powiedział mi, jak stracił koniuszki palców.

– Przeprowadzałem Brytyjczyków kanałami u wybrzeży Karoliny. Napadali na wszystkie plantacje, jakie napotykali na swojej drodze. Strzelali do buntowników. Kradli noże, kurczaki, świnie i srebro. Zabierali łupy w postaci niewolników, a innych zamieniali w pomocników takich jak ja. Zobowiązali się, że wyzwolą wszystkich, którzy im pomogą. Ale kiedy nadszedł czas ewakuacji Charles Town, Brytyjczycy zabrali tylko niektórych Negrów. Obiecali wziąć więcej, ale jak zwykle kłamali. Wiedziałem, że jeśli się stamtąd nie wydostanę, mężczyzna w Beaufort County i tak ukarze mnie za próbę ucieczki z Brytyjczykami. Angielscy żołnierze zaczęli podnosić kładkę. Razem z jakimś mężczyzną wskoczyliśmy do wody, nie zdjawszy ubrań. Od statku dzieliło nas zaledwie kilka stóp. Próbowaliśmy wejść po drabinie, ale mężczyźni na pokładzie grozili, że nas zastrzelą, jeśli jej nie puścimy. Nie uwierzyłem. Służyłem im przez kilka miesięcy. Wciąż pieliśmy się po drabinie, nie zważając na to, że dwóch marynarzy na pokładzie wymachuje kordelasami. „Puszczajcie!”, wołali, ale my wspinaliśmy się dalej. Ostatecznie nikt do nas nie strzelił. Ale kiedy mój towarzysz złapał za ostatni szczebel, jeden z żołnierzy odrąbał mu palec. Mężczyzna krzyczał, spadając do wody, i nie przestawał krzyczeć, gdy wynurzył głowę. Obiema dłońmi złapałem się relingu. Jeden z marynarzy zranił mnie w lewą rękę i odciął dwa koniuszki palców, ale trzymałem się zdrową dłonią. Postanowiłem, że prędzej utonę, niż wrócę do swojego właściciela. Złowiłem spojrzenie jednego z marynarzy. Już kiedyś go widziałem. Handlowałem z nim na wybrzeżu. Wyraz jego twarzy się zmienił, on także mnie rozpoznał. Wciągnął mnie na pokład, owinał dłoń płótnem i zabrał ze sobą. Przez cały czas na morzu miałem gorączkę, ale nie przestawałem o tobie myśleć. Kiedy dotarliśmy do Nowego Jorku, wypuszczono mnie w Brooklyn Heights. Mieszkałem tam, dopóki nie usłyszałem o Canvas Town. Postanowiłem cię odszukać.

Tęskniłam za Chekurą od pierwszych dni w Ameryce i nie chciałam spędzić bez niego już ani jednego dnia. Choć dużo pracowałam, wczesne poranki należały do nas i tylko do nas. Kochaliśmy się i rozmawialiśmy.

– Pozwól, że porozmawiam z dzieckiem, które nosisz – poprosił i zbliżył usta do mojego pępka.

– Sio! – prychnęłam.

– Nie, pozwól mi coś powiedzieć. Chcę jej przekazać kilka słów.

Uśmiechnęłam się do mojego mężczyzny. Przypomniałam sobie opowieść o tym, że ojciec postąpił tak samo, gdy siedziałam w brzuchu mamy.

– Trzymaj się mamy, dziewczynko – wyszeptał Chekura do mojego pępka.

– Myślisz, że to dziewczynka?

– Oczywiście, że tak. Twój papa jest niedobry, więc nie opuszczaj mamy na krok.

– Papa wcale nie jest zły – odparłam. – Jest zupełnie dobry.

– Papa jest podróżnikiem – powiedział Chekura.

– Wszyscy nimi jesteśmy – odrzekłam. – Wszyscy.

Następnego dnia w koszarach powiedziano mi, że kapitan Waters i pułkownik Baker odpłynęli do Anglii. Bez pożegnania. Bez słowa podziękowania. Bez informacji, kto będzie wypłacał mi pensję. Ani kiedy będę mogła wyjechać.

Rozmawiałam z kwatermistrzem generalnym, który okazał się zrzędlivy i niecierpliwy.

– Nie będziemy już korzystać z twoich usług – powiedział. – Przyda się nam też miejsce w koszarach. Musisz się przeprowadzić z powrotem do Canvas Town.

– A co z moją podróżą? Którym statkiem mogę odpłynąć z mężem?

Zaczął szukać czegoś na biurku i podał mi świstki papieru, nawet na mnie nie patrząc.

– Weź to – powiedział i wyprosił mnie z gabinetu.

Na naszych biletach było napisane: „Józef, odpływa 7 listopada do Annapolis Royal”.

Chekura i ja staliśmy w tłumie dwustu Murzynów na Nabrzeżu Murraya. Przytulając się w lodowatym deszczu, mieliśmy nadzieję, że w Annapolis Royal nie doświadczymy tak siarczystych mrozów i śniegu jak na Manhattanie. Pod grubym płaszczem trzymałam certyfikat, który dostałam, gdy zaczęłam pracę przy Księdze Negrów.

Na liniowanym kwadratowym kawałku papieru widniała wypisana atramentem informacja:

Nowy Jork, 21 kwietnia 1783. Ten dokument poświadcza, że jego posiadaczka Meena Dee, Murzynka pochodzenia Mandingo, przeszła w szeregi Brytyjczyków po ogłoszeniu proklamacji wydanej przez lorda Dunmore'a, gubernatora Wirginii, i sir Henry'ego Clintona, zmarłego naczelnego dowódcę Brytyjskich Sił Zbrojnych w Ameryce; poświadcza on również, że niniejsza Murzynka otrzymała zgodę Jego Ekscelencji Guya Carletona, by wyruszyć do Nowej Szkocji albo tam, gdzie uzna za stosowne. Dokument wydano na rozkaz generała brygady Bircha.

Miałam przy sobie także ciasteczka krabowe, twarde ser, dwa bochenki chleba, sześć

świeżych jabłek i cztery butelki piwa. Otrzymałam to wszystko zawinięte w gazetę od Sama Frauncesa, który przyszedł na nabrzeże, by nas pożegnać. Do tego czasu wszyscy moi przyjaciele odpłynęli – niektórzy do Saint John, inni do Annapolis Royal, a jeszcze inni do Quebecu. Nie znałam nikogo z ludzi zgromadzonych na przystani. Sam Fraunces potrząsnął dłonią Chekury, a mnie przytulił. Nie wiedziałam, jak mu dziękować. Po tym jak Chekurze i mnie kazano opuścić brytyjskie koszary, Sam pozwolił nam zamieszkać w swojej tawernie. Oznajmił, że Canvas Town jest zbyt niebezpieczne, ponieważ biali mężczyźni co noc grasują w jego okolicach. Mówiło się, że Jerzy Waszyngton zjawi się w mieście przed końcem listopada.

Kiedy Chekura i ja mieliśmy już odpłynąć, Sam nachylił się do mnie i wyszeptał, że Jerzy Waszyngton obiecał mu pracę po zakończeniu wojny. Sam został głównym kucharzem w posiadłości generała w Mount Vernon w Wirginii.

– Kiedy lojaliści podniosą ostatnią kotwicę, wyjdzie na jaw, że Amerykanie są lepsi. Nie dałaś im szansy.

– Wolę zaryzykować i wyjechać z Brytyjczykami – powiedziałam.

Sam ujął moją dłoń.

– Napisz do mnie do rezydencji Jerzego Waszyngtona w Mount Vernon.

W deszczu zawieziono nas łodziami na okręt o nazwie Józef i wysłano pod pokład, kładąc oczekiwać na przesłuchania. Przez dwa dni na statek ładowano soloną wołowinę, suszony groch, łój, wino i wodę pitną. W końcu trzech Brytyjczyków przystąpiło do inspekcji i sporządzania listy w Księdze Negrów. Nie znałam żadnego z nich. Dwóch amerykańskich oficerów uważnie śledziło każdy ich ruch. Chekurę przesłuchano przede mną.

„Chekura, 41, drobny, mówi, że służył Brytyjczykom w Charles Town, opuścił właściciela, pana Smitha z Beaufort, w 1779 roku. Ma certyfikat generała Bircha”.

Wydawało mi się, że im mniej im powiem, tym lepiej. Podałam nawet zangielszczone nazwisko, żeby nie komplikować sytuacji.

„Meena Dee, 38, urodzona w Gwinei, służyła w brytyjskich szeregach w Nowym Jorku od 1777 roku, wcześniej należała do pana Linda z Charles Town. Ma certyfikat generała Bircha”.

Wystarczyło kilka formalnych draśnień pióra po papierze i byliśmy wolni. Chekura i ja zeszliśmy pod pokład z ostatnimi Negrami poddanyymi inspekcji. Kiedy jednak Józef przygotowywał się do podniesienia kotwicy, ktoś głośno krzyknął:

– Meeno Dee, proszę tu wrócić!

Brytyjscy i amerykańscy urzędnicy naradzali się szeptem. Amerykanie wyciągnęli kawałek papieru i wyjaśniali szczegóły głównemu kwatermistrzowi.

W końcu główny kwatermistrz przemówił:

– Meeno Dee, jest do ciebie roszczenie. Musisz pójść z tymi mężczyznami.

– Ale...

– Bez dyskusji.

– Przecież mam certyfikat generała Bircha. Całe lata służyłam Brytyjczykom. Od kwietnia aż do zeszłego tygodnia pracowałam nad Księgą Negrów pod dowództwem pułkownika Bakera.

– Odpowie pani na zarzuty przed mężczyzną wysuwającym roszczenie.

– Przed kim?

– Panowie, zabierzcie tę kobietę.

Chekura złapał mnie za rękę.

– Jestem jej mężem i pójdę razem z nią.

Główny kwatermistrz zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, chłopcze. Jeśli opuścisz ten statek, gwarantuję ci, że nie wsiądziesz już na żaden inny. Jeżeli twoja żona wygra z mężczyzną roszcącym sobie do niej prawo, może wsiąść na inny okręt. Jeśli jednak ty zejdziesz z tego statku, zostaniesz w Nowym Jorku. Osobiście tego dopilnuję. Nie mam czasu na te głupoty.

– Zostań na statku, Chekuro – powiedziałam. – Wrócę.

– Nie mogę cię zostawić, żono.

– Popłynij tym statkiem. To jedyna droga. Odnajdziemy się w Nowej Szkocji. Szukaj mnie, a ja będę szukać ciebie.

Przytulił mnie. Trzymałam go za ręce, ale jego palce wyslizgnęły się z moich, kiedy ściągnięto mnie z pokładu. Sprowadzono mnie po drabinie i wsadzono do łodzi, która odwiozła mnie na Nabrzeże Murraya. Przez całą drogę nie spuszczałam Józefa z oczu. Wiedziałam, że to Solomon Lindo wysunął do mnie roszczenie. Ponad dwadzieścia lat temu doprowadził do tego, że odebrano mi syna, a teraz rozdzielił mnie z mężem. Nie lubiłam czuć w sercu nienawiści, więc próbowałam wyrzucić Linda z głowy i skupić się na wspomnieniu otaczających mnie ramion Chekury.

Tę noc spędziłam w więzieniu. Zabrano mi torbę, w której trzymałam dodatkowe ubrania i wszystkie oszczędności. Nie miałam nawet szylinga, żeby przekupić czarnoskórego strażnika. Szeptem poprosiłam go, by powiadomił o moim losie Sama Frauncesa. Obiecałam, że jeśli uda mu się to zrobić, Sam z pewnością w jakiś sposób go wynagrodzi.

Strażnik się do mnie uśmiechnął.

– I tak zamierzałem to zrobić – powiedział. – Wiem, kim jesteś.

– Tak?

– Uczyłaś moją córkę w kaplicy Świętego Pawła, a teraz świetnie czyta. Mnie też trochę nauczyła.

Następnego ranka odwiedził mnie Sam Fraunces. Zawsze był niesłychanie optymistyczny, tym razem jednak wcale się nie uśmiechał.

– Zaufałam Brytyjczykom – rzuciłam. – Obiecali, że będą nas chronić, a ja im uwierzyłam.

Sam ujął moją dłoń. Powiedział, że plantatorom, którzy zjawili się z dowodami, pozwolono zabrać uciekinierów.

– Nie mogę zagwarantować, że cię stąd wyciągnę, choć zrobię wszystko, co w mojej mocy – obiecał. – Mam jednak złą wiadomość.

– Jaką?

– Właśnie usłyszałem, że do miasta przyplłynął Solomon Lindo.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– To koniec.

– Nie poddawaj się – powiedział Sam. – Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Strażnik wyprowadził Sama z celi. Pogłaskałam się po brzuchu i wyszeptalam słowa piosenek z dzieciństwa, aby ukoić dziecko, które nosiłam w sobie. Nie chciałam się bać. Nie chciałam, by dziecko nauczyło się ode mnie strachu. Aby odpędzić ból, próbowałam sobie wyobrazić kształt ust mojej córeczki i jej pierwszy krzyk.

Po dwóch dniach w więzieniu zabrano mnie ze związanymi nadgarstkami i zakutymi w kajdany nogami do Tawerny Frauncesa, gdzie salę zebrań przekształcono w sąd nad roszczeniami.

Czekałam w towarzystwie strażnika i sędziego pokoju, który nie chciał nawet wypowiedzieć nazwiska człowieka wysuwającego do mnie roszczenie.

Drzwi rozwarły się gwałtownie i do pomieszczenia wszedł Robinson Appleby. Otworzyłam usta ze zdziwienia. Nie widziałam Appleby'ego, odkąd dwadzieścia jeden lat wcześniej opuściłam Wyspę Świętej Heleny. Był teraz łysy i miał pękaty brzuch, ale przez te lata stał się bardziej pewny siebie. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Meeno, cóż za miła niespodzianka – powiedział.

– Jak śmiesz?

– Uważaj na to, jak mówisz do swojego właściciela.

– Jedyłą rzeczą, jaką pan posiada, jest pańskie sumienie – odparłam.

– Wyrobiłaś sobie nazwisko w Nowym Jorku. Łatwo cię było wytropić.

Appleby oznajmił sędziemu pokoju, że wciąż do niego należę. Powiedział, że pożyczył mnie Solomonowi Lindowi, który ze mną zbiegł, i że później od niego uciekłam. Stwierdził, że nigdy nie zostałam uwolniona, w Nowym Jorku przebywałam nielegalnie i wciąż jestem jego własnością.

Rozłożył zniszczony kawałek papieru.

– Sir, ten dokument dowodzi, że kupiłem tę kobietę od pana Williama Kinga w Charles

Town w 1757 roku.

– Co na to odpowiesz? – zapytał mnie sędzia.

– Ta część jest zgodna z prawdą – odparłam. – Ale w 1762 roku sprzedał mnie Solomonowi Lindowi. – Czułam, że nie mam wyjścia i że muszę skłamać. – Pan Lindo wyzwolił mnie w 1775 roku.

– Gdzie twoje dokumenty?

– Zgubiłam je.

– Twierdzi, że miała dokumenty, ale je zgubiła – mruknął Appleby. – Moje roszczenie jest dobrze udokumentowane.

– Czy masz coś jeszcze na swoją obronę? – zapytał mnie sędzia.

– On kłamie.

W tej chwili do pomieszczenia wślizgnął się Sam Fraunces.

– Panie Fraunces – zwrócił się do niego sędzia – czy ma pan coś do dodania w tej sprawie?

– Wie pan, że jestem szanowanym przedsiębiorcą – odparł Sam.

– Ma pan dobrą reputację – zgodził się mężczyzna.

– W takim razie proszę chwilę się wstrzymać. Potrzebuję dwóch godzin. Próbuję zdobyć dowód na rzecz tej kobiety.

Sędzia westchnął.

– Czekają mnie dziś jeszcze trzy procesy. Przeprowadzę je. Jeśli do tego czasu nie zdoła pan przedstawić dowodu, będę musiał zawyrokować w tej sprawie.

Siedziałam w głębi pomieszczenia pilnowana przez strażnika, podczas gdy Appleby wyszedł zjeść obiad. Słuchałam roszczeń do dwóch innych Negrów, których podobnie jak mnie wyciągnięto ze statków zacumowanych w porcie. Oboje – mężczyznę i kobietę – oddano mężczyznom, którzy twierdzili, że są ich właścicielami. Czułam nienawiść do tych Amerykanów za to, że zabierają Negrów, ale największą wzdargą darzyłam Brytyjczyków. W czasie wojny wykorzystywali nas na wszystkie sposoby. Jako kucharzy. Dziwki. Położne. Żołnierzy. Ofiarowaliśmy im nasze jedzenie, łóżka, krew i życie. A kiedy pojawili się właściciele niewolników snujący swoje opowieści i przedstawiający dokumenty, Anglicy odwrócili się od nas i oddali nas Amerykanom, jak gdybyśmy byli rzeczami. Nasze upokorzenie nic dla nich nie znaczyło. Podobnie jak nasze życie.

Appleby czekał w towarzystwie dwóch silnych pomocników. Obawiałam się, że wynajął ich, by pomogli mu mnie wyprowadzić. W końcu do pomieszczenia wszedł Sam Fraunces.

– Panie Fraunces, czy udało się panu coś osiągnąć? – zapytał sędzia.

– Tak.

– W takim razie proszę przedstawić dowód.

– Już to czynię.

Sam otworzył drzwi i do sali wszedł Solomon Lindo. Solomon Lindo? Sam musiał postradać rozum. Czy to możliwe, by mnie zdradził? Chciał przypieczętować mój los? Może Lindo zaproponował mu pieniądze. Czasy były tak ciężkie, że może Sam ich potrzebował. Ale nie wydawało mi się to możliwe. W przeciwieństwie do Appleby'ego, który wpatrywał się w Linda z zaciśniętymi ustami, ten wszedł do sali, powłócząc nogami i ze spuszczoną głową. Nawet na mnie nie spojrział.

– Proszę się przedstawić – rozkazał sędzia pokoju.

– Nazywam się Solomon Lindo.

– Miejsce zamieszkania?

– Charles Town.

– Zawód?

– Kupiec.

– Ma pan nieruchomość?

– Owszem – odparł. – Dom w Charles Town i plantację indygowca na wyspie Edisto.

Doszłam do wniosku, że podczas wojny stracił zajęcie przy nadzorowaniu plantacji i z desperacji musiał założyć własną. Pomyślałam, że wolałabym umrzeć, niż nadzorować jego produkcję indygo i znów prowadzić księgi.

– Czy przybył pan do Nowego Jorku, aby przejąć tę kobietę?

– Przyjechałem, aby przedyskutować handel indygo z gubernatorem Nowego Jorku. Ale wiedziałem, że ona tu jest.

– Czyje interesy reprezentuje pan w tej sprawie? – zapytał sędzia pokoju.

– Ten człowiek – Lindo skinął w kierunku Appleby'ego – sprzedał mi Meenę Dee w 1762 roku. Oto dokumenty.

– Więc twierdzi pan, że ta kobieta należy do pana? To pan ma do niej prawo?

– Pan Appleby nie jest jej właścicielem – odpowiedział Lindo. – Ja nim jestem.

– Pan Appleby okazał już dokumenty – powiedział sędzia. – Ma pan świeższy dowód zakupu?

– Tak. Czy mam go panu pokazać?

– Panie Lindo, mam za sobą długi dzień. Proszę go po prostu przeczytać na głos.

– Wolałbym...

– Proszę czytać, panie Lindo.

Lindo odchrząknął i wyjął papier z kieszeni. Rozłożył go ostrożnie, podrapał się po brodzie, odkaszlnął i zaczął czytać.

– „Potwierdzenie zawarcia transakcji pomiędzy Robinsonem Applebym z Wyspy Świętej Heleny i Solomonem Lindem z Charles Town. Transakcja datowana na 1 lutego 1762 roku. Warunki sprzedaży Meeny, gwinejskiej dziewczki”. Czy to wystarczy?

– Proszę czytać dalej – powiedział sędzia.

– „Solomon Lindo zgadza się zakupić wyżej wymienioną dziewczkę o imieniu Meena za sześćdziesiąt funtów szterlingów i...” – W tej chwili Lindo urwał. Widziałam, jak gniecie papier.

– Nie mamy całego dnia, panie Lindo. Proszę czytać dalej.

– „...i pośredniczyć w sprzedaży Mamadu, syna Meeny. Do wspomnianej sprzedaży ma dojść w Savannah w Georgii na warunkach odpowiadających Robinsonowi Appleby’emu. Dochody ze sprzedaży syna zostaną podzielone: trzy czwarte z nich otrzyma pan Appleby, a jedną czwartą pan Lindo”.

Trzy czwarte dochodów dla jednego mężczyzny, a jedna czwarta dla drugiego. Nie chciałam zatruć serca nienawiścią, ponieważ nosiłam w sobie inne maleństwo. Właśnie dla niego pragnęłam być spokojna jak mieszkanka Bayo niosąca na głowie tobołek. Położyłam dłoń na brzuchu i czekałam, aż mężczyźni skończą rozmawiać.

– Czy umowa została podpisana i wykonana? – zapytał sędzia.

– Tak?

– I panowie mają się za dżentelmenów?

Appleby nic nie odparł. Ale Lindo uniósł dłoń, prosząc o głos.

– Sir, nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale chciałbym sprostować. Panu Appleby’emu zależało na tym, by sprzedać dziecko jednemu właścicielowi, a matkę innemu. Towarzyszyło mu obsesyjne pragnienie, by ukarać niesubordynowaną niewolnicę. Nie potrafiłem go nakłonić, by pozwolił mi odkupić oboje. Ale dzięki znacznej sumie pieniędzy, większej niż przeciętna opłata w owych czasach, przekonałem go w końcu, by sprzedał mi Meenę. Nawet na to pozwolił dopiero wtedy, gdy zgodziłem się zostać pośrednikiem w sprzedaży dziecka. Zrobiłem, co mogłem, by umieścić chłopca w rodzinie powszechnie szanowanego dżentelmena. A jeśli chodzi o Meenę, prawdą jest, że chciałem ją kupić i że planowałem skorzystać z jej umiejętności w pracy. Jednak czułem też, że lepiej będzie zabrać ją ze sobą, niż pozwolić, by trafiła na plantację ryżu w Georgii.

Sędzia pokoju potrząsnął głową.

– Panie Appleby, czy zechce pan odpowiedzieć?

– Nie mam nic do powiedzenia temu żydowi – odparł Appleby.

– Proszę pokazać mi umowę – zażądał sędzia pokoju, a kiedy Lindo mu ją podał, mężczyzna wygładził papier, uważnie przeczytał treść, oddał dokument i zwrócił się do Appleby’ego: – Panie Appleby, okrywa pan białych ludzi złą sławą. Ma pan jeden dzień na opuszczenie Nowego Jorku. Jeśli jutro w południe wciąż będzie pan w mieście, każę pana aresztować. A jeśli w ciągu trzydziestu sekund nie wyjdzie pan z tej sali, natychmiast aresztuję pana za krzywoprzysięstwo. Niech się pan wynosi.

Appleby wyszedł, nie spoglądając ani na Lindę, ani na mnie.

- Panie Lindo, może pan zabrać swoją własność – powiedział sędzia.
- Jest wolna – odparł Lindo.
- Przyjechał pan aż tutaj, żeby wyzwolić swoją niewolnicę?
- Chciałbym naprawić zło, którego dopuściłem się w przeszłości – powiedział Lindo.
- Rozkuj tę kobietę – rozkazał sędzia strażnikowi. – Może iść wolno.

Uśmiechnięty strażnik, którego córkę kiedyś uczyłam, zdjął mi kajdany. Mężczyzna dotknął mojego ramienia, po czym opuścił salę wraz z sędzią pokoju i protokolantem.

Lindo spojrział na mnie z mieszaniną szacunku i wstydu.

- Meeno – powiedział. – Czy możemy porozmawiać?

Nie byłam gotowa, by przyjąć jego żal ani podziękować mu, że zwrócił mi to, co zawsze należało do mnie. Solomon Lindo okazał się lepszym człowiekiem niż Robinson Appleby. Ale był zbrukany przez świat, w którym żył i dzięki któremu znacznie się wzbogacił. Nie chciałam go nienawidzić, ale nie potrafiłam mu też przebaczyć.

Nagle zrodził się we mnie nowy lęk, który pochłoniął moje myśli jak rozlewająca się lawa. A co, jeśli rosnące w moim ciele dziecko usłyszało o potwornościach, jakich dopuścili się ci mężczyźni, i o ich matactwach?

- Meeno – powtórzył Lindo. – Czy możemy...?
- Nie – odparłam. – Nie potrafię.

Złapałam Sama Frauncesa za ramię i wybiegłam z sali.

Aż do ostatniego dnia brytyjskiej okupacji z Nowego Jorku nie wypłynął już żaden statek. 30 listopada 1783 roku podpłynęłam łodzią do Jerzego III, zostałam przesłuchana oraz wpisana do Księgi Negrów przez mężczyznę, który mnie nie znał. Otrzymałam pozwolenie na opuszczenie trzynastu kolonii. Wiedziałam, że od tej pory będą się one nazywać Stanami Zjednoczonymi, ale nie chciałam wypowiadać tej nazwy. Naród, który twierdził, że wszyscy ludzie rodzą się równi, a jednocześnie trzymał moich braci w kajdanach, nie mógł się nazywać zjednoczonym.

Wszelki dobytek straciłam w więzieniu i wiedziałam, że w Port Roseway nie będzie na mnie czekał mąż. Miałam nadzieję popłynąć do Annapolis Royal, bo właśnie do tego portu zmierzał Chekura, ale nie odpływał tam żaden okręt i nie dano mi w tej sprawie żadnego wyboru. Miałam nogi, które wciąż były sprawne, oraz ręce, które wciąż potrafiły łapać dzieci, a w moim brzuchu rosło maleństwo. Zastanawiałam się, kto złapie moje dziecko, kiedy wstanie dla niego jasny dzień w Nowej Szkocji.

Miałam nadzieję, że będzie to Chekura.

Zniknęli wraz z moim ostatnim wydechem

Birchtown, 1783

Kiedy wpływaliśmy do portu znajdującego się na krańcu dziewięćmiłowej zatoki, poczułam, że na twarzy osiada mi śnieg, a nad górną wargą zbiera się warstewka lodu. Ujrzałam rozsypany na wybrzeżu granit. Łąd porastały olbrzymie sosny i gęste lasy, a w zupełnie nowym miasteczku roiło się od ludzi. Powiedziano mi, że płyniemy do Port Roseway, ale znak na nabrzeżu głosił, że przybiliśmy do Shelburne.

Zapłaciłam dwie ceny za rejs ostatnim statkiem przewożącym lojalistów z Nowego Jorku – mój mąż odpłynął przede mną, podobnie jak pozostali wolni Negrzy, którym pozwolono odjechać z Brytyjczykami. Z pokładu Jerzego III zeszło sześciu innych Negrów, ale wszyscy byli niewolnikami lub najemnymi sługami i towarzyszyli im właściciele.

A więc to była ziemia obiecana?

Opuściłam nabrzeże i spacerowałam po miasteczku, szukając Chekury. Może dowiedział się, dokąd płyną ostatnie statki z Nowego Jorku? Może przybył, by położyć dłoń na moim rosnącym brzuchu i powitać dziecko, które spłodził? Wokół nie dostrzegłam jednak żadnej znajomej twarzy. Większość ludzi była biała. Mijali mnie, jakbym nie istniała.

Biała kobieta w czepku i długim płaszczu zbliżała się do mnie na Water Street.

– Czy znajdujemy się w Port Roseway? – zapytałam.

Minęła mnie, nawet się nie zatrzymując, by na mnie popatrzeć.

W Nowej Szkocji było chłodniej niż w Charles Town i jeszcze chłodniej niż w Nowym Jorku.

W tej chwili ukryłam myśli o Chekurze i postanowiłam znaleźć nocleg oraz pożywienie, które mogłoby posilić małą osóbkę rosnącą w moim wnętrzu.

Weszłam do kawiarni Merchant's i zapytałam o zakwaterowanie oraz pracę. Potężny mężczyzna złapał mnie za ramię i pociągnął w stronę drzwi.

– Nie obsługujemy czarnuchów – powiedział.

– Nie proszę, by mnie obsłużono – odparłam. – Chcę tylko...

– Wynocha – warknął. – Miejsce dla takich jak ty jest w Birchtown.

Kiedy znów znalazłam się na Water Street, rozglądałam się na boki w poszukiwaniu pomocy. Gdy przywieziono mnie na Wyspę Świętej Heleny, do Charles Town, a nawet do Nowego Jorku, nie musiałam się martwić o to, gdzie będę spać ani co zjem. Tu nie miałam niczego ani nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Kiedy jednak wybierałam wolność, liczyłam się z brakiem bezpieczeństwa, i mimo wszystko za nic w świecie bym jej nie

oddawa.

W kark uderzyło mnie coś, co ciężarem przypominało chrząszcza. Ale na wietrze unosił się grudniowy śnieg, więc było zbyt zimno dla owadów. Odwróciłam się i znów zostałam uderzona – tym razem dwukrotnie, w twarz. Złapałam coś na policzku i przytrzymałam przedmiot dłonią. Był to orzeszek ziemny. Po chwili dobiegł mnie śmiech. Dwóch białych mężczyzn w podartych czerwonych mundurach brytyjskiej armii przekazywało sobie butelkę. Kiedy spojrzałam wprost na nich, przestali rzucać orzeszkami, ale splunęli – jeden po drugim.

Dwa domy dalej minęłam szyld gazety „The Shelburne Crier” i otworzyłam drzwi. Niski biały mężczyzna układał czcionkę na metalowej szynie.

– Dzień dobry – powiedział, nie podnosząc wzroku znad pracy.

– Panu również życzę dobrego dnia – odparłam.

Natychmiast na mnie spojrzał i lekko się uśmiechnął.

– Wydawało mi się, że słyszę akcent z kraju o wiele cieplejszego niż ten.

Uświadomiłam sobie, że nikt na świecie nie ma takiego samego akcentu jak ja, ponieważ nikt nie mieszkał z tymi samymi ludźmi w wioskach, miasteczkach i miastach na dwóch kontynentach. Mimo wszystko lubiłam swój akcent i nie chciałam się go pozbywać.

– Czy znajdujemy się w Port Roseway? – zapytałam.

– W Shelburne – odparł. – Dopiero zeszła pani ze statku?

Miałam wrażenie, że nie przeszkadza mu to, iż jestem czarna, ani to, że mnie nie zna.

– Tak. Ale myślałam, że płynę do Port Roseway.

– Tak było. Niedawno zmieniliśmy nazwę na Shelburne.

– Te literki – powiedziałam, wskazując na to, czym się zajmował. – Są do góry nogami.

Wyglądają tak, jakby próbowało je ułożyć dziecko, któremu wszystko się pomyliło.

– Ma pani bystry wzrok. Te literki powinny być tak ułożone. Kiedy przejmuje je maszyna, powstają właściwe słowa. Chyba że trafi się błąd.

– Potrafię wyłapywać błędy. Potrzebuje pan pomocy?

Uśmiechnął się.

– Przydałaby mi się wszelka pomoc, ale nie mogę pani zapłacić. Gdzie, na niebiosa, nauczyła się pani czytać?

– To długa historia – odparłam.

– Mam czas – rzucił. – Niektórzy mieszkańcy w Shelburne będą panią ignorować, ale ja wierzę, że ludzi należy traktować według zasług. Napije się pani herbaty?

Drzwi załomotały pod wpływem podmuchu zimnego wiatru.

– Dziękuję, ale nie mogę zostać. Szukam noclegu i pracy.

Mężczyzna nazywał się Theo McArdle. Z wdzięcznością napiłam się słodkiej herbaty. Zapropozował, że pozwoli mi poprawić pierwsze teksty, które odbije na maszynie

drukarskiej, w zamian za biszkopty, herbatę, darmową gazetę i wszelkie informacje, jakie będzie mi mógł przekazać. Jeszcze zanim w czymkolwiek mu pomogłam, otrzymałam przydatną wiadomość: wolni Negrzy zamieszkiwali przede wszystkim Birtown, położone w odległości trzech mil wzdłuż zatoki. Tam też znajdowało się biuro rejestru gruntów. Podziękowałam Theo McArdle'owi i obiecałam, że wrócę.

Jedyną osobą w biurze rejestru gruntów był stary Negr siedzący na taborecie obok znaku, który głośno powiedział: „WYSZEDŁEM NA HERBATĘ”. Jego policzki były pokryte śladami po ospie, a na nosie miał okulary złożone z samych oprawek pozbawionych szkieł. Jedno oko miał mętne, ale drugie przejrzyste. W dłoni, która była pomarszczona, gruba i trzy razy większa od mojej, trzymał białą laskę z sękatą brzozy. Postukał nią delikatnie w moją stopę.

– Nie przywitasz się z kulawym starcem? – zapytał.

– Nie jesteś aż tak stary – odparłam.

Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– To bardzo miłosierne stwierdzenie. Wypowiedz jeszcze zdanie lub dwa, żeby ten chromy i ślepy człowiek znów usłyszał twój głos.

– To tu rozdają ziemię? – zapytałam.

– To zależy.

– Od czego?

Pochylił się do przodu i ujął moją rękę w swoją suchą, popękaną dłoń. Była to najszybsza dłoń, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Od całego mnóstwa spraw – odparł. – Przybyłaś z Nowego Jorku?

– Tak.

– Jesteś orientacji afrykańskiej? – zapytał.

– Jestem zorientowana – odpowiedziałam z uśmiechem.

Mężczyzna zarechotał.

– Lubię kobiety z poczuciem humoru.

– Mam maleństwo, o które się martwię, więc będę w lepszym nastroju, kiedy znajdę ciepłe miejsce na nocleg.

– Nie usłyszałam, by ktokolwiek z tobą wchodził.

– Ta mała osóbką rośnie w moim wnętrzu.

– Alleluja, siostrze! – powiedział. – Nie marnuj poranka. Nie masz czasu do stracenia. Mężczyzny, którego szukasz, tu nie ma, a nawet gdyby był, i tak by ci nie pomógł. Masz jednak szczęście, siostrze, ponieważ ja jestem Moses Wilkinson. Niektórzy nazywają mnie Kaznodzieją, ale większość woła na mnie po prostu Ojczulek Moses. Czy zostałaś już wybawiona?

– To zależy – odparłam.

- Od czego? – zapytał z uśmiechem.
- Czy wiesz, gdzie mogę się zatrzymać?
- Oczywiście. Trafiałaś na właściwego człowieka.
- W takim razie zostałam wybawiona, Ojczulku.

Rozmawiałam z Kaznodzieją, dopóki nie zjawił się silny młody człowiek, który oznajmił: „Wróciłem, Ojczulku”, i wziął go w ramiona jak niemowlę.

- Zabierz mój taboret! – krzyknął do mnie Ojczulek Moses.

Wzięłam stołek i wyszłam za nimi na zewnątrz. Młody człowiek posadził mężczyznę w dwukółce.

– Możesz nam towarzyszyć, ale będziesz musiała iść pieszo – powiedział Ojczulek Moses.

Młody mężczyzna stanął przed wózkiem i zaczął ciągnąć starca. Szłam obok Kaznodziei, podczas gdy on kolebał się naprzód.

- Idziemy do Birchtown? – zapytałam.

– Już o nim słyszałaś, co? To trzy mile w tamtym kierunku, w odwłoku tego zapyziałego portu.

Po drodze wyjaśnił mi, że niewolnicy i najemni słudzy mieszkają w mieście z białymi lojalistami, którzy byli ich właścicielami. Wolni kolorowi ludzie trzymali się jednak Birchtown. W Nowej Szkocji było tak dużo ziemi, że Bóg nie zdołałby na nią kichnąć, jak oznajmił Ojczulek Moses, ale czarnym nie przyznano jeszcze żadnej parceli.

- Przecież Brytyjczycy mówili, że dostaniemy ziemię – powiedziałam.

– Rozgość się na końcu kolejki oczekujących – odparł. – Przed tobą czeka tysiąc kolorowych. A przed nimi kilka tysięcy białych. To miejsce nosi nazwę Nowa Szkocja, ale ludzie w Birchtown wołają na nią inaczej.

- Jak?

- Nowa Szkoda.

Przypomniałam sobie, jak Chekura ostrzegał, bym realistycznie myślała o ziemi obiecanej. Zastanawiałam się, gdzie teraz przebywał, czy ma się gdzie schronić i co jeść.

- Musimy dla ciebie zapolować – oznajmił.

- Zapolować?

– Musimy zdobyć dla ciebie kilka futer. Dobrze, że są tu jelenie, łosie i niedźwiedzie, moja panno, bo biuro lojalistów nie zbawi twojej duszy ani nie ogrzeje twojego grzbietu.

Po drodze Ojczulek Moses wyjaśniał, że ludzie z Birchtown podzielili się na kompanie, a każda z nich miała przywódcę wyznaczonego do rozprowadzania racji żywnościowych i ewentualnie przydzielania ziemi.

Ojczulek Moses stał na czele metodystów w Birchtown, którzy także stanowili jedną z kompanii.

– Przyjęłaś Jezusa w swoje ramiona? – zapytał.
– Moje ramiona były zajęte, a Jezus mnie nie szukał.
– W ramionach dobre jest to, że wystarczy je po prostu otworzyć – powiedział. – Straciłem wzrok i zdolność chodzenia cztery lata temu.

– Ospa?

– Tak jest. Ale wciąż mam serce i ramiona, a Jezusowi to wystarcza. Widzisz tego chłopaka? Tego, który mnie ciągnie? Dbam o jego duszę, a on wraz z innymi pomaga mi się przemieszczać. Jezus każe nam się opiekować sobą nawzajem.

Z wózka wystawały dwa drągi. Młody człowiek stał pomiędzy nimi, trzymając po jednym w każdej ręce. Miał około szesnastu lat, był wysoki i umięśniony, a ciągnąc Ojczulka, zdawał się wcale nie męczyć.

– Dzień dobry – przywitałam się z nim.

Odwrócił się z szerokim uśmiechem, jakby tylko czekał na pozwolenie, by to uczynić.

– Dzień dobry pani. Witamy w Nowej Szkocji.

– Dziękuję – odparłam. – To ładnie z twojej strony, że pomagasz Kaznodziei.

– Ojczulek Moses i ja pomagamy sobie nawzajem.

– Jesteśmy ludem podróżników – powiedziałam.

– Amen! – wykrzyknął Ojczulek Moses.

Znów spojrzałam na chłopca i pomyślałam o tym, jak dobrze by było, gdyby mój syn żył, był silny i wyższy ode mnie. Wspaniale byłoby patrzeć, jak pomaga innym ludziom. Zastanawiałam się, jak wyglądałby teraz Mamadu, gdyby pozwolono mu ze mną zostać. Gdyby dożył tej chwili, miałby nieco ponad dwadzieścia lat.

– Jak się nazywasz, synu?

– Jason Wood. A jak panią wołają?

– Aminata.

– A... A... A... Pani imię brzmi jak jedno z tych potężnych słów w Biblii.

– Aminata – powtórzyłam. – Ale możecie nazywać mnie Meena.

Ojczulek Moses odnalazł mój kark i postukał mnie delikatnie czubkiem laski.

– Jak na dziewczynę, która nie zna Jezusa, przemawiasz jak kaznodzieja – powiedział. – Twoje słowa brzmią tak, jakby wypowiedziano je pięćset lat temu i jakbyś odczytywała je ze świętych ścian. Przydałby mi się taki głos w moim kościele. Ma ładny rytm i intonację, ale jak mawia nasz Jason: „z twoich ust wyskakują zabawne dźwięki”. Mamy teraz trochę czasu, więc opowiedz mi o sobie i o tym, skąd się wzięłaś.

Wśród obcych w trzynastu koloniach skrzętnie strzegłam swojego serca i swojej duszy, zamknawszy je na zamek. Ale Ojczulek Moses miał wyrozumiały, zatroskany głos, który wsunął się do zamka jak kluczyk. Czułam, że cokolwiek powiem, nie osądzi mnie. W pewnym stopniu pomagało mi to, że był zupełnie ślepy. Po raz pierwszy, odkąd

rozstałam się z moją przyjaciółką Georgią, zaczęłam rozmawiać z obcym człowiekiem o swoich rodzicach i o tym, czego nauczyłam się w Bayo. Opowiedziałam o tym, jak wędrowałam na wybrzeże, i o przeprawie przez morze. Ojczulek od czasu do czasu szeptał „amen” lub cicho wołał: „Bóg wysłał nas w długą podróż i zadbał o to, byśmy przetrwali!”, a ja mówiłam o tym, jak zabrano mnie do Karoliny Południowej, o tym, co tam robiłam i jak straciłam syna Mamadu. Nie chciałam, by Ojczulek Moses oczekiwał, że dam mu coś, czego w sobie nie miałam, więc wyjaśniłam, że nie mam chrześcijańskiej duszy, chociaż trochę znałam Koran i Torę i wielokrotnie czytałam fragmenty Biblii.

– Jesteśmy ludem podróżników, jak doskonale to ujęłaś, a ty jesteś największą podróżniczką spośród nas – oznajmił Ojczulek Moses.

– Amen! – zawołał Jason.

– Nawet podróżnicy potrzebują domów i kogoś, kto ich ugości – powiedział Ojczulek Moses. – Moja żona i ja mieszkamy bez luksusów, ale będziemy zaszczyceni, jeśli zatrzymasz się u nas, dopóki nie znajdziesz własnego kąta.

– Dziękuję, Ojczulku.

Łagodnie opuścił rękę na moje ramię.

– Nie proszę, byś wzięła Jezusa w swoje ramiona. Nazwijmy twoją duszę niegotową.

– Robisz dla mnie tak wiele, że możesz nazywać moją duszę tak, jak ci się podoba – odparłam.

– To, jak będziemy nazywać twoją duszę, nie ma dla mnie znaczenia – stwierdził Ojczulek Moses, uśmiechając się do mnie. – Ważne jest to, dokąd dotrze i kogo pocieszy.

Przez chwilę poruszaliśmy się w milczeniu i znaleźliśmy się w szpalerze jodeł. Las po prawej stronie zdawał się gęsty i niedostępny. Po lewej drzewa były przeredzone, a spomiędzy nich prześwitywały zimne, szare wody dziewięćmiłowej zatoki.

– Ile czasu trzeba, żeby dojść do Annapolis Royal? – zapytałam Ojczulka po dłuższym czasie.

– Nawet nie masz jeszcze ubrań na zimę, a już zamierzasz odejść.

– Tam jest mój mąż.

– Może po zimie pomożemy ci go odszukać.

– Nie mogę wyruszyć prędzej? – zapytałam.

– Tej odległości nie da się pokonać pieszo, dziewczyno.

– Pokonam każdą drogę, żeby odnaleźć męża.

– Tam nie da się dojść. Nie zimą i nie z dzieckiem. Żadne z was by tego nie przeżyło. Do Annapolis Royal trzeba popłynąć statkiem. A jeśli przypominasz resztę z nas, nie masz pieniędzy na rejs. Teraz musisz się postarać przeżyć wraz z dzieckiem. Twój mąż zadba o siebie, dopóki się nie odnajdziecie.

Próbowałam go dopytać, czy słyszał, by Józef dopłynął do Annapolis Royal, ale

Ojczulek się zniecierpliwiał.

– Nie wiem nic o żadnych statkach, które przyływają do Nowej Szkocji i stąd odpływają. Mogę tylko dbać o swoje owce.

Kiedy dotarliśmy do Birchtown, ziemię pokrywała warstewka śniegu, a w mroźnym powietrzu wirowały płatki. W okolicy mieszkało około tysiąca wolnych Negrów. Niektórzy mieli szałas, inni wykopali w ziemi jamy, które przykryli kłodami i zimozielonymi gałęziami, po czym skulili się razem, żeby przetrwać zimę.

Ojczulek Moses i jego żona Evangeline mieli szałas, w którym znajdowało się jedno pomieszczenie przedzielone zasłoną. Spali na jego tyłach, a z przodu parafianie spotykali się na osobności z Ojczulkiem Mosesem. Tam też urządziłam sobie tymczasową sypialnię.

Theo McArdle zatrudnił mnie do pisania ogłoszeń dla importerów sprzedających jedwab, tytoń, melasę, owoce, mąkę, kaczkę i rum. Dawał mi jedzenie, którym dzieliłam się z gospodarzami w Birchtown, najbardziej jednak cieszyłam się z tego, że mogę czytać teksty z „Shelburne Crier”. Przeglądałam strony w poszukiwaniu wieści z innych miejsc z nadzieją, że trafię na wzmiankę o Annapolis Royal lub tamtejszych czarnoskórych mieszkańcach. Nie znalazłam żadnych wiadomości o wolnych Negrach. Jedyne artykuły, jakie czytałam o moich ludziach, miały związek ze zbiegłymi niewolnikami. W starym numerze „Nova Scotia Packet and General Advertiser”, który Theo McArdle sprzedawał w swoim sklepie, znalazłam ogłoszenie:

PIĘĆ DOLARÓW NAGRODY

Od piszącego te słowa w sobotę 22 zbiegła murzyńska dziewczka o imieniu Dinah w wieku około dwudziestu pięciu lat. W dniu ucieczki miała na sobie biało-niebieską drelichową halkę, biało-fioletową krótką sukienkę oraz starą niebieską pelerynę. Ktokolwiek zatrzyma wymienioną dziewczkę i pomoże ją odzyskać właścicielowi, otrzyma wspomnianą nagrodę wraz z odpowiednimi opłatami. Robert Sadler, Shelburne, Mowat Street, 24 lipca 1783 roku. Niniejszym zabrania się armatorom wywozić z portu wspomnianą dziewczkę na własne ryzyko.

W Birchtown powiedziano mi, że Dinah rzeczywiście została złapana i zwrócona właścicielowi, który ją wychłostał. Uświadomiłam sobie, że jeśli przybyło się do Nowej Szkocji jako wolny człowiek, pozostawało się wolnym, choć to nie powstrzymywało amerykańskich właścicieli niewolników przed przyplłynięciem do miasta i próbą odzyskania własności. Kiedy jednak człowiek przybywał do Nowej Szkocji jako niewolnik, zakuwano go w kajdany równie szybko jak jego siostry i braci w Stanach Zjednoczonych.

W ciągu pierwszego miesiąca w Birchtown złapałam dwoje dzieci i zostałam zatrudniona przez brytyjską grupę zwaną Towarzystwem na rzecz Głoszenia Ewangelii w Obcych Krainach. Otrzymywałam trzy szylingi tygodniowo za udzielanie mieszkańcom Birchtown lekcji czytania. Uczyłam w kościele metodystów, gdzie wraz z uczniami gromadziliśmy się wokół pieca. Pracowałam, ile mogłam, by kupić cieplejsze ubrania

i niedźwiedzią skórę na łóżko. Miałam naprawdę niewiele. Nigdy wcześniej nie doświadczałam takiego braku pożywienia i wygod jak w tym kraju. Ale byłam w Nowej Szkocji i byłam wolna.

Kiedy Ojczulek Moses nie potrzebował swojego środka transportu, wszyscy korzystaliśmy z wózka, którym przewoziliśmy go z Shelburne do Birchtown. Dzięki zgromadzonym oszczędnościom udało mi się wrzucić do dwukółki trzy naręcza starego drewna, gwoździe, pniaki i skrawki płótna żaglowego. Z pomocą Jasona i trzech innych młodych mężczyzn, którym udzielałam lekcji, zbudowałam szałas. Wbiliśmy słupy w ziemię, przywiązaliśmy do nich poprzeczne belki, wypełniliśmy wolną przestrzeń mchem i kawałkami drewna, owinęliśmy całość płótnem dla ochrony przed wiatrem, a przez drzwi wtaszczyliśmy pękaty piecyk. W szałasie było miejsce tylko na łóżko, krzesło i stół, piecyk oraz mnie. Piecyk wystarczył, bym stała się obiektem zainteresowania. Byłam jedną z niewielu osób w Birchtown, która takowy miała. Dostałam go tylko dlatego, że Theo McArdle znał białego lojalistę, który właśnie otrzymał dostawę towarów z Anglii i już swojego nie potrzebował.

Podczas gdy Ojczulek Moses opiekował się naszymi duszami, jego żona Evangeline dbała o nasze żołądki. Kiedy już zadomowiłam się w swoim szałasie, poszłam do niej po zaopatrzenie przydzielone przez Brytyjczyków. Evangeline była potężną kobietą, która nosiła toporek przytroczony do pasa. Gdyby komukolwiek przyszło do głowy włamać się do jej spiżarni, musiałby się liczyć z jej gniewem. Co dzień liczyła zapasy i sporządzała listę przedmiotów, które wręczała mieszkańcom Birchtown. Ja mogłam otrzymać piłę. Młotek. Worek gwoździ. Funt suszonej fasoli, kawałek solonej wieprzowiny i woreczek ryżu lub ziemniaków.

Zawahałam się.

– Nie chcę solonej wieprzowiny – powiedziałam. – Mogę dostać coś innego?

W zamian Evangeline dała mi soloną rybę. Zapytałam, czy radzi mi wziąć ziemniaki, czy ryż.

– Weź ryż – odparła. – Łatwiej go przechowywać i starcza na dłużej. Do ryżu zawsze możesz coś dodać. Kup kilka papryk, wrzuć je do ryżu. Znajdź jakieś warzywa, dorzuć je do garnka. Tutejsi mieszkańcy zbierają z drzew lub z ziemi gorzkie jabłka i także je gotują. Jeśli ryż odpowiednio się doprawi, danie ożywa i zaczyna z tobą rozmawiać. A ziemniaki dzień w dzień są takie same. Weź ryż, dobrze ci radzę, i opiekuj się nim jak własnym dzieckiem. Szczelnie go otul i nie pozwól, by zmókł.

Evangeline była pobożną kobietą. Wierzyła, że kłopoty, które Negrzy ściągali na siebie w nocy, są ich winą. Uczestniczyła w każdym nabożeństwie odprawianym przez męża i wzywała do natychmiastowego ukarania kolorowych, których przyłapano na picciu lub tańcach z naruszeniem wydanego w Shelburne oficjalnego zakazu „zabaw wśród Negrów”.

W Sądzie Cywilnym w Shelburne mieszkańców Birchtown raz w miesiącu skazywano na różnego rodzaju kary: chłostę za tańczenie na zabawie Negrów czy baty za pijaństwo lub włóczęgostwo. Pewien Negr, który ukradł bochenek chleba i uderzył pięścią właściciela sklepu, gdy ten próbował go powstrzymać, otrzymał po dwadzieścia batów na każdym z trzech skrzyżowań na Water Street. Przy pręgierzach usytuowanych na rogach ulic William, Charlotte i Edward gromadziły się tłumy, które wiwatowały i rzucały orzeszkami, podczas gdy karanych okładano batami za różnego rodzaju przestępstwa. U podnóża Charlotte Street na szubienicy powieszono kobietę za kradzież sreber należących do mężczyzny, u którego terminowała. Zbiegłych niewolników, których pochwycono, przyprowadzano na rozprawę i zawsze zwracano właścicielom, chociaż w Birchtown doskonale ukrywaliśmy zbiegów i pomagaliśmy się im wtopić w naszą masę, jak gdybyśmy byli rodziną.

W pierwszych miesiącach mieszkańcy Birchtown niczego nie mieli. Z rąk do rąk nigdy nie trafiła żadna moneta. Gdy pomogłam pewnemu mężczyźnie napisać list do żony w Bostonie, on pomógł mi podeprzeć jedną z rdzewiejących żelaznych nóg mojego pękatego piecyka. Gdy złapałam bliźniaki osiemnastoletniej dziewczyny z Georgii, którą wpisałam do Księgi Negrów w Nowym Jorku, jej mąż wyrąbał i pociął na kawałki cztery drzewa w lesie, aby powiększyć i wzmocnić mój szałas. Ludzie w Shelburne płacili mi, kiedy dla nich pracowałam, a ja potrzebowałam ich pieniędzy, żeby zakupić towary w mieście. Ale mieszkańcy Birchtown mieli tak mało, że niektórzy z nich wymieniali ubrania na jedzenie. Matka Jasona – chłopaka, który ciągnął Ojczulka Moseesa w wózku do Birchtown – musiała zabić własnego psa po tym, jak przez dwa dni nic nie jadła. Kobietę, która chwaliła mi się, że przyjechała do Nowej Szkocji wolna, dopadły tak wielkie zimno i głód, że postawiła krzyżyk na umowie i na dwa lata oddała wolność w zamian za obietnicę pokoju i utrzymania, a po wygaśnięciu umowy – pensję w wysokości pięciu funtów.

Opowiadałam rosnącemu we mnie dziecku o swoich perypetiach.

– Dzieciatko moje – mówiłam. – Nigdy nie zostanę najemną sługą. Mamy dość, by przeżyć. Pierwszą rzeczą, jakiej się ode mnie dowiesz, będzie to, skąd pochodzi twoja mama i kim są twoi ludzie. Drugą rzeczą, jakiej cię nauczę, będzie czytanie i pisanie. Myślisz, że zdołasz się tego nauczyć mniej więcej w tym samym czasie, kiedy postawisz pierwsze kroki?

Ilekróć słyszałam, że ktoś z Annapolis Royal odwiedza Shelburne, pytałam, czy słyszał o Józefie lub czy spotkał Chekurę. Nikt nie potrafił mi pomóc. Przekazałam listy dwojgu lub trojgu ludziom, którzy płynęli statkiem do tego miasta, i prosiłam, by rozdawali je w tawernach odwiedzanych przez czarnych lojalistów. Ale nie otrzymałam żadnych wieści. Annapolis Royal leżało zbyt daleko, by wybrać się tam pieszo, a nie miałam pieniędzy, by

opłacić podróż statkiem. Staralam się też przeżyć i zachować zdrowie dla rosnącego we mnie maleństwa. Gdziekolwiek był Chekura, wiedziałam, że chce, bym zadbała przede wszystkim o nasze dziecko.

*

Droga z Shelburne do Birchtown była długa, trudna i błotnista. Zajmowała dobre dwie godziny, jeśli szło się z kopyta, możliwie jak najszybciej poruszając nogami. Nie mieliśmy koni ani furmanek – nie mieliśmy niczego oprócz własnych stwardniałych stóp, które pomagały nam się przemieszczać. W Birchtown poza barakami, namiotami i jamami w ziemi mieliśmy też muzykę, śmiech i kościoły. Ilekroć nadarzała się okazja, przynosiliśmy rum i żytniówkę. W tawernach w Shelburne nie można było bezpiecznie pić, ale żaden biały człowiek nie sprzeciwiał się zabawom w Birchtown. Biali ludzie rzadko odwiedzali naszą wspólnotę.

Nocą w Birchtown wiele kobiet i mężczyzn przenosiło się z łóżka do łóżka. Mimo zrządzenia Evangeline Wilkinson, która mamrotała coś o grzechu cudzołóstwa, pary schodziły się i rozstawały, zmieniały partnerów i znów się łączyły. Przechadzając się błotnistymi uliczkami Birchtown, słyszałam niskie postękiwanie i wysokie jęki, które nocą dochodziły z szałasów, a za dnia z kaplicy. Ojczulek Moses często nawoływał z ambony, by za dnia ludzie zachowywali większą wstrzeźliwość i ofiarowali Jezusowi więcej „cichych nocy” – zawsze jednak na próżno.

Podczas mojej pierwszej zimy w Nowej Szkocji przez Birchtown przeszła epidemia. Gdy ziemia była zbyt zmrożona, by w niej kopać, zwłoki wrzucano prosto do bagna. Ci, którzy przeżyli, zabierali ubrania zmarłych i modlili się, by śmierć przyszła po nich w cieplejszych miesiącach, gdy miękkie podłoże pozwalało na godny pochówek.

Złapałam jeszcze czworo dzieci, ale dwoje z nich zmarło w pierwszym miesiącu życia. Zastanawiałam się, czy jakiegokolwiek dziecko może przeżyć w takiej pogodzie, i cieszyłam się, że moje maleństwo miało przyjść na świat dopiero wiosną. Ludzie w Birchtown nie mieli pieniędzy ani dóbr, którymi mogliby zapłacić za moją pomoc, ale ofiarowali mi królika i potrawkę ziemniaczaną, bo w Birchtown zawsze znajdowało się kilka korców ziemniaków, a młodzi potrafili tropić śnieżnobiałe króliki.

Kiedy w Shelburne złapałam dziecko białej kobiety, która oznajmiła, że lekarz w mieście to szarlatan żądający dwóch funtów, otrzymałam dwa bochenki chleba, dwadzieścia jabłek, torebkę ryżu i stare sanie. Położyłam jedzenie na saniach i zaciągnęłam je do Birchtown. Jason umocnił zaprzęg i zawiązał mocniejszy sznur, dzięki czemu łatwiej było mu ciągnąć Ojczulka Mosesa w głębokim śniegu.

Dwa razy w tygodniu uczestniczyłam w nabożeństwach Ojczulka. Opierając się na ambonie, tak by stać bez niczyjej pomocy, grzmiał i krzyczał, aż jego głos stawał się chrypiący. Czasem jego oczy wywracały się białkami do góry, a on upadał w ramiona

stojących za nim diakonów. Wyznawcy podskakiwali w kościelnych ławkach, miotali się i upadali. Nigdy nie poczułam, że rodzę się na nowo, ale podczas gdy inni doświadczali ekstazy, ja myślałam o ojcu czytającym Koran i zastanawiałam się, co by pomyślał o takich napadach pobożności. Myśli o ojcu rodziły myśli o matce i gdy mieszkańcy Birchtown zwisali w ramionach sąsiadów i wyśpiewywali chwałę Jezusowi, ja siedziałam w ławce i pozwalałam, by mój smutek wzbierał jak woda. Słowa takie jak „Chwalcie Pana” i „Alleluja, siostrzo” czerpałam z własnej studni bólu. Byłam pewna, że nikt nie zawstydzi mnie troską. Tej zimy wielokrotnie padałam na kolana i wołałam imiona rodziców, syna i męża, wzywając ich tak, jakby zniknęli wraz z moim ostatnim wydechem. Otaczałam ramionami brzuch i kołysałam się w przód i w tył, modląc się o dar zdrowego dziecka.

Tego wiosennego dnia, kiedy rozpoczął się mój poród, większość mieszkańców Birchtown wyszła na spotkanie okrętowi, który przybił do nabrzeża Shelburne. Wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni o zdrowych plecach i sprawnych ramionach mogli zarobić dwa szylingi za dźwiganie pudeł i skrzynek od rana do wieczora.

Nie chciałam rodzić w samotności. Nie wiedziałabym, co zrobić, gdyby coś poszło nie tak. Albo gdybym potrzebowała pomocy. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem w Bayo, ludzie mówili, że na każdego noworodka złapanego przez matkę spada nieszczęście.

Gdy zapukałam do drzwi Kaznodziei, nikt nie odpowiedział. Pociągnęłam za nie i patrzyłam, jak kołyszą się na zardzewiałym zawiasie.

– Ojczulku! Evangeline!

Evangeline, która co rano ubierała i goliła męża, nie było we frontowym pomieszczeniu. Z głębi szafasu dobiegało chrapanie Ojczulka Mosesa.

– Ojczulku! Evangeline!

Odciągnęłam zasłonę. Kaznodzieja leżał w pełnym stroju na przykrytym kocami łóżku. Był sam. Na stoliku obok stała filiżanka herbaty. Była letnia. Uznałam, że Evangeline ubrała męża, zaparzyła herbatę i wyruszyła, by cały dzień pracować w Shelburne.

– Ojczulku!

Mężczyzna gwałtownie usiadł.

– Kto tam?

– To ja, Meena.

– Co to za pora dnia?

– Ranek.

– Co robisz w mojej sypialni, kobieto?

– Nadszedł mój czas, Ojczulku.

Miałam wrażenie, że mnie nie słyszy albo nie rozumie.

– Gdzie moja żona?

– Wygląda na to, że już cię ubrała i zrobiła ci herbaty, Ojczulku.

– A tak, tak, masz rację. Jest dziś w Shelburne. Gdzie moje okulary? – zapytał.

Wyjęłam okulary ze skrzynki i położyłam mu je na dłoni. Mężczyzna nałożył je na nasadę nosa.

– Powtórz no, czemu tu dziś przyszłaś.

– Jestem gotowa, by urodzić dziecko.

W kościele Kaznodzieja był tak energiczny i żywotny, że wierni tracili nad sobą panowanie, gdy walił w ambonę i opowiadał o Mojżeszu wyprowadzającym Żydów z niewoli. „Zostali wybrani, by osiedlić się w Palestynie. My także jesteśmy ludem wybranym. Nam także, bracia i siostry, jest przeznaczona wolność. Właśnie tu, w Birchtown w Nowej Szkocji”, mówił. Ale w domu bez żony, która by się nim opiekowała, mężczyzna, na którego słowa parafianie podskakiwali i krzyczeli, wydawał się kruchy.

– Jeśli nadchodzi twoje dziecko, musimy się przygotować. – Ojczulek Moses zwiesił nogi z łóżka. – Idź i przyprowadź chłopców, żeby mnie podnieśli.

Wysłałam i po kilku minutach wróciłam z czterema chłopcami, którzy zostali w Birchtown, by opiekować się młodszym rodzeństwem. Wynieśli Ojczulka Mosesa z szalasu i położyli go na wspólnym wozie, a następnie dociągnęli go do mojej chaty. Wnieśli mężczyznę do środka i posadzili go na przyniesionym przeze mnie stołku.

Gdy znów znaleźliśmy się sami, powiedziałam:

– Nie wiem, czy sobie poradzę.

– Niech twe serce nie trwoży się ani nie troszczy.

Zachichotałam.

– Czy przez cały poród będziesz mówił tak, jakbyśmy byli w kościele?

Ojczulek Moses rozprostował nogi i postukał laską w ścianę.

– Raczej nie. Nie martw się, dziewczyno. Jesteś krzepka jak potężne drzewo.

– Czułabym się lepiej, gdyby kobiety niedługo powróciły z Shelburne.

– Już od jakiegoś czasu chciałem cię o coś zapytać.

– Pytaj więc.

Ojczulek Moses zwrócił ku mnie twarz, jak gdyby mnie widział.

– Czy kiedy to dziecko zrodziło się w twoim brzuchu, byłaś mężatką?

– Oczywiście, że tak. Mój mąż ma na imię Chekura. Już ci mówiłam, że miałam z nim przybyć do Annapolis Royal, ale musiałam opuścić statek, a on odpłynął. Nie wiem, gdzie przebywa. Nie wiem nawet, czy dopłynął do Annapolis Royal, ale miałam nadzieję, że dziś się zjawi.

– Dziś?

– Tak. Taką miałam nadzieję.

– Gdyby się tu wybierał, już dawno by tu był. Wierz mi. Znam mężczyzn.

– On przybędzie – odparłam. – Po prostu to wiem.
– Skąd ta pewność?
– Muszę w coś wierzyć – powiedziałam.
– Amen.
– A teraz pozwól, że ja cię o coś zapytam.
– Pytaj, proszę.
– Skoro jesteś ślepy, dlaczego nosisz okulary?
– Lubię czuć ich ciężar na nosie, poza tym nadają mi pewną powagę.
– Ale przecież nie mają szkieł.
– Wypadły już po tym, jak zachorowałem na ospę. Nigdy nie zadbałem o to, by je wymienić.

– Jak wygląda to, co masz wewnątrz oczu?
– Nijak – odparł. – Nic nie widzę. Ani światła, ani ciemności. Czuję się tak, jakbym wcale nie miał oczu, ale pamiętam, jak wyglądają różne rzeczy.

Przez moment siedzieliśmy w milczeniu. Po chwili postawiłam na piecyku wodę w żelaznym garnku.

– Kiedy woda się podgrzeje – mówił Ojczulek Moses – możesz ją czymś zaprawić?
– Mam trochę cytryny, rumu i cukru.
– Tu, w Birchtown, nazywamy to lemoniadą kaznodziei.
– Dlaczego?
– Któregoś razu szeryf zatrzymał jednego z naszych mężczyzn na zabawie w Shelburne i zapytał go o to, co pije. Odpowiedział: „Nic takiego. To tylko lemoniada kaznodziei”.

Ojczulek Moses i ja wypiliśmy gorące napoje i przez kilka godzin rozmawialiśmy, podczas gdy skurcze przybierały na sile. Kiedy ciało było w końcu gotowe, zaczęłam przeć, ale rękami nie wyczuwałam główki. Nie wiedziałam nawet, czy jestem blisko, i zaczęłam się obawiać, że dziecko utknie we mnie na zawsze, udusi się i zabije nas oboje.

Wzięłam kolejny łyk lemoniady kaznodziei i nagle moje ciało zafalowało.

Podczas gdy Kaznodzieja trzymał mnie za rękę, jeszcze raz zaczęłam przeć i stękać. Usiadłam z podpartymi plecami i szeroko rozwartymi nogami. Jeszcze raz z całych sił zaczęłam przeć. Poczułam, jak wyslizguje się ze mnie główka, po czym wypchnęłam resztę dziecka.

Spojrzałam w dół, wzięłam w ramiona najnowszą osobkę na tym świecie, położyłam ją sobie na piersi i opadłam na plecy.

– Dobra kobieto, powiedz no, kogo wydałaś na ten świat.

Ale w tej chwili nie myślałam o Ojczulku Mosesie ani o płci mojego dziecka. Poczułam, jak moje serce uderza o pierś niemowlęcia. Delikatnie objęłam maleństwo, kładąc mu dłoń na pleckach, i przykryłam nas suchym kocem, który przygotowałam przy

łóżku. Na piersi czułam łomotanie małego serca.

Moje dzieci były niczym fantomowe kończyny

Nazwałam swoją córkę May na cześć miesiąca, w którym przysłała na świat. Urodziła się 1 maja. Czasem zbyt długo zwlekałam z przystawieniem jej do piersi, a później zbyt wolno ugniatałam gotowane ziemniaki i warzywa, a May dostawała ataków złości. Zawsze musiała być pierwsza. Nie wiedziałam, co myśleć o temperamencie mojej córeczki. Niekiedy miałam wrażenie, że w jej duszy zaległo się całe zło tego świata, które czeka, by wybuchnąć. Zanim skończyła rok, wyła i waliła mnie w plecy, żebym ją puściła i pozwoliła stawiać samodzielne kroki. Uwielbiała przebywać w ramionach innych kobiet z Birchtown, zwłaszcza pani Alverny Witherspoon, białej lojalistki, która przysłała nam z pomocą niedługo po narodzinach mojej córki. Kiedy wreszcie May nudziły się zastępcze matki i chciała powrócić w moje ramiona, wpadała w szal, jeśli jej potrzeby nie spotykały się z natychmiastową reakcją.

Gdziekolwiek szłam – uczyć, pracować w drukarni czy łąpać dzieci – mocowałam ją na plecach w chuście ze szlachetnego płótna w kolorze indygo. Mówiłam jej o wszystkim, jeszcze zanim potrafiła mnie zrozumieć. Czułam, że dźwięk mojego głosu wszystko jej wynagradza – brak ojca i tradycji, którą poznałaby w mojej wiosce. Wyjaśniałam jej nawet, że motam ją w chustę, którą kupiłam w sklepie Wszystko na Świecie w Shelburne, i że tylko kilka sklepów w mieście obsługiwało Negrów.

– Musisz wiedzieć, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie – wyjaśniałam.

Zanim poznałyśmy się z Alverną Witherspoon, kobieta wielokrotnie odwiedzała zakład Theo McArdle'a. Jej mąż prowadził przedsiębiorstwo wielorybnicze, a pani Witherspoon kilka razy w miesiącu przynosiła ogłoszenia do gazety. Obsługiwał ją McArdle, podczas gdy ja pracowałam na zapleczu. Poprawiałam błędnie wstawione „p” i „q” oraz inne błędy ortograficzne na szynach z literkami ułożonymi do góry nogami i gotowymi do druku. Kiedy jednak któregoś dnia sama pracowałam nad właściwym ułożeniem czcionki, do zakładu weszła pani Witherspoon.

– Czy zastałam pana McArdle'a? – zapytała.

– Wszedł załatwić sprawunki, pani Witherspoon – odparłam.

– Skąd znasz moje nazwisko?

– Bywa tu pani co tydzień.

– Widziałam cię tu z dzieckiem, ale obawiam się, że nie znam waszych imion.

– Cóż, ta dziewczynka, która lubi wyjmować literki z szyny, to May. A ja jestem

Meena.

– Dziś rano zamówiłam u Theo ogłoszenie.

– Tak, wiem. Dotyczyło oleju z wieloryba. Właśnie układam litery.

– Podałam mu niewłaściwą cenę. Za baryłkę oleju należą się nie dwa funty i sześć szylingów, ale trzy funty i sześć szylingów.

– Zajmę się tym – powiedziałam.

– Zdołasz to poprawić, zanim trafi do druku?

– Chwileczkę – rzuciłam. Usunęłam kilka kostek z szyny i pozwoliłam potrzymać jedną z nich May, która lubiła muskać palcami wydrążone w metalu rowki, po czym zastąpiłam je innymi. – Gotowe – oznajmiłam.

– Doprawdy? – Pani Witherspoon się zdziwiła. – Mogę zobaczyć?

– To dość skomplikowane. Litery są ułożone do góry nogami i znajdują się na dużej tacy, a ja muszę skończyć, żeby tekst mógł trafić do druku. Chętnie pokażę to pani innym razem.

Uśmiechnęła się do mnie radośnie.

– Nie trzeba. Pozdrów ode mnie pana McArdle’a. Stanowisz nie lada widok. Wyglądasz jak czeladnik w pięknym afrykańskim stroju i z grzecznym dzieckiem u boku.

– Czelnikiem byłam w zeszłym roku. Theo nie uważa mnie już za uczennicę. Co poniedziałek układam dla niego czcionkę bez nadzoru.

– Proszę, przekaz panu McArdle’owi, że tu byłam i że zostałam znakomicie obsłużona.

Nagle May mi się wyrwała, podbiegła do pani Witherspoon i podała jej ułożoną do góry nogami literkę „M”, którą wyjęła z szyny.

– Zazwyczaj jest bardziej nieśmiała w towarzystwie nieznajomych – powiedziałam.

– Dziękuję, moja droga – zwróciła się pani Witherspoon do May, po czym mrugnęła do mnie i szybko włożyła mi literkę w dłoń.

– Nie! – krzyknęła May, ciągnąc mnie za rękę.

Kiedy w końcu odpuściłam, odgięła moje palce, wydobyla z nich „M” i oddała ją pani Witherspoon. Kobieta posłała May całusa, odczekała, aż dziecko się do mnie odwróci, po czym położyła czcionkę na ladzie i wyszła z zakładu. W następny poniedziałek pani Witherspoon wróciła.

– Ile razy w tygodniu pracujesz dla pana McArdle’a?

– W poniedziałki i we wtorki – odparłam.

– A czy zechciałabyś pracować u mnie od środy do soboty?

Państwo Witherspoonowie zatrudnili mnie następnego dnia. Robiłam to, czego potrzebowali: sprzątałam ich wielki dom przy Charlotte Street, prasowałam, nosiłam wodę i drewno, rozpalałam ogień, czyściłam kominki, kupowałam jedzenie i załatwiałam sprawunki na mieście, a nawet gotowałam. Płacili mi szylinga dziennie za pracę od świtu

do zmiernych. Od pracy fizycznej w domu Witherspoonów wolałam zakład McArdle'a, ale praca u nich miała pewne plusy. Pozwalano mi zabierać ze sobą May, a o ile była grzeczna, wolno jej było chodzić po domu i go zwiedzać. Państwo Witherspoonowie nie mieli dzieci, ale często urządzali przyjęcia, z których zostawały resztki. May i mnie pozwolono jeść to, co zostało, lub zabierać jedzenie do Birchtown. Pani Witherspoon pokazywała mi przedmioty, które zamierzała wyrzucić: stare krzesła, stoły, wiadra i liny. Wiedziałam, że jeśli nie przydadzą się mnie, skorzysta z nich inny mieszkaniec Birchtown.

Moje dobre stosunki z Witherspoonami były przedmiotem zazdrości Negrów. Wielu z nich najęło się do pracy u lojalistów z Shelburne na trzy lata. Było to lepsze niż zamknięcie na śmierć, ale tylko trochę. Biali lojaliści przed wygaśnięciem umowy zaharowywali sługi prawie na śmierć. Najemnych Negrów, którzy doznali obrażeń lub zachorowali, często wyrzucano z pracy jako nieużytecznych, a ich pensje wstrzymywano.

– Nie zbliżaj się za bardzo do białych ludzi – ostrzegał mnie Ojczulek Moses. – To niepewni przyjaciele.

Pewni czy nie, McArdle i Witherspoonowie wypłacali mi pensje, dzięki którym utrzymywałam siebie i córkę, a często pomagałam także innym, na przykład Ojczulkowi Mosesowi. Wciąż łapałam dzieci w Birchtown, ale minęło wiele czasu, odkąd ktokolwiek mi zapłacił. May uwielbiała mi towarzyszyć, kiedy wybierałam się do pracy w Shelburne. Gdy miała trzy lata, co tydzień dostawała biszkopty i mleko od pani Witherspoon, która siedziała z nią, gdy jadła i się bawiła. Któregoś dnia pani Witherspoon napisała na kartce trzy litery M-A-Y.

– Wiesz, co...

– May – przerwało jej moje dziecko.

– Skąd wiesz? – zapytała pani Witherspoon.

– To moje imię. May. Mama mi powiedziała.

– A to? – Pani Witherspoon skreśliła kolejne słowo.

– Mama – odparła May.

– A to?

– Papa. Brakuje mu kilku palców i bardzo mnie kocha.

Pani Witherspoon podniosła wzrok i na mnie spojrzała. Wiedziała, że z pomocą McArdle'a dawno temu umieściłam ogłoszenia w gazetach w Annapolis Royal, pytając o wieści na temat miejsca pobytu Chekury. Nikt się nie odezwał. Pani Witherspoon wiedziała także, że kiedy May miała rok, zebrałam dość pieniędzy, by latem zabrać ją w podróż do Annapolis Royal, ale wróciłyśmy do domu następnym statkiem – nie znalazłam żadnego Nagra, który słyszał o Chekurze ani o tym, by jesienią 1783 roku do portu przybił Józef. Nie miałam pojęcia, co się stało z moim mężem ani gdzie przebywa, ale wciąż wierzyłam, że jeśli żyje i jeśli tylko będzie mógł, któregoś dnia mnie odnajdzie.

Zadbałam o to, by każdy Negr w Birchtown i każdy przyjaźnie nastawiony biały człowiek w Shelburne wiedział, że czekam na Chekurę, tak by ten, kto go spotka lub o nim usłyszy, pomógł nam się odnaleźć.

Kilka tygodni po trzecich urodzinach May, kiedy opowiadałam jej o ojcu i naszej ojczyźnie, powiedziała:

– Nie martw się, mamó, kiedyś tam wrócimy.

Zapytałam, jak to zrobimy.

– Pójdziemy na długi spacer, weźmiemy mnóstwo jedzenia, w razie gdybyśmy musiały zjeść obiad, a kiedy dotrzemy do skraju lasu, znajdziemy Afrykę.

Niedługo po tej rozmowie moja córka zachorowała na gorączkę i biegunkę, które panowały w Birchtown. Musiałam zrezygnować z dwóch dni pracy u McArdle'a, ale nie mogłam sobie pozwolić na to, by opuścić więcej dni u Witherspoonów. Postanowiłam zabrać May ze sobą z nadzieją, że pani Witherspoon pozwoli mi położyć córkę na starym kocu, tak by mogła spać w czasie mojej pracy. Niosłam dziecko na ramionach, ale było zbyt słabe, by się pochylić i dla równowagi objąć moją głowę rękami. Przez całą drogę do Shelburne miałam uniesione ręce, żeby trzymać je za dłonie. Kiedy dotarliśmy do Witherspoonów, moje ramiona były omdlałe, a czoło mojej córki rozpalone.

– Dobry Boże – wyszeptała pani Witherspoon. – Coś ty zrobiła naszej słodkiej May? Dzień dobry, May. Widzisz mnie? Czy możesz na mnie spojrzeć? Kochanie, spójrz tutaj.

May ledwo potrafiła utrzymać uniesione powieki, a kiedy próbowałam ją postawić na ziemi, nie mogła ustać o własnych siłach.

– Może zawołam lekarza?

– Nie – odparłam ostro. Po chwili odezwałam się już łagodniej, bo potrzebowałam jej pomocy i nie chciałam jej obrazić: – Przepraszam, ale nie ufam lekarzom. May musi po prostu odpocząć, kiedy ja będę pracować.

W wolnym pokoju na parterze, nieopodal miejsca, w którym pracowałam, położyłyśmy May do łóżka, przykryłyśmy ją i co godzinę przynosiłyśmy jej wodę. Pod koniec dnia pani Witherspoon zaproponowała, byśmy zostały na noc. Byłam jej niezwykle wdzięczna. Spędziłyśmy u Witherspoonów kolejne trzy dni, których potrzebowała May, by zwalczyć gorączkę i biegunkę. Moja córeczka znów zaczęła jeść. Pani Witherspoon nalegała, byśmy zostały czwartą noc, aby May odzyskała siły przed powrotem do Birchtown. Ostatniego dnia May całkiem wyzdrowiała i bawiła się z panem Witherspoonem, próbując pociągnąć go za brodę. Kiedy obserwowałam ich czule zabawy, znów ogarnął mnie żal, że moje dziecko nie może zobaczyć swojego ojca. Wiedziałam, że Chekura byłby dla niej tak samo czuły. Kochałam swoją córkę od stóp do głów i czciłam każde uderzenie jej serca, ale nie byłam figlarną matką. Nie miałam w sobie wiele radości. Karmiłam ją, ubierałam, nauczyłam ją czytać, zanim skończyła trzy lata, i wszędzie ją ze sobą zabierałam, ale byłam

zbyt zajęta i zmęczona, by się z nią bawić.

Doświadczenie pielęgnacji May w chorobie sprawiło, że zżyłam się z Witherspoonami. Pracodawcy podarowali nam stare koce, które zaniósłszy do Birchtown, i pozwolili mi nawet zabrać starą drewnianą ramę od łóżka, tak byśmy nie musiały spać na ziemi. Za każdym razem, gdy przychodziłam do pracy, pani Witherspoon witała May w drzwiach, a kiedy ja pracowałam, często się z nią bawiła. Pan Witherspoon dawał mi olej wieloryba do lampy aż do lata 1787 roku, gdy jego przedsiębiorstwo upadło z powodu braku klientów. W dniu bankructwa jego firmy Witherspoonowie poprosili, byśmy zjadły z nimi kolację i zostały na noc. Mówiłam im o długich miesiącach oczekiwania, jakie spędziłam w Nowym Jorku przed wyjazdem, a oni opowiedzieli mi o tym, jak w czasie wojny o niepodległość stracili ziemię i piękny dom, po czym opuścili Boston i przyплыnęli do Shelburne.

– Dlaczego tak wiele przedsiębiorstw się zamyka? – zapytałam pana Witherspoona.

– Tutejszy port wybudowano w zbyt wielkim pośpiechu – wyjaśnił. – Wszyscy byli przekonani, że miasto stanie się drugim Nowym Jorkiem. Ale możliwości pracy się nie pojawiły. Mieszkańcy nie mają pieniędzy, które mogliby wydać, a firmy nie mogą sprzedać swoich towarów. To miasto upadnie tak szybko, jak je wybudowano.

W lipcu nad Shelburne i Birchtown nadciągnęła niezwykle gorąca fala. Komary były dokuczliwsze niż te, które pamiętałam z Karoliny Południowej, a niedźwiedzie podchodziły na obrzeża miasta, by zjadać jagody z krzaków i ryć w naszych śmieciach. Kilku Negrów otrzymało ziemię, ale Brytyjczycy odcięli nam racje. Mężczyźni polowali na jelenie i łosie, aby zasolić możliwie jak najwięcej mięsa na zimę. Większość zdrowych kobiet i mężczyzn z Birchtown co dzień szukało pracy w Shelburne, ale znalezienie zajęcia stawało się coraz trudniejsze. Przedsiębiorstwo wielorybnicze pana Witherspoona było jednym z wielu, które upadły. Wynagrodzenia mały – zwłaszcza te wypłacane czarnym. Negrzy nosili skrzynie na nabrzeżu za dziewięć pensów dziennie, zarabiając o jedną trzecią mniej niż biali. Właściciele działających firm z chęcią zatrudniali Negrów, oferując im niższe stawki, przez co rosły grupy wściekłych białych robotników – często dawnych żołnierzy, którzy podobnie jak Negrzy przybyli do Shelburne po służbie w szeregach Brytyjczyków w czasie wojny w koloniach. Robotnicy gromadzili się tłumnie w tawernach, a sądząc po ich podartych ubraniach i zmęczonych twarzach, można było odgadnąć, że wielu z nich także borykało się z trudnościami. Wiedziałam, że dla Negrów stanowią szczególne zagrożenie.

Pewnego wieczoru pod koniec lipca, kiedy skończyłam pracować u Witherspoonów, szliśmy wraz z May Charlotte Street, kierując się na Water Street. May zazwyczaj szła o własnych siłach, dopóki nie ogarnęło jej zmęczenie, a wtedy sadzałam ją sobie na biodrze i w ten sposób docierałyśmy do domu.

– Jak daleko chciałabyś dziś dojść? – zapytałam, trzymając ją za rękę.

– Do pierwszego piwa.

– Do pierwszego szyldu „piwo”? To niezbyt daleko. Może dojdiesz do końca Water Street?

– Nie, mam. Zbyt wielu ludzi. Na ręce, mam! Chcę na ręce.

Podniosłam córkę i spojrzałam w głąb ulicy. Obok szyldu „Piwiarnia Milligana” grupa białych mężczyzn dręczyła Negra pracującego na drabinie.

– Co tam robisz, chłopcze?! – krzyknął jeden z nich.

– Naprawiam dach – odparł robotnik, sięgając po zwisający u pasa młotek.

Schowałam May pomiędzy dwoma sklepami i wyjrzałam za róg budynku. Widziałam, jak mężczyźni próbują strząsnąć stolarza z drabiny. Negr chwycił się okapu, żeby nie spaść. Biali wyrwali spod niego drabinę, tak że mężczyzna zawisł w powietrzu.

Z tawerny wyszedł człowiek w białym fartuchu.

– Hej! Oddajcie drabinę. Ten chłopak pracuje dla mnie i ma zadanie do wykonania.

Dwóch mężczyzn wpełzło właściciela tawerny do środka. Pozostali dręczyli robotnika, dopóki ten nie spadł na ziemię. Wtedy rzucili się na niego, zaczęli go bić i kopać, a potem zanieśli go na nabrzeże i wrzucili do lodowatej wody.

Stolarzowi z trudem udawało się wydostać, ale prześladowcy raz po raz wrzucali go z powrotem. Krzyczeli, że go zabiją, jeśli znów wyjdzie na brzeg. Kiedy to zrobił, mozołąc się w mokrym ubraniu, mężczyźni bili go tak długo, aż chłopak przestał się ruszać. Gdy kolejny raz zrzucili go z nabrzeża, robotnik już nie wypłynął.

– Mam, co oni robią?

– Krzywdzą ludzi – odparłam.

Chciałam jak najszybciej powrócić do Birchtown, ale rozzłoszczony tłum gęstniał przed piwiarnią po prawej stronie i wzbierał na Water Street po lewej. Przycisnęłam May do bocznej ściany budynku.

– Podpalmy ich domy! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Podpalmy całe Birchtown! – podchwycił inny.

– Czas dać tym czarnuchom nauczkę!

– Zacznijmy od tamtego wielkiego bydlaka!

Wielu mężczyzn piło piwo, inni trzymali w dłoniach muszkiety. Dwie grupy połączyły się i oddaliły ode mnie i May, przechodząc przez Water Street i kierując się w stronę Negra, którego znali wszyscy mieszkańcy Birchtown. Ben Henson, wysoki, postawny mężczyzna, jak zwykle stał w tym samym miejscu przy Water Street i piłował kłody, pobierając opłatę jednego pensa za stopę drewna. Odznaczał się najszerszymi ramionami w Birchtown, ale miałam nadzieję, że porzuci pracę i ucieknie, zanim mężczyźni go dopadną. Nie chciałam, by udowadniał swoją siłę. Chciałam, by ocalał. Jednak choć

oprawcy się zbliżali, Ben nie przerywał piłowania.

– Zabieraj te swoje kłody z powrotem do Murzynowa! – krzyknął mężczyzna stojący na czele tłumu.

Ben nie podniósł wzroku znad pracy. Przywódca napastników podszedł bliżej i wycelował muszkiet w jego brzuch. Negr pracował dalej, dopóki zbir nie znalazł się o krok od niego. Wtedy Ben błyskawicznie chwycił muszkiet, złapał mężczyznę i rzucił go na ziemię. Dwóch innych białych skoczyło na Bena, ale on odrzucił ich jak kłody. Gdy próbował uniknąć ciosu nożem, który chciał mu zadać czwarty napastnik, inny biały mężczyzna wślizgnął się za niego, uniósł muszkiet i przestrzelił mu głowę. Wielki Ben Henson osunął się na ziemię niczym wór z żelastwem. Kiedy zobaczyłam krew zbierającą się wokół jego ramion, poczułam napływające mdłości.

Po chwili mężczyźni odwrócili się od Bena Hensona i ujrzeni mnie.

Porwałam May w ramiona, zawróciłam na Charlotte Street i biegłam pod górę, aż dotarłam do drzwi Witherspoonów.

– Kto tam?! – zawołała pani Witherspoon, kiedy zaczęłam walić do drzwi.

– Meena i May.

Kobieta otworzyła drzwi, pospiesznie wpuściła nas do środka i opuściła rygiel.

– Widziałam wszystko przez okno. Martwiłam się, że was także dopadli.

– Zabijają ludzi – powiedziałam.

– Stracili rozum – odparła pani Witherspoon.

Zaprowadziła moją córkę do kuchni, żeby odwrócić jej uwagę imbirowymi ciasteczkami z melasą. Wyjrzałam przez okno w stronę portu. Zobaczyłam Bena Hensona leżącego przy połamanym koźle do piłowania. Z oddali wyglądał tak, jakby drzemał. Na ulicy nie było już żadnych czarnych. Banda białych mężczyzn ruszyła dalej.

– Widziałam, jak zabili dwóch mężczyzn – wyszeptałam, kiedy pani Witherspoon przyniosła mi kieliszeczek rumu.

– Wypij to – powiedziała. – Zostańcie z nami, dopóki to szaleństwo się nie skończy.

Pani Witherspoon karmiła nas i gościła przez trzy dni. Jej mąż przynosił kolejne wieści: biali robotnicy wciąż grasowali po mieście. Oszalałe grupy bezrobotnych zabiły co najmniej czterech Negrów, a wielu innych pobiły. Mówiło się o gwałtach. Kiedy biali napadli na Birchtown, czarnoskórzy mieszkańcy miasteczka ich odparli, ale robotnicy wrócili większą grupą, zburzyli kilka domów, a inne podpalili, atakując każdego, kto się im sprzeciwiał.

W ciągu kolejnych dni mieszkaliśmy u Witherspoonów. Ja wypełniałam swoje obowiązki, a May się bawiła. Każdej nocy kładłam się do łóżka ze swoją córką i próbowałam się uspokoić, wsłuchując się w jej oddech. Zastanawiałam się, w jaki sposób mam o nią zadbać, jeśli nasza chata została zburzona. Nie wiedziałam, co zrobić,

jeśli całe Birchtown spłonęło. Jaki los spotkał Ojczulka Mosesa i innych ludzi, którzy mnie potrzebowali?

Co wieczór pytałam pana Witherspoona o kolejne informacje. Cztery dni po wybuchu zamieszek powiedział mi, że niepokoje ustały. Na ulicach nie grasowały już grupy mężczyzn, a z Birchtown przestały docierać doniesienia o przemocy. Chciałam się upewnić, że będę mogła bezpiecznie powrócić do domu z May, więc postanowiłam, że za pierwszym razem pójdę tam sama.

Umówiłam się z Witherspoonami, że na dwa dni zostawię May pod ich opieką. W tym czasie chciałam sprawdzić, czy nasza chata wciąż stoi, naprawić ewentualne usterki, pomóc Ojczulkowi Mosesowi i innym przyjaciółom, a następnie szybko wrócić po córeczkę do Shelburne.

Wcześniej rano wyslizgnęłam się na Charlotte Street, po czym skręciłam w Waters Street. W mieście nie pracował żaden Negr. Do portu zawinął statek, ale po nabrzeżu poruszali się tylko biali robotnicy. Niektórzy mężczyźni przestali pracować, odłożyli ładunki drewna i wpatrywali się we mnie z wściekłością, ale nikt do mnie nie podszedł ani się nie odezwał. Wydostałam się z miasta bez szwanku. Zazwyczaj na drodze biegnącej pomiędzy Shelburne a Birchtown mijałam czworo czy pięcioro ludzi, ale tego dnia zobaczyłam tylko jednego Negra. Był martwy – wisiał na drzewie przy ścieżce. Miał na sobie spodnie, ale był bez koszuli i butów. Zadrżałam, lecz poczułam, że nie mogę ruszyć dalej, dopóki nie sprawdzę, czy nie jest to ktoś znajomy. Złapałam wisielca za stopy, obróciłam go i spojrzałam mu w twarz, mężczyzna był jednak tak opuchnięty od ciosów i zakrwawiony, że go nie rozpoznawałam.

Ojczulek Moses dopilnował, żeby jego kaplica stanęła na wschodnim skraju miasta, tak by każdy nadchodzący od strony Shelburne ją widział. Kiedy wyłoniłam się zza zakola zatoki i przeszłam przez most nad jeziorem, moim oczom ukazały się zwęglone szczątki kościoła. Budynek został doszczętnie spalony. Na zewnątrz modliły się trzy staruszki, a czwarta gotowała coś na ogniu obok zgliszczy. Gdy znalazłam się w miasteczku, zobaczyłam, że wiele szalasów zostało spalonych lub zniszczonych, a ogrody zdeptano. Wokół chodzili zgarbieni ludzie w poszarpanych ubraniach. Ojczulek Moses siedział w swoim wózku na cmentarzu. Nie miał okularów, a na jego policzku widniała pręga. Ujęłam go za rękę.

– Cieszę się, że żyjesz, siostrze – powiedział. – Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz.

Zaciągnęłam Ojczulka Mosesa do jego szalasu, w którym brakowało drzwi, ściana była zburzona, a dach wyglądał tak, jakby miał się zawalić.

– Byłeś tu, kiedy zniszczyli twój dom? – zapytałam.

– Siedziałem na schodku i czekałem na nich. Słyszałem, że są pijani. Śmiali się

i rozmawiali, więc patrzyłem w ich stronę, kiedy nadeszli. Powiedziałem: „Jeśli Pan chce, bym do niego przyszedł, zabierze mnie. Więc proszę bardzo, zastrzelcie ślepego starca, jeśli zabijanie macie we krwi”. Ktoś uderzył mnie kolbą pistoletu, a ktoś inny kopnął w zębra. „Nie widzę was, powiedziałem, ale was znam. Znam wasze głosy, a kiedy spotkam się z waszym Stwórcą, opowiem Mu o waszych postępkach. Zastrzelcie mnie, jeśli jesteście tacy odważni”. Ale nie zrobili tego. Tchórze. Któryś z nich zawołał: „Ślepcze, powiedz swoim ludziom, by trzymali się z dala od Shelburne! Zostańcie tu, gdzie wasze miejsce, a unikniecie kłopotów”.

W mojej chacie ktoś wyrwał drzwi z zawiasów i wyrzucił rzeczy na podłogę. Pomyślałam o mężczyznach, którzy otoczyli Bena Hensona, i przeszły mnie ciarki na myśl, że to właśnie oni zniszczyli mój dom. Na zewnątrz spotkałam się z Ojczulkiem Mosesem i grupą wiernych z jego kościoła. Postanowiliśmy naprawić najpierw te domy, które ucierpiały najmniej. Ludzie, którzy musieli częściowo lub całkowicie odbudować swoje chaty, wprowadzili się do sąsiadów.

Ten dzień, następną noc i część poranka spędziłam w Birchtown w grupie dziesięciu osób, naprawiając trzy szałas, w tym także swój. Pomogłam Ojczulkowi Mosesowi położyć się do wolnego łóżka we frontowym pomieszczeniu mojej chaty. W południe obiecałam, że wrócę z córką przed zmierzchem, i wyruszyłam w drogę do Shelburne.

Minęłam zwęglone szczątki kaplicy, przeszłam przez most i znalazłam się na drodze do miasta. Dla kogoś wędrującego samotnie był to długi marsz.

Wiatr smagał drzewa po lewej stronie i zatokę po prawej, a spienione fale raz po raz rozbijały się o skalisty brzeg. Gdy znalazłam się przy zakręcie, z oddali dobiegły mnie donośne głosy. Wbiegłam do lasu i cicho poruszałam się naprzód, dopóki nie ujrzałam pięciu mężczyzn z nożami, bronią i alkoholem idących w stronę Birchtown. Nie było sensu wracać, bo i tak by mnie tam znaleźli. Ale niebezpiecznie byłoby też kontynuować wędrowkę – mogliby usłyszeć, jak przedzieram się przez las. Wspięłam się więc wysoko na sosnę, podciągając się na kolejne oblepione żywicą gałęzie. Usiadłam nieruchomo. Serce waliło mi w piersi. W końcu mój przyspieszony oddech zagłuszyły krzyki i śmiech mężczyzn. Rozmawiali o „niszczeniu szałasów w Murzynowie”, kiedy zza zakrętu wyłonił się Jason. Mężczyźni otoczyli chłopaka.

- Dokąd idziesz, chłopcze? – zapytał jeden z białych.
- Do Shelburne.
- Twoje miejsce jest w Birchtown.
- Moja mama jest w Shelburne. Idę ją stamtąd zabrać.
- Co twoja mama robi w Shelburne?
- Pierze.
- Zabiera pracę białym?

– Po prostu pierze ubrania.

Inny mężczyzna uderzył Jasona w głowę kolbą.

– Zepsułeś mi zabawę – poskarżył się pierwszy.

– Jak to?

– Zamierzałem się z nim trochę pobawić. Dać mu nauczkę. Zabić go powoli. A przez ciebie stracił przytomność. Zepsułeś mi zabawę.

– Zwiążmy go i później się nim zajmiemy.

Mężczyźni odciągnęli Jasona ze ścieżki, przywiązali do drzewa nieopodal mojego i ruszyli w dalszą drogę do Birchtown.

Odczekałam kilka minut dla pewności, że wokół nikogo nie ma. Jason powoli odzyskał przytomność i zaczął jęczeć. Zeszłam z drzewa, podbiegłam do niego, po czym poluzowałam więzy na jego nadgarstkach i linę, którą był przywiązany.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Dobrze, że pani tu jest – powiedział.

– Szedłeś zobaczyć się z mamą?

– Mama umarła w czasie zamieszek. Sama z siebie. Nikt jej nawet nie uderzył.

Kiedy chłopak podniósł się z ziemi, przytuliłam go.

– To okropne – powiedziałam. – Czy w domu ktoś został?

– Nie. Mieszkałem tylko z mamą.

– Dlaczego idziesz do Shelburne?

– Potrzebuję jedzenia. Pracy. Schronienia. Mama umarła, a nasz szalas został zrównany z ziemią.

– Jeśli wrócisz do Birchtown, ci mężczyźni cię zabiją. Chodź ze mną. Zobaczymy, czy uda nam się coś znaleźć w mieście. – Wyruszyliśmy razem do Shelburne.

– Przez cały ten czas, kiedy mieszkaliśmy w Birchtown, nie wspominała pani o tym, że wpisała mnie do Księgi Negrów.

– O nieba! – Westchnęłam. – Ciebie też do niej wpisałam? Przepraszam, Jasonie... Pracowałam na tyłu statkach i zapisałam tyle nazwisk, że po prostu o niektórych już nie pamiętam.

– Czekałem w kolejce na statku przez cały dzień. Wszyscy kolorowi wiedzieli, kim pani jest. Mówili, że drobniutka, wygadana Afrykanka zapisuje nazwiska połowy Negrów na Manhattanie. Pani nie znała większości z nas, ale wszyscy panią kochaliśmy.

– Naprawdę?

– Opiekowała się pani nami.

– Mówisz, że i ciebie wpisałam do Księgi Negrów?

– Tak, psze pani.

– Co napisałam?

- Nie wiem, psze pani. Nie umiałem czytać wtedy i nie umiem do dziś.
- Dlaczego nie przychodziłeś na moje lekcje czytania w Shelburne?
- Mam już dziewiętnaście lat – odparł. – Jest za późno.
- Nigdy nie jest za późno – pocieszyłam go.

Kiedy weszliśmy do Shelburne, zauważyłam, że statek odpłynął. Jason poszedł szukać mężczyzny, dla którego wcześniej pracował, a ja skręciłam w Charlotte Street.

Zapukałam do drzwi Witherspoonów. Nie było odpowiedzi. Znów zapukałam. Złapałam za klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Chodziłam od okna do okna, byłam w składziku na drewno, przy studni, pukałam do tylnych drzwi, ale wszystko wskazywało na to, że w środku nikogo nie ma. Zaczęłam łomotać do drzwi frontowych, a po chwili z sąsiedniego domu wyjrzała kobieta, która zapytała mnie, co, u licha, wyprawiam.

- Przyszłam po córkę, ale nikogo nie ma! – krzyknęłam.
- Niech się pani uspokoi – wyszeptała kobieta. – Nie dość już mieliśmy kłopotów?
- Witherspoonowie opiekują się moją córką, ale nikogo nie ma w domu. Wie pani, gdzie oni są?
- Na Boga, kobieto, przestań się awanturować.

Próbowałam się opanować. Pomyślałam, że jeśli uda mi się uspokoić oddech, może ta kobieta powie mi to, co wie.

– Gdzie jest moja córka? – wyszłochałam. – Ma trzy lata. Jest tego wzrostu. Ma na imię May.

- Ta dziewczuszka jest twoja?

Przeszłam przez ulicę i zbliżyłam twarz na odległość kilku cali do twarzy kobiety. Owładnięta strachem i złością pragnęłam jednocześnie udusić ją, upaść na kolana i błagać o pomoc.

- Gdzie jest May?

Kobieta cofnęła się o krok i odchrząknęła.

- Witherspoonowie odpłynęli statkiem. Ty i ta dziewczynka to nie moja sprawa.

Zamknęła mi drzwi przed nosem. Usłyszałam, jak je rygluje. Znów przeszłam przez ulicę, znalazłam kamień i roztrzaskałam okiennice w oknach domu Witherspoonów. Wdrapałam się do środka. Pomieszczenia były puste. Stoły, szafy i łóżka... wszystko zniknęło.

- May! – krzyczałam raz po raz, ale nikt nie odpowiedział.

Potykając się, ruszyłam Water Street. Po nabrzeżu poruszało się kilku białych robotników. Podeszłam do nich.

– Szukam córki. Ma trzy lata. Na imię jej May. Widzieliście małą Murzynkę? Mogli jej towarzyszyć biali ludzie.

Jeden z robotników splunął mi pod nogi. Inni nie przerywali pracy.

– Proszę. Chcę tylko znaleźć córkę. Czy ktokolwiek widział małą Murzynkę?

Żaden robotnik nie chciał ze mną rozmawiać. Weszłam na pomost, na którym młody człowiek zwijał linę.

– Szukam córki. Małej dziewczynki. Ma trzy lata. Proszę.

– Nie widziałem żadnej małej Murzynki – odparł.

– A widział pan Witherspoonów? To kobieta i mężczyzna z Charlotte Street.

– Nie znam żadnych bogaczy – odpowiedział. – Ale niektórzy z nich odpłynęli dziś rano statkiem. Były na nim ze trzy albo cztery rodziny. Nic więcej nie wiem.

Zbiegłam z pomostu i wtargnęłam do zakładu Theo McArdle’a. Mężczyzna podniósł wzrok znad maszyny zecerskiej.

– Meeno!

– Gdzie moja córka?

– Czy ktokolwiek widział, że tu wchodzisz? Tu nie jest dla ciebie bezpiecznie.

– Nie mogę znaleźć córki. Witherspoonowie zniknęli.

– Jeśli ktokolwiek pomyśli, że ci płacę...

Podniosłam jedną z gazet i rzuciłam mu ją w twarz. Chwyciłam naręcze kartek, otworzyłam drzwi i wyrzuciłam je na ulicę.

– Co się stało z moją córką?

McArdle minął mnie, żeby zaryglować drzwi i spuścić zasłonę. Przyniósł mi krzesło i dał znać, żebym usiadła. Zrobiłam to, a on stanął tyłem do drzwi.

– Witherspoonowie już od jakiegoś czasu szykowali się do wyjazdu – oznajmił. – Myślałem, że o tym wiesz. Kiedy tylko ustały zamieszki, postanowili opuścić miasto.

– Ale gdzie jest moja córka?

– Kiedy skończyły się niepokoje, wynajęli dwudziestu tragarzy, którzy zanieśli ich rzeczy nad wodę. Po dwóch godzinach już ich nie było.

– Tragarze byli czarni czy biali? – Miałam nadzieję, że przynajmniej Negrzy powiedzą mi coś o May.

– Biali.

– Czy May była z Witherspoonami?

Nie odezwał się, ale powoli skinął głową.

– Niech pan mówi! – krzyknęłam. – Niech pan używa słów! Czy moja córka znalazła się na tym statku?!

McArdle powoli się odwrócił i spojrzał w podłogę.

– Tak.

– Dokąd popłynęli? – wyszeptałam.

Nie usłyszał mnie, więc powtórzyłam pytanie.

– Do Bostonu.

– A pan ich nie powstrzymał.
– Próbowałem – odparł.
– Co się stało? Niech pan mówi!
– Opuściłem zakład i poszedłem za nimi na nabrzeże.
– Czy moja córka płakała?
– Nie.
– Czy pani Witherspoon z nią rozmawiała?
– Tak, mówiła, że niedługo do nich dołączysz. Próbowałem przemówić do pani Witherspoon.

– Co pan powiedział?
– Zapytałem, czy nie byłoby lepiej, gdyby zostawiła dziewczynkę u mnie, dopóki po nią nie wrócisz. W związku z zamieszkami na nabrzeżu roіło się od wartowników. Pan Witherspoon powiedział im, że ich niepokoję. Wtedy się wycofałem, Meeno. Nie powinienem był tego robić, powinienem był głośniej nalegać. Ale wycofałem się z pomostu, kiedy w moją stronę ruszyli wartownicy, a Witherspoonowie odpłynęli z twoją córką.

– Czy na nabrzeżu byli jacyś Negrzy? Czy był tam ktokolwiek, z kim mogłabym porozmawiać?

– Nie – odpowiedział.

– A moja córka przez cały ten czas...

– Była na rękach u pani Witherspoon.

– Nie płakała? Nie była smutna?

– Nie. Miała zabawkowe liczydło i rozsuwała koraliki.

Nie przychodziły mi do głowy żadne inne pytania, a Theo McArdle nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Od kilku dni nic nie jadłam – oznajmiłam – a w Birchtown mam przyjaciół, którzy stracili domy. Niech mi pan da jedzenie, a ja zostawię pana w spokoju.

– Nie mam zbyt wiele.

– Proszę mi dać coś do jedzenia, panie McArdle. Pozwolił im pan zabrać moją córkę, a ja muszę coś zjeść.

Z zaplecza McArdle przyniósł mi dwuipółfuntowy worek ryżu, golonkę, paczkę grochu i bochenek chleba. Zabrałam jedzenie i wyszłam.

*

Jason czekał na mnie na skraju miasta. Nie miał jedzenia, miał za to ranę na twarzy. W mieście nie znalazł ani pracy, ani schronienia. Spotkał za to byłych żołnierzy z uniesioną bronią i zaciśniętymi pięściami, gotowych rozdawać kopniaki. Zapytał mnie, gdzie jest moja córka. Nie mogłam odpowiedzieć. Nie powtórzył pytania.

Brodziliśmy w błocie, kierując się z powrotem do Birchtown. Las był niepokojąco cichy, nie grasowali po nim biali.

– Straciłam córkę – wyszeptalam w końcu. – Moje ostatnie dziecko.

– Proszę nigdy nie mówić, że to pani ostatnie dziecko – powiedział Jason. – Proszę tak nie mówić.

– Ona była moim ostatnim dzieckiem, Jasonie. Mówię tak, bo to prawda. Kiedy znajdziemy się w Birchtown i będziesz chciał, żebym znowu uratowała ci życie, nie szukaj mnie, bo sama mam ochotę umrzeć.

Jason zdjął mi ciężar z barków i zarzucił sobie na plecy worki z grochem i ryżem. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zaprotestować, i nie wiem, gdzie podziało się kolejnych trzydzieści minut. Musiały się rozmyć we mgle rozpacz. Kiedy dotarliśmy na miejsce, naszym oczom ukazały się kolejne zniszczone domy, ale przynajmniej zniknęli biali napastnicy. Ojczulek Moses siedział przed moją chatą na powalonej kłodzie i czekał na mój powrót. Jason podniósł starca i weszliśmy do mojego szałasu, który jakimś cudem wciąż się trzymał. Był mocniejszy ode mnie.

Przez kilka kolejnych tygodni byłam w takiej rozpacz, że ledwo mówiłam. Tolerowałam obecność Jasona i Ojczulka Mosesa w swoim szałasie, czekając, aż odbudują chaty, ale nie mogłam już uczyć dzieci z Birchtown, łapać noworodków, pracować dla Theo McArdle'a ani zajmować się czymkolwiek innym. Obawiałam się, że jeśli uwolnię emocje, z mojego wnętrza wyleje się tak wielki ból, że mogę stracić nad sobą panowanie i kogoś zabić. Nie miałam pieniędzy na podróż do Bostonu, a kiedy w końcu zapytałam McArdle'a i innych białych mieszkańców Shelburne o to, jak się tam dostać, przekonywali mnie, że gdybym pojawiła się w Bostonie bez pieniędzy i człowieka, który mógłby za mnie poręczyć, prawdopodobnie zostałabym aresztowana, a nawet znów wzięto by mnie do niewoli.

– Nie wiemy, czy Witherspoonowie tam zostali – powiedział McArdle. – Mogli pojechać do Filadelfii, Nowego Jorku czy Savannah. Mogli popłynąć na Jamajkę, Barbados, Saint-Domingue lub do Anglii.

Z pomocą McArdle'a umieściłam ogłoszenia w gazetach w Bostonie, Filadelfii i Nowym Jorku, oferując małą nagrodę za jakąkolwiek informację na temat miejsca pobytu Witherspoonów, byłych mieszkańców Shelburne w Nowej Szkocji. Zaczepiałam każdego białego człowieka, który zgodził się ze mną rozmawiać, ale żaden z nich nie wiedział, co się stało z Witherspoonami. Napisałam nawet do Sama Frauncesa na adres prezydenta Jerzego Waszyngtona w Mount Vernon w Wirginii. Po pół roku otrzymałam przyjazny list, ale on także nie zdołał się niczego dowiedzieć.

Moje dzieci były niczym fantomowe kończyny – utraciłam je, ale wciąż stanowiły część mnie, wciąż odczuwałam ból. Przestałam gotować, pracować i jeść. Pierwszy raz w życiu

nie miałam ochoty czytać. Przestałam nawet myśleć o Chekurze. Może Ojczulek Moses miał rację? Jeśli Chekura zamierzałby wrócić, już dawno by to zrobił.

Ojczulek Moses zapytał, czy jestem gotowa przyjąć Jezusa. Odparłam, że jako mała dziewczynka miałam wiarę, ale musiałam z niej zrezygnować, i że nie potrzebuję kolejnego Boga. Ujął moje dłonie i zwrócił się do mnie, jak gdyby mógł mi spojrzeć głęboko w oczy.

– Jesteś taka dobra, Meeno. Tylu ludzi cię kocha.

Może i była to prawda, ale nie widziałam tego ani nie czułam. Wiedziałam tylko, że ludzie, których kochałam bardziej niż kogokolwiek na świecie, zostali mi odebrani.

Znowu zaczęłam uczęszczać na nabożeństwa Ojczulka Mosesa. Nie mogę powiedzieć, by specjalnie się zmieniły. Ludzie byli dla mnie dobrzy, przynosili mi jedzenie, a kiedy odkryli, że nigdy nie jadam sama, towarzyszyli mi w czasie posiłku. Gdy tylko mogli, znosili kłody drewna, gałęzie i gwoździe, żeby pomóc mi naprawić chatę. Jason i Ojczulek Moses odwiedzali mnie codziennie. Kiedy zebrali dla mnie grupę, ponownie zaczęłam udzielać lekcji i chociaż nie potrafiłam się zaangażować, próbowałam się zachowywać tak, jakby uczenie dzieci sprawiało mi przyjemność.

Koniec końców Theo McArdle przekonał mnie, żebym wróciła do pracy w zakładzie, a ja próbowałam być zaciekawiona wydaniem gazety, które układałam. Gdy byłam sama, czytałam książki przyniesione przez McArdle'a. Znalazł mi mapę Afryki, ale jej odwzorowanie było pokryte jedynie szkicami wzgórz, lwów, słoni i małp.

Mniej więcej rok po tym, jak straciłam May, w zamian za złapanie dziecka białej kobiety w Shelburne kupiłam małą lampę i galon oleju z wieloryba. Było to pierwsze dziecko, jakie złapałam, odkąd straciłam własne. Ból po utracie nigdy nie minął. Moje kończyny odrabano i już zawsze miało mi ich brakować. Ale żyłam dalej. Po prostu żyłam.

W zastępstwie osad – dziki słoń

W ciągu kolejnych czterech lat nie zdołałam się dowiedzieć niczego na temat May. Wierzyłam, że żyje, ale nie miałam pojęcia, dokąd pojechała z Witherspoonami, podobnie jak nie wiedziałam nic o miejscu pobytu Chekury. Okres rozkwitu Shelburne przeminął, a wielu lojalistów zamknęło interesy i powróciło do Stanów Zjednoczonych. Czarnoskórzy mieszkańcy Birchtown pozostali jednak na miejscu, a ja z nimi.

Kiedy zbliżałam się do – jak mi się wydawało – czterdziestego czwartego roku życia, nie przeszkadzało mi, że w moje włosy wkradają się srebrne pasma, i nie wstydziłam się używać okularów z niebieskawymi szklami, których potrzebowałam do czytania gazet i książek. Theo McArdle pomógł mi zamówić okulary z Anglii po tym, jak wyjaśnił mi, że mają podwójne zawiasy i zostały zrobione tak, by nie uciskały nosa ani skroni. Okulary pochłonęły oszczędności, które odkładałam przez dwa miesiące, ale i tak nie miałam na co przeznaczyć dodatkowych pieniędzy. Nie miałam męża, dzieci ani domu poza szalasem w Birchtown, który każdego lata umacniałam na zimę. Dwa razy proponowano mi, bym odwiedziła inne kościoły w Nowej Szkocji z Ojczulkiem Mosesem i członkami naszej wspólnoty, ale za każdym razem odmawiałam. Żyłam nadzieją, że moja córka i mąż powrócą, i chciałam, by zastali mnie w domu.

Wiosną 1790 roku metodyści zgromadzili się tłumnie w kaplicy Ojczulka Mosesa, aby wysłuchać gościa z Annapolis Royal. Był to niski, krępy człowieczek, który wyglądał na starszego ode mnie i przemawiał tonem tak beznamytnym, że większość parafian posnęła. Zdawał się jednak mieć do powiedzenia coś pilnego, więc wślizgnęłam się do pierwszej ławki, żeby lepiej go słyszeć.

– Nazywam się Thomas Peters – powiedział. – Czternaście lat temu uciekłem od człowieka, który był moim właścicielem w Karolinie Północnej. W czasie wojny służyłem Brytyjczykom w Czarnych Pionierach, a jeśli ktoś mi nie wierzy, zapraszam go do mnie, by obejrzał moje pułkowe dokumenty. Jestem taki sam jak wy. Przyjechałem do Nowej Szkocji siedem lat temu i wciąż czekam na ziemię. Ale zmęczyłem się już czekaniem i zamierzam coś z tym zrobić.

Thomas Peters oznajmił, że zbiera pieniądze na podróż do Anglii. Miał nadzieję spotkać się tam z członkami brytyjskiego parlamentu i porozmawiać o pozbawionych ziemi czarnych lojalistach oraz utwierdzeniu niewolnictwa w Nowej Szkocji. Nikt z nas nie wierzył, że cokolwiek z tego wyjdzie, ale ofiarowaliśmy mu tyle, ile mogliśmy. Podziwiałam Petersa za determinację i dałam mu dziesięć szylingów. Po spotkaniu pomogłam mu napisać konkluzję, którą nazwał swoim memoriałem. „Biedni, pozbawieni

przyjaciół niewolnicy nie są chronieni przez prawa kolonii bardziej niż bydło czy dzikie bestie... a gnębicielskie okrucieństwo i brutalność ich zniewolenia są szokujące, drażniące i nieznośne zwłaszcza dla wolnych Negrów, którzy doprawdy nie rozumieją, dlaczego prawdziwą intencją rządu brytyjskiego zdaje się popieranie niesprawiedliwości i tolerowanie niewolnictwa w Nowej Szkocji”.

– Może mi pani wierzyć. Wybieram się do Anglii – powiedział Thomas Peters, dziękując mi. – A kiedy tam będę, nawet przez jeden dzień nie zapomnę o sytuacji, w jakiej znaleźli się nasi bracia i siostry.

Widząc odwagę i ambicję Petersa, uświadomiłam sobie, jak bardzo te cechy osłabły we mnie. Był czas, kiedy pragnęłam tylko tego, by znaleźć się w Anglii, a stamtąd wyruszyć w drogę powrotną do Afryki. Ale teraz nie chciałam podróżować. Pomiędzy belki szalasu wtykałam mech, żeby ochronić dom przed wiatrem, i przynosiłam drewno z lasu, żeby przez całą noc palić w piecu. Poza chatą nie miałam prawie nic. Co dzień dokładałam starań, by była czysta i sucha dla Chekury i May. Gdyby kiedykolwiek powrócili, chciałam, by wygodny dom zatrzymał ich na zawsze. Szukałam ucieczki w pracy, ale na każdym kroku towarzyszyły mi wspomnienia o Chekurze i May.

Mieszkańcy Birchtown wkrótce zapomnieli o Thomasie Petersie. Ale w następnym roku mężczyzna powrócił do naszego kościoła z wiadomością, że dotarł do Anglii i spotkał kilkoro białych ludzi, którzy byli gotowi wysłać nas z powrotem do Afryki. To, co mówił, wydawało się absurdalne. Nie znał żadnych szczegółów, którymi mógłby poprzeć swoją historię i nikt z nas mu nie wierzył. Przed wyjazdem Peters obiecał jednak, że niedługo otrzymamy więcej informacji.

Kiedy kilka dni później czytałam „Royal Gazette”, natknęłam się na ogłoszenie od przewodniczącego i dwunastu dyrektorów Sierra Leone Company z Londynu: *Darmowe osiedlenie na wybrzeżu Afryki*.

W zawiadomieniu napisano, że Sierra Leone Company chce przyjąć do swojej afrykańskiej kolonii wolnych Negrów, którzy mogą dostarczyć list potwierdzający ich dobry charakter, „a szczególnie uczciwość, abstynencję i pilność”. Według tekstu każdy „wolny czarny”, który dostarczył tego typu pisemne świadectwo, mógł otrzymać dwadzieścia akrów ziemi w Sierra Leone dla siebie, dziesięć dla żony i po pięć dla każdego dziecka. Czarni i biali mieliby takie same cywilne, wojskowe, osobiste i handlowe prawa i obowiązki w Sierra Leone, a kompania nie mogłaby przetrzymywać nikogo w niewoli ani pośredniczyć w handlu niewolnikami.

Zaczęłam czytać ogłoszenie mieszkańcom w Birchtown, którzy prosili, bym robiła to raz po raz. Przeczytałam je w metodystycznej kaplicy Ojczulka Mosea. I w kościele baptystów. Czytałam ogłoszenie wszędzie tam, gdzie ludzie chcieli o nim usłyszeć. Tyle razy przeczytałam dokument na głos, że znałam go na pamięć. Wciąż jednak nie potrafiłam

zrozumieć, kto mógł popłynąć do Afryki, w jaki sposób miałby się tam dostać, czym miałby opłacić podróż, kto za tym wszystkim stał i dlaczego nam to proponowano. Wszyscy mnie pytali, gdzie znajduje się Sierra Leone, ale nie znałam odpowiedzi.

Wkrótce się przekonaliśmy, że publiczne dyskusje na temat planu przesiedlenia są ryzykowne. W Shelburne trzech mężczyzn pobiło czarnego bednarza, który wszedł do kawiarni z egzemplarzem „Royal Gazette” w dłoni. Niektórzy mieszkańcy Birchtown martwili się, że rozmowy o przeprowadzce do Afryki staną się jedynie pretekstem dla białych do wywołania kolejnych zamieszek przeciwko Negrom.

Kilka dni później do Birchtown przybył Anglik John Clarkson w pełnym umundurowaniu porucznika Królewskiej Marynarki Wojennej. Mężczyzna wyglądał młodo. Miałam około czterdziestu sześciu lat, a on zdawał się o połowę młodszy. Młody, ale poważny, o chłopięcej twarzy, drobnym nosie i zaciśniętych ustach. Był gładko ogolony, za to jego twarz porastały niezwykle bujne bokobrody. Poprosił Ojczulka Moseesa o zgodę, by mógł się zwrócić do jego parafian. Setki ludzi zgromadziły się w kaplicy, a drugie tyle ustawiło się przed drzwiami, więc wszyscy przenieśliśmy się poza obręb kościoła. John Clarkson stał tyłem do oceanu, odgarniając włosy z oczu. Zebraliśmy się wokół niego, tworząc ogromną podkowę ustawioną przodem do zatoki.

John Clarkson miał wysoki, ale donośny głos. Staliśmy bez ruchu i milczeliśmy, żeby nie uronić ani słowa.

– Wielebny Mosesie, panie i panowie, nazywam się John Clarkson i jestem porucznikiem Królewskiej Marynarki Wojennej. Nie przybyłem tu jednak z misją wojskową. Przybyłem tu w celach cywilnych, aby zaproponować tym z was, którzy wykażą zainteresowanie i którzy spełnią niezbędne warunki, przeprawę do Sierra Leone w Afryce.

Zebrani zaczęli wiwatować tak głośno, że porucznik Clarkson musiał poczekać, aż krzyki ucichną. Moją uwagę przykuła jego bladość i niebieska żyła widoczna tuż przy skroni. Jego oczy były jednak pełne życia i kiedy czekał, aż ludzie się uspokoją, zdawał się bacznie przyglądać wszystkim zgromadzonym. Jego wzrok padł na mnie. Pomyślałam, że przypatruje się pomarańczowej chuście, którą owinęłam głowę. Włosy Johna Clarksona były jasne i przerzedzone, a od czubka głowy do czoła widniały plamy łysiny. Otarł pot i ukrył oczy w dłoniach jak ktoś, kto ma zbyt dużo pracy do wykonania i walczy ze snem.

Kiedy tłum znów się uciszył, Clarkson powiedział, że urodził się w Wisbech, niewielkim mieście portowym położonym w odległości około dziewięćdziesięciu mil od Londynu. On i jego współpracownicy uważali, że handel niewolnikami stanowi plamę na honorze chrześcijan. Oznajmił, że dotarły do niego informacje, iż Negrom, którzy służyli Brytyjczykom w czasie wojny przeciwko zbuntowanym koloniom, odmówiono ziemi i szans w Nowej Szkocji oraz w Nowym Brunszwiku.

– Przyjechałem tu dziś, by przekazać wam pewne wieści. Otrzymałem upoważnienie od

właściwych organów w Anglii, by zaproponować lojalnym Negrom podróż do nowego życia w Afryce.

Clarkson przeszedł do wyliczania obietnic dla tych, którzy pragnęli stworzyć nową brytyjską kolonię w Sierra Leone. Ci „poszukiwacze przygód”, jak ich nazwał, mieliby swobodnie zarządzać własnymi sprawami. Mieliby się cieszyć polityczną i rasową równością. Mieliby otrzymać ziarno pod uprawę, niezbędne narzędzia i ziemię na własność.

– Przecież nawet tu nie otrzymaliśmy ziemi! – krzyknął ktoś.

– Nie mogę zmienić waszej sytuacji w Nowej Szkocji – powiedział Clarkson, ale podkreślił, że Sierra Leone Company ofiaruje darmową przeprawę do kolonii i ziemię wszystkim tym, którzy zdecydują się na podróż.

– Gdzie jest to miejsce, które nazywa pan Sierra Leone?! – zawołał Ojczulek Moses.

Clarkson zapytał, czy ma narysować mapę. Zebrani przytaknęli.

– Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, iż w szkole oblałem wszystkie zajęcia plastyczne – powiedział z szerokim uśmiechem.

– My też – odparł Ojczulek Moses, a pozostali wybuchli śmiechem. Clarkson wyjął z torby pióro i kilka arkuszy papieru i szybko naszkicował kontury Afryki. Na jego rysunku wyglądała jak podłużny owal z odciętą lewą górną częścią. Na północ od miejsca, w którym kontynent wybrzuszał się na zachód, postawił dużą kropkę i nazwał ją Sierra Leone. Powiedział, że na zachodzie znajduje się Ocean Atlantycki, a na północnym zachodzie coś, co nazwał krajem Wolofów. Na południowym wschodzie wskazał kolejne wybrzeża: Pieprzowe, Kości Słoniowej, Złote i Niewolnicze. Kiedy skończył objaśniać rysunek, przekazał nam mapę.

– Wprawdzie oblałem zajęcia ze sztuki, ale w marynarce musiałem się nauczyć co nieco o mapach.

Podobał mi się ciepły ton Clarksona i to, że twierdził, iż wielu z nas mogłoby mu opowiedzieć o Afryce więcej niż on nam.

– Narysuj nam lwa! – krzyknął ktoś.

– Obawiam się, że mógłby wyglądać jak słoń – odpowiedział.

Kiedy śmiech ucichł, Clarkson znów spoważniał. Powiedział, że wszyscy „poszukiwacze przygód” podróżujący do Sierra Leone będą musieli zaprzestać nieuczciwego, przykrego, niechrześcijańskiego i niemoralnego zachowania. Sięgnął do notatek i przeczytał: „Przestępczość, pijaństwo, przemoc, złodziejstwo, wyuzdanie, cudzołóstwo, nierząd, sprośność, taniec i inne przejawy swobodnych emocji będą surowo zabronione”.

Przez tłum przetoczyło się kilka jęków. Stojący obok mnie mężczyzna wymamrotał:

– Do licha, człowieku, wrócimy do domu i nie będzie nam wolno nawet potaćzyć

z radości?

Kilkoro ludzi zachichotało, ale Clarkson ich zignorował i mówił dalej.

Kryminaliści i ludzie o złej opinii nie będą mogli wsiąść na statek. Samotnej kobiecie będzie wolno podróżować w pojedynkę, o ile jakiś mężczyzna potwierdzi nieskazitelność jej charakteru i obieca zadbać o jej dobrobyt.

Clarkson poprosił o pomocnika, który sporządziłby protokół spotkania. Kilkoro ludzi wykrzyknęło moje imię.

– Kimże jest ten Meena? – zapytał Clarkson.

Wystąpiłam naprzód, więc i mnie spytał:

– Czy mogłaby mi pani wskazać pana Meenę?

– Nazywam się Aminata Diallo.

Clarkson poskrobał się w bokobrody. Wydawał się speszony.

– Meena to zdrobnienie – wyjaśniłam. – Prosił pan o kogoś, kto zanotuje pańskie słowa. Mogę pomóc.

– Doprawdy? – Opuścił rękę. Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu, jakiego nie widziałam od lat. Zdawał się mówić: „Jestem nieopisanie szczęśliwy, że mogę cię poznać” lub: „Wydaje mi się, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić”.

Ku mojemu zaskoczeniu czułam to samo. Polubiłam tego mężczyznę w chwili, gdy go poznałam.

Otrzymałam materiały piśmiennicze i taboret, a gdy spotkanie potoczyło się dalej, usiadłam i robiłam notatki.

Clarkson poprosił, byśmy podali nazwiska przywódców naszej społeczności, którzy w nadchodzących tygodniach mogliby mu udzielić szybkich i wiarygodnych informacji. Podano mu nazwiska trzech pastorów. Zapytał, czy ktokolwiek spośród zebranych jest przeciwny całej idei. Jeden z mieszkańców Birchtown, Stephen Blucke, powiedział, że Negrzy powinni jak najlepiej wykorzystać to, co mają w Nowej Szkocji. Po co ryzykować utratę wszystkiego w czasie niebezpiecznej podróży do nieznannej ziemi?

Zamiast się obruszyć, Clarkson zachęcił Blucke'a i innych, którzy czuli, iż dobrze sobie radzą, do tego, by pozostali w Nowej Szkocji. Podobało mi się, że był dość pewny siebie, by pozwolić zebrany mówić to, co myślą.

Porucznik zadawał sobie trud, by odpowiedzieć na każde pytanie. Z każdym słowem zaskarbiał sobie u mnie coraz większe uznanie. Powiedział, że okręty nie będą statkami niewolniczymi. Uniósł palec, żeby podkreślić swoje słowa.

– Handlarze z wielu krajów wciąż sprzedają ludzi na wybrzeżach Afryki. Niektórzy z nich dopuszczają się tych nikczemnych czynów w Sierra Leone. Ale w kolonii, którą chcemy stworzyć, nie będzie mowy o niewolnictwie.

Wyjaśnił, że Sierra Leone Company jest kierowana przez mężczyzn, którzy poświęcają

życie, by położyć kres niewolnictwu. Statek lub statki będą miały współczesne wygody i będą zaopatrzone w odpowiednie pożywienie, tak by wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci mogli się przeprawić przez ocean w przyzwoitych warunkach.

Clarkson wyraził nadzieję, że poszukiwacze przygód ruszą w drogę w ciągu dwóch miesięcy, i powiedział, że podróż z Halifaksu do Sierra Leone zajmie około dziewięciu tygodni.

Dodał, że Sierra Leone Company jest gotowa pokryć wszelkie koszty związane z wywiezieniem nas z Nowej Szkocji ze względu na silne poczucie obowiązku i patriotyzm. Poczucie obowiązku, ponieważ czarni ludzie mają prawo żyć wolni od ucisku i prześladowań, a nie ma lepszego sposobu na to, by dać im odpowiednie oparcie niż wysłanie ich z powrotem do Afryki, gdzie będą mogli ucywilizować tubylców, ofiarując im umiejętność czytania i pisanie oraz chrześcijaństwo. Patriotyzmu, ponieważ my, czarni koloniści Sierra Leone, pomogliśmy Wielkiej Brytanii ustanowić relacje handlowe na afrykańskim wybrzeżu. Imperium nie musiało by już polegać na niewolnictwie, by się bogacić. Clarkson wyjaśnił, że ziemia w Sierra Leone jest tak żyzna, iż na naszych plantacjach rozrosną się figowce, drzewa pomarańczowe, kawowce i trzcina cukrowa. Z łatwością zaspokoilibyśmy swoje potrzeby i pomogli imperium brytyjskiemu wprowadzić na rynek bogate zasoby Afryki.

Wspomniał o, jak sam powiedział, mało istotnej kwestii osadników, którzy przybyli do Sierra Leone przed nami. Grupa czarnych ludzi z Londynu osiedliła się tam bowiem pięć lat wcześniej, ale ich kolonia się rozpadła. Powiedział jednak, że będziemy mogli zamieszkać w miejscu, w którym znajdowało się ich miasto, rozwinąć je i wprowadzić ulepszenia.

Złapałam się na tym, że wierzę w jego obietnice, ale czułam, że nie mogę z nim wyjechać. Gdybym wróciła do Afryki, już nigdy nie zobaczyłabym córki i męża. Kiedy Clarkson kontynuował przemowę, odpłynęłam myślami i przegapiłam jedno lub dwa pytania oraz odpowiedzi, które miałam zapisywać. Marzenie, które towarzyszyło mi przez całe życie, znajdowało się w zasięgu ręki, czułam jednak, że nie mogę po nie sięgnąć.

Po spotkaniu porucznik wsadził Ojczulka Mosesa do dwukółki i obaj odwiedzili mnie w mojej chacie. Jedliśmy jabłka, chleb z masłem oraz ser, który z tej okazji otrzymałam od Theo McArdle'a, popijając zaparzoną przeze mnie napojem z mięty, imbiru i miodu.

– Wielkie nieba, ta mikstura doskonale udrażnia nos – rzekł Clarkson. Spojrzał na piec do gotowania i podgrzewania oraz na naczynia zawieszane na ścianie, po czym pochylił się, żeby obejrzeć książki na regale. – Wydają się wysłużone.

Odparłam, że każdą z nich czytałam po kilka razy.

– Prawda, że lektura to cudowny sposób na ucieczkę od świata? – rzucił, a ja zaśmiałam się, zaskoczona jego bezpośredniością. – Niech mi pani nie mówi, że czytała

Podróże Guliwera.

– Wielokrotnie.

– Czyż nie lubi pani nazwy „liliputy”? Skąd on wytrzasnął to słowo?

– Są małe, ale sieją spustoszenie – odparłam.

– Zupełnie jak Anglicy – skwitował.

Ojczulek Moses i ja zaśmialiśmy się. Poczęstowałam Clarksona kolejną szklanką gorącego napoju.

– Czy nie zechciałaby pani zostać moją prawą ręką? – zapytał. – Potrzebuję kogoś, kto sporządzałby notatki, rozmawiał z Negrami i pomógł mi zorganizować wyprawę.

– Mogę pomóc, ale nie płynąć z panem – odpowiedziałam.

– Jeśli jest pani najemną sługą albo ma pani długi, mógłbym pomóc – zapewnił.

– Jestem wolna i nie mam długów. Ale czekam na męża i córkę i nie mogę bez nich wyjechać.

Clarkson zapytał, co mam na myśli. Słuchał uważnie, stukając palcami, podczas gdy ja opowiedziałam mu o Chekurze i May.

– Nie wiem, co powiedzieć o pani córce – odrzekł. – Witherspoonowie są bogaci, więc mogli ją zabrać do jakiegokolwiek miasta lub państwa. Ale porozmawiajmy o pani mężu. Mówi pani, że statek, którym płynął, nazywał się Józef?

– Tak.

– I kierował się do Annapolis Royal?

– Tak.

– A wypłynął z Nowego Jorku 10 listopada 1783 roku?

– Właśnie tak.

– W takim razie powinno mi się udać wyszukać archiwa morskie. Po powrocie do Halifaksu zobaczę, co da się zrobić.

Zgodziłam się pracować dla Clarksona za trzy szylingi dziennie, pokój i utrzymanie. Clarkson powiedział, że do czasu wyjazdu do Afryki będę mu potrzebna dzień i noc. Obiecał, że wynajmie mi pokój w Water's Edge Inn w Shelburne, a po kilku dniach odpłynie do Halifaksu, by dokończyć pracę.

– Czy mógłbym dostać jeszcze kapkę tej herbaty? – poprosił. – Cóż za znakomity napój.

Pomyślałam, że być może któregoś dnia opowiem mu o tym, jak piłam miętową herbatę z ojcem w Bayo. Ale na razie chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o ludziach, którzy stali na czele Sierra Leone Company.

Clarkson powiedział, że kompanię tworzy kilku najważniejszych abolicjonistów w Londynie, a wśród nich jego brat Thomas. Mężczyźni chcieli stworzyć dochodową kolonię w Afryce, gdzie wyzwoleni Negrzy mogliby wieść owocne i godne życie i gdzie Wielka Brytania mogłaby prowadzić dochodowy handel z resztą świata – handel, który nie

opierałby się na nikczemności niewolnictwa.

John Clarkson każdą wolną chwilę poświęcał rejestracji Negrów. Gdy musieliśmy złożyć wizytę u burmistrza Shelburne, który sprzeciwiał się naszemu przedsięwzięciu, określił to jako „konieczną uprzejmość”. Burmistrz wróżył, że Negrzy umrą w czasie rejsu, zapadną na choroby tropikalne lub pożą naiwnych Europejczyków, którzy chcą ich wywieźć do Gwinei.

W ciągu pięciu dni, kiedy sporządzaliśmy spis mieszkańców Birchtown chętnych do podróży, słyszałam wszystkie możliwe określenia na mieszkańców mojej ojczyzny. Ludzie nazywali nas Etiopczykami, ciemnymi oraz ludźmi sobolej rasy. Nasza ojczyzna była określana jako Sierra Leone, Serra Lyoa, Negritia, Negroland, Gwinea i ciemny kontynent. Mówiono, że chcąc opuścić Nową Szkocję, okazujemy niewdzięczność. Wiedząc, że niewolnikom, najemnym sługom ani dłużnikom nie będzie wolno odpłynąć z Clarksonem, niektórzy ludzie oskarżali Negrów o to, że mają u nich długi lub podpisali z nimi kontrakt. Miałam zadbać o to, by każdy mieszkaniec Birchtown, który chce opuścić Nową Szkocję, zarejestrował się w Water’s Edge Inn, oraz znaleźć dowód na odparcie fałszywych oskarżeń.

Chociaż musieliśmy się spieszyć, Clarkson zawsze poświęcał chwilę, by zapytać, czy niczego nie potrzebuję: jedzenia, picia, atramentu lub piór. Gdy byłam zmęczona, mówił, że czuje się podobnie. A gdy pod koniec długiego dnia pracy mieliśmy kilka minut na posiłek we dwoje, zabawiał mnie, naśladując ludzi, z którymi tego dnia rozmawialiśmy. Ten człowiek potrafił imitować każdy akcent. Niemniej do swojego zadania podchodził z absolutną powagą, a mnie podobało się to, że docenia moje starania.

Noce były dla niego trudne. Nie wiem, jakim cudem udało mu się przetrwać jakąkolwiek morską bitwę tak, że jego umysł nie doznał szwanku. Choćby najłżejsza obraza lub prowokacja sprawiały, że przez resztę dnia i nocy mężczyzna gotował się ze złości, która albo nie pozwalała mu zasnąć, albo podsuwała mu koszmary. Ściany w Water’s Edge Inn były cienkie jak pergamin, więc każdej nocy budziły mnie jego krzyki. „Nie! – wrzeszczał. – Puść ją! Natychmiast!”

Po pierwszych tego typu wybuchach zrozumiałam, że są to po prostu nocne majaki. Mnie także się zdarzały, więc go nie osądzałam. Przy porannej herbacie pukał w stół i prosił, bym przypomniała mu, iż tego wieczoru musi napisać list do narzeczonej. Skarżył się też na to, że niektórym czarnym uniemożliwiano podróż do Afryki. Gdy właściciel tawerny oznajmił, że jeden z Negrów jest mu winien pięć funtów za piwo i rybę, Clarkson sam spłacił dług i ostrzegł byłego dłużnika, by do końca pobytu w Nowej Szkocji nie przestępował progu żadnej tawerny. Zmartwienia Clarksona odmalowywały się na jego twarzy, a czasem przeradzały się w łzy, które spływały mu po policzkach, gdy rozmawialiśmy o nieukończonych pracach. Ale ani łzy za dnia, ani wybuchy w nocy nie

przeszkadzały mu pracować przez wiele godzin. Podziwiałam go za to, że mimo własnych zmagañ jest wytrwały, i poprzysięgłam sobie w duchu, że w miarę możliwości będę go wspierać.

Kiedy ukończyliśmy rejestrację w Shelburne, Clarkson zawiadomił sześciuset poszukiwaczy przygód zakwalifikowanych do podróży do Afryki, że wyśle po nich statki, które przetransportują ich do Halifaksu. Przykazałam Ojczulkowi Mosesowi i Theo McArdzie'owi, by pilnowali, czy w okolicy nie pojawili się Chekura i May, po czym wsiadłam na statek z Clarksonem.

W czasie dwudniowej podróży do Halifaksu miałam do dyspozycji jednoosobową kajutę. Kiedy opuściłam miejsce, w którym mieszkałam przez osiem lat, poczułam dziwną ulgę. W długie samotne noce miałam sporo czasu na myślenie. Uświadomiłam sobie, że na tym świecie dobrzy biali mężczyźni nie mają zbyt wielkich szans na to, by pozostać zdrowi na umyśle.

Każdy biały człowiek, który chciał pomóc Negrom „się wyedukować”, jak mawiał Clarkson, nie spotykał się z powszechnym uznaniem. Liczyłam, że Clarkson utrzyma się na stanowisku dość długo, by pomóc nam bezpiecznie dotrzeć do Afryki. Martwiłam się jego wybuchami złości. Za bardzo przejmował się Negrami. Wydawało mi się to nienaturalne.

Kiedy w 1791 roku przybiliśmy do Halifaksu, miasto dopiero powstawało. Brakowało mu urody i porządnego układu Shelburne. Nie miało tylu sklepów ani publicznych budynków, jakie czarnoskórzy wzniesli w Shelburne, ale było o wiele spokojniejsze i Negrzy mogli się tu czuć o wiele bezpieczniej.

Wprowadziłam się do pokoju w King's Inn położonego wśród rozpadających się drewnianych budynków wzdłuż ruchliwej ulicy nad wodą. Każdego dnia miałam zaledwie kilka minut wolnego, więc lubiłam rozpoczynać poranki w samotności, jedząc śniadanie w pokoju i czytając gazety. Co rano o siódmej Henry Millstone, który prowadził tawernę w hotelu, przynosił mi nowy numer „Royal Gazette” i miskę zupy rybnej, po czym przez chwilę ze mną rozmawiał.

– Porucznik Clarkson mówi, że jest pani najbardziej czytana Murzynką, jaką kiedykolwiek spotkał – oznajmił. – Czy to prawda?

Zaczynałam odkrywać u białych pewną intrygującą cechę. Wydawało się, że towarzyszy im pragnienie, by albo wychwalać mnie pod niebiosa, albo wypędzić mnie z miasta. Czasem było mi trudno odróżnić oba typy.

– Istnieją Negrzy, którzy umieją czytać i pisać, panie Millstone. A z czasem będzie ich w Nowej Szkocji coraz więcej, tu bowiem nie zabrania się im czytać.

– Sam chętnie bym się z nimi nauczył – powiedział ze śmiechem. – Czy pani także wybiera się do Gwinei?

– Do Afryki – poprawiłam go.

- Oczywiście, to właśnie miałem na myśli.
 - Na razie tylko pomagam porucznikowi – powiedziałam.
 - Afryka to niebezpieczne miejsce – rzucił.
- Opuściłam łyżkę i spojrzałam mu w oczy.
- Podobnie jak Nowa Szkocja.

Kilka dni po tym, jak przybyłam do Halifaxu, o dziesiątej wieczorem do drzwi mojego pokoju zaczęło walić trzech Negrów, którzy przez ostatnie piętnaście dni przedzieraali się przez lasy, wędrując z Saint John. Tamtejszy urzędnik odmówił zarejestrowania ich na podróż i wejścia na statek płynący do Halifaxu, więc nie mieli wyboru i musieli się dostać do miasta drogą lądową i zdążyć przed odpłynięciem statku. Clarkson zgodził się ich przyjąć.

W ciągu tygodnia kolejna setka zmarzniętych i głodnych Negrów przybyła pieszo do Halifaxu. Ujrzałam mężczyzn bez płaszczy, kobiety w poszarpanych kocach na ramionach i dzieci bez jakichkolwiek ubrań. W połowie grudnia statki z Shelburne i Annapolis Royal przywiozły do miasta kolejnych ludzi, a liczba murzyńskich poszukiwaczy przygód wzrosła do tysiąca.

Clarkson umieścił ludzi w magazynach przy wodzie, przyniósł im koce, żeby nie zmarzli w nocy, i zapłacił kilkudziesięciu kobietom, by co wieczór gotowały posiłki w kotłach. Pracował całymi dniami i przez połowę nocy, a w wolnych chwilach kupował ubrania dla potrzebujących i organizował opiekę medyczną dla chorych. Podczas gdy ja informowałam mieszkańców Nowej Szkocji o tym, co wolno im zabrać do Sierra Leone – nie więcej niż jednego psa na sześć rodzin, drób, ale nie świnię, kufer z ubraniami, ale żadnych stołów czy krzesel – Clarkson nadzorował zaopatrzenie statku. Co dzień mówił o zdrowiu podróżujących Negrów i rozkazał, by każdy statek wysmołowano, pokład wyszorowano octem, a sypialnie powiększono tak, by miały wysokość co najmniej pięciu stóp. Powiesił nawet kartę dań, aby zapewnić podróżników, że zostaną odpowiednio nakarmieni. Na śniadania i kolację mieliśmy otrzymywać indyjski posiłek z melasą i brązowym cukrem. Na obiad na zmianę soloną rybę, wieprzowinę lub wołowinę, a także rzepę, groch i ziemniaki.

Clarkson zadbał o to, by na Boże Narodzenie zabito, przyprawiono i ugotowano niemal dwieście indyków i by każdy mężczyzna i każda kobieta otrzymali kieliszek piwa lub wina. Towarzyszyłam mu, gdy w czasie posiłku przechadzał się od magazynu do magazynu, żeby porozmawiać z podróżnikami. Modlił się wraz z każdą grupą i powtarzał słowa „Regulaminu dla wolnych czarnoskórych podróżników wyruszających do Sierra Leone”. Pojedynczym ludziom zazwyczaj okazywał szacunek, ale gdy przemawiał do grup, zachowywał się tak, jakby byli dziećmi. Wzdrygnęłam się, gdy pouczył zebranych, by pilnowali modlitwy, wypowiadali się z łagodnością, żeby zapobiec bójkom, i nie

spoufalali się z marynarzami. Jednak żaden Negr nie narzekał na jego wykłady. Czili mężczyznę, który zabierał ich do Afryki.

Gubernator wraz z żoną zaprosili mnie i Clarksona na świąteczny obiad. Kiedy weszliśmy do ich okazałego domu, Clarkson wyszeptał, że rezydencja rządowa została wybudowana za dwadzieścia tysięcy funtów i że za tę samą kwotę można by zatrudnić tysiąc czarnoskórych pracowników rocznie. Dołączyliśmy do szesnastu innych gości w jadalni. Pani Wentworth była głośną kobietą palącą cygara. Ledwie zasiedliśmy do posiłku, kiedy zaczęła mówić o migracji.

– Poruczniku, szykuje pan niezłą wyprawę.

– Dla Negrów to ważna sprawa – odparł Clarkson.

– Czy naprawdę wierzy pan, że w tropikach będzie im lepiej? – zapytała.

Miałam dość tego, że debatowali tak, jakby wcale mnie tam nie było, więc dorzuciłam własny komentarz:

– Od ośmiu lat czekamy na ziemię, a większość z nas jeszcze jej nie otrzymała.

– Każdy mieszkaniec Nowej Szkocji ma własną opowieść o opóźnieniach w przydziale ziemi – odparła. – Nie tylko czarni domagają się pól.

– Nie chodzi jedynie o ziemię – powiedziałam. – Chodzi o wolność. Negrzy chcą żyć własnym życiem. A tutaj więdnjemy.

– Przyjmujecie od nas zaopatrzenie i zapomogi, kiedy tylko wam się podoba – rzuciła. – To wcale nie wygląda na więdnienie...

Do rozmowy wtrącił się gubernator Wentworth.

– Skoro mowa o wolności, wzniesmy toast za Jego Wysokość Króla!

Kiedy podano owoce i sery, kamerdyner zaproponował gościom zwiedzanie rezydencji rządowej. Clarkson i ja pieliśmy się po niekończących się schodach i wchodziliśmy do pokojów wypełnionych portretami, ale moją uwagę przykuło jedynie pomieszczenie z mapami. Kamerdyner oznajmił, że są to mapy z każdego miejsca na świecie. Kiedy pozostali opuścili pokój, Clarkson i ja zostaliśmy. Wertowałam gruby zwitek map, podczas gdy Clarkson narzekał, że kolacja była stratą czasu.

– W Boże Narodzenie i tak nie zdołaliby pan popracować – powiedziałam.

Stwierdził, że musi skończyć zaopatrywanie statków i poszukać drugiego chirurga pokładowego. Zapytał Wentwortha, czy na misję do Sierra Leone mógłby zabrać jednego z królewskich chirurgów z Halifaksu, gubernator jednak odmówił. Clarkson niemal udławił się ze złości, opisując sytuację, w jakiej się znalazł. Oznajmił, że jeden chirurg na flotyllę piętnastu statków to zdecydowanie za mało. Co, jeśli okręty rozłączą się w czasie żeglugi? Na co zda się chirurg na jednym statku, jeśli ktoś będzie umierał na drugim?

– On po prostu nie chce, żeby mi się udało – powiedział Clarkson. – Woli, by wolni Negrzy pozostali na miejscu, aby udowodnić, że w Nowej Szkocji dobrze im się wiedzie

i że ich narzekania na złe traktowanie nie mają podstaw.

Ciężko sapał i zaczął wymachiwać rękami. Usiadłam przy nim i zdołałam go uspokoić, zachęcając, by nabierał miarowe, regularne oddechy, i oddychając wraz z nim. Kiedy wyciszył się na tyle, by dołączyć do innych gości na drinka, zostałam sam na sam z mapami.

Ktoś zadał sobie dość trudu, by posortować je według kategorii: Brytyjska Ameryka Północna, Nowa Szkocja, trzynaście kolonii, Anglia, Jamajka, Barbados i Gwinea.

Z teczki z napisem „Gwinea” wyjęłam pierwszą mapę i rozłożyłam ją na stole, na którym paliły się dwie świece. Moim oczom ukazały się typowe rysunki na wpół rozebranych Afrykanów i nagich Afrykanek w otoczeniu pawianów i słoń.

Znów sięgnęłam do teczki „Gwinea” i wyciągnęłam kawałek papieru opatrzonego ozdobnym napisem: „Przepisano z: *O poezji: Rapsodia Jonathana Swifta, 1733*”. Poniżej znalazłam następujące wersy:

Na Afryki mapie miejsca puste
Zajmują lwy i małpy tłuste
Pochyl się nad nią, głowę skłoń
W zastępstwie wiosek – dziki słoń

W zastępstwie wiosek – dziki słoń. Pocieszyła mnie myśl, że niemal sześćdziesiąt lat wcześniej, jeszcze przed moimi narodzinami, Swift wyraził to, co teraz czułam. To nie były mapy Afryki. Te wszystkie ozdobne szkice kobiet o wielkich piersiach, które unosiły się w nieprawdopodobnym pozdrowieniu, oraz każde pociągnięcie pędzla stanowiły dowód na to, że kartografowie nie mieli zbyt wiele do powiedzenia o moim kraju.

Wyciągnęłam kolejny rulon, a potem kolejny i jeszcze jeden, ale były to tylko stare mapy pokryte znanymi mi szczegółami. Na rysunkach były widoczne wybrzeża Pieprzowe, Złote i Niewolnicze oraz kilka najważniejszych portów, między innymi Bonny i Elmina. Ten ostatni zapamiętałam na zawsze, bo jego nazwa brzmiała podobnie jak moje imię. W końcu wyjęłam najnowszą mapę Afryki, jaką kiedykolwiek widziałam, datowaną na 1789 rok i wydrukowaną w Londynie. Moim oczom znów ukazały się niewolnicze porty takie jak Wydah czy Elmina, jednak o wiele dalej na północny zachód dostrzegłam inny port, z którego odpływały statki niewolnicze – wyspę Bance. Przypomniałam sobie, że William King, handlarz niewolnikami z Karoliny Południowej, powiedział mi, że odpłynęłam z wyspy Bance. Nie wiedziałam, czy należy ona do jakiegoś kraju, ale nieco dalej na południowym wschodzie ujrzałam słowa „Sierra Leone”. Przyjrzałam się mapie. Chociaż widniały na niej obowiązkowe rysunki nagich Afrykanek z dziećmi na plecach, małp i słoń – zwłaszcza na obszarze zwanym „Zaara lub Pustynia Barbarii” – znalazłam na niej także nazwy kilku miasteczek w głębi lądu. Na tej mapie oznaczono porty u wybrzeża – a przynajmniej większość z nich – oraz kilka wiosek. Z dzieciństwa pamiętałam, jak ojciec obiecywał, że któregoś dnia zabierze mnie do Segu. Mówił, że osada jest położona

w odległości czterech dni pieszo od naszej wioski. Teraz, kiedy zobaczyłam jej nazwę oddaloną o kilka cali na północ od wyspy Bance, głowiłam się nad tym, jaką odległość w rzeczywistości oznaczają te cale. Po chwili wrócił po mnie John Clarkson.

– Czy możemy usiąść? – zapytał. – Chcę z panią pomówić.

Usiadłam twarzą do niego, sądząc, że chce porozmawiać o czekającej nas pracy.

– Prosiła pani, żebym znalazł informacje na temat statku pani męża – powiedział. – Okręt Józef odpłynął z Nowego Jorku, kiedy was ewakuowano...

– Zgadza się. – Złączyłam palce, tworząc wieżyczkę. Oparłam podbródek w zagłębieniu kciuków i przycisnęłam nos palcami wskazującymi.

Clarkson odchrząknął.

– Statek zatonął.

Siedziałam bez ruchu.

– Dowiedziałem się tego od dowództwa brytyjskiej marynarki – powiedział i odkaszlnął. – Ich siedziba znajduje się przy tej ulicy. Przechowują tam manifesty, rejestry i dzienniki okrętowe.

Nie mogłam się ruszać ani mówić.

– Józef zatonął – powtórzył. – Został zdmuchnięty z kursu przez porywisty wiatr. Znalazł się niemal przy Bermudach, ale wtedy nadciągnął sztorm i statek zatonął. Zginęli wszyscy. Kapitan, załoga, biali i czarni lojaliści. Bardzo mi przykro. Ale prosiła pani, żebym się czegoś dowiedział.

– Kiedy pan o tym usłyszał? – zapytałam.

– Dziś.

Położył mi rękę na ramieniu, ale straciłam ją i wybiegłam z budynku. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie widział ani dotykał. Musiałam się znaleźć sam na sam z otrzymanymi wieściami. Chekura. Mój mąż. Po tak długiej podróży. Zginął na statku, którym powinnam była popłynąć.

Zastanawiałam się, w jaki sposób zatonął statek. Może uderzył w niego piorun albo przewrócił się, wpadając do wzburzonego morza. Czy mój mąż umarł szybko, czy zdążył o mnie pomyśleć, kiedy woda pochłaniała jego ciało? Pocieszałam się myślą, że prawdopodobnie komuś pomagał. Może trzymał dziecko. Tak wielu Afrykanów zginęło na morzu, a jeszcze większa liczba umarła, idąc na statki niewolnicze lub z nich schodząc. A teraz jeszcze to.

Mogłam umrzeć wielokrotnie, a jednak wciąż tu byłam, u progu kolejnej podróży przez ocean. W pierwszą z nich udałam się nie z własnej woli.

Tym razem wybór należał do mnie. Chekura nie żył. Mamadu także. May zniknęła pięć lat temu. Jeśli wciąż żyła, prawdopodobnie mnie nie pamiętała; byłam pewna, że nie powróci. Tęskniłam za trojgiem ukochanych osób tak bardzo, że miałam wrażenie, iż

brakuje mi połowy ciała.

Spędziłam poranek w King's Inn, wylewając rozpacz w poduszkę. Potem wróciłam, by pomóc Johnowi Clarksonowi. Postanowiłam zabrać to, co pozostało z mojego ciała i ducha, i dołączyć do exodusu do Afryki. W Nowej Szkocji nie miałam już niczego. Kiedy wyobraziłam sobie, że May zjawia się w Shelburne i pyta o mnie, zabrakło mi tchu. Próbowałam się uspokoić, trzymając książkę, gładząc jej okładkę i otwierając na przypadkowej stronie. Raz po raz czytałam słowa, dopóki nie potrafiłam powtórzyć ich z pamięci. Ani książka, ani jej fragment nie miały znaczenia – to, że czytałam je na głos, pomogło mi sobie uświadomić prostą prawdę, którą wypierałam przez lata spędzone w Birchtown: już nigdy nie zobaczę May. Trzeba żyć dalej.

Na nabrzeżu portu w Halifaksie, milcząc, ustawiliśmy się w równe rzędy. Rozmawialiśmy szeptem, kuląc się przed wiatrem i deszczem i czekając na swoją kolej, by dostać się na statki. Jedna na trzy zgromadzone w porcie osoby urodziła się w Afryce. Wraz z dziećmi było nas tysiąc dwieście. Sztorm ustąpił po pięciu dniach. Weszłam na pokład Lukrecji z Johnem Clarksonem, pokładowym chirurgiem oraz wszystkimi kobietami w ciąży i chorymi podróżnikami. 15 stycznia 1792 roku piętnaście statków podniosło kotwice i wyruszyło do Sierra Leone.

Księga czwarta

Toubabka o czarnej twarzy

Freetown, 1792 rok

Na pokładzie Lukrecji umarło podczas przeprawy przez ocean siedmioro ze stu pięćdziesięciorga pasażerów. John Clarkson także był bliski śmierci, kiedy w czasie sztormu zakrztusił się własnymi wymiocinami, ale udało się go odratować. Przez większość podróży pozostawał przykuty do łóżka, odzyskał jednak siły, gdy 9 marca 1792 roku nasz statek wpłynął do Zatoki Świętego Jerzego. Spoglądałam na zielone góry. Z dziecięcych lat pamiętałam kontur grzbietu lwa i jego głowę. Sierra Leone – Lwia Góra – tak wyraźnie rysowała się na półwyspie, że miałam ochotę wyciągnąć dłoń i jej dotknąć.

Kiedy wpłynęliśmy do zatoki, zrozumiałam, że statek, na którym znalazłam się trzydzieści sześć lat wcześniej, wyruszył z wyspy Bance. Odszukałam ją na mapie, a Clarkson powiedział mi, że należy ona do Sierra Leone. Dopóki jednak moim oczom nie ukazała się góra w kształcie lwa, nie wierzyłam, iż powróciłam do miejsca, z którego mnie zabrano. Nie śmiałam nawet o tym marzyć.

Przybysze z Nowej Szkocji uściskali się na pokładzie i zaczęli wychwalać Jezusa oraz Johna Clarksona.

– Wystarczy, proszę. – Zaśmiał się zawstydzony.

– Niech nam pan opowie więcej o ziemi, do której nas pan sprowadził! – wykrzyknęła jakaś kobieta.

– Obawiam się, że w tej kwestii przypominam większość z was – odparł Clarkson, spoglądając na wybrzeże. – Jeszcze nigdy nie byłem w Afryce.

Zapatrzyłam się na niego i zauważyłam, że inni także utkwili w nim wzrok. Nie przyszło mi do głowy, że mężczyzna, który zorganizował masową emigrację Negrów z Nowej Szkocji, nigdy dotąd nie widział mojej ojczyzny.

Aby przerwać milczenie, jeden z oficerów Clarksona przechylił beczkę i nalał rumu do szklanek, które następnie rozdał kobietom i mężczyznom. Nie chciałam pić i nie czułam potrzeby, by się śmiać. Wolałam stać samotnie przy burcie statku. Przycisnęłam dłoń do drewnianej barierki, poczułam na twarzy wilgotną bryzę i zamyśliłam się nad tym, co się ze mną stanie. Wydawało mi się, że ogarnie mnie wielka radość, ale czułam się przytłoczona. Choć fale oceanu rozbijały się o brzegi Afryki, prawdziwa ojczyzna wciąż znajdowała się poza zasięgiem mojego wzroku. Wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek dotrę do domu, ludzie zapytają o to, gdzie są mój mąż i dzieci, a wtedy będę musiała wyznać, że w kraju toubabów udało mi się ocalić jedynie siebie.

Przeprawa przez morze zajęła niemal dwa miesiące, ale podróż nie dobiegła jeszcze końca. Podczas gdy piętnaście statków z naszej floty z Halifaksu opuściło kotwice i przez trzy dni piekło się w afrykańskim słońcu, Clarkson przemieszczał się pomiędzy nimi i kilkoma innymi statkami, już od jakiegoś czasu zacumowanymi w porcie. Dostrzegłam, że i na nich powiewa flaga Sierra Leone Company, na której widniały dwie ściskające się dłonie – jedna czarna, a druga biała.

Świadomość, że to przyjazne statki, przyniosła mi ulgę, ale Thomas Peters wygłaszał na ich temat tyrady, zwracając się do mnie i każdego, kto chciał go słuchać. Peters z lubością przypominał, że to on umożliwił nam przesiedlenie po tym, jak dwa lata wcześniej popłynął do Londynu, by poskarżyć się na los czarnych lojalistów wciąż pozbawionych ziemi w Nowej Szkocji. Ale teraz miał do powiedzenia coś innego.

– Co robią tu te wszystkie statki z Londynu? To miała być nasza kolonia. Nasze nowe życie. To my mieliśmy podejmować decyzje. A tymczasem co robimy? Czekamy, aż porucznik Clarkson przypieczeruje nasz los z innymi białymi.

Clarkson wynajął grupę Afrykanów, którzy przewieźli go łodzią po Zatoce Świętego Jerzego. Wszyscy staliśmy na pokładzie, podziwiając mięśnie wioślarzy i ich eleganckie, gładkie ruchy. Kiedy Clarkson wrócił na statek, Peters zaczął mu zadawać pytania.

– Kim są ci mężczyźni? – zapytał.

– To członkowie plemienia Temne, poddani króla Jimmy’ego – odparł Clarkson.

– A kim on jest?

– To lokalny przywódca.

– A ci mężczyźni? Czym się zajmują na co dzień? – kontynuował Peters.

– To wioślarze. Przewożą towary i ludzi.

– Jakich ludzi? Niewolników?

Clarkson zaczął się czerwienić. Peters uniósł dłoń.

– Nie chcę pana urazić. Proszę nam tylko powiedzieć, czy ci mężczyźni przewożą po tych wodach niewolników?

Clarkson odkaszlnął i przez dłuższą chwilę układał odpowiedź. W tym czasie zebrał się wokół niego ciasny krąg.

– Thomasie – powiedziała do Petersa – może się cofniemy i pozwolimy porucznikowi nieco odetchnąć?

– Dziękuję, Meeno – odparł Clarkson. – Mówiłem wam już, że w Sierra Leone działają handlarze niewolników.

– Ale nie wspominał pan o tym, że handlują oni ludźmi tuż pod naszym nosem – oznajmił Peters.

– Nie do końca – wyjaśnił Clarkson. – Te działania mają miejsce na wyspie Bance, osiemnaście mil w głąb zatoki.

– Ależ panie Clarkson! – Poczułam na sobie wzrok zebranych; wszyscy wiedzieli, że Clarkson i ja mamy dobre relacje. – Jak mógł nas pan przywieźć do miejsca, w którym roi się od handlarzy niewolników?

– Zrozumcie, że nie mieliśmy specjalnego wyboru – odpowiedział Clarkson. – To tu prowadzimy nasze operacje. To tu negocjowaliśmy z krajowcami. I tego miejsca nie obejmują działania handlarzy niewolników.

Ludzie zaczęli przeklinać. Znajdowaliśmy się na tyle blisko wyspy Bance, iż widziałam jej brzeg i miałam pewność, że to właśnie stamtąd mnie zabrano. Teraz jednak pragnęłam przepłynąć kolejne dwieście mil wzdłuż wybrzeża, w jakimkolwiek kierunku.

Clarkson zdawał się czytać w moich myślach.

– W każdym miejscu wzdłuż gwinejskiego wybrzeża, na którym osiedlili się Europejczycy, znajdziecie miejsca handlu niewolnikami. Nigdzie nie jest bezpieczniej niż tu. Nasza misja jest wyjątkowa, a nasza kolonia będzie inna. Będzie prosperować dzięki uprawom, przemysłowi i handlowi. Znajdziemy sposób, by służyć imperium brytyjskiemu.

– Nie po to opuściliśmy domy w Nowej Szkocji, by służyć Brytyjczykom – powiedział Peters. – Przybyliśmy do Afryki po wolność.

– I otrzymacie ją – odparł Clarkson. – Daję wam słowo. Czy to jasne? Nikt z was nie zostanie wzięty do niewoli.

Peters zamilkł. Wypowiedział na głos moje niepokoje, ale doszłam do wniosku, że wyspa Bance znajduje się wystarczająco daleko. Jeśli będzie mi wolno swobodnie się poruszać, być może nigdy nie będę musiała jej oglądać.

– Kiedy opuścimy statek? – zapytałam.

– Jutro – odparł Clarkson.

Przez resztę tego dnia i cały następny poranek spoglądaliśmy na bujną zieleń w oddali. Staliśmy przy burcie, kiedy zobaczyliśmy, jak zbliża się jakiś statek. Clarkson spojrzął przez lunetę i jęknął.

– O co chodzi? – zapytałam.

Porucznik podał mi lunetę, a ja rozciągnęłam ją i wyregulowałam. Na pokładzie statku zobaczyłam nagich krajanów, a Lukrecję owionął nagle potworny smród. Okręt się zbliżał, a fetor stawał się coraz silniejszy. Niektórzy z mieszkańców Nowej Szkocji zeszli pod pokład, ale ja zostałam na miejscu. Nie chciałam tego widzieć, ale nie potrafiłam odwrócić wzroku.

Clarkson ruszył do swojej kajuty i powrócił na pokład w mundurze porucznika marynarki. Ludzie na nadpływającym statku także przygotowali się do spotkania – wszystkich jeńców wysłano pod pokład, nie sposób było jednak ukryć prawdziwej natury statku, ponieważ dusiliśmy się i krztusiliśmy od smrodu. Doskonale wiedziałam, w jaki sposób niewolnicy są przykuci do podbrzusza okrętu. Wyobrażałam sobie ich ropiejące

rany na nogach i jęki wydzierające się z ich ust. Biały człowiek przepłynął łodzią na nasz statek i otrzymał pozwolenie, by wejść na pokład.

Clarkson wymienił z mężczyzną uścisk dłoni, uprzejmości i towary. Porucznik podarował mu trzy beczki suszonego mięsa, a handlarz niewolników wręczył Clarksonowi beczki wody pitnej i pomarańczy. Ścisnęli sobie dłonie jak przyjaciele. Później, kiedy mężczyznę odwieziono z powrotem na statek, Clarkson zauważył, że się w niego wpatruję.

– Dobrze jest utrzymywać serdeczne stosunki z wrogiem – wyjaśnił.

– Dlaczego pozwolił pan temu statkowi odpłynąć? – zapytał go Peters.

– Panie Peters, nie mam wpływu na te sprawy.

– W ten sposób zgadza się pan na handel ludźmi.

– Otrzymałem od nich wodę i pomarańcze. To towary, których pan i inni podróżnicy potrzebujecie – odparł Clarkson. – Myśli pan, że przyjąłem je dla siebie?

– Dlaczego nie zatrzymał pan tego statku?

– Panie Peters, statek, na którym się znajdujemy, to nie okręt wojenny. Czy widzi pan tu armaty albo żołnierzy uzbrojonych w muszkiety? Całym sobą sprzeciwiam się handlowi niewolnikami, ale aby zwyciężyć, musimy rozważnie wybierać bitwy. Przybyliśmy tu, by ustanowić wolną kolonię, a nie po to, by rozpocząć wojnę z handlarzami niewolników.

Moja stopa nie stanęła jeszcze na suchym lądzie, jednak już teraz było dla mnie jasne, że nic tu nie będzie proste. Podziwiałam Petersa za to, że sprzeciwia się handlowi niewolnikami, ale czułam, że Clarkson ma rację. Nauczyłam się, że czasami walka jest niemożliwa i wtedy najlepiej poczekać. Teraz najważniejsze było, byśmy opuścili statki, zbudowali szałas i znaleźli jedzenie. Tej nocy spoglądałam z Lukrecji na zbierające się ponad górą ciemne chmury. Zapadł zmierzch, a na niebie nie było ani jednej gwiazdy. Piorun przeciął chmury, oświetlając statki w porcie, a nad zatoką przetoczyły się fale grzmotów. Ze strony jaskiń na górze dobiegł nas dźwięk grzmotu, który kilkakrotnie odbił się echem jak nocny wystrzał z armaty. Wielu pasażerów statku było przerażonych, ale ja pamiętałam tutejszą burzę i po tylu latach wciąż wiedziałam, że przeminie.

Kiedy przez trzeci dzień piekliśmy się w słońcu, stało się jasne, że Sierra Leone Company nie zamierza wypuścić nas ze statków. Na każdy okręt przypadała zaledwie jedna łódź z wioślarzami, więc przetransportowanie tysiąca pasażerów oraz ich dobytku zajęłoby całe wieki. Gdy wraz z innymi stałam na pokładzie Lukrecji, która coraz mniej przypominała statek zmierzający ku wolności, a coraz bardziej więzienie na morzu, patrzyłam, jak szesnastu wioślarzy siedzących w ogromnym canoe wiezie do nas wyprostowanego krajana siedzącego na królewskim angielskim fotelu. Tuż za nim znajdował się sternik, a z przodu bębniarz. Zanim zdołaliśmy wyodrębnić twarze siedzących w łodzi mężczyzn, usłyszeliśmy niosące się ponad falami uderzenia tam-tamów. Król Jimmy zbliżał się, by złożyć hołd Johnowi Clarksonowi, który nakazał swoim

żołnierzom oddać salwę z dwudziestu pistoletów i oznajmił nam, że powinniśmy się zwracać do wodza „Wasza Ekscelencjo”.

– Jeszcze czego – wymamrotał Peters.

Wyprostowany Thomas stał obok Johna Clarksona u szczytu drabiny okrętowej, ale wódz go minął i wyciągnął ręce, by uściskać porucznika. Król Jimmy przywitał się po angielsku z białymi żołnierzami i potrząsnął ich dłońmi, ale przez pierwszych kilka minut nawet nie zaszczycił nas spojrzeniem. Wręczył Clarksonowi piętnaście ananasów i kość słoniową w zamian za nierozwodniony rum.

Król Jimmy spojrzał na mnie i zwrócił się do porucznika:

– Twoja kochanka?

– Mogłabym być jego matką – rzuciłam.

Król Jimmy zarechotał, wskazał na zgromadzonych na pokładzie podróżników z Nowej Szkocji i powiedział:

– John Clarkson mieć wiele sług.

Thomas Peters przemówił:

– Przybyliśmy z Nowej Szkocji i jesteście sobie równi.

Wódz plemienia Temne nie zwracał na niego uwagi i ponownie wskazując na mnie, zapytał Clarksona:

– Czy to o niej mi opowiadać? Afrykanka, która znać więcej ksiązek niż Anglik?

John Clarkson zmarszczył brwi. Widziałam, że nie chce, by król Jimmy ze mnie drwił.

Wódz zmierzył mnie spojrzeniem i zalał powodzią afrykańskich słów. Nie miałam pojęcia, co mówi. Mężczyzna wybuchł śmiechem, po czym zniknął w kajucie Clarksona, żeby napić się rumu. Kiedy jakiś czas później schodził ze statku, ukłonił mi się.

– Któregoś dnia odwiedzić moją wioskę. Jak twoje imię?

– Aminata.

– Któregoś dnia zostać królowa Aminata, żona króla Jimmy’ego.

– Dziękuję, ale już jestem zamężna.

– Gdzie mąż? – Kiedy nie odpowiedziałam, król Jimmy znów się roześmiał. – Jeśli on po drugiej stronie – rzucił, wskazując na horyzont – to ty wolna.

Z tymi słowami przekroczył burtę i zszedł po drabinie, po czym wsiadł do łodzi, a wioślarze odwieźli go na brzeg.

Wydawało mi się absurdalne, że jako dorosła osoba pierwszą rozmowę z Afrykaninem we własnej ojczyźnie odbyłam po angielsku. Mężczyzna miał namiętną osobowość, którą wyrażał łamanym językiem toubabów, i wydawał się raczej bufonem niż zagrożeniem.

W ciągu kilku kolejnych godzin król Jimmy wysłał po mieszkańców Nowej Szkocji mężczyzn w trzydziestu łodziach. Kiedy tak miarowo się do nas zbliżali, wyglądali jak armia wioślarzy. Cieszyłam się, że przybywają nam z pomocą, ale byłam też świadoma

tego, jak łatwo byłoby im wszcząć z nami wojnę. Kiedy nadeszła moja kolej na to, by wsiąść do canoe, próbowałam porozmawiać z siedzącym tuż obok młodym wiosłarzem. On jednak tępo wpatrywał się w przestrzeń i nawet nie odwrócił głowy w moim kierunku. Robił to, co do niego należało, i nic więcej – wiosłował wraz z towarzyszami, żeby płynnie i szybko przetransportować nas na brzeg. Tak się złożyło, że ci sami mężczyźni, którzy dostarczali niewolników na wyspę Bance, wieźli nas po Zatoce Świętego Jerzego na brzeg Sierra Leone.

*

John Clarkson stał pod baldachimem ze starego płótna żaglowego wraz z ustawionym za nim tuzinem przedstawicieli Sierra Leone Company. Zgromadziliśmy się wokół niego. Stojąc, unosiłam i opuszczałam stopy, czułam pod piętami ziemię. Ściągnęłam buty, by piasek wślizgnął się pomiędzy palce. Myślałam o tym, że nie chcę już nigdy się znaleźć na pokładzie statku i że w życiu czeka mnie jeszcze tylko jedna podróż – długa wędrówka w głąb lądu.

– Panie i panowie – powiedział Clarkson – nasza kolonia będzie nosiła nazwę Freetown. Otrzymałam rozkaz, by przewieźć was tutaj i powrócić do Londynu, ale dowódcy kompanii przesłali mi list, w którym proszą, bym na jakiś czas tu z wami pozostał.

Większość podróżników zaczęła klaskać, a ja się do nich przyłączyłam. Ufałam Clarksonowi bardziej niż jakimkolwiek białemu człowiekowi. Czułam, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc nam rozpocząć nowe życie.

Porucznik przedstawił nam stojących za jego plecami mężczyzn, wyjaśniając, że kompania wysłała ich z Londynu, aby zarządzali kolonią Freetown.

– Dlaczego sami nie możemy prowadzić własnych spraw? – zapytał Peters.

– Ostatecznie tak się stanie – wyjaśnił Clarkson. – Ale ponieważ kompania zainwestowała fortunę, by was tu przywieźć, zamierza zarządzać kolonią, aby zagwarantować jej powodzenie.

Peters jęknął.

– Nie pokonaliśmy tak wielu mil po to, by podporządkować się kolejnym regułom ustanowionym przez białych.

Ojczulek Moses siedział w wózku, który wraz z nim przepłynął przez ocean.

– Panie Peters, niech pan pozwoli porucznikowi powiedzieć to, co ma do powiedzenia – poprosił.

– Dziękuję – rzucił Clarkson. – Będziecie musieli włożyć cały wysiłek w pracę. Muszę was ostrzec, że wałkonie nie otrzymają od kompanii jedzenia, wody, materiałów budowlanych ani innych dóbr.

Pouczył nas, byśmy wzniesli tymczasowe szałas z dala od wody, ponieważ znajdująca

się tam ziemia jest przeznaczona na nabrzeże, sklepy, magazyny, domy pracowników kompanii i ich gabinety.

Peters i stojący obok niego mężczyźni zaczęli krzyczeć, że nie przybyli do Freetown, by budować domy dla Anglików. Znów przemówił Ojczulek Moses:

– Bracia i siostry, nie czas na spory. Wszyscy macie oczy i mnie widzicie, więc powiedzcie: czy ktokolwiek z was widzi pięćset gotowych domów, które dałyby wytchnienie naszym umęczonym ciałom? Czy jest tu świątynia? Czy jest system, który pozwoli nam zbierać jedzenie, polować na zwierzynę i dzielić się żywnością, dopóki nie staniemy się samowystarczalni?

Nikt się nie odezwał.

W ciągu kolejnych tygodni wycięliśmy drzewa i krzewy, podzieliliśmy się drewnem na opał, rozładowaliśmy zaopatrzenie z piętnastu statków i przewieźliśmy je łodziami, podarliśmy dodatkowe płótna i wybudowaliśmy proste domy z błota, gliny i trzciny.

We wszystkim polegaliśmy na kompanii. Potrzebowaliśmy młotka? Kawałka płótna żaglowego? Solonej wieprzowiny? Melasy? Chleba? Wszystko pochodziło z magazynów Sierra Leone Company, która była właścicielem zasobów, jedzenia i materiałów, pozwalającym nam zbudować sobie odpowiednie schronienie, i która zdawała się też naszym właścicielem. Gdy byliśmy obolali po godzinach pracy w słońcu lub przemoczeni przez nagłą ulewę, Ojczulek Moses przypominał nam, że przyjdzie czas na walkę, ale teraz trzeba się skupić na tym, by przetrwać.

Na razie mieliśmy jedzenie. Kompania przysłała z Anglii statki z zaopatrzeniem, a spora część żywności pozostała jeszcze z przeprawy z Halifaxu, chociaż ser się zepsuł, masło zjełczało, a melasa wyciekła z przegniłych beczek i pokryła podłogę naszego magazynu.

Ojczulek Moses nie mógł wykonywać zbyt wielu zadań, ale siadywał pośród nas i udzielał nam rad. Podzieliliśmy się na grupy przeznaczone do czerpania wody pitnej, polowania, przyrządzania posiłków i wznoszenia tymczasowych budynków. Wybudowaliśmy także infirmerię. Ludzie kolejno zapadali na gorączkę, tak że przez pierwsze dwa tygodnie we Freetown umarło dziesięciu przybyszów z Nowej Szkocji i trzech pracowników kompanii. Na początku nawet co drugi dzień umierał jakiś człowiek. Rano często słyszało się powtarzane z ust do ust pytanie: „Ilu ludzi umarło wczoraj w nocy?”.

Clarkson raz po raz ostrzegał, byśmy nie opuszczali Freetown. Powiedziano nam, że poza granicami miasta kompania nie ochroni nas przed handlarzami niewolników i wrogo nastawionymi Afrykanami. Wielu przybyszów z Nowej Szkocji zdawało się zadowolonych z tego, że mogą wybudować sobie domy i pracować dla kompanii, ja jednak czułam, że obowiązek pozostania w mieście przypomina pobyt na wyspie u wybrzeży – nie

odzyskałam jeszcze swojej ojczyzny. Budowaliśmy kościoły, domy, spichlerze i drogi i nie mieliśmy czasu na nudę, ale miałam wrażenie, że całe to piłowanie i wbijanie gwoździ ma na celu stworzenie granic pomiędzy osadnikami z Nowej Szkocji i ludźmi z plemienia Temne zamieszkującym przybrzeżny rejon Sierra Leone. Nie byliśmy już w Nowej Szkocji, ale udało nam się przeschepić tu sporą jej część. Czułam, że kolonia, którą zakładaliśmy, nie jest ani jednym, ani drugim. Ale nawet jeśli Freetown nie było tym, po co przybyłam do Afryki, czułam, że na jakiś czas muszę się poświęcić i wspierać marzenia moich przyjaciół z Nowej Szkocji. Moje własne pragnienia musiały poczekać.

Udało mi się uniknąć chorób i gorączki, która zabrała tak wielu ludzi, i starałam się pomóc, opiekując się chorymi, łapiąc dzieci i pracując dla Clarksona. W nocy spałam w wilgoci, a za dnia czułam się zmęczona. Bolały mnie kości, które marzyły o śnie na miękkim materacu z pierza. Czasem przypominałam sobie rozgniewane głosy białych mieszkańców Nowej Szkocji: „Nie macie pojęcia, jak wam tu dobrze”. To prawda, że początkowe dni we Freetown nas nie rozpieszczały – nasze schronienia, kościoły, jedzenie i ubrania były równie prymitywne, a nawet bardziej niż w Birchtown. Przybysze narzekali na złą jakość narzędzi i całkowitą zależność od Brytyjczyków. Postawili na straży ludzi, którzy mieli pilnować, by na kolonię nie napadli handlarze niewolników. Mimo wszystko koloniści podchodzili do nowego życia, które budowali, z cichym optymizmem, a we Freetown ich bezpieczeństwo było mniej zagrożone niż w Nowej Szkocji czy w Nowym Jorku. Osobiście uważałam, że żadne miejsce na ziemi nie jest całkowicie bezpieczne dla Afrykanina i że dla wielu z nas przetrwanie oznacza ciągłą migrację. Teraz, gdy w końcu powróciłam do ojczyzny, nie zamierzałam jej opuszczać. Ale nie wiedziałam, jak długo będę w stanie mieszkać tuż obok miejsca, w którym odbywał się handel niewolnikami.

Choć przez dekadę przebywałam w Birchtown z mieszkańcami Nowej Szkocji, przestałam się czuć między nimi swobodnie. Szukałam towarzystwa członków plemienia Temne, których wielu przybyszów z Nowej Szkocji nazywało bezbożnikami i o których mówiło, że nie powinno się im pozwalać handlować w naszej osadzie. Niektórzy z przybyszów zdawali się czerpać satysfakcję z tego, że mogli okazać Afrykanom pogardę, której sami doświadczyli w Ameryce Północnej. John Clarkson powiedział mi, że dwaj mężczyźni z Nowej Szkocji byli tak zdegustowani tym, że muszą przestrzegać zasad narzuconych przez Sierra Leone Company, iż uciekli na wyspę Bance, by pracować z handlarzami niewolników.

W Karolinie Południowej byłam Afrykanką. W Nowej Szkocji byłam znana jako lojalistka lub Murzynka, lub jedno i drugie. A kiedy w końcu znalazłam się z powrotem w Afryce, postrzegano mnie bardziej jako przybyszkę z Nowej Szkocji i pod pewnymi względami sama się tak czułam. Gdy otaczały mnie kobiety z Temne, noszące na głowach wielkie tace z ziarnami, związanym drobiem i owocami, czułam się bardziej jak

osadniczka z Nowej Szkocji niż Afrykanka. Kobiety wiedziały, że przybyłam z Clarksonem i białymi marynarzami, a po sposobie, w jaki ścisnęły moje dłonie i ramiona, wносиłam, że mają mnie za kogoś równie obcego jak Brytyjczycy.

Próbowałam mówić do nich w językach fulfulde i bamana, ale śmiały się, bo nie rozumiały moich słów. Nie mogłam się doczekać, aż opanuję ich język na tyle dobrze, by powiedzieć im, że także urodziłam się w Afryce. Wiedziałam, że członkowie plemienia Temne nie postrzegają mnie jako jednej z nich i że nigdy się tak nie stanie. Czułam jednak, że coś mnie z nimi łączy i że najłatwiejszym i najbardziej naturalnym sposobem, by wzmocnić to poczucie więzi, jest opanowanie ich języka. Co dzień zapamiętywałam nowe słowa w temne i wplatałam je do konwersacji. Zaczęłam się uczyć słów oznaczających towary, które mi wręczały – pomarańcze, wodę, drób, sól i ryż – a także wyrazy określające noże, garnki, koraliki, płótno i rum, które dostawałam na handel od przybyszów z Nowej Szkocji.

Nauczyłam się liczyć do stu i witać się z ludźmi rano, w południe i wieczorem. Umiałam zapytać: „Jak się czują twoje dzieci?”, „Jak idzie praca?”, „Jak trzyma się twój dom?” oraz powiedzieć „Wszystko w porządku” i „Bardzo dziękuję”. Te wyrażenia były mi potrzebne. Czułam, że niemożliwe będzie podróżowanie w głąb lądu bez umiejętności porozumienia się z okolicznymi mieszkańcami.

Każdego dnia uczyłam się nowych słów i wyrażen, zastanawiając się, kim właściwie jestem i czym się stałam po niemal trzydziestu latach spędzonych w koloniach. Czy pozbawiona rodziców, męża, dzieci i ludzi, z którymi mogłam rozmawiać w językach z dzieciństwa, wciąż byłam Afrykanką? Wiedziałam, że nigdy i nigdzie nie będę się czuła jak w domu, jeśli nie odnajdę drogi powrotnej do Bayo.

W ciągu miesiąca oczyściliśmy ziemię pod miasto, zbudowaliśmy szałas i chaty dla wszystkich przybyszów z Nowej Szkocji, postawiliśmy najważniejsze budynki dla kompanii i ukończyliśmy kilka prostych kościołów, które stały się miejscami spotkań członków społeczności. Przez jakiś czas nabożeństwa odbywały się na zmianę – baptyści modlili się w niedzielę rano, metodyści w południe, a anglikanie z nurtu lady Huntington po południu.

W ciągu dwóch miesięcy wykuliśmy cztery ulice biegnące równoległe do rzeki oraz trzy prostopadłe do nich.

Przybysze z Nowej Szkocji pod przywództwem Thomasa Petersa raz po raz prosili o to, by przyznano im ziemię pod uprawę. Ale geodeta zmarł, jak wielu innych – czarnych i białych – przegrywając z nowym klimatem. Kompania wykorzystwała to przykre zdarzenie i wymagała od osadników z Nowej Szkocji, by poświęcili się umacnianiu miasta i budowie kompanijnych struktur.

Thomas Peters na próżno próbował zbuntować osadników przeciwko Sierra Leone

Company. Podziwiałam go za ten trud. Brytyjczycy składali obietnice bez pokrycia lojalistom, którzy walczyli w wojnie o niepodległość i osiedlili się w Nowej Szkocji, a obiecując nam to, co otrzymamy w Sierra Leone, znów kłamali. Nie próbowali nas zniewolić ani uwolnić. Nie ofiarowali nam obiecanej ziemi ani innych środków, dzięki którym moglibyśmy się usamodzielnąć we Freetown. Polegaliśmy na nich w kwestii pracy, pożywienia, a nawet materiałów i narzędzi do budowy domów. To oni ustalali zasady, którymi mieliśmy się kierować.

– Zdradzili nas w Nowej Szkocji, a także tu, na ziemi naszych przodków – powiedział Peters do ludzi zgromadzonych w kościele Ojczulka Mosesa.

– Dajmy im czas – oznajmił Kaznodzieja. – Nie jesteśmy jeszcze wolni, ale zmierzamy w tym kierunku.

Podzielałam rozczarowanie Petersa tym, że znów znaleźliśmy się pod kontrolą Brytyjczyków, ale mego serca nie rozpałał gniew. Wierzyłam, że Ojczulek Moses ma rację – należało żyć z dnia na dzień i cierpliwie czekać, aż wolność do nas przyjdzie. Ale miałam także inne zmartwienia. Dla mnie Freetown było jedynie przystankiem.

Zanim wyjechałam do Halifaxu, wyobrażałam sobie, że kolonia, którą założymy we Freetown, zleje się z osadami Afrykanów i że rzadko będziemy oglądać Europejczyków. Okazało się jednak, że choć lud Temne co dzień z nami handlował, członkowie plemienia nie zapraszali nas do swoich wiosek. Do afrykańskich wybrzeży co dzień przybijały statki handlowe, zaopatrzeniowe i wojskowe, na których co tydzień przybywali do Freetown marynarze. Mężczyźni zatrzymywali się w mieście, żeby kupować i sprzedawać towary, odpocząć i się posilić, przez co kolonia w Sierra Leone stała się dziwnym tygłem mieszkańców Nowej Szkocji, Afrykanów, brytyjskich urzędników i marynarzy na przepustce ze statku.

Co więcej, kapitanowie i załoga statków niewolniczych regularnie robili sobie wolne od kupowania niewolników na wyspie Bance i przybywali do Freetown w poszukiwaniu alkoholu i kobiet. Z początku martwiłam się, że handlarze będą próbowali wziąć mieszkańców Freetown do niewoli, i poruszyłam ten temat w rozmowie z Clarksonem.

– Lepiej pozwolić im się zabawić, niż próbować zakazać wstępu do miasta i ich rozjuszyć – oznajmił.

– Przybysze z Nowej Szkocji czują się nieswojo – powiedziałam – a i ja się tym niepokoję.

– Co mamy zrobić? – odparł. – Pytać każdego odwiedzającego nas marynarza, z jakiego zszedł statek?

– Handlują niewolnikami – przypomniałam.

– Nie tu, we Freetown.

– Skąd pan wie?

– Na wyspie Bance mają wszystkich niewolników, jakich potrzebują – uspokajał. – Próba porwania ludzi z Freetown mogłaby się źle skończyć i spowodować problemy, a oni wcale ich nie potrzebują. Chcą się tylko napić i poswawolić. Handlarze pracują na wyspie Bance. Tu przychodzą się zabawić.

Przez jakiś czas mieszkałam z Debrą Stockman, kobietą, która w czasie podróży z Halifaxu była w ciąży i która podczas rejsu straciła męża. Kilka miesięcy po przybyciu do Freetown złapałam dziecko Debry, a następnie pokazałam jej, jak po afrykańsku wiązać je na plecach. Nauczyłam ją wyczuwać, kiedy dziecko napręża nóżki i plecy, sygnalizując potrzebę, tak by mogła rozwiązać tkaninę, wyswobodzić niemowlę i pozwolić mu się załatwić.

Wkrótce Debra otworzyła własny sklep z podarunkami dla odwiedzających kolonię marynarzy. Z moją pomocą jako tłumaczki Debra kupiła od handlarzy Temne rzeźby, maski, rytualne noże, rzeźbione w drewnie słoniki, naszyjniki i bransolety z kości słoniowej, po czym odsprzedawała je z zyskiem marynarzom, którzy pragnęli zabrać upominki do Anglii. Najlepiej sprzedawały się maleńkie rzeźby z drzewa sandałowego.

Marynarzom podobała się ciemnobrunatna barwa drzewa. Debra nacierała olejem palmowym rzeźby przedstawiające małe słonie, aligatory czy małpy, mężczyźni jednak nie potrafili się oprzeć figurkom młodych kobiet o obnażonych piersiach. Rzadko płacili w srebrze; najczęściej w zamian za posążki wręczali Debrze rum, żelazne garnki, kociołki, sztabki żelaza lub ubrania z Anglii, a Debra zawsze wymieniała je z plemieniem Temne na jedzenie, drewno na opał lub usługi budowlane. Członkowie plemienia Temne szybko opanowali sztukę stawiania drewnianych domów, często wznoszonych na palach, co bardzo cieszyło osadników. Dzięki temu Debra i jej córka Caroline wkrótce wprowadziły się do własnego domu i radowały jego wygodami.

Poza handlem z plemieniem Temne oraz marynarzami polegaliśmy także na zaopatrzeniu, które otrzymywaliśmy od należącego do kompanii statku Sierra Leone Packet kursującego pomiędzy Freetown i Anglią.

Pewnego dnia kilkuset z nas zgromadziło się na nabrzeżu, by przyglądać się rozładunkowi statku. Mieliśmy nadzieję, że otrzymamy skrzynki młotków i gwoździ, ale znaleźliśmy w nich trzysta glinianych konewek.

– Co to jest? – zapytał Ojczulek Moses, kiedy włożyłam mu konewkę do rąk.

– Gliniana konewka – odparłam.

– Co takiego?

– Konewka. Dostaliśmy ich trzysta. Nie ma za to żadnych młotków ani gwoździ.

– Dziewczyno, musisz napisać do tych białych list. Powiedz im, że jeszcze nie mamy ogrodów i że przy takiej ilości deszczu nie są nam potrzebne ich gliniane konewki.

Nie napisałam do kompanii, ale kiedy Clarkson powiedział, że po dotarciu do Anglii

koperty są wysyłane do Ameryki, nadałam listy do Sama Frauncesa i Theo McArdle'a. Z przyjemnością wyobrażałam sobie, że moje słowa płyną przez morza, i miałam nadzieję, że któregoś dnia otrzymam odpowiedź.

*

Kompania zatrudniła mnie, bym uczyła dzieci i dorosłych czytać i pisać, a Clarkson, który twierdził, że od pisania dostaje migreny, powierzył mi dodatkowe zadanie sporządzania sprawozdań dla dyrektorów z Londynu. Od czasu do czasu pełniłam więc funkcję sekretarki porucznika. Wioślarze przewozili mnie na statek, gdzie pracowałam z Clarksonem w jego wielkiej kajucie przekształconej w gabinet.

– Nie wolałby pan mieszkać na lądzie? – zapytałam go któregoś dnia.

– Jestem porucznikiem marynarki i tu, na wodzie, znajduję większy spokój. Mam czas, by się skoncentrować, a ludzie nie mogą tak po prostu zapukać do moich drzwi i przeszkodzić mi, kiedy próbuję zebrać myśli.

– Skoro kompania mianowała pana nadzorcą kolonii, dlaczego pozwala pan innym zarządcom sprawować kontrolę?

– Z przyjemnością im to zostawiam – odparł Clarkson. – Gdybym musiał wprowadzić wszystkie zasady narzucone przez kompanię, moje dobre stosunki z osadnikami z Nowej Szkocji mogłyby na tym ucierpieć.

– Nie takich zasad się pan spodziewał?

Clarkson uniósł dłonie, ale powiedział tylko:

– Nie sposób przewidzieć wszystkiego.

Kiedy skończyłam pisać, poprosił, bym napiła się z nim herbaty.

– Musi się pan czuć samotny bez narzeczonej – rzuciłam.

Wyłamując palce, Clarkson przyznał mi rację. Wręczył mi kilka londyńskich gazet i zachęcił, bym się z nimi zapoznała. Przystałam na jego propozycję, a on zatopił się w lekturze książki. Pierwszy raz w życiu czułam tak silną więź z drugim człowiekiem tylko dlatego, że zajmowaliśmy jedną przestrzeń i wspólnie czytaliśmy. Czułam, że obojgu nam sprawia to przyjemność, choć niewiele rozmawialiśmy. Prawdę mówiąc, cieszyłam się, że nie pyta mnie o to, co czuję. Powrót do Afryki nie mógł mi zwrócić wszystkich tych, których utraciłam. Ale w Sierra Leone odczuwałam mniejszy ból po utracie córki, być może dlatego, że przestałam widzieć ją w każdym napotkanym dziecku. Gdziekolwiek przebywała May, z pewnością nie było jej w Afryce.

W pierwszych miesiącach jedynym sposobem osadników na przetrwanie była praca dla kompanii, która dawała im zarobek i zaopatrzenie. Choć kompania obiecywała, że przez pierwszych kilka miesięcy będziemy otrzymywać prowiant za darmo, po miesiącu lub dwóch obcięła nasze racje o połowę. Wkrótce doszło do tego, że ilekroć potrzebowaliśmy jedzenia, musieliśmy je pobierać w sklepie należącym do kompanii w zamian za pracę. Ale

nigdy się nie zdarzało, by pracy było dość co dzień i dla każdego mieszkańca kolonii. Choć zręczny robotnik mógł zarobić nawet dwa szylingi dziennie, za prowiant musiał płacić cztery szylingi tygodniowo. Osadnicy byli wściekli na kompanię o to, że pobiera wygórowane opłaty za soloną rybę, wołowinę i drób, i o to, że rozcieńcza sprzedawany alkohol. Mimo to pijaństwo i religia w równym stopniu rozprzestrzeniły się w naszej kolonii.

W ciągu kilku miesięcy od naszego przyjazdu do Sierra Leone sześć różnych wyznań religijnych ustanowiło miejsca spotkań swoich wiernych – z początku były to namioty, później chaty, a jeszcze później drewniane kaplice, z których całymi nocami dobiegały śpiewy i modlitwy.

Mieszkańcy Freetown albo nie zaznawali snu, albo uczyli się spać, nie zważając na tę wrzawę. Każdej nocy słychać było dudnienie tam-tamów z oddalonego o pół mili miasta króla Jimmy'ego, a także zataczających się, śpiewających i upadających na ulicach marynarzy oraz kłótnie i dyskusje pomiędzy osadnikami dotyczące na przykład tego, kto zabił czyją kaczkę lub kto spoglądał na czyją kobietę. Często było słychać, jak mężczyźni biją mężczyzn albo kobiety, a nawet kobiety mężczyzn. A ponad tym zgiełkiem unosiło się donośne „amen” i „alleluja” parafian.

Pewien przybysz z Nowej Szkocji Cummings Shackspear przywiózł ze sobą zaopatrzenie z Halifaksu, w tym siedem beczek rumu. Nigdy się nie dowiedziałam, jak zdołał zgromadzić taką ilość rumu przed wypłynięciem z portu i jakim sposobem udało mu się załadować go na statek w Halifaksie. Każdą z beczek zaplombowali najlepsi bednarze w mieście, a kiedy dwie przecznice od portu otworzył tawernę, wciąż miał olbrzymi zapas alkoholu. Niektórzy wierni wyłaniali się z kościoła spoceni i wyczerpani i natychmiast przystępowali do picia. Mniejsza liczba bywalców tawerny porzucała picie i kierowała się prosto do kościoła.

Cummings rozcieńczał rum – w nie mniejszym stopniu niż kompania – i sprzedawał go szklankami. Zgromadził dość pieniędzy, by podtrzymać zapas, i nie musiał się zaopatrywać u kompanii, która próbowała narzucić mu wygórowane opłaty, a i tak niechętnie sprzedawała mu towar. Do portu zawijało jednak tyle statków – handlowych, niewolniczych i należących do brytyjskiej armii – że Cummingsowi udawało się zwykle zakupić kilka beczek rumu w zamian za dobra, które wytargował od handlarzy Temne: kość słoniową, drzewo sandałowe, a od czasu do czasu ogromne ilości ananasów, beczki wody pitnej, kozy, drób i tym podobne. Tuż za tawerną wybudował magazyn na swoje towary i zatrudnił mężczyznę z plemienia Temne, by strzegł go w nocy. Jego szynk był znany pod nazwą Księga Shackspeara. Marynarze słyszeli o nim i kierowali się do niego tuż po zejściu z żaglowców.

Interesy szły Cummingsowi tak dobrze, że wkrótce nie potrzebował już zapomogi od

kompanii i dystansował się od konfliktu pomiędzy osadnikami i Sierra Leone Company. Jednakże niewielu przybyszów mogło sobie pozwolić na tego rodzaju luksus.

Nigdy nie miałam smykałki do interesów, a usługi, jakie świadczyłam – wieczorne lekcje czytania i pisanie na tyłach mojego domu czy opieka nad chorymi, którzy potrzebowali mnie dlatego, że lekarze z kompanii byli zazwyczaj pijani lub umierający – nigdy nie zapewniały mi większego wynagrodzenia, za to sprawiały, że byłam całkowicie zależna od Brytyjczyków. Co rano udzielałam lekcji w szkole założonej przez kompanię.

Król Jimmy i jego ludzie mieszkali w odległości zaledwie mili lub dwóch od Freetown. Właśnie mijał rok, odkąd osiedliłam się w nowej kolonii, gdy zrozumiałam, że wódz naciska na Johna Clarksona, by ten płacił mu za użytkowanie ziem należących do plemienia Temne. Zanim przybyliśmy do Sierra Leone, nikt nam o tym nie wspominał, ale stopniowo pojęliśmy, że to podwładni króla Jimmy'ego napadli i złupili poprzednią kolonię czarnych osadników z Anglii i że nie akceptowali postanowień, na mocy których Brytyjczycy nabyli afrykańską ziemię. Środkiem nacisku, który szczególnie upodobał sobie król Jimmy, było wysyłanie kilkudziesięciu łodzi wypełnionych wojownikami. Nocami płynęli wzdłuż naszego wybrzeża, krzycząc i rycząc przy akompaniamencie bębnów. Przerazało to osadników z Nowej Szkocji, którzy błagali, by Clarkson zapewnił im większą ilość broni. Mnie podobały się odgłosy bębnów. I to, w jaki sposób dudniły nad Zatoką Świętego Jerzego i drgały w moim ciele. Dzięki nim czułam, że znajduję się blisko domu. „Idź odszukać swoją wioskę – zdawały się mówić. – Idź do swoich ludzi”.

Zagnieżdżona na wzgórzu pomiędzy piaszczystymi wybrzeżami i śródlądowymi górami, nasza nowa społeczność mieszkańców Freetown znajdowała się dokładnie tam, gdzie osadnicy z Nowej Szkocji pragnęli dożyć swoich dni. Było to jedyne miejsce, gdzie czuli się swobodnie, i wiedzieli, że jedynie tam będzie im się powodzić. Jednak dla mnie Freetown było tylko mostem. Kiedy handlowałam z ludem Temne i uczyłam się ich języka, marzyłam o powrocie do swojego pierwszego domu. Planowałam, że odbędę wędrówkę lądem i po trzech obrotach księżyca dotrę do ojczystej wioski.

Kilka razy w tygodniu wymieniałam towary z młodą kobietą z plemienia Temne o imieniu Fatima. Za każdym razem zmuszała mnie jednak, bym targowała się z nią aż do uzyskania zadowalającej ceny. Upierała się, że dwadzieścia pięć pomarańczy to równowartość trzech jardów płótna, ale pod koniec negocjacji płaciła mi nimi za jeden jard. Zanim udało nam się zawrzeć porozumienie, musiałyśmy się przedzierać przez labirynt dyskusji. Im więcej słów w języku Temne umiałam, tym dłużej trwało, zanim udawało mi się otrzymać pomarańcze za płótno. Któregoś dnia, w ramach okrzęnej dyskusji, Fatima zadała mi tuzin pytań na temat męża, dzieci i tego, w jaki sposób ich straciłam. Kiedy na wszystkie odpowiedziałam zgodnie z prawdą, zapytałam ją o jedyną rzecz, którą pragnęłam wiedzieć.

– Masz mocne nogi, prawda?

– Tak, dzięki Bogu.

– I potrafisz pokonać dużą odległość, prawda?

– Tak, dzięki Bogu.

– Powiedz mi więc, jak odnaleźć drogę na łądzie w kierunku rzeki Joliby.

Fatima zaczęła zbierać pomarańcze i układać je na tacy.

– To nasza tajemnica.

– Dlaczego? – zapytałam.

Położyła sobie tacę na głowie.

– Nie możemy was wpuścić na naszą ziemię.

– Mnie?

– Żadnego toubaba ze statku.

– Nazywasz mnie toubabką? Czy nie słuchałaś mojej opowieści o mężu i dzieciach?

Urodziłam się w tej ziemi.

– To bardzo piękna opowieść. Jeśli zechcesz, któregoś dnia także ci jakąś opowiem.

Ale teraz nie prosisz o opowieść. Pytasz o moją ziemię.

– Pytam o swoją ziemię. Ziemię, w której się urodziłam.

– Masz twarz kogoś, kto się tu urodził, ale przybyłaś z toubabami. Jesteś toubabką o czarnej twarzy.

– Urodziłam się w wiosce Bayo w rodzinie Mamadu Diallo, jubilera, i Siry Kulibali, położnej. Wciąż bym tu mieszkała, ale mnie uprowadzono.

Fatima się ode mnie odwróciła.

– Jeden jard za pomarańcze. Czas opowieści dobiegł końca.

Przez kilka następnych dni towarzyszyła mi samotność, którą pamiętałam z najwcześniejszego czasu w koloniach. Znajdowałam się na kontynencie, na którym się urodziłam, ale czułam się tak zagubiona, jak lata temu za oceanem. Koniec końców wytłumaczyłam sobie, że odmowa Fatimy jest bez znaczenia. Wiedziałam, kim jestem i skąd pochodzę.

To, że członkowie plemienia Temne nie wierzyli w moją historię, niczego w moim życiu nie zmieniało. Oznaczało tylko, że będę musiała zasięgnąć języka w innym miejscu. Znowu przypominałam sobie wersy napisane przez Jonathana Swifta:

Na Afryki mapie miejsca puste

Zajmują lwy i mały tłuste

Pochyl się nad nią, głowę skłoń

W zastępstwie wiosek – dziki słoń

Było prawdą, że kartografowie umieszczali słońce w miejscu wiosek. Ale teraz rozumiałam, jak musiało im być trudno zgłębić środek Afryki.

Kiedy nad Freetown nadciągał deszcz, lało jak z cebra. Niebo wyrzucało z siebie wodę, jak gdyby ktoś wylewał ją wiadrami. Wybudowaliśmy domy na palach, by nie porwały ich błotne rzeki. Nauczyliśmy się, że cenne dobra należy wieszać pod sufitami. Dachy okazały się najważniejszymi elementami naszych domów. Od ludu Temne przeszczepiliśmy technikę krycia domów strzechą, a kiedy mieliśmy dość materiałów, budowaliśmy dachy z drewna, a nawet pokrywaliśmy je smołą. Gotowaliśmy przed naszymi skromnymi domostwami – nauczyliśmy się dzielić obowiązki, pracować na zmianę i budować małe daszki nad stanowiskami do gotowania oraz korzystać z usług kucharzy Temne. Pierwsza pora deszczowa rozpoczęła się w maju i trwała do września, a jeśli do tego czasu fasola i maniok nie zapaściły wystarczająco silnych korzeni, było pewne, że w zetknięciu z wiatrem i wodą nie będą miały szans. Kiedy pierwsza pora deszczowa dobiegła końca i znów wyjrzało słońce, na rzekę w Sierra Leone wpływało coraz więcej niewolniczych statków, a przedsiębiorstwo na wyspie Bance zaczęło działać jeszcze prężniej.

Któregoś październikowego dnia, kiedy wraz z Debrą gotowałyśmy kurczaka gumbo, usłyszałam kroki, stękanie, ciche jęki i sapanie. Brzmiało to tak, jakby całą wioskę zmuszono do marszu, i sprawiło, że natychmiast wróciłam wspomnieniami do ostatniego dnia dzieciństwa w Bayo.

Odwróciłam się i ujrzałam grupę trzydziściorga ludzi wprzęgniętych w jarzmo, prawie lub całkiem nagich, którzy kierowali się gęsiego w stronę rzeki. Prowadzili ich wysocy ciemni mężczyźni w powiewnych szatach, ciasnych czapeczkach i z batami lub kijami w dłoniach. Wszystkie kobiety w kolumnie niosły na głowach duże bryłki soli lub pękate skórzane wory, zapewne wypełnione ryżem lub prosem. Mężczyźni dźwigali tobołki swoich oprawców. Jeden z mężczyzn o pustym spojrzeniu i uchylonych ustach niósł wiązkę włóczni. Gdyby mógł poruszać szyją, prawdopodobnie użyłby broni. Ale wiedziałam, jak to jest, gdy przez kilka tygodni ma się na szyi jarzmo, i zdawałam sobie sprawę, że jego kark jest obolały i pokryty pęcherzami.

Upuściłam łyżkę wprost do kotła i pobiegłam na King Street, zanim więźniowie do niej dotarli. Patrzyłam, jak nadchodzą ludzie w różnym wieku i o różnym wzroście, i zastanawiałam się, jak mogłabym ich uwolnić. Idąca w kolumnie dziewczyna spojrzała na mnie błagalnie. Nie była jeszcze kobietą, ale niewiele jej brakowało. Gdy się do mnie zbliżyła, zobaczyłam ślady niebieskiego barwnika na dwóch pionowych liniach wytatuowanych na jej policzkach. Patrząc prosto na mnie, wykrzyknęła kilka słów. Miała niski, zachrypnięty głos staruszki. Ujrzałam błysk jej zębów i choć nie znałam jej języka, wiedziałam, o co prosi: o wodę, jedzenie, a przede wszystkim pomoc w powrocie do rodziny. Jej szyja tkwiła w ciasnym drewnianym pierścieniu, od którego biegły łańcuchy łączące ją z jarzmami mężczyzn idących przed nią i za nią. Zdawała się należeć tylko do

porywaczy. Kiedy przeszła na drugą stronę drogi, ujęłam jej dłoń. Miała suchą i popękaną skórę. Pragnęłam dać jej wodę, ale nie miałam przy sobie niczego prócz ubrania na grzbiecie. Znów wymamrotała trzy słowa, które brzmiały jak modlitwa. Być może mówiła: „Jeść, pić, pomocy”. Może: „Proszę, uratuj mnie”. Pociągnęłam za jej jarzmo, ale było zaciśnięte.

– Nie poddawaj się, dziecko – powiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam. Chciałam ofiarować jej brzmienie głosu matki. Jednym ruchem ściągnęłam z głowy czerwoną przepaskę i szybko zawiązałam ją na nadgarstku dziewczyny. Zamierzałam powiedzieć jej kilka miłych słów, ale w tej samej chwili zza idących wyłonił się poganiacz kolumny i odepchnął mnie jak stojącą na drodze kozę. Trzymał się blisko dziewczyny, gdy z trudem posuwała się naprzód. Od tej chwili wszyscy poganiacze szli u boku więźniów. Dziewczyna oddaliła się o pięć, dziesięć, piętnaście kroków i nie mogłam już do niej podejść.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu pomocy i zobaczyłam, że nieopodal portu zbiera się tłum osadników z Nowej Szkocji. Jeden z nich pchał wózek z Ojczulkiem Mosesem, który zamierzał stawić czoło głównemu poganiaczowi, ale ten minął ich bez słowa. Thomas Peters wybiegł zza moich pleców, ujął mnie za ramię i pociągnął za sobą, tak że ruszyliśmy za kolumną w stronę wody.

– Gdzie się podziewa Clarkson, kiedy go potrzebujemy?! – zawołał.

– Wyjechał załatwiać interesy z królem Jimmym – odparłam.

Debra przyprowadziła na nabrzeże zastępcę Clarksona, pracownika kompanii Neila Parka. Wszyscy się zatrzymaliśmy: trzydziestu więźniów, sześciu porywaczy, rosnący tłum osadników i grupa uzbrojonych pracowników kompanii. Ku naszemu przerażeniu zobaczyliśmy na wodzie sześć potężnych łodzi z wiosłarzami z plemienia Temne, gotowymi do pracy.

Jadący na wózku Ojczulek Moses miał kłopot z dotarciem na brzeg wody. Kiedy zmagął się z przeprawą, usłyszałam rozgniewany głos Petersa.

– Natychmiast uwolnij tych ludzi! – zawołał do wysokiego Afrykanina w powiewnej szacie, który stał na czele kolumny.

Główny poganiacz zlekceważył Petersa i zaczął negocjować ze sternikiem odpowiedzialnym za łodzie. Upokorzony i rozwścieczony Peters rzucił się, by chwycić głównego poganiacza, ale złapało go trzech innych, a jeden z nich przystawił mu nóż do gardła. Dziewczyna z niebieskimi liniami na policzkach spojrzała na Petersa, a potem na mnie i na kilkudziesięciu osadników z Nowej Szkocji stojących za moimi plecami. Pewnie myślała, że jeśli naprawdę się postaramy, zdołamy ją uratować.

Neil Park wszedł pomiędzy rozgniewanych mężczyzn wraz z tłumaczem Temne. Poganiacze niewolników także nie mówili tym językiem, ale porozumiewali się za

pośrednictwem własnego tłumacza.

– Cofnijcie się, a nikt nie ucierpi – powiedział do nas Park.

Nikt się nie poruszył. Tłumacz powiedział, że Park jest królem naszego ludu. Główny poganiacz odwrócił się, uśmiechnął, lekko uklonił i wyjął zza pazuchy małą sakiewkę z orzechami koli. Wręczył podarunek Parkowi, który bez przekonania trzymał ją w dłoni.

Park nie przestawał mówić – zdołał przekonać poganiaczy, by wypuścili Petersa, po czym rozkazał mu się cofnąć. Mężczyzna się nie poruszył. Poganiacze znów unieśli noże. Peters wycofał się na odległość kilku stóp.

– To nie wasza sprawa – powiedział tłumacz Parkowi. – Poganiacze zapłacili za prawo przejścia przez to terytorium. Król Jimmy osobiście wydał zgodę.

– Nie godzimy się na niewolnictwo we Freetown – oznajmił Park.

Odpowiedziano mu, że ziemia, na której się znajdujemy, należy do plemienia Temne i choć biały człowiek ją z nim dzieli, nie jest jej właścicielem i że inni biali ludzie na wyspie Bance oczekują na niewolników.

Park opuścił ręce i odwrócił się do nas.

– Musimy pozwolić im przejść i zostawić ich w spokoju. Zwrócimy się z tą sprawą do króla Jimmy’ego.

– Nie pozwolimy im zabrać tych ludzi – powiedział Peters.

Park dał znak pracownikom kompanii. Pięciu oficerów Sierra Leone Company uniosło broń.

– Taki wydałem rozkaz – powiedział Park – i nie zawaham się go wyegzekwować.

– Nie odejdziemy, a oni nie przejdą – odparł Peters.

– Cofnij się. Nie możesz uratować tych niewolników. A jeśli teraz przysporzysz kłopotów, niewykluczone, że wywołasz wojnę z plemieniem Temne.

– Nie odważyliby się – oznajmił Peters.

– Już raz to zrobili – rzucił Park.

Przypomniałam sobie opowieść o tym, że to członkowie Temne wyrzucili stąd pierwszych czarnych osadników przybyłych z Londynu.

Główny poganiacz zdjął jarzmo pierwszemu więźniowi – młodemu chłopcu w wieku około piętnastu lat, który zdawał się równie przerażony osadnikami z Nowej Szkocji, jak porywaczami – i zaczął go prowadzić do łodzi. Peters rzucił się naprzód, chwycił chłopca i próbował zaciągnąć go z powrotem na brzeg. Żołnierze z kompanii podnieśli muszkiety. Park uniosł dłoń na znak, żeby nie strzelali. Dwóch innych handlarzy rzuciło się na Petersa, który ich odepchnął i znów złapał więźnia. Kiedy wydawało mi się, że Peters zwycięży, uwolni chłopca i wzniesi powstanie wśród osadników z Nowej Szkocji, jeden z handlarzy niewolników dobył szabli z pochwy i zatopił ją głęboko w piersi Petersa. Mężczyzna jęknął, zachwiał się, tocząc z ust pianę krwi, po czym upadł na ziemię. Osadnicy zaczęły się

przepychać w stronę wody, ale Park i jego ludzie wysłali grad kul w powietrze nad naszymi głowami.

– To ostatnie ostrzeżenie! – zawołał Park.

Kiedy jeden z osadników wycelował muszkiet w afrykańskich handlarzy, żołnierze Parka zaczęli strzelać, a osadnik upadł. Nikt inny nie wystąpił naprzód, ale ja podbiegłam do Petersa. Leżał na brzegu, zaledwie kilka stóp od więźniów, których wsadzano do łodzi. Uklękałam przy nim i położyłam mu dłoń na ramieniu. Jego brązowe oczy się rozszerzyły, jak gdyby pragnął wchłonąć resztki życia, które właśnie miały z niego ulecieć.

Nie podnosiłam dłoni.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Thomasie – powiedziałam. – I świetnym przywódcą.

Miałam wrażenie, że Peters nie rozumie, co się z nim dzieje. Uniósł dłoń na wysokość ciała, a ja ją ujęłam. Wtedy przestał oddychać, jego palce zwiotczały, a światło w jego oczach zgasło. Nie przestawałam do niego mówić. Chciałam, by jego duch usłyszał moje słowa.

– Przywiodłeś nas do wolności, Thomasie. Przywiodłeś nas do Afryki.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że wokół mnie rozlegają się krzyki i rozkazy. Scott Wilson, osadnik z Nowej Szkocji, który wycelował muszkiet przeciwko Temne, leżał martwy zaledwie kilka jardów dalej. Pozostali byli trzymani na muszce przez ludzi Parka, który namawiał handlarzy, by załadowali więźniów do łodzi i zabrali ich z lądu, dopóki sprawy nie zajdą za daleko. Canoe odbiły od brzegu i popłynęły w kierunku wyspy Bance. Handlarze niewolników już się nie odwrócili. Zrobiła to jednak dziewczyna z kolumny.

Pomachałam jej, by dać temu dziecku do zrozumienia, że ktoś na tym świecie wciąż dobrze jej życzy. Ona także uniosła dłoń. Na nadgarstku wciąż miała moją czerwoną przepaskę.

Z pomocą świętych

Po śmierci Petersa i Wilsona nasza społeczność pogrążyła się w rozpacz. Zastanawialiśmy się nad tym, w jaki sposób ich uczcić. Odpowiedziałam na prośbę i ułożyłam epitafium na nagrobek Petersa: „Thomas Peters, przywódca osadników z Nowej Szkocji. Walczył o wolność i w końcu stał się wolny”.

Kiedy Ojczulek Moses zaczął planować „spotkanie rodzinne”, na które chciał zaprosić jedynie osadników, Clarkson poskarżył mi się na osobności, że tworzymy barierę pomiędzy nami i Anglikami.

– Przecież osadnicy z Nowej Szkocji także nie mogą uczestniczyć w zebraniach kompanii – powiedziałam.

– Zarządzanie kompanią to jedno, a zarządzanie społecznością to coś zupełnie innego – odparł Clarkson.

Ustaliliśmy, że w tej sprawie nie dojdziemy do porozumienia. Ale na żądanie Clarksona poprosiłam Ojczulka Mosesa, by osadnicy po spotkaniu we własnym gronie zaprosili na zebranie przedstawicieli kompanii. Ojczulek Moses przystał na tę propozycję.

Podczas spotkania w kościele kolejni mówcy potępili Sierra Leone Company za to, że sprzymierzyła się z handlarzami niewolników we Freetown. Niektórzy wzywali do powstania zbrojnego, podkreślając, że kilkudziesięciu żołnierzy z kompanii nie zdoła stłumić rewolty tysiąca osadników. Nie chciałam, by kompania godziła się na kolejne wizyty sprzedawców niewolników we Freetown, ale nie wierzyłam, że przemoc przyczyni się do poprawienia naszej sytuacji. Ilekroć byłam świadkiem buntu wśród niewolników, zawsze rebelianci ponosili porażkę, a niewinni ludzie umierali.

Ojczulkowi Mosesowi udało się zakończyć nasze zebranie bez decyzji o powstaniu. Gdy do kościoła wpuściliśmy przedstawicieli kompanii, dołączyli do nas Clarkson oraz Alexander Falconbridge, który także był gubernatorem kolonii Freetown. Milczący Falconbridge trzymał się na tyłach pomieszczenia i przyglądał obradom, podczas gdy na ambonę wszedł Clarkson.

Słyszając, jak Clarkson powtarza, że „potworne, tragiczne okoliczności doprowadziły do śmierci dwóch szanowanych osadników z Nowej Szkocji”, czułam zniecierpliwienie, ale ogarnęła mnie ulga, gdy obiecał, że kompania zapłaci za ich pochówek i wesprze finansowo wdowy.

Gdy Ojczulek Moses wspomniał o kwestii handlarzy prowadzących niewolników przez Freetown, Clarkson powtórzył to, co już kiedyś nam mówił:

– Nie zamierzamy usankcjonować niewolnictwa we Freetown. W tej kwestii wszyscy

dyrektorzy kompanii z Londynu są zgodni.

Słowa Clarksona sprawiły, że poczuliśmy się jeszcze bardziej bezbronni. Zastanawiałam się, jak żarliwie zaprotestuje kompania, gdy Freetown zaatakują handlarze niewolników i będą próbowali zaciągnąć nas na wyspę Bance. Nawet gdyby dwudziestu żołnierzy Sierra Leone Company uniosło muszkiety, nie mieliby szansy odeprzeć ataku plemienia Temne.

Gdy wyszliśmy z kościoła, podszedł do mnie Alexander Falconbridge, by ze mną porozmawiać.

– Słyszałem o tobie, Meeno – powiedział, wyciągając dłoń.

– Dzień dobry, doktorze Falconbridge – odparłam. Wiedziałam, że kiedyś pracował jako chirurg na statku niewolniczym, ale po pewnym czasie zmienił zdanie i publicznie potępił handel niewolnikami.

Był wysokim mężczyzną o szerokich barkach i wydatnym brzuchu utrudniającym mu oddychanie. Z jego krzaczastych brwi wystawały kępki kręconych włosów. Miał rozszerzone źrenice i oddech cuchnący rumem, ale w jego oczach dostrzegłam dobroć.

– Przyjmij moje kondolencje – powiedział. – Peters i Wilson byli dobrymi ludźmi, którzy chcieli dla swoich jak najlepszego losu.

– Gdyby nie Peters, wcale by nas tu nie było – oznajmiłam.

Wyszliśmy na ulicę, a Falconbridge wciąż mi towarzyszył. Zatrzymałam się, by nie musiał odprowadzać mnie aż do domu.

– John Clarkson go szanował, choć czasem się nie zgadzali – powiedział.

Znów skinęłam głową.

– Porucznik bardzo panią podziwia.

– On także jest dobrym człowiekiem.

– To ostatni przyzwoity toubab – zażartował Falconbridge.

Wiedziałam, że zamieszkał w Sierra Leone jeszcze przed osiedleniem się tu Clarksona czy kogokolwiek z nas.

– Porucznik Clarkson mówił, że kiedyś zajmował się pan handlem niewolnikami i że później go pan potępił.

– To prawda. Kto wie, może byłem lekarzem na statku, którym popłynęłaś do Ameryki – odparł.

– Na tym statku był tylko jeden lekarz, a ja widziałam jego śmierć.

– Cóż, chirurdzy robią dla niewolników, co w ich mocy. Są trochę lepsi niż reszta. – Na chwilę urwał, a kiedy znów się odezwał, jego głos był ledwie słyszalny. – Ale to bez znaczenia. Uczestniczą w tym procederze. Popołniają grzech. Sam go popełniłem. Ale skończyłem z tym.

Słyszałam to wszystko od Clarksona.

– Musisz wiedzieć, że jestem żonaty i że moja żona przebywa na statku.

Wiedziałam o tym.

– W takim razie wiesz, że mam szlachetne intencje. Zapraszam cię tego wieczoru na pokład Króla Jerzego, żebyśmy mogli porozmawiać.

Falconbridge zajmował na Królu Jerzym kilka pokoi. Wieczorem polecił kucharzowi Temne, by przyrządził świeżą potrawkę z kurczaka, i poczęstował mnie rumem.

– Poproszę o małą szklaneczkę – odpowiedziałam.

– Mała dla ciebie, większa dla mnie – rzucił z uśmiechem. Usiadł i wypuścił powietrze z płuc, po czym upił rumu i znów odetchnął. – Życie jest krótkie, a my musimy czerpać radość tam, gdzie możemy ją znaleźć.

Skinęłam głową.

– Nie sądzę, by udało mi się opuścić to miejsce żywym, więc nie mam zamiaru odmawiać sobie pociechy, jaką daje mi alkohol.

Rozmawialiśmy o miejscach, w których mieszkali osadnicy z Nowej Szkocji przed przybyciem do Sierra Leone: Afryce, Georgii, Karolinie Południowej, Wirginii, Nowym Jorku, Nowej Szkocji i Nowym Brunszwiku, a także wielu innych.

– Anglicy to ludzie stworzeni do żeglowania – oznajmił Falconbridge – ale niewielu z nich zna te wszystkie miejscowości, w których przebywaliście.

– Jesteśmy podróżującym ludem – odparłam.

W czasie naszej konwersacji przyniesiono posiłek. Gdy skończyliśmy jeść, Falconbridge podniósł z kolan serwetkę, odsunął krzesło i westchnął.

– Nienawidzisz mnie? – zapytał.

– A powinnam?

– Czy możesz nie darzyć nienawiścią wszystkich białych ludzi bez wyjątku? Miałabyś po temu uzasadnione powody.

Nalałam sobie wody z karafki.

– Gdybym marnowała czas na nienawiść, już dawno poz byłabym się wszystkich emocji i byłabym teraz pusta jak muszelka porcelanki.

Falconbridge podrapał się w łokieć – obficie się pocił. Zastanawiałam się, gdzie kąpać się biali mężczyźni mieszkający na zatłoczonym statku, który nie jest już zdolny do żeglugi. Przynajmniej we Freetown osadnicy z Nowej Szkocji się kąpali. Postawiliśmy osobne łaźnie dla kobiet i mężczyzn i trudno było znaleźć mieszkańca, który nie kąpał się przynajmniej raz w tygodniu. Ci z nas, którzy urodzili się w Afryce, robili to jeszcze częściej – nawet codziennie. Czasem późno w nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, zanosłam do lasu wiadro wody, znajdowałam ciche miejsce wśród drzew pod rozgwieżdżonym niebem i wpatrywałam się w tę samą tykwę, którą podziwiałam jako dziecko. W chłodnym nocnym powietrzu z przyjemnością polewiałam skórę ciepłą wodą i od czasu do czasu

zastanawiałam się, czy tej nocy, kiedy mnie porwano, ocalał jakikolwiek mieszkaniec Bayo.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Falconbridge'a.

– Miałabyś pełne prawo mnie nienawidzić. Wierzysz w zbawienie?

Czasem zaskakiwała mnie bezpośredniość białych ludzi.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Urodziłam się trzy obroty księżyca na północny wschód od tego miejsca. W mojej wiosce mieliśmy różne wierzenia. Mój ojciec był muzułmaninem i studiował Koran. Inni mieszkańcy mówili, że duchy mieszkają w zwierzętach, a nawet warzywach. Wierzyliśmy, że należy sobie pomagać w czasie żniw. Razem pracowaliśmy. Razem jedliśmy. Razem młóciliśmy proso. Wierzyliśmy, że po śmierci zbierzemy się razem i powrócimy do przodków, którzy powołali nas do życia. Ale nikt nie mówił o zbawieniu.

– Zbawienie wymyślił grzesznik – odpowiedział. – Popełniłem grzech, ale się zmieniłem. Moim zadaniem było schodzenie do luków, badanie ludzi i sprawdzanie, czy oddychają. Byłem świadkiem potwornego okrucieństwa. Na tych statkach umarła moja dusza.

– Wiem, co się działo w lukach tych statków – odparłam.

Falconbridge przycisnął palce do skroni.

– Czy wiesz, że nie mogłem zrobić dla tych mężczyzn absolutnie nic? Gdy zakładałem im plaster, zrywali go. Gdy leczyłem ich rany, zaogniały się i nabiegały ropą, a prędzej czy później chorzy i tak umierali. Jediną dobrą rzeczą, jaką zrobiłem, było wywalczenie u kapitana czystszej wody, lepszego jedzenia i częstszego sprzątanego pomieszczeń zajmowanych przez niewolników.

Oboje z Falconbridge'em przeżyliśmy przeprawę przez ocean, ale zdawało mi się, że od czasu, kiedy podróżował statkiem, jego cierpienie tylko się wzmogło.

– Widzę, że to pana gnębi – powiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam. – Może opowie mi pan coś więcej o swoim życiu w tamtych czasach?

– Wyrwałem się z niego – rzucił. – I opisałem to.

– Doprawdy?

– Kiepski ze mnie pisarz. Clarkson wspominał, że jesteś skrybą.

Skinęłam głową.

– Z pewnością jesteś bardziej wykształcona ode mnie. Podziwiam to. Ale owszem, z pomocą świętych z Anglii napisałem o swojej pracy chirurga na statku niewolniczym.

– Z pomocą świętych?

– Ludzi takich jak twój John Clarkson. Jest ich w Londynie cała masa. Ilekroć udaje im się pozyskać w kościele niczego niepodejrzewających słuchaczy, długo i wytrwale biją w swój dzwon świętości.

- Naprawdę?
- Próbowali obalić handel niewolnikami. Czy znasz słowo „obalić”?
- Zakończyć. Położyć kres. Unieważnić. Znieść. Mam rację?
- Jesteś pewna, że nie urodziłaś się w Anglii?

Uśmiechnęłam się.

- Czy wyglądam na kogoś, kto urodził się w Anglii?
- Byłabyś zaskoczona kaczkami dziwaczkami, które urodziły się w moim kraju.
- Słyszałam wiele określeń na swój temat – odparłam – ale nigdy nie nazwano mnie kaczką.

Falconbridge się zaśmiał i pociągnął rumu ze szklanki.

- Podobno chcesz wrócić do domu.

Skinęłam głową i czekałam na to, co powie.

- Mógłbym ci pomóc, ale wymagałoby to powrotu na wyspę Bance.
- Dlaczego?
- Jedyni ludzie, którzy wiedzą, jak się poruszać po łądzie, to handlarze zawijający na wyspę Bance. Ci, którzy pracują w forcie, to porządni mężczyźni.

Wpatrywałam się w niego.

- Mam na myśli to, że jeśli poznasz ich osobiście i jeśli to ja cię przedstawię, możesz być pewna, że potraktują cię przyzwoicie. Uścisną ci dłoń, poczęstują napojem, pożartują, wymienią jedzenie na rum lub rum na jedzenie, podarują ci gazetę z Londynu.

Westchnęłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, że z własnej woli jadę na wyspę Bance.

- To prawda, że ludzie na wyspie wykonują szatańską pracę – przyznał Falconbridge. – Ale jeden z nich mógłby mnie skontaktować z kimś, kto zabrałby cię w głąb lądu. Wtedy spełniłoby się twoje życzenie.

Po roku handlu z plemieniem Temne nie zdołałam wyciągnąć z nich ani jednego szczegółu na temat tego, jak się dostać do Bayo. A teraz wyglądało na to, że biały człowiek otworzy przede mną drzwi.

- Zastanowię się nad tym – odparłam.

Do mesy weszła żona Falconbridge’a Anna Maria.

- Boże drogi, zaskoczyliście mnie – powiedziała.
- Właśnie szykowałam się do wyjścia – uprzedziłam.
- Mój mąż jest skomplikowanym człowiekiem – stwierdziła. – Prawda, najdroższy?
- Jestem skomplikowaną porażką – oznajmił. Mówiąc to, podsunął mi swój traktat przygotowany dla mężczyzn w Anglii, którzy, jak wyjaśnił, próbowali znieść niewolnictwo, ale im się nie udało.

Rozprawa liczyła około czterdziestu stron. Spojrzałam na okładkę. „Relacja na temat handlu niewolnikami na afrykańskim wybrzeżu autorstwa Alexandra Falconbridge’a,

świętej pamięci chirurga pracującego w afrykańskim handlu. Londyn 1788”.

– Co oznacza zwrot: „świętej pamięci chirurg”? – zapytałam.

– To, że rzuciłem tę robotę, kiedy nie mogłem jej już znieść.

– Lubi cię – powiedziała Anna Maria.

– Nie zaczynaj – ostrzegł ją Falconbridge.

– To, że wręczył ci swój cenny traktat, oznacza, że cię lubi i chce, żebyś i ty darzyła go sympatią. – Po tych słowach wskazała na otwarty rękopis, prosząc, bym zaczęła czytać.

Podniosłam tom, odsunęłam go na odległość sześciu cali i poprosiłam, by zapalono kilka świec. Falconbridge’owie spełnili moje życzenie. Wyjęłam okulary z niebieskimi szklami i wsunęłam je na nos. Wiedziałam, że część białych ludzi w Nowej Szkocji używała ich w domowym zaciszu, ale nigdy nie wkładała ich w towarzystwie innych osób. Byłam jednak zbyt stara, by martwić się tym, czy Anna Maria i jej mąż uważają mnie za atrakcyjną. A bez okularów i tak niczego bym nie przeczytała.

Otworzyłam traktat i odczytałam na głos:

– „Często się zdarza, że Negrów zakupionych przez Europejczyków ogarnia szaleństwo. Wielu z nich umiera, nie odzyskawszy zdrowia psychicznego, zwłaszcza kobiety”.

Odłożyłam książkę i oznajmiłam, że z mojego doświadczenia wynika, iż to mężczyźni tracą rozum częściej niż kobiety. Mężczyźni, którzy czują się zobowiązani, by odmienić swój los, ogarnia szaleństwo wywołane własną bezsilnością. Kobiety kierują się natomiast tym, by pomagać ludziom. A zawsze istnieje sposób, by komuś pomóc, nawet jeśli nie można zmienić sytuacji, w jakiej się znalazł.

Anna Maria otworzyła traktat na innej stronie i podała mi go. Znow przystąpiłam do lektury:

– „Na statku Negrzy żywili się głównie bobem rozgotowanym na papkę, gotowanymi słodkimi ziemniakami i ryżem, a czasem małymi ilościami wołowiny lub wieprzowiny”.

Zamknęłam książkę. Powróciły do mnie żywe wspomnienia tego, jak spożywałam takie jedzenie, by przeżyć na statku, który sam w sobie cuchnął śmiercią. Więźniowie kucali nad wiadrami brei, marząc o biskoptach i orzeszkach, które przemycałam z kajuty znachora.

Anna Maria ścisnęła mnie za łokieć.

– Widzę, że lektura tego tekstu przynosi ci ból – stwierdziła. – Zostawmy to na inną okazję. Chciałabym cię lepiej poznać. Czy wpadniesz do mnie jutro na herbatę?

*

Anna Maria Falconbridge i ja zaczęłyśmy się odwiedzać. Mówiła, że w kompanii nie ma prawie żadnego interesującego człowieka, z którym mogłaby porozmawiać. Czasem zapraszała mnie na statek, bym napiła się z nią rumu, kiedy indziej składała mi wizyty w domu – była jedyną osobą z kompanii, która to robiła.

Od czasu do czasu narzekała na mężczyzn z kompanii, którzy wciąż dawali okazałe, pretensjonalne prezenty królowi Jimmy'emu.

– W Afryce przynoszenie prezentów, nawet tych najmniejszych, jest oznaką szacunku – wyjaśniałam.

– Butelka rumu może tak. Ale cała beczka?

Nic nie odpowiedziałam. Spojrzała na mnie uważnie.

– Jesteś tak odczytana i doświadczona, że powinnaś opisać swoje życie – oznajmiła. – Innym takie relacje przyniosły osobiste korzyści. Słyszałaś o Olaudah Equiano? To Afrykanin, były niewolnik, podobnie jak ty. Napisał książkę o swoim życiu i stał się sławny. Nie mam pojęcia, czy jego opowieść jest całkiem prawdziwa. Ale to nieważne. Wyprzedzała się w całej Anglii. Jest wielu białych Anglików biedniejszych od niego.

– Nie czytałam jego relacji – odpowiedziałam.

Anna Maria powiedziała, że przywiozła ze sobą skromną biblioteczkę.

– Nie mam się nią z kim podzielić, Meeno. Większość pracowników kompanii wie o literaturze mniej niż osły o astronomii. Byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciała przyjąć mój egzemplarz.

Na zewnątrz robotnicy z plemienia Temne budowali nowy dach na sąsiednim domu należącym do mojej przyjaciółki Debry. Zobaczyłam, jak Anna Maria przygląda się ich spoconym, błyszczącym ciałom.

– Lepiej, żeby budowali domy, niż przewozili niewolników – powiedziałam.

Anna Maria się zaśmiała.

– Wierzę w ludzkie traktowanie i tak dalej, ale wielu ludzi mądrzejszych ode mnie mówi, że niewolnictwo wyzwala Afrykę z barbarzyństwa. Wiedziałaś o tym?

– Anglicy mówią tak, by usprawiedliwić swoje diabelskie postęпки – odpowiedziałam.

– A co z tobą? – rzuciła. – Jesteś wykształcona. Inteligentna. Odczytana.

– Czy to, że potrafię czytać, usprawiedliwia kradzież kobiet i mężczyzn?

– Kradzież? Handlarze na wyspie Bance słono płacą za swój nabytek.

– Nie można tego nazwać inaczej niż kradzieżą.

– Ależ Meeno, kradzież zaczyna się na tym kontynencie. Afrykanie kradną i rabują siebie nawzajem.

– Jak myślisz, na czyje zlecenie się porywają?

– Afrykanie handlowali niewolnikami, jeszcze zanim pierwszych z nich wysłano do Ameryki – oznajmiła.

– W mojej wiosce mieliśmy takie powiedzenie: „Strzeż się przebiegłego człowieka, który nakłada złu maskę dobra”.

– Już sobie wyobrażam, co powiedzieliby na to przedsiębiorcy z Liverpoolu.

– Z Liverpoolu?

– Właśnie stamtąd wielu handlarzy niewolników zarządza swoimi interesami w Anglii. Zapytałiby, czy potrafiłabyś ze mną dyskutować lub czy przeczytałabyś setki książek, gdyby nie uczyniono z ciebie niewolnicy. Czy to nie było twoim wybawieniem? Czy nie jesteś chrześcijanką?

– Niezupełnie – odparłam, z chęcią przystając na zmianę tematu. – Chodzę do kościoła, by przebywać ze swoją społecznością, ale nie nazwałabym się chrześcijanką.

Zapadła krępująca cisza. Spodziewałam się, że Anna Maria zacznie chwalić cywilizujący wpływ anglikanizmu, ale tylko się do mnie nachyliła, dotknęła mojej ręki i powiedziała:

– Nie wierzę, by w tej kompanii pracował jakikolwiek dyrektor, a na wyspie Bance jakikolwiek wyższy oficer, który nie ma afrykańskiej kochanki. Albo dwóch. Albo więcej.

– Zauważyłam – odpowiedziałam.

Oparła się o moje ramię i powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem:

– Oczywiście w przypadku kobiet z kompanii nie działa to w ten sposób. Nie masz pojęcia, jakie to skomplikowane.

– Kiedy trzeba zrozumieć innych, rzadko potrafimy sobie wyobrazić, przez co przechodzą.

Anna Maria westchnęła i dotknęła mojego ramienia.

Wyglądało na to, że rzadko będziemy się zgadzać, ale lubiłam to, że rozmawia ze mną tak otwarcie i pyta mnie o zdanie.

Zanim zaczęła mówić dalej, nadszedł posłaniec pracujący dla kompanii i oznajmił, że wioślarz czeka, by zabrać ją z powrotem na Króla Jerzego. Wychodząc, jeszcze raz spojrzała na robotników Temne pracujących na dachu sąsiedniego domu.

G jak Grant, O jak Oswald

Przez kolejny rok bezskutecznie próbowałam przekonać jakiegokolwiek członka plemienia Temne, by podzielił się ze mną informacją, jak odnaleźć drogę wewnątrz łądu. W końcu przyjął propozycję Alexandra Falconbridge'a, który obiecał zabrać mnie na wyspę Bance. Przez cały czas marzyłam o Bayo, a moje wspomnienia okazały się jeszcze żywsze niż na statku niewolniczym lub w najwcześniejszych dniach w koloniach. Czułam, że oddałabym wszystko, by wrócić do domu.

Na podróż włożyłam najlepsze ubrania. Zamiast jak zwykle zawiązać afrykańską chustę, włożyłam angielską sukienkę i czerwone pantofle ze srebrnymi sprzączkami oraz żółty kapelusz z pawim piórkiem. Ubranie pomogło mi się oddalić od tej chudej, nagiej dziewczynki, którą czterdzieści lat wcześniej napiętnowano w zagrodzie dla niewolników na wyspie Bance.

Powiedziano mi, że na wyspę najlepiej wybrać się tuż po ustąpieniu pory deszczowej, kiedy handlarze z łądu zaczynali zwozić towary na targ. Falconbridge zapłacił wiosłarzom z plemienia Temne, by nas tam przetransportowali.

Pokonanie osiemnastu mil w górę rzeki zajęło nam cały ranek. Tafla wody była gładka jak szkło, a mężczyźni wiosłowali pewnie i niezawodnie do miejsca, którego nie chciałam już nigdy oglądać. Niewiele rozmawialiśmy. W palącym słońcu, podczas gdy wiosłarze walczyli z prądem, Falconbridge wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Czasem lepiej zawrzeć pakt z diabłem, niż nie zawierać żadnego.

Gdy na szczycie wzgórza ukazał się biały zamek, uświadomiłam sobie, jak mała jest wyspa – była owalna, a jej długość wynosiła zaledwie kilka jardów. Na nabrzeżu powitał nas ubrany na biało wąsaty mężczyzna o wydatnym brzuchu. W lewej ręce trzymał dwie wypolerowane laski z litego drewna, z których każda miała długość około czterech stóp i była zakończona ciężką główką. Wyglądały jak narzędzia tortur, ale mężczyzna trzymał je jak zabawki. W tej samej dłoni ścisnął drewnianą kulę, nieco mniejszą od mojej pięści.

Wolną ręką przywitał się z Falconbridge'em. Ostentacyjnie wyciągnęłam przed siebie dłoń odzianą w jedną z rękawiczek, które pożyczyłam od Anny Marii.

– William Armstrong – przedstawił się. Miał silny uścisk. Nie wyglądał na człowieka, który byłby zdolny przycisnąć mi do piersi spiralę rozgrzanego żelaza.

– Armstrong jest zastępcą komendanta fortu – wyjaśnił mi Falconbridge.

– Aminata Diallo – powiedziałam.

Poczułam się bezpieczniej, wypowiadając swoje imię i nazwisko w pełnym brzmieniu.

– Armstrong, chłopie – rzucił Falconbridge. – Oto kobieta, o której ci pisałem.

Genialna. To obywatelka Afryki, Ameryki i Nowej Szkocji. Odbyła wiele podróży, ale nie wszystkie z nich z własnej woli. Zapewniam cię, że jest bardziej czytana niż dziewięciu na dziesięciu Anglików.

Wyobrażałam sobie, że Falconbridge potraktuje wyprawę na wyspę Bance jak przykry obowiązek. Drażniło mnie to, że w towarzystwie Armstronga wydaje się tak odprężony.

Armstrong się uśmiechnął.

– Lubię zagadkowe kobiety. Kazałem chłopakom przygotować posiłek. Jesteście głodni? Podróż w górę rzeki zajmuje sporo czasu, prawda?

Falconbridge wręczył Armstrongowi butelkę rumu z Barbadosu.

– Porządny z ciebie człowiek – rzucił Armstrong, klepiąc go w plecy. – Może zanim zasiądziemy do posiłku, rozegramy rundę golfa?

– Czemu nie – odpowiedział Falconbridge.

– Ma pani ochotę popatrzeć? – zapytał mnie Armstrong.

Wydawało się, że nie mam wyboru, poza tym zamierzałam na razie trzymać się blisko Falconbridge'a.

Wspięliśmy się do fortecy po licznych schodach. W stronę morza było zwróconych sześć armat, a na wietrze łopotała flaga Wielkiej Brytanii. Na nabrzeżu, na dachu i w drzwiach stali wartownicy, którzy wypatrywali na horyzoncie obcych ludzi i statków.

Za zamkiem mężczyźni na zmianę uderzali kijami w drewnianą piłeczkę, która toczyła się od dołka do dołka. Ilekroć piłka wpadła do jednego z nich, mężczyźni ją wyławiali, po czym wbijali kijem do innego dołka. Anglicy mieli doprawdy przedziwne rozrywki. Przypomniałam sobie czas spędzony na statku niewolniczym i uczucie, jakim znachor darzył papugę. Na moje szczęście Armstrong i Falconbridge szybko zmęczyli się grą. Oddali kije małemu chłopcu z plemienia Temne ubranemu w czapeczkę, koszulę i spodnie, po czym przenieśliśmy się do zamku.

Pod względem rozmiaru i zdobności zamek na wyspie Bance dorównywał rezydencji rządowej w Halifaksie. Wspięliśmy się po marmurowych schodach i weszliśmy do jadalni na drugim piętrze. W pomieszczeniu znajdował się stół z czerwonego drzewa sandałowego oraz błyszczące krzesła w takim samym stylu, a na ścianach wisiały portrety króla Jerzego III i królowej Charlotty. Przystanąłam, żeby przyjrzeć się kobiecie. Nie rozumiałam, dlaczego nazywa się ją czarną – jej skóra wydawała się jasna, a rysy odpowiadały rysom białego człowieka. Odwróciłam się od malunku. Pomieszczenie oświetlały świece w ustawionych na stołach eleganckich kandelabrach. Na dwóch przeciwległych ścianach widniały ogromne okna osłonięte okiennicami. Po jednej stronie okna były otwarte i rozciągał się z nich widok na rzekę Sierra Leone. Po drugiej stronie także znajdowały się okna wychodzące na tyły budynku, ale okiennice były zamknięte, więc nic nie dało się przez nie dostrzec.

Armstrong wręczył Falconbridge'owi sherry.

– Czy ona pije?

– Ją o to zapytaj – odparł Falconbridge. – Ma własny rozum.

Armstrong zwrócił się do mnie.

– Drinka?

Kiedy zastanawiałam się nad odpowiedzią, mężczyźni stuknęli się kieliszkami, a ten dźwięk skojarzył mi się z zaciskaniem kajdan. Przez chwilę ogarnęło mnie przerażenie. Tu, na wyspie Bance, ci mężczyźni mogli ze mną zrobić, co im się żywnie podobało. Czyżbym postradała rozum? Gdyby z jakiegoś powodu zwrócili się przeciwko mnie, w ciągu kilku dni lub godzin znalazłabym się na statku niewolniczym zakuta w kajdany.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał Armstrong.

– Tak, dziękuję – odparłam. – I owszem, poproszę o drinka.

Armstrong skinął na ubranego jak angielski kamerdyner członka plemienia Temne, który przyniósł mi sherry. Gdy złapałam kieliszek za nóżkę, poczułam ukojenie. Wzięłam głęboki oddech i upiłam łyk napoju.

Smakował tak, jak wyobrażałam sobie połączenie melasy i uryny. Starłam się nie skrzywić i pewnie trzymałam kieliszek. Zachowanie spokoju kosztowało mnie wiele wysiłku.

Posadzono mnie obok Falconbridge'a, naprzeciwko Armstronga. Afrykańscy słudzy przynieśli nam chleb, ser, owoce, wino, wodę i parujące półmiski z maniokiem, rybą i wieprzowiną. Jedzenie było świeże i pachniało wybornie, ale ledwie tknęłam swoje danie. Mój apetyt zniknął. Pragnęłam zająć się sprawą, którą przyjechaliśmy załatwić, i jak najszybciej opuścić wyspę. Ale Armstrong i Falconbridge zasiedzieli się nad drinkami.

– Spójrzcie tylko na to – powiedział Armstrong, pokazując nam srebrną monetę. Był to hiszpański dolar, znany także jako „kawałek z ośmiu reali”.

Pamiętałam takie monety z okresu, kiedy pracowałam dla Solomona Linda w Charles Town. Ta jednak wyglądała nieco inaczej. Na jej odwrocie widniała głowa hiszpańskiego króla Karola III, jednak na jego szyi wybity był maleńki wizerunek króla Jerzego III.

Spojrzałam na Armstronga i uznałam, że jeśli chwilę z nim porozmawiam, odzyskam pewność siebie. Jeśli usłyszy mój głos i zobaczy, jak pracuje mój umysł, trudniej mu będzie dostrzec we mnie potencjalną niewolnicę.

– Znam „kawałek z ośmiu reali” – powiedziałam w końcu. – Ale co robi król Jerzy na szyi króla Karola?

– Jeden z moich ludzi przywiózł to z Londynu – odparł Armstrong. – Brakuje im srebrnych monet, więc używają także hiszpańskiej waluty.

– Ale zmieniają ją na angielską – dodał Falconbridge.

Armstrong powiedział, że słyszał o tym głupiutki wierszyk. Gdy Falconbridge wyraził

ochotę, by go usłyszeć, Armstrong wyrecytował:

– „By zwiększyć obroty, bank wybił głowę osła na szyi idioty”.

Falconbridge się zaśmiał, ale po chwili dodał:

– Naprawdę uważasz, że król Jerzy jest aż takim osłem? Czy mógł pozwolić na to, by amerykańskie kolonie tak po prostu ogłosiły swoją niepodległość i wygrały bez wojny?

– Zbyt długo walczył – odparł Armstrong. – I owszem, to głupiec. Nie słyszałeś o tym, co zrobił własnemu synowi?

– Wiem, wiem – rzucił Falconbridge, kręcąc głową. – W napadzie szału próbował roztrzaskać głowę księcia o ścianę. Mówi się, że miał pianę na ustach jak koń wyścigowy.

– Poddaję się – powiedział Armstrong. – Głowa osła na szyi idioty.

Kiedy mężczyźni palili i debatowali nad tym, czy król rzeczywiście jest szalony, przeprosiłam ich i odeszłam, by jeszcze raz obejrzyć portrety królewskiej pary. Poglądziłam kandelabry, usiadłam w wygodnym fotelu i przeczytałam artykuł w angielskiej gazecie na temat kompozytora Mozarta, a w końcu podeszłam do zasłoniętych okien wychodzących na tyły budynku. Mężczyźni wciąż pili, palili i zanosili się śmiechem. Dotknęłam okiennic, zauważyłam, że nie są zamknięte na kłódkę, i ostrożnie je otworzyłam. Spojrzałam w górę na błękitne niebo, ale po chwili do moich uszu dotarły ludzkie jęki. Spuściłam wzrok. Na terenie za kamienną fortecą, w otoczonej murem zagrodzie ujrzałam czterdziestu nagich mężczyzn. Siedzieli, kucali i stali. Krwawili i kaszleli. Wszyscy byli zakuci w kajdany połączone ze sobą u kostek. Przez chwilę zapomniałam o tym, ile czasu minęło, odkąd mieszkałam w Bayo, i przyglądałam się twarzom niewolników, starając się któregoś z nich rozpoznać. Potrząsnęłam głową nad własną głupotą, ale nie potrafiłam odwrócić wzroku od więźniów.

Członek plemienia Temne w pełnym stroju z przytroczoną do biodra pałką do bicia przyniósł kocioł z wodnistą papką i wlał ją do koryta. Więźniowie, którzy do niego przykuśtykali, musieli uklęknąć w błocie i zniżyć głowy, by wysiorbać breję. Byli oddzieleni kamiennym murem o wysokości około siedmiu stóp od grupy mniej więcej dziesięciu kobiet. Choć nie były skute kajdanami, one także znajdowały się w niewoli. Dwóch mężczyzn leżało bez ruchu w błocie, podczas gdy inni ich omijali. Po drugiej stronie tak samo nieruchomo leżała kobieta. Nienawidziłam się za to, że nie robię nic, by pomóc niewolnikom wydostać się z tego potwornego więzienia. Próbowałam przekonać siebie, że nie mogę ich uwolnić, ale w rzeczywistości sam ich widok sprawiał, że czułam się współwinna ich niedoli. Postąpiłabym moralnie tylko wtedy, gdybym zaryzykowała życie, by położyć kres porwaniom. W jaki sposób jednak miałam to zrobić i czy ostatecznie cokolwiek by to zmieniło?

Na ramieniu poczułam palce. Odwróciłam się i ujrzałam Falconbridge’a.

– Nie zadręczaj się – powiedział. – Oboje wiemy, co się tu dzieje.

Z głębi pomieszczenia wyłonił się Armstrong, który zatrzasnął okiennice.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem, by pani to oglądała.

Nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa.

– Falconbridge mówi, że jest pani pasjonatką książek i map. Może przejdziemy do mojego gabinetu? – zaproponował, po czym zaprowadził mnie do pokoju wypełnionego książkami. – Herbaty? – zapytał. – Może wezwę sługę?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, potrząsnął dzwonkiem. Po chwili w bibliotece pojawił się mężczyzna z Temne, który ostentacyjnie omijał mnie wzrokiem. Przyjął rozkazy Armstronga i kilka minut później powrócił z tacą. Nie chciałam pić herbaty, próbować jedzenia ani spędzić choć chwili dłużej w tym zamku, ale znalazłam się w pułapce. Przyjęłam herbatę i próbowałam utrzymać spodek na kolanach.

– Falconbridge trochę mi o pani opowiadał. Mam nadzieję, że nie ma pani o to pretensji – oznajmił Armstrong.

– Nic podobnego.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak – odparłam, ale trzęsły mi się dłonie, a filiżanka szczękała o talerzyk. – Prawdę mówiąc, nie. Ale zaraz się uspokoję.

– Czy tak podzielał na panią widok niewolników?

Spojrzałam na niego poważnie.

– Falconbridge mówił, że gdy była pani dzieckiem, zabrano panią z wioski w głębi łądu.

– To prawda.

– Trudno w to uwierzyć. Mieszkała pani w Afryce, potem znalazła się za oceanem, a teraz powróciła... Musi pani rozumieć, że to dość niespotykane.

Pozwoliłam mu się namyślić.

– Słyszałem, że chce pani wrócić do domu.

– Tak.

– Mogę mówić otwarcie?

Skinęłam głową.

Armstrong upił herbaty, po czym postawił porcelanowy kubek na wypolerowanym blacie i oznajmił:

– Nie wyjdzie to pani na dobre.

– Nie chodzi o to, by wyszło mi to na dobre, tylko o to, że chcę wrócić do domu.

– Znów panią sprzedadzą – odpowiedział.

– Skąd pan to wie?

– Bo ludzie są nikczemni.

Nie mogłam usiedzieć w fotelu. Wstałam, podeszłam do regałów Armstronga

i wyjęłam książkę zatytułowaną *Dziennik handlarza niewolników (John Newton), 1750–1754*. Odstawiłam tom z powrotem na półkę i zwróciłam się do Armstronga.

– Przyszłam na świat na tym kontynencie, ale nie tutaj. Urodziłam się na północnym wschodzie, w odległości wielu mil pieszo od tej wyspy. Przepłynęłam ocean, by wrócić do domu. Myśli pan, że powstrzyma mnie fakt, że uważa pan to za niebezpieczne?

– Skąd pani wie, że właśnie tu trafiła na statek?

– Powiedział mi o tym właściciel niewolników z Karoliny Południowej. Poza tym pamiętam to miejsce.

– Co takiego pani pamięta?

– W czasie nocnych burz, kiedy niebo rozcinały pioruny, grzmoty odbijały się echem od górskich jaskiń.

– Burze zdarzają się wzdłuż całego wybrzeża – oznajmił Armstrong.

– Pamiętam ten fort i zagrody dla niewolników, a nawet tę absurdalną grę, w którą graliście tymi kijami i piłką.

– Pamięta pani golfa? – zapytał, a ja skinęłam głową. – Gdzie konkretnie trafiła pani w Charles Town?

– Na Wyspę Sullivana. Przez tydzień lub dwa poddawano nas kwarantannie.

– Szczegóły się zgadzają.

– Nie ma potrzeby, by sprawdzać, czy kobieta pamięta informacje dotyczące własnego życia – rzuciłam.

– I mówi pani, że to było czterdzieści lat temu?

– Przybyłam do Charles Town w 1757 roku i miałam wówczas około dwunastu lat.

– A teraz chce pani wrócić do domu?

– Zawsze tego pragnęłam, od chwili kiedy mnie porwano.

– Po co to pani?

– Czy przed śmiercią chce pan jeszcze raz zobaczyć Anglię?

– Gdy ja wypłynę do domu, zsiądę ze statku w Anglii, jeśli jednak pani wyruszy w głąb lądu, nie odnajdzie pani swojej wioski. Albo jej pani nie odnajdzie, albo ujrzy ją pani doszczętnie zniszczoną. Z lądu zabrano tysiące niewolników. Zniknęły całe społeczności. Wątpię, by pani wioska wciąż istniała. Może mi pani wierzyć.

– Nie mogę. Sama muszę się o tym przekonać.

– Handlarze to brutalni ludzie.

– Tylko oni znają drogi wewnątrz lądu.

Armstrong westchnął i znów upił herbaty. Powiedział, że miał nadzieję, iż zostanę na noc. Uniosłam brwi.

– Dziś nie ma tu żadnych handlarzy, ale spodziewam się ich jutro.

Wyjaśnił, że zadba o to, by było mi wygodnie. Spojrzał na zawieszony na łańcuszku

zegarek i wstał. Miałam wrażenie, że chce wyjść, ale po głowie chodziło mi pytanie, które musiałam zadać.

– Dlaczego to robicie?

– Co?

Wskazałam na okna, półki i sufit.

– To. To wszystko.

Armstrong odchrząknął i splótł ramiona. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był łagodniejszy, mniej wzburzony.

– To wszystko, co potrafię. Kocham Afrykę. Żałuję, że tak to wygląda, ale gdyby nas tu nie było, Francuzi w mgnieniu oka zajęliby tę fortecę. Poza tym wszyscy to robią. Brytyjczycy. Francuzi. Holendrzy. Amerykanie. Nawet przekłęci Afrykanie od wieków parają się handlem niewolnikami.

– To niczego nie zmienia.

– Gdybyśmy nie wywozili niewolników, inni Afrykanie by ich zabijali. Zgotowaliby im istną rzeź. My przynajmniej zapewniamy rynek zbytu i ratujemy im życie.

– Gdybyście przestali, zniknąłby popyt.

– Nie była pani w Anglii, więc niech pani pozwoli, że coś jej wyjaśnię. Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu Anglików pije herbatę z cukrem. Żyjemy dla herbaty, placków i słodyczy. Nasze życie kręci się wokół tych produktów i nie zamierzamy z nich zrezygnować.

– Przecież do wyrobu cukru nie potrzebujecie niewolników – zauważyłam.

– W Indiach Zachodnich tylko czarni pracują na plantacjach trzciny. Tylko czarni są wystarczająco silni.

– Moglibyście używać tej twierdzy do innych celów.

– Na przykład jakich? Takich jak pani ukochany John Clarkson we Freetown?

Skinęłam głową.

Armstrong uderzył pięścią w stół.

– Czy jego kolonia we Freetown zdołała cokolwiek wyeksportować? Gdzie ich trzcina cukrowa? Gdzie kawa? Czy wysyłacie za ocean statki pełne kości słoniowej albo drzewa sandałowego? Nie macie nawet kukurydzy ani ryżu. Nie uprawiacie żadnych pól. Nie jesteście samowystarczalni.

Nie byłam przygotowana na ten argument. Szukałam odpowiedzi, a moje myśli zataczały kręgi.

– Dobroczynność nie przynosi zysku – rzucił Armstrong. – Żadnego. Kolonia we Freetown to dziecięca igraszka finansowana z głębokich kieszeni bogatych abolicjonistów, którzy nie mają zielonego pojęcia o Afryce.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Było prawdą, że kolonia nie wytwarzała

żadnych towarów na eksport, ale jej problemy nie mogły stanowić usprawiedliwienia dla handlu niewolnikami.

– Czy to doświadczenie doprawdy było dla pani tak bolesne? Widzę przed sobą obraz zdrowia. Ma pani wygodny strój, pełny brzuch, dach nad głową, a po swojej stronie abolicjonistów we Freetown. Większości świata nie żyje się tak dobrze.

Zabrakło mi słów. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Czułam się wyczerpana. Nagle zapragnęłam położyć się w łóżku, które mi zaproponował, i znaleźć się w samotności, z dala od jego argumentów.

– Karmimy tu niewolników, proszę sobie nie myśleć – rzucił Armstrong. – W naszym interesie nie leży zagłodzenie ludzi, od których zależy nasz zarobek. Mam serdecznie dość abolicjonistów, którzy rozgłaszają, że piętnujemy naszych więźniów. Jestem tu od wielu lat, a nigdy niczego podobnego nie widziałem. To tylko propaganda mająca na celu wstrząsnąć paniami z towarzystwa, które natychmiast stają po stronie abolicjonistów.

Zawahałam się. Nie dbałam o to, czy jestem w towarzystwie zastępcy komendanta twierdzy, ani o to, że nie mogę opuścić wyspy bez jego pozwolenia.

– Czy mógłby się pan na chwilę odwrócić?

– Słucham?

– Proszę, niech się pan odwróci. Tylko na chwilę.

Zrobił, o co poprosiłam. Odpięłam haftkę oraz trzy guziki, po czym opuściłam kawałek sukienki, odkrywając wypukłe znamię powyżej piersi.

– Może się pan odwrócić.

Mężczyzna odwrócił się i krzyknął.

– To właśnie zapamiętałam z wyspy Bance – oznajmiłam.

William Armstrong zbliżył się do mnie i uważnie przyjrzał się mojej odsłoniętej skórze. Z jego ust dobył się szept:

– Czy pani wie, co to jest?

– To znak, którym mnie napiętnowano na tyłach tej twierdzy, w waszej zagrodzie dla niewolników. Miałam wtedy jedenaście lat.

Twarz Armstronga nabiegła krwią, mężczyzna zrobił krok do tyłu.

– Te dwie litery – powiedział cicho. – Wie pani, co one oznaczają?

– To G i O – odparłam. – Nie powiedziano mi, co to za skrót.

– Grant, Oswald – wyjaśnił głosem wyzutym z emocji.

– Co takiego?

– To kompania, która zarządza wyspą Bance. „Grant, Oswald”. Richard Oswald to Szkot, właściciel całego przedsiębiorstwa. Jego współpracownicy... – William Armstrong dotarł do fotela, usiadł i przesłonił brwi ręką.

Pozwoliłam, by przez chwilę siedział w milczeniu, a sama odwróciłam się, żeby zapiąć

haftkę i guziki. Następnie zrobiłam trzy kroki w jego stronę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie ma pan pojęcia, przez co przeszłam. Każda minuta jest koszmarem dla tych więźniów, których trzymacie po drugiej stronie kamiennego muru. Nie ma pan pojęcia, co przeżywają i czy przeżyją rejs statkiem. Nie ma pan pojęcia o tym, jakie czekają na nich upokorzenia i okrucieństwa w miejscu docelowym.

– O pewnych sprawach lepiej nie myśleć – odparł.

– Proszę to powiedzieć swoim więźniom.

Armstrong wstał z fotela i oznajmił, że zadba o to, by niczego mi nie zabrakło. Obiecał, że nazajutrz zapozna mnie z handlarzami.

Następnego ranka nad wodą zawisła ciężka mgła. Poprosiłam o kawę i chleb, zjadłam w samotności w swojej sypialni, po czym wyszłam z budynku z Armstrongiem. Mineliśmy kuchnię oraz kryte strzechą chaty, w których spali afrykańscy robotnicy, i weszliśmy do dwupiętrowego budynku. W środku znajdowały się trzy pomieszczenia wypełnione towarami z importu – były tam muszle porcelanek z Malediwów, sztabki żelaza z Anglii, perfumowane mydła z Holandii i rum. Były także pistolety, strzelby i śrut. Ujrzałam ogromne zwoje płótna we wszystkich możliwych kolorach, które – jak wyjaśnił Armstrong – dostarczyła Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska z siedzibą w Londynie. Widziałam także noże, szable, żelazne garnki i kociołki, szale, spodnie i sukienki.

Kiedy wzeszło słońce, do magazynu zaczęli ścigać afrykańscy handlarze niewolników. Uścisnęli dłoń Armstrongowi i zajęli się oglądaniem próbek towarów, które mogliby przyjąć w zamian za niewolników. Ujrzałam członków plemienia Fulbe w białych szatach i nakryciach głowy, mężczyzn Temne we własnych strojach oraz handlarzy Maninka z głębi lądu. Słyszałam języki temne, arabski, fulfulde, maninka, angielski oraz całe mnóstwo innych, których nie znałam.

Armstrong zaczął negocjować z głównym handlarzem z plemienia Fulbe, który zwał się Alassane. Mężczyzna mówił w temne do pomocnika, który tłumaczył Armstrongowi jego słowa na angielski. Alassane za każdego zdrowego dorosłego mężczyznę żądał dwudziestu sztabek żelaza, jednej beczki rumu, jednego zwoju płótna, sześciu strzelb, dwóch pudeł śrutu, dwóch żelaznych kotłów i dwóch szabli. Armstrong zaproponował mu połowę tego, czego żądał. W końcu doszli do porozumienia, spotykając się mniej więcej w połowie drogi. Ustalili, że zdrowa kobieta zostanie sprzedana za połowę wartości mężczyzny, a zdrowe dziecko za jej ćwierć. Kiedy mężczyźni wdali się w niekończące się dyskusje na temat względnej wartości kości słoniowej, drzewa sandałowego, rumu i broni, przestałam słuchać szczegółów i zastanawiałam się, czy i mnie sprzedano kiedyś za te same towary. Byłabym warta pięć sztabek żelaza, ćwierć beczki rumu, jedną lub dwie strzelby oraz ułamek wartości pozostałych dóbr. Porywając mnie na ścieżce obok Bayo, napastnicy z pewnością policzyli, ile na mnie zarobią. Może dla nich byłam warta kilka królików

i kożę. Kiedy po raz pierwszy sprzedano mnie w Karolinie Południowej jako wybrakowaną niewolnicę, byłam warta najwyżej funta lub dwa. Zapewne miałam szczęście, że w ogóle zostałam sprzedana, bo w przeciwnym razie pewnie by mnie zabito. Kiedy sprzedano mnie po raz ostatni, Solomon Lindo wycenił mnie na sześćdziesiąt funtów. Kto był odpowiedzialny za to zło? Od kogo to wszystko się zaczęło? Czy jeśli kiedykolwiek wrócę do Bayo, mieszkańcom wioski wciąż będzie groziło to, że zostaną wycenieni i porwani? Czy mieszkańcy mojej wioski wciąż trzymają *woloso* – niewolników w drugim pokoleniu – tak jak robiliśmy to, gdy byłam dzieckiem? Miałam wrażenie, że handel ludźmi będzie trwał tak długo, jak długo będą istnieć osoby roszczące sobie prawo do tego, by kupować innych na własność.

William Armstrong wykrzykiwał moje imię. Kilkoro ludzi patrzyło w moją stronę. Być może wołał mnie już od dłuższej chwili. Powiedział, że nadszedł czas, bym wystąpiła naprzód i zwróciła się do Alassane'a.

Słyszałam, jak Alassane przemawia do swoich towarzyszy w fulfulde, języku mojego ojca, ale nie chciałam, by wiedział, że także w nim mówię. Przemówiłam więc w temne. Powiedziałam, że chcę wędrować w głąb lądu do wioski Bayo oddalonej o trzy obroty księżyca pieszej wędrówki na północny wschód od tego miejsca, położonej niedaleko Ségou nad rzeką Jolibą.

Wysoki Fulanin uniósł brwi i powiedział:

- Nie handluję z kobietami.
- Jeśli zabierzesz mnie w głąb lądu, dostaniesz beczkę rumu – rzuciłam.
- Tysiąc beczek rumu – odparł.
- Jedną beczkę rumu bez kropli wody – oznajmiłam.
- Negocjujesz jak mężczyzna – powiedział. – Jeszcze się spotkamy.
- Kiedy? – zapytałam.
- Kiedy przybędę tu następnym razem.
- Kiedy to będzie?

Alassane się uśmiechnął.

– Powrócę, kiedy powrócę. Wszyscy mnie tu znają. Jestem Alassane, wielki handlarz Fula.

Nie ufałam temu wielkiemu handlarzowi Fula. Ale był moją jedyną nadzieją.

*

Dopiero po trzech tygodniach udało mi się porozmawiać z Johnem Clarksonem. Opuścił Freetown, żeby negocjować z królem Jimmym roszczenia dotyczące gruntów, ale kiedy powrócił do kolonii, odwiedził mnie w moim domu. zaproponowałam mu gorący napój. Odparł, że lubi mnie odwiedzać w miejscu zamieszkania, odkąd w Birchtown poczęstowałam go imbirowo-miętową herbatą.

– Tylko odwiedziny u ciebie potrafią odwrócić moje myśli od pracowników kompanii. Usiedliśmy na krzesłach.

– Za dwa tygodnie wracam do Anglii – oznajmił.

Prawie upuściłam filiżankę i spodek.

– Osadnicy będą załamani – powiedziałam. – Jest pan jedynym członkiem kompanii, któremu ufają.

– Czas, żebym wrócił do domu. Nie chcę, by moja narzeczona dłużej na mnie czekała.

Rozumiałam to. Ja również przemierzyłabym morza, by być z mężem – lub poprosiłabym go o to, by mnie odnalazł.

– Mam pewną propozycję – zaczął Clarkson. – Jedź ze mną do Anglii. Zorganizuję ci podróż.

Jako niewolnica w Karolinie Południowej często marzyłam o tym, by popłynąć do Anglii, ale tylko po to, by stamtąd dostać się do Afryki.

– Miałabym opuścić kolonię? – zapytałam.

– Tak.

– Na jak długo?

– Na zawsze – odparł. – Lub na tak długo, jak będziesz chciała.

– Dlaczego miałabym chcieć opuścić Afrykę teraz, kiedy w końcu dotarłam do domu?

– Jesteś nam potrzebna, Meeno. Jesteś potrzebna ruchowi abolicjonistycznemu. Potrzebujemy twojej opowieści i twojego głosu.

Wydawało mi się niezrozumiałe, że jacyś ludzie mogą mnie potrzebować w miejscu, którego nigdy nie widziałam. Zapytałam, co ma na myśli.

– Mojemu bratu Thomasowi i grupie podobnie myślących mężczyzn, anglikanów i kwakrów, prawie udało się przekonać parlament do porzucenia tej barbarzyńskiej praktyki.

– Falconbridge wspominał mi, że jacyś mężczyźni próbowali znieść niewolnictwo – powiedziałam.

– Nie niewolnictwo. Handel niewolnikami. To wielka różnica. Mówiąc o handlu, mam na myśli kupowanie niewolników na afrykańskim wybrzeżu, transportowanie ich przez ocean i sprzedawanie w Amerykach. To nie wszystko, co możemy zrobić. To tylko pierwszy krok. Owszem, niewolnictwo wciąż by istniało, ale już nigdy żaden mężczyzna, żadna kobieta i żadne dziecko nie znaleźliby się na statku niewolniczym.

– W jaki sposób miałabym wspomóc wasz cel w Anglii?

– Powiedziałem, że abolicjonistom prawie się udało, Meeno, ale nie odnieśli zwycięstwa. Zawsze czegoś im brakowało. Ale ty ocalałaś w niewoli i możesz opowiedzieć Brytyjczykom o tym, przez co przeszłaś. Twój głos poruszy tysiące ludzi. A kiedy członkowie parlamentu zasiądą do obrad, to, co powiesz, może ich przekonać.

Byłam wzruszona, że Clarkson wyciąga do mnie rękę, ale trudno mi było sobie wyobrazić, bym mogła wpłynąć na to, co myśli angielskie społeczeństwo. Na palcach jednej ręki potrafiłam zliczyć białych ludzi, na których do tej pory wywarłam jakikolwiek wpływ.

– Poruczniku – zaczęłam.

– Możesz mi mówić John.

Jeszcze żaden biały nie zaproponował mi czegoś takiego. A z tego, co widziałam, biali mężczyźni i do siebie nawzajem zwracali się, używając tytułów takich jak „pan” czy „kapitan”.

– Panie Clarkson – powiedziałam.

Posłał mi uśmiech.

– John. – Odważyłam się. – Musisz zrozumieć, że mam własne plany. Ostatnio odbyłam z panem Falconbridge’em podróż na wyspę Bance.

– Tak? Z jakiegoż to powodu?

– Aby znaleźć Afrykanina, który zabierze mnie w głąb lądu.

– Handlarza? Handlarza niewolników? – Clarkson zerwał się z krzesła. – Chyba nie mówisz poważnie! – zaczął krzyczeć. – To mężczyźni pracujący dla handlarzy niewolników zabili Thomasa Petersa! I ci sami bandyci wykradli cię rodzicom! Nie rób głupstw i nawet o tym nie myśl! Nie zapominaj, z kim się zadajesz!

– To samo powiedział Armstrong – odparłam.

– Jak na handlarza niewolników William Armstrong jest uczciwym człowiekiem – skwitował Clarkson. – Jeśli powiedział ci, że to niebezpieczne, to na twoim miejscu bym mu uwierzył.

– Moim życiem nie rządzi bezpieczeństwo – odparłam. – W przeciwnym razie nie uciekłabym od swojego właściciela w Nowym Jorku. Nie przeniosłabym się do Nowej Szkocji, gdzie nie miałam przyjaciół, ziemi, domu ani pracy, i to w grudniu. A już na pewno nie dołączyłabym do twojej misji we Freetown.

Clarkson znów usiadł, uśmiechał się i kręcił głową.

– Czy wizja niebezpieczeństwa powstrzymała cię od wstąpienia do marynarki? – zapytałam. – Czy taka wizja powstrzymałaby cię od zrobienia wszystkiego, co w twojej mocy, by powrócić do bliskich ci osób?

Clarkson potarł dłonie i spojrzał mi w oczy.

– Cóż, Meeno, nikt nie zna twoich myśli lepiej od ciebie. Byłaś mi nieopisanie pomocna. Więc jeśli teraz ja mogę ci pomóc, chciałbym to zrobić.

Powiedziałam mu, że zaproponowałam handlarzowi niewolników beczkę rumu, ale on z pewnością zażąda czegoś więcej. Clarkson odparł, że dysponuje pewną kwotą i że zdobędzie dla mnie trzy beczki rumu. Oznajmił, że chce mi je podarować w prezencie za

długą i dobrą służbę. Dodał, że ma nadzieję, iż ten rum pozwoli mi powrócić do domu.

– Pamiętaj tylko, by jak najdłużej podtrzymywać ofertę jednej beczki – pouczył. – W końcu na pewno zażąda wyższej ceny. Afrykanie to utalentowani handlarze.

– Poruczniku, niech pan nie zapomina, że rozmawia pan z Afrykanką.

Uśmiechnął się i uścisnął mi dłoń.

– Życzę ci brytyjskiego szczęścia – powiedział. – A jeśli kiedykolwiek powrócisz ze swojej misji, może rozważysz wyjazd do Anglii?

– Jeżeli dotrę do domu, zamierzam tam zostać – oznajmiłam.

Jeśli Bóg pozwoli

We wrześniu 1800 roku, zaledwie miesiąc po tym, jak ustały tornada i huragany nawiedzające wybrzeże w porze deszczowej, przygotowałam się do długiej podróży w głąb lądu. Wzięłam ze sobą twardy bukłak z koźlęcego pęcherza, na tyle duży, by pomieścić kwartę wody, i włożyłam go do nieco większej sakwy ze skóry antylopy, którą powiesiłam sobie na szyi. Wiedziałam, że dzięki temu, ilekroć napotkam źródło wody pitnej, będę mogła napełnić bukłak. Do drugiej skórzanej sakwy włożyłam matę do spania, wygodne skórzane sandały, jedną zmianę ubrań i dziesięć różnobarwnych jedwabnych szali z Indii, które kupiłam w sklepie należącym do Sierra Leone Company. Spodziewałam się, że od czasu do czasu będę musiała z którymś się rozstać, by opłacić jakąś przysługę. Zabrałam sakiewkę kory chinowca, którą mogłabym zagotować, gdybym natknęła się na kogoś trawionego gorączką, a także liście rośliny zwanej w języku temne *tooma*. Kiedy się ją sproszkowało, zagotowało i zmieszało z sokiem z limonki, służyła jako lekarstwo na rzeżączkę. Mikstura z pewnością podniosłaby moją wartość w oczach cierpiącego na tę chorobę mężczyzny, który mógł mi towarzyszyć przez część drogi. Nie wiedziałam, jaką wartość mają monety w głębi lądu, ale na wszelki wypadek wzięłam ze sobą pięć złotych gwinei. Stwierdziłam, że nie są ciężkie i łatwo je nieść, a może się zdarzyć, że gdy będę musiała za coś zapłacić, mój kontrahent zgodzi się przyjąć gwineę. Wetknęłam monety między ubrania w torbie, żeby nie brzęczały, uderzając o siebie podczas mojej wędrówki.

Miałam nadzieję, że wyruszę w głąb lądu w ciągu sześciu miesięcy od pierwszej wizyty na wyspie Bance, ale oczekiwanie trwało sześć długich lat. W tym czasie kolonia została zaatakowana przez francuskie okręty wojenne, a kompania sprowadziła kolejną falę Negrów – setki Jamajczyków przyplłynęły z Halifaksu, w samą porę, by stłumić zbrojne powstanie niezadowolonych osadników z Nowej Szkocji, którzy wciąż nie mieli ziemi ani czegokolwiek do powiedzenia w sprawach kolonii. A jednak jakimś cudem Freetown dalej funkcjonowało i przyciągało rosnącą liczbę Afrykanów – z plemienia Temne i innych – którzy osiedlili się na obrzeżach, znaleźli pracę w mieście, a w końcu sami zaczęli się przenosić do miasta. Mieszkańców Freetown pochodzących z Nowej Szkocji nigdy nie porwano i nie wzięto do niewoli, ale przez lata kilku więźniów zdołało uciec porywaczom i wydostać się z łodzi, a następnie schronić wśród nas.

Handlarz Fula zwany Alassane zjawiał się na wyspie Bance tylko raz na rok lub dwa lata, a ja przez cały ten czas musiałam z nim negocjować, dopóki za cenę trzech beczek rumu nie zgodził się mnie zabrać do Ségou – miasta nad Jolibą, które leżało w odległości zaledwie kilku dni pieszej wędrówki od Bayo.

Wsiadłam do małej szalupy przygotowanej przez gubernatora kompanii, żegnana przez niego i grupę moich przyjaciół. W podróży na drugą stronę zatoki i w górę rzeki na wyspę towarzyszyli mi Debra, jej córka Caroline, Ojczulek Moses, Anna Maria i Alexander Falconbridge'owie.

– Czy jeśli zaproponowałabym, że co tydzień podaruję ci nową książkę i brytyjską gazetę, zdołałabym cię przekonać, byś porzuciła ten pomysł? – zwróciła się do mnie Anna Maria na szalupie.

– Nie – odparłam z uśmiechem.

– Niezależnie od tego, co znajdziesz – oznajmiła – nie spodziewaj się napotkać cywilizacji na miarę angielskiej.

– Gdybym szukała Anglii, wyjechałabym z Johnem Clarksonem – odparłam. – Szukam swoich ludzi. Swojego domu.

Debra otoczyła mnie ramieniem, podobnie jak Caroline, która miała już siedem lat i której widok co dnia przypominał mi o własnych utraconych dzieciach. Zastanawiałam się, czy May wciąż żyje i jaki ma uśmiech. Oddałabym życie, przyszłość, a nawet tę podróż do domu, by ją przytulić, by ujrzeć jej twarz. Ale teraz było to niemożliwe. Istniało tylko jedno miejsce, do którego mogłam wyruszyć.

Ojczulek Moses uściskał mnie, zanim wsiadłam na szalupę.

– Nie zostało mi wiele czasu na tym świecie, Meeno. Życzę ci szczęśliwego powrotu do domu. Ja także niedługo do niego wyruszę. Myślę jednak, że moja podróż będzie obfitowała w mniej przygód niż twoja.

– Pomódl się za mnie – poprosiłam.

Kiedy wysiadłam z łodzi, Caroline w imieniu wszystkich moich przyjaciół podarowała mi słomkowy kapelusz z niebieskim pawim piórkem sterczącym w kierunku nieba. Roześmialiśmy się. Wszyscy znali moją słabość do kapeluszy i chust.

– Niech twoja godność pozostanie nienaruszona w czasie podróży lądem – powiedziała Debra.

Caroline kazała mi się schylić, żeby mogła mi coś wyszeptać do ucha.

– W tylnej części kapelusza mama i ja zaszyliśmy pięć złotych gwinei. W razie gdybyś ich potrzebowała.

Wyszłam z szalupy i machałam im, dopóki nie zniknęli mi sprzed oczu. Byłam pewna, że już nigdy ich nie zobaczę, i przez chwilę wspominałam wszystkich ludzi, których opuściłam w czasie swoich wędrówek, zarówno tych wymuszonych, jak i dobrowolnych. Następnie ruszyłam w głąb wyspy niewolników, na którą trafiłam czterdzieści trzy lata wcześniej.

Alassane przybył z dziesięcioma łodziami i pięćdziesięcioma niewolnikami. Wyładował więźniów, odbył negocjacje z Armstrongiem i wypił z nim herbatę, po czym

mężczyźni uściskali sobie dłonie. Alassane stanął przede mną.

– Wyruszamy – oznajmił w temne.

– A ja wracam do domu, jeśli Bóg pozwoli – powiedziałam.

– *Al-hamdi di-laj* – oświadczył. Jeśli Bóg pozwoli.

Ścisnęło mnie w żołądku i ogarnął mnie nagły żal, że nie jestem młodsza o dwadzieścia lat. Alassane wskazał, bym usiadła z nim w canoe na czele kolumny. Wioślarze przewieźli nas w górę rzeki, obok dwóch przedsiębiorstw niewolniczych służących jako placówki wyspy Bance. W dziesięciu łodziach było po ośmiu wioślarzy i sterniku. Na całą grupę przypadła bębniarz oraz przewodnik, który naradzał się z Alassane'em. Przed zapadnięciem nocy z łodzi wyładowano rum, broń, śrut, sztabki żelaza, płótno i indyjski jedwab. Ludzie Alassane'a przekazali moją zapłatę w rumie lokalnemu wodzowi, który powitał nas na wybrzeżu. Alassane i wódz rozpoczęli negocjacje dotyczące rumu i zdawali się zadowoleni z ich rezultatu. Rum, który Alassane otrzymał na wyspie Bance, znajdował się w zbiornikach o mniejszej pojemności – baryłki o płaskim dnie można było utrzymać na głowie. Dwudziestu wioślarzy zajęło się noszeniem rumu, nakrywszy uprzednio głowy grubymi tkanymi matami, na których nieśli baryłki. Broń, śrut, jedwab i inne dobra powiązane razem albo zawinięto w ogromne liście, a dwudziestu innych wioślarzy nosiło je na głowach.

Alassane był wysokim, chudym, poważnym mężczyzną. Podobnie jak w moim przypadku trudno było stwierdzić, ile ma lat. Gdyby był młodym człowiekiem około dwudziestki, miałabym pewne wątpliwości co do jego uczciwości. Ale był starszy – mógł mieć mniej więcej czterdzieści lat. Liczyłam, że dość w życiu przeżył, by dotrzymać obietnic.

Alassane nosił luźną koszulę kończącą się poniżej talii, cienką ciasną czapkę na głowie oraz workowate spodnie z białego indyjskiego jedwabiu. Kiedy przystępował do handlowania lub spotykał się z dostojnikami, wkładał sandały, ale przez resztę czasu chodził boso. Podeszwy jego stóp były pomarańczowe, brudne, miejscami popękane i twarde jak wyprawiona skóra.

Prowadził pochód na północny wschód przez zalesione wzgórza, a na jego czele umieścił zwiadowców i myśliwych, którzy mieli się rozprawiać z węzami, lampartami i innymi plemionami. Otaczało go pięciu mężczyzn – trzech z przodu i dwóch z tyłu – którzy także byli uzbrojeni.

Oprócz pochwy z nożem u biodra i przewieszanej przez ramię skórzanej sakwy z Koranem Alassane niczego nie niósł. Dał mi znać, żebym ruszyła za dwoma uzbrojonymi mężczyznami, którzy szli za nim, więc stałam się ostatnią osobą w grupie podróżników, ustawiona zaraz przed kolumną osiemdziesięciu tragarzy. Oni także byli uzbrojeni w noże i szable, a niektórzy z nich nieśli strzelby.

Pierwszego dnia Alassane nie dał mi szansy, bym mogła z nim porozmawiać. Od czasu do czasu gawędził z otaczającymi go mężczyznami, a w którymś momencie usłyszałam, jak mówi coś o mnie w języku fulfulde do jednego z towarzyszy.

– Chce wrócić do swojej wioski – oznajmił pomocnikowi. – Twierdzi, że to obok Ségou.

Umknął mi fragment ich konwersacji, a potem znów ją usłyszałam.

– Głupia? – kontynuował Alassane. – Nie. Jest bystra. Liczy, rozumuje i dyskutuje jak mężczyzna. Bądź ostrożny. Mówi w temne, bamana i po angielsku.

Nie powiedziałam Alassane’owi, że mówię też w fulfulde, i nie miałam takiego zamiaru.

Dwie godziny przed zapadnięciem nocy pochód zszedł z przetartej drogi, którą pięliśmy się w pagórkowatej krainie, i rozbiliśmy kolisty obóz. Sześciu mężczyzn – trzech z batami i laskami, trzech z szablami – młóciło trawę, żeby wypłoszyć węże. Wybuchli radością, kiedy z zarośli wyslizgnął się długi wąż, wijąc się i sycząc przez kilka sekund, zanim szabla odcięła mu głowę. Ośmiu ludzi ruszyło na poszukiwanie drewna na opał, a po chwili wrócili z naręczami chrustu i rozpalili ogniska.

Z lasu mieszkańcy wioski wyprowadzili dla Alassane’a kozę. Mężczyzna ją obejrzał, po czym zwierzę przytrzymał i podciął mu tętnicę szyjną, upuszczając krew, a następnie obdarto je ze skóry i oporzędzono. Nigdy dotąd nie widziałam, by tak szybko przyrządzono posiłek ze zwierzęcia – ludzie Alassane’a byli doświadczonymi rzeźnikami i kucharzami. Mieszkańcy wioski przynieśli mango, pomarańcze, mąkę z prosa, cebule, papryki chili i żelazne kotły. Naczynia w pomysłowy sposób zawieszono na kwadratowych żelaznych kratkach skonstruowanych jak stoły z mocnymi nogami, które znajdowały się nad ogniem. W każdym z garnków przez godzinę bulgotała potrawka. Patrzyłam, jak jeden z pomocników Alassane’a nadzoruje przelewanie około jednej trzeciej zawartości baryłki rumu do wielkiej tykwy przyniesionej przez wodza wioski. Zapewne była to zapłata za jedzenie i prawo przejścia przez jego teren.

Przed jedzeniem mniej więcej połowa mężczyzn – Alassane i wszyscy ludzie z jego kolumny podróżników – uklękła na ziemi, zwracając się na wschód, i zaczęła się modlić. Wielu tragarzy nie dołączyło do modłów, ale w tym czasie zachowywało milczenie.

Ostatni raz grupę modlących się Fulan widziałam w swojej wiosce Bayo. Poczułam obrzydzenie na myśl, że ludzie, którzy wyznają tę samą religię co mój ojciec, zbili majątek na handlu niewolnikami. Przez jakiś czas zastanawiałam się, jak ktoś, kto uważa się za dobrego muzułmanina, może traktować innych w taki sposób, ale uświadomiłam sobie, że to samo robią chrześcijanie i żydzi.

Podczas gdy Alassane i jego ludzie się modlili, nie miałam nic do roboty, więc wdrapałam się na drzewo, usiadłam na gałęzi, wyciągnęłam książkę, którą ze sobą

zabrałam – opowieść Olaudah Equiano o własnym życiu – i przez jakiś czas czytałam. Tuż przed posiłkiem Alassane podszedł do drzewa, a ja ześlizgnęłam się na ziemię i stanęłam przed nim.

– Idź tam – powiedział.

Jego ludzie przygotowali mały płócienny namiot w kształcie piramidy. W środku rozłożyli karimatę do spania, a za nią matę do jedzenia.

– Tam będziesz jadła. I spała. Tak będzie co noc.

Nie podobało mi się, że Alassane mi rozkazywał. Zastanawiałam się, czy kiedy wrócę do domu, mężczyźni będą próbowali mówić do mnie w ten sposób, i czy te wszystkie lata nabierania samodzielności sprawiły, że nie będę się nadawać do życia w Bayo.

Tego wieczoru zjadłam posiłek w samotności – działo się tak za każdym razem, kiedy rozbijaliśmy obozowisko. Mężczyźni siadali dookoła kotłów w dziesięcioosobowych grupach, a mnie przynoszono obfitą porcję jedzenia. Był to mój jedyny posiłek, choć kiedy dzieci i kobiety z wiosek zносиły na głowach tace z owocami, otrzymywałam swój przydział pomarańczy i ananasów. Znajdowaliśmy się w gęstym lesie i cieszyłam się, że podążam za pierwszymi dziesięcioma mężczyznami w pochodzie, ze względu na węże i gryzone, które uciekały przed nami ze ścieżek. Wspinaliśmy się w kierunku gór i choć po drodze mijaliśmy wiele grup, Alassane i jego ludzie rzadko się zatrzymywali, by z nimi porozmawiać.

Gdy za pierwszym razem minęliśmy kolumnę niewolników, naliczyłam czterdziestu ośmiu więźniów. Mężczyźni mieli jarzma na szyjach i kajdany na nogach. Kobiety i dzieci szły wolno, ale na głowach niosły ładunki jedzenia i soli. Mężczyźni dźwigali kość słoniową, drzewo sandałowe, rzeźby z hebanu i bukłaki z wodą. Rzadko się zdarzało, bym widziała więźnia, który nie musiał dźwigać na ramionach albo na głowie ciężkiego ładunku. Niektórzy mieli spuszczone martwe oczy. Inni wciąż się rozglądali z nadzieją, że zdołają uciec. Nie potrafiłam odwrócić od nich wzroku i wciąż się zastanawiałam, ile żon, mężów, dzieci i rodziców stracili w tym miarowym marszu w stronę morza. Choć teraz byli przerażeni, wiedziałam, że ich napięcie przerodzi się w histerię, utratę mowy, a w niektórych przypadkach szaleństwo, kiedy zostaną wciśnięci na statki niewolnicze jak ryby do wiadra, zaciągnięci na drugą stronę oceanu i – jeśli przeżyją – sprzedani na aukcjach. Jako dziecko myślałam, że żaden porządny dorosły człowiek nie pozwoli kolumnie niewolników iść dalej. Teraz jednak stałam w miejscu, milcząca i niezdolna do jakiegokolwiek działania. Nie miałam jak pocieszyć mężczyzn, kobiet czy dzieci, którzy mijali mnie w drodze do morza, i nie mogłam nic zrobić, kiedy ocieraliśmy się ramionami na wąskich ścieżkach.

Nie odważyłam się przemówić w fulfulde do porywaczy ani więźniów. Nie chciałam, by Alassane wiedział, że rozumiem jego język. Handlarz szedł pewnie i szybko. Moje nogi

były obolałe, a na stopach miałam kilka ran, ale przez pierwsze dziesięć dni szłam bez przeszkód, nawet kiedy wspinaliśmy się na wzgórze.

Przez te długie dni wędrówki miałam czas na rozmyślanie. Zastanawiałam się, co będę robić po powrocie do domu. Przez ponad czterdzieści lat marzyłam o Bayo, ale nie myślałam o tym, czym będę się tam zajmować. Teraz zaczęłam się zastanawiać, kto mnie powita w wiosce i czy wszyscy będą pamiętać moje imię lub imiona moich rodziców. Być może mieszkańcy Bayo okażą mi szacunek, ponieważ powróciłam do domu, by opowiedzieć im o życiu wśród toubabów. Z pewnością będę pierwszą osobą, która podzieli się z nimi taką opowieścią. Zdałam sobie sprawę, że już nie myślę o rzeczach, które będę robić, ale raczej o miejscu, w którym chcę się znaleźć. Marzyłam tylko o tym, by powrócić tam, gdzie zaczęło się moje życie.

Za dnia co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, żeby tragarze mogli odpocząć i napić się wody, a muzułmanie odprawić modły. Któregoś dnia po odpoczynku i modlitwach, kiedy kontynuowaliśmy naszą wędrówkę na północny wschód, Alassane dał mi znać, żebym szła obok niego.

– Modlisz się do Allaha? – zapytał.

– Nie – odparłam. Nie chciałam, by wiedział, że kiedyś byłam muzułmanką, ponieważ bałam się, że mnie osądzi, a nawet ukarze za to, że porzuciłam wiarę. W głębi duszy nie czułam, że naprawdę porzuciłam wierzenia ojca: po prostu przyzwyczaiałam się do tego, że tkwią one cicho w głębi mojego serca.

– W ogóle się nie modlisz?

– Mam własne modlitwy.

– Do kogo się modlisz?

Chciałam podkreślić swój związek z Anglikami na wyspie Bance, więc odparłam:

– Modlę się do Boga, którego odkryłam wśród toubabów.

– Wędrujesz z mężczyznami od dwunastu dni – powiedział. – Nie jesteś zmęczona?

– Moje nogi bywają ciężkie – odparłam. – Ale chcę wrócić do domu.

– Do domu. Do Ségou nad rzeką.

– Bayo – poprawiłam go. – Obok Ségou nad rzeką.

– Jak duże jest Bayo?

– Kiedy ostatni raz tam byłam, mieszkało w nim dwadzieścia rodzin.

– Mówisz, że to twój dom i że kiedyś tam mieszkałaś?

– Tak.

– W takim razie dlaczego nie wiesz, gdzie leży?

Nie chciałam opowiadać mu o tym, jak mnie porwano, więc milczałam.

– Stara kobieta nie powinna tak daleko wędrować. Gdzie twój mąż? Gdzie twoje dzieci? I wnuki?

Pomyślałam, że to, iż nie mam rodziny, byłoby dla niego niepojęte.

– Czekają na mnie w Bayo – odparłam.

Zaśmiał się. Ogarnął mnie niepokój. Nie uwierzył mi.

– Możesz już wrócić – rozkazał.

Zajęłam swoje miejsce w kolumnie tuż za dwoma strażnikami, którzy szli za Alassane'em, ale przed jego tragarzami. Żałowałam, że w tym pochodzie nie ma żadnej kobiety, podobnie jak dawno temu, w czasie podróży na wybrzeże, marzyłam o tym, by towarzyszyły mi dzieci.

Piętnastego dnia naszej wędrówki na północ zaczęły mnie boleć kości, a moja skóra zrobiła się zimna. Gdy z trudem próbowałam nadążyć za grupą, wydawało mi się, że z przodu na ścieżce widzę ojca, który wyciąga ku mnie ramiona na powitanie. Zobaczyłam też Fombę obdzierającego ze skóry króliki i kozy dla mieszkańców Bayo. Wiedziałam, że ich tam nie ma, a jednak ich widziałam.

Szesnastego dnia ledwie mogłam poruszać nogami. Weszliśmy w góry, zeszliśmy po drugiej stronie i znaleźliśmy się na słabiej zalesionym terenie, gdzie więcej było traw i otwartej przestrzeni, a mniej drzew. To miejsce bardziej przypominało ziemię, z której pochodziłam, pamiętałam jednak, że jako dziecko w nieskończoność szłam przez ten teren, zanim dotarłam do gór. Dwie godziny po rozpoczęciu porannej wędrówki upadłam. Usłyszałam krzyki i tupot stóp. Ktoś zaniósł mnie pod drzewo i próbował wlać mi wodę do otwartych ust, przez co zaczęłam się dławić. Następnie wniesiono mnie do namiotu. Kiedy w nim leżałam, dobiegł mnie gniewny głos dyskutującego z kimś zawzięcie Alassane'a. Dałam jakiemuś mężczyźnie korę chinowca, żeby zrobił mi z niej napar.

Następnego dnia znów mogłam chodzić. Czuję się tak, jakby połowa siły odpłynęła mi z nóg, i z wdzięcznością myślałam o tym, że nie muszę dźwigać na głowie żadnego ciężaru. Widziałam, że Alassane przygląda mi się, szukając oznak słabości, ale moje nogi stopniowo odzyskały siłę, a zawartość żołądka i trzewi się ułożyła. Pamiętałam, że jako dziecko dziwiłam się, kiedy starsi więźniowie nie nadążali za pochodem, i myślałam wtedy, że gdyby tylko przyspieszyli, ominęłoby ich sporo kłopotów. Ale teraz, gdy miałam o wiele mniej sił niż dawniej, z podziwem myślałam o tych słabych ludziach – ciężarnych kobietach i starcach – którzy przeżyli długą wędrówkę na wybrzeże. Większość osób, które spotkałam w koloniach – wszyscy ci, których nie porwano z Afryki – wyobrażała sobie, że więźniów zabierano z wybrzeży. Znów pomyślałam o pokrywających mapy Afryki rysunkami słoni i lwów. Nie mieli pojęcia o tym, kim jesteśmy, jak żyjemy ani ile wysiłku kosztowało nas samo dotarcie do kolonii.

Dwudziestego pierwszego dnia podróży zapytałam Alassane'a, jak bardzo zbliżyliśmy się do Ségou.

– To bardzo daleko – odparł tylko.

Po kolejnych dziesięciu dniach wędrówki obudziły mnie w nocy głosy rozmawiających i kłócących się mężczyzn. Alassane i jego doradcy siedzieli przy pobliskim ognisku. Ja leżałam nieruchomo w namiocie.

– Śpi – powiedział w temne jeden z mężczyzn.

– Na wszelki wypadek mów w fulfulde – polecił Alassane.

– Była głupia jak osioł, że wybrała się z nami w tę podróż, a teraz spowalnia pochód – powiedział jakiś mężczyzna.

– Nie jest głupia, ale jest kobietą.

Głos zabrał Alassane:

– Cisza.

Usłyszałam, jak mówi, że za dwa dni dotrzemy do wioski Kassam, gdzie sprzedaje się niewolników. Na południe stamtąd biegła droga na wybrzeże oddalone wiele mil na wschód od wyspy Bance.

– Kiedy tam dojdziemy – powiedział Alassane – sprzedam tę kobietę.

– Jakiej ceny zażądasz?

– To bez znaczenia. Zobaczymy. Może pięciu beli płótna. Jest stara, ale zna wiele języków, a toubabowie na Bance mówili, że z łatwością łapie dzieci. Musimy ją sprzedać teraz, kiedy jest jeszcze zdrowa. Wkrótce zrobi się gorąco, a ona się rozchoruje i wtedy nikt jej nie kupi.

Na początku nie wierzyłam własnym uszom. Byłam pewna, że Alassane dotrzyma złożonych mi obietnic. Na pewno nie zapomniiał, że przyjął ode mnie trzy beczki rumu.

Mężczyźni wybuchli śmiechem, a Alassane się do nich przyłączył. To było niewiarygodne. Moje ramiona pokryła gęsia skórka. Nie chciałam żyć, jeśli te wszystkie lata tęsknoty za wolnością i ojczyzną miały się skończyć jarzmem na szyi i kajdanami na kostkach, które znałam z dzieciństwa, kiedy mnie porwano.

Zasłoniłam usta dłonią, żeby uspokoić się ciepłem własnego oddechu, ale także po to, by powstrzymać krzyk, który mógłby się z nich wyrwać.

A jednak porywacze zamierzali mnie sprzedać.

W tamtej chwili zrozumiałam, że nigdy nie powrócę do domu, i zaczęłam planować ucieczkę.

Przez cały następny dzień, kiedy wędrowaliśmy na północny wschód, ssałam bryłkę soli i piłam tak często, jak mogłam. Próbowałam zapamiętać każde mijane skupisko domów i każdą widzianą w oddali wioskę. Przyglądałam się wszystkim ludziom, na których natknęliśmy się na drodze – a wciąż spotykaliśmy mieszkańców okolicznych wiosek, myśliwych albo handlarzy niewolników idących z kolumną więźniów – i nadstawiałam uszu, by sprawdzić, czy rozumiem ich język, i spróbować ustalić, czy są przyjaźni, lub zorientować się, czy mieszkają nieopodal.

W kościach znów czułam dreszcze. Gorączka powróciła. W przerwie na wodę wślizgnęłam się do lasu, a kiedy przykucnęłam, żeby opróżnić jelita, poczułam, jak wypływa ze mnie połowa ciała. Byłam jednak skoncentrowana na tym, co muszę zrobić. Z trudem starałam się nie okazać dyskomfortu i modliłam się, by szybko nadeszło późne popołudnie. Jak zawsze na dwie godziny przed zachodem słońca pochód Alassane'a zatrzymał się i rozbił obozowisko, a ja spożyłam posiłek. Nie wiedziałam, kiedy znów uda mi się coś zjeść. To, czego nie mogłam w sobie wmusić, zakopałam za namiotem, żeby nikt nie mógł donieść Alassane'owi, że nie zjadłam całej porcji.

Kiedy zapadła noc, a mężczyźni zasnęli, zebrałam swoje rzeczy – bukłak na wodę, który napełniłam przed zapadnięciem zmroku, suszoną korę na gorączkę, a także skórzaną torbę z chustami i monetami – i wślizgnęłam się pomiędzy drzewa z tyłu namiotu.

Przez milę lub dwie szłam na południowy zachód, kierując się z powrotem drogą przemierzaną przez nas tego dnia. Kiedy dotarłam do jeziora, które widzieliśmy po południu, wślizgnęłam się do wody i szłam bosą po kamienistym dnie tak długo, jak długo mogłam wytrzymać. Wędrowałam teraz na północny zachód – wiedziałam, że mężczyźni, próbując mnie schwytać, zawrócą z drogi i skierują się na południowy zachód. Będą chcieli wytropić moje ślady i przeszukać lasy położone przy drodze. Czułam, że szybciej mnie wytropią, niż zdołam się ukryć. Nie mogłam ich pokonać w grze, którą znali najlepiej – mogłam jedynie całkowicie ich przechytryć.

Przez noc dotarłam tak daleko, jak zdołałam, często przystając, by się wypróżnić. Za każdym razem piłam wodę, ssałam bryłkę soli i szłam dalej. W końcu prawie o świcie natknęłam się na jaskinię i weszłam głęboko do środka. Czułam, że w tej chwili wolę spotkać dzikie zwierzę niż człowieka. Spałam przez cały dzień. Kiedy się obudziłam, zapadał zmierzch, a ja znów wyruszyłam w drogę. Przez trzy noce z trudem posuwałam się naprzód, a w ciągu dnia się ukrywałam, dopóki choroba i brak jedzenia nie pozbawiły mnie sił. Zraniłam się w stopę o ostrą gałąź, a zaczerwienienie wokół rany się zaogniało, choć tak często, jak mogłam, przemywałam je wodą ze strumieni.

Pewnego późnego popołudnia zobaczyłam mężczyznę pasącego kozy na wzgórzu. Stał bez ruchu i obserwował, jak z trudem się do niego wspinałam. Mniej więcej w połowie drogi poślizgnęłam się i upadłam, a moje ciało ogarnęło wycieńczenie, tak przewidywalne jak zachód słońca. Nie mogłam wstać. Mężczyzna podszedł do mnie z wahaniem, po drodze uderzając kijem o trawę. Przemówiłam do niego w bamana. Odpowiedział, ale go nie zrozumiałam. Próbowałam wstać, ale pasterz pokazał, żebym się nie ruszała, i przyniósł mi skórzany bukłak z wodą. Napiłam się chciwie i zwymiotowałam. Odezwałam się w temne. Nic nie odparł. Zrozumiał moje słowa, kiedy zaczęłam mówić w fulfulde:

– Pomóż mi. Ukryj mnie. Proszę, zaprowadź mnie do waszych kobiet.

Był młody i szczupły, ale na tyle silny, by z łatwością mnie unieść. Położył mnie w cieniu drzewa, podał mi bukłak z wodą i przykazał, żebym zaczekała. Powrócił z trzema mężczyznami, czterema kobietami i noszami zrobionymi z gałęzi i sznura, które wyglądały jak gdyby były przeznaczone do transportowania rannych wojowników. Mężczyźni położyli mnie na łóżku i zaczęli iść, a kobiety zajmowały się mną, pytały, kim jestem i skąd pochodzę. Wydawało mi się, że nasza wędrówka trwa wiele godzin. Za każdym razem, kiedy napotykalismy wybój, moje kości krzyczały z bólu. Gorączka wdarła się we wszystkie części ciała – szyję, plecy, kolana i kostki. Dotarliśmy do lepianek pokrytych strzechą. Poczułam ulgę, kiedy zobaczyłam, jaka wioska jest mała. Byłam pewna, że żaden handlarz nie będzie mnie tam szukał. Wniesiono mnie do zacienionego wnętrza jakiegoś domu. Spałam i piłam wodę przez kilka dni, zanim zdołałam się ruszyć z łóżka.

Kiedy stopniowo odzyskiwałam przytomność, zauważyłam małą postać, która to wchodziła do mojego pokoju, to z niego wychodziła. Zamrugalam. Wpatrywały się we mnie oczy muła. Po chwili dźwięczny głosik zbeształ zwierzę i do środka weszła mała dziewczynka z drewnianą różgą. Smagnęła je witką, a ono się wycofało. Przyniosła mi wodę. Miała około ośmiu lat.

– Jak masz na imię? – zapytałam w fulfulde.

– Aminata – odparła.

– Ja także jestem Aminata. – Wskazałam na swoją pierś i powtórzyłam imię.

Jej twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Aminata – rzuciła, wskazując na siebie i na mnie, po czym znów wypowiedziała to imię.

– Jeść – poprosiłam.

– Później. – Przez jakiś czas mi się przyglądała. – Jesteś toubabem?

– Czy wyglądam jak toubab? – zapytałam.

– Nigdy nie widziałam toubaba.

– Toubabowie są biali i różowi albo w kolorze bladej tykwy – wyjaśniłam.

– Toubabowie jedzą ludzi, tak jak my jemy kozy – stwierdziła.

– Nie ci, których znam.

– Widziałaś ich?

– Mieszkałam w ich kraju.

– Kłamiesz – odparła, po czym zachichotała i tanecznym krokiem opuściła chatę.

Znów zasnęłam, a po przebudzeniu wypić wodę, posłałam sól i zjadłam mango. Gdy lizałam i ssałam włóknistą pestkę, zastanawiając się, kiedy znów dane mi będzie coś zjeść, uświadomiłam sobie, co muszę zrobić. Skoro udało mi się uciec od Alassane'a i jego ludzi, muszę sprawić, by już nikt nigdy nie wpadł w jego ręce – ani w ręce jakiegokolwiek innego handlarza. Odkąd ostatni raz widziałam Bayo, minęła większa część mojego życia –

nie miałam pewności, czy poznałabym swoją wioskę. Czy domy wciąż były otoczone glinianym murem? Czy wódz wciąż miał cztery okrągłe chaty, po jednej dla każdej z żon? Czy wchodząc do wioski, usłyszałabym młócenie prosa i orzechów masłosza? Może wcale nie było żadnej wioski, a może Bayo przetrwało i rozrosło się dziesięciokrotnie? Nawet jeśli wioska wciąż istniała, nie mogłam mieć pewności, że ktokolwiek rozpozna moją twarz.

Niezależnie od tego, gdzie mieszkałam, od dnia, kiedy mnie porwano, nigdzie nie potrafiłam się poczuć jak w domu. Może gdybym zdołała zachować męża przy życiu i przez wiele lat mieszkać z nim i z naszymi dziećmi, szybciej osiadłabym w nowym miejscu. Ale mojej rodzinie nigdy nie udało się pozostać w gnieździe. Nie mieliśmy żadnego gniazda. Po tym, jak usłyszałam słowa Alassane'a, przestałam tęsknić za Bayo – czułam jedynie determinację, by zachować wolność. A teraz, kiedy w chatce należącej do ludzi, których nawet nie znałam, czekałam, aż wrócą mi siły, porzuciłam swoje największe pragnienie. Zrozumiałam, że już nigdy nie powrócę do domu.

Układ, jaki zawarłam z handlarzami niewolników, Falconbridge nazwał paktem z diabłem. Miał rację, mylił się jednak, mówiąc, że lepiej zawrzeć pakt z diabłem, niż nie zawierać żadnego. Powierzyłam życie mężczyźnie, który sprzedawał ludzi w taki sam sposób, jak sprzedaje się kozy. Sprzedałby mnie, tak jak sprzedał i kupił wielu innych. A ja mu w tym pomogłam. Ofiarowałam mu siebie i zapłaciłam mu za ten przywilej. Kto wie, ilu niewolników nabył za moje trzy beczki rumu. Prędzej połknęłabym truciznę, niż spędziła kolejnych dwadzieścia lat jako własność innego człowieka – Afrykanina albo toubaba. Czułam, że mogę żyć bez Bayo, ale brak wolności oznaczałoby dla mnie śmierć.

Kilka dni po tym, jak wrócił mi apetyt, mieszkańcy wioski zaprowadzili mnie do miejsca spotkań i przedstawili wodzowi innej wioski.

– Czy to prawda, że przepłynęłaś na drugą stronę oceanu w łodzi toubabów i żyłaś między nimi? – Zdawał się mówić w imieniu wszystkich zebranych.

– Tak.

– Możesz to udowodnić?

– Jak miałabym to zrobić? – zapytałam.

– Powiedz coś w języku toubabów – odparł.

Wyciągnęłam książkę Olaudah Equiano i przeczytałam fragment tekstu:

– „Ta część Afryki zwana Gwineą, gdzie odbywa się handel niewolnikami, rozciąga się na długości trzech tysięcy czterystu mil wzdłuż wybrzeża od Senegalu do Angoli i obejmuje wiele królestw. Najważniejszym z nich jest królestwo Beninu. Urodziłem się (w tym królestwie) w 1745 roku. Jego odległość od wybrzeża musi być znaczna, ponieważ nigdy nie słyszałem o białych ludziach, Europejczykach ani o morzu”.

Wśród zebranych podniósł się szmer, otoczyli mnie ciasniejszym kręgiem. Mężczyzna

uniósł dłoni.

– A teraz powiedz nam, co to znaczy.

Wyjaśniłam im, że Equiano był Afrykaninem, którego porwano i zabrano do ziemi toubabów i który przetrwał, odzyskał wolność i napisał książkę o swoim życiu.

– Czy powrócił do domu, żeby zabić ludzi, którzy go porwali i sprzedali? – zapytał ktoś z tłumu.

– Nie – odparłam.

– Więc co z niego za mężczyzna?

– Mężczyzna, który miał trudne życie, podróżował przez lądy i oceany i nie miał czasu, by odszukać wrogów przebywających bardzo daleko. Starał się przeżyć i nie myślał o powrocie ani o zabiciu swoich ciemężycieli.

Wódz wioski mruczał pod nosem, co było oznaką zadowolenia, a stojące za jego plecami dzieci przepychały się, żeby znaleźć się jak najbliżej mnie.

Zapytano, gdzie są moje dzieci i mój mąż. Oznajmienie Alassane'owi, że czekają w Bayo, było błędem, więc tym razem powiedziałam prawdę. Odparłam, że toubabowie zabrali moje dzieci, a mąż utonął w morzu.

– Jak wygląda to morze? – zapytał wódz.

– Jak rzeka, która nie ma końca.

– Jak brzmiały imiona twojego męża i twoich dzieci?

– Chekura, Mamadu i May – odparłam.

– A kim byli twoi rodzice w miejscu, które nazywasz Bayo?

– Mamadu Diallo był jubilerem, a Sira Kulibali położną.

Kiedy ludzie to usłyszeli, roześmiali się. Z początku czułam się zbита z tropu, ale po chwili uświadomiłam sobie, że mieszkańcy wioski wyrażają zadowolenie, słysząc znajomo brzmiące imiona.

Wódz zadawał mi wiele pytań. Chciał wiedzieć, co miałam na myśli, mówiąc, że nie wszyscy toubabowie to diabły, i jak można w nich zobaczyć coś dobrego.

Odpowiedziałam mu pytaniem:

– Czyż nie znasz ludzkiego serca?

Po wieczorze konwersacji byłam wykończona, ale zostałam, by porozmawiać z członkiem starszyny wioski o imieniu Youssouf. Powiedziałam mu, że chcę się dostać na wybrzeże.

– Nie – odparł. – Musisz tu zostać. Będiesz dla mnie dobrą żoną.

– Przecież jestem starą kobietą.

– Ale jesteś odważna i mądra i dzięki tobie zyskam wielki szacunek.

– Ile masz żon? – zapytałam.

– Cztery.

– Nie mogę być piątą – odpowiedziałam. – Mogę być tylko pierwszą i jedyną.

– Jedyną? Pokaż mi dobrego, silnego mężczyznę, który ma tylko jedną żonę.

– Mój ojciec. Mój mąż. Niektórzy toubabowie.

– Toubabowie. – Splunął. – Toubabowie to zwierzęta. Porywają naszych mężczyzn, nasze kobiety i dzieci i zabierają, żeby ich zjeść lub zapracować ich na śmierć.

– To prawda, że zapracowują ich na śmierć, biją i głodzą, ale nigdy nie widziałam, by jakiś toubab kogokolwiek zjadł – powiedziałam.

– Zostań tutaj, wśród nas. Uczynisz nam honor. Wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek będą przychodzić, żeby słuchać twoich opowieści.

Wiedziałam, że Youssouf i jego ludzie ocalili mi życie i że bez nich nigdy nie zdołałabym uciec przed handlarzami. Ale musiałam się znaleźć w pewnym miejscu i pozałatwiać pewne sprawy, więc postanowiłam, że dam im z siebie wszystko w czasie, którego będę potrzebować, by odzyskać siły. A potem odejdę.

– Zostanę przez jeden księżyc, jeśli będziecie mnie karmić i chronić przed porywaczami ludzi. Odplączę się wam, przynosząc chlubę waszej wiosce. Ale nie mogę cię poślubić, ponieważ czeka na mnie mężczyzna. Muszę do niego wrócić.

– Czekają na ciebie inni mężczyźni? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Mówię ci teraz – odparłam i nic więcej nie dodałam.

Nie musiał wiedzieć, że owym mężczyzną nie był Afrykanin, tylko toubab, i że nie był moim mężem, tylko abolicjonistą. Pomyślałam o Georgii, mojej opiekunce i przyjaciółce, i o tym, jak lata temu na Wyspie Świętej Heleny powiedziała: „Mężczyźni nie muszą wszystkiego wiedzieć, a o niektórych sprawach nie muszą wiedzieć wcale”.

– Jaki zaszczyt możesz mi przynieść, nie zostając moją żoną? – zapytał Youssouf.

– Zaopiekuj się mną i pozwól mi odzyskać siły – wyjaśniłam – a przez jeden obrót księżyca co noc będę opowiadać historie o wszystkich miejscach, w których byłam, i o wszystkim, co widziałam w kraju toubabów. Opowiem te historie tobie i wszystkim gościom, których zaprosisz do swojej wioski.

Przez jeden obrót księżyca co wieczór opowiadałam swoją historię ludziom, którzy schodzili się z innych wiosek, czasem wędrując przez wiele godzin, żeby mnie posłuchać. Przynosili podarki z jedzenia i orzechów kola, po czym opuszczali wioskę zadowoleni, rozmyślając i rozmawiając.

Opowiadałam swoją historię ludziom, którzy byli gotowi siedzieć przez pół nocy, by mnie słuchać i zadawać mi pytania. Proszono, bym rozmawiała z samymi mężczyznami. I bym mówiła tylko do kobiet i dzieci. Czasem, gdy przemawiałam do zgromadzonych, moim opowieściom towarzyszyły tańce przy akompaniamencie bębnów, balafonów, gitar i śpiewów.

Opowiadałam o swojej młodości, o wędrowce na wyspę Bance i o tym, jak po drodze

łapałam dzieci. Przy każdej historii pytano mnie o imiona jej bohaterów.

– Kim była kobieta, która urodziła dziecko i ruszyła w dalszą drogę na statek? – zapytała któraś ze słuchających.

– Miała na imię Sanu i była niezwykle łagodna – odparłam.

– A jak miało na imię jej dziecko?

– Aminata.

– To przecież twoje imię.

– Tak.

– Nazwała córkę po tobie?

Uśmiechnęłam się, kobieta odwzajemniła mój uśmiech, a cztery osoby zawołały, bym mówiła dalej. Opowiedziałam im o przeprawie statkiem, buncie na oceanie, warunkach panujących na statku i o Wyspie Sullivana. Opowiedziałam im o uprawie i zbiorach indygowca i o Negrach znajdujących się w niewoli w Ameryce, niezależnie od tego, gdzie przyszli na świat. Opowiedziałam im o tym, że toubabowie woleli otrzymać kawałek srebra niż kurczaki czy rum. Popularnością cieszyły się zwłaszcza opisy domów bogatych białych ludzi i ich kobiet, to, w jaki sposób nosiły się ich żony, jak rodziły i gotowały. Moi słuchacze śmiali się do łez, kiedy powiedziałam im, że żaden bogaty biały człowiek nie obejdzie się bez afrykańskiego kucharza. Pokładali się ze śmiechu, gdy opowiadałam o znachorze, który trzymał na statku papugę, karmił ją dobrym jedzeniem i uczył mówić w języku toubabów. Mówiłam o walkach pomiędzy białymi w Ameryce, o zdradzie, jakiej doświadczyliśmy w Nowej Szkocji, a w końcu o przeprawie do Sierra Leone i o tym, jak bezowocnie szukałam swojego domu.

Nigdy nie udało mi się powrócić do Bayo, ale przez miesiąc w maleńkiej wiosce pełnej obcych ludzi byłam gawędziarką – *djeli* – o czym zawsze tak marzyłam.

W końcu odzyskałam energię. Chodziłam z kobietami na pola prosa i młóciłam ziarna. Siedziałam z innymi kobietami, kiedy wydobywały indygo z roślin, mieszając je w wielkich kadziach, podobnie jak kiedyś robiłam to na Wyspie Świętej Heleny. Farbowały płótno na niebiesko i fioletowo. Kiedy nadszedł czas, abym opuściła wioskę, przyjęłam nieco płótna w prezencie i przepasałam się nim tak, jak czyniły to tutejsze kobiety. Zapytałam, jak dostać się z powrotem na wybrzeże, i odkryłam, że nietrudno znaleźć przewodnika. W ten sposób dokonałam ostatniego odkrycia: choć ludzie z trudem dostawali się do Afryki, wywiezienie ich stąd nie stanowiło najmniejszego problemu.

Wielka djeli Akademii

Londyn, 1802 rok

Gdy zbliżaliśmy się do Anglii, niebo coraz bardziej zasnuwały chmury, a porywiste wiatry i niespokojne morze rzucały statkiem i wszystkimi jego pasażerami. Straciłam apetyt i od wielu dni nie jadłam. Doświadczyłam dziwnej utraty odwagi, może dlatego, że opuściła mnie determinacja, by jeszcze gdzieś dotrzeć. Czułam tylko, że stałam się stara i zmęczona.

Mogłam zostać we Freetown, gdzie – choć niektórzy osadnicy chwycili za broń przeciw kompanii, walcząc o ziemię i prawo do samostanowienia – przynajmniej było ciepło i gdzie opiekowali się mną przyjaciele. Jednak aby pomóc abolicjonistom, ostatni raz przeprowadziłam się przez ocean. Podczas lat spędzonych w Ameryce często pragnęłam znaleźć się w Londynie, ale wyobrażałam go sobie tylko jako przystanek w drodze do Afryki. Wraz ze mną na pokładzie Sierra Leone Packet płynął botanik Hector Smithers, który zabrał ze sobą skrzynki z insektami, gadami i zwierzętami zakonserwowanymi rumem, a także różnego rodzaju żywe gatunki – uwięzionego w skrzynce węża, dwa szczury, termity w pudle wypełnionym piaskiem, antylopę, dzika i nowo narodzonego lamparta.

Przez ostatnie tygodnie podróży nie opuszczałam łóżka, ale trzymane w niewoli zwierzęta Smithersa zniosły podróż jeszcze gorzej. Koniec końców wszystkie oprócz termitów spotkały się ze Stwórcą na Oceanie Atlantyckim. Smithers poprosił pięciu marynarzy o pomoc przy pospiesznym patroszeniu zwierząt, które następnie zakonserwował w ogromnych beczkach z rumem. Kiedy botanik próbował ocalić, co się da, na wystawę w Londynie, złapałam się na myśli, że kiedy nadejdzie mój czas, pragnę łagodnie spocząć w ziemi. Nie chciałam, by moim grobem były wody oceanu ani rum.

Przez długie lata w Sierra Leone zdołałam zapomnieć o białej biedocie. Przebywający we Freetown biali pracownicy kompanii i ich żony mieszkali w najlepszych domach, pobierali ogromne wypłaty i jedli najsmaczniejsze posiłki. Jednak w Anglii... Och! Ujrzałam kalekiego mężczyznę, któremu za kule służyły nieostrugane kijki. Wyciągał rękę, prosząc o jałmużnę. Na każdym rogu widziałam żebrzących ślepców i kulawe kobiety z zakatarzonymi dziećmi. Miałam wrażenie, że połowa Anglików ma co najmniej jeden psujący się, poczerniały, ropiejący ząb. Ludzie trzęśli się, mieli liche ubrania, które nie chroniły ich przed zimmem, kaszleli, kichali, dławili się i umierali. Mężczyźni w łachmanach musieli uskakiwać przed pędzącymi na nich zaprzęgami i często lądowali w rowach z nieczystościami. Wokół rozlegały się krzyki, pretensje i wzajemne oskarżenia.

Powietrze wypełniał gryzący zapach płonącego drewna oraz gnijących warzyw i mięsa wyrzuconych przed drzwi sklepów. Na każdym kroku spotykało się handlarzy sprzedających gazety, tytoń, fajki, herbatę, tabakę, wino i twarde bryłki cukru.

W Gravesend spotkałam się z Johnem Clarksonem i jego bratem Thomasem. Nie widziałam porucznika od ośmiu lat. Bracia mocno uścisnęli mi dłoń, pomogli wsiąść do powozu i spiesznie zawieźli mnie do Londynu. W powozie poczęstowali mnie rumem, chlebem i odrobiną sera, a po jakimś czasie usiedliśmy w kawiarni, by napić się czegoś ciepłego i przejrzeć gazety.

Wewnątrz wisiał gęsty dym tytoniowy, od którego szczypały mnie oczy. Zamówiliśmy kawę osłodzoną miodem, ponieważ właściciele lokalu bojkutowali cukier, by wspomóc cel abolicjonistów. Sączyłam napój w towarzystwie mężczyzn, którzy palili, czytali i pili kawę oraz herbatę. Wypowiadali się elokwentnie, lecz spokojnie, i zerkali na mnie znad gazet. Jeden starszy, łysy mężczyzna nie potrafił przestać się we mnie wpatrywać, więc w końcu wstałam z krzesła i zapytałam, czy mogę pożyczyć jego gazetę, skoro i tak jej nie czyta.

– Co?

Gdy powtórzyłam prośbę, mężczyzna zarechotał.

– Umisz czytać, co? Kupiem ci kawy za własny grosz i zapłacem za kawki tych dżentelmenów, co cię tu przyprawdzili, jeśli przeczytasz mi tę gazetkę.

Wzięłam od niego dziennik. W Sierra Leone przywykłam do tego, że czytałam prasę sprzed trzech, a nawet sześciu miesięcy. Na tym numerze widniała jednak aktualna data: 4 października 1802 roku. Przewertowałam strony i napotkałam artykuł, który wzbudził moje zainteresowanie. *Kolejne przesłuchania w kwestii niewolnictwa*, głosił tytuł. Zaczęłam czytać na głos:

– „William Wilberforce domaga się, by parlament zwołał kolejne posiedzenie mające na celu zbadanie rzekomych nadużyć związanych z handlem niewolnikami”.

Wprowadzono mnie do biura komitetu do spraw zniesienia handlu niewolnikami mieszczącego się na Old Jewry Street 18, w dzielnicy, w której chłopcy roznosili gazety, mężczyźni zapraszali przechodniów, by wstąpili do ich kawiarni, a handlarze stali przed maleńkimi sklepikami gotowi odrąbać półtuszę jagnięciny lub kawałek z bryły cukru. Wokół było słyhać stukot końskich kopyt i powozów. Miasto okazało się głośniejsze i ruchliwsze niż Shelburne czy Nowy Jork, a po niemal dziesięciu latach spędzonych we Freetown miałam wrażenie, że zaatakowało moje zmysły. Wprowadzono mnie do pokoju znajdującego się na piętrze małego, ciasnego budynku, gdzie palił się piecyk i migotały świece. Przywitało mnie dwunastu mężczyzn, którzy nie mogli się doczekać, aż uścisną mi dłoń i ugoszczą mnie w Anglii.

Byli niezwykle szczęśliwi, że Johnowi Clarksonowi udało się w końcu sprowadzić

mnie do Londynu. Porucznik się nie odzywał, tylko słuchał, co mieli do powiedzenia starsi mężczyźni. W Nowej Szkocji i we Freetown przywykłam do tego, że dowodził, ale tu, w Anglii, znajdował się w cieniu brata i pozostałych.

Moją dłonią potrząsnął mężczyzna, który przedstawił się jako Stanley Hastings. Zaczął opowiadać mi o wielkich planach, jakie dla mnie przygotowano.

– Z właściwą delikatnością i troską przeprowadzimy z panią wywiad i napiszemy krótkie podsumowanie pani życia, włączając w nie prześladowania, jakich doświadczyła pani z rąk handlarzy niewolników.

Odchrząknęłam.

– Pan napisze podsumowanie mojego życia?

– To ważne, bym osobiście się tym zajął – powiedział Hastings. Strzelił palcami, aż chrupnęło mu w stawach, i zajął się nabijaniem fajki. – Musimy spisać pani relację. Najdrobniejsza nieścisłość lub niezgodność szczegółów może się okazać zgubna dla naszego celu.

Z rezerwą słuchałam planów Hastingsa zamierzającego opisać moje życie. Miał energię konia pociągowego, nie chciałam jednak, by tak gruboskórne zwierzę tratowało ziemię w moim ogrodzie.

Dwunastu uważnych białych mężczyzn splotło palce i nie spuszczało ze mnie wzroku, ale ich twarze nagle zaczęły falować mi przed oczami. Gorączka powróciła. Czułam na zmianę gorąco i dreszcze, zalewające moje ciało jak fale oceanu. Abolicjoniści podtrzymywali ogień w piecyku, lecz pomieszczenie zdawało mi się zimne, nieprzyjazne i tak dalekie od ciepła mojej ojczyzny. Nie miałam męża, syna ani córki, ale tęskniłam za afrykańskim słońcem, które mogłoby mnie otulić swoją życzliwością. Teraz nie czułam żadnego ciepła, tylko szczekanie własnych zębów i znajomy ból w kościach.

Uniosłam palec, bo była to jedyna część ciała, którą mogłam poruszać. Pragnęłam tylko trzech rzeczy: koca, szklanki wody i tego, by pozwolono mi samej opisać historię mojego życia. Nie mogłam poprosić o żadną z tych przysług. Ani się obejrzałam, jak znalazłam się na ziemi, a nade mną pochyłali się mężczyźni o szerokich żuchwach, obfitych bokobrodach i zatroskanych oczach.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał Hastings.

Zamknęłam oczy i usłyszałam głos Johna Clarksona.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Mówiłem wam, że to spotkanie jest przedwcześnie. Obawiam się, że muszę być stanowczy: ta kobieta jest moim gościem i odpowiadam za nią. Nie spotka się ponownie z tym komitetem, dopóki nie wróci do pełni sił w moim domu.

Zniesiono mnie po schodach budynku przy Old Jewry Street 18, umieszczono w powozie i zabrano do mieszczącego się przy tej samej ulicy domu Johna Clarksona. W drzwiach powitał nas czarny kamerdyner, który złapał mnie, gdy ugięły się pode mną

kolana, i zaprowadził do prywatnego pokoju, gdzie napojono mnie rosółem i herbatą, po czym położono do łóżka i okryto kocami. Kiedy gorączka rozpałała moje ciało, służąca o imieniu Betty Ann wykąpała mnie i ocierała moje czoło mokrymi szmatkami.

Po jakimś czasie znów potrafiłam stać bez niczyjej pomocy, opróżnić swój nocnik i mogłam zjeść pierwszy posiłek z Johnem Clarksonem i jego żoną Susannah. Po posiłku usiedliśmy we troje i popijaliśmy herbatę w zimnym pokoju, okrywając nogi kocami. Na zewnątrz spadło kilka płatków śniegu, było wilgotno, zimno i wietrznie. Uznałam, że jeśli chcę jeszcze trochę pożyć, nawet przy tej okropnej angielskiej pogodzie powinnam się ruszać i wyjść na zewnątrz.

Mimo strat w życiu w Londynie odczuwałam samotność, jakiej dotąd nie znałam. Byłam zbyt słaba, by pisać, wstać, zwiedzać miasto czy spotykać się z członkami komitetu. Gdy jednak w końcu przysłała wiosna, a londyńska wilgoć przestała być podszyta chłodem, znów zaczęłam się poruszać i zyskałam pewność, że jeszcze nie nadszedł mój czas.

W spowitym szarością Londynie brakowało mi kolorów i smaków, które znałam ze swojej ojczyzny. Tutejsze chleb i mięso zdawały mi się mdłe i niejadalne i zastanawiałam się, jak to możliwe, że ludzie, którzy żeglowali po oceanach i rządzą światem, nie mają pojęcia o jedzeniu ani o tym, jak je przyrządzać.

Londyńczycy nie jedli prawie żadnych owoców. Tęskniłam za bananami, limonkami, pomarańczami i ananasami z Sierra Leone. Brakowało mi zwłaszcza papryki chili, więc napisałam do Debry, błagając ją, by przysłała mi paczkę przypraw do gotowania.

Nie widywałam prawie żadnych czarnoskórych – czasem tylko rozmawiałam z kamerdynerem i pokojówką Clarksona, którzy wymieniali ze mną zdawkowe informacje na temat pogody i pytali o moje zdrowie. Chciałam zapytać Dantego – niskiego mężczyznę o gładko ogolonej głowie – czy mógłby mnie przedstawić czarnej społeczności w Londynie, ale on wciąż wymigiwał się od odpowiedzi. Kiedy poczułam się lepiej i mogłam spacerować po domu, odszukałam go w kuchni Clarksonów.

– Możemy zamienić słowo? – zapytałam.

– Pani wybaczy, ale właśnie wychodziłem.

– Meena. Możesz mi mówić Meena – odparłam.

Odchrząknął i spojrzał w stronę drzwi.

– Dlaczego mnie unikasz? – spytałam.

– Nie chcę pani obrazić.

– A jednak nigdy nie odpowiadasz na moje pytania.

– Takie otrzymałem polecenie.

– Polecenie?

– Pan Clarkson powiedział, że nie mogę z panią rozmawiać.

– Dlaczegoż by nie?

– Mam pozwolić, by odzyskała pani zdrowie i mogła przygotować pozbawioną wpływów relację dla komitetu.

– Jakich znowu wpływów?

Dante zdjął kapelusz, potarł widniejącą na nim plamkę i włożył go z powrotem na głowę.

– Robi się późno, proszę pani.

– Jakich wpływów? – zapytałam znowu.

Dante ponownie rzucił okiem na drzwi. Byliśmy w kuchni sami, tylko we dwoje. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam:

– Ze strony czarnoskórych mieszkańców Londynu.

– Jak ktokolwiek może wpłynąć na moją opowieść, skoro sama mam ją napisać?

– Myślę to samo, proszę pani. Ale oni chcą, żeby pani opowieść była nieskalana. „Prosto z Afryki”, jak powiedział pan Clarkson. Członkowie komitetu obawiają się, by mieszkańcy Londynu nie rozpowiadali, iż pani historię wymyślili czarni londyńczycy.

– Dante, nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty, ale powiedz, proszę: ilu nas tu jest? Mężczyzna głośno wypuścił powietrze i szeroko się uśmiechnął.

– Tysiące.

– W Sierra Leone czytałam książkę Afrykanina, który mieszkał w Londynie.

– Olaudah Equiano – powiedział Dante.

– Więc ty też o nim słyszałaś?

Dante znów się uśmiechnął.

– Wszyscy słyszeliśmy o Equiano – odparł. – Każdy, kto zaistnieje wśród Anglików, znajduje się na ustach wszystkich czarnych londyńczyków.

– Myślisz, że mogłabym się z nim spotkać?

– Umarł kilka lat temu.

Byłam zawiedziona. Equiano był jedynym człowiekiem, którego naprawdę pragnęłam poznać. Po lekturze jego książki czułam się tak, jakbym go znała, i chciałam go zapytać, w jaki sposób przystąpił do opisywania swojego życia.

W tym samym tygodniu spotkałam się z komitetem abolicjonistów. Stanley Hastings wygłosił długi wstęp na temat tego, jak bardzo raduje go, że odzyskałam zdrowie.

– Niech żyje! – zawołali zebrani mężczyźni.

Powiedziałam im, że prędzej wyzionę ducha na ulicach Londynu, niż pozwolę sobie dyktować, z kim wolno mi się spotykać, gdzie chodzić i co robić. Musieli się zaniepokoić, że moje serce przestanie bić, bo wszystkich dwunastu abolicjonistów zerwało się z krzesel.

– Teraz czuję się dobrze, więc mogą panowie usiąść.

Mężczyźni z wahaniem zajęli miejsca.

– Podjęłam decyzję – powiedziałam.

– Proszę, niech pani mówi – zachęcił mnie Hastings.
– Postanowiłam spisać swoje życie.
– Doskonale – odparł – ale będzie pani potrzebowała naszej pomocy, by upewnić się, że...

– Bardzo dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy – przerwałam mu. – To moje życie. Moje słowa. Moje pióro. Wiem, co napisać.

Smukły, elegancko ubrany mężczyzna wstał i przedstawił się jako William Wilberforce, członek parlamentu. Zapytał, czy mógłby mi wyjaśnić tę kwestię.

– Proszę bardzo – oznajmiłam.

– Nie chodzi o to, czy potrafi pani pisać – łagodził Wilberforce – ale o to, by zadbać o autentyczność pani opowieści.

– I właśnie dlatego to ja ją opowiem, nie kto inny.

– Powinna pani uwzględnić w niej swoje dzieciństwo – wtrącił Thomas Clarkson. – I to, jak zaprowadzono panią nad morze. Musi pani dokładnie opisać to, jak uwięziono panią na statku, oraz czas spędzony w Karolinie Południowej. Musi pani...

John Clarkson położył dłoń na ramieniu brata.

– Ona doskonale wie, co powinno się znaleźć w jej opowieści.

Zapewniłam zebranych, że niezwłocznie zabiorę się do pisania, pod warunkiem że nikt nie zabroni mi rozmawiać z jakąkolwiek osobą, w tym z kamerdynerem Johna Clarksona.

– Meeno, wiedz, że to nie moją intencją było zabronienie ci kontaktów z Dantem – powiedział John Clarkson.

Wilberforce znów się do mnie nachylił.

– To moja wina. Ale proszę zrozumieć: nie może istnieć najmniejsze podejrzenie, że w pani opowieści maczali palce czarni londyńczycy. To przyniosłoby nam wielką szkodę, ponieważ nie cieszą się w mieście powszechnym szacunkiem.

– Jeśli mam zdać relację ze swojego życia, opowiem o wszystkim. Ale zrobię to tylko na własnych warunkach, na które nie będą mieli wpływu ani panowie, ani czarni londyńczycy.

– Czy jeśli się na to zgodzimy, obieca pani, że podzieli się z nami swoją opowieścią, pozwoli nam ją przedstawić jako dowód na posiedzeniu parlamentu i nie będzie mówiła o niej publicznie, dopóki obrady nie dobiegną końca?

Skinęłam głową.

– Dobrze – rzucił Wilberforce. – Wspaniale. Musimy przystąpić do działania. Jak szybko może pani skończyć?

– Zobaczymy – odparłam.

– Proszę tylko pozwolić, że to my skontaktujemy się z prasą, dobrze?

– Co ma pan na myśli?

– To będzie pani opowieść od początku do końca, ale, na Boga, niech nam pani pozwoli zdecydować, jak i kiedy ukaże się ona drukiem.

Nie widziałam powodu, by się na to nie zgodzić.

Następnego dnia Dante oznajmił mi, że podniesiono mu pensję.

– Co takiego zrobiłaś tym abolicjonistom? – zapytał.

– To afrykańskie czary – odparłam z uśmiechem.

Tego wieczoru zabrał mnie po pracy do mieszczącej się na tyłach domu służbówki. Powitała mnie tam Betty Ann, która pielęgnowała mnie w czasie choroby. Okazało się, że Dante i ona są parą. Betty Ann była młodą, urodzoną na Jamajce kobietą, która znalazła się w Londynie jako służąca bogatego plantatora i wyzwoliła się, uciekając.

– Właściciel nie próbował cię odzyskać? – zapytałam.

– Nie odważył się. Sądy na to nie pozwalają. W Londynie jest tak, że jeśli czarny odejdzie z domu swojego właściciela, staje się wolny.

Wiedziałam, że Londyn jest duży, a świat jeszcze większy, ale musiałam zapytać, czy słyszeli o bogatej białej rodzinie Witherspoonów. Odparli, że nie. Poczułam się niezręcznie i przykazałam sobie, by nie marnować ostatnich sił na marzenia o tym, co nie ma prawa się ziścić. W Londynie mieszkało milion ludzi, a jeśli moja córka wciąż żyła, mogła się znajdować w jakiegokolwiek wiosce, jakimkolwiek miasteczku lub mieście po obu stronach Oceanu Atlantyckiego.

Dante i Betty Ann zaproponowali, że zabiorą mnie do dzielnicy Londynu zamieszkaney przez czarnoskórych, ale nie miałam siły na wyprawy i postanowiłam spożytkować resztki energii na napisanie sprawozdania dla komisji parlamentarnej.

Usiadłam wygodnie przy stole, na którym paliły się świece, obłożona jedzeniem, piórami, atramentem, papierem i okryta pledami, i zabrałam się do opisywania historii swojego życia. Kiedy zaczęłam pisać, nie mogłam przestać. Na papierze rozlało się moje dzieciństwo, a po nim nastoletnie lata oraz doświadczenia w łapaniu dzieci i sprowadzeniu na świat własnego potomstwa. Pisałam i pisałam bez końca.

Abolicjoniści byli niezadowoleni.

– To wspaniale, że ma pani tak wiele do opisanego, panno Dee – powiedział Thomas Clarkson w czasie kolejnego spotkania abolicjonistów – ale wszystko spełźnie na niczym, jeśli komisja parlamentarna tego nie usłyszy.

– Ma rację – odezwał się Wilberforce. – Handlarze niewolników doskonale przedstawili swoje racje na posiedzeniu komisji. Każda gazeta cytuje ich argumenty za kontynuacją handlu.

Siedzący wokół stołu mężczyźni nerwowo poprawili się na krzesłach. Czytałam te doniesienia. Zwolennicy handlu niewolnikami twierdzili, że niewolnictwo to humanitarna instytucja ratująca Afrykanów od barbarzyństwa, którego doświadczyliby w ojczyźnie.

Zapewniali, że Afrykanie pozabijaliby się w wojnach plemiennych, gdyby nie zostali wyzwoleni w Amerykach, gdzie doświadczyli cywilizującego wpływu chrześcijaństwa. Gazety donosiły, że na statkach niewolniczych panuje higiena i bezpieczeństwo, a liczba Afrykanów umierających na morzu odpowiada liczbie umierających angielskich marynarzy.

– Panowie, panna Dee opowie swoją historię, a kiedy to zrobi, cała Anglia nadstawi uszu – przemówił spokojnie Hastings.

Wilberforce zgodził się odwlec moje wystąpienie przed komisją parlamentarną. Tymczasem zachęcał prasę, by pilnie słuchała świadectw handlarzy niewolników. Oznajmił, że wkrótce przedstawi dowody na obalenie ich zeznań. Przekonał mnie też, bym podarowała mu pięćdziesiąt stron, z których miał sporządzić sprawozdanie.

Tego ranka, kiedy miałam przemawiać na posiedzeniu komisji parlamentarnej, na pierwszej stronie „Timesa” ukazał się artykuł o Hectorze Smithersie, botaniku, który zorganizował wystawę martwych, ale dobrze zakonserwowanych afrykańskich gryzoni, nietoperzy, motyli, termitów, lampartów i aligatorów. W dniu otwarcia ekspozycja przyciągnęła tak wielkie tłumy, że trzeba było zamknąć drzwi, by zapobiec przepełnieniu. „Times” nazwał wystawę „spektakularnym pokazem przerażającego, bujnego, barwnego barbarzyństwa panującego w królestwie zwierząt najczarniejszej Afryki” i dodał, że wstęp kosztuje sześć pensów. W dalszej części gazety znalazł się krótki artykuł mówiący o tym, że wkrótce komisja parlamentarna otrzyma sprawozdanie kobiety „prosto z Afryki”, która przetrwała niewolnictwo.

Czekałam przed drzwiami gabinetu komisji parlamentarnej w towarzystwie Hastingsa. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać ani jak zostanę potraktowana. Czułam, że serce podchodzi mi do gardła, i próbowałam się uspokoić, przypominając sobie ojca i to, jak pewnie poruszały się jego dłonie, nawet wtedy, gdy parzył herbatę lub robił biżuterię. Wyobrażałam sobie jego głos – niski i melodyjny – płynący zza oceanu, żeby mnie teraz pocieszyć: „Bądź sobą i opowiedz o życiu, którego doświadczyłaś”.

Drzwi się otworzyły i wezwano mnie do środka. Pod ścianami prostokątnego pokoju ustawiono dziesięć krzeseł dla przedstawicieli prasy i kolejnych trzydzieści dla gości. Wszystkie miejsca były zajęte. Usiadłam samotnie po jednej stronie długiego stołu naprzeciwko komisji, która liczyła dziesięciu członków. Jednym z nich był William Wilberforce. Mężczyzna uśmiechnął się i przedstawił mi oficjalne wyjaśnienie tego, co już wiedziałam: powiedział, że będzie mi zadawał pytania, i prosił, bym na nie odpowiadała.

Wilberforce zapytał o moje nazwisko oraz datę i miejsce narodzin. Udzieliłam odpowiedzi.

– Panno Dee, czy mogłaby pani opisać członkom komisji warunki, w jakich wychowywała się pani w dzieciństwie?

Poprosił, bym opowiedziała, jak doszło do mojego porwania, gdy miałam jedenaście

lat, i jak przez trzy miesiące kazano mi wędrować na wybrzeże. Udzieliłam tak szczegółowej odpowiedzi, jak potrafiłam. Wyjaśniłam, że idący w kolumnie niewolników mężczyźni mieli na szyjach jarzma. Powiedziałam, że zmarłych, schorowanych i zbuntowanych więźniów wyrzucano za burtę na pożarcie rekinom. Kiedy oznajmiłam komisji, że marynarze wykorzystywali na statku afrykańskie kobiety i że choć byłam tylko dzieckiem, musiałam wówczas leżeć w łóżku pokładowego chirurga, w pomieszczeniu rozległy się szepty.

– A co odpowie pani na wcześniejsze zeznania, że ani mężczyzn, ani kobiet nie piętnowano w zagrodach dla niewolników na afrykańskim wybrzeżu? – zapytał Wilberforce.

– To nieprawda – powiedziałam.

– Skąd pani to wie?

– Ponieważ byłam przetrzymywana w takiej zagrodzie i zostałam napiętnowana.

– Która to była wyspa i kiedy do tego doszło?

– Było to około 1756 roku. Napiętnowano mnie wówczas na wyspie Bance położonej u wybrzeży Sierra Leone.

Po sali przebiegł szmer. Wilberforce poprosił, bym powtórzyła te informacje, tak by sekretarz zdołał je zapisać.

– Skąd zna pani nazwę tej wyspy? Z pewnością nie posługiwała się pani wówczas językiem angielskim?

– Kilka lat temu powróciłam tam w towarzystwie urzędnika Sierra Leone Company.

– Mam nadzieję, że moje pytanie nie okaże się zbyt nietaktowne, ale czy mogłaby pani powiedzieć komisji, w jaki sposób panią napiętnowano?

– Przyciśnięto mi do ciała rozpalone żelazo.

Jakaś kobieta opuściła salę.

– Czy mam pokazać piętno? – zapytałam, ponieważ wcześniej abolicjoniści pouczyli mnie, bym to zaproponowała.

– Gdzie się ono znajduje? – kontynuował Wilberforce.

– Tuż powyżej mojej prawej piersi, sir.

Zgromadzeni gwałtownie wciągnęli powietrze. Słyszałam skrobanie pióra po papierze.

– Czy mam je pokazać, sir?

– Zeznaje pani pod przysięgą, więc nie będzie to konieczne – oznajmił sekretarz.

Opisałam, w jaki sposób sprzedano mnie w Charles Town i jak odebrano mi syna. Mówiłam o narodzinach May w 1784 roku i o tym, jak porwano ją w Shelburne w Nowej Szkocji.

Składałam zeznania przez dwie godziny. Gdy zapytano mnie, czy przygotowałam dla komisji dokument, z którym jej członkowie mogliby się zapoznać w wolnym czasie,

położyłam na stole egzemplarze historii mojego życia. Spotkanie dobiegło końca, a abolicjoniści wprowadzili mnie do odosobnionego pokoju, gdzie poproszono, bym pokazała dziennikarzom bliznę po piętnie. Dziesięciu mężczyzn podchodziło jeden po drugim, by przyjrzeć się wyrytemu w moim ciele dowodowi. Chcieli zadawać mi pytania, ale Wilberforce oznajmił, że dość tego dnia przeszłam, i poradził, by jeszcze raz przejrzyli notatki z moich zeznań.

Kiedy było już po wszystkim, a Wilberforce i Hastings wsiedli ze mną do powozu, ogarnęło mnie nagłe zmęczenie. Jeszcze kilka lat temu, kiedy co noc opowiadałam swoje historie w położonej w głębi lądu wiosce w Sierra Leone, czułam się podziwiana. Kiedy słuchacze śmiali się, krzyczeli i zachęcali mnie do jedzenia i picia, czułam się tak, jak gdyby otaczała mnie rodzina. Tu było inaczej. Gdy zwracałam się do komisji, nie słyszałam nic poza rzadkimi jękami i drapaniem pióra o papier, czułam się tak, jakbym mówiła do ściany. Nie miałam pojęcia, co parlamentarzyści myślą o mnie ani o tym, co mówię, ponieważ siedzieli nieruchomo jak sowy, a ich jedyną reakcją były kolejne pytania.

Następnego dnia John Clarkson przyniósł mi świeże wydania „Timesa”, „Morning Chronicle”, „Gazette”, „Morning Post” i „Lloyd’s List”. W każdej z gazet opisywano moje przemówienie, a każdy artykuł rozpoczynał się od opisu blizny. W ciągu kilku następnych tygodni gazety publikowały nowe doniesienia o tym, co powiedziałam komisji. Co dzień ludzie prosili, bym z nimi porozmawiała. Kiedy dziennikarze się mną nasycili, zaczęłam otrzymywać prośby o to, bym spotykała się z dziećmi oraz towarzystwami literackimi i historycznymi. Przyjęłam kilka tego typu zaproszeń i odkryłam, że członkowie tych grup mają mi o wiele więcej do powiedzenia.

Pewnego wieczoru do drzwi mojej sypialni zapukał John Clarkson.

– Przyszedł do ciebie list – oznajmił. – Dodam też, że pod względem rozpoznawalności przyćmiłaś wszystkich członków komitetu abolicyjnego, może z wyjątkiem Williama Wilberforce’a.

Kiedy wzięłam od niego pismo, uśmiechnął się i zapytał, czy może popatrzeć, jak je otwieram.

– Dobrze, panie poruczniku – powiedziałam.

– Johnie.

Skinęłam głową i przyjrzałam się kopercie. Widniała na niej pieczęć króla Jerzego III. W środku znalazłam zaproszenie na herbatę.

– Wspaniale – powtarzał Clarkson. – Król nie chciał się spotkać z Olaudahem Equiano. Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszego obrotu spraw.

Kiedy abolicjoniści ogłosili, że para królewska jest gotowa po raz pierwszy przyjąć u siebie Afrykankę, gazety wydrukowały kolejną porcję artykułów. Dla „Morning Post” artysta James Gillray narysował karykaturę przedstawiającą, jak wyrywam królowi kostkę

cukru z rąk. W tej karykaturze król był chudy jak kościotrup, ja natomiast byłam otyła, a z moich ust wydobywały się słowa: „Ja to wezmę”.

William Wilberforce, jako jedyny parlamentarzysta w Komitecie Abolicjonistów, miał mi towarzyszyć na herbacie u króla. Przed gabinetami komitetu zebrał się tłum ludzi pragnących mnie poznać. Taki sam tłum przez kilka tygodni co dzień ustawiał się w kolejce do drzwi. Miałam wrażenie, że chce ze mną pomówić połowa mieszkańców Londynu. Wśród zebranych zauważyłam Hectora Smithersa – pomachałam do niego, ale nie mogłam się zatrzymać. Znowu spojrzałam na zgromadzonych.

W morzu białych dostrzegłam czarną twarz przepięknej Afrykanki w wieku około osiemnastu lat. Stała wyprostowana wśród tych wszystkich ludzi, biła od niej godność. Nasze oczy się spotkały. Zastanawiałam się, gdzie ją widziałam. Jej usta się poruszyły, ale wokół panował taki gwar, że niczego nie dosłyszałam.

– Kim jesteś?! – zawołałam, ale ona także mnie nie usłyszała.

Oj, głupia. Minęło już tyle lat, a ja wciąż wpatrywałam się w twarze nieznajomych z nadzieją na to, co niemożliwe. Straciłam w życiu wiele ukochanych osób, a żadna z nich nigdy do mnie nie powróciła. A jednak nie potrafiłam przestać się zastanawiać, dlaczego ta młoda kobieta stała wraz z innymi na deszczu tylko po to, by mnie ujrzeć. Nie miałam jednak czasu dłużej o tym myśleć, bo wsadzono mnie do powozu i zawieziono do pałacu Buckingham.

*

Spodziewałam się prywatnego spotkania z parą królewską, ale gdy wraz z Wilberforce'em wprowadzono mnie do salonu wielkiego jak dom, ujrzałam kilkudziesięciu służących i tyle samo kobiet i mężczyzn w perukach i eleganckich strojach. Parlamentarzyści podchodzili do mnie kolejno, by uścisnąć mi dłoń i zapytać, czy to prawda, że przybyłam „prosto z Afryki”. Aby zapobiec tego typu przesłuchaniom, Wilberforce ujął mnie pod rękę i poprowadził do stołu, gdzie pokojówka serwowała biszkopty i herbatę.

– Proszę zauważyć, że z szacunku dla pani nie podano cukru – wyszeptał Wilberforce.

Miał rację. Na stole ujrzałam trzy naczynka z miodem. Pokojówka włożyła mi do herbaty łyżeczkę gęstego płynu. Dziwnie się czułam obsługiwana przez białego człowieka i z trudem udawało mi się opanować drżenie filiżanki na spodku.

Mężczyzna, który przedstawił się jako doradca rodziny królewskiej, poprosił, bym wpisała się do księgi gości. Pod jego czujnym spojrzeniem napisałam: „Dla kobiety, która odbyła podróż od wolności do niewolnictwa i z powrotem, audiencja u pary królewskiej jest prawdziwym zaszczytem. Pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że wkrótce wszystkim ludziom będzie dane cieszyć się wolnością”.

Doradca wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami i wyglądał, jak gdyby właśnie

przyłapał zebra na lekturze książki.

Wilberforce otrzymał znak, na który czekał, więc przeprosił w naszym imieniu doradcę, odstawił moją filiżankę na stół i poprowadził mnie przez liczne drzwi do innego pomieszczenia.

Król i królowa siedzieli na szerokich czerwonych tronach. Ich długie szaty opadały na podłogę, ale zauważyłam, że podłokietnik królewskiego tronu zrobiono z wypolerowanego drzewa sandałowego. Zastanawiałam się, czy władca wie, że oparcia zostały zrobione z czerwonego drewna pochodzącego z mojej ojczyzny.

– Powoli i pewnie – wyszeptał Wilberforce. – Niech pani dygnie, ale proszę nie podawać im ręki.

W pierwszej kolejności zbliżyliśmy się do królowej Charlotty Zofii.

To właśnie ją pragnęłam poznać najbardziej i na własne oczy zobaczyć, czy przypomina córę Afryki. Na portretach malowano ją jako delikatną istotę o porcelanowych rysach. Przede mną siedziała jednak kobieta o szerokim nosie, pełnych ustach i skórze o wiele ciemniejszej niż na przedstawiających ją wizerunkach.

Królowa Charlotta wyciągnęła ubraną w rękawiczkę dłoń, a ja ją uścisnęłam.

– Witaj, Aminato – powiedziała. – Witaj w Anglii.

– Wasza Wysokość – odpowiedziałam wzruszona tym, że zadała sobie trud, by nauczyć się mojego prawdziwego imienia. Była chyba pierwszym białym człowiekiem, który wypowiedział je przy pierwszym powitaniu. Może rzeczywiście wcale nie była biała. Stwierdziłam wtedy, że jeśli królowa Anglii potrafi wymówić moje imię, reszta jej obywateli też powinna to potrafić. – Jestem zaszczycona. Słyszę o Waszej Wysokości od lat.

– To niezwykle, zważywszy na mnogość podróży, które odbyłaś. – Królowa uśmiechnęła się przelotnie, a w jej oczach ujrzałam chęć zakończenia rozmowy. – Zadałam o to, byś otrzymała mały upominek z biblioteki – powiedziała.

– Dziękuję. – Chciałam powiedzieć królowej Anglii, jak bardzo zależy mi na tym, by jej kraj przejął inicjatywę i położył kres handlowi mężczyznomi, kobietami i dziećmi, jednak pomocnik ujął mnie pod rękę i delikatnie, lecz pewnie odciągnął o kilka kroków, by królowa mogła się zwrócić do Wilberforce'a.

Teraz stałam przed królem Jerzym III. Dygnęłam. On skinął głową. Zgodnie z poleceniem czekałam, aż król Anglii wyciągnie dłoń lub przemówi, ale nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Kilkakrotnie skinął głową i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po chwili jednak lekko odwrócił głowę i szeroko otworzył oczy. Miałam wrażenie, że zapomniał, co chciał powiedzieć, kim jestem i gdzie się znajdujemy.

Wpatrywałam się spokojnie w dużą, okrągłą, czerwonawą twarz i szkliste oczy

mężczyzny, który władał największym na świecie krajem parającym się niewolnictwem, ale szybko pojęłam, że nie będziemy rozmawiać. Wyprowadzono mnie z pomieszczenia, jednak się tym nie przejęłam. Wyglądało na to, że król znajdował się na krawędzi jednego ze swoich ataków, o których tyle czytałam. Wcześniej tego roku Bank Anglii wydał nawet monetę dla uczczenia powrotu króla do zdrowia. Zastanawiałam się, o co zapytaliby moi krajanie, gdyby wiedzieli, że poznałam *toubabu faama* – wielkiego wodza Anglii. Nigdy by nie uwierzyli, że cierpi na jakąś chorobę głowy i że wybrał sobie afrykańską królową.

Kiedy opuszczałam pałac Buckingham, ten sam pomocnik, który podszedł do mnie z księgą gości, wetknął mi w dłoń oprawiony w skórę tom. Królowa Anglii podarowała mi *O poezji: Rapsodię* Jonathana Swifta.

Zeznanie w parlamencie i wizyta w pałacu Buckingham znów bardzo mnie osłabiły. Ciszę, samotność i najlepsze ukojenie odnalazłam w literaturze. Kiedy po raz kolejny czytałam książkę Swifta, do drzwi mojego pokoju delikatnie zapukał John Clarkson.

– Ktoś pragnie się z tobą zobaczyć.

– Nie mogę nikogo przyjąć w tym stroju.

– Tej pani nie obchodzi, jak jesteś ubrana. Mówi, że długo czekała na spotkanie z tobą.

Wtedy do mojego pokoju weszła Afrykanka. Jej policzki zdawały się gładkie jak heban. Choć były pozbawione księżyców i znamion, przypominała kogoś z mojej wioski Bayo.

– Przepraszam. – W mojej głowie galopowały myśli. – Wiem, że stała pani dziś na deszczu. Nie mogłam się wówczas zatrzymać, by się z panią przywitać.

– Deszcz mi nie przeszkadzał. Czymże jest tych kilka godzin spędzonych w kolejce? Mamu, czekam na ciebie wieki.

Zrobiła krok naprzód i z takim wigorem rzuciła mi się w ramiona, że prawie mnie przewróciła. Modliłam się o ten uścisk przez kilkadziesiąt lat. Kołysaliśmy się i tuliłyśmy. Nie mogłam mówić, więc ścisnęłam ją, dopóki moje mięśnie nie osłabły.

Odsunęliśmy się od siebie, żeby popatrzeć sobie w oczy, ale nasze palce pozostały splecione.

May i ja nie rozstawaliśmy się przez całe dwa dni. Spałyśmy w jednym łóżku, jadłyśmy przy tym samym stole i spacerowałyśmy nad Tamizą, trzymając się za ręce. Sam widok tej kobiety wystarczył, bym odzyskała wolę życia. Jej usta co chwila muskały moje policzki. Chciałam żyć bez końca, żeby patrzeć na swoją córkę, chłonać jej piękno i jeszcze trochę dłużej ją kochać.

Nie musiałam jej opowiadać, co się ze mną działo, ponieważ przeczytała o tym w gazetach. W ciągu tych wspólnych godzin i dni słuchałam, jak potoczyły się jej losy.

Witherspoonowie nie zmienili jej imienia ani nie ukrywali przed nią tego, że została – jak to określili – „adoptowana” w Shelburne w Nowej Szkocji. Twierdzili jednak, że ocalili May po tym, jak porzuciła ją pewna Afrykanka.

Dziewczynka była już dość duża, by pamiętać nasze wspólne życie, i od początku podważała opowiadaną jej historię. Witherspoonowie zabrali ją z Shelburne do Bostonu, po czym popłynęli prosto do Anglii. Z początku ją hołubili, ale stracili cierpliwość i rozgniewali się, kiedy nie przestawała o mnie wypytywać.

– Byłam niezwykle uparta. Nie podobały im się moje napady złości, kiedy domagałam się, żeby zwrócili mnie matce – stwierdziła.

Witherspoonowie trzymali May jako służącą, a w nocy zamykali ją w pokoju na klucz. Nie wolno jej było samotnie poruszać się po Londynie. Nauczono ją czytać i pisać, podawać do stołu i wykonywać prace domowe – tym właśnie zajmowała się na co dzień. Nigdy nie nazwano jej niewolnicą. Nigdy jej też nie zapłacono.

Gdy skończyła jedenaście lat, poprosiła, by ją uwolniono, ale Witherspoonowie odmówili. Którejś nocy wykradła się z pokoju przez okno, wyskoczyła na ulicę, rzuciła się przed siebie i biegła tak długo, aż pewien czarnoskóry kaznodzieja wziął ją na ręce i zapytał, dlaczego ucieka boso. Mężczyzna pozwolił May zamieszkać ze sobą i swoją żoną do czasu, aż znajdzie dla niej rodzinę zastępczą w swojej wspólnocie. Matka w nowej rodzinie sprzątała domy, a ojciec sprzedawał gazety. Umieścili May w ciasnym pokoju z dwojgiem własnych dzieci. Moja córka chodziła do pracy ze swoją opiekunką i przez trzy lata sprzątała domy, aż udało jej się znaleźć pracę w szkole, gdzie uczyła czarną londyńską biedotę.

– Nauczyłaś się czytać i pisać.

May odparła, że pamiętała, jak z nią ćwiczyła, zapisując dla niej słowa na papierze.

– Wiedziałam, jak bardzo kochasz słowa, mamó, więc i ja chciałam je kochać.

– Co się stało z Witherspoonami? – zapytałam.

Odszukali May i chcieli ją zabrać. Ale rodzina, która ją do siebie przyjęła, zwróciła się o pomoc do Granville'a Sharpe'a, abolicjonisty. Mężczyzna odbył „ostrą wymianę zdań” z Witherspoonami i przypomniał im, że nie mają prawa więzić Negra, który się od nich wyzwolił. Przestrzegł, że jeśli będą się przy tym upierali, upokorzy ich w sądzie. Witherspoonowie przeprowadzili się do Montrealu, by otworzyć przedsiębiorstwo okrętowe, a May pozostała w Londynie.

Następnego dnia May zabrała mnie do szkoły, w której uczyła. Dziennikarze podążali za nami krok w krok i godzinami obserwowali, jak spędzamy dzień z trzydziścioro afrykańskich dzieci, które uczyły się czytać i pisać. W szkole panowały prymitywne warunki, a nauczyciele nie mieli zbyt wielu zasobów, ale May powiedziała mi, że sytuacja i tak jest lepsza od tej w innych placówkach. Wiele spośród białych dzieci nawet nie chodziło do szkoły. Kiedy gazety opisały moją wizytę, zaczęłam otrzymywać zaproszenia, by co tydzień przemawiać w szkołach, bibliotekach lub kościołach. Zwracałam się do czarnych i do białych. Opowiadałam o swoim życiu wszystkim, którzy chcieli mnie

słuchać.

Wierzyłam, że im więcej ludzi dowie się o niewolnictwie, tym więcej będzie się domagało jego zniesienia.

Kiedy moim ciałem znów zaczęły wstrząsać dreszcze, okazało się, że nikt w Londynie nie ma kory chinowca. Gorączka prawie mnie pokonała, ale May całymi miesiącami pielęgnowała mnie w chorobie. Bez końca jadłam zupę i chleb, zupę i chleb, zupę i chleb, a kiedy byłam w stanie utrzymać jedzenie w żołądku, May podawała mi ryż z odrobiną baraniny. Coraz bardziej upodabniałam się do szkieletu, ale miałam powód, by żyć, więc jeszcze raz udało mi się wrócić do zdrowia.

May i ja wprowadziłyśmy się do mieszkania opłaconego przez abolicjonistów, którzy za piętnaście funtów rocznie wynajęli nam dwa przyjemne pokoje i zatrudnili kucharkę przygotowującą dla nas posiłki.

W 1805 roku John Clarkson odwiedził nas w nowym domu, przynosząc w prezencie najnowszą mapę Afryki. Oznajmił, że abolicjoniści powoli osiągają swój cel i że komitet jest mi nieskończenie wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiłam.

– Czy jest coś, czym mogę się odwdzińczyć? – zapytał.

Poprosiłam May, by na chwilę zostawiła nas samych.

– Nie będziesz mnie musiał już zbyt długo karmić – powiedziałam Clarksonowi – ale proszę, byś zajął się moją córką.

Wymogłam na nim obietnicę, że abolicjoniści będą utrzymywać May, dopóki dziewczyna nie skończy dwudziestu pięciu lat, i zadbają o to, by otrzymała edukację, jakiej pragnęła.

– To niezwykle zdolna młoda kobieta. Zrobimy, co w naszej mocy, by dać jej solidne podstawy – odparł Clarkson.

– Świetnie.

– Mam nadzieję, że to nasza ostatnia potyczka – stwierdził – bo wytrwała z ciebie negocjatorka.

Uśmiechnęłam się.

– Mam to we krwi.

Abolicjoniści zgodzili się wspomóc szkołę May. Gdy zaczęliśmy raz w tygodniu wydawać posiłki dla czarnej biedoty w kościele, dali nam jedzenie. Gdy jednak przygotowywali się do przedstawienia wniosku w parlamencie, zamierzali poruszyć tylko kwestię handlu niewolnikami.

– Krok po kroku – uspokajał mnie John Clarkson.

– Skaczcie po dwa kroki naraz – odparłam. – Dzieci to potrafią. Wy z pewnością także.

Szkoła May rozrosła się tak, że uczyło się w niej czterdzieścioro, a później pięćdziesięścioro dzieci. Radziła sobie tak dobrze i otrzymała tak wiele materiałów

i dotacji od abolicjonistów, że zaczęło do niej ucześnieć także kilkoro białych. May nazwała szkołę Akademią Aminaty, a mnie mianowano jej wielką *djeli*. Wszyscy uczniowie wiedzieli, że to słowo oznacza gawędziarkę, i wszyscy czekali na piątkowy poranek, kiedy siadałam przed nimi i snułam swoje opowieści. Zawsze zaczynałam w ten sam sposób. Rozwijałam mapę świata, stawiałam jeden palec na kropce, którą narysowałam w miejscu Bayo, a drugi na Londynie, i mówiłam: „Urodziłam się tu, a teraz jesteśmy tu. Opowiem wam o tym, co wydarzyło się pośrodku”.

Skończyłam. Opowiedziałam swoją historię. Moja córka śpi w sąsiednim pokoju. Z początku sprzeciwiałam się temu, by w nocy zostawiała mnie samą, ale May łagodnie oznajmiła mi, że w jej życiu jest teraz mężczyzna i że planują mieć dziecko. Przykazałam jej, by znalazła sobie dobrą położną, ponieważ ostatnimi czasy moje ręce drżą.

– Nie martw się, mam – powiedziała. – Zadbam o to.

May mówi, że znalazła kogoś, kto opublikuje moją opowieść. Ale abolicjoniści mają własnego wydawcę i chcą wyeliminować „niemożliwe do udowodnienia zarzuty”. Zastanawia się, czy ulec, czy zwrócić się do swojego wydawcy. Zapytałam, czy ten mężczyzna zna historię naszych krajanów. Odparła, że tak.

– W takim razie spójrz mu w oczy i upewnij się, czy jest dobrym człowiekiem – poleciłam.

Odpowiedziała, że to zrobiła, i wie, że nim jest. Wydawca to jej narzeczony. Ale abolicjoniści twierdzą, że to oni mają prawo opublikować moją opowieść. Tupię nogą. Boli. Gorączka powróciła i moje kości są rozpalone. Następnym razem, jeśli nadarzy się okazja, ostrożnie postawię na swoim. Ledwo dosłyszalnym głosem mówię córce, by podziękowała abolicjonistom za jedzenie i schronienie oraz pieniądze, którymi wspomogli jej szkołę, ponieważ bez edukacji nadzieje naszych dzieci spełzną na niczym. Oznajmiam jednak, że moja historia należy do mnie i że powierzę ją osobie, która pozwoli moim słowom trwać.

– Kiedy poznam tego mężczyznę, którego zamierzasz poślubić? – pytam.

– Już go poznałaś, mam, ale wciąż o tym zapominasz.

– Napisz do mojej przyjaciółki Debry we Freetown – mówię May. – Napisz jej, żeby przyjechała i oddała Caroline do szkoły.

May odpowiada, że może Debra powinna zostać w Sierra Leone, że pewnie jej tam potrzebują.

– Mimo wszystko do niej napisz – proszę. – I ucałuj ją ode mnie.

Chciałabym narysować mapę miejsc, w których mieszkałam. Umieściłabym na niej Bayo, a czerwonym ołówkiem oznaczyłabym swoją długą drogę na wybrzeże. Niebieskie linie oznaczałyby podróże morskie, a na marginesach widniałyby kartusze. W zastępstwie wiosek nie byłoby słoni, ale rysunki gwinei z afrykańskich kopalni złota, kobiety niosącej

na głowie owoce i drugiej z niebieskimi sakiewkami na lekarstwa, szkice czytającego dziecka, zielonego wzgórze Sierra Leone, ziemi, do której przybijałam i z której odpływałam.

Ponieważ nie bywam już na zewnątrz, przynoszą mi gazety oraz osłodzoną miodem herbatę. Ostatnio tak wiele sypiam, że nie kontroluję upływu dni. May mówi, że ma nowiny na temat wydawcy i kartografa. Będą współpracować, a do moich wspomnień dołączą mapę. May i jej nowy mężczyzna stroją się, żeby pójść posłuchać, jak William Wilberforce przedstawia wniosek abolicjonistów w parlamencie. Mówią, że tym razem wygra. Mam taką nadzieję. Zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam.

Córka całuje mnie w czoło i znika. Ta dziewczyna ma młode nogi i porusza się jak cyklon. Moje kości są rozpalone i nie mogę już chodzić. Nie przejdę już po żadnym moście i nie wsiądę na żaden statek, ale pozostanę na lądzie, gdzie wypiję herbatę z miodem i położę się na pościeli wyściełanej słomą. To nie najgorsze łóżko. Sypiałam w gorszych. Kiedy wrócą, mogą mnie obudzić, żeby przekazać mi nowiny.

Słowo o historii

Powieść *Aminata. Siła miłości* jest wytworem mojej wyobraźni, ale stanowi odzwierciedlenie tego, jak rozumiem czarnych lojalistów i ich historię.

Pod względem liczby zarejestrowanych i opisanych osób Księga Negrów aż do końca XVIII wieku była największym spisem czarnoskórych w Ameryce Północnej. Zawiera nazwiska i dane na temat trzech tysięcy czarnoskórych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy po służbie w brytyjskich szeregach w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych wypłynęli z Nowego Jorku do rozmaitych brytyjskich kolonii. Chociaż wielu z nich dotarło do Anglii, Niemiec i Quebecu, większość osób zapisanych w księdze przybiła do brzegów Nowej Szkocji i osiedliła się w miejscach takich jak Birchtown, Shelburne, Port Mouton, Annapolis Royal, Digby, Weymouth, Preston, Halifax czy Sydney. Warto zauważyć, że niektórzy lojaliści wypłynęli z Karoliny Południowej, a prawdopodobnie wielu w inny sposób uciekło do brytyjskich kolonii, unikając wścibskiego wzroku inspektorów rejestrujących nazwiska w Księdze Negrów.

W powieści niektóre fragmenty Księgi Negrów są prawdziwe, inne zaś wymyśliłem lub zmodyfikowałem. Czytelnicy chcący obejrzeć Księgę znajdą dokument lub jego poszczególne części w Publicznym Archiwum Nowej Szkocji (Nova Scotia Public Archives), w Narodowym Archiwum Stanów Zjednoczonych (National Archives of the United States) oraz w Narodowym Archiwum w dziale rejestrów publicznych Kew w Anglii (National Archives, Public Records Office). Można ją także obejrzeć na mikrofilmie w Narodowym Archiwum Kanady (National Archives of Canada) i pod internetowym adresem udostępnionym przez Bibliotekę i Archiwum Kanady (Library and Archives

Canada): http://epe.lac-bac.gc.ca/100/200/301/ic/can_digital_collections/blackloyalists/index.htm

Co więcej, Księga Negrów została odtworzona w książce *The Black Loyalist Directory: African Americans in Exile After the American Revolution* [Spis czarnych lojalistów: Afroamerykanie na wygnaniu po wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych], zredagowanej i opatrzonej wstępem przez Grahama Russella Hodgesa oraz wydanej przez Garland Publishing w 1996 roku.

W 1783 roku do Nowej Szkocji przybyło około trzech tysięcy czarnych lojalistów, a tysiąc dwustu z nich opuściło te ziemie po dekadzie życia w fatalnych warunkach panujących w brytyjskiej kolonii. Z wybrzeży udali się na pierwszą w historii obu Ameryk masową emigrację, wybierając się „w drogę powrotną do Afryki”, aby w Sierra Leone stworzyć nową kolonię Freetown. Do dziś czarni lojaliści z Nowej Szkocji są znani jako

twórcy nowoczesnego państwa Sierra Leone. Podobnie jak moja bohaterka Aminata Diallo niektórzy tak zwani poszukiwacze przygód z Nowej Szkocji urodzili się w Afryce. Masowo powrócili na macierzysty kontynent w 1792 roku – wiele dziesięcioleci przed tym, jak dawni amerykańscy niewolnicy stworzyli Liberię, i ponad sto lat przed tym, jak słynny Jamajczyk Marcus Garvey zachęcał czarnoskórych mieszkańców obu Ameryk do tego, by „wrócili” do Afryki.

Czytelników może zainteresować, że w 1807 roku brytyjski parlament przegłosował ustawę, która w kolejnym roku zniosła handel niewolnikami. W Stanach Zjednoczonych zniesienie handlu niewolnikami weszło w życie w 1808 roku. Dopiero 1 sierpnia 1834 roku zniesiono w końcu samo niewolnictwo w Kanadzie i w pozostałej części imperium brytyjskiego. Minęło kolejnych trzydzieści jeden lat, zanim trzynasta poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych oficjalnie zniosła niewolnictwo w USA – w 1865 roku.

Choć moja powieść ma historyczne fundamenty, w niektórych przypadkach świadomie nagiąłem fakty, tak by pasowały do celów tej książki. Podam cztery główne przykłady. Po pierwsze, w Nowym Jorku w 1783 roku moja bohaterka otrzymuje od brytyjskiego rządu zapłatę za wpisywanie nazwisk tysięcy czarnoskórych do Księgi Negrów. Zdaję sobie sprawę, że Brytyjczycy nie zatrudniali prywatnych skrybów do pracy nad Księgą – powierzali to zadanie swoim oficerom. Po drugie, do pierwszych rozruchów na tle rasowym w Kanadzie – w czasie których dawni biali żołnierze wyładowali swoje frustracje na czarnych mieszkańcach Birchtown i Shelburne w Nowej Szkocji – doszło w 1783 roku, ja jednak umieściłem je w 1787 roku. Po trzecie, Thomas Peters – lojalista, który pomógł zorganizować emigrację z Halifaksu do Freetown i odbył podróż do Anglii, by poskarżyć się na złe traktowanie czarnych w Nowej Szkocji – przeniósł się do Sierra Leone i umarł tam wkrótce po przyjeździe, nie zginął jednak z rąk handlarzy niewolników, jak w powieści. Po czwarte, choć porucznik brytyjskiej marynarki John Clarkson zorganizował emigrację z Halifaksu do Sierra Leone i popłynął do Freetown wraz z czarnymi „poszukiwaczami przygód”, jego pobyt w Afryce nie trwał tak długo, jak w mojej powieści.

John Clarkson i Thomas Peters to dwie z wielu fikcyjnych postaci zainspirowanych prawdziwymi ludźmi o tych samych nazwiskach. Wśród pozostałych można wymienić: brata Clarksona – Thomasa, chirurga ze statku niewolniczego i późniejszego abolicjonistę Alexandra Falconbridge’a, jego żonę Annę Marię Falconbridge, króla Jerzego III oraz jego żonę królową Zofię Charlottę Mecklenburg-Sterlitz, gubernatora Nowej Szkocji Johna Wentwortha i jego żonę Frances Wentworth, a także Sama Frauncesa, właściciela tawerny, który karmił Jerzego Waszyngtona i innych patriotów, a po wojnie o niepodległość zaczął pracować jako prezydencki kucharz.

Moses Lindo był sefardyjskim żydem z Londynu, który przybył do Karoliny

Południowej w 1756 roku. W Charles Town wstąpił do Kahal Kadosh Beth Elohim – jednego z najstarszych zgromadzeń żydowskich w Stanach Zjednoczonych. W końcu został oficjalnie mianowany inspektorem plantacji indygowca w Karolinie Południowej. Na potrzeby tej powieści pożyczyłem nazwisko Linda i jego zainteresowanie indygo, ale resztę fikcyjnej postaci Solomona Linda wymyśliłem. W przypadku tego bohatera *Aminaty* i innych z pełną swobodą podszedłem do układania wymyślonych dialogów, akcji, zdarzeń i okoliczności.

Podziękowania

Nie sposób wspomnieć o wszystkich ludziach, dzięki którym udało mi się stworzyć *Aminatę* – o tych, którzy wciąż są między nami, i o tych, którzy ponad dwieście lat temu pisali pamiętniki, dzienniki podróży i opowieści o niewolnikach. Chciałbym jednak podziękować osobom, autorom książek i instytucjom, którzy pomogli mi najbardziej.

Na pomysł napisania *Aminaty* wpadłem podczas lektury książki, którą ukradłem, więc zacznę od tego, co to była za książka i gdzie ją znalazłem. Tom nosi tytuł *The Black Loyalists: The Search for a Promised Land in Nova Scotia and Sierra Leone, 1783–1870*, a jego autorem jest James W. St. G. Walker, wykładowca historii na Uniwersytecie Waterloo w Ontario. Zabrałem książkę z domu rodziców, Donny i Daniela G. Hillów. Zanim z nią wyszedłem, tata podpisał się na wewnętrznej stronie okładki, ale w niczym mu to nie pomogło, bo choć minęło dwadzieścia lat, wciąż ją mam.

Doktor Walker był serdecznym przyjacielem rodziców – wszyscy pisali książki o historii czarnoskórych w Kanadzie – a później został także moim przyjacielem i stałym doradcą. Kiedy szukałem informacji do *Aminaty*, odpowiedział na wiele moich pytań, przedstawił mnie innym badaczom, a po przeczytaniu szkicu powieści podzielił się ze mną spostrzeżeniami.

Z szacunku dla doktora Walkera i innych badaczy, którzy służyli mi radą, muszę podkreślić, że odpowiedzialność za wszelkie historyczne niezgodności w tej książce – celowe bądź nie – ponoszę wyłącznie ja.

Paul E. Lovejoy, wybitny badacz z Wydziału Historii na Uniwersytecie w Yorku i autor *Transformations in Slavery: A History of Slavery in Africa* oraz wielu innych książek, podzielił się ze mną swoimi artykułami dotyczącymi rytualnego nacinania twarzy, niewolnictwa i muzułmanów w Afryce Zachodniej. Skomentował sceny umiejscowione w Afryce, podsunął mi inne książki i artykuły i opowiedział o szczegółach brytyjskich przesłuchań w parlamencie dotyczących zniesienia handlu niewolnikami.

Valentin Vydrine, autor *Manding–English Dictionary* oraz kierownik działu Afryki w Muzeum Antropologii i Etnografii w Sankt Petersburgu, doradzał mi w kwestiach dotyczących języków i grup etnicznych w zachodnioafrykańskim kraju znanym teraz jako Mali.

Gordon Laco, specjalista w dziedzinie statków, który często pracuje jako konsultant na planach filmowych, był na tyle uprzejmy, by doradzać mi przy pisaniu tej powieści, podobnie jak mój przyjaciel Chris Ralph, od wielu lat pływający na statkach i prowadzący misje naukowe.

Nicholas Butler, kierownik działu kolekcji specjalnych w bibliotece publicznej Charleston County, pomógł mi odnaleźć wiele książek i artykułów na temat kolonialnego Charleston. Doktor Butler zadał sobie trud, by przesłać mi kilkadziesiąt listów, pomagając – i korygując mnie – w kwestiach etykiet identyfikacyjnych noszonych przez niewolników, podróży małymi łodziami po kanałach u wybrzeży Karoliny Południowej, języka gullah, użycia monet, strojów noszonych przez niewolników, aukcji niewolników, życia ulicznego i tym podobnych. Choć zadałem mu ze sto pytań, każdej odpowiedzi udzielał cierpliwie i uprzejmie.

Chciałbym podziękować za pomoc instytucji Penn Center z Wyspy Świętej Heleny. Zbudowane na miejscu jednej z pierwszych szkół dla wyzwolonych amerykańskich niewolników Penn Center to muzeum i centrum kulturalne badające historię i kulturę ludu gullah na Sea Islands. Pracownicy instytucji pokazali mi film *Family Across the Sea* [Rodzina po drugiej stronie morza] wyprodukowany przez South Carolina ETV, który dokumentuje związki ludu Gullah z przodkami w Sierra Leone.

Miałem to szczęście, że Ruth Holmes Whitehead, emerytowana kuratorka Muzeum Nowej Szkocji oraz jedna z kuratorek wirtualnej wystawy Remembering Black Loyalists, Black Communities in Nova Scotia, udzielała mi nieustającej pomocy i wsparcia przy korekcie książki, a także dokonała poprawek. Przez ostatnią dekadę gromadziła dane do mającej się wkrótce ukazać książki o czarnych lojalistach z Karoliny Południowej.

Cassandra Pybus, profesor historii zasiadająca w Australijskiej Radzie do spraw Badań Naukowych Uniwersytetu Sydney i autorka *Epic Journeys of Freedom: Runaway Slaves of the American Revolution and Their Global Quest for Liberty*, odpowiedziała na moje pytania o czarnoskórych mieszkańców Manhattanu w XVIII wieku i podsunęła mi artykuły naukowe na ich temat.

W Nowej Szkocji Elizabeth Cromwell i Debra Hill z towarzystwa zajmującego się dziedzictwem czarnych lojalistów udostępniły mi centrum zasobów w Shelburne i przedstawiły mnie potomkom lojalistów. Debra Hill oprowadziła mnie po dawnej osadzie czarnoskórych w Birchtown na południowym wybrzeżu Nowej Szkocji. W moich wysiłkach, by dowiedzieć się jak najwięcej o czarnych lojalistach i pierwszych dziesięciu latach spędzonych w Nowej Szkocji, wspomagali mnie także Henry Bishop z Centrum Kulturalnego Czarnoskórych w Nowej Szkocji, który wręczył mi egzemplarz dziennika Johna Clarksona *Clarkson's Mission to America 1791–1792*, oraz Finn Bower, Doris Swain i Betty Stoddard z Muzeum Hrabstwa Shelburne, którzy podsunęli mi wiele książek i stare wycinki z gazet.

David Bergeron i Sophie Drakich, kuratorzy z Muzeum Waluty Banku Kanady, wskazali mi odpowiednie teksty i odpowiedzieli na pytania dotyczące osiemnastowiecznych monet i innych środków wymiany – zarówno afrykańskich, jak i europejskich – a Yann Girard

osobiście oprowadził mnie po muzeum.

Bibliotekarze z Biblioteki Robartsa Uniwersytetu w Toronto wyszukali dla mnie atlasy, mapy i inne materiały. Pracownicy Biblioteki Publicznej w Burlington pomogli mi znaleźć artykuły naukowe na temat warunków życia niewolników w Karolinie Południowej.

Chciałbym podziękować Radzie Kanady oraz Radzie Sztuki z siedzibą w Ontario za wsparcie finansowe.

Dziękuję moim agentom literackim Deanowi Cooke'owi (reprezentującemu mnie w Kanadzie) oraz Denise Bukowski (reprezentującej mnie na rynkach międzynarodowych) za wspieranie mnie w pracy nad tą powieścią i wprowadzenie jej na rynek z entuzjazmem i profesjonalizmem.

Jestem wdzięczny mojej redaktorce Iris Tupholme oraz wszystkim wspomniałym kolegom z wydawnictwa HarperCollins Canada. Iris domagała się tej powieści, jeszcze zanim ją napisałem, cierpliwie czekała na pierwszy szkic, radziła mi w kwestii poprawek i – w swoich notatkach i rozmowach ze mną – zawsze znajdowała sposób, by być jednocześnie wymagająca i wspierająca. Chciałbym również podziękować Lorissie Sengarze za dodatkowe porady redakcyjne oraz Allyson Latcie za rzetelną pracę nad książką.

W czasie długiej pracy nad tym projektem wspomogło mnie wielu przyjaciół. Agnès Van't Bosch niemal trzydzieści lat temu zachęciła mnie, bym zaczął podróżować do krajów Afryki Zachodniej w ramach wolontariatu z ramienia fundacji Canadian Crossroads International. Jako chodząca encyklopedia wiedzy na temat afrykańskich kultur, języków i książek wysuwała sugestie na temat powieści i udostępniła mi miejsce, gdzie mogłem pisać w samotności. Charles Tysoe czytał wczesne szkice, radził mi w kwestiach dotyczących religii, podsunął mi pomocne książki oraz pomysł, na którym oparłem rozdział *Narody mniej chwalebne*. Jack Veugelers, wieloletni przyjaciel i profesor socjologii na Uniwersytecie w Toronto, zwrócił moją uwagę na artykuły naukowe i przez cały długi okres pisania podkreślał, że wierzy w powodzenie tego przedsięwzięcia. Judith Major, Rosalyn Krieger oraz Sandra Hardie doradzały mi przy wczesnych szkicach. Barbara i John McCowanowie, Deborah Windsor i Ray Argyle, Michael i Cara Petermanowie, Laura Robinson i John Cameron, Conny Steenman-Marcusse oraz Al i Mary Lou Keithowie udostępni mi klucze do swoich domów – pełnych jedzenia, kawy i wygodnych krzeseł do pisania – żeby przez długie okresy mógł spokojnie pracować. Randy Weir podzielił się ze mną rozległą wiedzą i kolekcją książek na temat osiemnastowiecznych monet w koloniach brytyjskich, a Peter Haase udzielił mi informacji dotyczących tradycyjnych osiemnastowiecznych maszyn zecerskich. Powieściopisarka Lauren B. Davis i jej mąż Ron wspomogli mnie swoimi opiniami i wspierali, kiedy ta historia nabierała ostatecznego kształtu.

Chciałbym w końcu podziękować swojej rodzinie. To pierwsza powieść, którą napisałem bez pomocy swojego ojca Daniela G. Hilla. Zmarł, zanim zrobiłem postępy w pracy nad książką, ale jego miłość do tej opowieści i zamiłowanie do historii były dla mnie inspiracją do pracy. Moja matka Donna Hill mogła w końcu podzielić się ze mną spostrzeżeniami na temat tej książki bez konieczności uciszania swojego ukochanego męża. Moja teściowa Sandy Hawkins pomogła mi przy korekcie tekstu i wykonała sporą pracę badawczą. Kiedy pisałem, Sandy wraz z moim teściem Williamem Hawkinsem pomagali nam w opiece nad dziećmi, a w okresie wyętej pracy pozwalali mi korzystać ze swojego domu. Moja siostra Karen Hill także pomogła mi zebrać materiał. Ona i brat Dan Hill czytali wczesne szkice i służyli mi radą. Pierwszą osobą, która skomentowała najwcześniejszy szkic powieści, była moja pasierbica Evie Freedman – w wieku dziesięciu lat przeczytała więcej książek niż większość obecnych w jej życiu dorosłych, nie wyłączając mnie. Evie zachęciła mnie do tego, bym wzbogacił opowieść o dzieciństwie Aminaty w Bayo, a ja posłuchałem jej rady. Geneviève Hill, moje najstarsze dziecko i zapalona miłośniczka książek, komentowała jeden z późniejszych szkiców.

W tym wypełnionym miłością wariatkowie, który nazywamy domem, pozostałe dzieci – Beatrice Freedman, Andrew Hill i Caroline Hill – nie tylko mężnie znosiły moją nieobecność spowodowaną pracą nad *Aminatą*, ale okazały się też niezwykle słuchaczami i rozmówcami przy jadalnianym stole. Podziwiam energię, z jaką wszystkie moje dzieci podchodzą do życia, i mam nadzieję, że inspiruję je również swoją pasją.

Nie znalazłbym siły, odwagi ani czasu, by ukończyć tę powieść bez kochającego wsparcia i miłości okazywanych mi w każdej sferze życia przez żonę Mirandę Hill. Lata spędzone we własnej głowie – bez gwarancji, że książka w końcu powstanie – to samotny czas. Miranda to jedyna osoba, z którą zawsze mogłem porozmawiać o tym, w jakim kierunku zmierza moja historia – czy toczy się naprzód, cofa, ucieka w bok lub utyka w martwym punkcie. Każdego roku i każdego dnia, które poświęcałem powieści, zapewniała mnie o swojej miłości, karmiła mnie i nasze dzieci i opiekowała się nami, podczas gdy ja bębniłem w klawiaturę komputera. Gdy byłem gotowy podzielić się szkicami, przy każdej stronie Miranda udzielała mi przydatnych rad. Była moją pierwszą redaktorką, krytykiem, największym kibicem i najwspanialszą partnerką. Dziękuję jej z całego serca.

O autorze

Lawrence Hill jest synem aktywistki broniącej praw człowieka Donny Hill i Daniela G. Hilla, socjologa wywodzącego się z rodziny afrykańskich niewolników przybyłych do Stanów Zjednoczonych. Na Hilla, który dorastał w latach sześćdziesiątych XX wieku w Toronto, miała wpływ praca jego rodziców – pionierów kanadyjskiego ruchu na rzecz praw człowieka i autorów tekstów historycznych dotyczących czarnoskórych mieszkańców Kanady.

Hill rozpoczął karierę pisarską jako dziennikarz w „The Globe and Mail” oraz korespondent parlamentarny z ramienia „Winnipeg Free Press”. Mówi po francusku i hiszpańsku. Mieszkał i pracował w całej Kanadzie, w Baltimore, a także w Hiszpanii i we Francji. Jako wolontariusz Canadian Crossroads International odbył podróże do Nigru, Kamerunu i Mali. Ukończył ekonomiczne studia licencjackie na Université Laval w Quebecu oraz pisarskie studia magisterskie na Johns Hopkins University w Baltimore.

Lawrence Hill mieszka w Burlington w Ontario wraz z żoną i pięciorgiem dzieci. Zapraszamy do odwiedzenia oficjalnej strony internetowej autora: www.lawrencehill.com.

Przypisy

[1] Jonathan Swift, *Podróże Guliwera*, przekład anonima z 1784 roku, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1971.

[2] Canvas Town (ang.) – Płócienne Miasto (przyp. tłum.).